

Dr Marek A. Kowalski wprowadza w ogólne problemy metodologiczne współczesnej refleksji antropologicznej. Ukazuje sens łączenia warsztatu analitycznego etnologa/antropologa kultury z warsztatem historyka wtedy, gdy rozważane są problemy dość złożone, do których należy kolonialna ideologia okresu międzywojennego w Polsce. Zagadnienie to wielokrotnie podejmowali na marginesach swoich zainteresowań historycy albo etnologowie — tkwi ono na „polach niczych” pomiędzy historią a etnologią. Autor wkroczył jednak na ten obszar niechętnie penetrowany przez uczonych, ale przecież bardzo ważny dla zrozumienia skomplikowanych procesów polskich dziejów międzywojennych, ówczesnego społeczeństwa i kultury, a także politycznych zabiegów normalizujących budowany z trudem powojenny naród. Interpretacja z pozycji wiedzy etnologa czy antropologa kultury może okazać się cenna w akademickiej praktyce dydaktycznej.

Prof. dr hab. Anna Zadrożyńska

Praca dr. Marka A. Kowalskiego podejmuje problem kolonialny w Drugiej Rzeczypospolitej równocześnie z perspektywy nauki historycznej i antropologii kulturowej. Wykorzystując metody i warsztat nauki historycznej, Autor rekonstruuje podstawowe konteksty, definiuje najważniejsze osoby, środowiska i instytucje zaangażowane w sprawy kolonialne, odtwarza dynamikę rozmaitych działań i dyskusji związanych z koloniami. Rekonstrukcja historyczna stwarza dobrą podstawę do interpretacji zebranego materiału z wykorzystaniem narzędzi antropologii kulturowej. Jako narzędzie analityczne zastosowana została kategoria dyskursu. Podstawowym przesłaniem pracy jest stwierdzenie, że problematyka kolonialna odgrywała znacznie istotniejszą, niż dotąd przyjmowano, rolę w życiu społeczeństwa polskiego w okresie międzywojennym. Mówiąc o krajach i ludach egzotycznych oraz formułując rozmaite dezyderaty i oczekiwania w sprawach kolonialnych, zarówno środowiska elitarne (politycy, przedstawiciele świata nauki, opiniotwórczy dziennikarze, podróżnicy), jak i szerokie masy ludności wyrażały swój stosunek do świata, określały postawy społeczne i polityczne, w sposób pośredni definiowały same siebie. Autor, określając funkcje, jakie dyskurs kolonialny pełnił, zwraca uwagę na jego funkcje integracyjne, ale także terapeutyczne i kompensacyjne. Praca prezentuje skomplikowaną i wielowątkową problematykę w sposób przejrzysty dla czytelnika.

Prof. dr hab. Włodzimierz Mędrzecki

Marek Arpad Kowalski

Dyskurs kolonialny w Drugiej Rzeczypospolitej



Marek Arpad Kowalski • Dyskurs kolonialny...



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Digitalizacja i udostępnienie w internecie finansowane w ramach umowy 511/P-DUN/2016 ze środków Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeznaczonych na działalność upowszechniającą naukę

STUDIA ETHNOLOGICA



STUDIA ETHNOLOGICA

Seria publikowana przez Instytut Etnologii
i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego
oraz Wydawnictwo DiG

Zespół Redakcyjny: Lech Mróz, Zofia Sokolewicz, Jerzy S. Wasilewski,
Anna Zadrożyńska-Barącz, Magdalena Zowczak

Dotychczas w serii ukazały się:

Anna Malewska-Szałygin, *Wiedza potoczna o sprawach publicznych. Rozmowy o władzy lokalnej w wybranej gminie mazurskiej w latach 1994–1995*, Warszawa 2002

Pierwsze narody. Społeczności rdzenne i idea tubylczości we współczesnym świecie,
pod red. Jarosława Derlickiego i Wojciecha Lipińskiego, Warszawa 2002

Podole i Wołyń. Szkice etnograficzne, pod red. Łukasza Smyrskiego i Magdaleny
Zowczak, Warszawa 2003

Wojciech Bęben, *Mały świat wokół wulkanu. Tradycyjne normy zwyczajowe w życiu
wyspiarzy Biem w Papui Nowej Gwinei*, Warszawa 2004

Etnos przebudzony, pod red. Lecha Mroza, Warszawa 2004

Agnieszka J. Kowarska, *Polska Roma. Tradycja i nowoczesność*, Warszawa 2005

Maciej Ząbek, *Biali i Czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa 2007

Religijność chrześcijan obrządku wschodniego na pograniczu polsko-ukraińskim,
pod red. Magdaleny Lubańskiej, Warszawa 2007

Anna Malewska-Szałygin, *Wyobrażenia o państwie i władzy we wsiach nowotarskich.
1999–2005*, Warszawa 2008

Łukasz Smyrski, *Ajdyn znaczy księżyc. Narody południowej Syberii*, Warszawa 2008

Bartosz Hlebowicz, „Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki”. *Nanticoke Lenni–Lenapowie
i Oneidowie ze Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych*, Warszawa 2009

W cieniu drzewa wiar. Studia nad kulturą religijną na pograniczach „Slaviae Orthodoxae”,
pod redakcją Magdaleny Zowczak, Warszawa 2009

*Sąsiedztwo w obliczu konfliktu. Relacje społeczne i etniczne w zachodniej Macedonii
— refleksje antropologiczne*, pod redakcją Karoliny Bielenin–Lenczowskiej
przy współudziale Katarzyny Paczóskej, Warszawa 2009

Andrzej Perzanowski, *Odmieńcy. Antropologiczne studium dewiacji*, Warszawa 2009

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego

Marek Arpad Kowalski

Dyskurs kolonialny w Drugiej Rzeczypospolitej



Warszawa 2010



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Dyktando i udostępnienie w internecie finansowane w ramach umowy 211/P-DUN/2016 ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeznaczonych na działalność upowszechniającą nauki.

Publikacja dofinansowana przez
Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (Umowa nr 865/DWB/P/2009)
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego

Redakcja: Magdalena Wyrzyńska

Opracowanie graficzne: Wioletta Szabesta

Projekt okładki: Paweł Jasionowski

© Copyright by Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej
Uniwersytetu Warszawskiego & Wydawnictwo DiG, 2009

ISBN 978-83-7181-632-1



Wydawca: Wydawnictwo DiG sp. j.
01-524 Warszawa, Al. Wojska Polskiego 4
tel./fax: (0-22) 839 08 38
e-mail: biuro@dig.pl; <http://www.dig.pl>.

Druk cyfrowy: TOTEM w Inowrocławiu



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Dygitalizacja i udostępnianie w internecie finansowane w ramach umowy 311/P.DEN/2010 ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeznaczonych na działalność upowszechniającą naukę.

*Emilii,
mojej wspaniałej krewnej*





Spis treści

WSTĘP	9
DYSKURS JAKO NARZĘDZIE BADAWCZE	17
Określenia dyskursu	17
Pojęcie dyskursu kolonialnego	28
Dyskurs elitarny i popularny	30
Konteksty	32
UCZESTNICZY DYSKURSU	37
Instytucje państwa	38
Sejm i senat	38
Ministerstwo Spraw Zagranicznych	41
Ministerstwo Przemysłu i Handlu	44
Wojsko	46
Środowiska akademickie	48
Polskie Towarzystwo Wypraw Badawczych	52
Instytucje społeczne	52
Liga Morska i Kolonialna	52
Polskie Towarzystwo Kolonialne — Polskie Towarzystwo Emigracyjne — Urząd Emigracyjny (PTK — PTE — UE)	60
Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze	61
„Światpol”	62
Periodyki i prasa	62
Kategorie uczestników	71
TREŚCI DYSKURSU	86
Definicje kolonii	87
Mandaty	97
Kierunki zainteresowań kolonialnych	103

Kamerun	105
Angola	107
Liberia	109
Madagaskar	120
Inne obszary	122
Brazylia	123
Wątki dyskursu	125
Wątki główne	126
Wątki poboczne	132
Pola zgodności	135
Płaszczyzny sporów	138
Inspiracje	148
RETORYKA DYSKURSU	161
Formy argumentacji	161
Język	161
Symbole	177
Metafory	183
DYNAMIKA DYSKURSU	188
Analiza ilościowa dyskursu elitarnego	189
Analiza ilościowa dyskursu popularnego	191
Chronologia dynamiki dyskursu kolonialnego	210
FUNKCJE DYSKURSU	213
Funkcje dyskursu elitarnego	215
Funkcje dyskursu popularnego	240
Relacje między dyskursem elitarnym i popularnym	263
Problemy propagandowe	265
Znaczenie kolonii według uczestników dyskursu	268
Manipulacje i relacje	274
Miejsce dyskursu kolonialnego w metadyskursie publicznym	279
ZAKOŃCZENIE	289
BIBLIOGRAFIA	291

Wstęp

Zainteresowanie jakimś zagadnieniem bierze się czasem — zdawałoby się — z przypadku. Kiedyś czytałem pracę Władysława Konopczyńskiego. Moją uwagę zwrócił fragment mówiący, że Kurlandia — wówczas lenno Rzeczypospolitej — podjęła w XVII wieku próbę kolonizacji zamorskiej i uzyskania egzotycznych obszarów. Rzeczywiście, udało się to nadbałtyckiemu księstwu. Przez pewien czas Kurlandia władała wyspą Tobago na Morzu Karaibskim (aczkolwiek w historii istnieje także pogląd, że dzieliła tę wyspę wspólnie z innymi pretendentami do jej posiadania; własność Kurlandii i innych rywali ograniczała się do kilku fortów nadbrzeżnych, mających być punktem wyjścia do zawładnięcia całym obszarem Tobago) oraz wąskim paskiem terenu w Afryce, odpowiadającym dzisiejszej Gambii. Władanie to trwało krótko, zaledwie kilkadziesiąt lat, i zakończyło się w tym samym XVII wieku (Konopczyński 1947, s. 119–123).

Wówczas to zrodziło się żartobliwe raczej pytanie: czy kolonia lennika Rzeczypospolitej może być zarazem kolonią Rzeczypospolitej? Takie marginalne z pozoru zainteresowania nie zawsze są przypadkowe. Najwyraźniej pewne zainteresowania tkwią głębiej, a jedynie uwidaczniają się niekiedy dzięki przypadkowi. Oto bowiem spod pokrywki żartobliwych rozważań wyłaniają się bardziej poważne pytania. Dlaczego Polska nie interesowała się koloniami w okresie przedrozbiorowym, przecież wiele krajów europejskich podjęło penetrację dalekich, zaocenicznych lądów? Dlaczego w okresie rozbiorowym zaczęły się rodzić inicjatywy budowy „Nowej Polski” gdzieś za morzami? Naturalnie, można uznać, że usiłowania te wiązały się z dążeniami niepodległościowymi. Czemu jednak terenem tych poczynań były dalekie lądy, a nie tylko obszar kraju (można przecież było przygotowywać kolejne powstania)? Czy zatem można tu dostrzec zainteresowania kolonialne? Wtedy, kiedy Polska jako państwo nie istniała?

Wyraźnie zdefiniowane dążenia kolonialne pojawiły się po odzyskaniu państwowości, czyli w okresie Drugiej Rzeczypospolitej (1918–1939). Dlaczego właśnie wtedy? Opracowania dotyczące tego fragmentu dziejów Polski i podejmowanych wówczas przedsięwzięć zamorskich, jak je można nazwać, są nieliczne. Opracowania ogólne dotyczące historii Polski w latach 1918–1939 w większości raczej pomijają sprawę często wtedy wysuwanych postulatów kolonialnych lub

też omawiają je ubocznie, niekiedy nawet wręcz przyczynkarsko. Niewiele jest prac skupiających większą czy zasadniczą uwagę na tym temacie¹.

Być może z perspektywy lat inaczej widzi się problemy polityki zagranicznej i wewnętrznej Drugiej Rzeczypospolitej. Postulaty kolonialne postrzega się zazwyczaj (odrębna kwestia, czy zasadnie, czy nie) jako jej margines. Wówczas jednak była to sprawa żywo dyskutowana, łącząca się nie tylko z polityką zagraniczną kraju (dotyczącą międzynarodowej pozycji Polski w Europie i na świecie), ale również z polityką wewnętrzną i stosunkami społecznymi. Była to sprawa — powtórzmy — żywo dyskutowana, biorąc pod uwagę ówczesną powszechną znajomość (czy raczej niezajomość) problematyki kolonialnej, szczególnie w opracowaniach przeznaczonych dla szerszego kręgu czytelników. Co natomiast ciekawe, w okresie międzywojennym ukazało się wiele broszur, opracowań i książek na tematy kolonialne, wiele miejsca temu zagadnieniu poświęcała prasa, tak fachowa, jak i popularna. Świadczy to o żywotności i dynamice ówczesnego dyskursu kolonialnego.

Oprócz tego, że sprawy kolonialne stanowią fragment historii Drugiej Rzeczypospolitej, pokazują również, jak kształtowała się w tym czasie myśl etnologiczna w Polsce i na świecie, jak rozpoznawano własną tożsamość kulturową, jak wyobrażano sobie relacje kultury własnej z kulturami innych państw europejskich, a w szczególności z kulturami plemiennymi (tubylczymi, dzikimi, prymitywnymi, egzotycznymi, tropikalnymi, zamorskimi — rozmaicie je nazywano).

Zapewne dosyć nikła obecność polskich zainteresowań kolonialnych w opracowaniach historycznych i etnologicznych dotyczących Polski lat 1918–1939 wynika stąd, że rząd i przeważająca część elit — mimo starań ze strony niektórych polityków, jeszcze w trakcie formułowania Traktatu Wersalskiego, o uzyskanie mandatu kolonialnego z byłych posiadłości niemieckich² — nie były zainteresowane taką akcją i aż do połowy lat 30. nie wypowiedziały się zdecydowanie za ideą kolonialną.

Na marginesie tych wstępnych rozważań warto zwrócić uwagę, że w połowie lat 30. nasiliły się polskie postulaty kolonialne (Tomaszewski i Landau 2005, s. 306–307).

Zatem przez przeszło połowę okresu istnienia Drugiej Rzeczypospolitej programy kolonialne nie przyciągały uwagi władz. Były obszarem zainteresowania przede wszystkim działaczy kolonialnych. Zdaje się to tłumaczyć, dlaczego w opracowaniach dziejów Polski z lat 1918–1939 problemy kolonialne traktowa-

¹ Spośród opracowań przedstawiających ogólne dzieje Polski w latach 1918–1939, jak i zajmujących się szczegółowymi, wybranymi tematami z tego okresu tylko niektóre podjęły problematykę kolonialną: Garlicki 1969, Sznaka 1972, Dobrowolski 1975, Dopierała 1978, Białas 1983, Łossowski 2001, Tomaszewski i Landau 2005, Nadolska–Styczyńska 2005.

² Zwolennikiem uzyskania mandatu kolonialnego dla Polski był m.in. Janusz ks. Radziwiłł, przewodniczący Komisji Zagranicznej sejmu, wcześniej — jeszcze przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę — jeden z kierowników resortu spraw zagranicznych w kolejnych gabinetach Rady Regencyjnej (Łossowski 2001, s. 15).

ne są zazwyczaj marginalnie. Nadto oceny idei kolonialnej obecnej w tych latach w Polsce dokonywane są z perspektywy czasu, kiedy już wiadomo, jakie były ówczesne uwarunkowania i czym skończyły się projekty kolonialne, tak jak z perspektywy lat oceniane jest znaczenie dyskursu kolonialnego dla tego okresu dziejów kraju.

Trzeba dodać, że niezależnie od orientacji politycznej czy ideologicznej dla większości społeczeństwa system kolonialny był czymś oczywistym i normalnym. Dziś oceniamy go całkowicie odmiennie, przeważnie z etycznego i politycznego punktu widzenia. Wówczas traktowany był jako stała część układu międzynarodowego, przyjmowany jako coś naturalnego, tak jak dziś przyjmuje się, że świeci słońce czy pada deszcz. Pamiętajmy o tym.

Większość opracowań poświęconych tamtemu okresowi przyjmuje, że marzenia kolonialne w ówczesnych warunkach nie miały żadnej szansy na realizację, wręcz że były to mrzonki — wynik przesadnych ambicji. Jeszcze ważniejsze, że dążenia do uzyskania kolonii niejednokrotnie bywają traktowane jako margines folkloru politycznego — leżały poza głównym nurtem najpilniejszych potrzeb politycznych, społecznych i ekonomicznych kraju. Opiniom tym można, co prawda, przeciwstawić inne, podnoszące realne przesłanki myślenia kolonialnego, wybijające możliwe korzyści polityczne, społeczne i ekonomiczne, wynikające z faktu ewentualnego posiadania kolonii. Pojawiają się one jednak rzadko, przeważnie na marginesie opracowań dotyczących wspomnianego okresu dziejów. A przecież, według szacunkowych obliczeń, Liga Morska i Kolonialna — jeden z głównych ówczesnych inspiratorów idei kolonialnej — liczyła na początku 1939 roku blisko milion członków. Nawet przy założeniu, że nie wszyscy fascynowali się koloniami, wielu zaś jedynie sprawami *stricto* morskimi i tak zwanym wychowaniem morskim czy wreszcie obecnością Polski nad Bałtykiem oraz intensyfikacją handlu morskiego — zagadnieniami również popularyzowanym przez Ligę — można przyjąć, że dążenie do pozyskania kolonii przez Polskę było szerokie. Ludzie wtedy inaczej oceniali idee kolonialne, spora ich część żyła nimi.

Zasadne zatem staje się pytanie, czy przy tak znacznym zainteresowaniu społeczeństwa ideą kolonialną sytuowała się ona rzeczywiście na uboczu życia politycznego, gospodarczego i społecznego w owych latach, czy jednak miała większe znaczenie, niż jej się na ogół przypisuje? Spróbujmy odpowiedzieć sobie na to pytanie i zorientować się, jak to wówczas rzeczywiście wyglądało.

Celem książki jest zatem przyjrzenie się dyskursowi kolonialnemu w Drugiej Rzeczypospolitej, jego analiza, która pozwoli ustalić zakres dyskursu (tematyka i zasięg społeczny) i jego znaczenie społeczne, a tym samym miejsce i pozycję spraw kolonialnych w owym czasie — czy istotnie były one marginesem życia i spraw publicznych, czy też odgrywały znaczącą, a przynajmniej widoczną rolę — a także jakim funkcjom dyskurs służył.

Analiza ta dotyczy pojawiających się w dyskursie pojęć, idei i wartości, czyli dominujących w owym czasie modeli mentalnych. Pozwala też na wnioskowanie, czy dyskurs kolonialny był tylko marzeniem o koloniach, czy też idea kolonialna miała umocowanie racjonalne w potrzebach kraju. Jak wpływała na rozpoznawanie świata oraz pojmowanie egzotycznych ludów? Wreszcie, czy dyskurs kolonialny ma obecnie znaczenie dla historii lub współczesnej myśli etnologicznej?

Do badania tematu wykorzystana została analiza dyskursywna, jako najbardziej pożyteczne narzędzie. Badacz ma bowiem w tym przypadku do czynienia z interpretacją interpretacji. Jest tak, ponieważ wypowiedzi dotyczące zagadnień kolonialnych są wypowiedziami stekstualizowanymi, a zatem są już interpretacją idei i programów kolonialnych, teoretyzujących i konkretnych, które poddać należy kolejnej interpretacji.

Zaproponowana metoda wymaga przeglądu określeń pojęcia „dyskurs” i wyboru tego, które najlepiej odpowiada tematowi (z uzupełnieniami z innych określeń). Ważne jest też, kto w dyskursie uczestniczył — trzeba sporządzić „mapę” uczestników dyskursu, uwzględniając instytucje państwowe i społeczne, tak ogólnopolskie, jak i lokalne, osoby wypowiadające się jako przedstawiciele grup zaangażowanych w dyskurs, jak i w imieniu własnym (politycy, działacze, naukowcy, wojskowi, pisarze, podróżnicy, plantatorzy, emigranci...).

Dopiero te wstępne zabiegi umożliwiają przeanalizowanie treści dyskursu kolonialnego. Tu interesuje nas samo pojęcie kolonii — i w ogóle idei kolonialnej — jakie wówczas funkcjonowało. Które terytoria zwracały szczególną uwagę jako najłatwiejsze do uzyskania w formie zamorskich posiadłości? Jakie zagadnienia budziły kontrowersje, a zatem które z nich można uznać za główne, a które za poboczne. Które kwestie były przedmiotem najostrzejszych sporów? Kim byli uczestnicy dyskursu? Jakie przyświecały im zamiary? W jaki sposób zamierzali skłonić pozostałych do powszechnego przyjęcia ich poglądów?

Odpowiedzi na powyższe pytania pozwolą określić powszechność dyskursu kolonialnego. Dzięki tej wiedzy będziemy mogli zorientować się, czemu dyskurs kolonialny służył, jakie pełnił funkcje w rzeczywistości politycznej i społecznej Drugiej Rzeczypospolitej oraz jakie miejsce zajmował w szerzej rozumianym metadyskursie publicznym.

W pracy zastosowano podział na dyskurs elitarny i dyskurs popularny, nie tylko dla wygody, ale także dlatego, że dyskurs kolonialny w sposób naturalny dzielił się na te dwa rodzaje. Jego uczestnicy brali udział w jednej lub drugiej odmianie (niekiedy w obu). Różniły się one argumentacją (odwołującą się do sfery racjonalnej albo emocjonalnej), językiem, nawiązywały do innych symboli, używały innych metafor, pełniły różne funkcje w społeczeństwie (lub innych funkcji od nich oczekiwano). Do uczestników dyskursu elitarnego zostały zaliczone instytucje państwowe i periodyki specjalistyczne, do popularnego — in-

stytucje społeczne (w większości) oraz prasa popularna, osoby zaś zależnie od charakteru wypowiedzi — do jednej lub drugiej wersji dyskursu.

Praca opiera się na literaturze okresu międzywojennego oraz pochodzących z tych lat pismach popularnych i periodykach. Najlepszym źródłem do badania dyskursu kolonialnego są czasopisma. Przeanalizowałem: „Rocznik Morski i Kolonialny” 1938, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” 1926–1931, „Wiadomości Służby Geograficznej” 1927–1939, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1934–1939 (dwa ostatnie to również kwartalniki), miesięcznik „Morze” 1924–1939 (w 1939 r. wychodzący jako „Morze i Kolonie”), tygodnik „Wiadomości Literackie” 1924–1939, dzienniki „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1918–1939, „Gazeta Warszawska” 1918–1939 (w latach 1925–1927 ukazywała się pod tytułem „Gazeta Poranna Warszawska”, a w latach 1935–1939 jako „Warszawski Dziennik Narodowy”) i „Gazeta Polska” 1929–1939. Sięgnąłem również po materiały z zasobu Archiwum Akt Nowych: Akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Akta Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Akta Franciszka Doleżala, Akta Konsulatu Honorowego RP w Monrovi.

W skład zespołu akt MSZ wchodzi dokumenty ukazujące zainteresowania ministerstwa sprawami kolonialnymi. Są to: raporty konsulatów, poselstw i ambasad informujące o warunkach politycznych panujących w koloniach rozmaitych metropolii, stanie ich finansów, kierunkach handlu (importu i eksportu towarów kolonialnych), głosach prasy krajowej i zagranicznej na temat polskich dążeń kolonialnych, oceny tych raportów wystawiane przez centralę, wreszcie protokoły narad ministerialnych mających na celu ustosunkowanie się do problemów kolonialnych.

Zespół akt MSW zawiera wystawiane przez administrację państwową (ministerstwo) oceny imprez organizowanych przez instytucje społeczne dla upowszechniania idei kolonialnej, oceny tych instytucji, a także charakterystyki działalności osób udających się na tereny egzotyczne — fachowców wyjeżdżających tam do pracy, kandydatów na plantatorów, emigrantów.

Akta Franciszka Doleżala to jego raporty finansowe dotyczące przychodów i rozchodów oraz budżetu Ligi Morskiej i Kolonialnej, a także należących do niej pism³. Wreszcie, akta zatytułowane „Konsulat Honorowy RP w Monrovi” zawierają raporty konsulatu kierowane do zwierzchniego wobec niego Konsulatu RP w Marsylii i do centrali MSZ, a przede wszystkim kopię umowy między Ligą Morską i Kolonialną a Liberią.

Nie istnieje niestety wydzielony zespół akt Ligi Morskiej i Kolonialnej. Archiwum to w przeważającej części przepadło podczas II wojny światowej; ocala-

³ Franciszek Doleżał, ur. 23 marca 1880 r. w Warszawie, ekonomista, członek delegacji polskiej na konferencję pokojową w 1919 r., następnie radca handlowy Ambasady RP w Paryżu, od 1925 r. podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, uczestnik z ramienia Polski Komitetu Ekonomicznego Ligi Narodów, w 1933 r. wiceprzewodniczący Komitetu, w 1934 r. przewodniczący, związany jako działacz z Ligą Morską i Kolonialną.

łe dokumenty włączono w większości do akt zespołu MSZ, częściowo do MSW; osobno funkcjonują jedynie skromne ilościowo Akta Franciszka Doleżala. Źródła archiwalne oraz część wydawnictw ciągłych (periodyki specjalistyczne) zawierają teksty klasyfikowane do wersji elitarnego dyskursu.

Na szczęście, zachowały się wszystkie numery periodyków poświęconych problemom kolonialnym. Przypomnijmy: miesięcznik „Morze”, przemianowany w 1939 roku na „Morze i Kolonie”, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, „Wiadomości Służby Geograficznej”, jeden numer „Rocznika Morskiego i Kolonialnego” (dalsze numery nie wyszły ze względów oczywistych — przeszkodziła w tym wojna). „Wiadomości Literackie” (tygodnik) sprawom kolonialnym poświęciły tylko jeden numer: 27 z 1937 roku — został on dołączony do zespołu MSZ w AAN.

Nie zachowały się — przechodząc do wersji popularnego dyskursu — wszystkie numery „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Brakuje tych z lat 1918–1919 oraz 1923–1925; rok 1920 reprezentowany jest przez kilkadziesiąt numerów, podobnie jak lata 1921 i 1922. Nie czyni to jednak dużej straty dla omawianego zagadnienia — w latach 1918–1925 „IKC” nie podejmował tematyki kolonialnej. Pozostałe dzienniki — „Gazeta Warszawska” (wychodząca pod zmieniającymi się tytułami) i „Gazeta Polska” — zachowały się w całości. Publikowane na ich łamach (podobnie jak w „IKC”) teksty zalicza się do popularnego odmiany dyskursu, choć niektóre z nich mogą być uznane za wypowiedzi o odmianie elitarnego.

Badania nad przebiegiem dyskursu kolonialnego w Drugiej Rzeczypospolitej nie były charakterystycznymi dla etnologii badaniami terenowymi. Obszar badań stanowiły tu archiwa i biblioteki — i one mają znaczenie dla antropologii; są przydatne dla dziejów tematu, jak i do aktualnych zastosowań antropologicznych, zwłaszcza dla szukania znaczeń i sensów kultur egzotycznych oraz ustosunkowania się do nich.

Opracowanie ma zatem charakter interdyscyplinarny, lokuje się na pograniczu historii i antropologii kulturowej. Do rozważenia tematu zasadniczo historycznego zastosowane zostało narzędzie antropologiczne — analiza dyskursywna, jako najbardziej pomocna dla jego badania i interpretacji oraz dla określenia jego sensu i znaczenia tak dla historii, jak i antropologii kulturowej. Trzeba jednak odnotować, że dotychczas problematyka kolonialna okresu międzywojennego nie była przedmiotem szczegółowych zainteresowań antropologii kulturowej w Polsce.

Problematyka żydowska, pojawiająca się na marginesie dyskursu kolonialnego, została wyłączona z niniejszej analizy. Problemy Palestyny, emigracji Żydów z Polski, a zwłaszcza — w wersji dyskursu popularnego — hasła w rodzaju „Żydzi na Madagaskar” dotyczyły kwestii antysemityzmu, a nie kolonializmu, ogólnie spraw polityki wewnętrznej Polski; stanowią zatem oddzielny temat badawczy.

*

W tym miejscu chciałbym podziękować przede wszystkim prof. dr. hab. Włodzimierzowi Mędrzeckiemu za opiekę nad niniejszą pracą, któremu zawdzięcza ona swój kształt. Wdzięczny jestem prof. dr. hab. Annie Zadrożyńskiej, doc. dr. hab. Annie Landau–Czajce i prof. dr. hab. Aleksandrowi Posern–Zielińskiemu, których wnikliwe recenzje pozwoliły na udoskonalenie tej publikacji. Specjalne podziękowania składam prof. dr. hab. Lechowi Mrozowi za pomoc organizacyjną w powstaniu książki i dr. hab. Annie Malewskiej–Szałygin, która zainspirowała mnie do podjęcia tematu. Chciałbym wreszcie podziękować wszystkim pracownikom Instytutu Etnologii i Antropologii Uniwersytetu Warszawskiego za okazywaną życzliwość i zachętę do kontynuowania pracy. Dodam, że rozprawa doktorska, która jest podstawą niniejszej publikacji, znajduje się w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.



Dyskurs jako narzędzie badawcze

Określenia dyskursu

Z dyskursem mamy do czynienia wtedy, kiedy dostrzegamy „rozbiegnięcie się” zdań i opinii na dany temat. Gdy są one bardzo różne, pojawia się dążenie do ustalenia wspólnego zdania na podstawie wnioskowania z uprzednio przyjętych przesłanek. Ktoś wypowiada jakąś opinię, ktoś inny nie zgadza się z nią i wysuwa swoją, podpierając się odmienną argumentacją — i tak krok po kroku dochodzi się do zdania przyjmowanego przez wszystkich. Przy stole zastawionym dzbanami z winem gromadziło się grono rozmawiających i przekonujących się wzajemnie ludzi.

Tego rodzaju dyskurs miał na celu dojście do prawdy uznawanej przez wszystkich i był charakterystyczny dla starożytności. Jednakże pojęcie prawdy zmienia się z wiekami, a nawet szybciej — z latami. To, co było powszechnie przyjmowaną prawdą kiedyś, nie musi nią być obecnie. Wyobraźmy sobie dyskurs na temat, jak wygląda Ziemia. Czy jest to płaski talerz wspierający się na żółwiach, czy też na słońcach? Powiedzmy, że ustalono, że na żółwiach. I oto okazuje się, że Ziemia jest kulą. Zatem prawda powszechna zdecydowanie się zmienia. Podobne zmiany dotyczą wielkiej ilości zagadnień politycznych, społecznych, ideowych itd. W naukach humanistycznych i społecznych ustalanie prawdy jest znacznie trudniejsze niż w naukach matematycznych i przyrodniczych. Dochodzenie do prawdy jest tu bardzo skomplikowane, a ustalenia wielce niepewne i zawsze możliwe do zakwestionowania — w naukach humanistycznych faktów nie da się przełożyć na bezwzględne i pewne liczby, człowiek i jego kultura to obiekty badań złożone, zmienne i niejednoznaczne, podlegające różnym interpretacjom (choć w naukach matematycznych i przyrodniczych prawdy również często się zmieniają).

Odwołajmy się do naszego przykładu. W latach 1918–1939 kolonializm przyjmowano jako coś naturalnego, istniejącego „od zawsze”, i zapewne „na zawsze”, dlatego też dyskurs w istocie dotyczył tego, czy warto mieć kolonie, czy też nie,

i dlaczego „tak” lub dlaczego „nie”. Obecnie przyjmuje się, że kolonializm jest czymś godnym potępienia, zatem dzisiaj przebieg dyskurs byłby zupełnie inny.

W związku z kłopotami w dochodzeniu do prawdy zmienił się przebieg dyskursu. Nie jest to już dążenie do bezwzględnej prawdy („cóż jest prawdą?”), lecz dążenie do wykazania własnej prawdy, czyli przeforsowania własnego stanowiska w jakiejś sprawie. Po wtóre, uczestnicy dyskursu nie tylko rozmawiają ze sobą bezpośrednio, ale także ustosunkowują się do opinii zawartych w pismach, artykułach i książkach, zatem nie spotykają się twarzą w twarz — od innych uczestników dzieli ich dystans geograficzny, a także czasowy; za pomocą własnych pism, artykułów i książek „rozmawiają” z innymi autorami; dopuszczalne są nie tylko niezachwane argumenty, ale również interpretacja, niegdyś niemal zabroniona.

Zmieniły się i formy dyskursu. Nie jest to już, jak w starożytności, bezpośrednia rozmowa zainteresowanych osób, lecz rozmowa „na odległość”, za pomocą drukowanych artykułów, tekstów, książek i wyrażanych na ich łamach opinii, na co zwrócono uwagę w poprzednim akapicie. Łatwiej może w ten sposób przyswoić sobie opinie innych, „przetrawić” je. Jest czas na skonstruowanie własnych przemyśleń. Zanika jednak bezpośrednia, niemal natychmiastowa — by nie rzec odruchowa — reakcja na poglądy przedmówcy. Może to i dobrze, że dyskurs staje się mniej emocjonalny, bardziej wyważony, zaś sposób rozmowy daje czas do zastanowienia się. Niemniej, analiza wskazuje, że i w tej „pisanej” formie dochodzi do emocjonalnych, spontanicznych wypowiedzi uczestników, zwłaszcza tych przekonanych głęboko do swoich racji. Zapewne nie bez wpływu na tę formę wypowiedzi pozostało rozpowszechnienie się druku, za pośrednictwem którego ludzie mogą komunikować się i spierać. Wraz z przedstawionymi zmianami „technologicznymi” — jak można by je nazwać — do głosu doszły pewne pojęcia określające zasady dyskursu, o czym będzie mowa niżej. W tym miejscu zaznaczę tylko, że w świetle obecnych zasad ważne są nie tylko fakty, ale i interpretacje faktów, czyli dociekanie, kto i co miał na myśli, a tym samym, co tak naprawdę kryje się w jakiejś wypowiedzi, mimo że mówiący lub piszący nie wyraził tego wprost.

Spójrzmy więc na obecny dyskurs, który we wstępie został określony jako doskonałe narzędzie do badania poglądów w jakiejś sprawie. Co to jest? Na czym polega? Nawet tak banalne narzędzia, jak na przykład śrubokręt, zaopatrzone są w instrukcje ich obsługi („uchwyc prawą ręką za trzonek, obracaj zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara”). Tym bardziej podobnej instrukcji wymaga tak skomplikowane narzędzie jak dyskurs. Mimo trudności w jego pojmowaniu, trzeba zapoznać się z nim. Chociaż pozornie wydaje się być narzędziem odległym od zagadnień kolonialnych, w sposób istotny może pomóc w ich zrozumieniu, a dokładniej — w zrozumieniu rozmowy na ten temat.

Nazwałem dyskurs „skomplikowanym narzędziem”, ponieważ pojęcie to bardzo się skomplikowało; nie ma jednej (a nawet choćby kilku) bezwzględnie

obowiązującej definicji dyskursu, jeśli rozumieć przez nią zwarte wyluszczenie treści pojęcia czy znaczenia wyrazu, ustalające zawartość terminu. Są to raczej omówienia albo wyjaśnienia, czym jest dyskurs i jak go rozumieć oraz „używać”. Dopiero te omówienia zawierają wykaz elementów składających się na owo pojęcie i jego znaczenia, aczkolwiek odmiennie widziane przez badaczy. Każdy z teoretyków zagadnienia daje swoją własną wykładnię dyskursu. Niekiedy są one ze sobą zbieżne, a niekiedy bardzo się różnią. W efekcie:

Słowo dyskurs pojawia się obecnie w najróżniejszych możliwych znaczeniach, niekiedy tak odmiennych, że pole znaczeniowe tego terminu wydaje się zupełnie rozmyte. W tej sytuacji warto przesledzić różne stosowane wykładnie i zastanowić się, na ile to pojęcie może być przydatne w badaniach etnologicznych (Malewska-Szałygin 2004, s. 81).

Należy zatem zastanowić się, która z owych wykładni najbardziej odpowiada wymogom tematu i jest najbardziej przydatna do jego badania. Będzie to skomplikowane — trzeba włożyć nieco trudu, by zrozumieć, co to jest dyskurs i jak go pojmować. Jest to niezbędne, aby praca stała się jaśniejsza, a nie była tylko zbiorem hermetycznych rozważań. Zwłaszcza że w potocznym rozumieniu pojęcie „dyskurs” jest albo bardzo zawikłane, albo odwrotnie — uproszczone w sposób niemal prostacki („dyskurs” staje się „dyskusją”). By jednak pojęcie stało się jaśniejsze, trzeba cofnąć się do początku.

Zasadnicze podwaliny pod współczesne wykładnie dyskursu położył Ferdinand de Saussure. Przede wszystkim wprowadził ważne rozróżnienie przy badaniu języka. Język może być badany w kategorii *langue* (na poziomie systemowym, w uproszczeniu — gramatycznym) i w kategorii *parole* (na poziomie wykonania). Wyodrębnienie tych dwóch płaszczyzn wynika z tego, że płaszczyzna *langue* jest wspólna dla całej danej społeczności językowej, niezależna od konkretnych wypowiedzi konkretnych osób, natomiast *parole* to indywidualne wypowiedzi poszczególnych osób. Uogólnienie na poziomie *langue* znajduje konkretny wyraz i zastosowanie na praktycznym, zindywidualizowanym poziomie *parole*.

W języku polskim zwrot „język” obsługuje oba pojęcia i dlatego należy odwoływać się do zróżnicowania na „język” i „mowę”. *Langue* to język jako system gramatyczny, natomiast *parole* to mowa (także: pisanie). Dyskurs to ciąg wyrażen dłuższych niż zdanie. Jest to coś w rodzaju „definicji–minimum” (Saussure 1991).

U początków antropologicznego pojęcia dyskursu stoi natomiast Bronisław Malinowski i jego refleksje na temat funkcjonowania języka w kulturze:

Język musi być ujmowany w powiązaniu ze wszystkimi innymi aspektami kultury. Języka nie można badać niezależnie od rzeczywistości kulturowej. (...) Zasadniczą funkcją języka nie jest wyrażanie myśli lub powielanie procesów intelektualnych, ale raczej odgrywanie aktywnej, pragmatycznej roli w zakresie ludzkich zachowań (Malinowski 1987, s. 715).

Ważne było tu zwrócenie uwagi na powiązanie mówienia i działania (wypowiedzi i interakcji), czyli podstawowych dla dyskursu pojęć, a także widzenie języka nie jako samoistnego, niezależnego przedmiotu badań, lecz dostrzeżenie w nim ludzkich działań wyrażanych za pomocą mowy, a także kontekstowości dyskursu. Wypowiedź w kontekście określonej sytuacji staje się bardziej zrozumiała, ponieważ zawarte w niej zdania odnoszą się do osobistych doświadczeń mówiącego i płynących stąd osobistych przekonań — słowa bywają bezpośrednio wtopione w kontekst owej sytuacji.

Fundamentalną zatem funkcją języka jest zwracanie się ludzi do siebie, a to wymaga zajęcia się sposobami mówienia — stylem i konwencją — obejmującymi elementy stylistyczne i referencyjne, czyli najogólniej rzecz biorąc tym, co ludzie chcą powiedzieć (Dell Hymes 1980). Określenie kompetencji uczestników dyskursu odnosi się nie do niezależnych od pojedynczego człowieka struktur języka (czyli powszechnie przyjętych reguł gramatycznych), lecz do jego własnych (człowieka — uczestnika dyskursu) zdolności umysłowych. Wyjaśnienia trzeba szukać w odniesieniu do kontekstu niewerbalnego (tego, co inni uczestnicy mają w swoich myślach). Kolejny etap stanowi określenie, na czym ta zgodność z pojęciami innych polega, jakim warunkom odpowiadać musi forma i treść przekazu; zależy to bowiem od wiedzy słuchaczy, widzów, czytelników.

Ponieważ w każdym społeczeństwie funkcjonuje więcej niż jeden system mówienia (język literacki, potoczny, naukowy, gwarowy itd.), a każdy z nich ma swoje reguły, własną estetykę i dokonania, stosuje się określenie *speech styles* — style mówienia. Są one zależne od *speech situation* — sytuacji mówienia. Z połączenia owych stylów, sytuacji i składników mowy wynikają *speech events* — wydarzenia mówienia, składające się z poszczególnych *speech acts* — aktów mówienia. Opis mówienia powinien uwzględniać, że akt ten jest zawsze uwarunkowany przez sytuację i określany przez cel, jaki chce się osiągnąć. Polega on zatem na badaniu interakcji konwersacyjnej (czyli tego, co kto komu ma do powiedzenia lub odpowiedzenia).

Kluczowym pojęciem antropologicznego podejścia do dyskursu wydaje się kontekst. Wagę kontekstu podkreśla wielu badaczy. Z kolei kod, jakim posługują się uczestnicy dyskursu, to model mentalny, czyli powszechnie przyjmowany rodzaj myślenia, określający „rozmawiającą wspólnotę” (*speech community*). Istotnie, wspólnota rozmawiająca musi posiłkować się wspólnym kodem językowym, by dla wszystkich wypowiedzi były zrozumiałe. Antropologiczna wykładnia postrzega zatem dyskurs jako potocznie stosowane sposoby mówienia (pisania), przy czym kryją się tu przekonania i wyobrażenia bardzo indywidualne. Dyskurs konkretną treścią wypełniają jednostki.

Do czołowych teoretyków dyskursu należał Paul Ricoeur, silnie akcentujący *parole* jako nie tylko mowę, ale i tekst pisany:

Tekst jest podobny do zapisu muzycznego, a czytelnik do dyrygenta orkiestry, który postępuje zgodnie z instrukcjami partytury. (...) Innymi słowy, musimy do-

myślać się znaczenia tekstu, ponieważ intencja autorska jest dla nas niedostępna (Ricoeur 1989, s. 73).

Rzeczywiście, nie możemy bezpośrednio zapytać autora wypowiedzi, co miał na myśli. Uwzględniana jest zatem doniosłość nie tylko mówienia i słuchania w dyskursie, ale także tekstu pozaczasowego, bo pisanego w jakimś konkretnym czasie, a nie jedynie wypowiedzianego aktualnie, jako równoprawnego elementu dyskursu, wymagającego jednak domyślenia się jego znaczenia. Przecież tekst zapisany (książkę, artykuł) czytamy, bywa, po latach od jego powstania i nie możemy go skonfrontować od razu z autorem tekstu.

Ów hipotetyczny „dyrygent” może mieć trudności z odczytaniem „partytury”, zwłaszcza gdy jej zapis jest mało czytelny. Zresztą każdy symboliczny „dyrygent” zazwyczaj po swoim odczytuje równie symboliczną „partyturę”. Dlatego też interpretacja tekstu to domyślenie się jego znaczenia. Wynika to również z różnicy między słuchaniem a czytaniem. Nie istnieją reguły trafnego domyślenia się („dyrygent” i niestarannie zapisana „partytura”), a jedynie uprawomocnienia domysłów, zwłaszcza że starannie i wyraźnie zapisana „partytura” także ma wiele drzwi do bardzo różnorodnych interpretacji. Mieści się tu uznanie myślenia intuicyjnego, przyjmowanego w antropologii jako sposób interpretacji tekstu. Zatem dopuszczalna jest metoda intuicyjnej interpretacji, ale pod warunkiem obudowania jej koniecznością stosowania pewnych reguł. Nie wszystkie interpretacje (domyślenie się znaczenia tekstu) są sobie równe — niektóre są bardziej prawdopodobne. Uprawomocnienie jest wyborem najbardziej prawdopodobnej interpretacji.

To ograniczenie jest istotne. Słowa, zdania i całe wypowiedzi uczestników dyskursu są subiektywne. Stanowią część ich indywidualnego widzenia i rozpoznawania świata. Uczestnik dyskursu, wypowiadając swój pogląd, ma w umyśle własne pojęcie omawianej sprawy, czyli to, co mu się wydaje na dany temat. Owe wypowiedzi nie mogą zatem być uważane za uniwersalne. Mogą jednak być obiektywne, ponieważ punkt widzenia, od jakiego wychodzą, bywa podzielany powszechnie, podobnie jak istniejące w nim poglądy. Skąd jednak wiemy, że akurat ta, a nie inna interpretacja, jest najbardziej prawdopodobna? Kontekst, ograniczając ilość możliwych interpretacji, wskazuje na najbardziej prawdopodobne.

Język jest elementem tworzącym społeczeństwo (scalającym jednostki w społeczeństwie), ale jednocześnie stanowi podstawę do zróżnicowania między jednostką a społeczeństwem — wyodrębnia ją ze zbiorowości. Dzieje się tak dlatego że każdy mówi od siebie (w swoim imieniu), zatem mowa wypływa od konkretnego człowieka. Język jest emanacją „ja” każdej jednostki, a zarazem rzeczywistością ponadindywidualną, rozciągającą się na całą zbiorowość. Między tymi „warunkami brzegowymi” mieści się dyskurs — niezależnie od języka i pojęć wspólnych dla całego społeczeństwa każda grupa społeczna przywłaszcza sobie terminy ogólne, przypisując im specyficzne desygnaty i dostosowując je

w ten sposób do własnej sfery zainteresowań (Benveniste 1980). Język ukształtowany historycznie jest więc dziedziczony. Jednakże społeczeństwo zmienia język: najpierw za sprawą jednostek, później zmiany są przyjmowane powszechnie przez społeczeństwo, stają się jego wspólną własnością. Dyskurs jest sposobem wymiany różnorodnych spostrzeżeń. Powstałe dzięki niemu poglądy wchodziły w obieg społeczny.

Obok spostrzeżeń zewnętrznych (widzialnych, słyszalnych) istnieją także wartości, idee, istoty przedmiotu umożliwiające intuicyjne poznanie (poprzez dostęp do „czystej świadomości”), na co uwagę zwracał jeden z najbardziej znanych teoretyków dyskursu Michel Foucault (Foucault 2002). Zatem dyskurs to zdarzenia (tu: dyskusja) między ludźmi, przy czym jest on organizowany przez *episteme* (sposób myślenia właściwy dla danej epoki). *Episteme* — swoisty „duch epoki” — wyjaśnia, dlaczego ujawnia się w danym czasie taka, a nie inna argumentacja, dlaczego w konkretnym czasie padają takie, a nie inne wypowiedzi (zdarzenia dyskursywne), dlaczego zaistniały one w takim właśnie kontekście, w danym akurat czasie i miejscu. Wprawdzie z biegiem czasu Foucault wycofał się z bezwzględnego traktowania *episteme* jako głównej zasady dyskursu, niemniej pojęcie to nadal zajmowało ważne miejsce w jego rozważaniach.

Według tej koncepcji człowiek jest w znacznym stopniu (o ile nie całkowicie) zdeterminowany przez dyskurs, który dominuje w danym czasie. Taki sposób patrzenia na przebieg dyskursu budzi jednak wątpliwości. Po pierwsze, dyskurs nigdy nie jest jednolity, istnieją różne typy dyskursów, przenikające się lub równoległe ze sobą funkcjonujące w danym czasie, nawet jeśli któryś z nich wydaje się dominujący. Po drugie, jednostka w tej teorii pozbawiona jest sprawczości i indywidualizmu. Staje się pochodną pewnego systemu idei. Mimo że wspomniany uczony był krytykowany za takie widzenie sprawy — uwikłanie jednostki w dyskurs — to jednak miał sporo racji. Zazwyczaj bowiem uczestnicy dyskursu reprezentują nie tylko siebie i swoje poglądy, ale bywają również wyznawcami jakiejś wspólnej dla wielu idei.

Dyskurs miał swój „złoty wiek”. Był prawdziwy, żywiono dlań szacunek. Trzeba było się mu podporządkować jako panującemu. Był to dyskurs głoszony według przyjętego rytuału, w dodatku przez tego, kto miał do tego prawo, dyskurs orzekający sprawiedliwość (każda wypowiedź była równoprawna) i dążący do ustalenia powszechnej prawdy. Później jednak „najwyższa prawda” nie przejawiała się w tym, czym był dyskurs, lecz w tym, co orzekał; etyka stała się dodatkiem, o którym wypada pamiętać, lecz nie jest konieczne zwracanie na niego uwagi.

Nie jest jednak jasne, kim był ten, kto w „złotych czasach” panował nad dyskursem, dlaczego i z jakich względów był uprawniony do tego panowania. Czy na podstawie własnego autorytetu sam sobie nadawał te uprawnienia, czy też nadawał je ktoś z zewnątrz? Jeśli tak, to kto i na jakiej podstawie? Przypuszczał-

nie dyskurs był wówczas „prawdziwy”, ponieważ dociekał „najwyższej prawdy” (można mniemać, że obowiązującej wszystkich zawsze i bezwzględnie). Współcześnie wola dociekania „najwyższej prawdy” wydaje się być podporządkowana innym czynnikom. Obecnie wyłanianie się w dyskursie nowych prawd czy idei wynika z konfliktu i walki między wypowiedzianymi opiniami, jest efektem unieważnienia, usunięcia lub pokonania innych pojęć. Dyskurs poddawany jest naciskom władzy, bo instytucje władzy starają się go zdominować — kto włada dyskursem, ten ma władzę, co dostrzegł już wspomniany Foucault, a za nim wielu innych badaczy.

W takim pojmowaniu dyskurs staje się rodzajem konwencji podporządkowanej sobie jednostki, a nawet i całe grupy. Obowiązująca konwencja bywa narzucana przemocą myślową, prowadzi do uproszczeń i uogólnień (aczkolwiek formalnie przestrzega reguł).

Postaramy się wreszcie powiedzieć jasno, co to jest dyskurs. Autorem jednej z najbardziej popularnych teorii dyskursu jest Teun van Dijk. Początek nowoczesnych studiów nad dyskursem datuje on na lata 60. XX wieku (Saussure jest uznawany przezeń za prekursora wstępnych założeń do nowoczesnych studiów nad dyskursem). Grunt pod badania nad dyskursem przygotowała, jego zdaniem, antropologia, z której narodziły się etnograficzne opisy *zdarzeń komunikacyjnych i stylów mówienia* w ich kulturowych kontekstach. Autor ten podkreśla też, że w obręb pojęcia dyskursu należy włączyć teksty pisane:

Teksty, podobnie jak wypowiedzi, również mają swoich „użytkowników”, a mianowicie autorów i czytelników. Możemy więc też mówić o „komunikacji pisemnej”, choć jej uczestnicy nie kontaktują się ze sobą twarzą w twarz, a czytelnicy bardziej pasywnie uczestniczą w interakcji. (...) nie znaczy to bynajmniej, że czytając i rozumiejąc teksty są mniej aktywni niż uczestnicy komunikacji ustnej (Dijk 2001, s. 11).

W odróżnieniu od innych teoretyków van Dijk zwraca uwagę, że badanie tekstu polega raczej na opisie dyskursu pisanego jako utrwalonego w piśmie przedmiotu, natomiast badanie wypowiedzi mówionych w większym stopniu koncentruje się na dynamicznych aspektach spontanicznej interakcji. Dodać jednak trzeba, że w przypadku dyskursu pisanego spontaniczne reakcje bywają równie częste, zwłaszcza gdy czas dzielący poszczególne wypowiedzi nie jest zbyt odległy.

Zatem dyskurs jest zdarzeniem zachodzącym w konkretnej sytuacji i pociągającym za sobą istotne następstwa w życiu społecznym. Zastrzegając, że jest to nowa dyscyplina, znajdująca się na skrzyżowaniu tradycyjnych pojęć, takich jak język, komunikacja, interakcja, społeczeństwo, kultura, van Dijk podkreśla, że pojęcie „dyskurs” jest pojęciem rozmytym. Dopiero cała dyscyplina, czyli „analiza dyskursu” — jak ją nazywa — dostarcza pełnej definicji:

Termin „dyskurs” odnosi się zwykle do języka w użyciu, do publicznych wystąpień lub też — ogólniej — do języka mówionego oraz sposobów wypowiedzania się (tamże, s. 10).

Wedle zaś nieformalnego, ale popularnego terminu, zauważa on, że:

„Dyskurs” odnosi się nie tylko do sposobów mówienia (...), ale też do propagowanych koncepcji i idei (tamże).

Ustosunkowując się do definicji innych badaczy pojęcia, van Dijk przypomina dosyć powszechne określenie, że dyskurs jest formą użycia języka, przy czym istotne w tym określeniu jest to, kto używa danej formy językowej, jak, dlaczego i kiedy:

Za definicję obejmującą owe funkcjonalne aspekty należy uznać tę, która określa dyskurs jako zdarzenie komunikacyjne. Oznacza to, że ludzie używają języka, by przekazywać różne idee i przekonania (lub by wyrażać emocje). Robią to zaś w ramach wyznaczonych przez przebieg bardziej złożonych sytuacji społecznych (tamże).

Niezależnie od tego, co zachodzi w ramach owych złożonych sytuacji, uczestnicy komunikacji (dyskursu) robią coś, co wykracza poza przekazywanie sobie przekonań, mianowicie wchodzą w interakcje (wypowiedź — kontrwypowiedź, spory). Na tej podstawie van Dijk rozróżnia trzy podstawowe wymiary dyskursu: użycie języka, przekazywanie idei, interakcja (w sytuacjach społecznych). Zadaniem analizy dyskursu jest zintegrowanie tych trzech wymiarów komunikacji.

Przy badaniu użycia języka przedmiotem analizy powinna być wypowiedź lub tekst, zawsze ukazywane w kontekście. Polega to na zestawianiu wypowiedzi bądź tekstów, wyodrębnianiu w nich charakterystycznych wyrażań, opisywaniu słów i wyrażań użytych w zdaniu, a wreszcie na określaniu stylu wypowiedzi, retoryki, schematu formalnej struktury tekstu, zastosowanych w wypowiedzi strategii.

Drugi wymiar, czyli przekazywanie idei, jest interpretacją — polega na znalezieniu owych przekazywanych idei. Założeniem, jakie przyjmuje tu van Dijk, jest, że użytkownicy języka „podzielają pewien wspólny repertuar społeczno-kulturowych przekonań”, a zatem podczas argumentacji dyskursywnej odtwarzają *modele mentalne*. Owe modele

stanowią schematyczne reprezentacje naszych (subiektywnych) wyobrażeń o danym znaczeniu lub sytuacji (Dijk 2001, s. 12).

Interpretator winien dostrzec zarys owych nie zawsze uświadomionych sobie modeli i określić je. Świadczą one bowiem o przebiegu dyskursu. Budowanie tekstu to konstruowanie modeli zawierających sens wypowiedzi, obejmujących znaczenia oraz zastosowania ogólnej, społecznie kultywowanej wiedzy i przekonań.

Wreszcie, wymiar trzeci — interakcja — odwołuje się do kontekstu sytuacyjnego, społecznego lub kulturowego (albo do nich wszystkich łącznie). W tym przypadku istotne są kategorie uczestników dyskursu (z jakiej grupy społecznej się wywodzą), pociągające za sobą odmienne postawy, określone przez usytuowanie światopoglądowe uczestników, czyli przywiązanie do swoich racji, a w związku z tym przez wypowiedanie się z przekonaniem o ich (czyli swojej) słuszności.

Dyskurs zatem to nie tyle uzgadnianie poglądów, ile prezentacja różnych opinii na dany temat i wybór tych, które wydają się najbardziej prawdopodobne. Jedne są przyjmowane, inne odrzucane. Wśród przyjmowanych bywają takie, które nie są w pełni akceptowane przez większość uczestników, jak i takie, które wchodzi w skład wiedzy potocznej. Najważniejsze, by wszyscy wzajemnie się rozumieli, niezależnie od tego, czy się zgadzają, czy nie. Van Dijk szczególnie uwagę w definicji dyskursu zwraca na konteksty polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturowe.

Poznawcze aspekty dyskursu badacz ten widzi w tym, że użytkownicy języka dysponują pewną, podzielaną przez siebie wzajemnie wiedzą, zatem są w stanie zrozumieć zdanie, osiągnąć spójność między zdaniem i uchwycić sens tekstu, pod warunkiem jednak, że posiadają wspólny dla nich repertuar społeczno-kulturowych przekonań. Możliwe jest zatem — niezależnie od żywionych przekonań — wzajemne rozumienie się.

Pojęcia dyskursu bywają wiązane z manipulacją rzeczywistością przez jego uczestników, z kreowaniem przez nich świata najbardziej pożądanego. Od razu jednak należy zastrzec, że nie w każdym przypadku dyskurs wiąże się z manipulacją, a manipulacja nie jest jawna, lecz ukryta. Wiele poświęconych temu zagadnieniu prac omawia specyficzne użycie języka, słów, zdań oraz stylów mówienia i pisanego, sposoby i strategie propagandy. Najogólniej można powiedzieć, że dyskurs jest określany jako całokształt przekazów znajdujących się w społecznym obiegu.

Istnieją i dalsze uszczegółowienia, na przykład rola i funkcja sloganu w dyskursie (Reboul 1980). Slogan ściąga uwagę, podsumowuje (jest wtedy formułą, która streszcza w sposób zwięzły i celny wypowiedź), staje się rodzajem hasła wywoławczego, które dostarcza więcej informacji na dany temat niż sam termin; przy tym im słowo-hasło wywoławcze jest mniej ścisłe, tym większy zawiera ładunek emocji i tym więcej w nim wartościowania.

Dalej, manipulacja za pomocą stosowania *cliché*, czyli uproszczenia fałszującego rzeczywisty stan rzeczy (Stern 1980). Nie każde jednak uproszczenie jest *cliché* — tylko takie, które maskuje szczególny charakter opisywanego stanu rzeczy. Zabieg jest tendencyjny, bo przy jego stosowaniu dominuje chęć osiągnięcia pożądanego skutku, realizacji jakiegoś zamiaru czy uzyskania wpływu na partnera (partnerów) dyskursu. *Cliché* umożliwia to w ten sposób, iż słowo lub zdanie wypowiedziane zrazu jako komunał bez pokrycia w rzeczywistości (za-

falszowanie stanu rzeczy) stopniowo staje się czymś możliwym do wyobrażenia, możliwym do dokonania, a wreszcie czymś dokonywanym. Bywa i tak, że przypadek indywidualny staje się uogólnieniem. Zatem *cliché* zmienia rzeczywistość, udając, że ją opisuje.

Cenne są też pojęcia dyskursu zaproponowane przez Jamesa Clifforda. Jego zdaniem etnografia nie jest wyjaśnianiem, lecz interpretacją. Wraz bowiem z rozwojem komunikacji i wpływów międzykulturowych ludzie zaczęli interpretować innych i samych siebie. Jednocześnie badacz ten zauważa, że:

Etnografia jest od początku do końca uwikłana w pisanie (Clifford 2000, s. 33).

Rości sobie jednak prawo do bycia dostarczycielem prawdy w tekście. Co prawda, interpretacja może być także rodzajem wyjaśnienia, tyle że tych wyjaśnień może być wiele, a żadne z nich nie może pretendować do prawdy jedynej, chociaż klasyczną istotą dyskursu jest dociekanie prawdy. Interpretacja może być rodzajem dociekania prawdy. Z racji że konkretni autorzy zostają oderwani od swoich wypowiedzi, powstaje autor „uogólniony”. Zatem kto jest władny przemawiać w imieniu grupy? Kto ma reprezentować jej tożsamość i autentyczność? Są to pytania nieustannie dręczące badaczy dyskursu.

Clifford Geertz, chociaż w takim pojmowaniu dyskursu dostrzega pułapki subiektywizmu, to jednak uzasadnia interpretację próbą ratowania przed przypadkiem tego, co zostało powiedziane w dyskursie (Geertz 2005a, s. 36). Broni w ten sposób nienaruszalności zasobu wiedzy gromadzonej latami, która w przyszłości może być wykorzystywana.

Przedstawione wyżej rozmaite pojęcia dyskursu nie wyczerpują całości zagadnienia — możliwych pól znaczeniowych terminu „dyskurs” jest znacznie więcej, podobnie jak więcej jest osób próbujących go ustalić. Na ogół jednak pozostałe określenia (i ich autorzy), mimo pewnych odmienności, zasadniczo są zgodne z podanymi wyżej rozumieniami dyskursu. Tu zostały zaprezentowane najważniejsze, ujmujące zagadnienie najbardziej całościowo.

Potrzebom niniejszej pracy najbardziej odpowiada pojęcie dyskursu zaproponowane przez Teuna van Dijka, tym bardziej że koncepcje innych teoretyków zagadnienia mieszczą się w rozumieniu proponowanym przez tego autora.

Przypomnijmy, van Dijk wytycza następujące kierunki badań: **użycie języka** — **przekazywanie idei** — **interakcja**; przy tym wypowiedź lub tekst zawsze muszą być ukazywane w **kontekście** (pogrubienie ma podkreślić istotę dyskursu).

Dokonując analizy dyskursu, należy zatem określić, jaki język jest stosowany w dyskursie i w jaki sposób, jaki jest cel użycia takiego właśnie języka, zwrotów, wyrażeń, a także jaka jest częstotliwość występujących w nim nawrotów tematycznych (*thematic persistence*). Celem jest wykrycie kryjących się w użyciu konkretnego języka sensów określających wyrażone w nim przesłanie, prowadzące do przekazania przez uczestnika (uczestników) konkretnych idei, następnie zaś

badanie interakcji — reakcji innych uczestników na owe proponowane idee. Częstotliwość nawrotów tematycznych określa dynamikę dyskursu.

Powinno się zatem zestawić wypowiedzi dyskursywne (tak mówione, jak i pisane), wyodrębnić z nich charakterystyczne zwroty i wyrażenia, opisać układ słów i wyrażen w zdaniu, aby móc na tej podstawie określić styl wypowiedzi, retorykę, schemat formalnej struktury tekstu i zastosowane strategie. Dopiero wówczas można przystąpić do interpretacji — odczytania zawartych w tekście idei i znaczeń — uzupełniając ją analizą przebiegu interakcji nawiązującej do kontekstu społecznego, politycznego, ekonomicznego, kulturowego czy sytuacyjnego.

Należy też rozpoznać uczestników dyskursu (każdy z nich posługuje się właściwym sobie językiem), a także — co ważniejsze — określić, jakie chcą przekazać idee. Kolejnym krokiem będzie ustalenie treści dyskursu — tematy odgrywają zasadniczą rolę w ustosunkowaniu się do tekstów i wypowiedzi. Uchwycenie sensu tekstu albo wypowiedzi polega na uchwyceniu najważniejszej informacji, znajdującej się w centrum uwagi. Przy prezentacji uczestników dyskursu (osoby i instytucje oraz charakter ich uczestnictwa), analizie jego tematów (treści z uwzględnieniem wątków głównych i pobocznych, pól zgodności, płaszczyzn konfliktu, retoryki) konieczne jest pamiętanie o kontekstach, począwszy od sytuacyjnego, po polityczny, ekonomiczny i kulturowy (właściwie wszystkie one tworzą wspólny kompleks), a także historyczny, który może być uważany za sytuacyjny (w istocie dzielący się też na wiele kontekstów, tu jedynie dla uproszczenia podany jako całość), w nim bowiem tkwią źródła wypowiedzianych słów i ujawnianych za ich pomocą przekonań, a w konsekwencji źródła przebiegu dyskursu.

Mimo wyboru koncepcji i procedur zaproponowanych przez van Dijką uwzględnię również niektóre pojęcia sformułowane przez innych badaczy. Jednym z takich terminów jest *episteme*, pozwalające lepiej zrozumieć istotę tego, co popularnie określa się mianem „ducha epoki” czy „ducha czasów”, a także istotę widzenia dyskursu jako pola walki i konfliktu, szczególnie zaś istotę roli władzy starającej się wpływać na dyskurs, kształtować go i kontrolować. Równie pożyteczne będzie uwzględnienie pojęć *speech community* (wspólnoty rozmawiającej), *speech styles* (style mówienia), *speech situation* (sytuacja mówienia), *speech acts* (akty mówienia), *speech events* (wydarzenia mówienia). *Episteme* jest pojęciem obejmującym różne *speech styles* — są one charakterystyczne dla danej epoki. *Speech community*, czyli uczestnicy dyskursu, to ludzie, których łączą te same reguły używania i pojmowania języka (sformułowań, zwrotów, idiomów), prowadzenia rozmowy i interpretowania wypowiedzi, umożliwiające im wzajemne rozumienie się. Reguły te są swoiste dla danej epoki. Dostarczają ludziom odniesień symbolicznych, określają ich wiedzę potoczną i umożliwiają rozumienie rzeczywistości konkretnego czasu. Nie można też pominąć terminu *cliché* — uproszczenia fałszującego rzeczywisty stan rzeczy.

Wśród taktyk dyskursywnych znajduje się także technika sepizacji. Słowo to pochodzi od skrótu SEP, którego rozwinięciem jest anglojęzyczne *somebody else's problem*¹. SEP może być sprawą przemilczaną albo taką, która jest ważnym fragmentem dyskursu, ale bywa omawiana w taki sposób, że uznaje się ją za nieważną. Chodzi tu o przeforsowanie własnego punktu widzenia (kosztem zniwelowania punktu widzenia kontrpartnera czy kontrpartnerów) za pomocą odpowiednich zabiegów słownych. Metodyka stosowania sepizacji zajmuje się nie tylko sprawami uważanymi za nieważne, lecz i tym, w jaki sposób sprawy nabierają ważności lub ją tracą. Każdemu aktowi unieważnienia towarzyszy akt odwrotny: nadanie ważności sprawom innym. Jest to kontrsepizacja, by nie wdawać się szczególnie w inne formy sepizacji.

Wypada przeprosić za ten przydługi i nużący wykład. Wydał mi się on jednak potrzebny, ponieważ będziemy spotykać w tekście pewne zwroty i poglądy zaczerpnięte z pojęć dyskursywnych — nie będą one wyskakiwały nagle i niezrozumiale jak *deus ex machina*. Przeciwnie, dalszy ciąg narracji stanie się bardziej klarowny, dając jasne pojęcie, jak przebiegał i czemu służył dyskurs kolonialny w Polsce.

Pojęcie dyskursu kolonialnego

Wypada wreszcie podjąć próbę określenia, co to jest **dyskurs kolonialny**. Przez dyskurs kolonialny należy rozumieć — upraszczając — wszelkie wypowiedzi (pisane lub mówione, lecz w tym drugim przypadku spisane jako relacje z wystąpień czy przemówień), teksty i opracowania dotyczące spraw kolonii i idei kolonialnej, podejmowanych działań dla praktycznej realizacji tej idei (program kolonialny planowany i przygotowywany do realizacji, akcje kolonialne) lub też negujące konieczność podejmowania prób zdobycia kolonii, jak i w ogóle ideę kolonialną, oraz sens tych wypowiedzi.

Trzeba tu jednak podkreślić, że dyskurs kolonialny wiązał się nie tylko ze sprawami ewentualnego pozyskiwania (lub nie) posiadłości kolonialnych dla kraju, ale także z emigracją. Duże skupiska emigrantów (osadników) za granicami kraju, zwłaszcza w Brazylii i na innych obszarach tropikalnych, skłaniały władze i organizacje społeczne do rozciągnięcia opieki nad nimi. Chodziło tu nie tylko o to, by zapewnić im „miękkie lądowanie” na obczyźnie, wsparcie organizacyjne i finansowe, ale przede wszystkim o to, by utrzymać ich duchowy, sentymentalny, językowy i kulturalny związek ze „starą ojczyzną”. Z racji że istniało przekonanie o przeludnieniu kraju, czyniono starania o zorganizowaną

¹ Autorzy wprowadzają tę nazwę — SEP, sepizacja i pochodne — powołując się na pracę: D. Adams, *The Hitch Hiker's Guide to the Galaxy*, London 1982 (Czyżewski, Dunin, Piotrowski 1991).

przez państwo, a nie tylko samorzutną emigrację. Emigranci — zarówno „starczy”, samorzutni, jak i wysyłani w tropiki w sposób zorganizowany przez państwo — mieli być pepinierą Polski za oceanami, a w przyszłości przede wszystkim pionierami w ewentualnych polskich koloniach. Sprawy emigracji *stricte* łączyły się ze sprawami kolonialnymi

Z kolei przez **ideę kolonialną** rozumieć należy wszelkie dostrzeżone w badanym okresie modele mentalne wspólne dla *speech community* — wspólnoty rozmawiającej, czyli uczestników dyskursu. Owe modele zbudowane były na przyjmowaniu jako oczywistej normy, wręcz aksjomatu, istnienia systemu kolonialnego. Dyskurs kolonialny koncentrował się zatem na zagadnieniu, czy włączyć się w ów system, czy też go odrzucić (a przynajmniej wziąć w nawias), a jeśli włączyć się, to w jakich formach, według jakich reguł, a także gdzie, kiedy i jak (uwidaczniała się w tych przypadkach walka o zdominowanie dyskursu, *cliché*, sepizacja, podnoszenie tego co jednostkowe do rangi pojęć wspólnych i społecznych, migotanie prawdy, a wszystko na tle *episteme* i z uwzględnieniem interakcji i kontekstów).

Wypowiedzi w dyskursie kolonialnym koncentrowały się zatem na domaganiu się dla Polski posiadłości kolonialnych, podległych jej politycznie, najlepiej bezpośrednio, lub przynajmniej pewnych dzierżaw terytorialnych na obszarach będących koloniami innych państw, w formie kondominium lub koncesji gospodarczych albo handlowych z pewnym zakresem autonomii ekonomicznej, językowej i kulturalnej, a wreszcie na używanych dla podtrzymania tej idei uzasadnieniach.

Z drugiej strony negowały ideę kolonialną i kwestionowały potrzebę uzyskania dla Polski kolonii, czy to w formie obszarów bezpośrednio podległych ewentualnej polskiej metropolii, czy kondominiów albo koncesji dzierżawnych — negację też rozmaicie uzasadniano.

Dyskurs kolonialny obejmował także kwestię zetknięcia się odmiennych kultur, ich relacji, zwłaszcza ocenę kultur tubylczych w odniesieniu do kultury własnej (polskiej), szerzej do kultury (kultur?) europejskiej, a jeszcze szerzej do kultury Białego Człowieka. Mówiono także o stosunku ludów białych do tak zwanych ludów kolorowych, próbowano określać relacje między tymi rasami, bardzo zresztą rozmaicie rozumiane. To z kolei implikowało w dyskursie kolonialnym określenie własnej tożsamości nie tylko wobec ludów egzotycznych, ale i wobec innych Białych (praktycznie Europejczyków), poprzez szukanie między społecznościami polską i europejskimi podobieństw i odmienności: podkreślano albo własną odrębność, albo przeciwnie — integralność z całym Światem Białych Ludzi.

Trzeba w tym miejscu odnotować, że w latach 1918–1939 Polaków cechowała integracja własnej grupy i świadomość jej odrębności — wskrzeszenie państwa po długiej niewoli domagało się integracji narodu i podkreślenia swojego równoprawnego miejsca wśród innych narodów europejskich, tego, że Polacy są ta-

kim samym narodem europejskim, jak inne. Zazwyczaj dokonuje się to w konfrontacji z innymi, na zasadzie „my” i „inni” albo „swoi” i „obcy”, „nie swoi”. Sprawę tę rozpatruje Lech Mróz na przykładzie Cyganów (Mróz 1979, s. 157–168) — uwagi te można jednak zastosować do dyskursu kolonialnego. Oto autor wzbogaca ów dychotomiczny układ, przekształcając go w „trójkątny”: „my” („swoi”) — „inni” („nie swoi”) — „obcy”. Coś takiego miało miejsce w polskim dyskursie kolonialnym. Mianowicie: „my” („swoi”), czyli Polacy — „inni” („nie swoi”), czyli inni Biali (więc Europejczycy) — „obcy”, czyli ludy tropikalne. Zatem „my, swoi, Polacy” przeciwstawiano „obcym” (dzikim), ale w środek wstawiano „innych, nie swoich”, czyli innych Europejczyków. Przeciwstawienie „my, swoi” (Polacy) — „obcy” (tubylcy) było oczywiste, podkreślało wspólnotę Polaków z innymi Europejczykami. Jednakże Polacy, zgłaszając się do wspólnoty Białych, chcieli podkreślać w tej wspólnotcie swoją odrębność w stosunku do innych Europejczyków, ponieważ oprócz tych samych celów mieli i inne, własne.

Podsumowując, analiza dyskursu kolonialnego w Drugiej Rzeczypospolitej obejmować będzie uczestników tego dyskursu, treści, sposób przekazywania ich idei, wątki główne, wydzielenie pól zgodności i pól konfliktu, stosowaną argumentację (argumenty wspierające aspiracje kolonialne, jak i im przeciwnie), używany język i interakcje, wreszcie konteksty tego dyskursu.

Dyskurs elitarny i popularny

Dla efektywnej analizy dyskursu kolonialnego należy dokonać rozróżnienia na dyskurs elitarny i dyskurs popularny, charakteryzujące się odmiennym sposobem przekazywania idei, używania języka, inną argumentacją. Analiza porównawcza tych dwóch form dyskursu pozwoli ustalić relacje między nimi.

Cechą dyskursu elitarnego jest udział w nim polityków, naukowców, działaczy społecznych wyższego szczebla, publicystów (osób zaliczanych do elity politycznej i intelektualnej społeczeństwa), a także instytucji państwowych, społecznych oraz periodyków specjalistycznych, z którymi wymienione kategorie osób były związane. Wypowiadały się one nie tylko w imieniu własnym, prezentowały również poglądy owych instytucji. Waga ich wypowiedzi była poparta autorytetem państwa (jego instytucji politycznych i naukowych). Odwoływały się one do argumentów racjonalnych, używały języka rzeczowego, spokojnego, perswazyjnego, zwracały się przede wszystkim do elit społecznych.

Do dyskursu elitarnego należy zaliczyć opinie zawarte w dokumentach sejmu i senatu, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, innych ministerstw zainteresowanych sprawą kolonii, wypowiedzi naukowców reprezentujących uczelnie, teksty wyrażające stanowisko Ligi Morskiej i Kolonialnej, wreszcie poglądy głoszone na łamach takich periodyków jak „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigra-

cyjnego i Kolonialnego”, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, „Wiadomości Służby Geograficznej”, „Morze”.

Z kolei cechą dyskursu popularnego jest udział w nim działacze społecznych niższego szczebla, często lokalnych członków organizacji i stowarzyszeń społecznych, dziennikarzy, nauczycieli i osób ogólnie zainteresowanych ideą kolonialną, zaliczanych do tak zwanych szerokich warstw społeczeństwa, posługujących się językiem niekiedy irracjonalnym, wreszcie instytucji społecznych i pism zaliczanych do popularnych.

Dyskurs popularny można badać na podstawie tekstów publikowanych w wysokonakładowych dziennikach kierowanych do masowych czytelników („Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Gazeta Polska”, „Gazeta Warszawska”) oraz w innych czasopiśmie popularnych (po części zaliczyć tu należy także miesięcznik „Morze” — sytuował się on częstokroć na granicy dyskursu elitarnego i popularnego, zamieszczając teksty należące do jednego i drugiego nurtu). Wypowiedzi w dyskursie popularnym odwoływały się do argumentów emocjonalnych, wyrażanych językiem potocznym, najlepiej trafiającym do ogółu społeczeństwa. Pojęcie „wiedza potoczna” określane jest jako wiedza nieprofesjonalna, niemethodyczna, niespełniająca naukowych standardów, alogiczna (choć kierująca się swoistą logiką wewnętrzną uznających ją środowisk), czerpana z faktów zasłyszanych albo przeczytanych, nie składających się wszakże na koherentną całość, lecz zestawionych dość przypadkowo, w sposób jednak odpowiadający jej użytkownikom (układają się one w pewną całość tworzącą generalny sposób postrzegania i pojmowania świata). Fakty te są przetwarzane przez zbiorowość dla jej własnych potrzeb, tak by mogły służyć w radzeniu sobie z „życiowymi” problemami codzienności.

Przy zaproponowanym zróżnicowaniu dyskursu na elitarny i popularny należy od razu zastrzec, że pewne pojęcia i argumenty były identyczne dla obu tych wersji, jednak wyrażano je innym językiem, wykorzystywano odmienne metafory i symbole.

Niekiedy, zwłaszcza gdy dotyczy to osób, a nie instytucji (choć ich często także), podział na jedną i drugą wersję dyskursu kolonialnego nie jest prosty do przeprowadzenia — niektórzy uczestnicy biorą udział i w jednej, i w drugiej jego odmianie. Mogą to być naukowcy, działacze społeczni, politycy, publicyści, dziennikarze, wreszcie „zwykli ludzie” — członkowie rozmaitych instytucji (państwowych i nie tylko), organizacji lub stowarzyszeń społecznych, nauczyciele czy uczestnicy rozmaitych imprez masowych. Przynależność do konkretnej grupy społecznej, „wykształceniowej”, zawodowej czy jakiegokolwiek innej nie określa bezwzględnie i raz na zawsze uczestnictwa w jednym lub drugim rodzaju dyskursu kolonialnego. Dla przykładu: profesor uniwersytetu publikujący książkę naukową czy artykuł w czasopiśmie naukowym uczestniczy w dyskursie elitarnym, ale już publikując relację podróżniczą czy artykuł w dzienniku popularnym, odwołujący się do wiedzy potocznej, może być uznany za uczestnika

dyskursu popularnego. Podobnych przykładów dostarczają politycy, wojskowi, działacze społeczni usytuowani w środowiskach intelektualnych. Także książki — prace naukowe, publicystyka, reportaże, relacje podróżnicze, powieści młodzieżowe itd. — w zależności od ich treści, używanego słownictwa, argumentów i struktury narracyjnej, nakierowania na konkretne grupy odbiorców, a wreszcie autorów (to znaczy stylów ich pisania) kwalifikują się do nurtu dyskursu elitarnego lub/i popularnego. Podobnie rzecz się ma z innymi publikacjami, na przykład broszurami czy rozmaitego rodzaju opracowaniami. Czasem trudno jest przeprowadzić precyzyjną delimitację między dyskursem elitarnym a popularnym, między uczestnikami jednej i drugiej jego odmiany. Dlatego też pewne kategoryzacje mogą wydawać się arbitralne — umiejscowienie danych opinii w jednej lub drugiej wersji dyskursu będzie zależało od rozmaitych czynników.

Trzeba też podkreślić, że dyskurs kolonialny jawi się jako element dyskursu politycznego, gospodarczego, historycznego i kulturowego (tożsamościowego) albo odwrotnie — dyskursy polityczny, gospodarczy, kulturowy i historyczny stają się elementami dyskursu kolonialnego.

Konteksty

Analiza dyskursu — co było już kilkakrotnie podkreślane — powinna brać pod uwagę również to, co określa się mianem kontekstu, czyli sytuację społeczną, historyczną, polityczną i wszelkie inne oraz okoliczności zewnętrzne, wpływające na formułowanie wypowiedzi. Teksty i wypowiedzi sygnalizują swoje znaczenia w różnorodny sposób, dlatego konieczne jest zwrócenie uwagi na okoliczności ich powstawania (znamy powiedzenia: „teraz nie pora o tym pisać lub mówić” czy odwrotnie — „jeśli nie teraz, to kiedy będziemy o tym mówili”), rolę społeczną (także ekonomiczną, polityczną, wszelką inną). Pozwoli to dostrzec, jak konteksty mogą wpłynąć na kształt rozmowy czy wypowiedzi, zwłaszcza że uczestnicy dyskursu wyrażają opinie nie tylko własne, lecz także owych grup i instytucji uważających, że w aktualnej sytuacji coś lepiej przemilczeć, a coś innego nagłośnić.

Przykładem wpływu kontekstu sytuacyjnego na przebieg dyskursu kolonialnego w Polsce może być wojna włosko–abisyńska z lat 1935–1936, a także wcześniejsze poczynania Włoch. Państwo to od zakończenia I wojny światowej podnosiło pretensje, że nie otrzymało żadnego mandatu z dawnych kolonii niemieckich (i tureckich), żądania zaś powiększenia swoich terenów kolonialnych, akcentowane coraz wyraźniej od końca lat 20., argumentowało przeludnieniem kraju, a w związku z tym koniecznością uzyskania nowych obszarów dla swobodnej emigracji swoich obywateli.

Polska w latach 1919–1921 też oczekiwała otrzymania mandatu z dawnych kolonii niemieckich; nadzieje te były obecne i później. W dyskursie pojawił się

zatem wątek „wspólnoty pokrzywdzonych” przy rozdziale mandatów. Na łamach miesięcznika „Morze” w artykule *Znaczenie kolonii dla państwa* Wojciech Rosiński pisał:

Znane są niejednokrotne wystąpienia Włoch, które całkiem niedwuznacznie domagają się dla siebie nowych terenów kolonialnych (...). Wychodźstwo polskie kierowane jest do różnych części świata i przekazywane niejako poszczególnym obcym środowiskom. (...) Inaczej sprawa by się przedstawiała, gdyby udało się zdobyć dla wychodźstwa naszego takie tereny, na których emigrant polski czułby się u siebie — innymi słowy, gdyby wychodźstwo polskie kierowane było do własnych kolonii (Rosiński 1929a, s. 19).

Zwracano uwagę na podobieństwo sytuacji Polski i Włoch — oba kraje stały się o uzyskanie inną drogą jakichś kolonii, argumentując, dlaczego są one dla nich niezbędne. W polskim dyskursie kolonialnym powoływano się na argumenty stosowane przez Włochy, czyli na względy demograficzne i populacyjne: „Mamy jedną z największych emigracji spośród narodów europejskich”. Ta sytuacja demograficzno–populacyjna, porównywana z włoską, nieustannie przewijała się w polskim dyskursie kolonialnym:

Obok Włoch (...) Polska posiada największe napięcie ruchu emigracyjnego. (...) Chodzi tu najbardziej o zasadnicze posunięcia w polityce kolonialnej, chodzi o wykazanie konieczności posiadania przez Włochy znaczniejszych obszarów kolonialnych (...). Jak wielką wagę Włochy przywiązują do posiadania kolonii, niezbędnych z uwagi na konieczności emigracyjne, świadczy choćby fakt, że przy ostatniej rekonstrukcji włoskiego gabinetu, tekę kolonii objął sam „duce”. (...) Włochy kroczą po drodze identycznej [jak Polska] (Rozwadowski 1929, s. 23);

Włochy uważają się za pokrzywdzone przez traktaty pokojowe, jeśli chodzi o podział kolonii. W programie polityki włoskiej Mussolini sprawę rozszerzenia włoskich posiadłości kolonialnych w Afryce postawił tak mocno, że spowodowała ona ostry konflikt francusko–włoski, zagrażający nawet pokojowi europejskiemu (Rozwadowski, Dyjas 1930, s. 384)².

W wypowiedziach tych można doszukać się nie tylko podkreślenia podobnych zainteresowań kolonialnych („Włochy kroczą po drodze identycznej jak Polska”), ale także zarzutu wobec władz, że mało aktywnie zajmują się sprawami kolonii, podczas gdy rząd włoski uznał je za ważny element swojej polityki zagranicznej. Przykład włoski (kontekst sytuacyjny) wpływał wyraźnie na dyskurs kolonialny w Polsce. Na przykład Henryk Korab–Kucharski w artykule *Nowoczesny kolonializm*, zamieszczonym na łamach „Gazety Polskiej”, pisał:

² Wspomniany konflikt francusko–włoski dotyczył Tunezji. Do tej posiadłości francuskiej Włochy kierowały swoich emigrantów. Ich liczba stała się tak znaczna, że dała Włochom pretekst do domagania się Tunezji. W zamian za zrzeczenie się pretensji do tej posiadłości, Włochy uzyskały zgodę na swobodną penetrację Abisynii.

Prawa kolonizatorskie opierały się na wielce uproszczonym rozumowaniu: kto pierwszy, ten lepszy! (...) Inaczej rozumuje Mussolini (...). Kolonializm jest dlań objawem żywotności narodu, usprawiedliwionym przez rozwój, przez dynamizm, przez siłę organizacyjną zdolną do wybitnych cywilizacyjnych postępów. (...) Taka doktryna nie liczy się ani z prekluzją czasu, ani z formalnymi tytułami posiadania. (...) Dotychczas mocarstwa zainteresowane obstawały przy stanowisku, że księga hipoteczna świata, spisana przed powstaniem Ligi Narodów, nie może być przez tę ostatnią ani na jotę zmieniona czy poprawiona. Mussolini (...) stara się dowieść, że tak pojęty Pakt [Ligi Narodów] nie odpowiada intencjom jego twórców (...) (Korab–Kucharski 1935, s. 1).

Autor wydawał się być przestraszony radykalizmem Mussoliniego, w jego doktrynie kolonialnej dostrzegał jednak szanse dla „nowych mocarstw”, dyskryminowanych przez „stare mocarstwa”. W innym duchu wypowiedział się niejaki st.m. w artykule *O co bije się biała ludzkość w Lidze Narodów*, opublikowanym na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”:

Szeroki gest włoski, zaokrąglonym ruchem sięgający po całą Abisynię, wysunął na tzw. „porządek” — czy też raczej nieporządek — dzienny polityki europejskiej kwestię, która była jedną z przyczyn wielkiej wojny [I wojny światowej]: sprawę podziału „kolorowych” krajów i kontynentów między państwa rasy białej. Tylko że dziś (...) kwestia ta przedstawia się zupełnie inaczej w świadomości historycznej ludzkości niż 20 lat temu. To nie jest już kwestia emigracji (...), lecz kwestia rozdziału surowców (st.m. 1935, s. 1).

Autor ten dostrzegł również motywy imperialny i strategiczny:

Anglia nie da się schwycić za egipskie gardło zbrojną prawicą włoską, wyciągniętą przez Sudan ze zdobytej Abisynii — ani odciąć od Morza Czerwonego przez stworzenie nieprzerwanego olbrzymiego pasa imperium kolonialnego włoskiego od Somali nad oceanem Indyjskim i rzeką Djuba, poprzez Abisynię, do Erytrei (tamże, s. 2).

O ile jedni w wojnie włosko–abisyńskiej widzieli pewne szanse na uzyskanie posiadłości zamorskich dla Polski, o tyle inni rozpoznawali ten konflikt jako tradycyjną walkę mocarstw kolonialnych o panowanie nad „kolorowymi” dla umocnienia pozycji mocarstwowej.

W polskim dyskursie kolonialnym ścierały się zatem te dwa punkty widzenia. Po zakończeniu walk wyprowadzono wnioski dla polskich planów kolonialnych, widziane w perspektywie tej wojny. Tak na przykład pisał autor tekstu zamieszczonego na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”:

Wojny kolonialne (...) rozpadają się na trzy typy. Jeden z nich — to wyprawa kolonialna po nową zdobycz. Drugi — to wojny wyzwolenicze o niepodległość kolonii osadniczych, dojrzewających do samodzielnego życia. Trzeci — to wojna państw o podział zdobyczy kolonialnych, tj. o zmianę stanu posiadania kolonialnego. (...) Wojna włosko–abisyńska była typową wojną kolonialną typu pierwszego. Była to wyprawa po nową zdobycz kolonialną dla rasy białej, która rozszerzyła

teren ekspansji europejskiej w Afryce. (...) Była to ostatnia wyprawa kolonialna. Więcej wypraw kolonialnych nie będzie — a to z tego prostego powodu, że terenów kolonialnych więcej już nie ma. (...) Wszystko jest rozebrane i znajduje się w czymś posiadaniu (F. Z. 1936, s. 1–2).

W tej sytuacji rozpoczyna się walka nie o nowe zdobycze terytorialne, ale o rynki zbytu, surowce i tereny osiedleńcze, a zatem o rewizję dotychczasowego stanu posiadania. Autor, choć nie potępiał Włoch, uważał, że nastąpił kres epoki wypraw po nowe zdobycze terytorialne. Świat Egzotyczny został już podzielony, wobec czego ta droga dla Polski jest zamknięta. Pozostaje domaganie się zmiany obecnego stanu posiadania kolonialnego, nie przy użyciu siły zbrojnej, lecz za pomocą argumentów o swobodnym dostępie do rynków zbytu i surowców, o wolności osadnictwa.

Kilka lat po wojnie, w końcu 1938 roku, ukazała się jeszcze jedna jej analiza, tyleż ideowa, co i dotycząca spraw militarnych lub ogólniej — strategicznych (z uwzględnieniem czynników technologicznych):

Włochy, które niemal w ostatniej godzinie sięgnęły po dominium kolonialne, podbiły Abisynię, głównie dzięki swej morskiej sile zbrojnej. Dzięki swemu lotnictwu! (...) Ale dalecy od deprecjonowania roli taktycznej lotnictwa stwierdzić musimy, że samo lotnictwo, nawet najsilniejsze, nie przewiozłoby do Abisynii ani jednego czołgu, ani jednego działa (...). Toż lotnictwo (...) nie potrafiłoby (...) zdobyć określonego punktu strategicznego ani utrzymać w swym posiadaniu tę czy inną połąkę kraju. (...) Toteż nie tylko lotnictwo, ale w pierwszym rzędzie wspaśniały rozwój włoskiej marynarki wojennej stał się w konflikcie abisyńskim czynnikiem decydującym. (...) Nie ulega żadnej wątpliwości, że kwestia terenów kolonialnych dla Polski jest dziś niezmiernie aktualna. Ale pamiętać trzeba, że nie tylko kolonie są argumentem do tworzenia marynarki wojennej, lecz przede wszystkim ta to marynarka wojenna bywa najlepszym argumentem do uzyskania kolonii (J. GRT, 1938, s. 5)³.

Niezależnie od oceny postępowania Włoch i szans realizacji polskich postulatów kolonialnych przyznawano, że Włochy (bez względu na ryzyko polityczne) mogły sobie pozwolić na taką akcję, gdyż leżą nad Morzem Śródziemnym, w pobliżu zdobywanych terytoriów. Polska, nawet gdyby chciała, nie mogłaby zdecydować się na takie działanie — byłoby ono niewykonalne z racji położenia kraju (znaczna odległość od obszarów znajdujących się w kręgu zainteresowań kolonialnych, długi i trudny dostęp do nich — z odległego Bałtyku na tereny podzwrotnikowe — przy niedostatecznie rozbudowanej flocie). Widać tu pewną zazdrość: Włochy mogły sobie pozwolić na zbrojną interwencję, co w położeniu Polski było nie do pomyślenia; aczkolwiek ze względów międzynarodowych (układy i sojusze z innymi państwami, zwłaszcza z Francją i Wielką Brytanią)

³ Autor przeprowadził niemalże strategiczną analizę konfliktu włosko-abisyńskiego, chodziło mu jednak o rozbudowę floty potrzebnej do obrony polskiego wybrzeża (argumenty kolonialne stanowiły pretekst do wysuwania tego postulatu).

stosunek do agresji włoskiej na Abisynię (Etiopię) traktowany był z pewną powściągliwością.

Wyrażano też opinie, że upominanie się o kolonie to anachronizm polityczny — czas ich zdobywania już minął; zgłaszanie postulatów ich pozyskania siłą szkodzi reputacji kraju. Przykład włoski, owszem, ciekawił jako wyraz swoistej desperacji w dążeniu do osiągnięcia pożądanego celu, nie był jednak pochwalany — burzył równowagę polityczną (reakcja Wielkiej Brytanii i Francji na wojnę Włoch z Abisynią) korzystną dla Polski; jej zachwianie niesło kłopoty polityczne.

Kontekst sytuacyjny określa osadzenie dyskursu w rozmaitych sieciach znaczeń, na które składają się zarówno uwikłania bieżące (aktualna sytuacja polityczna wewnętrzna i międzynarodowa), jak też potencjał gospodarczy kraju. Pozwala zrozumieć, dlaczego tego rodzaju wypowiedzi ujawniały się w dyskursie w danym czasie. Kontekst sytuacyjny wiązał się w tym przypadku z kontekstem politycznym, ekonomicznym, demograficznym (przeludnienie, emigracja, surowce) oraz geograficznym (położenie Włoch w pobliżu terenów będących przedmiotem ich zainteresowań kolonialnych, a Polski z dala od tych terytoriów).

Pamiętanie o znaczeniu kontekstu w dyskursie jest konieczne. Uczestnicy dyskursu dzielą, co prawda, wspólny repertuar społeczno–kulturowych przekonań, ważne jednak jest usytuowanie polityczne, społeczne i światopoglądowe debatujących oraz ich orientacja w świecie zewnętrznym. W ten sposób ujawnia się walka o dominację własnego punktu widzenia — walka pomiędzy różnymi interpretacjami rzeczywistości; teksty i wypowiedzi na rozmaite sposoby sygnalizują znaczenia sytuacyjne. Chodzi o rozpoznanie, jaką wiedzą dysponują uczestnicy dyskursu, jakie pełnią role społeczne, jakie cele są dla nich istotne, jakie funkcjonują normy, wartości, struktury instytucjonalne i organizacyjne. Czynniki te wpływają na wypowiedzi — opinie są zatem w znacznym stopniu uzależnione od kontekstów, takich przynajmniej, jakie rozpoznają rozmawiający.

Analiza kontekstów, co widać na przykładzie wojny włosko–abisyńskiej (by ograniczyć się tylko do tego jednego przykładu), jest bogata w liczne wątki. Jednakże poświęcenie za każdym razem uwagi wszelkim rozmaitym kontekstom rozsądziłoby ramy tej pracy. Dlatego dalej konteksty będą jedynie sygnalizowane jako potrzeba koniecznego pamiętania o nich, brania ich pod uwagę — ich istnienie przyjmowane będzie raczej milcząco, jako aksjomat, aczkolwiek podczas rozważań dyskursywnych w pamięci będziemy mieć zawsze ich ważną rolę.

Uczestnicy dyskursu

Zanim przejdziemy do dalszych, bardziej zasadniczych rozważań, trzeba jeszcze zastanowić się, kto brał udział w polskim dyskursie kolonialnym, by móc rozłożyć przed sobą mapę jego uczestników. Taka mapa pozwoli szybko zorientować się, kto i jakie grupy wypowiadały się za koniecznością zdobywania kolonii dla Polski, a kto i jakie grupy były temu przeciwnie. Podobnie rzecz się ma z powieściami — niektóre z nich czyta się z większym zrozumieniem, mając przed sobą mapę z miejscami akcji oraz spis przyczyn, dla których bohaterowie bywają w tych miejscach.

W dyskursie kolonialnym, oprócz osób wypowiadających się indywidualnie, udział brały instytucje państwowe oraz organizacje społeczne; przy tym każda osoba, instytucja państwowa czy organizacja społeczna kierowała się własnymi celami. Niekiedy cele te były wspólne czy podobne, niekiedy zaś odmienne. Czasem podnosiły dobro całego kraju, czasem jednak pod płaszczykiem owych szczytnych haseł kryły się cele prywatne, indywidualne (zespołowe — w przypadku instytucji i organizacji, a nawet osób prywatnych). Bywało i tak, że cele ogólnokrajowe i indywidualne bardziej lub mniej harmonijnie łączyły się ze sobą — tu niezbędna będzie interpretacja, aby ustalić, które z nich w rzeczywistości dominowały.

Powiedziano już, że w dyskursie kolonialnym uczestniczyły zarówno instytucje państwowe i organizacje społeczne, jak też osoby konkretne, prywatne. Omawianie należy zacząć od tych pierwszych — często konkretne osoby wypowiadały się w imieniu instytucji, stowarzyszeń lub grup interesów. Byli to autorzy książek, broszur, tekstów publikowanych w różnych czasopismach (niekiedy przeciwstawnych sobie), drukowanych relacji z wystąpień z ich udziałem, również uczestnicy narad urzędowych — ich wypowiedzi były odnotowywane w spisywanych dokumentach, a następnie często relacjonowane w gazetach i czasopismach, przedstawiane w broszurach albo drukach ulotnych. Instytucje i organizacje nie są abstrakcyjnymi bytami zbiorowymi — składają się z ludzi w nich pracujących lub działających, w mniejszej lub większej mierze utożsamiających się z ich celami i ideami, włączających się z przekonaniem w ich prace. Wymieniając organizacje i instytucje, należy zatem pamiętać o osobach najbar-

dziej znaczących czy też najbardziej prominentnych, poświęcając im więcej uwagi. Naturalnie, generalne poglądy na sprawy kolonialne formułowały instytucje, ale za pośrednictwem konkretnych ludzi, utożsamiających się z owymi instytucjami w całości lub przynajmniej w zasadniczych sprawach.

Instytucje państwa

Zacznijmy od tego, że dyskurs elitarny gromadził instytucje państwowe, instytucje społeczne, wreszcie grono osób związanych zazwyczaj formalnie z tymi instytucjami, ale także osoby nie związane z nimi, wypowiadające się indywidualnie, aczkolwiek zaliczane do elit społecznych kraju.

Byli to politycy szczebla centralnego i średniego, wysocy urzędnicy państwowi, wojskowi, naukowcy (szczególnie ogólnokrajowe autorytety naukowe), czołowi (o krajowym autorytecie) działacze organizacji społecznych, także znaczna część pisarzy, dziennikarzy i podróżników (często występowali w podwójnej roli — byli podróżnikami lub pisarzami, a zarazem działaczami rozmaitych instytucji). Formułowali oni wypowiedzi podnoszące generalnie problemy kolonialne. Ich poglądy pretendowały do miana wyznaczników dyskursu kolonialnego, orzekały o zasadniczych kierunkach idei kolonialnej i podejmowanych akcji.

To właśnie ich teksty publikowane na łamach czasopism naukowych i popularno–naukowych, kierowane do wyrobionych czytelników, podobnie jak wypowiedzi zawarte w archiwalnych dokumentach instytucji państwowych i społecznych (protokoły i notatki z narad wewnętrznych przede wszystkim Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej, także innych ministerstw oraz stowarzyszeń czy ugrupowań), a także dokumenty mające charakter opiniotwórczy (propagujące i wyjaśniające stanowiska wspomnianych instytucji, kierowane do podległych placówek albo bezpośrednio do społeczeństwa, nie tylko do kręgów elitarnych), należą do elitarniej odmiany dyskursu.

Stanowiska instytucji państwowych decydujących o polityce kraju w znacznym stopniu determinowały dyskurs kolonialny, określały jego kierunek, wpływały również na innych uczestników, aczkolwiek w różnym stopniu zgodności. Było tak, ponieważ instytucje państwowe przypisywały sobie rolę „przewodników” dyskursu. Uważały, że to one decydują o przebiegu rozmów, a przynajmniej powinny kierunkować pożądane przez siebie poglądy. Przytoczone niżej przykłady mają pokazać, jak w praktyce realizowało się uczestnictwo instytucji i wybranych osób w dyskursie kolonialnym.

Sejm i senat

Ważnym formalnie uczestnikiem dyskursu kolonialnego był Parlament Rzeczypospolitej, ze względu na istotny w powszechnym przekonaniu autorytet tej in-

stytucji. Traktuję sejm i senat łącznie, gdyż ich głos w dyskursie kolonialnym był głosem całego parlamentu (Zgromadzenia Narodowego); praktycznie jednak uczestnictwo to wynikało z inicjatyw poszczególnych posłów lub senatorów, nie zaś jednej lub drugiej izby czy tym bardziej całego parlamentu, chociaż uchwały były sygnowane przez jedną lub drugą izbę.

Już w Sejmie Ustawodawczym poseł Tomasz Dąbal z Polskiego Stronnictwa Ludowego–Lewica złożył 14 marca 1919 roku (w czasie konferencji pokojowej w Paryżu) wniosek, by Polska domagała się przyznania jej części byłych kolonii niemieckich, mianowicie Kamerunu. Wniosek ten został pominięty milczeniem przez ówczesny Rząd RP (o tzw. kwestii mandatowej mowa będzie w następnym rozdziale)¹.

Na początku lat 20. Janusz Radziwiłł — wówczas szef Komisji Zagranicznej sejmiku — próbował ukształtować „politykę mandatową”. Twierdził on, że zmiany powinny ulec te postanowienia Traktatu Wersalskiego, które dotyczyły dawnych kolonii niemieckich. Niektóre z nich powinny zostać przekazane Polsce jako mandaty. Miały one stanowić ekwiwalent za zniszczenia wojenne i być aktem dziejowej sprawiedliwości. Władze nie zainteresowały się działalnością posła Radziwiłła, nie wprowadzono poprawek do Traktatu Wersalskiego — Polska w ogóle nie wniosła postulatu owych zmian na forum Ligi Narodów. Niemniej, sprawa mandatu dla Polski przewijała się latami. Kolejna inicjatywa parlamentu pochodzi z 1929 roku:

Marszałek Senatu RP nr 12/3 do Prezesa Rady Ministrów, 30 III 1929. Na posiedzeniu w dniu 23 marca 1929 roku na wniosek Komisji Skarbowo–Budżetowej oraz senatora Thulliego uchwalił senat do części 5 budżetu MSZ następujące rezolucje:

1. Senat wzywa Rząd, by roztoczył większą niż dotąd opiekę nad emigrantami do Południowej Ameryki (...).
3. Senat wzywa Rząd, by poczynił odpowiednie starania celem uzyskania kolonii dla Polski.

w/z marszałka senatu, Hipolit Gliwic, wicemarszałek senatu (Sprawa... 1929, s. 4)².

¹ Niestety, nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące tego wniosku. Można się tylko dziwić, że złożył go poseł Dąbal. O ile bowiem zwolennikami idei kolonialnej były osoby związane czy sympatyzujące z różnymi partiami i orientacjami politycznymi, o tyle zasadniczo przeciwnymi jej lub obojętnymi wobec niej byli — z wyjątkami — socjaliści i ludowcy. W tym przypadku chodziło o akcję antyniemiecką — domaganie się przyznania Polsce mandatu z dawnych posiadłości niemieckich jako rekompensaty za zniszczenia wojenne z lat 1914–1918, będące dziełem Niemiec, oraz rekompensaty rozumianej jako „sprawiedliwość dziejowa” (naprawienie ze strony niemieckiej krzywd z okresu rozbiorów Polski) (Białas 1983. s. 167).

² Premierem był wówczas Kazimierz Bartel, a ministrem spraw zagranicznych — August Zaleski.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zobligowane tą rezolucją, udzieliło odpowiedzi w formie powściągliwej, wskazującej na nierealność postulatu, nie wykazując zainteresowania problemem kolonialnym:

Sprawa uzyskania kolonii dla Polski, wysuwana w ostatnich czasach przez niektóre organa prasy polskiej i pewne zrzeszenia prywatne, nie wydaje się chwilowo możliwą do zrealizowania. Polska mogłaby uzyskać kolonie (...) jedynie w drodze powierzenia jej mandatu nad którąkolwiek istniejącą kolonią. Nie jest bowiem do pomyslenia, by zdobyte być mogły inną drogą. (...) Terytoria mandatowe z kolonii należących do Niemiec rozdzielono głównym mocarstwom kolonialnym, które bez wątplenia chwilowo o zrzeczeniu się ich na korzyść Polski nie pomyślą. (...) Przy odpowiedniej koniunkturze politycznej w przyszłości Polska będzie ewentualnie mogła podjąć starania dla uzyskania mandatu, ale wcześniej opinia międzynarodowa musi być przygotowana, warunki organizacyjne w Polsce właściwe (...). W dzisiejszym stanie rzeczy akcja Rządu w tym kierunku ograniczyć się musi do studiowania teoretycznego tych problemów (Opinia... 1929, s. 6–7)³.

Podobnej odpowiedzi, sformułowanej na podstawie powyższej opinii MSZ, udzieliły senatowi Gabinet Ministra Spraw Zagranicznych i Prezydium Rady Ministrów.

Kolejna rezolucja senatu, z 28 lutego 1933 roku, wzywała rząd do ubiegania się o mandat kolonialny dla Polski. MSZ zobligowane z urzędu przez Radę Ministrów zaczęło zbierać materiały o sytuacji politycznej w byłych koloniach niemieckich, zwłaszcza w Kamerunie i Togo. Zgromadzone materiały to praktycznie jedyny rezultat uchwały senatu postulującej mandat kolonialny dla Polski. Zauważmy, że Polacy zbierali wspomniane materiały w Togo, mimo że nie było ono przedmiotem zainteresowań polskich działaczy kolonialnych, było jednak niegdysiejszą kolonią niemiecką.

Niezależnie od rezolucji, uchwał czy pytań sejmu lub senatu do Prezydium Rady Ministrów lub MSZ, w sejmie dzięki inicjatywie posła Emeryka Hutten-Czapskiego powstało 16 czerwca 1937 roku Koło Emigracyjno-Kolonialne. Objęło ono również członków senatu — stało się wspólne dla obu izb. Liczyło łącznie 50 osób. Prowadzone tu dyskusje kolonialne nie były firmowane jedynie przez komisje sejmowe lub senackie, podejmowano je z inicjatywy senatorów (np. Jan Dębski) i posłów (np. Michał Pankiewicz) jako działaczy Ligi Morskiej i Kolonialnej, korzystających z tego, że są parlamentarzystami. Nie kończyły się wszakże żadnymi uchwałami.

Oficjalnie sprawy kolonialne poruszone zostały w czasie drugiego posiedzenia sejmu, 2 grudnia 1938 roku, w wystąpieniu Eugeniusza Kwiatkowskiego, ministra skarbu, w odpowiedzi na pytania posłów, a także podczas posiedzenia Komisji Budżetowej senatu w lutym 1939 roku przy okazji dyskusji nad prelimi-

³ Wspomniane w odpowiedzi MSZ „zrzeszenie prywatne” to Liga Morska i Rzeczna oraz stanowiący jej sekcję Związek Pionierów Kolonialnych.

narzem budżetowym MSZ na rok 1939/1940. Postulowano wówczas większe niż dotychczas uwzględnienie w budżecie ministerstwa problemów kolonialnych.

W sejmie w kadencji 1930–1935 zasiadał jeden poseł–członek Rady Głównej Ligi Morskiej i Kolonialnej, Michał Pankiewicz (z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem), a w Senacie prof. dr Julian Szymański. W senacie w kadencji 1935–1938 znalazło się dwóch senatorów będących członkami RG LMiK: Jan Dębski i prof. dr Julian Szymański, zarazem marszałek senatu. W ostatnim sejmie Drugiej Rzeczypospolitej (wybrany 6 listopada 1938 r.) było pięciu posłów–działaczy Ligi: Michał Pankiewicz, Antoni Rostek, Brunon Sikorski, Leon Surzyński, Tadeusz Żencykowski; do senatu (wybrany 11 listopada 1938 r.) weszli Jan Dębski i Czesław Klarnier. Propagandę kolonialną wnosili oni na forum obrad komisji sejmowych i senackich jako członkowie i działacze LMiK. Wzmiankowane parlamentarne Koło Emigracyjno–Kolonialne nigdy nie wystąpiło z własnej inicjatywy (jako Koło) z pomysłem ustawodawczym, słało jedynie w imieniu swoim, a nie parlamentu, rezolucje do władz. Praktycznie zajmowało się nimi Ministerstwo Spraw Zagranicznych (rezolucje adresowane wprost do Prezydium Rady Ministrów były odsyłane do MSZ, by to ono wyrażało swoją opinię na ten temat).

Parlament miał słaby głos w sprawach kolonialnych. Zasiadający w nim posłowie i senatorowie, będący działaczami kolonialnymi, ograniczali się do ogólnikowych wezwań. Czy uważali, że to wystarczy do pobudzenia inicjatyw rządowych, czy też zdawali sobie sprawę z małych możliwości działania? Raczej to drugie — w ówczesnej strukturze władz to Ministerstwo Spraw Zagranicznych dysponowało decyzjami wykonawczymi, w tym również w sprawach kolonialnych.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Rzeczywistym „dyrygentem” w sprawach kolonialnych na szczeblu instytucji państwowych było Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Przez nie przechodziły sprawy związane z polityką zagraniczną państwa; postulaty i roszczenia kolonialne, zgłaszane przez działaczy, parlament czy stowarzyszenia społeczne, stanowiły zagadnienia wchodzące w zakres polityki zagranicznej państwa:

Do połowy lat 30. rząd polski nie przejawiał żadnego poważniejszego zainteresowania problemami kolonialnymi. Wyjątkiem była reakcja MSZ na rezolucję Senatu RP z 28 lutego 1933 r., wzywającą rząd do ubiegania się o mandat kolonialny dla Polski. (...) Sądzić można, że zainteresowanie MSZ byłymi koloniami niemieckimi było akcją jednorazową, podjętą na skutek rezolucji senatu, a nie wyrazem istniejącej w tym czasie w kołach rządzących jakiejś koncepcji kolonialnej (Białas 1983, s. 179).

Pierwszy wniosek ze strony Sejmu Ustawodawczego o zajęcie się sprawami kolonialnymi wpłynął do MSZ, jak już wspomniano, w 1919 roku. Wkrótce

pojawiły się kolejne wnioski. Z podobnymi propozycjami występowali również działacze kolonialni: Kazimierz Warchałowski — prezes Polskiego Komitetu Centralnego w Brazylii, organizacji mającej ambicje skupienia polskiego wychodźstwa w Brazylii, aspirującej po 1918 roku do reprezentowania tam Rzeczypospolitej Polskiej (w warunkach kształtującego się dopiero aparatu dyplomatycznego RP), prof. Jan Dybowski — agronom, wtedy jeszcze we francuskiej służbie kolonialnej, zwolennik polskiej idei kolonialnej, czy mjr Leon Bulowski — późniejszy prominentny działacz Ligi Morskiej i Kolonialnej. Jeszcze w trakcie trwania konferencji pokojowej w Paryżu (1919 r.) składali oni w Ministerstwie Spraw Zagranicznych memoriały tłumaczące konieczność posiadania kolonii przez Polskę, a co za tym idzie — domagające się jakiejś afrykańskiej byłej kolonii niemieckiej. Jednakże aż do lat 30. podobne propozycje nie znajdowały odzwierciedlenia w MSZ.

W następnych latach w związku z pogłoskami o mającym nastąpić w 1931 roku nowym podziale mandatów kolonialnych (zagadnienie zostanie dokładniej omówione niżej) do MSZ kierowane były kolejne rezolucje i zapytania. Można przynajmniej domyślać się ich istnienia — delegacja polska przy Lidze Narodów odpowiedziała 8 maja 1930 roku Ministerstwu Spraw Zagranicznych na jego zapytanie:

Pogłoski wspomniane w piśmie Ministerstwa z dnia 11 lutego, No.P.IV.30.296/30 o mającej rzekomo nastąpić w 1931 roku rewizji przydziału mandatów, nie są wywołane żadnymi istotnymi zamierzeniami w tym kierunku w najbliższej przyszłości, lecz są według wszelkiego prawdopodobieństwa wyrazem niezadowolenia panującego w Niemczech i Włoszech z dzisiejszego stanu rzeczy. Ani art. 22 Paktu Ligi Narodów, ani art. 119 Traktatu Wersalskiego, ani art. 132 Traktatu w Sèvres (zastąpiony art. 16 Traktatu Lozańskiego) (...) również żadna z decyzji Rady Najwyższej Ligi Narodów (...) nie ustanawiają żadnego terminu dla sprawowania funkcji państwa mandatariusza (...). Ponieważ z jednej strony samo pojęcie mandatu określa prowizorium, z drugiej zaś strony (...) termin przyznania mandatów nie został nigdzie ustanowiony, przeto z punktu widzenia czysto teoretycznego można dedukować, że nowy podział mandatów jest w zasadzie dopuszczalny. W praktyce jest to całkowicie zależne od koniunktury politycznej, która przynajmniej na najbliższą metę nie zdaje się upoważniać do jakichkolwiek zmian w obecnym systemie mandatowym (Delegacja... 1930, s. 13).

MSZ w pierwszych dziesięciu–piętnastu latach nie angażowało się raczej w dyskurs kolonialny. Jedną z zasadniczych przyczyn tego stanu rzeczy był niechętny stosunek Józefa Piłsudskiego — człowieka, którego wpływ na politykę Polski był nie do przecenienia — do „awantur kolonialnych”, jak je nazywał. Uważał, że zajmowanie się terenami tropikalnymi odciąga uwagę Polski od znacznie ważniejszych problemów, związanych z położeniem kraju wymagającym bacznej uwagi na posunięcia sąsiadów, Niemiec i Rosji, i wypracowania dobrego usytuowania międzynarodowego w Europie. Do zaangażowania się w omawianą dyskusję MSZ zostało zmuszone nieustannymi naciskami ze strony

Ligi Morskiej i Kolonialnej, zwłaszcza po 1930 roku. Wprawdzie autor cennej pracy o Lidze Morskiej i Kolonialnej, Tadeusz Białas, uważa, że zainteresowanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych sprawami kolonialnymi po 1936 roku wynikało z rozwoju sytuacji międzynarodowej (m.in. wojna włosko–abisyńska, nasilenie niemieckich żądań kolonialnych dotyczących zwrotu ich niegdyśszych posiadłości, imperialne aspiracje Japonii), to jednak zaznacza:

Nie można (...) wykluczyć możliwości, iż propaganda kolonialna, prowadzona przecież w Polsce z dużym nasileniem, nie tylko przez LMiK, miała za cel ułatwić w perspektywie manewr, czy raczej stanowić argument podbudowujący oficjalne wystąpienie rządu polskiego z postulatami kolonialnymi na forum międzynarodowym (Białas 1983, s. 181–182).

Dodać tu należy aktywność osób związanych z ideą kolonialną, wreszcie coraz bardziej natarczywe głosy prasy na ten temat (głosy sterowane przez działaczy kolonialnych lub przynajmniej sugerowane przez nich). MSZ jako urząd sterujący polityką zagraniczną kraju musiało zająć stanowisko w tej sprawie. Nawet minister spraw zagranicznych Józef Beck — kontynuator politycznego kierunku Piłsudskiego, wyrażający się krytycznie, a nawet szyderczo o dążeniach kolonialnych wielu działaczy — po 1935 roku zmienił częściowo nastawienie i zaakceptował zainteresowania kolonialne, choć oczywiście nie jako zamiar oparcia terytoriów zamorskich, ale ze względu na możliwość wykorzystania tych postulatów w rozgrywce antyniemieckiej oraz ze względów ekonomicznych — przebudowa rolniczego charakteru Polski na przemysłowy (Beck 1987).

Naturalnie, od początku swojego istnienia Ministerstwo Spraw Zagranicznych zbierało materiały dotyczące polityki kolonialnej państw posiadających posiadłości zamorskie oraz stosunków panujących w koloniach — były to rutynowe zadania MSZ. Nie miało to jednak wiele wspólnego z polskimi postulatami kolonialnymi. Zatem do połowy lat 30. rząd — a zatem i MSZ — nie przejawiał poważniejszego zainteresowania problemami kolonialnymi.

Do pierwszej połowy lat 30. ani rząd, ani Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie miały też opracowanej koncepcji dotyczącej spraw ewentualnego pozyskania kolonii dla Polski. Reagowano jedynie z urzędu na wystąpienia, uchwały i rezolucje niektórych instytucji, stowarzyszeń i osób indywidualnych. Dopiero od 1935 roku MSZ zaczęło wypracowywać własny (czyli państwowy) pogląd na ideę kolonialną. Miało to miejsce po śmierci Józefa Piłsudskiego — Marszałek, co już zostało podkreślone, niechętnie odnosił się do postulatów kolonialnych; uważał, że zajmowanie się nimi to rozpraszenie energii na dalekie i trudno osiągalne cele w sytuacji ciągle wiszącego nad Polską niebezpieczeństwa ze strony Niemiec; traktował je jako nierealne, a nawet szkodliwe mrzonki, komplikujące politykę państwową⁴.

⁴ Rozsiane licznie w pamiętnikach byłego ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, uwagi o polityce i poglądach Józefa Piłsudskiego poświadczają niechętny stosunek Marszałka do spraw kolonialnych (Beck 1987).

Pewną uwagę na sprawy kolonialne MSZ zaczęło zwracać od 1926 roku — nie wypowiadało się jeszcze wówczas na temat polskich postulatów uzyskania posiadłości zamorskich, badało jedynie możliwości uzyskania mandatu kolonialnego. Większe zainteresowanie postulatami kolonialnymi zaczęło przejawiać od drugiej połowy 1935 roku, zaś od połowy 1936 roku rozpoczęło serię narad dotyczących wypracowania polskiego programu kolonialnego. W ten sposób Ministerstwo Spraw Zagranicznych stało się aktywnym uczestnikiem dyskursu kolonialnego i główną instytucją państwową w sprawach kolonialnych. Wtedy też powstał w resorcie Referat Kolonialny, w ramach Wydziału Polityki Emigracyjnej (E I) Departamentu Konsularnego.

Od tego też czasu (1936 r.) współpraca MSZ z Ligą Morską i Kolonialną — główną organizacją wpatrzoną w kolonialną przyszłość Polski — nabrała charakteru stałego i ścisłego. MSZ zaczęło wręcz wysuwać się na czoło zagadnień związanych z koloniami. Ligę wykorzystywało w sprawach, w które nie chciało angażować bezpośrednio powagi państwa; kontrowersyjne niekiedy poczynania firmowane przez LMiK nie obciążały Rzeczypospolitej.

W latach 1936–1939 pojawiały się narzekania na brak ośrodka koordynującego politykę kolonialną i brak działania w tej sprawie ze strony ministerstw zajmujących się tą problematyką — przy każdym z nich winien zostać powołany departament, wydział czy jakakolwiek komórka do spraw kolonialnych:

Brak ośrodka dyspozycyjnego w zakresie polityki kolonialnej państwa. Powinien być taki i koordynować ministerstwa Spraw Zagranicznych, Przemysłu i Handlu, Skarbu, Rolnictwa i Reform Rolnych, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (Konferencja... 1936a, s. 4).

Postulat ten znalazł się w referacie wygłoszonym na Konferencji Importowej w Ministerstwie Przemysłu i Handlu w początku 1939 roku. Wiemy jednak, że w 1936 roku powstał w MSZ Referat Kolonialny w Wydziale Polityki Emigracyjnej — był więc ośrodek dyspozycyjny państwa. Czy zatem wzmiankowany postulat miał na celu zwiększenie rangi administracyjnej referatu? Praktycznie jednak od 1936 roku resorty Przemysłu i Handlu, Skarbu, Rolnictwa i Reform Rolnych, Opieki Społecznej oraz Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego sprawy związane z problematyką kolonialną załatwiała zgodnie z wytycznymi, a często i zezwoleniem MSZ. Ministerstwo to stało się zatem ośrodkiem koordynacyjnym i dyspozycyjnym wobec pozostałych resortów — za pośrednictwem Wydziału Polityki Emigracyjnej i jego Referatu Kolonialnego, znajdujących się w strukturach Departamentu Konsularnego MSZ.

Ministerstwo Przemysłu i Handlu

Pomińmy fakt, że kolejna instytucja państwowa — Ministerstwo Przemysłu i Handlu — wynajęła w swoim gmachu lokal redakcji miesięcznika „Morze” (or-

gan Ligi Morskiej i Rzecznej, później Kolonialnej), bo to raczej ciekawostka. Ważniejsze, że we władzach Ligi zasiadali przedstawiciele MPiH, a w porozumieniu z MSZ wspierali wydzielonymi na ten cel funduszami niektóre poczynania Ligi oraz stowarzyszeń mających programy kolonialne.

Zainteresowania MPiH koncentrowały się jednak nie tyle na pozyskaniu kolonii, ile na rozwoju stosunków handlowych Polski z terytoriami zamorskimi, w tym z posiadłościami mocarstw kolonialnych, zwłaszcza tymi, w których znajdowali się Polacy jako emigranci, osiedleńcy lub plantatorzy. Ministerstwo udzielało im pomocy oraz porad finansowych i ekonomicznych w zawiązywaniu zrzeseń gospodarczych, namawiało do inwestycji przemysłowych oraz tworzenia domów handlowych i maklerskich w koloniach, by uniezależnili się od gospodarczej administracji kolonialnej państw obcych. Celem było osiągnięcie bezpośrednich korzyści dla gospodarki krajowej bez kosztownego pośrednictwa obcego. MPiH współdziałało w takich przypadkach z MSZ oraz LMiK, podporządkowując im swoje działania. Pośredniczyło też w przekazywaniu funduszy celowych rozmaitym instytucjom i stowarzyszeniom propagującym ideę kolonialną. Poczynania te, formalnie gospodarcze i handlowe, a nie „czysto” kolonialne, można interpretować jako podejmowane „na wszelki wypadek” — wypadek uzyskania przez Polskę jakichś posiadłości zamorskich. W tym sensie MPiH swoimi publikacjami i wystąpieniami wznagało zainteresowanie sprawami kolonialnymi w kraju.

Pismem Ministerstwa Przemysłu i Handlu była „Codzienna Gazeta Handlowa”. W 1938 roku Wydział Polityki Emigracyjnej (E I) MSZ w porozumieniu z MPiH otrzymał możliwość publikowania na jej łamach tekstów poświęconych praktycznej stronie handlu z Afryką. Oddano mu do dyspozycji jedną kolumnę druku zatytułowaną „Rynki kolonialne”. Autorami artykułów byli między innymi działacze Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Z Ministerstwem Przemysłu i Handlu związana była Kompania Handlu Zamorskiego, powołana do zajmowania się sprawami handlu z krajami pozaeuropejskimi. Skupiała przedsiębiorców zainteresowanych tym handlem, korzystających ze znajomości terenu i obyczajów przez miejscowych konsulów Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Pod egidą Ministerstwa Przemysłu i Handlu funkcjonował również Państwowy Instytut Eksportowy — przedsiębiorstwo o dość dużej swobodzie organizacyjnej i działania. PIE współpracował — za zgodą i przy ogólnym nadzorze MPiH — z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, wykorzystując sieć konsulatów tego ostatniego:

Znacznej intensyfikacji i rozszerzeniu uległa sfera działalności gospodarczej konsulatów. Przede wszystkim zajmowali się oni rozpoznawaniem miejscowego rynku, jego możliwościami, potrzebami, a równolegle pomagali i ułatwiali polskim firmom prywatnym nawiązywanie kontaktów, zawieranie umów (Łossowski 2001, s. 330).

Zarówno Kompania Handlu Zamorskiego, jak i Państwowy Instytut Eksportowy wykorzystywały mniejsze firmy dla nawiązywania i ożywiania stosunków gospodarczych z obszarami kolonialnymi. Do wykorzystywanych firm należały: „Zamorski Eksport–Import” (prywatne przedsiębiorstwo działające we Francuskiej Afryce Zachodniej i na Madagaskarze), firma „Międzyrzecki i Spółka” (prowadziła handel na terenie Unii Południowej Afryki i Afryki Wschodniej — terytoria brytyjskie), firma „Tissa” (skrót od Towarzystwo Importu Surowców, S.A.; działała w Mozambiku, na terenach Francuskiej Afryki Równikowej i Wybrzeżu Kości Słoniowej — Francuska Afryka Zachodnia), firma „Dal” (prowadziła wymianę handlową na Madagaskarze, we Francuskiej Afryce Równikowej oraz na Wybrzeżu Kości Słoniowej)⁵. Firm takich było oczywiście więcej — chyba jednak niezbyt wiele, skoro w notatce dla naczelnika Wydziału Polityki Emigracyjnej (E I — był nim Apoloniusz Zarychta), z 13 czerwca 1939 roku, znajduje się ubolewanie, że

nasza akcja kolonialna w Afryce opiera się dotychczas na firmie [tu zostały wymienione te cztery] (Notatka... 1939b, s. 2).

Akcje handlowe innych przedsiębiorstw prywatnych i spółek nie przyniosły jednak oczekiwanych rezultatów, nie będziemy więc szczegółowo zajmowali się nimi. Dalsze podejmowała sama już tylko Liga Morska i Kolonialna oraz osobno MPiH. Sieć powiązań instytucji państwowych i społecznych oraz firm prywatnych w sprawach kolonialnych pokazuje formy uczestnictwa MPiH w dyskursie kolonialnym.

Wojsko

W dyskursie kolonialnym, z natury rzeczy politycznym, Wojsko Polskie — jako instytucja apolityczna — nie mogło brać udziału. Udział brali jednak wojskowi jako członkowie i działacze stowarzyszeń społecznych zainteresowanych koloniami. Wielu wyższych wojskowych należało do Ligi Morskiej i Recznej/Kolonialnej, przedstawiciele generacji i admiralicji zasiadali w jej władzach. Początkowo obecność wojskowych w tych gremiach powodowana była sprawami obronności kraju: umocnieniem Polski na Pomorzu i nad Bałtykiem; we władzach Ligi Morskiej i Recznej przeważali wówczas oficerowie Marynarki Wojennej. Po 1926 roku, a zwłaszcza po 1930, kiedy to organizacja ta przekształciła się w Ligę Morską i Kolonialną, swoją obecność w niej zaznaczyli licznie gene-

⁵ Unia Południowej Afryki to obecna Republika Południowej Afryki. Francuska Afryka Zachodnia obejmowała Senegal, Gwineę, Mali (d. Sudan Zachodni), Burkina Faso (d. Górna Wolta), Wybrzeże Kości Słoniowej, Benin (d. Dahomej), Niger — były kolonie francuskie, zarządzane jako jeden blok administracyjny. Drugi blok administracyjny, zwany Francuską Afryką Równikową, tworzyły: Czad, Kamerun (terytorium mandatowe włączone do FAR), Republika Środkowej Afryki (d. Oubangi–Chari), Gabon i Kongo (Brazzaville).

rałowie i oficerowie wojsk lądowych. Po 1935 roku wręcz zdominowali oni władze LMiK i stowarzyszeń mających cele kolonialne — mogła to być forma przygotowań do utworzenia ewentualnej kadry wojsk kolonialnych.

Struktury wojskowe przyczyniały się do rozszerzenia listy uczestników dyskursu kolonialnego. Z polecenia zwierzchników w pułkach można było organizować dla żołnierzy odczyty i pogadanki na temat idei kolonialnej; żołnierze po ukończeniu służby wojskowej często przenosili te idee do swoich środowisk zamieszkania, zawodowych itd. Pod koniec lat 30. istniały tak zwane oddziały kolonialne. Nie były to regularne formacje Wojska Polskiego, lecz młodzież skupiona w oddziałach przysposobienia wojskowego, organizowanych przez Ligę Morską i Kolonialną, ale nadzorowanych przez wojsko.

Liczni wojskowi (także służby czynnej) byli podróżnikami po terytoriach zamorskich. Niektórzy oficjalnie wizytowali emigracyjne skupiska polskie, na przykład w Brazylii, formalnie jako przedstawiciele Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale w mundurach. Inni brali udział w wyprawach kierowanych na tereny kolonialne — swoje spostrzeżenia publikowali na łamach prasy bądź w książkach (przeważnie popularnych). Pozwala to przypuszczać, że ich podróże miały na celu „rozpoznanie terenu” pod ewentualną kolonizację, przynajmniej osadniczą (tworzenie zwartych skupisk emigranckich). Oczywiście czynili to prywatnie, by nie obciążać wojska poczynaniami, które mogłyby zostać uznane za polityczne.

Instytucją wojskową, która bezpośrednio uczestniczyła w dyskursie kolonialnym, był Wojskowy Instytut Geograficzny (WIG w strukturze organizacji armii podlegał bezpośrednio Szefowi Sztabu Głównego, ten zaś Generalnemu Inspektoratowi Sił Zbrojnych; w strukturze administracyjnej podlegał I wiceministrowi Spraw Wojskowych). Wynikało to z jego charakteru. Oficerowie Korpusu Służby Geograficznej WP z racji obowiązków służbowych interesowali się terenami nie tylko własnymi i najbliższych sąsiadów, ale również zamorskimi. Obserwowali założenia militarnego wyzysku kolonii przez państwa je posiadające dla oceny możliwości współpracy wojskowej z politycznymi sojusznikami Polski. To właśnie z oficerów WIG rekrutowała się znaczna liczba wojskowych-rzeczników posiadania kolonii przez Polskę, zarazem uczestników dyskursu kolonialnego. Uczestnictwo WIG w dyskursie kolonialnym wyrażało się poprzez wypowiedzi (artykuły) zamieszczane na łamach „Wiadomości Służby Geograficznej”, kwartalnika wydawanego przez Wojskowy Instytut Geograficzny wspólnie z Sekcją Geograficzną Towarzystwa Wiedzy Wojskowej. Pismo powstało w 1927 roku i wychodziło do końca istnienia Drugiej Rzeczypospolitej. Teksty „kolonialne” nie były częste na łamach „Wiadomości Służby Geograficznej”. Wyjątek stanowiły numery (zeszyty) 2 i 4 z 1930 roku (tzw. „zeszyty kolonialne”). Częste natomiast były artykuły i przedruki z pism zagranicznych o podobnym charakterze, omawiające sprawy kolonialne innych państw z punktu widzenia znaczenia oraz walorów strategicznych, militarnych i topograficznych kolonii dla tych państw.

Należy też wspomnieć dziennik „Polska Zbrojna” — oficjalny organ Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na jego łamach ukazywały się artykuły korespondentów zagranicznych, także z terenów egzotycznych. Wprawdzie nie angażował się on bezpośrednio w propagowanie idei kolonialnej (względ na apolityczność wojska), jednak biorąc pod uwagę tematykę tekstów ukazujących się na jego łamach, można uznać go za uczestnika dyskursu kolonialnego, może mniej istotnego, ale obecnego. Dla przykładu: korespondentem „Polski Zbrojnej” w Abisynii (Etiopii) był Władysław Dziewanowski, nadsyłający relacje z wojny włosko-abisyńskiej lat 1935–1936. „Polska Zbrojna” ukazywała się w latach 1921–1939, zwiększając swój nakład z 6 do 30 tys. egzemplarzy w drugiej połowie lat 30.

Wprawdzie powyższe akapity dotyczą prasy, zaprezentowałem jednak oba tytuły w tym miejscu, ponieważ ściśle podlegały wojsku.

Środowiska akademickie

Od połowy lat 30. do dyskursu kolonialnego włączyły się również uniwersytety. Wprawdzie w tych ośrodkach akademickich, w których istniały katedry etnografii (etnologii, etnografii i etnologii, antropologii i etnologii, etnologii i socjologii — nazwy były rozmaite i zmieniały się w czasie) — w Krakowie, Lwowie i Poznaniu (w Warszawie dopiero od 1935 r., ale etnografia i etnologia znajdowały miejsce częściowo w ramach innych katedr) — prowadzone tam wykłady już w latach 20. obejmowały zagadnienia związane z problematyką kolonialną (Posern–Zieliński 1973, s. 29–113). W drugiej połowie lat 30. przystąpiono do powołania (a przynajmniej podjęto takie próby) na niektórych uniwersytetach wyodrębnionych międzywydziałowych instytutów lub studiów kolonialnych czy też (różnie je nazywano) migracyjno (albo emigracyjno)–kolonialnych.

Spośród państwowych uczelni wyższych w dyskurs kolonialny najbardziej zaangażował się Uniwersytet Jagielloński. W 1937 roku Wydział Rolniczy UJ oraz Zakład Uprawy Roli i Roślin UJ postulowały zwołanie międzywydziałowej komisji do spraw kolonialnych dla zorganizowania wyodrębnionej placówki, która zajęłaby się tym zagadnieniem. W tym samym roku Rektorat UJ wystąpił do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o ufundowanie stypendiów dla zainteresowanych rolnictwem tropikalnym. W 1938 roku Wydział Lekarski UJ powołał (po uprzedniej zgodzie MSZ i MWRiOP) Studium Medycyny i Higieny Tropikalnej, jako część składową organizowanego w tym roku Międzywydziałowego Studium Kolonialnego UJ. Działalność SMiHT została zainicjowana w roku akademickim 1938/1939 (pełną działalność miało ono podjąć w następnym roku akademickim). Celem było wykształcenie kadry teoretyków i praktyków — specjalistów do spraw kolonialnych. Wykłady z etnologii miał prowadzić prof. dr Kazimierz Dobrowolski, ówczesny (1934–1939) kierownik Katedry Etnologii i Socjologii UJ, skupiając się — jak podawano — na

wynikach zetknięć kultury europejskiej z kulturami narodów pierwotnych. Do nauczania zaś języków afrykańskich (lektoratu?) przewidziany był dr Roman Stopa, językoznawca określany jako profesor gimnazjalny, ale prowadzący także zajęcia na UJ.

Na Uniwersytecie Jana Kazimierza (Lwowskim) wykłady omawiające między innymi problemy kolonialne prowadził prof. dr Jan Czekanowski, w latach 1907–1909 uczestnik niemieckiej ekspedycji naukowej Forschungen im Nil-Kongo Zwischengebiet, od 1913 roku kierownik Katedry Antropologii i Etnologii UJK (założonej w 1910 r., wówczas pod nazwą Katedry Etnografii). Także inni uczeni z tego uniwersytetu interesowali się zagadnieniami kolonialnymi, zazwyczaj w kontekście swoich specjalności, na przykład przyrodoznawca prof. dr Jan Hirschler i prof. dr Julian Czyżewski w ramach wykładu geografii gospodarczej w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego, działającej we Lwowie przy UJK. Natomiast na Wydziale Prawa funkcjonowały Studium Dyplomatyczne i Studium Ekonomiczno–Administracyjne, mające w swoich programach wykłady dotyczące spraw migracyjno–kolonialnych.

Na Uniwersytecie Poznańskim gorącym propagatorem idei kolonialnej, jeszcze w latach 20., często zabierającym głos w tej sprawie, był geograf prof. dr Stanisław Pawłowski. Gdy w 1937 roku Rada Wydziału Prawno–Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego zwróciła się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z wnioskiem o stworzenie uzupełniającego Studium Migracyjno–Kolonialnego dla studentów starszych lat prawa i ekonomii, prof. Pawłowski poparł tę inicjatywę.

W 1938 roku rektor Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego (Warszawskiego), prof. dr K. Bassalik, zwrócił się do MSZ i MWRiOP o utworzenie na uczelni Instytutu Krajów Zamorskich. Mieli w nim wykładać między innymi Stanisław Poniatowski, od 1935 roku kierownik Katedry Etnologii i Etnografii Ogólnej, oraz Jan Stanisław Bystrzeński, kierownik Katedry Socjologii UJP (UW). Nie zdążono jednak zrealizować tej inicjatywy⁶.

Również uczelnie i instytuty naukowe prywatne (społeczne) od początku lat 30. zaczynały interesować się problemami kolonialnymi, inne w tym właśnie celu były powoływane.

W 1931 roku staraniem Ligi Morskiej i Kolonialnej — przy udziale Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego jako formalnego założyciela — przy Wolnej Wszechnicy Polskiej uruchomione zostało Studium Nauk Emigracyjno–Kolonialnych, zwane też Studium Migracyjno–Kolonialnym. Kurs był dwuletni. Przyjmowano na niego studentów starszych lat i absolwentów uniwersytetów, najchętniej z takich kierunków jak ekonomia, prawo, geografia, me-

⁶ Uniwersytety, zabiegając o tworzenie w ich strukturach kierunków studiów, kursów, katedr czy instytutów związanych z programem kolonialnym, kierowały w tych sprawach wnioski do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, to zaś przekazywało je Ministerstwu Spraw Zagranicznych, które jako koordynator spraw kolonialnych wydawało opinie.

dycyna, oraz absolwentów politechnik i wyższych szkół rolniczych. Absolwenci otrzymywali świadectwo ukończenia kursu kolonialnego na WWP. Celem Studium było przygotowanie kandydatów do prac badawczych, a także do zajmowania kierowniczych stanowisk urzędniczych w dziedzinie emigracyjno-kolonialnej. W 1938 roku Studium wydłużono do trzech lat. Wykładowców spoza grona pracowników Wszechnicy zatwierdzało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, ono też powoływało Senat WWP. Ukończenie trzyletniego kursu upoważniało do otrzymania dyplomu równoznacznego ze stopniem magistra nauk ekonomiczno-społecznych WWP bądź magistra prawa lub ekonomii innych uczelni. Wykłady obejmowały takie dyscypliny jak geografia z elementami etnografii, ekonomia, prawo, medycyna, socjologia, nauki rolnicze, uwzględniające realia kolonialne i przygotowujące do pracy w tropikach.

Na przykładzie tym widać również przenikanie się instytucji państwowych ze społecznymi. Wydział E I MSZ, pisząc o statucie uczelni w 1937 roku, stwierdził, że Instytut Migracyjno-Kolonialny (powinno być nie Instytut, lecz Studium) na WWP

jest pod wpływem Ministerstwa Spraw Zagranicznych: zatwierdzanie zarządu i budżetu przez MSZ, stały delegat ministerstwa dla kontroli gospodarki i działalności Instytutu, budżet pokrywany przez MSZ (Notatka... 1937, s. 62).

Oczywisty był nadzór Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, sprawującego kontrolę merytoryczną nad prywatną czy też społeczną uczelnią, jaką była WWP, ale choć ministerstwo to miało prawo do powoływania jej senatu, to jednak działalność całości kontrolowało MSZ. Dla Wszechnicy taka podległość była korzystna — podnosiła jej znaczenie wśród uczelni. U słuchaczy Studium wywoływała przeświadczenie, że idea kolonialna jest obecna w programie politycznym państwa. Daje to nam świadectwo zasięgu dyskursu kolonialnego.

Naukowy Instytut do Badań Emigracji i Kolonizacji powstał w listopadzie 1926 roku, głównie z inicjatywy działaczy (dokładniej grupy naukowców) wtedy jeszcze Ligi Morskiej i Rzecznej, formalnie jednak założony został przez Polskie Towarzystwo Emigracyjne i pod jego egidą działał, chociaż bliskie były jego związki z LMiR/LMiK. Zresztą z biegiem czasu Liga Morska i Kolonialna przejęła nieformalny nadzór nad Instytutem. Rok po powstaniu uprościł on nieco swoją nazwę — brzmiała ona wówczas: Naukowy Instytut Emigracyjno-Kolonialny (określano go również jako Naukowy Instytut Emigracyjny i Kolonialny).

NIEK był rodzajem towarzystwa naukowego. Działał przede wszystkim w środowiskach akademickich. Organizował spotkania, dyskusje i wykłady (te ostatnie na Wolnej Wszechnicy Polskiej w ramach prowadzonych przez nią kursów kolonialnych). Pracownicy Instytutu publikowali swoje opracowania w książkach, broszurach, na łamach periodyków fachowych, ale i pism popularnych, propagując ideę kolonialną. Formalnie to właśnie NIEK był założycielem Studium Nauk Emigracyjno-Kolonialnych (Studium Migracyjno-Kolonialne-

go) na Wolnej Wszechnicy Polskiej, aczkolwiek zasadniczą rolę w uruchomieniu tego Studium odegrała Liga Morska i Kolonialna — NIEK był praktycznie tworem LMiR/LMiK. Instytut w 1930 roku z inicjatywy LMiK i przy poparciu MSW, MSZ oraz Urzędu Emigracyjnego (już placówki MSZ) zamierzał w porozumieniu z WWP powołać Wyższe Kursy Emigracyjno–Kolonialne. Miały one wyewoluować w odrębną uczelnię: Wyższą Szkołę Emigracyjno–Kolonialną. Skończyło się na Studium Migracyjno–Kolonialnym na Wolnej Wszechnicy Polskiej. NIEK wydawał też własny periodyk: „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”. Instytut zamknięto w 1931 roku — jego zadania przejęło Studium Migracyjno–Kolonialne na Wolnej Wszechnicy Polskiej, a także Instytut Naukowy Ligi Morskiej i Kolonialnej, bezpośrednio jej podległy.

W 1934 roku Liga Morska i Kolonialna podjęła starania o uruchomienie przy organizacji Instytutu Morskiego i Kolonialnego. Planowała jego związanie z MSZ. Ministerstwo miało zatwierdzać zarząd i kierować finansami Instytutu, pokrywając w całości jego budżet, we władzach Instytutu miał zasiadać stały delegat MSZ dla kontroli gospodarki i działalności placówki. Przewidywana organizacja nie wyszła jednak poza formę postulatów. Zamiast niej 28 czerwca 1939 roku w ramach Dni Morza został otwarty w Gdyni Instytut Higieny Morskiej i Tropikalnej, określane też jako Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej, co było zresztą praktycznym posunięciem — polskie statki docierały do portów w tropikalnych strefach globu. Instytut powstał z przekształcenia gdyńskiej filii Państwowego Zakładu Higieny, dzięki wsparciu finansowemu Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Z racji że powołanie Instytutu Morskiego i Kolonialnego przez Ligę Morską i Kolonialną nie doszło do skutku, w końcu 1937 roku przedsięwzięła ona starania o własną placówkę naukowo–badawczą (w pierwotnych zamysłach miała ona być częścią LMiK). Rzeczywiście, powstał wówczas Instytut Naukowy Ligi Morskiej i Kolonialnej, składający się z działu morskiego i kolonialnego. Jego dyrektorem został prof. Stanisław Pawłowski z Uniwersytetu Poznańskiego. Przedmiotem zainteresowań Instytutu były te tereny, do których Polska żywiła nadzieje kolonialne — organizował on badania indywidualne i zespołowe, wydawał prace naukowe i popularne poświęcone problemom kolonialnym, utworzył specjalistyczną bibliotekę, organizował kursy kolonialne. Jednakże w marcu 1939 roku działalność Instytutu oceniona została krytycznie przez Józefa Zielińskiego, kierownika Referatu Kolonialnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Być może dała tu o sobie znać konkurencja między Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Ligą Morską i Kolonialną — obie instytucje dążyły do kierownictwa w sprawach kolonialnych i narzucenia swoich poglądów w dyskursie kolonialnym. W każdym razie do reformy placówki nie doszło (wybuch wojny).

Powoływanie instytutów zajmujących się sprawami kolonialnymi miało na celu dotarcie z tą problematyką do środowisk akademickich, a więc elitarnych, dla rozpropagowania wśród nich idei kolonialnej.

Polskie Towarzystwo Wypraw Badawczych

Towarzystwo to działało w środowisku naukowym, ale pod patronatem Ministerstwa Spraw Wojskowych (prezesem Zarządu Głównego PTWB był gen. Tadeusz Kasprzycki, minister spraw wojskowych) i Ministerstwa Spraw Zagranicznych (z urzędu nadzorującego wszelkie sprawy kolonialne). Udzielało ono pomocy organizacyjnej i finansowej ekspedycjom naukowym, oczekując, że przy okazji będą penetrowały szanse kolonizacyjne i emigracyjne, a także kolonialne. Współdziałało z Ligą Morską i Kolonialną. Wspomogło między innymi w 1928 roku ekspedycję do Angoli (jej kierownikiem był dr Franciszek Łyp) dla zbadania tamtejszych warunków kolonizacyjnych i osiedleńczych, w 1929 — wyprawę geologiczną prof. prof. Jerzego Lotha i Walerego Goetla do środkowej Afryki (po Kongresie Geologicznym w Pretorii ruszyli oni z Unii Południowej Afryki do Kenii), w 1933 — wyprawę zoologiczną do Argentyny, w 1938 — wyprawę Muzeum Przyrodniczego w Poznaniu (pod kierunkiem dr. Antoniego Wiśniewskiego) do Brazylii (towarzyszył jej Arkady Fiedler, rezultatem podróży była książka *Rio de Oro*, wydana w Warszawie w 1956 r.), w latach 1938/1939 — wyprawę prof. Edwarda Lotha w Góry Księżycowe w Afryce. Oprócz wspomnianego Arkadego Fiedlera, podróżującego nie tylko do Brazylii, ale i do innych państw Ameryki Południowej oraz Afryki, podobne podróże odbyli także na przykład Jerzy i Kamil Giżyccy czy Bohdan Pawłowicz. Wprawdzie formalnie PTWB było towarzystwem społecznym, jednak patronat MSZ i MSWojsk. każe umieścić je wśród instytucji państwowych, i to w tym miejscu, gdyż niezależnie od patronatu obu ministerstw „obsługiwało” ono środowiska naukowe i akademickie.

Instytucje społeczne

Liczba organizacji i stowarzyszeń społecznych biorących udział w dyskursie kolonialnym rosła (od kilku na początku lat 20. do wielu pod koniec lat 30.) — był to wynik dużego społecznego zainteresowania problemami kolonialnymi. Niektóre z tych instytucji były bardziej aktywne, inne mniej, niektóre miały większe znaczenie, inne mniejsze — zależało to od tego, czy skupiały w swoich szeregach, zwłaszcza w kierownictwie, prominentne osoby z kręgów władzy, a także od ich zasięgu społecznego. Niektóre z nich uczestniczyły zarówno w dyskursie elitarnym, jak i popularnym.

Liga Morska i Kolonialna

Z tego to ośrodka idea pozyskania kolonii dla Polski wyszła w sposób najpełniejszy i sformalizowany. Było to stowarzyszenie największe, najbardziej po-

wszechne (ogarniające wielką rzeszę ludzi), najbardziej wpływowe politycznie i społecznie oraz dobrze zorganizowane. Trzeba zacząć od historii Ligi. Liga dzięki swojemu znaczeniu zasługuje na specjalną uwagę. Niestety, pamięć o niej zatarła się. Należy ją zatem przypomnieć!

W sierpniu 1918 roku przyjechał do Warszawy Kazimierz Porębski, kontradmirał byłej floty rosyjskiej (awansowany już w Polsce — 1 czerwca 1919 r. — do rangi wiceadmirała, w latach 1919–1925 szef Departamentu Spraw Morskich Ministerstwa Spraw Wojskowych, późniejszego Kierownictwa Marynarki Wojennej, od 1927 r. w stanie spoczynku, zmarł 21 stycznia 1933 r.). Z jego inicjatywy w końcu września 1918 roku odbyło się spotkanie jego dawnych podkomendnych i znajomych: marynarzy, pracowników żeglugi wiślanej, inżynierów związanych z żeglugą. Pierwsze zebranie organizacyjne miało miejsce 1 października 1918 roku w Warszawskim Towarzystwie Handlu i Żeglugi — to były początki Ligi Morskiej. Powołano wtedy Stowarzyszenie Bandera Polska. Jego przewodniczącym został Kazimierz Porębski, a w skład zarządu weszli: Edmund Krzyżanowski — dyplomowany oficer marynarki handlowej, Tadeusz Wenda — inżynier komunikacji, Antoni Garnuszewski — inżynier morski, Tadeusz Maliszewski — kapitan żeglugi rzecznej, Aleksander de Luhe — inżynier mechanik marynarki wojennej, Witold Hubert — inżynier morski, Michał Borowski — kontradmirał z byłej rosyjskiej marynarki wojennej, Bogumił Nowotny — pułkownik marynarki wojennej⁷, Ludgard Krzycki — kapitan żeglugi wielkiej, Kazimierz Piotrowski — inżynier. Po 11 listopada 1918 roku Bandera Polska złożyła w Radzie Ministrów memoriał o konieczności powołania Ministerstwa do Spraw Wodnych Państwa Polskiego.

W maju 1919 roku stowarzyszenie Bandera Polska zjednoczyło się z dwiema innymi organizacjami: Kołem Kaszubsko-Pomorskim oraz Towarzystwem „Żegluga Polska” w Krakowie. W efekcie powstała Liga Żeglugi Polskiej. Jej prezesem został kontradmirał/wiceadmirał Kazimierz Porębski, a w skład pierwszego zarządu weszli: Edmund Krzyżanowski — oficer marynarki handlowej, Jerzy Zdziechowski — późniejszy minister skarbu, Leon Biegdeisen — lekarz, Włodzimierz Niecz — inżynier morski, Antoni Garnuszewski — inżynier morski oraz generałowie Jan Jacyna, Karol Trzaska-Durski i Bolesław Roja. Pierwsze walne zebranie LŻP odbyło się 1 kwietnia 1920 roku w Warszawie. Stowarzyszenie liczyło wtedy 5218 członków (w tym w Warszawie 2905).

Na walnym zebraniu 27 kwietnia 1924 roku LŻP zmieniła swój statut, a wraz z nim nazwę — od tej pory funkcjonowała jako Liga Morska i Rzeczna. Nowy statut i nazwa zostały zatwierdzone przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych 19 sierpnia 1924 roku. Aż do 1930 roku LMiR kierował zarząd w składzie: Kazimierz Porębski — prezes, Józef Borowik, Gabriel Chrzanowski, Antoni Garnu-

⁷ Do określenia rang w marynarce wojennej używano wówczas nazewnictwa zaczerpniętego z wojsk lądowych. Odrębne nazewnictwo wprowadzono w marynarce wojennej w 1919 r.

szewski, Józef Klejnot–Turski, Czesław Klarnier (od 1925 r. minister przemysłu i handlu, w 1926 r. minister skarbu, od 1928 r. prezes Związku Izb Przemysłowo–Handlowych i Izby Przemysłowo–Handlowej w Warszawie, od 1938 r. senator), Stanisław Legowski, Czesław Petellenz (komandor), Feliks Rostkowski, Julian Rummel (inżynier komunikacji, dyrektor Biura LMiR), Aleksander Rylke, Jerzy Świrski (zastępca dowódcy Floty i Obrony Wybrzeża, od maja 1925 r. szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, kontradmirał od 1 stycznia 1931 r.), Tadeusz Wenda (inżynier, budowniczy Gdyni), Mariusz Zaruski (generał), Stefan Żeromski (krótko; zmarł 20 listopada 1925 r.). W 1927 roku Liga Morska i Rieczna posiadała 27 oddziałów na terenie całego kraju, w 1928 — już 111 oddziałów i ponad 20 tys. członków. Od listopada 1924 roku wydawała miesięcznik „Morze”. W tym czasie — na co już zwrócono uwagę — we władzach LMiR przeważali oficerowie marynarki wojennej i ludzie związani z gospodarką i polityką morską, zajmujący się tak zwanym wychowaniem morskim społeczeństwa.

Na początku 1928 roku przy LMiR, jako jej sekcja, powstał Związek Pionierów Kolonialnych. Była to autonomiczna organizacja w obrębie Ligi Morskiej i Riecznej. Po przekształceniu LMiR w Ligę Morską i Kolonialną, ZPK nadal przez pewien czas był jej sekcją. W 1927 roku odbyło się zebranie działaczy Ligi Morskiej i Riecznej zainteresowanych sprawami pozyskania kolonii dla Polski. Formalne zebranie założycielskie Związku Pionierów Kolonialnych miało miejsce 6 lutego 1928 roku. Prezesem organizacji został Kazimierz Głuchowski, a wiceprezesem prof. Ludwik Kulczycki. Na powołanie tej organizacji zdecydowali się działacze LMiR zniecierpliwieni niedostatecznymi, ich zdaniem, poczynaniami Ligi w sprawach kolonialnych. Byli to ludzie, którzy już wcześniej angażowali się w ideę kolonialną.

ZPK nie oddzielał się od Ligi — zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób ma szansę na efektywne działanie. Związek był niewielki, lecz energiczny. Miał ważny wpływ na poczynania Ligi. W miesięczniku „Morze” (w numerze 3 z 1928 r.) — organie prasowym Ligi — uzyskał swoją wkładkę pod tytułem „Pionier Kolonialny” jako „organ Związku Pionierów Kolonialnych” (z dodatkiem: „sekcja LMiR”). To właśnie aktywność ZPK doprowadziła do tego, że LMiR przekształciła się w Ligę Morską i Kolonialną, ta zaś przejęła jako swój program kolonialny wysuwany przez członków Związku. ZPK zaproponował, aby na I Walnym Zjeździe Delegatów LMiR wprowadzić do statutu stowarzyszenia cele Związku: dążenia do pozyskania kolonii dla Polski, a przynajmniej terenów dla nieskrępowanej ekspansji osadniczej. Zarząd LMiR poparł ten wniosek — 18 września 1928 roku zaakceptowała go Rada Ligi. W rezultacie podczas I Walnego Zjazdu Delegatów Ligi Morskiej i Riecznej, odbywającego się w Katowicach w dniach 20–21 października 1928 roku, wprowadzono do statutu te zmiany. Podczas II Walnego Zjazdu Delegatów LMiR, w październiku 1929 roku w Poznaniu, podniesiono konieczność utworzenia Polskiej Szkoły Nauk Kolonialnych, posiadającej uprawnienia wyższej uczelni. Na III Walnym Zjeź-

dzie Delegatów Ligi Morskiej i Rzecznej, 25–27 października 1930 roku w Gdyni, zmieniono nazwę stowarzyszenia na Liga Morska i Kolonialna oraz opracowano nowy statut organizacji.

Związek funkcjonował do połowy 1933 roku. Rozwiązał się, ponieważ został „wchłonięty” na powrót przez Ligę. Jego działacze nie musieli już skupiać się w osobnej frakcji jako „sile napędowej” całej organizacji — ta przecież włączyła ich postulaty do swojego programu. W tym samym czasie przestał ukazywać się w „Morzu” dodatek „Pionier Kolonialny”, co jest zrozumiałe wobec „rozpłynięcia się” ZPK w Lidze Morskiej i Kolonialnej. W powszechnym odbiorze uczestnictwo w Lidze Morskiej i Kolonialnej od początku lat 30. było utożsamiane z uczestnictwem także w sprawach kolonialnych — nie należy jednak zapominać, że LMiK położyła także wielkie zasługi w tak zwanym wychowaniu morskim.

Prezesem LMiK został gen. bryg. Gustaw Orlicz–Dreszer (wówczas Inspektor Armii), wiceprezesami — gen. Stanisław Kwaśniewski, Jan Dębski i Feliks Rostkowski. Powołano trzy wydziały: Morski, Żegluga Śródlądowej i Kolonialny (ten ostatni przejął Związek Pionierów Kolonialnych, którym kierował gen. Janusz Głuchowski). Wydział Kolonialny dzielił się na cztery sekcje: ekonomiczną, mandatową (śledzącą sprawę mandatów kolonialnych, by w sprzyjających okolicznościach zgłosić zainteresowanie nimi ze strony Polski), badań terenowych i rolnictwa kolonialnego oraz higieny tropikalnej. Poza tym przy Zarządzie Głównym LMiK funkcjonowały dwie stałe komisje: Organizacyjno–Propagandowa i Wydawnicza.

Struktura organizacyjna zmieniła się w 1933 roku — powstały wtedy cztery wydziały, dwa działy samodzielne i trzy komisje problemowe. Z Wydziału Morskiego wydzielono sekcję marynarki wojennej i rozbudowano ją w Wydział Marynarki Wojennej, zaś kierownictwo Wydziału Kolonialnego objął (obok prezesury) gen. Orlicz–Dreszer (praktycznie jednak kierował nim płk Tadeusz Zieleniewski, szef wymienionego wcześniej Wojskowego Instytutu Geograficznego). Wydział Kolonialny dzielił się na sekcję afrykańską, palestyńską, mandatową, ludnościową, Bliskiego Wschodu, północnoamerykańską, południowoamerykańską, ekspansji gospodarczej, biologii i higieny tropikalnej oraz kadrową. Komisja Organizacyjno–Propagandowa została przekształcona w Dział Organizacyjno–Propagandowy. Utworzono też nowy dział Turystyczno–Wycieczkowy. Obok Komisji Wydawniczej, której nazwę zmieniono na Wydawniczo–Naukową, powołano dwie nowe — Komisję dla Spraw Młodzieży i Komisję Sportów Wodnych. W listopadzie 1935 roku nazwę Wydziału Marynarki Wojennej zmieniono na Wydział Obrony Morskiej, a w lutym 1936 roku Komisja dla Spraw Młodzieży przekształcona została w Wydział Wychowania Morskiego Młodzieży.

Gen. Orlicz–Dreszer funkcję swoją sprawował do śmierci — zginął w katastrofie lotniczej 16 lipca 1936 roku. Po nim prezesurę objął dotychczasowy wi-

ceprezes gen. bryg. Stanisław Kwaśniewski (generał do prac przy Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, od 1937 r. Inspektor Wojsk Etapowych); sprawował ją do września 1939 roku. Dyrektorem Biura Zarządu Głównego LMiK był Jan Dębski.

W grudniu 1936 roku ponownie zmieniono strukturę LMiK. Od tej pory funkcjonowało pięć wydziałów: Wydział Obrony Morskiej (pod kierownictwem komandora Karola Korytowskiego), Wydział Morski (Henryk Strasburger), Wydział Kolonialny (ppłk Bolesław Pikusa), Wydział Wychowania Morskiego Młodzieży (gen. Mariusz Zaruski), Wydział Żeglugi Śródlądowej (inż. Alfred Konopka). Struktura ta przetrwała do września 1939 roku; w 1937 roku utworzono jeszcze jeden wydział — Wydział Wycieczek i Obozów.

Prezesem Rady Głównej LMiK aż do 1939 roku był Józef Kożuchowski (wiceminister przemysłu i handlu), a wiceprezesem — gen. bryg. Roman Górecki (w latach 1935–1939 wiceminister skarbu). W 1937 roku protektorat nad Ligą Morską i Kolonialną objął gen. broni Kazimierz Sosnkowski. W owym czasie Zarząd LMiK i jej Rada Główna liczyły 62 osoby — 4 generałów, 1 kontradmirała, 2 senatorów, 1 posła, kilkunastu oficerów i kilkudziesięciu wysokiej rangi urzędników administracji państwowej.

Pierwsze poprzedniczki LMiK — Bandera Polska i Liga Żeglugi Polskiej — miały na celu propagowanie spraw morskich, gospodarki i handlu morskiego oraz rozwoju żeglugi, a skupiały przede wszystkim ludzi zawodowo związanych z morzem, oficerów Marynarki Wojennej i Handlowej, inżynierów specjalizujących się w sprawach morskich. Po przekształceniu Ligi Żeglugi Polskiej w Ligę Morską i Rzeczną we władzach stowarzyszenia zwiększył się udział wojskowych lądowych, choć nie aż tak dynamicznie jak nieco później. Kiedy bowiem LMiR zmieniła nazwę na Ligę Morską i Kolonialną, obecność generalicji i wyższych wojskowych związanych ze Sztabem Głównym WP, Generalnym Inspektoratem Sił Zbrojnych, Ministerstwem Spraw Wojskowych oraz polityków związanych z obozem władzy stała się bardzo wyraźna, jeśli nie dominująca. Sprawy floty (zwłaszcza wojennej) i umacniania polskości Pomorza nadal odgrywały wielką rolę, ale równie ważne stały się sprawy kolonialne. Traktowano je jako jeden ze sposobów na umocnienie państwa i rozwój jego gospodarki.

Szybko też rosła liczba członków Ligi Morskiej i Kolonialnej. Jeśli jej poprzedniczka, Liga Morska i Rzeczna, notowała w 1928 roku ponad 20 tys. członków, to Liga Morska i Kolonialna w 1930 roku liczyła już 50 tys. członków, w 1935 — 282 012 członków (czasem podawana jest liczba 295 tys., zależnie od przyjętych zasad członkostwa), w 1937 (istnieją dla tego roku dokładne dokumenty) — 535 237 (szczegółowo według danych na dzień 1 stycznia 1937 r.: 458 291 członków zwyczajnych, 70 828 popierających oraz 263 304 zbiorowych (instytucje, urzędy i szkoły, w których działała LMiK), zrzeszonych w 4493 ogniskach LMiK, 172 obwodach, 1730 oddziałach, 509 kołach oraz w 2082 kołach szkolnych). Wreszcie, według stanu na dzień 1 czerwca 1939 roku skupiała ona

992 780 członków w 300 oddziałach; doliczyć tu trzeba Koła Szkolne LMiK skupiające na początku 1939 roku około 312 tys. młodzieży.

Statut Ligi przewidywał członkostwo honorowe (osoby mianowane przez Walny Zjazd na wniosek Rady Głównej), członkostwo dożywotnie (osoby fizyczne i prawne, które wpłaciły jednorazowo co najmniej 600 zł, później 1000 zł), protektorów (osoby fizyczne i prawne, które wpłaciły 30 zł wpisowego i wpłacały składki roczne w wysokości 120 zł), opiekunów (osoby fizyczne i prawne; 15 zł wpisowego i 60 zł składki rocznej), członkostwo rzeczywiste (osoby przyjęte przez zarządy oddziałów; 1 zł wpisowego i 12 zł składki rocznej), członków popierających (1 zł wpisowego i 6 zł składki rocznej), członkostwo zbiorowe (organizacje i zrzeszenia, których członkowie masowo wstępowali do Ligi; 10 gr. od osoby miesięcznie). Po 1936 roku zmniejszono liczbę kategorii członków do honorowych, dożywotnich, protektorów, opiekunów i rzeczywistych, dzielących się na zwyczajnych i popierających.

Liga Morska i Kolonialna promowała lub współuczestniczyła w organizowaniu rozmaitych instytutów naukowych (podległych jej bezpośrednio, samodzielnych lub sytuowanych przy uczelniach) zajmujących się sprawami kolonialnymi, wydawała szereg pism (o których niżej). Tu wystarczy wspomnieć o cotygodniowych „Biuletynach Prasowych” rozsyłanych do obwodów, oddziałów i kół, a także do instytucji, z którymi współpracowała, zwłaszcza do Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwa Przemysłu i Handlu (oraz do wglądu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych). W ten sposób docierała ze swoją propagandą z jednej strony do elit władzy i elit intelektualnych, z drugiej — do szerokich rzesz społeczeństwa (w tym do młodzieży szkolnej) w każdym praktycznie zakątku kraju (nie tylko w dużych miastach, ale i w niewielkich miasteczkach w województwach wschodnich). Urządzała akademie, pochody, wiece i manifestacje pod hasłami kolonii dla Polski — szczególną okazją były Dni Kolonialne, organizowane począwszy od szczebla centralnego, poprzez wojewódzki, aż do powiatowego, a nawet i w mniejszych miejscowościach.

Liga Morska i Kolonialna była organizacją społeczną. Tak się określała i tak była postrzegana. Jednakże na jej budżet roczny, oprócz dochodów własnych ze składek członkowskich, sprzedaży pism, okazjonalnych loterii itp., składały się również subwencje rządowe (wyplacane przez MSZ via Ministerstwo Przemysłu i Handlu) — stanowiły one około 30 proc. budżetu Ligi. Dopiero w 1934 roku Zarząd Główny LMiK zrzekł się stałych subwencji — stwierdził, że dochody własne są wystarczające. Jednakże i potem od czasu do czasu dokonywane były wpłaty ze strony instytucji państwowych na specjalne cele.

Związki LMiK z rządem i jego organami, zwłaszcza po 1930 roku, były niewątpliwe — wystarczy przypomnieć skład personalny jej władz. Niemniej, posiadała też wielu członków—pozapolitycznych fachowców, głównie działaczy gospodarczych. Mimo współdziałania z instytucjami państwowymi, cieszyła się autonomią wobec nich. Gwarancją tej autonomii w latach 1930–1936 była osoba pre-

zesa Zarządu Głównego, gen. Gustawa Orlicz–Dreszera — jego ważna i znacząca pozycja w obozie władzy paradoksalnie zapewniała Lidze niezależność, szanowaną i w późniejszych latach. Zatem Liga, chociaż rzeczywiście była organizacją prorządową, zachowała status stowarzyszenia społecznego — wpłaty czy też późniejsze subwencje celowe ze strony państwa, jak i obecność we władzach (różnego zresztą szczebla) prominentów rządowych, wojskowych oraz urzędników państwowych wzmacniały jej pozycję i wpływy społeczne.

Liga prowadziła działalność nie tylko wśród swoich członków — wychodziła z nią do całego społeczeństwa: do środowisk wielkomiejskich, małomiasteczkowych, a nawet wiejskich; akademickich, urzędniczych, kupieckich, rzemieślniczych, chłopskich, a także szkolnych (wszystkich szczebli). Do najważniejszych należą tu wystąpienia z okazji Dni Morza, później zaś z okazji corocznych Dni Kolonialnych. Były to ważne imprezy, rozpowszechniające propagandę Ligi Morskiej i Kolonialnej w społeczeństwie, zarazem dobrze ilustrujące dynamikę dyskursu kolonialnego. Obficie pisało o tym „Morze”:

W czasie od dnia 4 do 18 października r.b. [1931] odbył się na terenie całej Polski z inicjatywy Zarządu Głównego dwutydzień propagandowy Ligi Morskiej i Kolonialnej, mający za zadanie uświadomienie społeczeństwu znaczenia dla odrodzonej Polski spraw morza, żeglugi śródlądowej oraz naszej gospodarczej i kolonialnej ekspansji (*Dwutydzień...* 1931, s. 19).

Dalej zamieszczono sprawozdania z realizacji tego przedsięwzięcia w poszczególnych miastach. W Warszawie ZG LMiK zorganizował poranek propagandowy w sali kinoteatru „Casino”, połączony z wyświetlaniem filmów „morskich”; red. T. Ehrenberg i dr W. Rosiński, sekretarz Zarządu Głównego LMiK, wygłosili odczyt zatytułowany *Przez porty polskie i morza do kolonii*, który zgromadził 1000 osób; z kolei oddział Ligi przy tramwajach miejskich urządził uroczystą akademię,

na której przemówienia wygłosili Franciszek Łyp i sen. Wyrostek. W akademii wziął udział szereg pierwszorzędnych sił artystycznych, orkiestra reprezentacyjna tramwajów miejskich oraz chór „Surma”. Publiczności do 1500 osób (tamże).

Dla młodzieży w szkołach średnich, zawodowych i powszechnych, przy życiwej pomocy Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego, wygłoszono ogółem 60 odczytów. Podobne relacje (filmy, akademie, odczyty) dotyczyły nie tylko dużych miast, ale również takich jak: Końskie, Puławy, Krotoszyn, Łañcut, Gródek Jagielloński, Kołomyja, Złoczów. Ogólnie w relacji wymienionych zostało 45 miast i miasteczek (zapewne było ich więcej). Wyliczono, że w owym dwutygodniu czynny udział wzięło 55 oddziałów Ligi (pozostałe przyłączały się do imprez organizowanych przez silniejsze i lepiej zorganizowane oddziały), prelegenci Zarządu Głównego wygłosili 36 odczytów, prelegenci lokalni (członkowie Ligi z niższych szczebli organizacyjnych, sympatycy stowarzyszenia) — 34, odczytów szkolnych wygłoszono 86, akademii i pochodów odbyło się 14, wycie-

czek — 6 (przedsiębrano je do Gdyni albo do pobliskich muzeów posiadających zbiory pochodzące z krajów tropikalnych czy nawet urządzone z nich ekspozycje), a 5 oddziałów urządziło cykl wykładów.

Sukces dwutygodnia, polegający na sporym zainteresowaniu ze strony społeczeństwa, skłonił Ligę do zamiany sporadycznej akcji w akcję systematyczną. Sądzone, że zwiększy to wpływy Ligi, zwłaszcza że fascynacja egzotyką przekształcała się w nadzieję społeczną — emigracja i osadnictwo miało przyczynić się do likwidacji bezrobocia. W 1936 roku odbyły się już Dni Kolonialne, a nie jedynie dwutydzień propagandowy. W artykule wstępnym z numeru 11 „Morze” donosiło:

W dniach 21, 22 i 23 listopada organizujemy „Dnie Kolonialne”. Idea zamorskiej ekspansji polskiej, dzięki wieloletniej nieustępliwej akcji Ligi Morskiej i Kolonialnej objęła swym zasięgiem nie tylko półmilionową armię naszych członków, lecz również coraz głębiej przenika do wszystkich warstw Narodu (...) (*Dnie...* 1936, s. 1).

Kolejna edycja imprezy była propagowana bardzo uroczyście:

Pod protektoratem Pana Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego odbędą się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej od 7-go do 13-go kwietnia roku 1938 „Dni Kolonialne” (...). Liga Morska i Kolonialna wysuwa sprawę uzyskania kolonii na czoło zagadnień gospodarczych Polski. Dążenia te winni poprzeć wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, dając temu wyraz przez swój masowy udział w „Dniach Kolonialnych” (*Dnie...* 1938, s. 1).

Dwutydzień Propagandowy Ligi Morskiej i Kolonialnej odbył się w 1931 roku w dniach 4–18 października, Dni Kolonialne w 1936 w dniach 21–23 listopada, a w 1938 — 7–13 kwietnia. Liga szukała najlepszej daty. Chodziło o podkreślenie, że jest to uroczystość odrębna od czerwcowych Dni Morza, związana przede wszystkim z ideą kolonialną.

Święto Morza obchodzono 10 lutego na pamiątkę tak zwanych zaślubin Polski z morzem (10 luty 1920 r.) — gen. Józef Haller wrzucił wówczas do Bałtyku w okolicach Pucka jako symbol tych zaślubin pierścień. W następnych latach Święto Morza czczono jedynie okolicznościowymi artykułami, jego nazwę zmieniono na Dni Morza, a całą imprezę w 1932 roku przeniesiono na czerwiec. Istotną rolę odegrała tu pogoda — z okazji Dni Morza urządzano wycieczki nad morze, wiece, przemarsze, przejażdżki statkami spacerowymi po Zatoce Gdańskiej itp., czerwiec był zatem bardziej dogodną porą roku. Nie bez wpływu pozostawała tu również polityka: od 1926 roku władzę w kraju sprawował, najszerzej mówiąc, obóz Józefa Piłsudskiego — gen. Haller, związany z Narodową Demokracją, głównym przeciwnikiem piłsudczyków, stał się niewygodnym dla nich symbolem powrotu Polski nad Bałtyk i Święta Morza.

Wracając do Dni Kolonialnych, październik bywa miesiącem niekorzystnym dla imprez na wolnym powietrzu (wiece na placach, przemarsze ulicami). Li-

stopad pod względem pogodowym to miesiąc jeszcze bardziej kiepski — chciano połączyć Dni Kolonialne ze Świętem 11 Listopada, dla podkreślenia znaczenia tych pierwszych. Ostatecznie w 1938 roku wybrano kwiecień — sprzyjająca raczej pogoda, zarazem oddalenie od czerwcowych Dni Morza. Co prawda, w 1939 roku obchodzono w czerwcu połączone Dni Morza i Dni Kolonialne, ale była to demonstracja polityczna — wynik pogarszającego się położenia międzynarodowego; miała ona wykazać nieustępliwość kraju wobec żądań niemieckich, pokazać, że Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da.

Formy wypowiedzi Ligi Morskiej i Kolonialnej zmieniały się w zależności od tego, do kogo były kierowane (do rzesz słuchaczy w przypadku Dni Kolonialnych, do członków Ligi w przypadku zjazdów i narad organizacyjnych, do zwierzchników politycznych państwa). Przekładały się one na wizerunek Ligi jako stowarzyszenia ważnego w życiu publicznym, pozwalały jej na formułowanie własnego *story lines*. W ten sposób LMiK zdobywała sympatyków, wpływała na kolonialny dyskurs popularny, stając się jednym z najważniejszych jego uczestników. Zwłaszcza że, niezależnie od programu kolonialnego, położyła też zasługi w popularyzacji kultur ludów pozaeuropejskich, przyczyniając się nie tylko do ich głębszego poznania, ale i zrozumienia.

Lidze poświęcono tu sporo miejsca z uwagi na jej zasadniczą rolę w dyskursie kolonialnym, jak i ogólniej — w dążeniach do zapewnienia Polsce posiadłości zamorskich. Była to organizacja mająca duży wpływ na politykę wewnętrzną i zagraniczną kraju. Jej dzieje są obecnie zapomniane albo uproszczone do kilku obiegowych haseł, zniekształcających istotę stowarzyszenia. Wprawdzie pewne szczegóły mogą wydawać się nużące, niemniej poznanie ich ułatwi zrozumienie rzeczywistego postępowania Ligi i zarazem śledzenie przedstawionego tu tematu.

Polskie Towarzystwo Kolonialne — Polskie Towarzystwo Emigracyjne — Urząd Emigracyjny (PTK — PTE — UE)

Organizację tę należy zaprezentować pod trzema nazwami — zmieniała ona nie tylko nazwy, ale i usytuowanie instytucjonalne, wyznaczone właśnie owymi nazwami.

Założycielami Polskiego Towarzystwa Kolonialnego (stowarzyszenie społeczne) w 1918 roku byli Michał Pankiewicz i Kazimierz Głuchowski. Jeszcze w czasie trwania konferencji pokojowej w Paryżu PTK postulowało, by Polska domagała się przyznania jej części kolonii niemieckich jako mandatu. Miała to być rekompensata za okres zaborów — pieniądze podatników polskich z byłego zaboru niemieckiego szły także na zagospodarowanie tych kolonii — a jednocześnie forma odszkodowania wojennego dla Polski należącej do zwycięskiego obozu Ententy.

W 1924 roku PTK zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Emigracyjne, nadal pozostając organizacją społeczną. Większy nacisk położono wówczas na

konieczność zorganizowania emigracji i powiązania jej z krajem. Nie zrezygnowano jednak z idei kolonialnej — kolonie pozwoliłyby na prowadzenie zorganizowanego ruchu emigracyjnego, nie zmuszając przy tym emigrantów do zrywania łączności z Polską.

W 1930 roku PTE jako Urząd Emigracyjny stało się instytucją państwową i zostało włączone w struktury Ministerstwa Spraw Zagranicznych (do 1 lipca 1932 r. przejęło ono agendy stowarzyszenia). Urząd Emigracyjny do końca już funkcjonował w strukturach MSZ, jako komórka podległa Referatowi Kolonialnemu i Osadniczemu Wydziału Polityki Emigracyjnej (E I) Departamentu Konsularnego, a zarazem Wydziałowi Polaków za Granicą (E II). Dyrektorem UE był Bolesław Nakoniecznikow, zwracający uwagę przede wszystkim na niesienie pomocy wychodźstwu polskiemu, szczególnie w Ameryce Południowej; niemniej, idea kolonialna nadal była tu żywa.

Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze

Osobom interesującym się poczynaniami kolonialnymi Drugiej Rzeczypospolitej umyka często Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze i jego udział w dyskursie kolonialnym. MTO zostało powołane 29 kwietnia 1936 roku jako spółka akcyjna z siedzibą w Warszawie. Prezesem zarządu spółki został Mieczysław Lepecki, znany pisarz i podróżnik, związany z rządzącym aktualnie obozem. Celem MTO było poszukiwanie w Ameryce Południowej i Afryce terenów dla polskiego osadnictwa emigracyjnego i plantatorskiego, a w dalszej kolejności ewentualne przekształcenie osadnictwa emigracyjnego w kolonię Polski:

Wyrazem wzrastającego zainteresowania czynników rządzących problemem planowanej emigracji osadniczej z Polski, jako jednego ze sposobów rozładowania napięć społecznych, było założenie spółki akcyjnej pod nazwą Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze. (...) Utworzenie MTO było w znacznym stopniu realizacją postulatów LMiK, która domagała się uporządkowania problemów związanych ze zjawiskiem emigracji. (...) Początkowo Rząd nie przejawiał wyraźnego zainteresowania tymi działaniami [kolonialnymi]. Pewne nasilenie widoczne jest dopiero w połowie lat 30. Zaowocowało ono utworzeniem Spółki Akcyjnej — Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze. (...) Była to polska spółka akcyjna, powstała z inicjatywy kół rządowych (...). MTO miało prowadzić działalność pod nadzorem MSZ (Białas 1983, s. 182–183).

Zamierzenia kolonialne były brane pod uwagę przez MTO jako pochodne celów emigracyjnych i osadniczych. Emigranci i plantatorzy mieli tworzyć „przyczółek” dla uzyskania przez Polskę posiadłości zamorskich, jeśli nie w formie klasycznych kolonii, to w formie kondominium z jakimś państwem kolonialnym (Francja?, Portugalia?), lub przynajmniej obszaru pod koncesję rolniczo-handlową (także przemysłową: powstawanie na miejscu przetwórci surowców rolniczych) o autonomii samorządowej i gospodarczej.

Utworzenie MTO stanowiło realizację postulatów Ligi Morskiej i Kolonialnej, by zostały uporządkowane organizacyjnie problemy emigracji oraz by podjęto poczynania dla uzyskania dla Polski jeśli nie kolonii, to terenów pod osadnictwo i wzmoczone zamorską ekspansję gospodarczą. Istniała współpraca między MTO i LMiK oraz MSZ i MPiH. Określenie „Międzynarodowe” nie oznaczało, że Towarzystwo zrzesza uczestników z różnych państw, lecz że działa na terenie międzynarodowym (na obszarach zamorskich posiadłości państw europejskich i w Ameryce Południowej) i wchodzi w porozumienia handlowe i gospodarcze z przedsiębiorstwami zagranicznymi działającymi w koloniach (zakładanie spółek i przedsiębiorstw o mieszanym kapitale polskim i obcym dla łatwiejszego wchodzenia na rynki kolonialne).

„Światpol”

Podczas I Zjazdu Polaków z Zagranicy w 1929 roku utworzona została Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy. Na II Zjeździe Polaków z Zagranicy w 1934 roku Rada, instytucja tymczasowa, powołana do utworzenia stałej struktury grupującej wychodźców i zapewnienia im łączności z krajem, została przekształcona w Światowy Związek Polaków z Zagranicy — „Światpol”. Wśród działaczy owego związku znaleźli się aktywiści Ligi zaangażowani w ideę kolonialną: Michał Pankiewicz (wiceprezes Rady Organizacyjnej, a następnie członek Rady Naczelnej „Światpolu”), Mieczysław Fularski, Bohdan Lepecki (brat Mieczysława, redaktor pisma „Polacy za Granicą” — organu „Światpolu”), Władysław Raczkiewicz (członek Rady Głównej LMiK⁸), Józef Kożuchowski (prezes RG LMiK, członek Komisji Rewizyjnej „Światpolu”).

Fakt, że we władzach „Światpolu” zasiadali członkowie władz Ligi Morskiej i Kolonialnej, zaangażowani w program kolonialny, zainicjował współpracę obu organizacji, a tym samym zaangażowanie się Światowego Związku Polaków z Zagranicy w dyskurs kolonialny. Liga za pośrednictwem „Światpolu” docierała ze swoim programem kolonialnym do emigranckich skupisk polonijnych.

Periodyki i prasa

Przez periodyki należy tu rozumieć pisma — głównie kwartalniki i miesięczniki — specjalistyczne, publikujące przeważnie naukowe, teoretyczne materiały. Prasa to dzienniki i tygodniki (niekiedy też miesięczniki) nastawione na szeroki

⁸ Władysław Raczkiewicz był w latach 1926–1930 wojewodą wileńskim, w 1935 r. — krakowskim, w 1936 r. — pomorskim, w latach 1930–1935 marszałkiem senatu; 29 września 1939 r. objął urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, sprawowany na wojennym wychodźstwie w Wielkiej Brytanii.

odbior społeczny, skierowane do dużej rzeszy czytelników, posługujące się językiem bardziej popularnym, nastawione bardziej propagandowo, by przekonywać „zwykłych” czytelników do idei kolonialnej (lub odwozić od niej).

Periodyki dzięki tak zwanemu profilowi tematycznemu i podejmowaniu problematyki kolonialnej, zamieszczaniu na swoich łamach artykułów i wypowiedzi osób piszących o zagadnieniach kolonialnych, stawały się uczestnikami dyskursu w jego odmianie elitarniej. Tym bardziej, jeśli formalnie związane były z rozmaitymi instytucjami czy stowarzyszeniami, jako ich organy. Wiele z nich było wydawnictwami Ligi Morskiej i Kolonialnej, która zdominowała działalność wydawniczą morską i kolonialną.

Na łamach „Morza” — przypomnijmy, organu Ligi Morskiej i Rzecznej, później Ligi Morskiej i Kolonialnej — ukazywały się zarówno teksty, które można zaklasyfikować do nurtu elitarnego dyskursu, jak i teksty należące do nurtu popularnego. Pismo starało się piórami swoich autorów opracować teoretyczny program kolonialny. Mimo że charakteryzowało się dużym nakładem i zasięgiem czytelniczym, poziom zamieszczanych w nim tekstów był odmienny od tego, jaki spotykamy w powszechnie czytanych dziennikach. W każdym razie docierało ono do bardzo znaczącego kręgu odbiorców, w tym do szkół i młodzieży.

W miesięczniku, który zaczął się ukazywać w listopadzie 1924 roku, początkowo dominowały sprawy dotyczące gospodarki morskiej i jej znaczenia dla ekonomiki kraju, a także sprawy dotyczące rozwoju marynarki wojennej. Niemniej, już wtedy „Morze” interesowało się sprawami kolonialnymi, zamieszczając poświęcone temu tematowi artykuły i informacje — były to spostrzeżenia ogólne dotyczące posiadłości zamorskich państw europejskich. Zarówno wtedy, jak i w latach następnych zdarzały się numery, w których nie było żadnego artykułu związanego z koloniami, jednak nawet wówczas temat ten był obecny w miesięczniku, a to za sprawą stałej rubryki informacyjnej „Przegląd kolonialny”. Po 1930 roku rubryka ta zmieniła nazwę na „Sprawy kolonialne”, pojawiły się też dwie nowe: „Kronika kolonialna” oraz „Z życia organizacji” (naturalnie Ligi Morskiej i Kolonialnej).

Wyraźne sformułowanie dążenia do uzyskania dla Polski kolonii wraz z odpowiednio przygotowanym programem teoretycznym dotyczącym spraw kolonialnych pojawiło się na łamach „Morza” w 1928 roku i było obecne do września 1939 roku. Eksploatacja tego tematu wiązała się ze wzmiankowanym wcześniej powstaniem Związku Pionierów Kolonialnych. Do numeru 3 z marca 1928 roku dołączony został dodatek „Pionier Kolonialny”, pojawiający się regularnie aż do 1934 roku — ostatni raz z numerem 5 z maja 1934 roku (Związek Pionierów Kolonialnych zakończył wówczas swoją działalność jako oddzielna sekcja LMiK). Od tej pory teksty dotyczące zagadnień kolonialnych umieszczano na normalnych, tak zwanych redakcyjnych stronach miesięcznika. Ani ZPK, ani

„Pionier Kolonialny” nie były już potrzebne jako „siła napędowa” idei kolonialnej — ideę tę przejęła jako swoją LMiK.

Początkowo nakład „Morza” wynosił 6–8 tys. egzemplarzy. Po 1930 roku (gdy Liga Morska drugi człon swojej nazwy zmieniła z Rzecznej na Kolonialną) wzrósł do 120 tys., wreszcie po 1936 — do ponad 250 tys. Wzrost i wielkość nakładu świadczą o tym, że celem miesięcznika było nie tylko dostarczanie teoretycznych argumentów za koniecznością posiadania kolonii przez Polskę, ale również propagowanie idei kolonialnej wśród licznego grona czytelników, w tym wśród młodzieży szkolnej pasjonującej się periodykiem, zwłaszcza artykułami o posmaku sensacyjnym czy przyciągającymi przygodą i egzotyką. Na początku 1939 roku tytuł pisma zmieniono na „Morze i Kolonie”.

Piszących w „Morzu” można podzielić na dwie grupy: na zajmujących się sprawami morskimi (obecność Polski na Bałtyku, rozwój żeglugi, w tym stałych linii, żegluga trampowa, rozbudowa portów, przemysłu stocznioowego, handel morski) oraz na zajmujących się sprawami kolonialnymi, w tym ideą kolonialną i sposobami uzyskania posiadłości zamorskich. Często oba punkty widzenia zązębiały się. Zwykle jednak o sprawach kolonialnych pisali członkowie Ligi Morskiej i Kolonialnej, których zainteresowania koncentrowały się wokół tego tematu, a także — niezależnie od członkostwa — autorzy zaangażowani w realizację idei kolonialnej. Byli wśród nich znani pisarze, na przykład Jalu Kurek, pisarze i podróżnicy, na przykład Arkady Fiedler, Jerzy Giżycki, Mieczysław Lepecki, Kazimierz Pruszyński, by wymienić tylko niektórych.

Pismo „Sprawy Morskie i Kolonialne” powstało w październiku 1934 roku jako kwartalnik Ligi Morskiej i Kolonialnej. Był to periodyk o ambicjach naukowych. LMiK uznała, że po zaniechaniu wydawania „Kwartalnika Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” potrzebne jest fachowe, specjalistyczne pismo o zacięciu teoretycznym, uzasadniające potrzebę posiadania kolonii argumentami racjonalnymi. Wychodziło ono do 1939 roku, w nakładzie 1200 egzemplarzy. Było pismem elitarnym, trafiającym do kręgów naukowych i intelektualnych.

„Sprawy Morskie i Kolonialne” były periodykiem o dużej staranności edytorskiej, pisany językiem trudniejszym niż „Morze”. Nie miały charakteru popularyzatorskiego — stanowiły naukową, elegancką, elitarną wizytówkę Ligi Morskiej i Kolonialnej.

„Rocznik Morski i Kolonialny” Ligi Morskiej i Kolonialnej ukazał się w 1938 roku — brakowało bowiem podręcznego wydawnictwa informującego o całości zagadnień morskich i kolonialnych, zwłaszcza publikującego materiały statystyczne objaśniające dane liczbowe. W układzie i treści pismo to przypominało rocznik statystyczny — zawierało informacje i zestawienia liczbowe prezentujące sprawy morskie i kolonialne Polski na tle innych krajów świata.

Redakcja obiecywała, że w następnych numerach „RMiK” zostanie treściowo pogłębiany i rozbudowany. Następnym numerów jednak nie było — nadszedł rok 1939, a wraz z nim wojna.

Miesięcznik „Szkwał” miał charakter niszowy — nastawiony był na ważną potencjalnie grupę społeczną, mogącą w przyszłości pretendować do miana liderów życia społecznego, mianowicie na środowisko studenckie. Początkowo pismo wydawał Akademicki Związek Morski, wprawdzie związany z LMiR/LMiK, ale nie podlegający jej bezpośrednio — zachowywał autonomię organizacyjną. W 1935 roku Liga przejęła „Szkwał”, wydawała go do końca 1937 roku. Ze względu na charakter pisma od jesieni 1938 roku miało ono wychodzić jako miesięcznik Akademickiego Związku Morskiego i Kolonialnego (nazwa zrzeszenia została zmieniona ze względu na jego ściślejszy związek z Ligą). Pismo propagowało przede wszystkim tak zwane wychowanie morskie wśród młodzieży akademickiej, ale ze względu na coraz silniejsze powiązanie spraw morskich i wychowania morskiego z kolonialnymi można uznać je za uczestnika dyskursu kolonialnego. Biorąc pod uwagę zmiany własnościowe (przejęcie pisma przez LMiK i zamiar ponownego przekazania go AZMiK), należy sądzić, że problematyka kolonialna stałaby się częstsza na łamach „Szkwału” — jednakże do jego wznowienia nie doszło.

„Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” to ważny periodyk o charakterze specjalistyczno–naukowym. Powstał w 1926 roku wraz z Naukowym Instytutem Kolonialnym i Emigracyjnym, jako jego organ. Redaktorem naczelnym pisma został dr Gustaw Załęcki (sprawował tę funkcję do końca istnienia „KNIEiK”).

Pierwszy numer „KNIEiK” ukazał się w grudniu 1926 roku. Pismo wychodziło do 1931 roku. Zgromadziło stałe grono autorów, przeważnie pracowników uniwersyteckich, miało też wielu współpracowników, również wywodzących się z ośrodków naukowych. Zajmowało się opracowaniem teoretycznych założeń polskiej idei kolonialnej, powołując się na przykłady francuskie i brytyjskie. Z kolei na artykuły zawarte w „KNIEiK” często powoływała się prasa popularna. Przyczyną zamknięcia pisma było przejście wszelkich funkcji organizatorskich i propagatorskich związanych z ideą kolonialną bezpośrednio przez Ligę Morską i Kolonialną oraz powstanie z jej inicjatywy instytutów i periodyków o charakterze elitarnym.

Powyżej przedstawione zostały periodyki zaliczane do nurtu elitarnego w dyskursie kolonialnym. Było ich oczywiście więcej — wskazałem tylko te, które odegrały zasadniczą rolę w rozważaniach nad przyszłością kolonializmu w Polsce. Co już podkreślałem, dyskurs elitarny oddziaływał na dyskurs popularny. To w ramach tego pierwszego opracowywano plany i programy, formułowano uza-

sadnienia ideowe oraz podbudowane naukowo argumenty o konieczności wysuwania przez Polskę postulatów kolonialnych i ich realizacji. Niemniej, i w dyskursie popularnym pojawiały się teoretyzujące plany i programy kolonialne opracowywane przez działaczy w imieniu swoim bądź reprezentowanych grup czy ośrodków, dające powody do ogólnych rozważań w dyskursie kolonialnym.

Dyskurs popularny oddziaływał na elitarny swoją „masowością”. Jego istotą był szeroki zasięg społeczny — docierał on do wielu zakątków kraju i do różnych środowisk społecznych, wywołując powszechne zainteresowanie ideami kolonialnymi. Zdarzało się, że opinie wyrażane w dyskursie popularnym dostarczały argumentów uczestnikom dyskursu elitarnego.

Institucje uczestniczące w dyskursie popularnym nie miały tak sformalizowanego i „oficjalnego” charakteru jak te, które uczestniczyły w dyskursie elitarnym — nie miały one powiązań z organami władzy albo ich wyraźnie nie akcentowały; niektóre określały się przeciwnikami obozu rządowego. Ich głównym miejscem wypowiedzi była prasa popularna. Ze względu na treści i język docierała ona do szerokich rzesz czytelników. Miała zatem największą szansę na propagowanie wśród społeczeństwa idei kolonialnej (lub opinii jej przeciwnych). Przy omawianiu tego tematu często powoływała się na autorytety naukowe i znanych pisarzy. Nazwiska autorów publikujących na łamach gazet opatrywano tytułami naukowymi (doktor, docent, profesor), a także miejscem ich pracy (Uniwersytet Jagielloński, Lwowski — Jana Kazimierza, Poznański, Warszawski — Józefa Piłsudskiego). Znanych pisarzy prezentowano za pomocą przymiotników: „znany”, „sławny”, „popularny”. Redakcje zabiegały o obecność takich autorów na swoich łamach.

W latach 1918–1928 problematyka kolonialna w gazetach popularnych pojawiała się rzadko (incydentalne artykuły). Częściej odnotowywano dążenia Niemiec do odzyskania kolonii (w kontekście ogólnych stosunków polsko-niemieckich) oraz sprawy związane z bytowaniem polskich emigrantów, głównie w Brazylii i innych krajach Ameryki Południowej (w formie ciekawostkowych reportaży). Teoretyczne zagadnienia kolonialne pojawiały się, ale w kontekście polityki państw mających posiadłości zamorskie; omawiano stosunki między Białymi a tubylcami w koloniach. Wreszcie, chętnie zamieszczano fascynujące innościami obrazki z życia krajów egzotycznych oraz rozważania nad kulturą i obyczajowością tak zwanych ludów pierwotnych.

Dopiero po maju 1926 roku zaczęło funkcjonować pojęcie Polski mocarstwowej. Posiadanie kolonii uważano w owym czasie za jeden ze sposobów legitymizacji mocarstwowości państwa. Dlatego nie powinno dziwić, że dyskurs kolonialny zaczął rozwijać się po 1926 roku, na sile przybrał w latach 1928–1929, by w pełni zintensyfikować się po 1936 roku — trwał do września 1939 roku.

Autorzy bardziej ostrożni, oczywiście, zastanawiali się nad sensem posiadania kolonii przez Polskę, niemniej zawsze postulowali dla Polski wolny dostęp do surowców znajdujących się w posiadłościach innych państw, a potrzebnych

krajowi do rozwoju gospodarki (zwłaszcza przemysłu, ale i rolnictwa). Podnosili także konieczność emigracji bez ograniczeń (zniesienie „kwot liczbowych” wobec imigrantów) oraz konieczność otoczenia osadników opieką ze strony Polski, zapewnienia im kontaktów z ojczyzną.

Zaprezentuję tu trzy przykłady prasy popularnej: „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Gazetę Polską” i „Gazetę Warszawską”. Te trzy dzienniki publicystykę i artykuły dotyczące spraw kolonialnych zamieszczały na swoich łamach najczęściej; czyniły to systematycznie, podczas gdy inne tylko sporadycznie. Nie bez znaczenia jest również ich usytuowanie polityczne. „Gazeta Polska” była organem obozu piłsudczykowskiego i sanacji, „Gazeta Warszawska” organem Narodowej Demokracji, „Ilustrowany Kurier Codzienny” pismem formalnie neutralnym, aczkolwiek dyskretnie, choć niekiedy krytycznie, sympatyzującym z obozem piłsudczykowskim. Wymienione trzy dzienniki dają zatem najlepszą orientację w przebiegu dyskursu kolonialnego, ukazują poglądy nań głównych grup politycznych Drugiej Rzeczypospolitej.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” to pismo krakowskie, zrazu lokalne, powstałe w 1910 roku. Jego założyciel, Marian Dąbrowski, po 1918 roku uczynił je bodaj najbardziej znaczącym dziennikiem polskim, tak pod względem wysokości nakładów, jak i popularności, zasięgu czytelniczego, a zatem wpływu na opinię publiczną. Pod względem znaczenia „IKC” szybko zajął jedno z pierwszych miejsc w kraju. Nakłady stale wzrastały, by na początku lat 30. osiągnąć wysokość 100 tys. egzemplarzy, a w 1937 roku — 150 tys. egzemplarzy; niektóre numery ukazywały się w nakładzie nawet 200 tys. egzemplarzy. Wysokość nakładu można przyjąć jako wyraz powszechności i popularności pisma. „Ilustrowany Kurier Codzienny” był pismem prywatnym, nie związanym z żadną partią czy organizacją. Nie mógł więc liczyć na ewentualne finansowe wsparcie ze strony tego rodzaju oficjalnych czy półoficjalnych, instytucjonalnych sponsorów; jego powodzenie było uzależnione od zainteresowania czytelników. Stałe podwyższanie nakładu pisma świadczyło zatem o rosnącej popularności wśród społeczeństwa.

Jeśli pismo o takim profilu sporo uwagi poświęcało polskim aspiracjom kolonialnym, można przypuszczać, że tematyka ta interesowała czytelników, choć nie można również wykluczyć, że pojawiająca się na łamach „IKC” publicystyka kolonialna miała służyć popularyzacji idei kolonialnej w społeczeństwie. Być może, co najbardziej prawdopodobne, oba te aspekty łączyły się ze sobą. „Ilustrowany Kurier Codzienny” odpowiadał tego typu tekstami na zainteresowania czytelnicze; zarazem służyły one propagandzie idei kolonialnej wśród szerokich rzesz społeczeństwa, samą swoją obecnością na łamach pisma pobudzając zainteresowanie ewentualnością uzyskania kolonii dla Polski.

Sprawy kolonialne pojawiły się w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” dosyć wcześnie. Początkowo były to artykuły zamieszczone raczej okazjonalnie,

niezwiązane jeszcze z formułowanymi później wyraźnie oczekiwaniami uzyskania kolonii przez Polskę. Przeważały ogólne rozprawy o koloniach (zazwyczaj w kontekście polityki europejskiej i znaczenia kolonii dla mocarstw je posiadających), reportaże z tropików oraz teksty dotyczące spraw emigracyjnych (opracowane przede wszystkim na podstawie obserwacji skupisk polskich osiedleńców i ich problemów, skupisk pochodzących jeszcze z XIX w.).

Nasilenie problematyki kolonialnej na łamach „IKC” datuje się od 1929 roku. W numerze 5 z 5 stycznia 1929 roku ukazał się artykuł wprost określający polskie aspiracje kolonialne: *Czy Polska ma prawo do zamorskich kolonii?* Z dalszych publikacji można wywnioskować, że redakcja zaangażowała się w propagowanie idei kolonialnej; wezwania takie stały się częste i formułowano je zdecydowanie. Autorzy, choć ostrożnie wypowiadali się w kwestii sensu posiadania kolonii przez Polskę, to jednak postulowali wolny dla niej dostęp do surowców znajdujących się w posiadłościach innych państw i wolność osadnictwa na tych terytoriach.

W latach 1929–1931 liczba kolonialnych tekstów postulatycznych równoważy się mniej więcej z liczbą tekstów generalnie przybliżających sprawy kolonialne. Od 1932 roku w „IKC” znowu zaczęły przeważać teksty związane z ideą kolonialną, domagające się od władz podjęcia starań o pozyskanie posiadłości zamorskich dla kraju. Od 1935 roku gościły one w piśmie systematycznie. Doszło wtedy do współpracy między „IKC” a Ligą Morską i Kolonialną. Na początku 1935 roku utworzony został nowy dodatek do „IKC”: „Kurier Morski i Kolonialny”. Pierwszy numer pojawił się jako dodatek do numeru 42 dziennika z 11 lutego 1935 roku. Od tego momentu teksty dotyczące postulatów kolonialnych przeniesione zostały z redakcyjnych stron pisma do dodatku. Materiałów dostarczała Liga Morska i Kolonialna; były to jej autonomiczne strony. Dodatek ukazywał się regularnie, co tydzień, zawsze ze środowym numerem dziennika. W numerze 168 „IKC” z 19 czerwca 1935 roku znalazł się numer 18 „Kuriera Morskiego i Kolonialnego”, po czym dodatek przestał wychodzić; problematyka kolonialna wróciła na redakcyjne strony dziennika. Zniknięcie dodatku nie zostało wytłumaczone żadnym oświadczeniem redakcji. Zastanawiając się nad przyczynami tego zniknięcia, można przyjąć, że albo było ono podyktowane kwestiami organizacyjnymi (redakcyjnymi) pisma, albo wynikało z postanowienia LMiK — jej niezadowolenie mógł budzić fakt, że „IKC” dopuszczał na swoje łamy artykuły kwestionujące sens posiadania przez Polskę kolonii, a co najmniej wątpliwe w ideę osadniczej kolonizacji zamorskiej, sprzeczne z programem głoszonym przez LMiK. Przyczyn można szukać i w ewentualnych nieporozumieniach finansowych między „IKC” a LMiK.

W 1931 roku miał miejsce taki precedens: Liga zażądała zapłaty za przedruk artykułu propagandowego, redakcja odmówiła, uzasadniając stanowisko tym, że broszura, na podstawie której powstał artykuł, była powszechnie dostępna i stanowiła rodzaj druku reklamowego. Liga oddała sprawę do sądu, bro-

niąc praw autorskich swoich i swoich członków. Proces najprawdopodobniej zakończył się polubownie — za taką wersją przemawia brak jakiegokolwiek relacji z procesu; gdyby do niego doszło, „IKC” by go relacjonował (zob.: *Obrona... 1931* — LMiK wyceniła roszczenia honoraryjne za artykuł na 9711 zł; *Propaganda... 1931*). O całym sporze donosiła również „Gazeta Polska” (*Liga... 1931*). Konflikt wydawał się zrazu groźny — na czas przewidywanej rozprawy sądowej gen. Gustaw Orlicz–Dreszer zawiesił swoją funkcję prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej, a był on jedną z najważniejszych osób w państwie, tak w sferach politycznych, jak i wojskowych.

Liga wzięła na siebie wydawniczą propagandę kolonialną, drukując tanie broszury bez upowszechnienia ich treści za pośrednictwem prasy — redakcjom trzeba było płacić, a przynajmniej darmowo dostarczać broszury. Woląla zatem firmować je bezpośrednio, nie ponosząc małych, ale jednak strat finansowych — przeciwnie, osiągając skromne, ale własne zyski.

„Gazeta Polska” — dziennik związany z obozem piłsudczykowskiem — powstała w 1929 roku z połączenia wcześniej wychodzących pism sympatyzujących z obozem belwederskim. Od początku swojego istnienia uczestniczyła w dyskusie kolonialnym — do 1936 roku czyniła to powściągliwie, od tego roku liczba artykułów poświęconych zagadnieniu uzyskania kolonii dla Polski zdecydowanie wzrosła. Było to związane ze stanowiskiem rządu, a dokładniej Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które od 1936 roku zaczęło poświęcać problemowi kolonialnemu więcej uwagi — przypomnijmy, „Gazeta Polska” jako organ rządu dostosowywała się do stanowiska władz.

Swobodniejsza natomiast była w prezentowaniu artykułów na temat kolonializmu i jego teoretycznych implikacji dla polityki państw mających posiadłości zamorskie, takich jak Wielka Brytania, Francja, Belgia, Portugalia, Holandia — teksty te były wynikiem śledzenia polityki zagranicznej krajów europejskich. Przedłużeniem tej polityki były konflikty związane z koloniami — rozgrywki polityczne pomiędzy państwami europejskimi przenosiły się na ich posiadłości kolonialne.

„Gazeta Polska” zamieszczała także reportaże z egzotycznych stron świata. Budowały one atmosferę społecznego zainteresowania zagadnieniami kolonialnymi, choć nie formułowały wprost postulatu uzyskania kolonii dla Polski. Skromniej natomiast dziennik ten informował o kolonialnych dążeniach Niemiec. Jako pismo związane z elitą władzy „Gazeta Polska” uzależniała publikację materiałów na ten temat od wskazań politycznych zwierzchników. Mieściły się one w poglądach dziennika na całość antywersalskiej polityki niemieckiej.

„Gazeta Warszawska” to organ Narodowej Demokracji. W Drugiej Rzeczypospolitej kilkakrotnie zmieniała nazwę i organizacyjne formuły wydawnicze. Ponieważ była stale związana z obozem narodowym i wyrażała jego poglądy, aby

nie utrudniać zorientowania się o jakie pismo chodzi, będą cały czas posługiwać się tytułem „Gazeta Warszawska”.

W porównaniu z dwoma poprzednimi dziennikami „Gazeta Warszawska” sprawom kolonialnym poświęcała mniej uwagi. O ile dla okresu 1928–1929 nie jest to niczym dziwnym — i w innych pismach tematyka ta nie była jeszcze częsta — o tyle w dalszych latach ta dysproporcja była już wyraźna. Można zatem uznać, że choć „Gazeta Warszawska” i jej sponsor, Narodowa Demokracja, nie były przeciwne idei kolonialnej, to jednak tego rodzaju postulaty nie leżały na głównej linii zainteresowań pisma (i endecji) skupiającego się na polityce wewnętrznej kraju.

Sporo uwagi pismo to poświęcało generalnym zagadnieniom kolonii w kontekście polityki europejskiej (wpływ zagadnień kolonialnych na politykę państw europejskich). W porównaniu z dwoma pozostałymi dziennikami popularnymi częściej zamieszczało artykuły o charakterze etnograficznym w ujęciu popularnym, pokazujące kulturę tak zwanych ludów tubylczych Azji, Afryki i Oceanii. Tematyka ta, jak można wnosić z jej częstotliwości, interesowała czytelników — przyczyniała się do zwiększenia popularności gazety, przydawała jej powagi w oczach odbiorców w przypadku materiałów bardziej ambitnych. Artykuły te stanowiły swego rodzaju zastępstwo zagadnienia kolonialnego, na łamach innych pism wyrażanego wprost i bezpośrednio. Niewątpliwie jednak i one ugruntowywały u czytelników przekonanie o wadze idei kolonialnej, coraz bardziej przyswajanej sobie przez społeczeństwo.

W 1934 roku Liga Morska i Kolonialna zaczęła wydawać miesięcznik „Polska na Morzu”. Wydanie „A” adresowane było do środowisk robotniczych i wiejskich (w końcu 1938 r. nakład osiągnął 300 tys. egzemplarzy), zaś wydanie „B” do młodzieży gimnazjalnej (nakład w 1938 r. — 70 tys. egzemplarzy). Pismo miało uzupełniać propagandę „Morza” na poziomie popularnym (z „Polską na Morzu” związana była „Gazetka Morska” — gazetka ścienna przeznaczona dla kół szkolnych LMiK, wychodząca w nakładzie 5 tys. egzemplarzy; była to skrócona i uproszczona wersja „PnM”).

Miesięcznik nastawiony był na tak zwane wychowanie morskie. Wydanie „B” koncentrowało się na fascynowaniu młodych czytelników egzotyką i atmosferą zamorskiej przygody, natomiast wydanie „A” odwoływało się do argumentów ekonomicznych. Pismo cieszyło się poczytnością w środowiskach, do których było kierowane, choć nie dorównywało pod tym względem „Morzu”. Dawało materiały zróżnicowane, przeznaczone tak dla czytelników dorosłych, jak i młodzieżowych, poważnych, jak i szukających ciekawostek (reportaże z tropików, opowiadania, powieści w odcinkach tchnące egzotyczną przygodą). Każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Wysokość nakładów, zarówno wydania „A”, jak i „B”, pokazuje, że pismo spełniało swoją rolę w dyskursie popularnym. O ile wydanie „A” pobudzało

emocjonalne nastawienie czytelników do spraw morskich i kolonialnych, o tyle wydanie „B” przynosiło rzeczowe argumenty. Czytelnicy „Polski na Morzu” zazwyczaj byli również czytelnikami „Morza”. Można zatem uznać, że „Polska na Morzu” była wstępem przygotowującym czytelników (zwłaszcza młodzieżowych odbiorców wersji „B”) do odbioru „Morza”.

„Dekada” to tygodnik akademicki, organ Zrzeszenia Studentów Studium Migracyjno–Kolonialnego Wolnej Wszechnicy Polskiej, wydawany od 1931 roku, czyli od czasu powstania owego Studium. Jego podtytuł głosił, że jest to „Ogólnopolski Organ Młodzieży” zajmujący się sprawami „migracyjno–kolonialnymi”. Trudno powiedzieć coś o jego nakładzie. Zapewne był mały — pismo ograniczało się tylko do jednego środowiska, chociaż podtytuł mówił o jego „ogólnopolskim” zasięgu. Starano się też pozyskać zainteresowanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Mimo małego nakładu, a tym samym szczupłego grona odbiorców „Dekada” sytuuje się wyraźnie w dyskursie popularnym ze względu na stosowany w tekstach język i unikanie bardziej zaawansowanych teoretycznych rozważań. Z natury rzeczy tygodniki bywają pismami popularnymi, w przeciwieństwie do miesięczników przynoszących szerszy „oddech” intelektualny. Możliwe, że „Dekada” miała ambicję dotarcia z czasem do całego środowiska studenckiego, a może i ogólnie „młodzieżowego”, by odwołać się do podtytułu, jednakże nie wyszła w odbiorze poza krąg słuchaczy Studium Kolonialno–Migracyjnego WWP. Tygodnik ten mógł też spełniać zadanie ćwiczebne — przyszli absolwenci Studium wprawiali się w dziennikarstwie „migracyjno–kolonialnym”, aby zdobyć doświadczenie niezbędne do podjęcia pracy w „prawdziwych” pismach.

Pism zajmujących się problematyką kolonialną było więcej — niektóre z nich poświęcały temu zagadnieniu więcej miejsca, inne mniej, jeszcze inne poruszały je od przypadku do przypadku, w sposób poważny albo zdawkowo czy hasłowo. Tu wymienione zostały te, które odgrywały ważniejszą rolę w dyskursie kolonialnym.

Kategorie uczestników

Przegląd instytucji państwowych i społecznych biorących udział w dyskursie kolonialnym został już, co prawda, dokonany. Trzeba jednak zwrócić uwagę na tych jeszcze uczestników dyskursu popularnego, których trudno zaklasyfikować do jakichś jednoznacznie określonych grup, a którzy stanowili — jakby to nieelegancko określić — masę. To do nich trafiała propaganda kolonialna i oni przenosili ją do swoich środowisk pracy, nauki, zamieszkania, do rodzin, kolegów i znajomych. Sprzyjały temu zwłaszcza Dni Kolonialne — stanowiły one dla ich organizatora, Ligi Morskiej i Kolonialnej, okazję do szerzenia idei kolo-

nialnej. Zanim jeszcze wprowadzono Dni Kolonialne, w lipcu 1930 roku odbyła się — jak donosiła prasa — „wielka manifestacja włościan na rzecz mocarstwowej Polski”, podczas której akcentowano również hasła kolonialne. Miała ona formę zebrań i pochodów zorganizowanych w Warszawie. Zgromadziła 435 delegatów z całego kraju — niezbyt imponująca liczba, ale początki często bywają skromne. Zdarzeniu temu nadano znaczny rozgłos — istotne było zainteresowanie ideą kolonialną wsi, dotąd raczej trzymającej się na uboczu tych zagadnień. Pisał o tym obszernie „IKC” (*Wielka...* 1930; artykuł został zamieszczony na stronie 2 — jest to ważne miejsce w tekście).

Relacje z Dni Kolonialnych 7–13 kwietnia 1938 roku mówią o 5 tys. osób zgromadzonych na centralnych uroczystościach w Warszawie, a także o manifestacji mieszkańców Krakowa. Liczbę manifestantów w Poznaniu oszacowano na 40 tys. osób, w Lublinie — na 20 tys., w Toruniu — tyleż samo, w Radomiu — na 10 tys. Podkreślono, że podobne imprezy odbyły się nie tylko we Lwowie, Łodzi, Kielcach, Piotrkowie Trybunalskim, Tarnowie, Chorzowie i Łucku, ale także w takich małych miejscowościach jak Suwałki, Łomża, Grajewo, Ostrołęka, Szczuczyn, a nawet we wsiach, jeśli tylko znalazł się organizator. Wyliczono, że ogółem w całym kraju w Dniach Kolonialnych udział wzięło około 10 milionów ludzi. W 1939 roku Dni Kolonialne odbyły się w czerwcu razem z Dniami Morza pod hasłem: „Morze i Kolonie podstawą rozwoju politycznego i gospodarczego Polski”. Połączenie obu tych imprez było wynikiem konfliktu z Niemcami — manifestowano nierozłączność obu spraw. Podczas uroczystości przeprowadzono uliczne zbiórki na Fundusz Obrony Morskiej oraz Fundusz Akcji Kolonialnej (oba w gestii Ligi Morskiej i Kolonialnej). Na uwagę zasługuje ten ostatni — Fundusz Akcji Kolonialnej był wyraźną próbą przekształcenia idei w praktykę.

Podczas wszelkich imprez kolonialnych nieustannie akcentowano udział w nich przedstawicieli kupiectwa, rzemiosła, robotników i ludności wiejskiej oraz ich entuzjazm. Podkreślano również gremialne wstępowanie robotników z rozmaitych zakładów przemysłowych do Ligi Morskiej i Kolonialnej, skrupulatnie odnotowywane nie tylko w dokumentach Ligi, ale i przez relacjonujące to zjawisko gazety. Zainteresowanie części inteligencji czy mieszkańców miast (w tym kupców czy rzemieślników) sprawami kolonialnymi wydawało się oczywistością, zainteresowanie natomiast robotników czy mieszkańców wsi świadczyło o rozszerzaniu się idei kolonialnej i przyjmowaniu jej za swoją przez wszelkie warstwy i środowiska społeczne oraz zawodowe.

Prowadzona była także akcja odczytowa, docierająca do rozmaitych środowisk. Uzupełniała ją organizowanie wystaw. Dużym zainteresowaniem cieszyła się przyrodniczo-etnologiczna „Wystawa afrykańska”, urządzona w 1934 roku w Muzeum Przyrodniczym w Poznaniu z eksponatów dostarczonych przez ludzi, którzy bawili w Afryce jako lekarze, handlowcy, myśliwi, podróżnicy. W mniejszych miejscowościach odczyty i wystawy stanowiły atrakcję (także kulturalną)

— za ich pośrednictwem docierała tu propaganda kolonialna, rozszerzając zasięg dyskursu kolonialnego.

Część ludzi uczestniczących w wiecach, manifestacjach, pochodach, odczytach, prelekcjach czy zwiedzaniu wystaw mogła być do tego skłaniana (polecenia czy sugestie administracji lokalnej, kierowników zakładów pracy i fabryk, nacisk społeczny otoczenia, że „wypada” wziąć udział w takiej imprezie). Informacje o gremialnym wstępowaniu robotników do LMiK — a było ich w prasie sporo — też mogły być wywołane chęcią spektakularnego podkreślenia wpływów Ligi, a w konsekwencji chęcią wykazania fascynacji szerokich kręgów ludności programem kolonialnym. Jednak ani naciski organizacyjne zwierzchników, ani ewentualny przymus moralny (a może i materialny) nie mogły być decydujące dla udziału tych środowisk w podobnych imprezach czy dla ich akcesu do Ligi — nie powodowałyby masowego uczestnictwa. Istniało spore zainteresowanie tematem, część społeczeństwa w realizacji programu kolonialno-osadniczego dopatrywała się szansy na poprawę swoich warunków bytowych. Kolonialny dyskurs popularny stał się zatem dość powszechny.

Podczas relacji z Dni Kolonialnych zauważano, że uroczystości odbywały się nawet we wsiach, jeśli był tam chociaż jeden nauczyciel zainteresowany sprawą. Podkreślano udział młodzieży ze wszystkich typów szkół — od podstawowych do licealnych. Wyliczono (według danych z początku 1939 r.), że spośród blisko miliona członków Ligi Morskiej i Kolonialnej, jedną trzecią stanowiła młodzież zorganizowana w 3 tys. szkolnych kół LMiK. Założenie koła szkolnego wymagało 20 chętnych, co w szkole (nawet dwuklasowym liceum) nie było liczbą wygórowaną.

Wystawy kolonialno-morskie często organizowane były przez szkolne koła Ligi. Jako wzorcową podawano wystawę zorganizowaną w 1938 roku przez szkolne koła LMiK w Nowym Sączu — jej dział kolonialny złożony był z ekspozatów pokazujących życie i znaczenie kolonii. Z jednej strony wystawy stanowiły dla kół sprawdzian organizacyjny, z drugiej były atrakcją kulturalną, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, gdzie dostęp do imprez kulturalnych nie był tak łatwy — szkoły stawały się tam lokalnymi centrami kulturalnymi.

Ze szkołami powiązane było harcerstwo. Sprzyjało ono uczestnictwu w Lidze Morskiej i Kolonialnej, i to uczestnictwu atrakcyjnemu — urządziło obozy, wycieczki i kursy związane z tak zwanym wychowaniem morskim. Z drugiej strony harcerze byli traktowani jako potencjalni animatorzy i liderzy szkolnych kół LMiK. Harcerstwo ułatwiało docieranie do szkół z propagandą kolonialną; tym bardziej, że wielu nauczycieli-harcerzy działało w Wydziałach Wychowania Morskiego i Kolonialnym LMiK. Nie wszyscy nawet byli jej członkami — wystarczyło, że brali udział w pracach wydziałów i przenosili ich idee do drużyn harcerskich, którymi kierowali, oraz szkół, w których pracowali.

Liga dążyła do tego, aby w każdej szkole istniało koło LMiK. Przewidywała udzielanie stypendiów studiującym handel morski i kolonialny oraz budowę

okrętów, szczególnie zaś uczniom Szkoły Morskiej. Było to działanie praktyczne — w ten sposób idea kolonialna docierała do młodzieży, mając duże szanse na przyjęcie się wśród niej. Szkoły (i harcerstwo) były „rozsadnikami” idei kolonialnej, zwłaszcza w niewielkich miejscowościach, gdzie prasa nie była tak pożyteczna, gdzie trudniej było dotrzeć z odczytami i broszurami czy zakrojonymi na szerszą skalę imprezami — rolę popularyzatorską spełniały tam szkoły i harcerstwo.

Istotne miejsce w dyskursie kolonialnym zajmowali księża przebywający na misjach na obszarach egzotycznych. W 1938 roku misjami zainteresowało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, mając nadzieję, że staną się one ośrodkami rozpoznającymi teren. Kancelaria Prymasa Polski dostarczyła do Wydziału Polityki Emigracyjnej Departamentu Konsularnego MSZ wykaz duchownych przebywających na misjach. Zajęto się zwłaszcza Afryką, gdzie misje mogły być szczególnie pomocne w sprawach emigracyjnych i kolonialnych.

Jezuici — jedna tylko czysto polska misja w Rodezji Północnej, w której pracowało 11 księży, 18 braci zakonnych i 10 siostr zakonnych (Służebniczki Najświętszej Marii Panny), posiadająca 7 punktów filialnych.

Oblaci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny — 3 księży (2 w Unii Południowej Afryki, 1 w Basuto — obecnie Lesotho).

Saletyni — 2 na Madagaskarze.

Pallotyni — 1 w Unii Południowej Afryki.

Ojcowie Ducha Świętego — 6 w Tanganice i na Zanzibarze (obecnie Tanganika i Zanzibar tworzą jedno państwo — Tanzanię).

Siostry Miłosierdzia — 1 na Madagaskarze.

W pozostałych krajach Afryki — 6 księży i 6 braci zakonnych.

MSZ proponowało, aby zainteresować Kościół utworzeniem misji w Gwinei Francuskiej, Mozambiku, Angoli, Kongo Belgijskim i krajach Francuskiej Afryki Równikowej oraz zwiększyć ich liczbę na Madagaskarze.

Poza tym w Azji i Melanezji (na wschodniej, poniemieckiej części Nowej Gwinei — obecna Papua–Nowa Gwinea) działało pięciu księży Werbistów, w Brazylii 30 polskich księży (wyliczano, że potrzeba tam 60 księży), a w Argentynie i Peru po jednym (tam też widziano konieczność zwiększenia ich liczby).

Wątpliwe, by polski Episkopat mógł albo chciał zastosować się w pełni do tych sugestii. Miały one charakter zdecydowanie polityczny, a Kościół wzdragał się przed wplątywaniem się w politykę. Poza tym Kościół polski był uzależniony w tej sprawie od woli Kościołów państw mających kolonie i oczywiście od władz tych państw. Niemniej, niektórych księży ponosił osobisty temperament. Wielu nadsyłało z Afryki i Ameryki Południowej (tam było ich najwięcej) relacje do różnych pism, publikowało książki z pobytu na misjach. Teksty te, dalekie od zainteresowania problemami kolonialnymi, mówią o cywilizowaniu ludów pier-

wotnych, opisując ich obyczaje, życie, kulturę, zawierały cenne spostrzeżenia etnograficzne, tym samym budziły zainteresowanie egzotyką, a niejako „przy okazji” także problematyką kolonialną. Dla przykładu: ks. Kazimierz Konopka, jezuita przebywający na misjach w Afryce, podkreślał konieczność traktowania Murzynów na równi z Białymi — wyjaśniał to dogmatami katolicyzmu, ale i powinnościami duszpasterskimi (by praktyka misyjna nie przeczyła głoszonym ideałom); ks. Franciszek Sokół, misjonarz pracujący w Brazylii, głoszący znaczenie osadnictwa i kolonizacji obszarów podzwrotnikowych ze względu na korzyści gospodarcze dla kraju — możliwość pozyskiwania surowców i produktów rolnych.

W ten sposób dyskurs kolonialny stał się udziałem sporych mas ludzi, obejmując jako uczestników nie tylko elity polityczne, intelektualne, środowiska inteligencji czy kupieckie, ale wszelkie inne, docierając nawet do najbardziej zapadłych zakątków kraju — stał się zatem dyskursem publicznym.

Niektóre osoby odgrywały wszakże szczególną rolę w polskim dyskursie kolonialnym w okresie międzywojennym — byli to politycy, wojskowi, działacze i dziennikarze; niektórzy z nich nadawali dyskursowi najbardziej istotny ton i charakter. Liczne nazwiska zostały już wymienione, zatem by nie zamieniać narracji w spis rodem z książki telefonicznej, przedstawię tylko tych, którzy albo mieli coś ważnego do zakomunikowania, albo cieszyli się szczególnym autorytetem lub zajmowali niekwestionowaną pozycję polityczną w kraju. Do osób tych należał przede wszystkim Józef Piłsudski.

Znane są tylko trzy zdarzenia świadczące o wpływie Józefa Piłsudskiego na dyskurs kolonialny, ale zdarzenia wybitnie znaczące. Pierwsze związane było z jego wyjazdem zdrowotnym na Maderę (15 grudnia 1930–29 marca 1931). W prasie rozeszły się wówczas plotki, że prowadzi on z rządem Portugalii rozmowy w sprawie pozyskania Angoli jako kolonii dla Polski, zdezawuowane ostro po powrocie Marszałka do kraju jako awanturnictwo polityczne, a co najmniej skrajna nieodpowiedzialność.

Zaczął się od artykułu *Polska otrzyma kolonię w Afryce?*, zamieszczonego na łamach „IKC”. Według wersji podanej przez dziennik, pozyskał on „od osób zbliżonych do rodziny Marszałka Piłsudskiego zamieszkałej w Wilnie” wiadomość, że Piłsudski

podczas pobytu w Lizbonie zakończył pomyślnie pertraktacje w sprawie nabycia przez Polskę Angoli (*Polska...* 1930, s. 11).

Po powrocie z odpoczynku na Maderze Piłsudski obrzął dziennik za te plotki i na tym sprawa się skończyła, ale w kraju. Po otrzymaniu raportu od posła RP w Lizbonie, według którego

więcej szkody niż pożytku przyniosły nieogłędne enuncjacje czynników nieodpowiedzialnych (Raport... 1936, s. 12),

Ministerstwo Spraw Zagranicznych musiało łagodzić sytuację wywołaną powyższą plotką. Rząd Portugalii, obawiając się utraty Angoli, zablokował bowiem możliwość nabywania tam plantacji przez Polaków i ich osiedlenia się.

Kolejny przykład, tym razem z 1934 roku, to relacja Józefa Becka przedstawiająca sceptyczny stosunek Marszałka do spraw kolonialnych:

Pierwsza sprawa była właściwie od nas odległa i gdyby nie Liga Narodów, to powinniśmy umyć w tej sprawie ręce. Niezależnie od oficjalnej obecności Abisynii w Lidze, konflikt abisyński był w gruncie rzeczy sprawą kolonialną. (...) Dla nas zatem, jako państwa nie mającego kolonii ani konkretnej polityki kolonialnej, zagadnienie formalnie istniało przez Genewę, a faktycznie jako przedmiot rogrzywki między mocarstwami kolonialnymi. W rezultacie decydującymi dla nas musiały być europejskie reperkusje tego sporu, a nie jego meritum. (...) Marszałek powiedział mi od niechcenia, że trudno będzie mówić praktycznie o trwałym układzie między europejskimi mocarstwami — „dopóki się lewiatany nie pogryzą o Afrykę” (Beck 1987, s. 88).

Trzecie zdarzenie również miało miejsce w 1934 roku. Piłsudski przyjął wówczas przedstawicieli Liberii oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej, przygotowujących traktat między Liberią a Ligą — przestrzegł przedstawicieli Ligi przed wdawaniem się w awantury kolonialne, ograniczając swoje poparcie do ekspansji handlowej. Stanowisko to przypomniał Edward Ligocki w tekście *Czarne lądy a Polska*, przytaczając słowa Marszałka wypowiedziane podczas tej ceremonii:

Poparcie moje ogranicza się jedynie do programu przyjaznej ekspansji w myśl przedłożonego mi przez was projektu. Na żadne marzenia o podbojach nie ma w Polsce miejsca (Ligocki 1937, s. 2–3).

Podboje kolonialne były niepożądane — zdaniem Marszałka odwracały uwagę od politycznych interesów Polski, które muszą być rozwiązywane na miejscu. Wprawdzie Piłsudski rzadko wypowiadał się bezpośrednio na temat spraw kolonialnych, niemniej jego stanowisko wywierało przemożny wpływ na przebieg dyskursu.

Józef Beck, minister spraw zagranicznych w latach 1932–1939, podobnie jak Piłsudski, był niechętny programowi kolonialnemu:

W dziedzinie spraw tzw. kolonialnych przeszła przez Polskę fala dziecinnej wprost ekscytacji. W pierwszej chwili odpowiedziałem naszym „kolonistom”, że moim zdaniem polskie kolonie zaczynają się w Rembertowie (Beck 1987, s. 129).

Musiał jednak zabierać głos w sprawach kolonialnych, wciągany w tę problematykę przez posłów i senatorów, gdy po *exposé* na temat polskiej polityki zagranicznej rozpoczynała się dyskusja z tezami ministra, a także w przypadkach kontrowersyjnych poczynań LMiK, kolidujących z oficjalną linią MSZ, czy wreszcie z powodu zainteresowań kolonialnych jawnie demonstrowanych przez niektórych wyższych urzędników kierowanego przez siebie ministerstwa. Na te-

maty kolonialne wypowiedział się również podczas wystąpień na forum Ligi Narodów — mimo niechęci do idei kolonialnej uznał, że na forum międzynarodowym roszczenia kolonialne Polski mogą być pretekstem do domagania się dla kraju wolnego dostępu do surowców i wolności emigracji.

Wiktor Tomir Drymmer, dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ, zarazem dyrektor Biura Kadr MSZ w latach 1932–1939 (wcześniej oficer zawodowy — kapitan, następnie dyplomata na różnych placówkach zagranicznych; w MSZ znalazł się, gdy Józef Beck objął kierownictwo resortu). Wydawał się być przychylny postulatом kolonialnym, niemniej będąc lojalnym wobec min. Becka, starał się tego nie akcentować. W skład Departamentu Konsularnego wchodziły Wydział Polityki Emigracyjnej i Wydział Polaków za Granicą, zajmujące się między innymi sprawami kolonialnymi (np. Referat Kolonialny w Wydziale Polityki Emigracyjnej). Oba skupiały znaczną liczbę działaczy kolonialnych związanych z Ligą Morską i Kolonialną. Drymmer w dyskurs kolonialny zaangażował się wyraźnie po 1936 roku — zaczął wówczas przewodniczyć wewnętrznym naradom ministerialnym, których celem było opracowanie tez do planu kolonialnego przygotowywanego przez rząd oraz form stawiania przez Polskę żądań kolonialnych i ich kształtu prawnego.

Apoloniusz Zarychta, kapitan Korpusu Geografów WP, z wykształcenia geograf. W latach 1922–1924 pracował jako nauczyciel polski w Paranie. Współpracownik Wojskowego Biura Historycznego, później Wojskowego Instytutu Geograficznego, w 1925 roku jeden z adiutantów marszałka Józefa Piłsudskiego. W 1932 roku został naczelnikiem Wydziału Polityki Emigracyjnej (E I) Ministerstwa Spraw Zagranicznych (wydział ten wchodził w skład Departamentu Konsularnego). Członek Rady Głównej Ligi Morskiej i Kolonialnej przez cały czas istnienia organizacji, w 1930 roku drugi wiceprezes RG LMiK. Z racji wykształcenia i przydziału wojskowego publikował fachowe teksty w „Wiadomościach Służby Geograficznej”; do innych pism elitarnych i popularnych pisał rzadko (jedynie przed 1925 r. i w latach 1926–1932) — do tej powściągliwości zmuszało go stanowisko adiutanta przy Marszałku Piłsudskim, a później stanowisko w MSZ. Zarazem jednak jako działacz LMiK był bardzo zaangażowany w ideę kolonialną.

Na specjalną uwagę zasługuje stanowisko Gustawa Orlicz-Dreszera, generała dywizji o rodowodzie legionowym, po 1926 roku związanego z obozem rządzącym. Po śmierci Józefa Piłsudskiego krążyły pogłoski, że obok gen. Edwarda Rydza-Śmigłego i gen. Stefana Dąb-Biernackiego był on jednym z trzech kandydatów na stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej w latach 1930–1936 — objął to stanowisko jako generał brygady, na początku prezesury mianowany Inspektorem Armii, a z dniem

1 stycznia 1931 roku generałem dywizji; od kwietnia 1933 roku dowódca pułków lotniczych, zaś od 4 lipca 1936 roku Inspektor Armii i Obrony Powietrznej Państwa. Zginął 16 lipca 1936 roku w wypadku lotniczym nad morzem w pobliżu Gdyni–Orłowa.

Gustaw Orlicz–Dreszer za zasadnicze zadanie Ligi Morskiej i Kolonialnej uważał dążenie do koncentracji Polaków na obczyźnie — stworzenia zwartych skupisk polonijnych, pozyskania kolonialnych rynków zbytu dla polskich produktów, eliminacji obcego pośrednictwa w handlu zamorskim, wreszcie skonsolidowania akcji kolonialnej czy kolonizacyjnej na wybranych terenach zamorskich.

Był to program łączący zagadnienia morskie z kolonialnymi. Polscy emigranci mieli być odbiorcami polskich produktów i ich propagatorami na obczyźnie, z drugiej strony mieli eksportować do kraju produkty kolonialne (niewytwarzane w Polsce). Tak postrzegana ekspansja gospodarcza miała przyczynić się do rozwoju gospodarczego kraju. Obecna w wystąpieniach gen. Orlicz–Dreszera frazeologia kolonialna wspomagała uzasadnienie handlowe, trudne w odbiorze dla szerokich rzesz⁹.

Powierzenie prezesury LMiK gen. Orlicz–Dreszerowi było wynikiem kompromisu między działaczami Ligi uznającymi idee kolonialne za priorytetowe a działaczami stawiającymi na pierwszym miejscu rozbudowę marynarki wojennej i floty handlowej. Gustaw Orlicz–Dreszer chciał zharmonizować poczynania LMiK z polityką państwa — podporządkować kolonialne dążenia tej organizacji państwu. Niemniej, znaczna część działaczy Ligi deklaracje prezesa brała dosłownie, stawiając agendy państwa przed faktami dokonanymi. Jeśli prezesura generała była wynikiem kompromisu, to Orlicz–Dreszer okazał się wybitnym szefem stowarzyszenia i doskonałym organizatorem. W ciągu sześciu lat przekształcił Ligę w masową organizację społeczną i polityczną. Zaczęła ona odgrywać istotną rolę w życiu politycznym Polski, stała się ośrodkiem kształtowania opinii publicznej.

Można by tu wymienić i inne znaczące nazwiska. Chociażby dr Gustaw Załęcki, ekonomista i politolog, docent Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1929–1930 wiceprezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Rzecznej (do przekształcenia się LMiR w Ligę Morską i Kolonialną). Był redaktorem naczelnym „Kwartalnika Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, uzasadniał teoretycznie i praktycznie znaczenie kolonializmu dla państw europejskich,

⁹ Najpełniejsza wykładnia poglądów Gustawa Orlicz–Dreszera znajduje się w tekście jego wystąpienia wygłoszonego na zjeździe Ligi Morskiej i Kolonialnej w Krakowie w sierpniu 1935 r. Dokładne omówienie owego wystąpienia zamieścił „Ilustrowany Kurier Codzienny” (*Tak dalej...* 1936). Generał wypowiadał się w nim przeciwko frazeologii mocarstwowej — nie można przecież mówić o mocarstwowości, dopóki w kraju są liczne grupy ludności dotkniętej biedą, a państwo boryka się z trudnościami gospodarczymi.

w tym Polski — używał argumentów politycznych, gospodarczych i społecznych. Ideę kolonialną postrzegał jako element racji stanu, która musi łączyć interes państwowy z narodowym.

Stanisław Pawłowski, profesor geografii na Uniwersytecie Poznańskim, jego rektor w latach 1932–1935, mocno zaangażowany w ideę kolonialną i działalność Ligi Morskiej i Kolonialnej; podobnie jak Gustaw Załęcki, sformułował własną teorię i definicję kolonializmu.

Tadeusz Brudziński, magister inżynier rolnik, magister prawa, studiował ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim i Cornell University w Stanach Zjednoczonych. W latach 1934–1936 z ramienia Ligi Morskiej i Kolonialnej (w dalszych latach już bez formalnego związku z Ligą) rzeczoznawca rządu Liberii do spraw ekonomicznych; w znacznym stopniu przyczynił się do zainteresowania w Polsce Liberią i do ściągnięcia do owego kraju afrykańskiego sporej liczby polskich plantatorów. Syn Józefa Brudzińskiego, jednego z głównych organizatorów Uniwersytetu Warszawskiego, jego pierwszego rektora (1915–1917).

Kazimierz Głuchowski, jeden z pionierów polskiej myśli kolonialnej, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Kolonialnego (późniejsze Polskie Towarzystwo Emigracyjne i Urząd Emigracyjny) i Związku Pionierów Kolonialnych, zwolennik kolonialnej współpracy z Francją i Portugalią w Angoli (kolonizacja osadnicza).

Franciszek Łyp, pedagog, publicysta, podróżnik, doktor geografii. W latach 1914–1926 pracował w Paranie w Brazylii jako nauczyciel w polskich szkołach podstawowych i średnich. Publikował wiele w „Kwartalniku Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” i w „Morzu”. Szczególną uwagę zwracał na Angolę jako potencjalny teren polskiej akcji osiedleńczej, z ewentualnością wydzierżawienia od Portugalii części tej kolonii w celu założenia tam zwartych polskich plantacji i stworzenia czegoś w rodzaju kondominium portugalsko-polskiego (po cichu liczono na okazję zakupu od Portugalii części Angoli jako politycznej kolonii dla Polski). W 1928 roku wziął udział, jako jej kierownik, w zorganizowanej przez Ligę Morską i Rzeczną (właściwie przez Związek Pionierów Kolonialnych) oraz Naukowy Instytut Emigracyjny i Kolonialny wyprawie do Angoli dla zbadania możliwości polskiego osadnictwa. Pokłosem tej wyprawy była praca *Wiadomości o wysokim płaskowyżu Angoli* (Łyp 1931). W swoich publikacjach poruszał też problematykę osadnictwa polskiego w Ameryce Południowej, zwłaszcza w Brazylii.

Mieczysław Bohdan Lepecki, w latach 1930–1935 adiutant Józefa Piłsudskiego. Podróżował do Ameryki Południowej i Afryki (Madagaskar). Od kwiet-

nia 1936 roku prezes zarządu Międzynarodowego Towarzystwa Osadniczego. Stał na czele komisji powołanej wspólnie przez MTO, MSZ i LMiK, badającej w 1937 roku możliwości osadnicze Polaków na Madagaskarze. Jeden z twórców opracowanego w 1936 roku programu kolonialnego obozu rządowego.

Liczną i znaczącą grupę uczestników dyskursu kolonialnego stanowili dziennikarze. Jednym z ważniejszych był Edward Ligocki, publicysta „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i „Morza”, propagujący ideę kolonialną i konieczność uzyskania przez Polskę posiadłości zamorskich, mających świadczyć o istotnej pozycji Polski na arenie międzynarodowej.

Zygmunt Dreszer, brat gen. Gustawa Orlicz–Dreszera, publicysta „IKC”, drapieżny w domaganiu się kolonii dla Polski. Koncentrował się często na konieczności zaktywizowania handlu z krajami zamorskimi. Handel jednak miał być tylko etapem do pozyskania obszarów kolonialnych. Jeden z reportaży Dreszera wywołał skandal międzynarodowy, który musiało załagodzić MSZ (Dreszer 1935a, s. 3).

Florian Sokołów należał do autorów najczęściej piszących o sprawach kolonialnych na łamach „Gazety Polskiej”. Były to rozważania polityczne dotyczące znaczenia kolonii dla posiadających je państw i wpływu polityki kolonialnej na sytuację międzynarodową. Tłumaczył, dlaczego metropolie nie chcą i nie powinny rozstawać się ze swoimi posiadłościami. Uzasadniał, że ujawniające się w Polsce dążenia kolonialne mają znaczenie polityczne w kontekście polityki międzynarodowej kraju — mogą uplasować Polskę w kręgu liczących się państw świata.

Kazimierz Smogorzewski był jednym z czołowych dziennikarzy zajmujących się sprawami kolonialnymi w „Gazecie Warszawskiej”. Nadsyłał on reportaże z wystaw kolonialnych urządzanych w latach 20. i 30. we Francji i Belgii. Podnosił w nich znaczenie kolonii dla tych krajów jako źródła potęgi i bogactwa. Pisywał też do „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i „Gazety Polskiej” — dzienników niechętnych „Gazecie Warszawskiej”.

W przypadku dziennikarzy przekonanych o konieczności posiadania kolonii przez Polskę na plan drugi schodziły wewnątrz krajowe różnice polityczne i ideologiczne, sympatyzowanie z tymi czy innymi partiami — ważniejsza stawała się łącząca ich wspólnota przekonań kolonialnych.

Niemalą rolę odgrywali też ci, których można określić mianem podróżników — ich wykształcenie czy wykonywany zawód były bardzo zróżnicowane.

Pułkownik Antoni Dębczyński był podróżnikiem i działaczem kolonialnym, autorem książki *Dwa lata w Kongo* (1928), uznanej za klasykę gatunku i często cytowanej przez uczestników dyskursu kolonialnego. Stwierdzał w niej, że Polska potrzebuje kolonii do wzmocnienia swojej pozycji międzynarodowej i ekonomicznego rozwoju. Publikował artykuły w „Ilustrowanym Kurierze Codzien-

nym”, głosząc że Polacy powinni starać się o kolonie polnieckie. Ich uzyskanie nie załatwi, co prawda, problemu emigracyjnego — klimat uniemożliwia osiedlanie się tam na stałe — mogą one jednak dostarczyć krajowi surowców potrzebnych do rozwoju przemysłu (tzw. kolonie eksploatacyjne). Druga książka Dębczyńskiego, *Haszysz Czarnego Łądu*, nagrodzona na Jubileuszowym Konkursie Powieściowym „IKC” i publikowana w odcinkach na łamach tego dziennika (w 1935 r.), była powieścią sensacyjno-obyczajową. Jej akcja toczyła się w Afryce, a bohaterami byli między innymi polscy plantatorzy, którzy osiedlili się na Czarnym Łądzie. Wybór Afryki jako tła romansu nie był przypadkowy — książka pobudzała zainteresowanie czytelników Afryką, a zatem i sprawą kolonialną.

Wielki rozgłos, a tym samym i poczytność zdobył w latach 20. XX wieku Arkady Fiedler, głośny podróżnik i pisarz, do dziś chętnie czytany. Jeździł po Ameryce Południowej i Afryce. Pisał zycziwie o Indianach, a zarazem podkreślał wytrwałość polskich osadników jako kolonistów niosących cywilizację nie tylko wśród Indian, ale i wśród kabokli (brazylijskich chłopów) — postulował, by państwo otoczyło ich opieką. Entuzjastycznie wypowiadał się o możliwości polskiego osadnictwa na Madagaskarze.

Nawiasem mówiąc, ułatwienia, jakie Fiedler spotykał przy wyjazdach, zdają się świadczyć, że niezależnie od celów podróżniczych i pisarskich działał na prośbę (zlecenie?) Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dowodem na to mogą być dwa dokumenty. Pierwszy z nich, z 15 lutego 1939 roku, to notatka Apoloniusza Zarychty, Naczelnika Wydziału Polityki Emigracyjnej, skierowana do Wiktora Drymmera, Dyrektora Departamentu Konsularnego MSZ:

Pan Arkady Fiedler przywiózł z podróży na Madagaskar w porozumieniu z Wydziałem E I [Polityki Emigracyjnej] szereg książek, map i czasopism do użytku Ministerstwa. Koszt nabycia tych materiałów wyniósł 2934,25 fr. francuskich, tj. 407,85 zł. Wydział E I prosi o wyrażenie zgody na pokrycie tych kosztów z par. 15 części III Budżetu Ministerstwa (Notatka... 1939b, s. 3).

W drugim dokumencie, z 11 marca 1939 roku, ten sam wydział zwrócił się do Międzynarodowego Towarzystwa Osadniczego:

MSZ prosi o wypłacenie p. Arkady Fiedlerowi kwoty 407,85 zł z sum depozytowych Ministerstwa „Fundusz specjalny”. P. Arkady Fiedler zgłosił się po odbiór powyższej kwoty w poniedziałek, tj. 13 marca (Notatka... 1939c, s. 46).

Również inni dziennikarze i podróżnicy udający się do krajów egzotycznych działali na zlecenie MSZ; na miejscu badali możliwości kolonizacyjne. Ministerstwo chciało mieć informacje także od osób z zewnątrz, nieobciążonych urzędniczym spojrzeniem, ci zaś traktowali to jako służbę krajowi.

Wreszcie, trzeba wspomnieć o misjonarzach. Niektórzy z nich zajmowali się nie tylko pracą duszpasterską, równie chętnie chwyтали za pióro, śląc wspomnie-

nia i reportaże z tropików. Interesowali się życiem tak zwanych ludów tubylczych, ale także sprawami kolonialnymi i emigracji, dostarczając często wiadomości etnograficznych.

Ksiądz Alojzy Majewski, duchowny ze Zgromadzenia Księży Pallotyńców, jeszcze przed I wojną światową jako ówczesny poddany Cesarstwa Niemieckiego przebywał wiele lat na misjach w Afryce (Kamerun, Kongo). Wydał dwie wspomnieniowe książki: *Podróż misyjna do Afryki* (1927) i *Cztery lata wśród Murzynów* (1928). Mimo że dotyczyły one okresu przed I wojną światową, nadal były aktualne — zawierały dokładne wskazówki praktyczne dla księży udających się na misje. Dzięki ich opublikowaniu pod koniec lat 20. XX wieku doskonale wpisały się w dyskurs kolonialny.

Ksiądz Kazimierz Konopka to jezuita przebywający na misjach w różnych krajach Afryki (najdłużej w Rodezji Północnej — obecnie Zambia). W swoich korespondencjach zamieszczanych na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” tłumaczył sens organizowania misji nie tylko religijnych (nawracanie „czarnych pogan”), ale i cywilizacyjnych (powinnością Europejczyków jest opiekowanie się miejscową ludnością, podnoszenie jej poziomu życia). Zarazem jednak podkreślał konieczność traktowania Murzynów na równi z Białymi — wyjaśniał to nie tylko dogmatami katolicyzmu i powinnościami misyjnymi (traktowanie katechumenów jako takich samych chrześcijan jak Biali, by praktyka misyjna nie przeczyła głośzonym ideałom), ale także względami humanitarnymi.

Ksiądz Franciszek Sokół był misjonarzem pracującym w Brazylii — stykał się tam z polskimi emigrantami. W „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” głosił sens kolonizacji obszarów podzwrotnikowych ze względu na korzyści gospodarcze dla kraju — możliwość pozyskiwania surowców i produktów rolnych. Porównywał też charakter „starego” (XIX-wiecznego) i „nowego” (XX-wiecznego) wychodźstwa.

To tylko kilka przykładów. Osób zasługujących na wspomnienie zarówno ze względu na rolę, jaką odgrywały w dyskursie kolonialnym, jak i z uwagi na znaczenie ich wypowiedzi dotyczących spraw kolonialnych jest więcej. Ważniejsze jednak wydaje się określenie, jakie grupy społeczne i zawody reprezentowali. Podział na takie kategorie uczestników dyskursu jak politycy, wojskowi, uczeni, działacze (włączając plantatorów osiadłych w krajach tropikalnych), dziennikarze, podróżnicy i pisarze oraz misjonarze (bo i o nich trzeba pamiętać) wynika z odmiennych funkcji, jakie pełnili w dyskursie kolonialnym.

Politycy, naukowcy i wojskowi formułowali strategiczne argumenty dyskursu kolonialnego. Zróżnicowaną grupę stanowili działacze. Do kategorii tej można zaliczyć wielu polityków (np. Apoloniusza Zarychtę, wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych i aktywnego działacza Ligi Morskiej i Kolonialnej), ale również ludzi nie zajmujących stanowisk państwowych, niemniej bardzo aktywnych w przedstawianiu swoich postulatów (np. Stanisława Paw-

łowskiemu, naukowca związanego z Uniwersytetem Poznańskim, jego rektora, zarazem prezesa Okręgu Poznańskiego Ligi Morskiej i Kolonialnej).

Osoby o znaczeniu lokalnym i szeregowi członkowie organizacji społecznych tworzyli peryferyjną grupę uczestników dyskursu, wprowadzającą w życie wskazania zwolenników uzyskania kolonii dla Polski. Plantatorzy zazwyczaj nie brali aktywnego udziału w dyskursie. Ich utożsamianie się z ideą kolonialną przekładało się na osiedlanie się i pracę na plantacjach, niejako teorię realizującą się w działalności praktycznej. Oprócz wspomnianego już Michała Zamoyskiego, osiadłego w Angoli, wymienić można tu Witolda Tańskiego, również osiadłego w Angoli, pisującego do „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, inż. Adama Paszkowicza, także z Angoli, również nadsyłającego korespondencje do „IKC”, Franciszka Gerhartha–Grzywę, plantatora w Liberii, piszącego do „Morza” i „IKC”, Kazimierza Armina i Juliusza Gebethnera, plantatorów również z Liberii, nadsyłających korespondencje do „Morza”.

Dziennikarze i pisarze byli aktywnymi uczestnikami dyskursu, zwłaszcza jego wersji popularnej. Wśród pisarzy warto wymienić tych najbardziej znanych, czytanych jeszcze dziś: Józef Birkenmajer — poeta, krytyk literatury i tłumacz (m.in. powieści Rudyarda Kiplinga), związany z „Gazetą Warszawską”; Jalu Kurek — uważany w latach 30. za młodego, obiecującego twórcę, współpracujący z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym”, zwracający uwagę, że skolonizowana Afryka dąży do tego, by przemówić własnym głosem, niemniej podnoszący konieczność europejskiej misji cywilizacyjnej na tym kontynencie; Witold Zechenter — też związany z „IKC”, na łamach którego publikował teksty głoszące potrzebę uzyskania przez Polskę posiadłości zamorskich; Wacław Gąsiorowski — popularny autor trylogii historycznej *Huragan, Rok 1809, Szwoleżerowie Gwardii*, pisujący w „IKC” o potrzebie kolonii dla Polski.

Powiązanie niektórych z wymienionych wyżej osób z dyskursem kolonialnym może dziwić, niemniej byli to ludzie wypowiadający się za koniecznością uzyskania przez Polskę terytoriów zamorskich. Ich udział w dyskursie świadczy o powszechności debaty kolonialnej. Pisarze polscy zarówno w okresie zaborów, jak i w latach 1918–1939 pretendowali do miana sumień narodu, chętnie wypowiadali się w imieniu społeczeństwa, pragnąc kształtować je intelektualnie i moralnie.

Uwzględnione zostały tu instytucje, organizacje i osoby dominujące w dyskursie, nadające ton kolonialnej publicystyce. Trzeba jednak pamiętać, że instytucji i osób biorących udział w badanej dyskusji było znacznie więcej; wiele z nich zostało wymienionych w tekście.

Można też spróbować nakreślić, jakie stanowisko wobec dążeń do uzyskania przez Polskę kolonii zajmowały ugrupowania polityczne. Często ich poglądy były zaskakujące, nie odpowiadały powszechnym mniemaniom.

Zdecydowana większość działaczy kolonialnych i zwolenników pozyskania terytoriów zamorskich wywodziła się — najogólniej mówiąc — z ugrupowań piłsudczykowski lub sympatyzujących z nimi (czy — jak zechcemy je określić — obozu belwederskiego, sanacji itp.). W wielu przypadkach zaświadczały to ich życiorysy. Byli to ludzie czynu: w czasie I wojny światowej służyli w Legionach, należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej. W posiadaniu kolonii przez Polskę widzieli szansę na zwiększenie znaczenia kraju w świecie. Ścisła czołówka piłsudczyków była jednak powściągliwa, jeśli nie niechętna idei kolonialnej, co było zgodne ze stanowiskiem samego Marszałka czy ministra Becka. Z drugiej strony część elity tej grupy przewodziła zamierzeniom kolonialnym, na przykład gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ich zamiarem nie było jednak ambicjonalne zdobywanie tropikalnych obszarów czy podkreślanie mocarstwowej pozycji Polski, kierowały nimi względy gospodarcze — ekspansja handlowa kraju mająca na celu podniesienie jego znaczenia gospodarczego oraz pobudzenie inicjatywności ludzi, bez biernego czekania „aż państwo da”.

Narodowa Demokracja zasadniczo była przeciwna idei kolonialnej — osłabiłaby ona żywioł polski na miejscu. Osadników rozproszonych za morzami trzeba by uznać za straconych dla Polski. Narodowa Demokracja postulowała zatem wysyłanie jako emigrantów lub osadników do ewentualnych polskich posiadłości Żydów i Rusinów (Ukraińców), ale nie Polaków. Dzięki temu w kraju „poprawiłyby się” proporcje między żywiołem etnicznie polskim i „obcym narodowo”. Oczywiście, wielu endeków chętnie przyjmowało ideę Polski mocarstwowej, wyrażającą się między innymi w posiadaniu kolonii.

Stronictwo Ludowe (i wcześniejsze, przed zjednoczeniem w 1931 r., partie ludowe) też zasadniczo było przeciwnie staraniom o kolonie. Pragnęło bowiem dokończenia reformy rolnej. Uzyskanie kolonii oznaczałoby odpływ do nich znacznej części ludności chłopskiej jako osadników, przez co w kraju mogłoby zabraknąć dostatecznego nacisku mas na dokończenie reformy. Niemniej, wizja pozyskania dla tej warstwy samodzielnych gospodarstw chłopskich, choćby i w tropikach, kusila, pod warunkiem utrzymania ich w orbicie polskości.

Polska Partia Socjalistyczna była raczej obojętna wobec idei kolonialnej. Wprawdzie ze względów etycznych czy też ideowych nie wypowiadała się wyraźnie za nią, niemniej zdawała sobie sprawę, że własne kolonie mogą przyczynić się do zmniejszenia bezrobocia w miastach — zatrudnienie w koloniach bezrobotnych mogło przynieść odczuwalną poprawę, jeśli nie zupełną niemal likwidację tej plagi społecznej.

Takie były stanowiska głównych partii politycznych Drugiej Rzeczypospolitej. Inne ugrupowania głos w sprawach kolonialnych zabierały rzadko, od przypadku do przypadku, nie formułując oficjalnego, to znaczy programowego stanowiska. Właściwie były to wypowiedzi indywidualne, nigdy zaś w imieniu partii.

Charakterystyczne, że podział na zwolenników zdobywania kolonii i ich przeciwników nie przebiegał wzdłuż granic partyjnych, lecz w poprzek nich. Niezależnie bowiem od przynależności partyjnej, sympatii politycznych czy ideowych wiele osób opowiadało się za posiadaniem kolonii przez Polskę, stanowiąc wspólnotę „ponad podziałami”. Publikowali oni swoje poglądy nie tylko we „własnych” organach, ale również na łamach pism przeciwników, na przykład zwolennicy endecji w „Gazecie Polskiej”. „Ilustrowany Kurier Codzienny” i „Morze” stanowiły z kolei pisma, na łamach których spotykali się zarówno wszyscy entuzjaści, jak i przeciwnicy kolonii.

Na przykład wymieniony wcześniej dr Gustaw Załęcki, związany początkowo z Narodową Demokracją, właśnie z powodu stosunku do kolonii zbliżył się do piłsudczyków — próbował łączyć spojrzenie narodowe z państwowym. Z kolei Apoloniusz Zarychta, wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zarazem wpływowo działacz Ligi Morskiej i Kolonialnej, kontestował — naturalnie w ramach lojalności służbowej — zbyt ostrożną, jego zdaniem, politykę kolonialną swojego szefa, min. Becka.

Przedstawienie uczestników dyskursu kolonialnego pozwala uchwycić, jak szeroki był udział społeczeństwa w tej debacie. Na podstawie przytoczonych danych można stwierdzić, że dyskurs cieszył się popularnością (może był powszechny), obejmował liczne oraz rozmaite sfery społeczeństwa. Naturalnie, każda z grup, warstw czy klas była zainteresowana nieco innymi aspektami dążeń kolonialnych — tymi, które ją najbardziej obchodziły.

Treści dyskursu

Po zorientowaniu się, czym był dyskurs kolonialny, oraz sporządzeniu swoistej „mapy” jego uczestników wraz z ogólnym określeniem ich stanowiska wobec problemu, czas najwyższy, by przejść do istoty rzeczy, czyli analizy treści owego dyskursu. O czym debatowano, w jaki sposób, co najbardziej przyciągało uwagę, co było głównym tematem namysłu — oto pytania, na które spróbuję tu odpowiedzieć.

Treści dyskursu to zarówno informacje o jego zawartości i przebiegu, jak i znaczenie owych informacji. Ważne jest tu, jakie pojęcie o całej debacie mieli jej uczestnicy — chodzi nie tyle o poglądy indywidualnych uczestników, ile o poglądy grup społecznych (świadomie lub mimowiednie reprezentowali je poszczególni uczestnicy) oraz interakcję. Nie należy jednak lekceważyć poglądów indywidualnych; w wielu przypadkach one także miały moc wpływania na poglądy grup.

Treści w znacznej mierze określały działania społeczne uczestników dyskursu (sam dyskurs staje się działaniem społecznym jego uczestników) — ponieważ brali oni w nim udział nie tylko jako jednostki, ale też jako członkowie urzędów, instytucji, organizacji i zrzezeń, ich wypowiedzi mogły potwierdzać albo kwestionować poglądy urzędów, instytucji, organizacji itp. Dyskurs stawał się zatem obszarem propagowania pewnych treści i sposobów ich realizacji, wynikających z jakiejś idei. Dyskurs jest zdarzeniem komunikującym („coś” komunikującym) — ludzie używają języka, by przekazać jakieś idee i przekonania albo wyrazić emocje. Czynią to jednak w ramach wyznaczonych przez bardziej złożone sytuacje społeczne i konteksty — zanim bowiem zaczną przekazywać idee i poglądy, muszą wiedzieć, o czym będą mówili, zatem ustalają treści dyskursu.

Wypowiedzi i teksty mają często charakter empiryczny, to znaczy uwzględniają konkretne dane i informacje oraz ustosunkowanie się autorów do nich. Określenie „charakter empiryczny” jest jednak odległe od bezpośredniego znaczenia tego zwrotu. Uczestnicy polskiego dyskursu kolonialnego w większości nie mieli żadnego doświadczenia empirycznego — nie bywali za morzami, nie znali z autopsji warunków życia w koloniach, ich sytuacji politycznej, gospodarczej, ludnościowej. Swoją uwagę koncentrowali na ważnych ich zdaniem tema-

tach społecznych i politycznych, często również gospodarczych — opierali się tu na wiadomościach pozyskiwanych z drugiej ręki (opowieści znawców, którzy z tymi realiami bezpośrednio się zetknęli, informacje z prasy i książek). Zatem ich wypowiedzi, chociaż teoretyczne, za podstawowy cel obrały sobie wywarcie nacisku na instytucje przeważnie państwowe, ale i społeczne, by te realizowały owe tematy w sposób, jaki został przedstawiony w wypowiedziach, tak jak to sobie wyobrażano. Utożsamiając się zaś z instytucjami, starali się przekonać pozostałych uczestników dyskursu do akceptacji przedstawionych przez nich tematów. W łagodniejszej wersji były to nie naciski, a sugestie. W ten sposób uczestnicy dyskursu stawali się rzecznikami pewnych treści, tematów oraz zawartych w nich pojęć i znaczeń. Nie powinno to dziwić — dyskurs kolonialny był dyskursem politycznym (i społecznym) lub też częścią metadyskursu politycznego, który zarazem był dyskursem publicznym¹.

Uściślając na użytek dalszych rozważań termin „dyskurs społeczny”, można uznać go za tożsamy z terminem „dyskurs publiczny” — zakres pojęciowy obu terminów zasadniczo jest taki sam. Interpretowanie tego, co powiedziane w dyskursie, to w istocie pokazanie treści dyskursu. W przypadku dyskursu kolonialnego z lat 1918–1939 to, co powiedziano, zostało zapisane (przynajmniej w większości) w artykułach, dokumentach państwowych itp. Zatem analiza dyskursu to interpretacja tego, co zostało utrwalone w zapisie. Katalog treści pozwala natomiast zorientować się, jakie problemy wchodziły w zakres rozmowy i wymiany myśli, które z nich były dominujące, a które mniej zasadnicze.

W rozdziale tym podział dyskursu kolonialnego na elitarny i popularny nie ma racji bytu — treści były identyczne dla obu odmian (jedynie styl i język wypowiedzi bywały zróżnicowane). Jest to wynik dosyć ujednoczonego spojrzenia na zasady kolonializmu i powszechnie przyjmowanego znaczenia posiadania terytoriów zamorskich dla kraju i społeczeństwa (nie można, oczywiście, zapomnieć o zabierających głos przeciwnikach idei kolonialnej).

Definicje kolonii

Słowo „kolonia” najczęściej oznacza posiadłość metropolii, przeważnie zamorską, podporządkowaną jej politycznie. Tym samym terminem określa się również grupę osób (niekiedy liczną, wielotysięczną, a nawet wielomilionową społeczność) przebywających na emigracji, przeważnie na stałe, na ogół utrzymujących ze sobą kontakty z racji poczucia wspólnoty: wspólnego pochodzenia etnicznego (narodowego), języka, historii, kulturowanych tradycji.

¹ Wiążące się z tym zagadnieniem kwestie sygnalizuje Anna Malewska-Szałygin (2005). Dokładniej sprawa ta zostanie omówiona w rozdziale „Funkcje dyskursu”, w punkcie dotyczącym miejsca dyskursu kolonialnego w szerszym dyskursie (metadyskursie) publicznym.

W omawianym czasie (1918–1939) określenie to stosowano na przykład wobec emigrantów w Brazylii („polska kolonia w Brazylii”), niekiedy dokładniej podając ich lokalizację geograficzną („w Paranie”) — rozumiano pod nim Polaków, którzy osiedlili się w tym kraju, a nawet ich drugie, trzecie czy czwarte pokolenie, które poczuwało się mniej lub bardziej wyraźnie do jakichkolwiek związków ze „starą” ojczyzną i tworzyło na wychodźstwie zwarte skupiska, utrzymujące ze sobą kontakty. Ówczesne instytucje państwowe i społeczne oraz prasa poświęcały tego typu koloniom sporo uwagi. Gazety popularne (ale i elitarne) zamieszczały relacje o skupiskach emigrantów i ich potomkach w Brazylii, innych państwach Ameryki Południowej (szczególnie w Argentynie i Peru) czy wreszcie całego świata. Urzędy zaś i instytucje państwowe oraz organizacje społeczne opracowywały programy opieki nad „polskimi koloniami” i „polskimi kolonistami”, czyli nad emigrantami i ich skupiskami na obczyźnie².

Trzeba zatem pamiętać o dystynkcji w rozumieniu słowa „kolonia” — posiadłość polityczna lub skupisko wychodźców (i pochodnych, np. „koloniści” jako emigranci lub osiedleńcy w kolonii). Oba znaczenia znajdują odbicie w dyskursie kolonialnym. Postulaty kolonialne w Drugiej Rzeczypospolitej łączyły się bowiem ze sprawą emigracji. Ambicja pozyskania kolonii politycznych jako administracyjnych posiadłości Rzeczypospolitej była związana także z chęcią zwiększenia oraz usprawnienia czy ułatwienia emigracji z powodu, jak sądzono, przeludnienia kraju.

Na potrzeby pracy należy przyjąć, że kolonie to posiadłości zazwyczaj zamorskie, nie sąsiadujące bezpośrednio z metropolią, podległe politycznie metropolii i zarządzane przez jej administrację, uzależnione od niej także pod względem gospodarczym, społecznym, poddane działaniu kulturowemu metropolii. Tak właśnie kolonie określał Gustaw Załęcki:

Kolonie polityczne są obszarami stanowiącymi własność jakiegoś państwa, nie uważającego tego obszaru za część własnego, właściwego obszaru państwowego. W związku z tym i ludność autochtoniczna kolonii nie jest ludnością państwa kolonię posiadającego i w państwie tym nie posiada praw równych obywatelom czy też poddanym państwa macierzystego. Kolonie posiadają zwyczajnie swój własny statut polityczny, różny od ustroju państwa macierzystego i za państwa osobne nie mogą być uważane, ponieważ czerpią one swoją strukturę polityczną nie same z siebie, ale z woli państwa, którego są własnością (Załęcki 1930, s. 523)³.

² Były to przede wszystkim: Liga Morska i Rieczna (późniejsza Liga Morska i Kolonialna), Urząd Emigracyjny oraz poprzedzające go Polskie Towarzystwo Kolonialne i Polskie Towarzystwo Emigracyjne, Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze, „Światpol”, a z urzędu Ministerstwo Spraw Zagranicznych (za pośrednictwem Urzędu Emigracyjnego) oraz Ministerstwo Przemysłu i Handlu.

³ Jest to jego ostateczna definicja. Pierwsze próby zdefiniowania pojęcia „kolonia” Załęcki podjął w 1928 r. (Załęcki 1928, s. 33–63). Dał też wówczas przegląd zagranicznych definicji kolonii, dochodząc do wniosku, że są one zasadniczo zbieżne z ostatecznie zaproponowaną przez niego. Definicja Załęckiego z 1928 r. została doprecyzowana w pracy z 1930 r.

Definicja ta wydaje się najlepiej określać pojęcie kolonii — tak pojmowano je zarówno w dyskursie elitarnym, jak i popularnym. Oznacza to, że kolonie to terytoria obce geograficznie i etnicznie, poddane pełnemu (politycznemu i administracyjnemu) panowaniu metropolii — ich ludność tubylcza znajduje się całkowicie pod władzą metropolii, nie ma takich praw, jak obywatele metropolii. Kolonie nie są samodzielnym podmiotem prawnym, nie posiadają samodzielności administracyjnej, stanowią polityczny i ekonomiczny „dodatek” do metropolii, które czynią z nich użytek dla rozwoju własnej gospodarki; ich posiadanie świadczy o prężności politycznej i zdobywczości metropolii. Interesem Polski było zatem pozyskanie takich właśnie posiadłości:

Kolonie polityczne będą jeszcze długo jedną z ważkich form uporządkowania świata. Będą one może zanikały w jednych punktach, aby tym intensywniej ujawnić się na drugich punktach. W tropikach trwałość ich zapowiada się stosunkowo najdłużej i tam też ma ona swój najgłębszy sens z punktu widzenia interesów gospodarstwa światowego (tamże)⁴.

Definicja ta do szeregu państw kolonialnych zaliczyła także Rosję (Związek Radziecki). Jednak w tym przypadku obszary zdobyte sąsiadowały bezpośrednio z metropolią, były uważane za część jej własnego obszaru państwowego, posiadały ten sam status polityczny jako prowincje kraju, ich ludność formalnie była ludnością całego państwa i posiadała prawa równe obywatelom państwa „macierzystego”. Wyjątek ów uzasadniano tym, że kolonia nie musi być oddzielona od metropolii geograficznie, może być formalnie włączona do jej terytorium, a jej mieszkańcy mogą mieć formalnie równe prawa z obywatelami metropolii — decyduje nie tyle status prawny, bywający parawanem istotnego stanu rzeczy, ile praktyka polityczna, traktująca podbite ziemie jako terytoria niezdolne do samodzielnego istnienia, zaś mieszkańców jako ludzi niedostatecznie cywilizowanych, wymagających opieki i decydowania w ich imieniu. Podobnego zdania byli inni autorzy definicji kolonii. Niemniej, przykład Rosji był przytaczany rzadko, jedynie na marginesie ogólniejszych rozważań kolonialnych.

Trzeba zaznaczyć, że ogólnie autorów prac teoretycznych zajmujących się sformułowaniem definicji kolonii było niewiele. Czyniono to sporadycznie, przy okazji zagadnień dotyczących polskich zamierzeń kolonialnych, kierując się przeważnie wiedzą potoczną lub też czerpiąc przykłady z doświadczeń zagranicznych. Właściwie tylko dwóch uczonych zajmowało się tym zagadnieniem: Gustaw Załęcki i Stanisław Pawłowski.

Wracając do samej definicji kolonii, rozróżniano kolonie osadnicze (ludnościowe) i eksploatacyjne (surowcowe, kapitałowe). Scharakteryzował je Gustaw Załęcki:

⁴ Przez zanikanie kolonii w jednych punktach autor rozumiał ewolucję pewnych terytoriów do rangi dominiów, a przynajmniej protektoratów, zaś przez ujawnianie się ich w innych punktach — podboje kolonialne państw europejskich tam, gdzie było to jeszcze możliwe.

Koloniami ludnościowymi nazywamy zbiorowości zamieszkujące w trybie osiadłym świeżo objęte terytoria, o tyle i tak długo, jak długo zbiorowości te posiadają poczucie odrębności i świadomości pochodzenia z innej osiadłej, autochtonicznej zbiorowości (Załęcki 1928a, s. 17).

Kolonie ludnościowe autor ten nazywał również ludnościowo-osadniczymi. Pochodzenie mieszkańców kolonii od innej zbiorowości, wywodzącej się ze „starego” kraju, powinno mieć charakter powszechności i moralnej łączności z macierzą, by takie posiadłości można nazwać koloniami. Zastrzeżenie to jest istotne. Kanada i Australia, niegdyś kolonie, przestały odczuwać ścisły związek polityczny z macierzą (Wielką Brytanią) i wyewoluowały w niepodległe byty polityczne — dominia. Pozostało w nich jednak poczucie wspólnoty pochodzenia i łączności kulturowej ze „starym krajem”, a z drugiej strony poczucie odrębności zbiorowości osiadłych tam Anglosasów od zbiorowości autochtonicznych — Indian i Eskimosów czy też Aborygenów. Również Nowa Zelandia i Unia Południowej Afryki to terytoria niegdyś kolonialne, które stały się dominiami. Sądzono, że podobna przyszłość czeka Rodezję Północną i Południową (obecne Zambia i Zimbabwe) oraz Kenię — terytoria stosunkowo licznie zasiedlone przez kolonistów z Wysp Brytyjskich i popularnie określane jako „kraje białego człowieka”. W innych posiadłościach brytyjskich osadnictwo przybyszów z macierzy było nieliczne — przeważali urzędnicy administracji kolonialnej, przedsiębiorcy, oficerowie oraz podoficerowie wojska i policji kolonialnej; mieszkali tam jakiś czas, lecz nie jako stali osadnicy.

Podobne zjawiska dostrzegano w posiadłościach portugalskich (Angola, Mozambik)⁵ — osiadła tam ludność portugalska, przeważnie plantatorzy, przedsiębiorcy, fachowcy rozmaitych profesji, drobni rzemieślnicy, kupcy i sklepikarze, była nieliczna w stosunku do ludności autochtonicznej.

W posiadłościach francuskich przybyszów z kraju macierzystego było niewiele — wyjątek stanowiła tu Afryka Północna, zwłaszcza Algieria, której przyszłość była upatrywana podobnie do Kanady czy Australii, choć w nieokreślonej czasowo perspektywie. Podobna sytuacja ukształtowała się w Kongo Belgijskim i Indiach Holenderskich (Indonezja). Nie były to więc — w świetle definicji — kolonie ludnościowe, lecz kapitałowe (surowcowe) albo o znaczeniu strategicznym (wojskowym lub politycznym). Dostyc, że cechami kolonii ludnościowych są: stała osiadłość przybyszów z metropolii, świadomość pochodzenia z metropolii i łączność z nią oraz poczucie odrębności wobec ludności miejscowej (tubylców).

Przedstawienie kolonii ludnościowych (osadniczych) należących do metropolii europejskich miało w polskim dyskursie nie tylko funkcje informacyjne. Istotne było ustalenie, jakie stosuje się w nich zasady administrowania, zebranie wiadomości, czy nadają się one do masowego osadnictwa, czy administracja

⁵ Zob. np.: Głuchowski 1927, 1928a; Łyp 1928.

metropolitarna i kolonialna będzie godziła się na przyjęcie nowych przybyszów z Polski i czy zostaną im zapewnione warunki do efektywnego gospodarowania, podtrzymywania łączności z krajem oraz zachowania etnicznej swoistości (tożsamości) grupy.

Kolonie kapitałowe z kolei (zwane również surowcowymi albo eksploatacyjnymi) określono jako takie, gdzie działają

(...) przedsiębiorstwa na stałe z woli swych właścicieli z jakimś nowym, obcym terenem związane, oparte na kapitale, będącym własnością nie osadników — a więc nawet osób na nowym terenie ewentualnie nie zamieszkałych, ale bądź co bądź osób do jakiejś zbiorowości należących — i mające na celu opanowanie pewnych gałęzi przemysłu lub handlu w obcym kraju, przy równoczesnym zachowaniu pewnego charakteru odrębności w stosunku do kapitałów zależnych od właścicieli innych zbiorowości (Załęcki 1928, s. 27–28).

W kolejnych publikacjach Gustaw Załęcki sprecyzował pojęcie kolonii ludnościowych (osadniczych, emigracyjnych) i kapitałowych (eksploatacyjnych, surowcowych):

Kolonią w najogólniejszym tego słowa znaczeniu nazywamy teren zajęty przez osiadłą społeczność, która od innej jakiejś osiadłej społeczności zaczerpnęła masowo materiał ludzki, lub też liczne formy społecznego życia i społecznej kultury, względnie zorganizowane kapitały (Załęcki 1930a, s. 249–250).

Autor miał tu na myśli kolonie ludnościowe, które koloniami politycznymi nie były — były koloniami w znaczeniu osadnictwa emigracyjnego. O kapitałowej (surowcowej, eksploatacyjnej) formie kolonii pisał następująco:

Koloniami kapitałowymi nazywamy takie tereny i ich społeczności, wśród których przedsiębiorstwa należące do nieraz zagranicznych i zawsze obcych danemu terenowi podmiotów gospodarczych ulegają dyspozycjom tych obcych podmiotów, przy czym te w nieznacznym tylko stopniu mogą być ograniczane wolą czynników osiadłych na terenie pracy tych przedsiębiorstw. Takimi koloniami kapitałowymi są np. wszystkie prawie przez białych zagospodarowane tereny tropikalne (tamże, s. 250).

Wprowadził jeszcze jedno pojęcie kolonii politycznych, związane z wcześniej podaną definicją. Zauważył jednak, że polityczną może być również kolonia ludnościowa i/albo eksploatacyjna (chodziło tu o podkreślenie wzajemnych związków łączących rozmaite typy kolonii):

Kolonią polityczną jest społeczność, która od innej społeczności osiadłej, państwowo zorganizowanej, czerpie formę publiczno-polityczną i której terytorium jest nie częścią, a własnością tej innej, z zewnątrz stojącej, państwowej społeczności (tamże).

Kolonie polityczne mogą zatem być albo ludnościowymi (osadniczymi), albo kapitałowymi (eksploatacyjnymi), albo jednymi i drugimi jednocześnie. Ideałem dla każdej macierzy wytwarzającej kolonie, czyli — jak to określił Załęcki — po

prostu uzyskującej je, jest, by kolonie polityczne były zarówno ludnościowymi, jak i kapitałowymi. Nie zawsze jednak te dwa typy kolonii występują łącznie:

Tereny kolonialne można pod względem gospodarczym z grubsza podzielić na nadające się do masowej kolonizacji i na kolonie, które tylko kapitalistycznie [to znaczy inwestycyjnie czy gospodarczo] można eksploatować (tamże).

Przez kolonizację Załęcki rozumiał zarówno zajmowanie jakiegoś obszaru przez macierz na własność, jak i zorganizowane osadnictwo emigracyjne, utrzymujące wszakże kontakt językowy i kulturalny (tradycja, pielęgnowanie obyczajów wyniesionych z miejsca pochodzenia) z macierzą czy też „starym” krajem (co zostało już zasygnalizowane), zwłaszcza że — jak podkreślał — istotą posiadania kolonii jest czynnik ludzki, czyli stała osiadłość przybyszów z metropolii w jej posiadłościach. Przy tym świadomość pochodzenia od „zbiorowości metropolitarnej” powinna mieć charakter powszechny. Pozwala to na utrzymanie poczucia łączności z macierzą i zdecydowanie odróżnia od tubylców, nie dopuszczając do niepożądanego — jak można rozumieć — akulturacji, osłabiającej tak konieczną więź z macierzą. Ubolewał, że Polska nie posiada kolonii politycznych, a jedynie ludnościowe, czyli duże skupiska emigracyjne za granicą, głównie w krajach Ameryki Południowej. Co prawda, plantatorów w Afryce nie porównywał z emigrantami południowoamerykańskimi — traktował ich jako pionierów kolonizacji na wypadek ewentualnej zamiany kolonii ludnościowej w polityczną.

Swoją definicję kolonii skonstruował także Stanisław Pawłowski:

Przez kolonię rozumiemy pierwotne osiedle założone dla różnych celów: rolniczych, handlowych, nawet czysto mieszkalnych itd. Kolonizacja zaś jest to proces okupowania jakiegoś obszaru celem założenia na nim kolonii. Z czasem zatracił wyraz „kolonia” swoje dawne znaczenie. Kolonie — to nie tylko osiedla. Są to wielkie obszary, przydatne do zakładania osiedli. Mamy więc kolonie w ścisłym znaczeniu. Kolonie w szerszym znaczeniu są terytoriami pozostającymi bezpośrednio pod panowaniem lub opieką państw innych. W terytoriach tych proces kolonizacji może odbywać się, i nawet czasem odbywa się, ale nie jest to proces konieczny (Pawłowski 1934, s. 5).

Do tego miejsca Pawłowski był zgodny z Załęckim. Przy rozróżnianiu typów kolonii zmienił jednak zasadę klasyfikacji — do definicji kolonii stosował różne kryteria jej rozumienia. Na początek przedstawił podział przeprowadzony przez niemieckiego geografa A. Hettnera w pracy *Der gang der Kultur über die Erde* (1929):

- 1) kolonie gospodarcze (zwane dawniej plantacyjnymi), występujące w Afryce Zwrotnikowej, części Indii Wschodnich (to pojęcie obejmuje obecne Indie, Pakistan, Birmę, Cejlon i Indonezję) i na wyspach Oceanii;
- 2) kolonie osadnicze, emanacja kraju macierzystego — w umiarkowanych klimatycznie krajach obu Ameryk, w Australii i na Syberii (tu znów Ro-

sja została przytoczona jako przykład metropolii kolonialnej, aczkolwiek marginalnie);

- 3) kolonie okupacyjne — Indie Brytyjskie i Holenderskie (Indonezja), francuska Afryka Północna;
- 4) kolonie mieszane i asymilacyjne — w tropikalnych terenach Ameryki na obszarach dawnej kolonizacji hiszpańskiej i portugalskiej (tamże).

Uznając ten podział za archaiczny i stwierdzając, że zasada zróżnicowania kolonii w tym ujęciu jest zmienna („nie można bowiem nie zgodzić się na to, że kolonie okupacyjne są zarazem koloniami gospodarczymi”), Stanisław Pawłowski zaprezentował podział, jakiego dokonał G. Hardy w pracy *Géographie et colonisation* (1933):

- 1) kolonie emigracyjne (Kanada, Australia, Afryka Południowa, Ameryka Łacińska i Antyle, francuska Afryka Północna); na tych terenach nastąpiło

(...) wyparcie całkowite lub częściowe elementu tubylczego przez ludność napływową i zaaklimatyzowanie się ludności napływowej czy to w stanie czystym, czy to jako rasa mieszana (...). Zakorzenienie się ludności okazuje się stałe. Ludność tubylcza, jakkolwiek tu i ówdzie się zachowała, nie odgrywa poważniejszej roli (tamże, s. 6–7);

- 2) kolonie dostosowania się (Indie Wschodnie); Europejczycy nie zmienili w nich składu etnicznego, dostosowali się do stanu już istniejącego;
- 3) kolonie pozycyjne lub inaczej komunikacyjne, czyli takie, których posiadanie uzasadnione jest względami handlowymi lub politycznymi (można dodać, że i — a może przede wszystkim — strategicznymi) (tamże, s. 5–11).

Pawłowski zauważył jednak, że rzadko mamy do czynienia z koloniami reprezentującymi którąś z powyższych form — przeważają typy mieszane. Sam postanowił rozbudować kryteria podziału:

Gdy zastosujemy kryterium ekonomiczne, możemy rozróżnić kolonie rolnicze, plantacyjne, przemysłowe, górnicze, handlowe, komunikacyjne, składowe, rybołówcze itp. Gdybyśmy wzięli pod uwagę tylko stosunki ludnościowe, to mamy kolonie o ludności tubylczej, mieszanej (tubylczej i nowoprzybyłej) oraz ludności nowoprzybyłej. Pod względem położenia mamy kolonie i kolonizację wewnętrzną, to jest wewnątrz terytorium państwowego prowadzoną, i kolonizację zewnętrzną, prowadzoną na terytoriach pozapaństwowych, a więc w innych krajach. Odłamem tej kolonizacji jest kolonizacja zamorska (tamże, s. 7).

Dalej autor oznajmił, jakie kolonie określa mianem prawno-politycznych:

Mamy więc kolonie bezpośrednio zawisłe od państwa macierzystego i kolonie pośrednio zawisłe (tamże).

Wśród różnych form zawisłości bezpośredniej i pośredniej wymienił protektoraty, mandaty, kolonie parlamentarne, autonomiczne, dominia i obszary ochronne.

W końcu możemy wyróżnić czysto geograficzne kategorie kolonii. Według tego otrzymamy kolonie nizinne, wyżynne, kotlinowe, górskie, deltowe, pustynne, na krawędziach i stokach gór, o klimacie gorącym, podzwrotnikowym, umiarkowanym, zimnym itp. (tamże).

Po przedstawieniu powyższej charakterystyki autor doszedł jednak do wniosku, że określenia te nie wyczerpują wszystkich cech kolonii.

Należy więc zerwać z dotychczasowym sposobem charakteryzowania kolonii (...). Chodzi tu po prostu o stosunek tzw. kraju macierzystego do kolonii. Zupełnie inny jest jednak stosunek do kolonii państwa lub narodu nie posiadającego własnych kolonii w szerszym znaczeniu, jako terytoriów od siebie zawisłych. Państwo takie lub społeczeństwo posiadać może jednak kolonie w znaczeniu ściślejszym na terenie sąsiedniego państwa (...). Poza tym Polska posiada kolonie swoich obywateli lub kolonie etnograficznie polskie w wielu krajach europejskich i w krajach pozaeuropejskich. (...) Są to kolonie emigracyjne (tamże).

Stanisław Pałowski nie tylko definiował, ale i klasyfikował kolonie według rozmaitych kryteriów. Łączył polityczne pojęcie kolonii jako obszaru podległego metropolii z pojęciem kolonii jako grupy osadniczej, zamieszkującej stale na terenie innego kraju (Pałowski 1936, s. 5). Takie zamienne stosowanie pojęcia „kolonie” ujawniało się także w wypowiedziach innych uczestników dyskursu — rozumienie kolonii politycznych i emigracyjnych (osadniczych) było tam jednak bardziej dystynktywne. Pałowski nie stawiał wprawdzie znaku równości pomiędzy nimi, ale i nie stosował zdecydowanego rozróżnienia.

Próba podjęta przez Stanisława Pałowskiego nie jest klasyczną definicją uogólniającą całość zagadnienia, a jedynie zastosowaniem rozmaitych kryteriów (geograficzne, topograficzne, ekonomiczne, populacyjne, zasady zawisłości, kolonizacji wewnętrznej i zewnętrznej) do opisu rodzajów kolonii.

Przedstawione definicje kolonii autorstwa Gustawa Załęckiego i Stanisława Pałowskiego były jedynymi wyczerpującymi. Inni uczestnicy dyskursu przyjmowali je — wprowadzali, co prawda, pewne uszczegółowienia, nie zmieniali jednak zasadniczego rozumienia pojęcia kolonii.

W dyskursie kolonialnym mniejszy nacisk kładziono na zagadnienia teoretyczne związane z ideą kolonialną, większy natomiast na zagadnienia praktyczne. Istotną stała się sprawa pozyskania posiadłości zamorskich. Załęcki i Pałowski starali się uporządkować pojęcia kolonialne. Miało to przyczynić się do precyzyjnego ustalenia, o co tak naprawdę w dyskursie kolonialnym chodzi i czym jest idea kolonialna, by „gonitwa” za koloniami nie była bezładna, lecz by została podporządkowana założeniom planów kolonialnych, z uwzględnieniem realnych możliwości uzyskania posiadłości. Definicje miały też określić procedury wykonywania projektów kolonialnych, zwłaszcza kiedy można wykorzystać do tego procesu emigrację i osadnictwo; zatem na jakich procedurach działacze kolonialni winni skupić główną uwagę. Próby sformułowania definicji traktowano jednak raczej jako wkład ich autorów w naukę o koloniach, a nie jako nie-

zbędną część planów kolonialnych. Niemniej warto odnotować, że obaj teoretycy byli zwolennikami podejmowania akcji praktycznych — swoje przemyślenia traktowali jako niezbędne do sprecyzowania owych akcji, by były one bardziej efektywne.

Definicje te wypływały wprawdzie z elitarniej odmiany dyskursu kolonialnego, ale dyskurs popularny przyjmował je jako „swoje” — odpowiadały rozumieniu pojęcia kolonii wśród szerokich rzesz społeczeństwa, jako terytoriów podległych politycznie Polsce, nadających się do masowego osadnictwa, dostarczających surowców niezbędnych dla poprawy gospodarki krajowej.

Wiedza o systemie kolonialnym była konsekwencją wiedzy o koloniach. Przy założeniu, że nastąpi pozyskanie jakichś posiadłości zamorskich, wiedza ta koncentrowała się na opracowaniu zasad administrowania nimi. Ponieważ nie była bogata, czerpano ją z przykładów innych państw. Wnioski wypływające z tych obserwacji starano się adaptować do realiów polskich, czyli szukać takich rozwiązań, które mogłyby być przydatne dla realizacji polskiej myśli kolonialnej.

Istniały oczywiście różne systemy kolonialne, o czym Polacy dobrze wiedzieli. System brytyjski był znany jako *indirect rule* — rządy (zarządzanie) pośrednie. Polegał na tym, że Brytyjczycy, rezerwując dla siebie władzę polityczną w koloniach, nie ingerowali specjalnie w to, co działo się w terenie — sprawowali nad nim jedynie ogólny nadzór. Ludność miejscowa rządziła się sama, według praw i tradycji plemiennych, cieszyła się swobodą kulturalną, obyczajową, gospodarczą — administracja wtrącała się w te dziedziny życia rzadko, jedynie w drastycznych przypadkach. Brytyjczycy świadomie i celowo nie niszczyli tradycyjnych kultur. Oczywiście, następowały nieuniknione zmiany spowodowane zetknięciem się kultur plemiennych z cywilizacją europejską, a przede wszystkim wprowadzaniem europejskich zasad gospodarczych. Nie były one jednak narzucane siłą, przynajmniej formalnie — wynikały w sposób naturalny z odmiennych w charakterze kontaktów kulturowych, chociaż także z przepisów administracyjnych wprowadzanych w koloniach. Brytyjski system kolonialny miał swoje odmiany — nieco inaczej wyglądał w Indiach, kraju o dawnej i utrwalonej cywilizacji, nieco inaczej w Afryce i na wyspach Pacyfiku, gdzie dominowały struktury plemienne. Wszędzie jednak naczelną zasadą były rządy pośrednie.

Inną formę zarządzania swoimi terytoriami wypracowała Francja. Jej administracja kolonialna starała się przenikać do najniższych struktur plemiennych i za pomocą odgórnych zarządzeń wpływać na ich zmianę. Celem nie było niszczenie dla niszczenia, lecz utworzenie warstwy tak zwanych *evolués* — ludzi cywilizowanych, umiejących czytać i pisać — przyswojenie przez nich obyczajów, zwyczajów, zachowań oraz sposobów myślenia typowych dla Europejczyka (tu: Francuza). W efekcie wykształciła się miejscowa warstwa urzędników średniego szczebla, wtopionych w lokalną administrację, oraz kupców i drobnych przedsiębiorców, wtopionych z kolei w zasady gospodarki europejskiej. Francja zarządzała swoimi koloniami w sposób scentralizowany. Dalekosiężnym zamiarem

Francji było uczynienie z Murzynów Francuzów, tyle że o ciemnej skórze. Praktycznie jednak było to niemożliwe do zrealizowania — w posiadłościach francuskich istniały bariery rasowe, hamujące pełną asymilację tubylców do cywilizacji europejskiej. Niemniej, takie były założenia teoretyczne francuskiej polityki kolonialnej. Formy zbliżone do brytyjskiej *indirect rule* stosowano jedynie w Indochinach (Wietnam, Laos, Kambodża) — wynikało to z zaawansowania cywilizacyjnego tego obszaru w porównaniu z Afryką i Oceanią, lecz i tam zmierzano do utworzenia możliwie szerokiej warstwy *evoluée*.

Podobny do brytyjskiego był system holenderski, stosowany zwłaszcza w Indiach Holenderskich (dzisiejsza Indonezja); był on bardziej podporządkowany potrzebom gospodarczym, głównie surowcowym, metropolii. Widać tu jednak i wzory francuskie: do niektórych zawodów i urzędów dopuszczano wykształconych krajowców, nie tylko jako siłę roboczą, lecz także jako urzędników administracji kolonialnej niższego szczebla. Wykształcała się też warstwa rzemieślników, kupców czy inteligencji pracującej w wolnych zawodach.

System portugalski był zbliżony do francuskiego — celem było utworzenie warstwy tak zwanych *assimilado* — jednak nie aż tak konsekwentny. Można tu dostrzec pewien chaos i przypadkowość, a także sporą dozę obojętności w stosunku do barier rasowych. Wydaje się, że zamiarem Portugalii było przede wszystkim utrzymanie kolonialnego stanu posiadania.

System stosowany przez Belgię rozpoznawano jako biurokratyczny. Eksploatowała ona gospodarczo Kongo, nie zwracając uwagi na kulturę tubylców ani nie dążąc do pozyskania ich, nie mówiąc już o asymilacji (częściowo czynili to Brytyjczycy, a wyraźnie Francuzi, Portugalczycy i Holendrzy). Belgię interesowały jedynie korzyści ekonomiczne, jakie mogła wynieść z Konga.

Rozważania o koloniach osadniczych (ludnościowych), surowcowych (kapitałowych, eksploatacyjnych) i politycznych czy o odmiennych systemach kolonialnych, realizowanych przez poszczególne metropolie, pojawiały się też w dyskursie popularnym — powtarzano tu to, co na ten temat miał do powiedzenia dyskurs elitarny, tyle że czyniono to w sposób bardziej przystępny dla przeciętnego odbiorcy. Wystąpienia sprowadzały się do omawiania dwóch podstawowych typów kolonii — osadniczych (ludnościowych) i eksploatacyjnych (surowcowych, kapitałowych); nie wyodrębniano kategorii kolonii politycznych. Pomijanie to wynikało z założenia, że polska kolonia miała być bezwzględnie polityczna (tzn. podległa Polsce), kwestia, czy była by to posiadłość osadnicza czy eksploatacyjna, miała zależeć jedynie od tego, jakie obszary by obejmowała. Wypracowanie własnego systemu sprowadzało się do kompilacji wzorów podpatrzonych u dotychczasowych metropolii.

W owym czasie nieśmiało zaczęły pojawiać się głosy, że ludności obszarów kolonialnych (przynajmniej ludom bardziej zaawansowanym cywilizacyjnie, jak arbitralnie ustalano) należy się niepodległość, a co najmniej jakaś forma autonomii, niemniej system kolonialny trwał nadal, jako rzeczywistość oczy-

wista. Prawo do niepodległości państwowej przysługiwało Europejczykom, szerzej Białym (w tym państwowi Ameryki Łacińskiej); uznawano je też w stosunku do niektórych społeczności azjatyckich. Tak też postrzegano tę kwestię w Polsce.

Tradycyjny stosunek do systemu kolonialnego dominował wśród polskich działaczy kolonialnych lat 1918–1939 — tłumaczy to dążenia do pozyskania przez Polskę posiadłości zamorskich. Hasło o świętym posłannictwie cywilizacji obligowało Polskę do udziału w owym posłannictwie. Polska też przecież była częścią Świata Białych. Tak uważał Leon Radzikowski:

Afrykę skolonizować może Europa tylko wspólnym wysiłkiem, zmuszona do tego presją wewnętrznych swych stosunków i konkurencją dwóch pozostałych kompleksów gospodarczych Azji i Ameryki (Radzikowski 1931, s. 24)⁶.

Takiego obowiązku nie można było zlekceważyć. Przyłączenie się do misji cywilizacyjnej poświadczało obecność Polski w Świecie Białych. Zarazem usprawiedliwiała własne dążenia kolonialne — w przypadku ich powodzenia tłumaczyłoby doskonale obecność Polski w gronie metropolii kolonialnych. Taki stosunek do systemu kolonialnego i myśli kolonialnej wyrażany był zarówno w dyskursie elitarnym, jak i popularnym.

Mandaty

Po przeglądzie definicji należy przedstawić tematy, wokół których koncentrowały się wypowiedzi związane z ideą kolonialną, a także odpowiedzieć na pytanie, kiedy i w jakich kierunkach upatrywano możliwości jej realizacji. Ponieważ owe tematy były zmienne w czasie, zależne od przedmiotów odniesienia i centrów uwagi (focus), odmiennych w poszczególnych latach, przedstawione zostaną w układzie **chronologiczno–geograficznym**, najlepiej je porządkującym. Należy jednak zacząć od sprawy mandatów — była to pierwsza szansa na uzyskanie dla Polski posiadłości zamorskich; w dyskursie kolonialnym zagadnienie to przewijało się do 1939 roku.

Do czasu I wojny światowej w przypadku konfliktu zbrojnego pomiędzy państwami europejskimi państwo zwycięskie zazwyczaj odbierało państwu pokonanemu jego kolonie i przyłączało je do swoich posiadłości. W trakcie I wojny światowej kolonie niemieckie znalazły się pod okupacją państw zwycięskiej Ententy. Te jednak nie dokonały ich automatycznej aneksji do swoich posiadłości. Były zamorskie terytoria niemieckie znalazły się w posiadaniu grupy państw sprzymierzonych, niemającej wszakże własnej osobowości prawnej. Stan fak-

⁶ Tego zdania był także Witold Zechenter (1931). Przypominał on wkład Polaków w ukształtowanie się systemu kolonialnego i wezwał do akcentowania wspólnoty cywilizacyjnej Polski z kolonialnymi metropoliami europejskimi.

tyczny został prowizorycznie usankcjonowany przez Traktat Wersalski — w artykule 119 znalazło się stwierdzenie o możliwości podziału tych terytoriów między zwycięskie państwa lub przekazania ich jakimś innym (z wyjątkiem zwrotu Niemcom). Dopiero artykuł 22 Paktu Ligi Narodów sprecyzował rzecz dokładniej, wprowadzając instytucję międzynarodowego mandatu. Mandat międzynarodowy to powierzenie w imieniu Ligi Narodów zarządzania terytorium zamorskim jakiemuś państwu, przy czym mandatami miały być objęte terytoria kolonialne (w tym przypadku niegdyś należące do Niemiec),

zamieszkane przez ludy jeszcze niezdolne do rządzenia się samodzielnego w szczególnie trudnych warunkach nowożytnego świata (Sukiennicki 1931, s. 163)

Powinnością mandatariuszy był

dobrobyt i rozwój tych ludów — co stanowi święte posłannictwo cywilizacji (tamże)⁷.

Można uznać, że pojawienie się idei mandatów było pierwszym pęknięciem funkcjonującego dotychczas ustroju kolonialnego. Niektóre terytoria przestały być wewnętrzną sprawą władających nimi metropolii — nadzór nad nimi formalnie sprawowała społeczność międzynarodowa poprzez Ligę Narodów. Czy było to pęknięcie? — możemy dyskutować na ten temat teraz, po latach, gdy widzimy skutki tego, co nastąpiło. Wówczas tego pęknięcia nie zauważano. System kolonialny istniał w najlepsze. A mandaty? — trzeba było coś zrobić z obszarami odebranymi Niemcom i Turcji, najlepiej nagrodzić nimi państwa zwycięskiej Ententy.

Mandaty obejmowały terytoria utracone w wyniku I wojny światowej przez Niemcy i Turcję. Podzielono je na kategorię A, B i C. Mandaty typu A obejmowały terytoria zamieszkałe przez społeczności, które osiągnęły taki stopień rozwoju, że można je było uznać za niemal dojrzałe do samodzielności — mandatariusz powinien ograniczyć się tu do rady i pomocy w osiągnięciu pełnej niepodległości. Gdy kraje te „dojrzeją” do niej, mandat wygaśnie. Praktycznie były to dawne posiadłości Turcji: Irak, Syria, Liban, Palestyna i Transjordanja (Jordania). Państwami-mandatariuszami były Francja (Syria i Liban) i Wielka Brytania (pozostałe tereny).

Mandaty typu B to terytoria, których mieszkańcy znajdowali się na niskim poziomie cywilizacyjnym, wymagające bezpośredniego administrowania przez państwa mandatowe. Obowiązkiem mandatariuszy było tu dbanie o tubylczą ludność, doprowadzenie tych terytoriów do takiego poziomu rozwoju, który pozwoliłyby miejscowym społecznościom dojrzeć do samodzielności (aczkolwiek w nieokreślonym czasie; nie sformułowano zasad warunkujących osiągnięcie odpowiedniego poziomu rozwoju, nie stwierdzono nawet, na czym on polega). Do tego typu mandatów zaliczono dawne kolonie niemieckie w Afryce, miano-

⁷ Podobnie rzecz określali Jerzy Stanisław Zajączkowski (1931) i Karol Pindor (1937).

wicie Kamerun, Togo i Niemiecką Afrykę Wschodnią (obecna Tanganika) — terytoriami wyłoniłymi ze wschodnich obszarów tych posiadłości (m.in. Rwan- da i Burundi) zawiadywała Belgia, Kamerun i Togo niemal w całości znalazły się pod zarządem Francji, z kolei Tanganika i wschodnia, mniejsza część Kame- runu oraz zachodnie skrawki Togo oddane zostały pod administrację Wielkiej Brytanii.

Mandaty typu C to obszary niewielkie, rzadko zaludnione, odległe od „ognisk cywilizacji”, uznane za niezdolne do samodzielnego bytu, nawet w odległej przy- szłości — mogły znaleźć się pod opieką mandatariuszy jako „integralna część ich posiadłości”, czyli mogły zostać włączone w ich granice i podporządkowane ich wewnętrznemu ustawodawstwu, z zastrzeżeniem gwarancji dla ludności tu- bylczej i dbania o jej interesy. Obejmowały one były posiadłości niemieckie: na Pacyfiku wyspy Nauru, Yap, Karoliny, Marshalla, Mariany, zachodnią Nową Gwineę, Wyspy Salomona, Nową Brytanię, Samoa (Zachodnie), a w Afryce — Afrykę Południowo-Zachodnią (obecna Namibia). Zarząd na tych obszarach sprawowały Japonia (drobne wyspy Pacyfiku) i Wielka Brytania; w przypadku Afryki Południowo-Zachodniej Wielka Brytania scedowała otrzymane prawo na Unię Południowej Afryki jako swoje dominium.

Co prawda, zwracano uwagę na nieprecyzyjność uregulowań prawnych doty- czących mandatów — istniały luki dające możliwości dosyć swobodnej interpre- tacji. Polscy działacze kolonialni dostrzegli to. Ich zdaniem system mandatowy mógł być szczeliną pozwalającą Polsce osiągnąć posiadłości zamorskie.

Może dziwić, że już w 1918 roku, natychmiast po odzyskaniu niepodległości przez Polskę po ponad wiekowej niewoli (w istocie Polska była kolonią Rosji, Niemiec i Austrii), pojawiły się dążenia do uzyskania własnej kolonii. Wynikało to z chęci „nadrobienia straconego czasu”. W XIX wieku, gdy państwa europej- skie zdobywały kolonie, Polska jako nieobecna na mapie nie mogła tego czynić. Po 1918 roku chciała dołączyć do szeregu normalnych (czyli posiadających kolo- nie) państw europejskich. Wówczas jednak cały świat był już podzielony. I wte- dy pojawiła się okazja: mandaty! Nagle część posiadłości niemieckich i tutrec- kich stała się „niczyja” i miała być podzielona pomiędzy zwycięskie państwa En- tenty. Dla Polski staranie się o mandat było drogą do pozyskania kolonii w po- szatkowanym już świecie. Polska jako zaliczana do Ententy mogła rościć preten- sję do jakiegoś mandatu, co więcej powinna być traktowana na równi z innymi krajami europejskimi; dla wzmocnienia argumentu, że państwu należy się man- dat, przywoływano badania Stefana Szolc-Rogozińskiego w Kamerunie (w koń- cu byłej kolonii niemieckiej) w latach 1882–1885 i jego cichy zamiar uczynienia z Kamerunu polskiej posiadłości.

Twórcą polskiej tak zwanej „polityki mandatowej” był książę Janusz Radzi- wiłł, przewodniczący Komisji Zagranicznej sejmu. Koncepcja ta zakładała, że Polsce, członkowi Ententy, powinna zostać przyznana część niegdysiejszych ko- lonii niemieckich, jako ekwiwalent za zniszczenia wojenne i akt sprawiedliwo-

ści dziejowej. Wyliczano, że zachodnie tereny kraju, będące wcześniej terenem zaboru pruskiego (niemieckiego), stanowiły około 1/10 obszaru Cesarstwa Niemieckiego, a ludność polska tam zamieszkała — też mniej więcej 1/10 mieszkańców Cesarstwa. Poza tym Polacy jako dawni poddani niemieccy płacili podatki, z których utrzymywane były także kolonie, służyli w policji i wojskach kolonialnych, zatem i materialne względy domagały się sprawiedliwej rekompensaty. Szacowano, że Polska powinna uzyskać około 300 tys. km² terytoriów zamorskich.

Roszczenia kierowano ku Kamerunowi — dawnej kolonii niemieckiej. Jego obszar wynosił około 480 tys. km². Jako teren mandatowy został podzielony pomiędzy Wielką Brytanię i Francję; Francji przypadło 300 tys. km². Dodatkowym argumentem przemawiającym za Kamerunem miały być przeprowadzone w tym kraju w latach 1883–1885 przez Stefana Szolc-Rogosińskiego badania. Kamerun był wtedy „niczy”, został opanowany przez Niemcy w latach 1884–1885, w czasie pobytu tam Szolc-Rogosińskiego i przy wykorzystaniu jego eksploracji terenu.

Pierwsze wnioski w sprawie polityki mandatowej wniesiono jeszcze w marcu 1919 roku, w czasie trwania paryskiej konferencji pokojowej — uczynili to posłowie Janusz Radziwiłł i Tomasz Dąbał z Polskiego Stronnictwa Ludowego–Lewica. W tym samym czasie z podobnymi postulatami występowali niezależnie Kazimierz Warchałowski (prezes Polskiego Komitetu Centralnego w Brazylii, związany już jednak z władzami odradzającej się Rzeczypospolitej), prof. Jan Dybowski (agronom wtedy jeszcze w służbie francuskiej), mjr Leon Bulowski (zwolennik polskiej idei kolonialnej), a także Polskie Towarzystwo Kolonialne, założone w 1918 roku przez Michała Pankiewicza i Kazimierza Głuchowskiego. Rząd nie podjął tych inicjatyw, wobec czego Janusz Radziwiłł zaproponował w 1921 roku wprowadzenie do Traktatu Wersalskiego poprawki uwzględniającej aspiracje Polski. Władze polskie naturalnie nie kwapiły się do zgłoszenia jakichkolwiek postulatów mających na celu wprowadzanie poprawek do Traktatu Wersalskiego — nie chciały dawać żadnych pretekstów do jego zmiany. Niektórzy publicyści ubolewali nad pasywną postawą rządu:

Mysł, że przysługiwać nam będzie prawo do otrzymania części kolonii niemieckiej w Afryce, stała mi zawsze przed oczyma pod koniec wojny. Uważałem, że podstawą dla naszych rewindykacji mogą być rozrachunki z Rzeszą za zniszczenie i grabieże na ziemiach polskich (...) w depeszy wysłanej do Polskiego Komitetu w Paryżu wskazałem na kolonie afrykańskie jako na środek pokrycia naszych strat. Przypomnienie zostało jednak zignorowane (...). Toteż dziwno się szczerze, że Polska nie wyzyskała okazji zdobycia mandatu nad jedną z kolonii ponemieckich (...). [Prof. Jan Dybowski] był autorem memoriału, który złożył na ręce delegacji polskiej w sprawie użyteczności i uzyskania dla nas mandatów na ponemieckie kolonie w Afryce. Oświadczył mi, że zrobił to w porozumieniu z francuskim Ministerstwem Kolonii (...). Niestety, memoriał jego nie został u nas wzięty pod uwagę (Warchałowski 1932, s. 24–25).

Według artykułu nieco później, w 1921 roku, prof. Jan Dybowski jako delegat rządu francuskiego w Warszawie miał przedstawić władzom polskim propozycje Francji: zezwolenie na osadnictwo polskie w jej koloniach wraz z przyznaniem temu osadnictwu autonomii politycznej, gdyby zaś Polska była zainteresowana tym pomysłem, Francja gotowa była przyznać jej jakąś posiadłość w dawnych koloniach niemieckich zarządzanych obecnie przez Paryż. Nie jest jasne, czy całe terytorium, czy tylko jakiś wykrojony z niego obszar. Dodajmy, że prof. Dybowski był uważany w Warszawie za agenta francuskiego, załatwiającego interesy Paryża.

Kwestią nie do rozstrzygnięcia pozostanie, na ile opis sytuacji został ubarwiony. Można przypuszczać, że Polska nie czuła się gospodarczo i politycznie na siłach, by domagać się przyznania jej mandatu. Tym bardziej, że w kręgu głównych zainteresowań państwa znajdowały się sprawy żywotne dla jego istnienia i funkcjonowania (wojna o przetrwanie, walki o granice, dążenie do koniecznej stabilizacji, także gospodarczej). Poza tym obawiano się jakichkolwiek prób rewizji Traktatu Wersalskiego, zwłaszcza w sytuacji, gdy Niemcy kontestowały cały Traktat.

Wspomniane postulaty, jak się wydaje, miały charakter nie tyle wprost kolonialny, ile przede wszystkim antyniemiecki — wygzekwowanie odpowiednich rekompensat i odszkodowań za lata wojny. Dopiero w tle, jeszcze słabo rozpoznawalnym, rysowały się zamiary kolonialne. W następnych latach stawały się one coraz wyraźniejsze, zawsze jednak były konstruowane z uwzględnieniem wątku antyniemieckiego.

Kwestie mandatowe przewijały się przez cały niemal okres istnienia Drugiej Rzeczypospolitej — od czasu do czasu pojawiały się głosy, że Liga Narodów ma zająć się sprawą rewizji mandatów. Przewidywano możliwość przydzielenia ich innym państwom, gdyby dotychczasowi mandatariusze nie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Istniały odpowiednie procedury pozwalające na rozstrzygnięcie tych problemów. Według pogłosek prasowych w 1931 roku miała nastąpić rewizja mandatów. Przypuszczalnie pogłoski te były inspirowane przez Ligę Morską i Kolonialną (świadomą tego, że nie jest to informacja odpowiadająca zamiarom Ligi Narodów). Działaczom nie chodziło już tylko o odszkodowanie od Niemiec, ale przede wszystkim o uzyskanie kolonii. „Czy Polska ma wszelkie szanse uzyskania kolonii zamorskich” zapytywała w 1928 roku „Gazeta Warszawska”:

Sprawa zainteresowań naszych w b. koloniach niemieckich pozostających pod mandatem państw europejskich nie była jeszcze dotąd postawiona w Polsce oficjalnie (...). Wśród b. kolonii niemieckich znajdują się terytoria w zupełności nadające się nie tylko pod uprawę plantacyjną, ale również i pod masowe osadnictwo rolne. Na pierwszym planie należy tu postawić Kamerun (...). Trzeba podkreślić stanowczo, że rozstrzygnięcie Komisji mandatowej co do rozdziału mandatów nie jest bynajmniej ostateczne. Traktat zawarty w roku 1919 w Saint Germa-

in ustala rok 1931 jako datę, kiedy uregulowana prowizorycznie kwestia niemieckich posiadłości kolonialnych może być poddana rewizji (*Polska...* 1928, s. 7–8).

I dodawała:

Formuła prawna zawierająca czasowe określenie przyszłych losów dominium kolonialnego jest zawarta w artykule 119 Traktatu Wersalskiego i w artykule 22 paktu Ligi Narodów (...). W roku 1931 Liga Narodów przystąpi do rewizji mandatów kolonialnych. (...) jest już dzisiaj rzeczą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, że w roku 1931 Liga będzie zmuszona przystąpić do likwidacji systemu mandatowego (tamże).

Tak też uważał Jan Rozwadowski. Podobnie jak w 1919 roku, odwoływał się do zasad polityki mandatowej, aczkolwiek z dodatkowymi już argumentami:

W wysiłkach narodu niemieckiego skierowanych ku zdobyciu przez Rzeszę kolonii, ludność polska pozostająca pod ówczesnym zaborem niemieckim, wzięła również swój udział procentowy (...). I tu właśnie jest prawno–formalny motyw do domagania się przez Polskę przydzielenia jej części byłych kolonii poniemieckich (...). Państwo nasze posiada natomiast inne, dość potężne atuty w ręku, które przemawiają za koniecznością posiadania przez nie własnych kolonii. Atutami takimi są nasze wewnętrzne stosunki populacyjne i gospodarcze (Rozwadowski 1929, s. 22).

Argumenty populacyjne i gospodarcze były tymi dodatkowymi — przeludnienie Polski wymaga uzyskania terenów pod osadnictwo, a rozwój gospodarczy kraju swobodnego dostępu do surowców. Trudno powiedzieć, jakie były podstawy przypuszczeń, że w 1931 roku powzięte zostaną decyzje o zmianie systemu mandatowego, a nawet jego likwidacji, czyli przydzieleniu mandatów różnym państwom jako ich klasycznych kolonii. Prawdopodobnie przyczyniła się do tego panująca wówczas w Europie atmosfera rewizjonizmu, a także artykuł 19 Paktu Ligi Narodów, informujący o możliwości „ponownego zbadania” niektórych traktatów międzynarodowych, co interpretowano stosownie do własnych chęci. W domniemanej rewizji mandatów upatrywano szansę na przydzielenie Polsce pod zarząd jakiegoś terytorium. Nadzieje te jednak, jako nieaktualne (zasiedzenie państw mandatowych na przyznanych im terytoriach), a także jako niebezpieczne dla polskiej racji stanu, rozwiewała część polityków obozu belwederskiego:

Argumentacja p. majora Bulowskiego z 1919 roku, to jest z czasów, kiedy posiadłości kolonialne ponemieckie nie były jeszcze definitywnie podzielone i forma prawna władania nimi nie była jeszcze ustalona, mogła być podówczas aktualną, obecnie jednak „prawno–formalnym motywem” być nie może i nigdy nie będzie. Konsekwencje bowiem takich „prawno–formalnych” motywów prowadzą w prostej drodze do rewizji traktatów, o co nam bynajmniej nie chodzi (tamże, s. 23).

W przytoczonej wypowiedzi wspomnianego już Jana Rozwadowskiego uwiadcznia się wzgląd antyniemiecki — obawa, by dopominanie się o zmianę postanowień Traktatu Wersalskiego w sprawie mandatów nie otworzyło furtki Niem-

com do jego generalnego zanegowania. Rzeczywiście, w 1931 roku sprawa mandatów znalazła się na forum obrad Ligi Narodów — nie była to jednak rewizja, a rozpatrywanie sprawozdań państw mandatowych z wykonywania obowiązków w zarządzanych przez nie terytoriach (opieka nad miejscową ludnością, ochronienie jej kultury, podnoszenie jej warunków cywilizacyjnych, dbanie o rozwój gospodarczy tych obszarów).

Po 1931 roku właściwie stracono nadzieję na uzyskanie mandatu. Sprawa ta była wprawdzie poruszana w polskiej publicystyce aż do 1939 roku, ale jedynie *pro forma*, „na wszelki wypadek”, gdyby zarysowała się szansa redystrybucji mandatów.

Kierunki zainteresowań kolonialnych

Przegląd kierunków zainteresowań kolonialnych pozwoli na głębszą analizę dyskursu kolonialnego. Ujawni referencję dyskursu, czyli sposób, w jaki dyskurs i jego znaczenia odsyłają do przedmiotów odniesienia, a zatem do rzeczywistych lub postulowanych wydarzeń, pozwoli dokładniej określić związki uczestników dyskursu z instytucjami jako przedstawicielami społecznych kategorii, ich cele zawierające się w wypowiedziach, wyjaśni próby zastosowania kulturowanej wiedzy i przekonań.

Zwolennicy realizacji idei kolonialnej z kręgu zainteresowań usunęli wyspy Pacyfiku, ze względu na odległość dzielącą je od kraju i trudności logistyczne. Polska musiałaby dysponować dużą flotą, by zapewnić sobie sprawną łączność z tym obszarem. Dodatkowym argumentem za odrzuceniem tego kierunku był wcześniej ustalony podział tego obszaru pomiędzy metropole kolonialne. Wprawdzie w latach 30. zerkano i tam, ale bez przekonania:

Nowa Gwinea z przyczyn wskazanych wyżej [nie przeprowadzone dotychczas badania nad przydatnością Nowej Gwinei dla osadnictwa białych (...), odległość od Europy i połączenia] nie stanowi dla Polski terenu, którym Polska mogła by się poważniej interesować (...) (Zieliński 1936, s. 4).

Nie rozpatrywano też Azji. Jej terytoria były już podzielone pomiędzy mocarstwa kolonialne. Poza tym obserwowano budzenie się tam ruchów niepodległościowych. Liczono się także z ostrą konkurencją Japonii i jej ekspansją w tym rejonie świata⁸.

Równie nierealne było pozyskanie jakiegoś terenu dla Polski w Ameryce Środkowej i Południowej. Istniały tam niepodległe państwa — jakiegokolwiek próby kolonialne groziły konfliktem międzynarodowym. Co prawda, niektórzy działacze kolonialni przewidywali możliwość uzyskania posiadłości poprzez wykro-

⁸ Sporo było głosów na ten temat (*Niepowodzenia...* 1923, Goetel 1933 — o załamywaniu się systemu kolonialnego w Indiach, *Koniec...* 1938 — wypowiedź adm. Suetsugu, ministra spraw wewnętrznych Japonii, uważanego za kandydata na premiera).

jonie ich z niektórymi państwami południowoamerykańskimi. Droga do tego miała być polskie osadnictwo, swoją liczebnością, zwartością i zdeterminowaniem politycznym wywierające nacisk na miejscowe rządy, by te wydzierzały Polsce tereny cieszące się autonomią językową, gospodarczą i kulturalną (w wersji optymalnej były to postulaty wykrojenia kolonii politycznej). Takie poglądy starano się forsować na gruncie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wprawdzie je rozpatrywało, ale było wobec nich powściągliwe. Sprawozdanie z całokształtu spraw i wytycznych polityki emigracyjnej na rok 1934, z 20 grudnia 1933 roku, stwierdzało:

Powiększenie ruchu emigracyjnego jest o tyle celowe, o ile zarazem przyczynia się do opanowywania danego kraju pod względem gospodarczym i politycznym. Dlatego też pod tym względem mogą być brane pod uwagę kraje o nieskonsolidowanej formie politycznej, zamieszkałe już przez znaczniejszą liczbę Polaków, tak aby nieznaczny nawet, a nieprzerwany przyrost Polaków mógł zdecydować o przewadze wpływów polskich. Takim krajem jest Parana (Sprawozdanie... 1933, s. 89).

Pozostawała zatem Afryka. I ten kontynent był podzielony pomiędzy mocarstwa europejskie, niemniej pojawiła się tu szansa na uzyskanie posiadłości, wzmagana przez tradycję (przede wszystkim Maurycy Beniowski oraz Stefan Szolc-Rogosiński, ale także inni XIX-wieczni podróżnicy i badacze); tradycja była zresztą jednym z argumentów, na które się powoływano:

Dlaczego Afryka? Bo niedługo stanowić będzie jedyne zaplecze kolonialne Europy. (...) W Azji następuje ekspansja Japonii, Europa znajduje się tam w defensywie, bo daje znać o sobie także emancypacja tamtych narodów. To (...) wyklucza nasze zainteresowanie rejonem kolonii azjatyckich. W Ameryce następuje konsolidacja narodowa i wypieranie Europy (...) będzie tam emigracja, ale asymilowana. Australia nie ma charakteru kolonialnego, bo to kraj politycznie zorganizowany. (...) Podział terytorialny Afryki dokonany, ale nie definitywny. Odpada z naszych zainteresowań Unia Południowej Afryki, Afryka Północna, mandaty. (...) Pozostaje „Afryka Murzyńska” (...). Pozostają tereny portugalskie, francuskie na zachodzie i Madagaskar, i Kongo Belgijskie (...). [Konieczne jest] rozszerzenie systemu mandatów na wszystkie obszary kolonialne równocześnie z re-dystrybucją obszarów kolonialnych. Druga koncepcja to umiędzynarodowienie mandatów. Trzecia to kompanie koncesyjne bez naruszania statutu politycznego. (...) Tytułów bezpośrednio do Afryki nie posiadamy — musimy je dopiero zdobyć przez obecność polskich towarów, plantacje i handel (Wagner 1938, s. 20–21, 23–24, 33)⁹.

⁹ Jest to referat wygłoszony w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej w 1938 r.

Kamerun

Od początku zainteresowania „polityką mandatową” w dyskursie przewijała się sprawa pozyskania dla Polski Kamerunu jako terytorium mandatowego, a w istocie kolonii. Kiedy zaś „polityka mandatowa” zawisła w próżni, zaczęto rozpatrywać możliwość przekazania Polsce tego obszaru przez Francję poza systemem mandatowym, zwłaszcza że powierzchnia francuskiego Kamerunu odpowiadała mniej więcej temu, czego oczekiwano od Niemiec w ramach wojennej rekompensaty:

Prof. Rozwadowski (...) rzucił myśl kondominium gospodarczego Polski i Francji w Kamerunie, który nadaje się nie tylko pod uprawę plantacyjną, ale i pod masowe osadnictwo rolne. (...) Największe znaczenie posiadałby Kamerun dla Polski przez to, iż posiadając olbrzymie tereny dla osadnictwa rolnego, zdołałaby pomieścić całe polskie wychodźstwo. Francja do tego ludzi nie ma, więc Kamerun posiada dla niej wyłącznie znaczenie eksploatacyjne, i to w stosunku do ogromu jej imperium kolonialnego bardzo małe (*Kamerun...* 1928, s. 8)¹⁰.

Stwierdzenie o małym znaczeniu ekonomicznym Kamerunu dla Francji było chwytem publicystycznym — nie zostało poparte żadnymi danymi statystycznymi. Miało na celu wywołanie większego zainteresowania władz i społeczeństwa tym obszarem — dla wielu działaczy kolonialnych najlepszym ze względów gospodarczych i osadniczych.

Niezależnie od wypowiedzi posługujących się argumentami demograficznymi i gospodarczymi, pojawiały się także perswazyjne o charakterze historycznym, odwołujące się do wkładu XIX-wiecznych polskich badaczy. Nazywano je, z naciąganiem, argumentami prawnohistorycznymi. Owszem, można przyjąć, że były to argumenty historyczne, chociaż w polityce mają one słabe znaczenie, chyba że zostaną poparte siłą, najlepiej militarną, ale i gospodarczą. Natomiast dodawanie, że były to zarazem argumenty prawne, można określić jako „chciewstwo”, chociaż możliwe, że liczone na znaczenie propagandowe tego, w gruncie rzeczy pseudoprawnego, argumentu. W końcu Rogoziński przedsięwziął do Afryki wyprawę czysto polską, a płynęła ona symbolicznie pod banderą Syreny, herbu Warszawy — bandera polska nie mogła być wywieszona, Polska przecież nie istniała. Może zresztą dopiero z dzisiejszej perspektywy owe „argumenty historyczno-prawne” wydają się naiwne — wówczas mogły mieć jakieś wątle, ale jednak znaczenie dla tego, co można określić jako moralność w polityce. W redakcyjnym artykule *50-lecie wyprawy polskiej do Kamerunu. Uroczysta akademія w Warszawie* „Ilustrowany Kurier Codzienny” wzywał:

Nawiązując do dzisiejszych czasów, gen. Orlicz-Dreszer zaznaczył, jak wielkie znaczenie odgrywają kolonie w rozwoju politycznym i gospodarczym państw.

¹⁰ Rozważania na temat Kamerunu przyciągały publicystów.

Dlatego też wyprawa kameruńska Rogozińskiego wskazuje dla nas drogę (...) (J) 1932, s. 7).

Przy omawianiu tych dziejów pojawiały się wzmianki dotyczące domniemanych celów — „zwiększenia polskiego stanu posiadania”. Uwagę na to zwracano zarówno przy przygotowywaniu ekspedycji, jak i w czasie jej trwania:

Cel jawny wyprawy [Szolc–Rogozińskiego] jest naukowy (...) jednakże cel jej dalszy, ukryty, o którym się mówi tylko po cichu, jest ten, że będzie to jakby polska wyprawa kolonialna. Ku końcowi wyprawy doszło do tego, że kilka plemion prosiło Rogozińskiego, aby został ich naczelnym władcą, jakimś nadkacykiem. Jednocześnie wyprawa zakupiła pewne terytoria tak, że powstał związek jakby małej niezależnej kolonii afrykańskiej z „polskimi królami” na czele. Tu jednak wtrącili się Niemcy (Mróz 1932, s. 2–3).

Była to „polska wyprawa” — jej uczestnicy byli Polakami, została sfinansowana dzięki dobrowolnym składkom społeczeństwa. Liczono, że terytoria zakupione przez Rogozińskiego zostaną oddane pod opiekę brytyjską. Gdy Polska odzyska niepodległość, Wielka Brytania zwróci jej te ziemie jako kolonię. Stąd być może nazwa „argument historyczno–prawny”. W tym samym numerze „IKC” znajduje się informacja zatytułowana *Akademia ku czci S. Rogozińskiego w Krakowie*, a w niej przypomnienie słów Leopolda Janikowskiego, uczestnika wspomnianej wyprawy, a w 1932 roku dyrektora Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (obecnie Państwowe Muzeum Etnograficzne). Mówił on, że pragnąłby

doczekać się chwili, kiedy wysiłki Rogozińskiego celem zdobycia kolonii dla Polski zrealizowałyby się w wolnym państwie polskim (*Akademia...* 1932, s. 2–3).

Chwila ta wydawała się wówczas bliska. W 1935 roku przypominano zaniebdania z 1919 roku w sprawie uzyskaniu Kamerunu. Michał Pankewicz ubolewał i grzmiał:

Kiedy w Sejmie Ustawodawczym w roku 1919 został zgłoszony wniosek domagający się dla Polski Kamerunu, posłowie suwerennego sejmu przeszli nad nim do porządku dziennego. Straciliśmy wówczas pierwszorzędną okazję do zdobycia własnej kolonii, a w gorszym wypadku — do uzyskania mandatu nad jedną z kolonii poniemieckich. (...) Do Kamerunu zaś mamy specjalne prawa (Pankewicz 1935, s. 12).

Sprawa Kamerunu wróciła w 1937 roku w związku z wizytą w Warszawie francuskiego ministra spraw zagranicznych Yvona Delbosa. Z wizytą tą wiązano spore nadzieje, co prawda nie na natychmiastowe otrzymanie Kamerunu jako kolonii, ale na wzrost takich szans w przyszłości. Oczywiście, trudno rozstrzygnąć, czy minister Delbos przybył do Warszawy z pakietem uwzględniającym sprawy kolonialne, czy też były to jedynie spekulacje prasowe (raczej dziennikarskie), zwłaszcza że minister Beck podczas rozmów z ministrem Delbosem nie wysunął postulatów kolonialnych. Jednakże prasa polska, zwłaszcza szukająca sensacji „Ilustrowany Kurier Codzienny”, spekulowała:

Francuzi spodziewają się jednakowoż, że Polska zażąda w odpowiednim momencie przyznania jej, jeżeli nie terytoriów na własność, to w każdym razie szerokich uprawnień. Mowa jest np. o Kamerunie, do którego Polska jako jedno z państw sukcesyjnych dawnego imperium niemieckiego mogłaby sobie rościć pewne pretensje (*Wystarczy...* 1937, s. 1).

Domniemania te nie miały oficjalnego potwierdzenia, niemniej MSZ aż do 1939 roku zbierało raporty o gospodarce i finansach Kamerunu. Mogło to być rutynowe działanie ministerstwa, ale mogło też oznaczać, że uwaga nadal była skierowana na Kamerun, zwłaszcza że wypowiedzi na ten temat ciągnęły się aż do połowy 1939 roku.

Angola

Nieudane (aczkolwiek mało zdecydowane) próby uzyskania Kamerunu jako mandatu dla Polski sprawiły, że zaczęto interesować się innymi obszarami (niemniej, kwestia otrzymania od Ligi Narodów mandatu nad Kamerunem lub chociażby uzyskania od Francji części tej posiadłości przewijała się jeszcze przez wiele lat w dyskursie). W 1927 roku Liga Morska i Rzeczna (właściwie jej sekcja — Związek Pionierów Kolonialnych) za teren najlepszy dla polskiej akcji osadniczej uznała Angolę. W kwietniu 1928 roku do Lizbony udał się Kazimierz Głuchowski, prezes ZPK, w celu przeprowadzenia rozmów z rządem Portugalii i tamtejszymi kompaniami handlowymi. Powrócił z informacjami, że Angola nadaje się do osadnictwa polskiego, a Lizbona i lokalna administracja nastawione są przychylnie do tej akcji.

W rezultacie 14 grudnia 1928 roku do Angoli wyjechała ekspedycja zorganizowana przez Ligę Morską i Rzeczną oraz Naukowy Instytut Emigracyjny i Kolonialny dla zbadania możliwości osiedleńczych. Kierował nią Franciszek Łyp. Wyprawa wróciła z przekonaniem, że pomysł jest realny, z tym że w przeciwieństwie do Ameryki Południowej, gdzie o powodzeniu osadników decydują ich „silne ręce”, w Afryce, wobec faktu, że biały osadnik nie wykonuje prac fizycznych, lecz czynią to Murzyni pod jego nadzorem, muszą oni dysponować odpowiednim kapitałem i wiedzą rolniczą, by należycie kierować plantacją (Łyp 1931)¹¹.

Wkrótce zaczęły się wyjazdy osadników chętnych do osiedlenia się w Angoli. Osadnicy przestrzegali przed nadmiernym optymizmem, przekonując, że trzeba włożyć dużo pracy, by plantacje lub przedsięwzięcia przemysłowe albo handlowe stały się opłacalne. Zarazem w prasie ukazywały się liczne artykuły zachęcające do zajęcia się Angolą. Niektóre wyrażały wręcz nadzieję, że niebawem Angola stanie się polską kolonią. W końcu 1930 roku, gdy Józef Piłsudski przeby-

¹¹ Obserwacje z wyprawy Franciszek Łyp przedstawił wcześniej w cyklu reportaży opublikowanych na łamach „Morza” (Łyp 1929a).

wał na odpoczynku na Maderze, ukazał się artykuł informujący, że — według wersji podanej przez osoby „zbliżone do rodziny Marszałka” — podczas pobytu w Lizbonie zakończył on pomyślnie pertraktacje w sprawie nabycia przez Polskę Angoli. Piłsudski po powrocie do kraju zdezawuował plotkę, niemniej zaniepokojona Portugalia zareagowała wprowadzeniem restrykcji na zezwolenia osiedleńcze w Angoli.

Pogłoski wyrażane na łamach prasy o niemal już załatwionej sprawie pozyskania posiadłości zamorskich doprowadziły do napięć politycznych na linii Lizbona–Warszawa, załagodzonych dopiero przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Radca ekonomiczny MSZ, Jan Wszelaki, wyjaśniał na użytek krajowy:

Konieczne jest jednak nie robienie hałasu koło problemu kolonialnego. Istnieje obawa, że może to przerazić małe państwa, jak Portugalię (...). Zwłaszcza zależy nam na Portugalii, która ma dobre stosunki z Ameryką Południową (Wszelaki 1936, s. 4).

Z treści niektórych artykułów wynikało, że osadnicy z Polski powinni grupować się w Lobito oraz na sąsiadującym z nim płaskowyżu. Gdy ich liczba wzrosnie znacząco, trzeba będzie wystąpić o ustanowienie na tym obszarze kondominium polsko-portugalskiego albo odkupić go (lub nawet całą Angolę) od Portugalii. Argumentem była mała liczba Portugalczyków w kolonii oraz fakt, że Portugalia jest krajem niewielkim, słabym militarnie i gospodarczo, zawiadującym wielkim imperium kolonialnym, przerastającym jego siły i możliwości. Poczynania te były dziełem Ligi Morskiej i Kolonialnej (w tym czasie zmieniła ona nazwę z „Rzecznej” na „Kolonialną”). Na tym skończyły się próby zawładnięcia Angolą. Z powodu restrykcji Portugalczyków (spłoszonych możliwością utraty kolonii) wobec polskich osadników, w prasie zaczęły ukazywać się głosy o trudnościach kolonizacyjnych w Angoli. W dodatku możliwości inwestycyjne Polaki były zbyt małe w porównaniu z oczekiwaniami strony portugalskiej — niezależnie od obaw o przyszłość swojej posiadłości, rozczarowała się ona mizernymi możliwościami gospodarczymi Polski i tym, co mogą wnieść osadnicy.

Pod koniec lat 30. nastąpiło ponowne zainteresowanie Angolą. Tym razem nie była to inicjatywa Ligi Morskiej i Kolonialnej o charakterze kolonialnym, lecz Ministerstwa Spraw Zagranicznych o charakterze kolonizacyjnym (osadniczym). Nadal jednak pojawiały się artykuły kwestionujące kolonialne możliwości Portugalii. W sprawie tej głos zabrał znany pisarz Wacław Gąsiorowski:

Portugalia już afrykańskiego swego władania nie zaludni, nie skolonizuje. Czekać nie ma na co, chyba na odebranie Angoli i Mozambiku. (...) natychmiast winna by wszcząć układy, szukać kolonistów (Gąsiorowski 1938, s. 4–5).

Jednakże w tym czasie w Angoli było już tylko pięciu polskich plantatorów (część wycofała się, zrażona trudnościami gospodarczymi, część po konflikcie politycznym związanym z przedstawianiem w polskiej prasie Angoli jako pra-

wie już polskiej kolonii zrezygnowała z wyjazdu). MSZ kładło nacisk na zaangażowanie gospodarcze i handlowe w Angoli, mitygując działaczy i dziennikarzy:

Portugalia ma małą dynamikę polityczną, nie wykorzystuje w pełni swoich posiadłości, straciła posiadłości azjatyckie na rzecz Anglii i Holandii, ale nie należy urażać wrażliwości narodowej tego państwa (Zagadnienia..., s. 36).

Liberia

Nagle nadarzyła się wielka, jak sądzono, okazja kolonizacyjna albo nawet kolonialna — Liberia. Było to wówczas jedyne niepodległe państwo murzyńskie w Afryce. Formalnie powstało w 1847 roku — stworzyli je wyzwoleni Murzyni z USA, osadzeni na tym skrawku Afryki (pierwsza ich grupa przybyła tu w 1821 r. za sprawą amerykańskiego towarzystwa filantropijnego American Colonisation Society). Władzę sprawowali potomkowie amerykańskich wyzwoleńców (tzw. Amerykano-Liberyjczycy), którzy podporządkowali sobie ludność tubylczą. Praktycznie państwo to funkcjonowało pod protektoratem Stanów Zjednoczonych, mających tu przemożne wpływy gospodarcze. Można mniemać, że jego powstanie było efektem rywalizacji między kapitałami brytyjskim, francuskim, niemieckim i — ostatecznie zwycięskim — amerykańskim o opanowanie tego fragmentu wybrzeża Afryki Zachodniej. Dostyc że — skracając narrację — Rada Ligi Narodów po otrzymaniu raportów o stosowaniu w Liberii (przez rządzących Amerykano-Liberyjczyków) systemu pracy opartego na niewolnictwie, handlu niewolnikami i wyzysku rdzennych plemion interioru 31 października 1932 roku przyjęła plan pomocy dla tego kraju, sprowadzający się w praktyce do uczynienia z niego protektoratu Ligi Narodów. W czerwcu 1933 roku Liberia odrzuciła ten plan; zastanawiano się nad usunięciem jej z Ligi Narodów. W tej sytuacji państwo to zwróciło się o pomoc do Polski. Zaangażowany w sprawę Janusz Makarczyk tłumaczył decyzję Liberii niepodejrzywaniem Polski o ambicje kolonialne (Makarczyk 1936). Tadeusz Białas sądził natomiast, że decydujący był tu fakt, iż Polska była neutralnym sprawozdawcą sprawy liberyjskiej w Radzie Ligi Narodów, chodziło zatem o pozyskanie jej życzliwości (Białas 1983).

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ze względu na konieczność zachowania neutralności Polski jako sprawozdawcy sprawy liberyjskiej w Lidze Narodów powierzyło prowadzenie rozmów z Liberią Lidze Morskiej i Kolonialnej. 3 kwietnia 1934 roku delegacja Ligi wyjechała do Monrovi w celu uzgodnienia Traktatu Przyjaźni pomiędzy Polską a Liberią. Nie doszło do jego podpisania — MSZ oficjalnie trzymało się z dala od sprawy. Natomiast już 28 kwietnia tego roku doszło do podpisania umowy między Ligą Morską i Kolonialną a rządem Liberii na zasadzie równości stron (miała ona charakter gospodarczy, aczkolwiek zawierała punkty zahaczające o politykę). Był to ewenement — układ z jednej strony podpisał rząd (Liberia), z drugiej zaś organizacja społeczna

(Liga Morska i Kolonialna). Szybkie podpisanie umowy zdaje się sugerować, że Liga dostrzegła okazję do wejścia do Liberii (handlowego?, gospodarczego?, kolonizacyjnego?, kolonialnego? — trudno powiedzieć, jaki argument był decydujący, chyba każdy po trochu) i śpieszyła się, by nie przegapić okazji (Białas 1983).

Oto treść umowy między Liberią a Ligą Morską i Kolonialną, umowy, która do dziś wzbudza emocje — niektórzy publicyści doszukują się w niej „drugiego dna”:

Jego Ekscelencja Prezydent Republiki Liberii z jednej strony i Jego Ekscelencja Generał Gustaw Orlicz–Dreszer, Inspektor Armii Polskiej i Prezes Polskiej Ligi Morskiej i Kolonialnej z drugiej,

Mając na uwadze dobre i przyjacielskie stosunki między Liberią a Polską, jak również mając na uwadze stosunki handlowe między tymi dwoma krajami, zdecydowali się podpisać umowę i w tym celu wyznaczyli jako swych pełnomocników niżej wymienionych:

za JE Prezydenta Liberii

Clarence Lorenzo Simpsona, sekretarza stanu,

za JE Gen. G. Orlicz–Dreszera

p. Janusza Makarczyka,

k którzy po należyтым przedstawieniu sobie nawzajem swoich listów uwierzytelniających i uznaniu ich za dobre, wyrazili zgodę na następujące warunki.

Rozdział I

Liga Morska i Kolonialna oświadcza, że przedstawi Rządowi Polskiemu propozycję wyznaczenia w możliwie jak najszybszym czasie Konsula Generalnego przy Rządzie JE Prezydenta Liberii, który (Konsul) będzie miał całkowite pełnomocnictwa do podpisania Traktatu Przyjaźni pomiędzy Najjaśniejszą Republiką Polski i Republiką Liberii.

Punkty tego traktatu będą następujące:

Par. 1.

Będzie panował niezakłócony pokój i stała przyjaźń między Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską i Rzeczpospolitą Liberią, jak również między obywatelami obydwu Państw.

Obie Wysokie Umawiające się Strony zgadzają się (postanawiają) ustalić stosunki konsularne między obydwoma Państwami, zgodnie z zasadami Prawa Międzynarodowego. Wyrażają zgodę, aby Przedstawiciele Konsularni każdej strony, jak również personel odnośnych Misji, korzystał na terytorium drugiej strony ze wszelkich przywilejów, honorów, swobód i względów udzielanych Przedstawicielom Konsularnym i Personelowi najbardziej uprzywilejowanego Państwa.

Par. 3.

Obywatele każdej z Wysokich umawiających się stron będą korzystać w ramach praw i przepisów obowiązujących, z prawa osiedlania się i pobytu na teryto-

rium drugiej strony i w wyniku będą mieli prawo swobodnego poruszania się po rzeczonych terytoriach.

Par. 4.

Obywatele każdej z Wysokich Umawiających się Stron będą mieli prawo, na równi z obywatelami miejscowymi, lecz zgodnie z istniejącymi prawami i przepisami, prowadzić na terytorium drugiej strony wszelkiego rodzaju przemysł i handel, lub wykonywać wszelkiego rodzaju zatrudnienia, rzemiosła czy zawody z wyjątkiem zastrzeżonych dla obywateli miejscowych na podstawie odnośnych ustaw i przepisów.

Co się tyczy ich własności, praw i zysków, nabywania własności, posiadania i użytkowania tej własności, odstępowania jej przez cesję, zamianę lub dzierżawienie, to do obywateli każdej z Wysokich Umawiających się Stron na terytorium drugiej Strony nie będzie się stosować żadnych zmian, podatków czy opłat bezpośrednich czy pośrednich, innych lub wyższych niż te, które mogłyby być lub były stosowane dla obywateli miejscowych.

Par. 5.

Obywatele każdej z Wysokich Umawiających się Stron będą korzystać na terytorium drugiej Strony w zakresie prawnej, sądowej ochrony swoich osób i swojej własności z tego samego traktowania co miejscowi obywatele.

Będą mogli więc swobodnie występować i przemawiać przed Sądami na tych samych warunkach co obywatele miejscowi, z wyjątkiem korzystania z przywileju swobodnej (bezpłatnej) pomocy prawnej, aż do tego czasu, dopóki ten punkt nie zostanie uregulowany przez specjalną umowę.

Par. 6.

Obywatele każdej z Wysokich umawiających się stron będą mieli prawo, na zasadzie wzajemności, na terytorium drugiej strony, do kupowania, posiadania i przekazywania wszelkiego rodzaju ruchomej własności.

Co się tyczy majątku nieruchomości obywatele każdej z Wysokich umawiających się stron będą mieli prawo, stosując się do praw i przepisów danego kraju, do wynajmowania lub wydzierżawiania i całkowitego posiadania domów mieszkalnych, jak również faktorii, biur i w ogóle firm i składów towarowych dla ich handlu i przemysłu.

Z wyjątkiem wypadku, jeśli to kolidowało z przepisami, prawami i ograniczeniami regulującymi nabywanie nieruchomości, ustala się niniejszym że jeśli jedna z Wysokich Umawiających się Stron przyznaje lub przyzna na drodze ustawowej obywatelom innego Państwa prawo do nabywania lub wydzierżawienia własności ziemskiej, wtedy to prawo automatycznie otrzyma Strona druga.

Par. 7.

T-*wa* Akcyjne i inne T-*wa*, które mają swoje centrale na terytorium jednej z dwu Wysokich Kontraktujących Stron, a które są zorganizowane zgodnie z prawami tej strony, będą legalnie uznane i zachowają swoje przysługujące im prawa na terytorium drugiej strony.

Te T-*wa* będą miały prawo na zasadzie wzajemności z uwzględnieniem obowiązujących praw i ograniczeń do osiedlania się na terytorium drugiej Strony i do

wykonywania i prowadzenia wszelkiego rodzaju przemysłów, handlu i sprzedaży, i do nabywania wszelkiego rodzaju własności ruchomej.

Par. 8.

Wszelkie bogactwa naturalne lub wyroby przemysłu pochodzące z terytorium jednej z Wysokich Umawiających się Stron lub tylko nawet opuszczające wybrzeże i przechodzące jej granice celne, choćby były nawet produkowane, wytwarzane, fabrykowane w innym kraju lecz przeznaczone dla konsumpcji lub reeksportu, będą podlegały w czasie trwania niniejszej umowy takiemu samemu traktowaniu jak towary i produkty pochodzące lub przychodzące z kraju najbardziej uprzywilejowanego; w szczególności nie będą one podlegały w żadnym wypadku opłatom podatków, taks lub ciężarów innych lub wyższych niż stosowane dla towarów pochodzących lub tylko sprowadzanych z terytorium kraju najbardziej uprzywilejowanego.

Gdyby było możliwym zapewnić towarom pochodzącym lub tylko sprowadzanym z terytorium jednej z dwu Wysokich Umawiających się Stron obniżone stawki celne, Wysokie Umawiające się Strony będą żądały, aby takie towary były zaopatrzone w świadectwa pochodzenia.

Eksport mający jako kraj przeznaczenia terytorium jednej z Wysokich Umawiających się Stron nie będzie obciążony przez podatki i taksy inne lub wyższe niż stosowane dla tych samych towarów i produktów eksportowanych do kraju najbardziej uprzywilejowanego w tej dziedzinie.

Wszystkie przywileje, ułatwienia lub obniżki opłat celnych na korzyść trzeciego kraju ze strony jednej z Wysokich Umawiających się Stron, jak również wszelkie korzyści wypływające ze specyfikacji lub modyfikacji, jakie którakolwiek z Wysokich Umawiających się Stron mogłaby wprowadzić w swojej nomenklaturze celnej, będą się automatycznie rozciągać na produkty i towary Strony drugiej.

Par. 9.

Między terytoriami Wysokich Umawiających się Stron będzie panowała wzajemna swoboda handlu i żeglugi. W związku z tym Wysokie Umawiające się Strony obiecują nie tamować i nie utrudniać swoich wzajemnych stosunków handlowych żadnymi zakazami prohibicyjnymi czy ograniczeniami dotyczącymi importu, eksportu i tranzytu.

Jednakże Wysokie Umawiające się Strony zastrzegają sobie prawo ustanawiania zakazów prohibicyjnych i ograniczeń na import i eksport:

- 1) dla zabezpieczenia źródeł produkcji niezbędnych dla życia narodu i dla chronienia jego ekonomicznej aktywności;
- 2) dla względów bezpieczeństwa państwa;
- 3) dla względów sanitarnych lub opierających się na przepisach sanitarnych lub mających na celu ochronę zwierząt i roślin skutecznym przeciwko chorobom, insektom i pasożytom, a w szczególności w interesie zdrowia publicznego, zgodnie z międzynarodowymi zasadami przyjętymi w tej dziedzinie;
- 4) dla towarów objętych monopolem państwowym.

Wysokie Umawiające się Strony podejmują się przyznać sobie nawzajem prawa prowadzenia składów towarowych, celnych i tranzytu osób, bagażu, towarów i artykułów wszelkiego rodzaju i gatunku, paczek, pakunków, materiałów i środków transportowych, wozów lub innych środków komunikacji wszelkiego rodzaju, przez wzajemne zabezpieczenie sobie w tym zakresie warunków najbardziej uprzywilejowanego Państwa. Towary lub artykuły wszelkiego rodzaju i gatunku przewożone przez terytorium celne jednej z Wysokich Umawiających się Stron, będą płacić jeśli chodzi o składy towarowe, celne i tranzyt wyłącznie tylko te opłaty, podatki i obciążenia, które są pobierane dla pokrycia wydatków związanych z inspekcją, dozorem i administracją, bez czynienia jednak uszczerbku opłatom fiskalnym należnym przy transakcjach, których przedmiotem mogłyby być wspomniane produkty w czasie ich składowania, czenia czy tranzytu.

Żadna z Wysokich Umawiających się Stron nie będzie jednak zobowiązana do zapewnienia tranzytu przez swoje terytorium dla podróżnych, których wjazd był do tej pory wzbroniony lub zakazany.

Tranzyt towarów może być zakazany:

- 1) dla względów bezpieczeństwa publicznego i bezpieczeństwa Państwa;
- 2) dla względów sanitarnych lub jako środki profilaktyczne przeciwko epizoty i chorobom roślinnym.

Rozdział II

Rząd Liberii oświadcza, że podpisze niniejszą umowę bez wprowadzania zmian czy sprostowań po przyjeździe Generalnego Konsula Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Par. 1.

Polska Liga Morska i Kolonialna podejmuje się wysłać do Liberii, stopniowo i w miarę istniejącej potrzeby, po prostu na prośbę Rządu Liberyjskiego specjalistów zaakceptowanych przez Generalnego Konsula Liberii w Polsce. Koszt ich podróży do Liberii i z powrotem i ich uposażenia ponosić będzie Rząd Liberyjski.

Par. 2.

Rząd Liberyjski będzie ułatwiał pracę specjalistów i opiekował się nimi. Po upływie każdego 3-letniego okresu specjaliści będą mieli prawo do 6-miesięcznego urlopu pełnopłatnego, przy czym koszta ich podróży tam i z powrotem do Liberii będą pokryte przez Rząd Liberyjski. Specjaliści winni mówić płynnie po angielsku.

Par. 3.

Rząd Liberyjski oświadcza, że w razie stworzenia Monopoli Państwowych na sól, zapalki, benzynę, oleje i cukier, da pierwszeństwo przemysłowi polskiemu, a jedynie dla ochrony miejscowych przemysłowców polscy producenci i dostawcy muszą sprzedawać swoje produkty po cenach nie wyższych niż te, jakie można osiągnąć gdzie indziej w kraju i że muszą one być w takim samym dobrym gatunku.

Par. 4.

Płatności za polskie produkty będą dokonywane produktami liberyjskimi na zasadzie wymiany.

Par. 5.

Rząd Liberyjski oświadcza, że wydzierżawi 50–ciu polskim plantatorom minimalny obszar 150 akrów ziemi każdemu z domen publicznych, z tym że przez umowę, która ma być zawartą między Wysokimi Umawiającymi się Stronami, wymieniony powyżej areal może być powiększony. Ziemia ta ma być użyta dla kultury kauczuku, bawełny, kawy, ryżu, koli i kakao. Plantacje nie powinny znajdować się dalej niż o 10 mil od rzeki spławnej lub drogi głównej.

Par. 6.

Rząd Liberyjski podejmuje się nie przyjmować żadnych innych plantatorów polskich, za wyjątkiem tych, których przedstawi LMK i zaakceptowanych przez Generalnego Konsula Liberii w Polsce.

Par. 7.

Każdy plantator musi mieć prawo do minimum 150 akrów powierzchni i musi posiadać w chwili przyjazdu do Liberii sumę nie mniejszą niż 10 000 zł (ok. dol. 2000), stwierdzenie tego musi być podane do wiadomości Rządu w chwili przyjazdu do Liberii.

Par. 8.

Dzierżawa będzie ważna na przeciąg 50 lat.

Par. 9.

Rząd Liberyjski będzie pobierał i ściągał podatek w wysokości 25 centów od akra rocznie. Pobieranie tej opłaty rozpocznie się w stosunku do plantatorów rocznych kultur (zbiorów) po upływie 2 lat od ich osiedlenia się, podczas gdy plantatorów, którzy uprawiają rośliny wymagające więcej niż jednego roku dla owocowania, pobieranie wyżej wymienionej taksy rozpocznie się po upływie 5–ciu lat od chwili ich osiedlenia się. Ryż i inne roczne zbiory, uprawiane i zbierane dla prywatnego użytku nie będą brane pod uwagę w tym wypadku, tj. nie będą one podlegały tej opłacie.

Par. 10.

Liga Morska i Kolonialna zobowiązuje się do pomocy dr. Sajous i do dania do jego dyspozycji wszelkich swoich wpływów w czasie jego pertraktacji w Polsce na temat ekonomicznego rozwoju Liberii.

Par. 11.

Rząd Liberyjski podejmuje się ze swej strony rozwijać stosunki ekonomiczne między Liberią i Polską. Handel i przemysł polski będą korzystały ze wszystkich przywilejów przyznawanych lub które mogą być przyznane dla handlu i przemysłów jakiegokolwiek innego narodu.

Par. 12

Polska Liga Morska i Kolonialna oświadcza, że może zapewnić zawodowe wykształcenie 20 młodym Liberyjczykom.

Rząd Liberyjski lub ich krewni będą odpowiedzialni za utrzymanie jedenaśtu z tej liczby. Polska podejmuje się utrzymania dziewięciu pozostałych. Wypłata 150 zł (dol. 28) miesięcznie każdemu z wychowanków winna być dokonywana z góry raz do roku. Chłopcy winni być w wieku między 10 i 12 lat, normalnie zbudowani i doskonałego zdrowia.

Rozdział III

Par. 1.

Liga Morska i Kolonialna Polska oświadcza, że ma zamiar utworzyć Towarzystwo dla eksploatacji w Liberii wszelkiego rodzaju minerałów, zgodnie z prawami liberyjskimi.

Par. 2.

Rząd Liberyjski oświadcza, że udzieli wszelkich ułatwień dla zainstalowania tego Towarzystwa.

Rozdział IV

Niniejsza umowa winna być ratyfikowana przez Jego Ekscelencję Prezydenta Liberii i Jego Ekscelencję Prezesa LMK Polskiej przez prostą i zwykłą wymianę listów.

* * *

Niniejsza umowa spisana jest w dwóch językach: francuskim i angielskim. W wypadku powstania rozbieżności w interpretowaniu powyższego, tekst francuski będzie miarodajnym (Kopia... s. 10–18)¹².

Jak powiedziano, był to ewenement. Najwyraźniej uważano, że Liberia to państwo niejako drugiej kategorii, skoro do zawarcia umowy z nim wystarczyła organizacja społeczna. Nasuwa to podejrzenia, że Liga dyskretnie była wspierana przez rząd Polski.

Umowę ratyfikował parlament liberyjski. W imieniu Ligi podpisał ją Janusz Makarczyk. W swojej książce pisał on:

W Liberii bawiłem jako przewodniczący delegacji Ligi Morskiej i Kolonialnej, która zawarła z rządem Liberii umowę. Umowę tę miałem zaszczyt podpisać, reprezentując prezesa LMiK, gen. dyw. Gustawa Orlicz–Dreszera (Makarczyk 1936, s. 34).

Nieco dalej dodawał, że sprawą zainteresowani byli gen. Zarzycki, minister przemysłu i handlu, dyrektor Drymmer i naczelnik A. Zarychta z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (tamże, s. 84–86). Na końcu zaś skonstatował, że ponieważ umowa została zawarta formalnie przez Ligę,

¹² W rozdz. I po par. 1. następuje par. 3. — albo pomyłono kolejność numeracji, albo par. 2. został omyłkowo włączony do par. 1.

rząd polski ma wobec niej całkowicie wolną rękę i ograniczył swój wpływ do rozciągnięcia opieki konsularnej nad poczynaniami kupców i plantatorów polskich (tamże, s. 86).

Umowa przewidywała wydzierżawienie 50 polskim plantatorom na okres 50 lat po co najmniej 150 akrów ziemi z liberyjskiej ziemskiej własności państwowej, z możliwością powiększenia tego obszaru w przyszłości. LMiK otrzymała prawo do utworzenia towarzystwa dla eksploataowania bogactw naturalnych, a polscy handlowcy i przemysłowcy uzyskali klauzulę najwyższego uprzywilejowania. W zamian Liga zobowiązywała się do utworzenia konsulatów — liberyjskiego w Polsce i polskiego w Liberii, do przysłania ekspertów (doradców rządu Liberii) dla poprawy gospodarki kraju i niektórych dziedzin życia publicznego (np. opieka medyczna), zorganizowania żeglugi kabotażowej (przybrzeżnej), zmodernizowania pogranicznych wojsk liberyjskich i zapewnienia dwudziestu młodym Liberyjczykom rocznie wykształcenia zawodowego.

Wzajemność tworzenia przedsiębiorstw na obszarze obu państw faworyzowała stronę polską — wątpliwe, by Liberyjczycy chcieli i mogli zakładać w Polsce swoje firmy. W pełni też odpowiadała oczekiwaniom wyrażanym w polskim dyskursie kolonialnym (konieczność polskiej ekspansji gospodarczej w Liberii, wchodzenie do tego kraju polskich firm — nie tylko plantacji czy składów towarowych i handlu polskimi towarami, także firm zajmujących się eksploatacją tamtejszych zasobów mineralnych). Może dziwić, że Liga Morska i Kolonialna nastęrczała się jako pośrednik mający doprowadzić do wzajemnego ustanowienia konsulatów i zobowiązywała się do reorganizacji armii liberyjskiej. Leżało to przecież w gestii rządu, a nie organizacji społecznej. Należy jednak przyjąć, że LMiK działała z przyzwolenia polskich władz. Domniemanie to i treść umowy faworyzującej polską obecność w Liberii mogą usprawiedliwiać głosy prasy, twierdzącej, że Liberia jest już prawie polską kolonią.

Mówiono też o dołączonym do umowy tajnym dodatku o możliwości rekrutacji przez Polskę 100-tysięcznej armii pomocniczej; wspominał o nim właściwie tylko Janusz Makarczyk w książce wydanej w 1957 roku — dzieje umowy i swoją w tym rolę przedstawił tu inaczej niż w książce z 1936 roku. W 1936 roku pisał o „fantastycznych pogłoskach” krążących wokół umowy, natomiast w 1957 roku — że była tajna umowa, ale zawarta pod naciskiem MSZ:

Istniała i umowa tajna (...). Liberia powierzyła nam zmodernizowanie swych wojsk granicznych i pozwoliła w razie konfliktu lub obawy konfliktu w Europie na przeprowadzenie rekrutacji do Armii Pomocniczej. Wolno nam było rekrutować do stu tysięcy ludzi i przewieźć ich do Polski. (...) Bez tej klauzuli nie mogłem wracać do Warszawy. (...) Ja, który umowę podpisałem — pożegnałem się w 1934 z MSZ (...) (Makarczyk 1957, s. 73–74).

Zaważyły tu względy cenzuralne — w PRL-u autor nie mógł wystąpić jako zwolennik kolonializmu. W 1936 roku uczynił to wyraźnie:

Uważam za naturalne prawo każdego państwa troskę o zapewnienie sobie ewentualnych terenów kolonialnych (Makarczyk 1936, s. 19).

W 1957 roku zadeklarował się jako przeciwnik idei kolonialnej — swoją rolę w podpisaniu umowy pomniejszył do wykonywania zaleceń otrzymanych od szefów:

Wydawało mi się zawsze, że posiadanie kolonii jest nierealne. Mało tego: jest niemoralne dla narodu, który sam odzyskał tak niedawno swój byt niepodległy (Makarczyk 1957, s. 73–74).

Trudno odnieść się do sprawy tajnego aneksu wojskowego: oryginał umowy nie istnieje, zachowała się jedynie kopia umowy Liberia–Liga Morska i Kolonialna, nie ma w niej jednak żadnej wzmianki odsyłającej do domniemanego aneksu. Mogło to być spowodowane jego tajnym charakterem. Wątpliwe jednak, by tego rodzaju dokument mógł być negocjowany przez przedstawiciela Ligi — wymagałoby to raczej udziału upęłnomocnionego przedstawiciela rządu polskiego.

Zanim doszło do zwarcia umowy, w prasie ukazywały się jedynie nieliczne wzmianki o Liberii. Wywołane były informacjami o trudnym położeniu tego państwa w Lidze Narodów, a nie przygotowaniem się do jego kolonizacji. Dopiero po zawarciu umowy artykuły te można było interpretować jako propagandowe działanie na rzecz ekspansji gospodarczej Polski w Liberii albo uczynienia z niej jeśli nie kolonii, to przynajmniej protektoratu polskiego. Możliwe jednak, że pojawiające się pogłoski o możliwości oddania Liberii pod protektorat Ligi Narodów należy traktować jako przygotowania do powierzenia Polsce tego protektoratu.

Zainteresowanie Liberią zwiększyło się po zawarciu umowy — wzrosła liczba poświęconych jej tekstów, zwłaszcza w miesięczniku „Morze” (rozumiałe — organ LMiK) oraz w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” (dbającym o teksty o charakterze sensacyjnym). W „Gazecie Warszawskiej” wzrost ten nie był znaczący (Narodowa Demokracja zachowywała się powściągliwie wobec idei kolonialnej), zaś w „Gazecie Polskiej” w ogóle go nie odnotowano (pismo uchodziło za organ sanacji znajdującej się u władzy, tymczasem Liberia była akcją firmowaną przez LMiK — władze starały się stać na uboczu lub przynajmniej sprawiać takie wrażenie). Część ówczesnych publicystów dbała o przestrzeganie linii politycznej rządu i wskazań MSZ, instytucji dystansujących się od idei kolonialnej. Wskazówki dla prasy głosiły, że nie należy używać słowa „kolonie” i jego pochodnych, należy mówić o zainteresowaniach emigracją i swobodnym dostępem do surowców:

Dając rzeczoznawców rządowi liberyjskiemu, ustaliliśmy swoją linię postępowania wobec Czarnej Republiki: pragniemy utrzymania jej niepodległości (...), a więc aby zdobyła niezależność gospodarczą, przestała się obawiać inwazji bia-

łych i zniosła prawa wyjątkowe, stosowane przeciwko białym [zakaz kupna ziemi] (Dreszer 1935a, s. 3).

Podobny ton pobrzmiewał i w innych tekstach:

Liberia jest wolną republiką, w sprawy której żadne państwo nie ma prawa ingerencji (Gerhardt–Grzywa 1935, s. 23).

Zdarzały się jednak i wypowiedzi dezawuuujące samodzielność Liberii, a tym samym sugerujące przekształcenie tego państwa w polską kolonię, a chociażby we wzmiankowany protektorat:

Cała Liberia to jest tylko zabawa w państwo, w naród, w cywilizację (...). Znaczenia nawiązanych stosunków nie należy przeceniać (...). Liberia nie nadaje się jako teren dla polskiej emigracji. Nie da nam również zbyt wiele w dziedzinie wymiany gospodarczej ani nie będzie stanowić punktu wyjścia dla dalszej naszej na afrykańskim kontynencie ekspansji. Mimo to jednak zaprzeczyć się nie da, że osiągnięte przez Ligę M. i K. sukcesy na terenie liberyjskim mają wartość skromną wprawdzie, ale realną (*Liberia...* 1935, s. 9).

Jeśli sukcesy Ligi „mają wartość skromną, ale realną”, powstaje pytanie, czym jest ta wartość realna? Czy możliwością uczynienia z Liberii kolonii, jak to sobie wymarzyli bardziej w gorącej wodzie kąpani zwolennicy posiadłości zamorskich dla Polski? Rzeczywiście, do Liberii ruszyli plantatorzy, jednakże sporządzona przez MSZ Notatka w sprawie akcji LMiK w Liberii z 28 maja 1937 roku utyskiwała, że chociaż obszary pod plantacje wybierano nie tylko „z punktu widzenia rolniczego”, ale i ze względu na „cele specjalne”, to i tak nie zostały przez rząd Liberii zaakceptowane; dopiero później wybrano nowe tereny dla plantatorów.

Notatka nie wyjaśnia sensu zwrotu „cele specjalne”. Prawdopodobnie chodziło o cele gospodarcze (zapewne o punkt umowy, że plantacje powinny znajdować się nie dalej niż w odległości 10 mil od dróg lub spławnych rzek, co zapewniałoby możliwość efektywnego handlu i wygodnej eksploracji interioru). Zarazem pojawiały się wypowiedzi sugerujące, że w porozumieniu z Liberią chodziło o coś więcej niż tylko o sprawy gospodarcze. „Ilustrowany Kurier Codzienny” w 1936 roku pisał:

Janusz Makarczyk założył ważne fundamenty polskiego jutra kolonialnego (*Janusz Makarczyk...* 1936, s. 24).

Inne wypowiedzi jeszcze bardziej jednoznacznie sugerowały, że układ LMiK–Liberia, dotyczący zasadniczo spraw gospodarczych, jest tylko wstępem do uczynienia z Liberii polskiej kolonii¹³.

¹³ Zygmunt Dreszer, który pisał, że nie ma mowy o jakichkolwiek zakusach kolonialnych na Liberię, którą należy uszanować jako państwo niepodległe (Dreszer 1935b, s. 3), w tym samym czasie w innym tekście stwierdził, że można ją uznać za polską kolonię, co formalnie powinno nastąpić niebawem (Dreszer 1935a, s. 3).

Sygnalizowany wcześniej fakt, że artykuł o Januszu Makarczyku ukazał się dopiero w dwa lata po podpisaniu przez niego umowy LMiK–Liberia, wiązał się zapewne z tym, że rząd Liberii poczuł się zaniepokojony spojrzeniem części prasy polskiej na ten kraj jako kolonię i przedsięwziął kontrolę polskich plantatorów, których obawiał się jako „piątej kolumny” polskiej w Liberii. Artykuł o Makarczyku jako „polskim Lawrence” był zapewne odpowiedzią prasy polskiej na ataki prasy liberyjskiej.

W każdym razie takie głosy prasy zaalarmowały władze Liberii, obawiające się agresji kolonialnej ze strony Polski, ale także kraje zaangażowane w niej politycznie i gospodarczo (zwłaszcza Stany Zjednoczone, ale i Wielką Brytanię). Podjęły one działania mające na celu skompromitowanie Polski w oczach rządu liberyjskiego. Amerykański koncern Firestone, posiadający w Liberii wielkie plantacje kauczuku, polską obecność w tym państwie mógł potraktować jako potencjalną konkurencję gospodarczą, zagrażającą praktycznemu monopolowi gospodarczemu USA. Polskich plantatorów oskarżano, że sprowadzają broń i sprzęt wojskowy zamiast sprzętu rolniczego (przyczyną do tych oskarżeń mógł być par. 6. rozdziału I umowy, ogólnikowy, lecz zezwalający na sprowadzanie „wszelkiego rodzaju ruchomej własności”), sposobiąc się do przeprowadzenia puczu w Liberii, osadzenia tam powolnego sobie rządu, a w efekcie do uczynienia z Liberii posiadłości podległej Polsce. Pojawiły się też oskarżenia wobec państwa polskiego, że dyskretnie popiera akcję plantatorów. Podejrzewano (czy nie słusznie?), że za Ligą Morską i Kolonialną stoi rząd polski, dając jej polityczną osłonę. Rząd naturalnie odrzucał te oskarżenia, twierdząc, że jest zaskoczony antypolską kampanią w prasie liberyjskiej, kategorycznie przeciw niej protestował.

Nie sposób zgodzić się, że MSZ nic nie wiedziało o umowie i akcji Ligi w Liberii, jak oficjalnie oświadczyło. Wątpliwe jednak, by władze, chociażby za pośrednictwem Ligi, angażowały się w bezpośrednią akcję kolonialną. Liga Morska i Kolonialna prowadziła własną politykę, zbyt samodzielną, niekiedy przeciwstawną polityce MSZ. W każdym razie większość polskich plantatorów wycofała się z Liberii zanim wysunięto przeciw nim oskarżenia o sprowadzanie broni i przygotowywanie przewrotu zbrojnego w celu obalenia rządu i objęcia władzy w tym kraju. W końcu 1937 roku MSZ podjęło decyzję o zakończeniu akcji LMiK, ponieważ „urwała się” ona spod kontroli. W następnym roku zlikwidowano delegaturę Ligi w Monrovi, rozwiązano umowy z plantatorami, a plantacje będące formalnie własnością Ligi przekazano Międzynarodowemu Towarzystwu Osadniczemu, zwłaszcza że nie przynosiły oczekiwanych zysków. Józef Mańkowski, konsul honorowy w Conacry (Gwinea Francuska) i w Monrovi (Liberia), raportował 17 stycznia 1939 roku Konsulatowi Generalnemu w Marsylii (podlegały mu konsulaty honorowe w Afryce):

Dotychczasowa akcja polska na terenie (...) Liberii nie dała bynajmniej zadowalających wyników zarówno pod względem handlowym (minimalne obroty han-

dlowe), jak i eksploatacji surowcowych czy własnych plantacji, jak również pod względem przygotowania i wyszkolenia kadr ludzi obeznanych należycie z warunkami i pracą w koloniach w handlu, rolnictwie czy w innych działach życia gospodarczego. (...) wszelka akcja kolonialna połączona jest z bardzo dużymi kosztami (...) terytorium Liberii powinno być dla poczynań takich bezwzględnie wyeliminowane zarówno ze względu na nieodpowiednie warunki naturalne, jak i obecne stosunki polityczne, uniemożliwiające wszelką planową i spokojną pracę, przy z gruntu nieprzychylnym nastawieniu władz (Sprawy... 1939, s. 172–173).

Akcja Ligi Morskiej i Kolonialnej, zmierzająca do mocnego gospodarczego usadowienia się w Liberii i uzyskania dla Polski bezpośredniego dostępu do surowców, załamała się. Liberia, mimo początkowych sukcesów i przeprowadzenia próby (w efekcie niezbyt udanej) nawiązania z nią stałych stosunków handlowych, nie stała się punktem wyjścia dla polskiej ekspansji gospodarczej w Afryce. Zapewne i dla ekspansji kolonialnej, biorąc pod uwagę niechęć Józefa Piłsudskiego do „awantur” kolonialnych. Po jego śmierci, w 1937 roku miała z kolei miejsce afera z domniemanym spiskiem plantatorów. Gorączkowość poczynań „kolonizatorów”, głosy prasy, że Liberia jest już prawie polską kolonią, musiały spowodować alarm na arenie międzynarodowej, sprowadzając do zera szanse uzyskania posiadłości tropikalnych. Polscy politycy zaangażowani w ideę kolonialną nie brali pod uwagę kontekstów międzynarodowych — okazali się politycznymi amatorami, a nie doświadczonymi graczami.

Madagaskar

Zainteresowanie Madagaskarem datuje się na początek lat 20. Brak, co prawda, dokumentów jednoznacznie wskazujących na ten okres, dysponujemy jednak pewnymi wzmiankami. Kazimierz Głuchowski pisał ogólnikowo:

Jak wiadomo wszystkim, Francja parokrotnie poruszała sprawę współpracy z Polską na terenie kolonii swoich. Znane są propozycje w sprawie Madagaskaru (Głuchowski 1928c, s. 27).

Szerzej na ten temat wypowiedział się Kazimierz Warchałowski, wspominając swoje kontakty w 1919 roku z prof. Janem Dybowskiem:

Stało na tym, że profesor poruszy znów w ministerstwie [francuskie Ministerstwo Kolonii] sprawę odstąpienia nam w administrację jednej z kolonii ponemieckich lub jej części. O mandacie już nie mogło być mowy. (...) Profesor zaproponował włączenie do projektu Madagaskaru. Opierałem się temu (...) z tego jedynie powodu, że Madagaskar w żadnym razie nie był negociable ze względu na terytorialną przynależność do Francji. (...) profesor nie dał się tym odstraszyć (Warchałowski 1932, s. 24–25).

W późniejszych latach rzadko wymieniano Madagaskar jako miejsce polskiej akcji kolonizacyjnej i emigracyjnej. Ponieważ jednak Francja dysponowała wiel-

kimi obszarami zamorskimi, których sama nie była w stanie skolonizować, zastanawiano się, czy nie możnaby uzyskać od niej odstąpienia Polsce jednej z kolonii, która formalnie pozostawałaby pod władzą Francji, ale Polacy byłiby w niej autonomicznymi gospodarzami. I w tym przypadku inspiracją dla zainteresowania się Madagaskarem stał się „argument historyczno-prawny”, tym razem z Maurycem Beniowskim w roli głównej. Do tego argumentu odwoływał się Kazimierz Głuchowski:

Gdyby Beniowski mógł być Madagaskar pod Najjaśniejszej Rzeczypospolitej poddać władanie, nie potrzebowalibyśmy zapewne pertraktować o jakieś jego skrawki z Francuzami (Głuchowski 1928c, s. 27–29)¹⁴.

Odżyła czy raczej została odgrzana legenda o domniemanych osiągnięciach Beniowskiego, który ponoć omal nie uzyskał Madagaskaru dla Polski. Od końca XVIII wieku przyjęł się w Polsce mit, że Beniowski zamierzał opanować Madagaskar jako kolonię dla kraju; mit szerzony także w powieściach (np. *Beniowski* i *Ocean* Sieroszewskiego, nie wspominając już o poemacie Słowackiego — *Beniowski* — zupełnie zresztą fantastycznym). W publicystyce lat 1918–1939 Beniowski przedstawiany był jako pionier najwcześniejszej polskiej myśli kolonialnej i jako ten, który „dał nam przykład”. W rzeczywistości ten barwny i zdolny awanturnik dbał tylko o własną karierę, a nie o interes Polski — ale to zupełnie inna opowieść. W każdym razie wykorzystanie jego postaci było niezłym zabiegiem propagandowym.

Od drugiej połowy lat 30. wypowiedzi na temat Madagaskaru stały się częstsze — wiązało się to z wizytą w Polsce Yvone Delbosa, ministra spraw zagranicznych Francji. Rozważano możliwość akcji kolonizacyjnej na Madagaskarze. Jej zwolennikiem był Mieczysław Lepecki, który stanął na czele komisji badającej szansę osadnictwa polskiego na tej wyspie i przewodniczył delegacji, która udała się tam, by na miejscu rozpatrzyć sprawę, a także Arkady Fiedler, którego podróże po wyspie i książka wzywająca do osiedlania się na Madagaskarze były sponsorowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych (Fiedler 1939).

Traktowanie Madagaskaru jako terenu osadniczego, a nie obszaru mogącego stać się kolonią, wynikało z rozeznania sytuacji przez czynniki oficjalne. Zdawał sobie z tego sprawę Wydział Polityki Emigracyjnej Departamentu Konsularnego MSZ:

Polska zdaje sobie sprawę, że kolonii w suwerenne posiadanie nikt nam nie da. Wysunęła więc kwestie otwarcia kolonii dla osadnictwa polskiego. Ta możliwość otwarła się obecnie na Madagaskarze (Departament... 1938, s. 5).

Czy jednak w przypadku wypowiedzi działaczy kolonialnych nie zachodziła tu sprzeczność performatywna i akty mowy nie przeczyły ich treści? Można po-

¹⁴ Podobnie na ten temat wypowiadało się wielu innych publicystów (np.: Bulowski 1929; Ludkiewicz, Żabko–Potopowicz 1930; Warchałowski 1932).

dejrzwać, że opowiadający się za masowym osadnictwem emigracyjnym mogli liczyć, że w przyszłości uda się wypertraktować wyspę lub przynajmniej jej część jako posiadłość polityczną Polski, ewentualnie jako kondominium wspólne z Francją.

Inne obszary

W drugiej połowie lat 30., po sformułowaniu polskiego planu raczej kolonizacyjnego niż kolonialnego, Ministerstwo Spraw Zagranicznych przejęło inicjatywę w propagowaniu polskiej ekspansji gospodarczej. Przyczyniły się do tego niepowodzenia Ligi Morskiej i Kolonialnej (Kamerun, Angola, Liberia, Madagaskar), a także fakt, że nie zawsze była ona posłuszna sugestiom ministerstwa w sprawie postępowania na terenach zamorskich.

MSZ od 1937 roku zaczęło tworzyć w Afryce sieć konsulatów honorowych zbierających informacje o położeniu gospodarczym, finansowym i wewnętrznym kolonii, przeważnie francuskich i portugalskich, oraz sieć agencji handlowych; wspierało też działalność na tym terenie polskich firm i kupców. W pewnym momencie uwagę zwrócono na Togo — dawną kolonię niemiecką, wówczas terytorium mandatowe Francji. Raporty nie były jednak zachęcające: fatalny klimat, słabość ekonomiczna kraju. Mizerne możliwości osadnicze spowodowały porzucenie zainteresowania się tym obszarem.

Kolejnym przedmiotem uwagi stała się Gwinea Francuska. Zakładano, że kolonia ta ma dla Francji drugorzędne znaczenie gospodarcze, a żadnego osadniczego. Dostrzeżono możliwość założenia tam plantacji bananowych, jednakże inwestycje — jak wynikało z wyliczeń ekspertów ekonomicznych — wymagałyby dużych nakładów. Ewentualni polscy plantatorzy musieliby brać pod uwagę trudności w otrzymywaniu nowych koncesji terenowych i dysponować, przynajmniej na początku działalności, dużym kapitałem inwestycyjnym, o co nie było łatwo (kapitał prywatny odstręczały duże koszty inwestycyjne, niepewne możliwości ich znaczącego zwrotu we względnie krótkim czasie, czyli długie zamrożenie finansów). Poza tym uznano, że większość terytorium Gwinei nie nadaje się do osadnictwa Białych. Gwinea stała się zatem „protezą” programu kolonialnego, rychło porzuconą.

Wreszcie Portugalska Afryka Wschodnia, czyli Mozambik. Stwierdzono, że w ślad za obecnością gospodarczą i fizyczną (plantatorzy i osadnicy) musi iść polityczna. Powinien to być jednak teren, którego przyznanie Polsce nie zagrażałoby interesom mocarstw, które będą o tym decydowały, zatem konieczna jest zgoda na przyznanie Polsce kolonii kosztem państwa trzeciego. Powinno ono być słabe i zależne od mocarstw, by nie mogło przeciwstawić się porozumieniu — chodziło o to, by państwo to nie wystąpiło zbrojnie przeciwko Polsce, a także, żeby było luźno związane z kolonią ludnościowo, gospodarczo i kulturalnie. Idealnym rozwiązaniem był właśnie portugalski Mozambik.

Argument słabości politycznej i militarnej Portugalii, podnoszony przy rozpatrywaniu możliwości kolonizacji Angoli, był istotny i w tym przypadku. Jednakże MSZ ograniczało swoje zainteresowanie do spraw osiedleńczych i ekonomicznych, nie widząc realnych możliwości politycznej obecności Polski na tym obszarze. Nie chciano dopuścić do zadrażnień międzynarodowych, obawiając się powtórzenia *casusu* Angoli.

W pewnym momencie uwagę uczestników dyskursu elitarnego zwróciły Indie Holenderskie (Indonezja), nie jako teren do pozyskania w formie kolonii politycznych, ale jako obszar osadniczy, zapewniający dostęp do surowców. Pomysł ten dyskutowano jedynie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w dyskusie popularnym nie występował. Zakładano, że dla Holandii skolonizowanie jej części Nowej Gwinei (zachodniej) białymi osadnikami stanowiłoby zabezpieczenie przed ekspansją kolonizacyjną rasy żółtej (Japonii). Rychło jednak zrezygnowano z tego kierunku. Zadecydowały o tym klimat, prymitywizm życia, odległość od Europy i niedostateczne z nią połączenie, wysokie koszty przedsięwzięcia i niepewność polityczna — dynamizm ekspansji japońskiej mógłby wyrugować Białych z tych obszarów i odciąć dostęp do znajdujących się tam surowców.

Należy też wspomnieć o San Domingo jako miejscu kolonizacji osadniczej — dokumenty nie precyzują, czy chodziło o Haiti, czy o Dominikanę. Stanowisko MSZ w tej sprawie sprowadzało się do tego, że jeśli warunki ogólne oraz klimatyczne i glebowe okażą się korzystne i zostanie rozwiązana sprawa kosztów transportu morskiego, będzie można osadzić tam 80–100 tys. emigrantów, co przyczyni się do wzmocnienia handlu z tym obszarem; wówczas ministerstwo będzie gotowe wesprzeć emigrację na San Domingo, a nawet wyłożyć niewielkie kwoty na wysłanie tam ekspedycji dla zbadania warunków osadniczych. Dalszego ciągu rozpatrywania pomysłu osadnictwa na San Domingo nie było.

Na koniec warto napisać o prowadzeniu w latach 1935–1936 przygotowań do przedsięwzięcia próby osadnictwa inteligenckiego (!) w Kolumbii (odmiennego od osadnictwa rolniczego w innych państwach Ameryki Południowej). Miało ono opierać się na zasadach spółdzielczych i jednocześnie zajmować się organizacją handlu. Nie wiele jednak na ten temat wiadomo. Cały pomysł nie wyszedł poza fazę wstępnych planów. Interesowano się także zamierzeniami emigracyjno-osiedleńczymi w Argentynie, Peru, Wenezueli, Gwatemali. Liga Morska i Kolonialna nie angażowała się w wymienione poczynania, z wyjątkiem Kolumbii. Były to inicjatywy Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Brazylia

Brazylia nie była obszarem, na którym upatrywano możliwości uzyskania posiadłości kolonialnej. Od połowy XIX wieku istniało tam liczne wychodźstwo polskie, w latach 30. szacowane na ponad 200 tys. osób, zgromadzone w stanach Parana, Santa Catarina i Rio Grande do Sul. Liga Morska i Kolonialna widziała

Brazylię jako teren dla masowej, ale zorganizowanej akcji osadniczej, kierowanej do tych trzech stanów — chodziło o to, by emigranci utworzyli zwarte skupisko, umiejscowione w południowo-zachodniej części Brazylii, zachowujące poczucie tożsamości narodowej, nie tracące łączności z krajem i pracujące na jego rzecz.

Od rządu stanowego w Paranie zakupione zostały pod osadnictwo obszary nazwane „Morska Wola”; planowano też zakup następnych o nazwie „Orlicz-Dreszer”. Zagadnieniami organizacyjnymi zajmował się emerytowany gen. bryg. Stefan Strzemiński — w kwietniu 1933 roku wyjechał on do Brazylii jako przedstawiciel Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zaniepokojone, że gen. Strzemiński nie uzgadniał swoich poczynań z polskim konsulem w Kurytybie, zasugerowało, by Liga ze względów politycznych nie zajmowała się bezpośrednią akcją osadniczą w terenie, lecz powierzyła jej wykonanie Parańskiej Spółce Kolonizacyjnej — instytucji założonej przez Polaków zamieszkałych w Paranie. Liga nie posłuchała tych zastrzeżeń i kontynuowała swoją akcję za pośrednictwem własnego przedstawicielstwa w Paranie.

Doszło do konfliktu politycznego. Brazylija zaniepokoiła się akcją Ligi — organizacji mającej przecież w nazwie „Kolonialna”. Posądzono Polskę o zamiar oderwania od kraju jego części (stan Parana, a może też Santa Catarina i Rio Grande do Sul) i utworzenia na tym obszarze swojej posiadłości kolonialnej. Obawy te podsyciała część polskiej prasy, rozważając możliwość uczynienia z Parany polskiej kolonii. Czy tylko osadniczej, czy i politycznej? Być może zawiñiła tu dwuznaczność pojęcia „kolonia”, jednoznacznie odczytywanego przez zaniepokojonych Brazylijczyków. W Brazylii rozpoczęła się kampania prasowa przeciwko LMiK i imiennie przeciwko gen. Strzemińskiemu, co odnotowywała prasa polska — krytykowała ona, co oczywiste, antypolską kampanię w Brazylii¹⁵. Przyczyny wybuchu tej kampanii wyjaśnia sytuacja wewnętrzna Brazylii. Władze tego kraju podjęły akcję na rzecz zintegrowania państwa, zatem dążenia do skupienia w nim jakichkolwiek grup etnicznych i uzyskania dla nich autonomii kulturalnej, językowej i gospodarczej traktowały jako zamiar destabilizacji kraju i jego osłabienia. W rezultacie, stosując się do poleceń MSZ, Liga od połowy 1938 roku zaczęła likwidować swoją akcję kolonizacyjną w Paranie i stanach sąsiednich.

W dyskursie elitarnym Brazylija (ani żadna jej część) nie była brana pod uwagę jako obszar akcji kolonialnej, jedynie jako teren opieki nad liczną tam emigracją polską. Jednakże w miarę snucia planów nabycia dalszych obszarów dla kolonizacji osiedleńczej zaczęły pojawiać się wypowiedzi działaczy kolonialnych (tak w dyskursie elitarnym, jak i popularnym) sugerujące autonomię języko-

¹⁵ Na dramatyczne doniesienia prasy brazylijskiej polska prasa reagowała również dramatycznie (M. B. 1934a, 1934b, 1934c).

wą, gospodarczą i kulturową oraz możliwość poddania osadników kontroli ze strony Polski. Już to budziło niepokój władz Brazylii — obawiały się one, iż kolejnym krokiem Polski będzie wykupienie przez nią tych terenów. Zapewne była to interpretacja zbyt daleko posunięta, sprzyjały jej jednak niektóre teksty ukazujące się w polskiej prasie. Dla przykładu, Mieczysław Fularski stawiał sprawę otwarcie:

Polska potrzebuje kolonii. (...) Pod względem możliwości rozwojowych dla polskiego osadnictwa zamorskiego należałoby na pierwszym miejscu postawić południowe stany Brazylii, gdzie posiadamy już liczne skupiska polskie, dla których stworzenie nowych ośrodków osadniczych będzie ożywieniem ich życia narodowego. (...) Na południowy teren Brazylii należałoby więc przede wszystkim kierować naszą emigrację osadniczą (...) dopóki nie będziemy posiadali przygotowanego innego terenu (...). Tworzy się nowe polskie państwo w Ameryce Południowej (Fularski 1931, s. 11).

Podobnie pisał Stanisław Pawłowski:

Z punktu widzenia zasad polityki kolonialnej polskiej, krajami najbardziej odpowiadającymi naszej emigracji są w Ameryce Południowej południowe stany republiki brazylijskiej. (...) Ludność polska w wymienionych republikach powinna stać się podstawą dla naszej ekspansji gospodarczej (...). Lud polski, jak mamy na to dowody w Paranie (...) posiada potrzebne dla kolonizacji uzdolnienia. Własne terytoria zamorskie dałyby mu możność do rozwinięcia tych uzdolnień, chroniąc go jednocześnie od wynarodowienia (Pawłowski 1933, s. 24).

Wprawdzie świadom, iż czasy XIX-wiecznych podbojów bezpowrotnie minęły, gen. Orlicz-Dreszer planował zakładanie za oceanem osad rolniczych produkujących dla Polski niezbędne surowce kolonialne, a otrzymujących w zamian wytwory naszego przemysłu. Niezależnie od intencji projekty te wyjmowały spod jurysdykcji Brazylii pewne sfery jej gospodarki narodowej. W Polsce nie postrzegano tego, oczywiście, jako dążeń kolonialnych (wyjąwszy zapalczywych działaczy), lecz jako akcję emigracyjno-osiedleńczą. Stąd zaskoczenie Ligi reakcją Brazylii.

Celem LMiK było zorganizowanie dotychczasowego polskiego osadnictwa w Brazylii i kierowanie tam kolejnych fal emigracyjnych. Oczywiście, niektórzy działacze mogli zastanawiać się, czy wraz ze wzrostem liczby polskich osadników nie otworzy się dla Rzeczypospolitej jakaś szansa pozyskania pewnych obszarów południowych stanów, jeśli nie jako kolonii, to przynajmniej jako kondominium czy dzierżawy o autonomicznym statusie.

Wątki dyskursu

Uczestnicy dyskursu dysponują wspólną wiedzą (posiadają wspólny repertuar społecznych i kulturowych przekonań), zatem są w stanie zrozumieć wypowiedzi

dzi innych, uchwycić ich sens. Założenie to implikuje, że uczestnicy wyrażają opinie i idee swoje lub reprezentowanych przez siebie grup. W związku z tym wątki mogą się zmieniać; zależnie od przekonań uczestników dyskursu jedne są wprowadzane jako główne, inne pomijane lub traktowane pobocznie. Zazwyczaj wszystkie wątki, zarówno główne, jak i poboczne, są wspólne dla uczestników dyskursu. Pierwsze są uznawane za istotne, drugie za mniej ważne. Oczywiście, mogą być interpretowane odmiennie. Poza tym to samo można wyrazić innymi słowami. Następuje wówczas wniesienie części doświadczenia w logos dyskursu, a wtedy jedne elementy wątków są polami zgodności, inne płaszczyznami konfliktu.

Wątki są dla dyskursu przedmiotami odniesienia (albo punktami wyjścia), stanowią wspólne zaplecze pojęciowe uczestników (nadawców i odbiorców), podkreślają lub eksponują przedmioty lub sądy dyskursu dla skupienia na nich uwagi.

Wątki główne

Za wątki główne należy przyjąć te, które nieustannie są obecne w dyskursie, przez wszystkich uczestników traktowane jako zasadnicze, a które implikują wątki pozostałe. Rzecz dotyczy nie tylko częstotliwości ich pojawiania się, ale także miejsc, jakie zajmują w strukturze tematycznej dyskursu: centrum uwagi.

Nie należy hierarchizować wątków głównych — każdy z nich jest istotny; wszystkie łączą się ze sobą w jeden kompleks zagadnień i bywają wzajemnie od siebie uzależnione. Zastosowana w niniejszej pracy kolejność opisu tych wątków wynika nie z ich arbitralnego uszeregowania, lecz z ułożenia w pewien logiczny ciąg — według wzajemnych uzależnień od siebie.

W dyskursie kolonialnym toczącym się w Polsce w latach 1918–1939 wątkiem głównym była *eo ipso* sprawa kolonii, a ściślej pozyskania kolonii, wyrażająca się hasłem „Polska musi mieć kolonie” lub podobnymi, zachowującymi ten sam sens. Różne wypowiedzi dotyczące tego, dlaczego kolonie są Polsce potrzebne i jak je osiągnąć czy też odmienne — negujące potrzebę posiadania kolonii i sprzeciwiające się staraniom o ich uzyskanie, były określeniem się wobec tego wątku. Wszakże niezależnie od możliwych interpretacji odnosiły się do niego jako wątku głównego. Oto protokół z konferencji MSZ w sprawach kolonialnych, która odbyła się 9 maja 1936:

Z punktu widzenia politycznego, wojskowego i ekonomicznego ważne jest posiadanie własnych ośrodków dyspozycji w dziedzinie surowcowej (...). Poza tym ważnym momentem w kwestii kolonialnej jest rozszerzenie naszego kręgu kulturowego (Konferencja... 1936a, s. 5).

Zatem oprócz surowców istotne było „rozszerzenie naszego kręgu kulturowego”, czyli po prostu delikatniej nazwane dążenie do uzyskania kolonii, zwłaszcza że w „dziedzinie surowcowej” ważne miało być „posiadanie własnych ośrodków dyspozycji”. Własny ośrodek dyspozycji to własna kolonia!

Większość wypowiedzi unikała jednak uciekania się do tego rodzaju argumentacji. Stosowano raczej argumenty demograficzne i ekonomiczne jako przemawiające za uzyskaniem kolonii (lub wezwania do zdobywania posiadłości zamorskich, które zawierały *implicite* niewypowiedzianą, lecz powszechnie w nich odczytywaną argumentację gospodarczą). Program kolonialny uzasadniano tym, że kraj wielkości Polski, mający 35 milionów mieszkańców, powinien mieć kolonie. Często dochodziły do tego szacunki wielkości przyrostu naturalnego i emigracji rocznej (niekiedy rozbieżne, może dlatego że pochodzące z różnych lat):

Przyrost ludności w Polsce sięga 450 000 głów rocznie. Emigracja z Polski przekracza rocznie olbrzymią cyfrę 150 000 wychodźstwa. Około 1/3 naszego importu to towary kolonialne (Rozwadowski 1929, s. 21).

Sięgano też do argumentów populacyjnych, wyrażających troskę o pomyślność kraju w następnych dziesięcioleciach:

(...) za lat piętnaście kraj nasz posiadać będzie 40 milionów ludzi (przyrost naturalny Polski w roku 1930 wynosił 525 tysięcy głów), a stosunki ekspansji ludzkiej i rozwoju gospodarczego ułożyły się dla Polski, geograficznie biorąc, znacznie gorzej aniżeli dla Italii, posiadamy bowiem zaledwie (nie licząc półwyspu Helu) 70 kilometrów wybrzeża morskiego i nie posiadamy jakichkolwiek posiadłości kolonialnych. (...) Społeczeństwo nasze musi w końcu zrozumieć, że jedynym środkiem dla narodów o dużym zaludnieniu i dużym przyroście naturalnym, a więc że i dla 32-milionowej Polski, żyć niepodobna na terytorium o połowę mniejszym niż Francja, Hiszpania lub Niemcy i stale zależeć od obcej kontroli nad naszym handlem, oraz mimo olbrzymiego przyrostu naturalnego — zamykać sobie drogę na świat, tam, gdzie małorolny i bezrolny Polak znaleźć może ku pożytkowi swemu, swego kraju oraz kraju nowego odpowiedni warsztat pracy, a przedsiębiorczość polska i handel polski nieograniczone możliwości (Pionier 1932, s. 29)¹⁶.

W podobnym tonie pisał Stanisław Pawłowski:

Mała dla Polski współczesnej pociecha, że z 28 państw europejskich tylko 9 należy do państw kolonialnych. Państwa niekolonialne są to przeważnie państwa mniejsze, nieprzeludnione. (...) Polska, o ile chce wystarczać sama sobie, nie będzie mogła pomieścić w swoich granicach więcej jak 45 milionów (Pawłowski 1933, s. 22).

Wreszcie, argumentem ekonomicznym, mogącym trafić do każdego czytelnika, posłużył się Kazimierz Jeziorański:

¹⁶ Nie wiadomo, co autor miał na myśli, pisząc o terytorium Polski dwukrotnie mniejszym niż terytorium Francji, Hiszpanii czy Niemiec.

Nie posiadając kolonii, nabijamy kieszenie nie własnym obywatelom, lecz obcym (Jeziorański 1935, s. 8).

Bardziej mocarstwowy charakter miały wypowiedzi ogólnikowe, odchodzące od skrupulatnych wyliczeń. Michał Pankiewicz pisał:

Dla prężności polskiej trzeba wskazać ujście, polska myśl polityczna szuka go, my, pionierski zastęp Polski Nowej, to ujście wskazujemy. Jest nim przekucie, przebudowa Polski lądowej na Polskę morską i kolonialną (Pankiewicz 1934, s. 9).

Zaimek „my” oznacza Ligę Morską i Kolonialną. Znacznie bardziej istotne wydają się zwroty: „przebudowa Polski” i „Polska Nowa”. Narzuca się tu interpretacja, że „Polska Nowa” to nie państwo jedno z wielu, tyle że zreformowane, ale Polska mocarstwowa, zwłaszcza gdy wyrażenie to zestawia się z „prężnością” narodową. Co prawda, w wypowiedziach pełnych wyliczeń na temat ludności Polski, obszaru kraju, przyrostu naturalnego (wzywających do znalezienia dla niego ujścia) też można doszukać się motywów mocarstwowych, tyle że ukrytych w statystykach. Ministerstwo Spraw Zagranicznych sugerowało, by postulaty kolonialne wyrażać ostrożnie, posługując się argumentacją pośrednią — ludnościową i surowcową. Prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, miał wątpliwości co do sposobu formułowania mocarstwowej pozycji kraju:

Wmawiamy w siebie na różnych zebraniach, że robimy państwo mocarstwowe. (...) Na wsi brak soli, dochodzimy do tego, że nędza staje się wprost bezprzykładna, że chyba gdzieś w Indiach, gdzieś w Brazylii podobnej nędzy doszukać się można. (...) My czytamy gazety o wielkich sukcesach naszej polityki zagranicznej (...). Jak wyglądają te sukcesy w rzeczywistości polskiej? Że nas dziś to czy inne pismo nazywa mocarstwem, że ten czy inny minister państwa ościennego lub dalszego powie, że Polska idzie po drodze mocarstwowej — czy nas to może tak bardzo przejmować? Jest to pusty dźwięk, który idzie w przestrzeń bez echa i bez znaczenia. Jakież mocarstwo może znieść taką nędzę, jaka jest w Polsce, może pozwolić na to, że ludzie się duszą na gospodarstwach karłowatych i w miastach nadaremnie wyciągają ręce po pracę. Czy takie mocarstwo może mieć jakiś ważki głos na terenie międzynarodowym, wtenczas gdy się z nami nie zgadzają? Wielka polityka międzynarodowa może mieć swoje znaczenie, ale wtenczas gdy się opiera na możliwych przynajmniej warunkach w kraju. Jak wybrnąć z tej sytuacji? Jak zatrzymać Polskę po pewnego rodzaju równi pochyłej, wskutek tego, że dziś posiada olbrzymie bezrobocie, jak zaradzić na to, że to co jest skarbem dla innych, jest dla nas największym nieszczęściem, to jest przyrost naturalny? Musimy zdobyć się na brutalność i głośno domagać się przestrzeni, tymczasem u nas w tej dziedzinie nic się nie robi (...) (*Tak dalej...* 1936, s. 2–3)¹⁷.

¹⁷ Artykuł stanowił omówienie przemówienia gen. Dreszera, wygłoszonego na zjeździe Ligi Morskiej i Kolonialnej w 1935 r. (zawierał obszerne cytaty).

Generał Dreszer za podstawowy wyznacznik potęgi kraju uznał jego siłę gospodarczą — sukcesy międzynarodowe to pochodne pozycji ekonomicznej. Wprawdzie źródła tych sukcesów widział między innymi w programie kolonialnym, uważał jednak, że zanim Polska zacznie się ubiegać o status mocarstwa, powinna poprawić wewnętrzne stosunki gospodarcze. Twierdził, że posiadanie kolonii jest dla Polski zagadnieniem głównie gospodarczym — przynieść ma nie legitymację statusu mocarstwowego, ale poprawę położenia ekonomicznego społeczeństwa w kraju (to jest podstawa mocarstwowości). W większości wypowiedzi uczestników dyskursu przeważał jednak pogląd, że Polsce po prostu należą się kolonie.

Wątek kolonialny nie dotyczył tylko kwestii pozyskania kolonii dla Polski, rozpatrywano także sprawy kolonii innych państw: sposoby zarządzania, finanse, sytuację gospodarczą (jedne były ekonomicznie samowystarczalne, przynosiły zyski metropolii, inne wymagały dopłat budżetowych), sytuację wewnętrzną (konflikty między administracją metropolii a ludnością kolonii), sytuację metropolii i ich kolonii w międzynarodowych uwarunkowaniach politycznych. Chodziło o „podglądanie”, jak inne państwa dysponujące posiadłościami zamorskimi realizują swoją politykę kolonialną i jak sobie radzą z różnymi problemami. „Podglądanie” to miało dostarczyć informacji o zarządzaniu koloniami, na podstawie których Polacy mieli sformułować wnioski dla własnych programów kolonialnych.

Kwestia surowców, czy w rozwinięciu — swobodnego (lub wolnego, jak to też bywało określane) dostępu do surowców tak zwanych kolonialnych, to kolejny wątek główny. Dyskusja o surowcach nie była tym samym co dyskusja o koloniach, zwłaszcza gdy mówiono o dostępie do surowców bez zmiany stosunków własnościowych kolonii. Jednakże w omawianym dyskursie problem surowcowy praktycznie łączył się z kolonialnym. Z punktu widzenia polskiego programu kolonialnego wątek surowcowy miał wielkie znaczenie — swobodny dostęp do surowców kolonialnych (ich pozyskanie i wykorzystanie) miał przyczynić się do poprawy ekonomicznego położenia kraju i jego przebudowy z rolniczego na przemysłowy.

Wśród uczestników dyskursu (zarówno elitarnego, jak i popularnego) panowała zgoda co do ważności tego wątku. Uważano, że wolny dostęp do surowców ułatwi poprawę gospodarki kraju. Jeśli pojawiały się rozmaite interpretacje, to dotyczyły szczegółów realizacyjnych: czy najlepszym wyjściem byłoby posiadanie własnych kolonii, czy utworzyć firmy mieszane na terenach kolonialnych, które umożliwiłyby polskim udziałowcom dostęp do surowców, czy wreszcie głosić postulat tak zwanych drzwi otwartych — wolnego zakupu surowców bez zmia-

ny podległości politycznej i gospodarczej dotychczasowych kolonii, ale ze zniesieniem monopolu na surowce przez metropolie kolonialne (K. K. 1936a, s. 1)¹⁸.

Problem emigracji to następny wątek główny. Określano go także mianem: „demograficzny”, „kolonizacyjny” (nie kolonialny!), „osadniczy”, „osadniczo-kolonizacyjny” i pochodnymi — odmianami wymienionych.

Przy ogólnej zgodności uczestników dyskursu co do traktowania emigracji jako wątku głównego, ujawniały się odmienne interpretacje jej znaczenia, aż do zanegowania sensu. Część uczestników była jej przeciwna — emigracja osłabiała substancję narodową w kraju. Godzono się zatem na emigrację, ale jedynie mniejszości narodowych — poprawiłoby to relacje etniczne w Polsce (między Polakami a „obcymi” — Żydami, Ukraińcami).

Należy pamiętać o wieloznaczności takich pojęć jak „kolonizacja” czy „osadnictwo”. Kolonizacja mogła oznaczać kolonizację kolonii (wypada przeprosić za niezręczność słowną, najlepiej jednak oddaje ona istotę rzeczy), jak i kolonizację emigracyjną (kierowanie emigrantów na wybrane obszary). Podobny charakter miało pojęcie „osadnictwo” — mogło oznaczać osadnictwo w koloniach własnych, jak i osadnictwo emigrantów na terytoriach innych państw. Uwzględniwszy powyższe zastrzeżenie, trzeba wziąć pod uwagę uwarunkowania międzynarodowe tego wątku, sprzyjające albo nie swobodzie emigrowania do innych państw czy kolonii krajów europejskich.

Związek między wątkiem kolonialnym a emigracyjnym polegał na tym, że pełna swoboda emigracji istniała wtedy, gdy można było kierować się do własnych posiadłości. Inne państwa ustalały dopuszczalną liczbę obcych osadników, wyznaczały tereny osiedleńcze zgodnie z własnymi interesami, a nie interesami kraju wychodźstwa.

Z wątkiem kolonialnym i emigracyjnym bezpośrednio łączyły się zagadnienia kulturowe. Dotyczyły one ustosunkowania się do ludów egzotycznych, z którymi Polacy stykali się lub mieli się zetknąć w razie uzyskania jakichś posiadłości zamorskich, a także wzajemnych relacji między emigrantami a tubylcami.

Przy konstruowaniu programów kolonialnych niemal zawsze uwzględniano sposoby i zasady kontaktowania się z tubylcami (w przypadku „emigracji” — kontakty między tubylcami a osiadłymi w niektórych koloniach afrykańskich plantatorami). Chodziło o efektywne i bezkonfliktowe zarządzanie posiadłościami zamorskimi:

¹⁸ Autor artykułu omawiał wystąpienie ministra Becka w Radzie Ligi Narodów dotyczące m.in. dostępu Polaków do tzw. otwartych drzwi. Kilka dni później, również na łamach „GP”, zamieścił kolejny artykuł poświęcony sprawą kolonialnym (K. K. 1936b); z kolei dwa lata później na łamach „IKC” opublikował tekst dotyczący nieudostępnionych terytoriów kolonialnych mających bogate rezerwy surowcowe (K. K. 1938).

Pracowitości nadzwyczajnej murzyni nie wykazują, ani też nie są dobrymi robotnikami. (...) Nadają się do wszelkich prac niewymagających stałego, dużego i ciągłego wysiłku. Pracując u białych, o ile są dobrze traktowani i dobrze odżywiani, mają lepszy wygląd, stają się muskularniejsi i zdolniejsi do większych wysiłków. (...) Murzyni zostali tak wybitnie przekonani o mocy białych, że ugięli się pod nią. Przy spotkaniu z białym zawsze schodzą w bok z drogi, pozdrawiają go zwyczajem białych lub własnym (...) są usłużni i podbiegają na każde skinienie białego, spełniając natychmiast jego polecenie. (...) Ustosunkowanie się ludności białej do murzynów wyraża się mniej więcej przekonaniem, że murzyn jest po to, aby pracował, a biały, aby rozkazywał — powszechna zresztą zasada afrykańska. (...) Zasadniczo biorąc, nie ma w Angoli w teorii, w praktyce i wobec prawa żadnej różnicy pomiędzy rasami. Jeśli jednak różnice jakieś zaznaczają się, to źródłem ich nie jest barwa skóry, lecz faktyczny stopień kultury i cywilizacji, który w obecnym ustroju i porządku rzeczy daje prawo rozkazywania i rządzenia rasie znajdującej się na wyższym szczeblu rozwoju. Ta tylko wyższość białego człowieka, jako reprezentanta i krzewiciela kultury, stawia go w roli rozkazodawczej, a murzyna, jako przyjmującego kulturę, stawia w roli spełniającego polecenia (Łyp 1929b, s. 445, 447, 450).

Chociaż autor zanegował różnicę między rasami, to jednak dostrzegł różnice kulturowe. Zasadniczy problem dotyczył relacji Biali–tubyłcy. Polscy osadnicy czuli się integralną częścią społeczności Białych w Afryce. Dziedzictwo kulturowe wymuszało na nich takie samo postępowanie wobec „kolorowych”, jak to stosowane przez przedstawicieli innych europejskich narodów. Odstępstwo od zasad mogło ich stygmatyzować jako niepełnowartościowych kolonizatorów (lub chociażby tylko kolonistów), demontujących utrwalony układ Biali–Czarni. To zaś mogło grozić narastaniem konfliktów etnicznych i politycznych w koloniach.

Jednocześnie, dla osiągnięcia wspomnianej efektywności pracy na terytoriach zamorskich, konieczne było przynajmniej elementarne poznanie kultur lokalnych. Ich znajomość mogła zaoszczędzić nieporozumień, a nawet konfliktów z ludnością miejscową. Pojawiały się głosy, płynące z posiadłości francuskich, o konfliktach między prawem francuskim a miejscowym (zwyczajowym).

Nieprzypadkowo użyto tu sformułowania „kultury lokalne” w liczbie mnogiej. O ile początkowo miejscowych traktowano jako jednorodną masę etniczną („Murzyni”, „kultura murzyńska”), o tyle z biegiem czasu pojawiały się określenia dywersyfikujące, co prawda według kryterium geograficznego (Murzyni Angoli, Kamerunu, Konga, Liberii — w tej ostatniej odróżniano autochtonicznych mieszkańców kraju od potomków przybyszów z Ameryki, założycieli państwa). Zaczęto dostrzegać plemienną różnorodność kulturową mieszkańców Afryki. Nadal jednak aktualny był zasadniczy podział na Białych i Czarnych. Pierwsi to rozsądniccy cywilizacji, drudzy — dzicy, których należy cywilizować, aczkolwiek i wśród nich zaczęto rozróżniać bardziej lub mniej dzikich, a nawet częściowo

cywilizowanych, wreszcie niemal w pełni cywilizowanych (Nadolska–Styczyńska 2005, s. 123–145).

Warto pamiętać, że także ludy egzotyczne oceniały Białych, stereotypizując ich i przedstawiając niekiedy jako zbiorowość prymitywną (zwłaszcza w Azji), częściej jako brutalnych agresorów niszczących lokalne kultury (Afryka, częściowo Azja), czasem jako społeczność, od której warto się uczyć (przede wszystkim Azja, rzadziej Afryka) (Krzywicki, Nalborczyk, Pałasz–Rutkowska, Stasik, 2005).

Dostrzeżenie zróżnicowania kulturowego ludów egzotycznych zazwyczaj bardziej ujawniało się w dyskursie elitarnym (choć nie zawsze: Afrykę — bo o nią głównie chodziło — uważano za jednorodny kulturowo, zacofany i dziki obszar, z wyjątkiem Unii Południowej Afryki i specyficznego przypadku Libarii), niemniej przenikało i do popularnego.

W przypadku Ameryki Południowej istotne były relacje między osiadłymi tam emigrantami a obywatelami państw tego obszaru. Nie chodziło tylko o Indian, z którymi kontakty były rzadkie. Można mniemać, że polscy osadnicy jako Europejczycy okazywali wyższość ludności miejscowej. Trzeba jednak dodać, że najczęściej stykali się z kaboklami — tamtejszymi chłopami. Uważali się za bardziej cywilizowanych niż ich miejscowi, też przecież biali sąsiedzi. Poczucie wyższości mogło brać się stąd, że Polacy żyli w zwartych, izolowanych od sąsiedztwa skupiskach. Swoje poczucie „lepszości” przenosili na wszystkich Brazylijczyków. Nie wyrażali chęci poznania miejscowej kultury (z wyjątkiem języka portugalskiego, ale to była konieczność), bronili się przed asymilacją, w czym podtrzymywały ich instytucje krajowe, szczególnie Liga Morska i Kolonialna. Zespół tych elementów mógł przyczynić się do konfliktów i zamieszek w 1934 roku oraz do posądzenia Polski o zakusy kolonialne wobec Parany.

Wątki poboczne

Wątki poboczne wynikały z wątków głównych. Niekiedy trudno bezwzględnie wyrokować, które były główne, a które poboczne. W wątpliwych przypadkach decyduje konkretne rozumienie danego pojęcia i używanie go w dyskursie kolonialnym. Przyjęcie takiego kryterium może niekiedy prowadzić do zaliczenia tej samej sprawy zarówno do wątków głównych, jak i pobocznych, w zależności od znaczenia, jakie nadawano temu pojęciu w wypowiedziach. Należy zatem odczytać znaczenie takiego pojęcia i dopiero wtedy zdecydować o zaliczeniu go do wątku głównego albo pobocznego. Mimo tych trudności można odróżnić wątki główne od pobocznych, kierując się kontekstem wypowiedzi i częstotliwością podejmowania pewnych tematów w dyskursie kolonialnym.

Wychodźstwo w znaczeniu emigracji niekierowanej przez instytucje państwowe lub społeczne, lecz podejmowanej na podstawie indywidualnych decy-

zji, rozumianej jako stałe lub na dłuższy czas osiedlanie się w innych państwach, zwłaszcza w Ameryce Południowej (Brazylia, region Misjonów w Argentynie czy Montania w Peru), głównie ze względów ekonomicznych (tzw. emigracja za chlebem), jest wątkiem pobocznym. Dopiero osadnictwo w koloniach lub na terenach, które rozpatrywano jako ewentualne przyszłe posiadłości polskie (osiedleńców tam udających się traktowano jako potencjalnych pionierów kolonialnych), można zaliczyć do wątków głównych.

Niekiedy oddzielenie od siebie tych dwóch rodzajów emigracji stwarza pewną trudność; w dyskursie kolonialnym sprawy emigracji pojawiały się w obu znaczeniach — w poczynaniach państwa oraz instytucji społecznych kwestie emigracji rozpatrywano kompleksowo. Niemniej, da się wytyczyć granice pomiędzy obydwoma znaczeniami pojęcia. W sensie kolonialnym emigracja miała być osadnictwem na obszarach zamorskich (w posiadłościach innych państw), służącym przygotowaniu przyszłych fachowców — kadr kolonialnych w potencjalnych polskich nabytkach terytorialnych, a co najmniej w kondominiach lub dzierżawach terytorialnych, w drugim zaś znaczeniu wychodźstwem w celu bytowym — w poszukiwaniu pracy i zarobków w sytuacji bezrobocia w kraju.

Wątek ekspansji gospodarczej łączył się zarówno z kwestią pozyskiwania surowców, jak i z intensyfikacją handlu zamorskiego. Z punktu widzenia polityki gospodarczej państwa był to wątek główny, natomiast z punktu widzenia dyskursu kolonialnego wątek poboczny — dotyczył nie zasadniczego tematu dyskursu (kwestii pozyskania posiadłości zamorskich), lecz używanych w nim uzasadnień: handlu z obszarami kolonialnymi (tropikalnymi). Ekspansja gospodarcza miała poprzedzać zdobywanie posiadłości. Lokowanie w tropikach polskich plantacji i przedsiębiorstw, inwestycje przemysłowe oraz bankowe — wszystko to miało być wstępem do rozwoju i intensyfikacji penetracji gospodarczej tych terenów; dopiero w przyszłości penetracja ta mogłaby stanowić wstęp do prób pozyskania tych terytoriów przez Rzeczpospolitą. Wątek ten ze względu na to, że był wykorzystywany w wypowiedziach i hasłach związanych z całością problemu kolonialnego (w tym z programami kolonialnymi formułowanymi przez instytucje państwowe i społeczne), zasługuje na uwagę. Często występował w połączeniu ze sprawą surowców, emigracji, a także rozwoju gospodarki morskiej; stopień rozwoju gospodarki morskiej determinował możliwości posiadania kolonii i możliwości ich efektywnego wykorzystywania dla gospodarki państwa, a to już łączyło się z dyskursem kolonialnym.

Z wątkiem zamorskiej ekspansji gospodarczej wiązał się wątek rozwoju floty. Efektywna zamorska ekspansja gospodarcza wymagała licznej i nowoczesnej floty. Liga Morska i Kolonialna nie tylko interesowała się możliwością pozyskania kolonii dla Polski, postulowała także konieczność ekspansji gospodarczej, a wraz z nią konieczność rozwoju gospodarki morskiej i rozbudowy floty, bez

której program kolonialny wisiałby w powietrzu. Działała też bardzo energicznie w zakresie tak zwanego wychowania morskiego społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży; handel morski, jej zdaniem, był najlepszą drogą do ekspansji. Wanda Karaczewska podkreślała znaczenie rzeczowego, a nie romantycznego podejścia do spraw kolonialnych:

Już w pędzie naszego społeczeństwa do morza, w pragnieniu ogromnej części naszej młodzieży poświęcenia się zawodowi marynarskiemu, prócz — być może — tego utajonego nerwu żeglarskiego, jest dużo romantyzmu, który ma wiele wspólnego z marzycielską wrażliwością i sentymentem. (...) W szeregach pływających dziś marynarzy nie brak jest takich, którzy szukali na morzu nie tyle zarobkowania, ile przygód z Conrada, Kiplinga, Londona... Ci tworzą dziś grupę rozczarowanych malkontentów (Karaczewska 1938, s. 16–17).

Postulaty dotyczyły nie tylko floty handlowej, ale i wojennej w przypadku uzyskania posiadłości zamorskich, przydatnej zarazem do obrony granic państwa na Bałtyku. Generał Kwaśniewski, ówczesny prezes LMiK, w przemówieniu wygłoszonym z okazji Święta Morza w 1937 roku nawiązał do hasła protektora Ligi, Kazimierza Sosnkowskiego: „silna flota wojenna i kolonie”. Dwa lata później Bolesław Pikusa, poseł i działacz Ligi Morskiej i Kolonialnej, jako sprawozdawca preliminarza budżetowego Ministerstwa Spraw Wojskowych położył nacisk na zadania, rozwój i potrzeby floty wojennej. Stwierdził, że:

Kwestia marynarki wojennej — to nie tylko kwestia militarna, ale przede wszystkim — ogólnonarodowa (*Problem...* 1939, s. 10).

Na ogół jednak uważano, że nadmierna rozbudowa marynarki wojennej jest w położeniu Polski nierealna — Bałtyk to akwen zamknięty, rozbudowa floty oceanicznej przeznaczonej do operowania poza tym morzem byłaby zbyt kosztowna i nieefektywna (okręty bazujące w koloniach w razie konfliktu w Europie nie byłyby wykorzystane do obrony kraju). Przyjęto zatem założenie (pomysł lansowany przez Kierownictwo Marynarki Wojennej) budowy floty mniejszej liczebnie od flot innych państw, ale równej im jakościowo i zdolnej do działań oceanicznych, nie tylko na Bałtyku. Władze odrzuciły tę koncepcję — uznały, że ze względu na geograficzne położenie Polski ważniejszy jest transport lądowy niż morski.

Należy wspomnieć o wątku antyniemieckim — przeciwstawianiu się dążeniu Niemiec do odzyskania swoich kolonii. Była to obawa przed konkurencją Niemiec — jeszcze w latach 1919–1920 próbowano przeforsować pomysł przejęcia części byłych kolonii niemieckich jako rekompensaty wojennej. „Ilustrowany Kurier Codzienny” na rewizjonistyczne dążenia Niemiec w sprawie kolonii zwrócił uwagę już w 1921 roku, „Gazeta Warszawska” — w 1925 roku. Również instytucje państwowe (głównie Ministerstwo Spraw Zagranicznych od 1936 r., gdy zaczęło interesować się efektywnie sprawami kolonii) zwracały uwagę na

poczynania Niemiec. Bardziej istotne wydaje się jednak to, że wypowiedzi w odniesieniu do niegdysiejszych kolonii niemieckich wiązały się z obroną terytorialnego *status quo* Rzeczypospolitej, zagrożonego przez zachodniego sąsiada zmierzającego do rewizji Traktatu Wersalskiego, nie tylko w części dotyczącej kolonii.

Pola zgodności

Dyskurs jako zdarzenie komunikacyjne oznacza, że jego uczestnicy w wypowiedziach ukazują różne idee albo przekonania na dany temat. Czynią to w ramach wyznaczonych przez sytuacje społeczne, nie tylko jako indywidualni uczestnicy dyskursu, ale także jako przedstawiciele instytucji, grup społecznych i politycznych. Wypowiedzi te wychodzą zatem poza poziom przekazywania przekonań — nadawca wypowiedzi ma zawsze jakiś zamiar albo cel, a odbiorca ma jakąś własną opinię. Jeśli wypowiedzi osób kierujących się własnymi zamiarami nie są sprzeczne ze sobą, odbiorcy przystają na nie, a cele są wspólne dla wszystkich uczestników dyskursu, można mówić o polach zgodności. Mogą oczywiście występować różnice w pojmowaniu realizacji tych celów, ale to nie przekreśla istnienia pól zgodności.

Podstawowe pole zgodności wiązało się z przyjmowaniem idei kolonialnej jako naturalnego, funkcjonującego w świecie systemu politycznego — istnienie kolonii dla wszystkich było oczywiste.

Wszyscy uczestnicy dyskursu byli też zgodni co do rodzajów kolonii (polityczne, surowcowe, emigracyjne), przyjmując definicje i określenia proponowane przede wszystkim przez Gustawa Załęckiego (podane wcześniej). Opracowane na gruncie polskim pojęcia i definicje kolonii opierały się na powszechnym rozumieniu tego terminu. W znacznej mierze były zapożyczeniami z prac zagranicznych, głównie angielskich i francuskich, a więc z krajów od dawna będących mocarstwami kolonialnymi, mających doświadczenie w tej kwestii, mogących służyć polskim teoretykom wzorami definicji kolonii. Różnice dotyczyły poglądów na ideę kolonialną, a nie samej kwestii istnienia systemu kolonialnego.

Pole zgodności dotyczyło też postulatów swobodnego (wolnego) dostępu do surowców tak zwanych kolonialnych. Surowce te, zarówno mineralne, jak i roślinne (rolne), uważano za niezbędne dla ekonomicznego rozwoju kraju. Znajdowały się one w posiadłościach mocarstw kolonialnych. Mocarstwom kolonialnym zarzucano monopolizację tych bogactw, co wiązało się z utrudnionym do nich dostępem ze względu na koszty. Stąd domaganie się swobodnego (wolnego) dostępu do surowców, bez ponoszenia zbyt wysokich opłat przy ich zakupie.

Argumenty surowcowe, mimo że pojawiały się w dyskursie w latach 20. i na początku lat 30., miały marginalny charakter. Witalis Malinowski stwierdzał:

Wielkie dzieło kolonialne nie może być czysto materialne. Musi inspirować to dzieło głęboki ideał moralny i wtedy kolonizacja staje się cywilizacją (Malinowski 1932, s. 4).

„Wielkie dzieło kolonialne” co najwyżej łączono ze sprawą emigracji. Argument surowcowy pojawił się wyraźnie dopiero w 1936 roku, gdy Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczęło dominować w elitarnej odmianie dyskursu. Podczas narady w tym resorcie dyr. Drymmer przytoczył wskazówki Józefa Becka:

Pan Minister zaznaczył, że nie chodzi o samo terytorium kolonialne, ale przede wszystkim o uzyskanie takiej bazy surowcowej, która zaspokajałaby potrzeby surowcowe Polski (Konferencja... 1936a, s. 8).

Świadectwem wzrostu znaczenia kwestii surowcowych w tym czasie był układ zawarty między Ligą Morską i Kolonialną a Liberią, poświęcający im dużo miejsca.

Swobodny dostęp do surowców to znacznie niższe opłaty za ich sprowadzanie, nienadwerężające budżetu państwa. Co więcej, posiadanie własnych kolonii zapewniałoby dostęp niczym nieskrępowany, nielimitowany możliwościami finansowymi Polski; najlepiej, oczywiście, z przywozem własną flotą (co łączyło się z wymienionym wcześniej wątkiem pobocznym, a także niżej omówionym polem zgodności dotyczącym rozwoju floty i żeglugi), co jeszcze bardziej obniżałoby koszty pozyskiwania surowców tropikalnych. Pogląd ten został przejęty przez dyskurs popularny:

Właściciele obszarów kolonialnych wysuwają tezę, że przecież zakup surowców w ich posiadłościach nie jest obcym zabroniony. Teza ta nie wytrzymuje krytyki, albowiem pewnikiem jest, że obca dyspozycja gospodarcza kosztuje niezmiernie dużo i że surowiec z własnej kolonii jest o wiele tańszy od obcego. A poza tym w obecnych czasach, gdy koniecznością jest kontrola bilansu płatniczego, zakup obcych surowców jest częstokroć uniemożliwiony przez brak dewiz, nie odgrywających roli przy zakupie z własnej posiadłości (...). Problem kolonialny w naszych czasach — to przede wszystkim problem surowców. Intensywniejsza zaś eksploatacja źródeł surowcowych w koloniach rozwiąże wiele bolączek współczesnej sytuacji gospodarczej świata (*Kolonie...* 1938, s. 1).

Pole zgodności obejmowało również problem ekspansji gospodarczej jako sprawę bardziej dotyczącą poprawy położenia gospodarczego kraju niż wyłączenie posiadania kolonii. Ekspansja gospodarcza miała ożywić ekonomikę kraju (inwestycje w Polsce), zdynamizować handel zagraniczny (zwiększenie inwestycji firm polskich poza granicami kraju), przyczyniając się do wyjścia Polski z zaostaju gospodarczego. Podkreślali to Jan Rozwadowski i Wojciech Dyjas:

Poruszając kwestie kolonii dla Polski, często spotykamy się z argumentem własnych obywateli, że posiadamy tak ogromne i dotychczas w ułamkowej tylko części wyzyskane bogactwa naturalne, że zamiast wysyłać emigrację do krajów

zamorskich (...) byłoby bardziej celowe zużytkować w odpowiedni sposób siły ekonomiczne kraju. (...) Po bliższej jednak analizie poszczególnych elementów gospodarstwa narodowego i międzynarodowych stosunków między poszczególnymi krajami, przychodzimy do konkluzji, że problem kolonii dla Polski z punktu widzenia czysto gospodarczego jest zagadnieniem najistotniejszej wagi (Rozwadowski, Dyjas 1930, s. 386–387).

W ramach ekspansji gospodarczej przewidywano bliższe kontakty inwestycyjne i handlowe ze skupiskami polonijnymi za granicą. Miało to ułatwić z jednej strony zakładanie przez polskich osiedleńców własnych przedsiębiorstw i banków w krajach ich stałego zamieszkania, z drugiej — ułatwić zbyt polskich towarów w społecznościach wychodźczych, a także kupno po niższych cenach towarów z krajów osiedlenia emigrantów, być może również wyjście z polskimi towarami na rynki zagraniczne.

W rozumieniu części uczestników dyskursu ekspansja gospodarcza miała kierować się na rynki obszarów kolonialnych, gdzie polska bandera, przedsiębiorstwa i towary były praktycznie nieobecne. Ekspansja gospodarcza w tropikach miała szerzej otworzyć drzwi dla jakiegś, co prawda nieokreślonej w czasie, akcji kolonialnej. Dla innych zagadnienie to łączyło się przede wszystkim ze sprawami ekonomicznymi Polski i korzyściami dla kraju, niewiązanymi bezpośrednio z ekspansją kolonialną. Obie strony uznawały istotę problemu, niezależnie od tego, czy był on wpisany bezpośrednio w kontekst kolonialny, czy funkcjonował w kontekście rozwoju gospodarki krajowej.

Własna i duża flota to warunek ekspansji gospodarczej. Import towarów zagranicznych i eksport towarów polskich za pomocą własnych statków obniżały koszty handlu, eliminując pośredników, którym trzeba było sporo płacić, a jednocześnie wzmacniały więzy łączące emigrację zamorską z ojczystym krajem. Zwracano uwagę na zbyt mały procent handlu morskiego obsługiwanego przez polską flotę, konstatuując jej nikły tonaż (100 000 ton) w porównaniu z tonażem floty innych państw.

Wątek antyniemiecki był podnoszony zgodnie, chociaż w jednych wypowiedziach jawił się jako walka z konkurencją niemiecką o byłe niemieckie posiadłości zamorskie (Niemcy dążyły do odzyskania przynajmniej części dawnych kolonii, do których pretensje wysuwała Polska, jako do terytorium mandatowego), w innych zaś jako przeciwstawianie się dążeniom Niemiec zmierzających do zakwestionowania granic Polski. Obawiano się, że zgoda społeczności międzynarodowej na odstąpienie Niemcom niegdysiejszych posiadłości otworzy im drogę do domagania się od Polski zmian terytorialnych na ich korzyść:

Jasne jest jednak, że istotnym podłożem żądań niemieckich nie są tylko motywy gospodarcze i populacyjne. Sprawa surowców dałaby się rozwiązać przy liberalniejszej polityce ekonomicznej mocarstw z chwilą, gdy nastąpi odprężenie w kryzysie powszechnym. Co się tyczy ujścia dla nadmiaru ludności, najlepszym

środkiem na to byłoby zniesienie restrykcji imigracyjnych w Ameryce. Afryka tu wiele nie pomoże. Jasne jest, że Niemcom chodzi o co innego i że w ich dążeniu do odzyskania kolonii rolę decydującą ogrywiają względy prestiżowe i strategiczne (Sokołów 1936, s. 1).

Zagadnienia kulturowe, stanowiące jeden z wątków głównych dyskursu kolonialnego, mieszczą się po części w polach zgodności, po części w płaszczyznach konfliktów (te drugie zostaną omówione niżej). Pola zgodności dotyczyły konieczności poznania ludów egzotycznych i ich kultur (obyczajów, sposobów życia, systemów organizacji społecznych, zasad funkcjonowania społeczności) — uważano, że jest to niezbędne dla efektywnego zarządzania ewentualnymi koloniami i ustalenia bezkonfliktowych relacji z ludnością miejscową.

Istniało też wspólne poczucie odpowiedzialności cywilizacyjnej Białych wobec społeczności pozaeuropejskich oraz wynikająca z tego potrzeba szerzenia cywilizacji: niesienia edukacji, podnoszenia materialnego poziomu życia, przyswajania europejskich norm oraz zasad gospodarczych, moralnych i etycznych. W istocie było to dążenie do inkulturacji — wciągnięcia społeczności tradycyjnych w obręb cywilizacji europejskiej.

Płaszczyzny sporów

Płaszczyzna konfliktów ujawniała się już w sprawie zasadniczej dla dyskursu kolonialnego, czyli w ocenie samej idei kolonialnej (której — trzeba dodać — nie należy utożsamiać z powszechnie akceptowanym system kolonialnym): czy należy starać się o uzyskanie kolonii politycznych podległych bezpośrednio Polsce, czy korzystniejsze ze względów politycznych i ekonomicznych będzie zaniechanie takich prób.

Zwolennicy uzyskania posiadłości zamorskich utrzymywali, że są one po prostu potrzebne Polsce. Stanowiłyby świadectwo mocarstwowej pozycji państwa, jego znaczenia na arenie międzynarodowej, akcentowałyby powagę Polski w świecie. 30–milionowy naród zwyczajnie zasługuje na kolonie — pobudzałyby one jego aktywność, rozwijały prężność, zdobywczość, inicjatywę w szerzeniu kultury oraz osiągnięć twórczych i naukowych. Przyczyniłyby się również do rozwoju potęgi politycznej i gospodarczej kraju — tu powoływano się (nie przesądając, czy słusznie, czy też nie) na przykłady dotychczasowych mocarstw kolonialnych, podkreślając korzyści polityczne i ekonomiczne czerpane z posiadania terytoriów zamorskich.

W tym miejscu raz jeszcze należy przypomnieć wypowiedź Józefa Piłsudskiego świadczącą o jego stosunku do idei kolonialnej. Przyjmując w 1934 roku przedstawicieli Liberii oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej (po podpisaniu traktatu Liberia–LMiK), powiedział:

Uprzedzam z góry niepoczytalnych amatorów awantur kolonialnych, którzy znaleźć się mogą — że poparcie moje ogranicza się jedynie do programu przyjaznej ekspansji, w myśl przedstawionego mi przez was projektu. Na żadne marzenia o podbojach nie ma w Polsce miejsca (Ligocki 1937, s. 3).

Zdarzały się również wypowiedzi, które choć nie negowały idei kolonialnej, to jednak podkreślały niemożność uzyskania jakichkolwiek terenów kolonialnych. Tego zdania był Tadeusz Gwiazdoski, dyrektor Wydziału Organizacji Międzynarodowych Departamentu Polityczno-Ekonomicznego MSZ — nie widział terytorium, o które Polska mogłaby skutecznie zabiegać.

Przeciwnicy idei kolonialnej powoływali się na koszty utrzymania kolonii ponoszone przez metropolię. Dla przykładu Vox (pseudonim) w artykule *Nie trwonić polskiej pracy i kapitałów na kolonizację tropikalnych puszcz* pisał:

Interes kolonizacyjny, zwłaszcza w osadnictwie zamorskim, jest interesem o bardzo wysokiej skali rentowności [ale zyski te] są przeważnie osiągane bez pożytku dla osadników i bez pożytku dla państwa. (...) Ze wszech miar słusznym wydaje się nam postulat skierowania kapitałów polskich na cele osadnicze, ale kapitały te skierowane być winny przede wszystkim na cele osadnictwa wewnętrznego. (...) lepiej użyć z punktu widzenia państwowego, społecznego i gospodarczego kapitałów polskich na meliorację naszych bagien, na osuszenie Polesia, budowę dróg i szos (...) (Vox 1929, s. 2).

Niechętnie też odnoszono się do idei emigracji:

Kolonizacja [zamorska] ma dużo ujemnych stron i ze stanowiska narodowego jest niewskazana i szkodliwa. (...) W ten sposób traci się bezpowrotnie najbardziej cenny materiał ludzki (Grabowski 1934, s. 7).

Argumenty takie często pojawiały się przy sprzeciwianiu się ideom kolonialnym:

Przeżywamy także kryzys (...) na tle potrzeb wynikających z przeludnienia poszczególnych państw, które wysuwają coraz to bardziej zdecydowane żądania przydzielenia ziem kolonialnych i osadniczych. (...) [W Polsce] przyrost naturalny (...) kurczy się z roku na rok. (...) Skarlałe, zmęczone społeczeństwo nie może być elementem potęgi narodowej. Nie wystarczy dać mu ideę, choćby najbardziej zapalną, gdy braknie mu sił, zdrowia i umiejętności do ucieleśniania jej w rzetelny czyn (Tabor 1930, s. 7)¹⁹.

Wypowiedzi podkreślające konieczność walki o kolonie z powodów politycznych dominowały mniej więcej do 1930 roku. Później żądania kolonii obudowywano przede wszystkim argumentami ekonomicznymi i demograficznymi, niemniej wypowiedzi akcentujące konieczność posiadania kolonii ze względów mocarstwowych i/albo prestiżowych pojawiały się do 1939 roku. Brały one pod uwa-

¹⁹ Sygnalizowało to wielu publicystów zabierających głos w tej sprawie, np.: Grabowski 1934, Oszelda 1937; por.: Roman 1939 — przemówienie min. Romana na Kongresie Rzemiosła Chrześcijańskiego w Częstochowie (Antoni Roman, 1892–1951, ekonomista, od 5 maja 1936 do września 1939 r. minister przemysłu i handlu).

gę położenie geopolityczne Polski, prowadzenie polityki zapewniającej bezpieczeństwo państwa, odżegnywały się jednak od „awantur kolonialnych”, jak to określili Piłsudski oraz wykonawca polityki Marszałka, minister spraw zagranicznych Józef Beck:

W opinii polskiej poza tradycyjnymi animozjami można było skonstatować zainteresowanie, na pewno przesadne, tymi wielkimi problemami światowymi, a co gorsza, świadomy lub w większości wypadków nieświadomy raczej wpływ hasel głoszonych u zachodniego sąsiada. Imitowano u nas po kolei wielkie plany kolonialne, gwałtowne formy ruchu antysemitycznego, nie mówiąc już o wykrzywieniu ustalonych za życia Marszałka Piłsudskiego zasad ustrojowych. Gdyby zagadnienia kolonialne (...) nie były równocześnie przedmiotem debat międzynarodowych, starałbym się, jako minister spraw zagranicznych, nie zwracać na te rzeczy większej uwagi. W dziedzinie spraw tak zwanych „kolonialnych” przeszła przez Polskę fala dziecinnej wprost ekscytacji. W pierwszej chwili odpowiedziałem naszym „kolonistom”, że moim zdaniem polskie kolonie zaczynają się w Rembertowie. (...) Trzeba wspomnieć nawiasowo, że w większości wypadków entuzjastami kolonialnymi w Polsce byli ludzie skłonni do defetyzmu równocześnie tam, gdzie chodziło o naszą podstawową pozycję na kontynencie Europy. Krzyk i hałas robiony przez Ligę, która dopóki była morską, miała rozsądne cele, a z chwilą kiedy stała się kolonialną, dawała zbyt wielką folę imaginacji, jest pod tym względem klasyczny (Beck 1987, s. 129–130).

Co prawda, dalej minister Beck dodawał:

Polityka kolonialna państw prowadzących politykę światową, po okresie indywidualnych zdobywców, była właściwie wynikiem potrzeby wykorzystania nagromadzonych zasobów materialnych i ludzkich, ale na pewno materialnych w każdym razie. Dany kraj, mając nadmiar ludności i nadmiar bogactw, musiał szukać wykorzystania tych wartości poza swoimi granicami (...). Polska miała przyrost ludności bardzo poważny, ale brakowało jej na pewno rezerw finansowych nie tylko na zdobycze światowe, ale na dostateczne uporządkowanie spraw własnego kraju. (...) Ponieważ jednak, jak wspominałem, o tych tak zwanych kolonialnych zagadnieniach dyskutowano wiele na forum międzynarodowym, starałem się ująć polskie postulaty w jakąś rozsądną ramę. Wobec tego w tej międzynarodowej dyskusji (Liga Narodów i Międzynarodowe Biuro Pracy) sformułowałem potrzeby Polski w następujący sposób: rozsądna gospodarka światowa musi się liczyć: 1) z potrzebami krajów mającymi znaczny przyrost ludności, 2) istniejące zasady ekonomiczne nie dadzą się utrzymać, jeśli mocarstwa monopolizujące źródła surowców będą się nadal wzbraniać od uczynienia z nich normalnego obiektu wymiany, a zatem od handlu kompensacyjnego za surowce. Wydawało mi się, że w ten sposób, nie zaniedbując obrony populacyjnych i ekonomicznych interesów Polski, nie wciągając równocześnie naszego państwa w niebezpieczną politykę politycznych ambicji kolonialnych (tamże)²⁰.

²⁰ Długie cytaty usprawiedliwiają się tym, że najlepiej i najbardziej wiarogodnie tłumaczą stosunek władz do sprawy kolonialnej w latach 1926–1939, a na pewno od 1932 r., gdy stanowisko ministra spraw zagranicznych objął Józef Beck.

Stronami konfliktu z jednej strony byli działacze kolonialni, z drugiej przeciwnicy ekspansji kolonialnej, utożsamiający ją z trwonieniem kapitałów i skazywaniem na emigrację ludzi potrzebnych w kraju, podkreślający niehumanitarność idei kolonialnej. Tadeusz Dębicki w książce *Moienci Nzadi. U wrót Konga* napisał:

Dobrzy bantu! Nie ufajcie nigdy białym ludziom przybyłym z M'Putu (Dębicki 1928, s. 123).

Nawiasem mówiąc, nasuwa się tu skojarzenie z *Jądrzem ciemności* Conrada — książką będącą oceną kolonializmu belgijskiego. Ekipy rządowe przed majem 1926 roku milczały w sprawach kolonialnych. Po tej dacie wypowiadały się przeciwko jawnie formułowanemu programowi kolonialnemu, pozostawiając tę kwestię Lidze Morskiej i Kolonialnej. Po 1936 roku same przystąpiły (MSZ) do opracowania planu kolonialnego, posługując się argumentami demograficznymi i surowcowymi, podzielanymi przez innych uczestników dyskursu. W dyskursie kolonialnym było to w zasadzie pole zgodności — władze uczyniły to częściowo pod naciskiem postulatów działaczy kolonialnych, przede wszystkim jednak dlatego że sprawami kolonialnymi zajmowano się na forum międzynarodowym. Zmuszało to władze do zajęcia stanowiska w tej kwestii. Zarazem uczyniono to z uwagi na wewnętrzne potrzeby ekonomiczne kraju, łącząc sprawy surowcowe i emigracyjne z ideami kolonialnymi.

Zdarzały się też wypowiedzi, które nie negowały, co prawda, potrzeby posiadania kolonii, ale wyrażały ostrożność wobec nadziei, że posiadłości zamorskie przyczynią się do rozwoju kraju:

Problemu kolonii nie trzeba łączyć z zagadnieniem emigracji. (...) Możemy dostać kolonie eksploatacyjne, a nie osadnicze. (...) Oto stopiono obydwie kwestie w bardzo nierealny, powiem nawet, dziwaczny projekt skierowania naszej olbrzymiej emigracji do kolonii (...). Otóż pamiętajmy, że Kamerun jest kolonią, która nie nadaje się do osadnictwa, a tylko do eksploatacji (...) polski chłop-rolnik i niewykwalifikowany rzemieślnik nie miałyby tam co robić, gdyż w tych krajach biały człowiek nigdy fizycznie nie pracuje, bo gdyby pracował, to kładłby na szalę losu nie tylko własne zdrowie, ale nawet i życie (Dębczyński 1929, s. 1–2).

W wypowiedziach tych rysuje się podział na kolonie osadnicze i eksploatacyjne, determinowany przez klimat i ogólne warunki życia, odmienne w rozmaitych obszarach tropikalnych — to z kolei decydowało o konieczności wyboru akcji kolonialnej.

Naturalnie, ideałem byłoby połączenie obu kategorii kolonii, wielu jednak uważało to za nierealne, postulując konieczność wyboru terenów albo osadniczych, albo eksploatacyjnych. Wyjściem, jak uważano, mogło być tworzenie na obszarach niekorzystnych klimatycznie dla masowego osadnictwa polskich plantacji jako zaczątku przyszłej kolonizacji politycznej — w przypadku gospodarki plantacyjnej jej właściciel (biały człowiek) nie pracował fizycznie, a jedy-

nie nadzorował siłę roboczą rekrutowaną z miejscowej ludności. Wkrótce jednak okazało się, że i gospodarka plantacyjna nastęrcza trudności wymuszające rezygnację z terenów rozpatrywanych jako ewentualne polskie posiadłości, aczkolwiek samej idei kolonialnej i potrzeby zdobycia kolonii dla Polski nie poddawano w wątpliwość.

Przesunięcie akcentu z uzasadnień prestiżowych i mocarstwowych na emigracyjne i surowcowe było wynikiem stanowiska Ministerstwa Spraw Zagranicznych. U Witolda Drymmera, dyrektora Departamentu Konsularnego i zarazem Biura Personalnego MSZ, w maju i czerwcu 1936 roku odbyło się kilka narad w sprawie ustosunkowania się do ewentualnego programu kolonialnego, który mógłby zostać zaakceptowany przez rząd. Zastanawiano się nad formą postawienia polskich żądań kolonialnych, momentem uczynienia tego, formułami prawnymi, wyborem terenów najbardziej odpowiadających polskiemu potrzebom ekonomicznym i osadniczym. Narady były odpowiedzią na dotychczasową wyłączność Ligi Morskiej i Kolonialnej w sprawach kolonialnych.

I tu jednak zarysowały się odrębności. Apoloniusz Zarychta, naczelnik Wydziału Polityki Emigracyjnej, był zwolennikiem jawnego domagania się kolonii dla Polski. Jego zdanie podzielał Józef Potocki, kierownik Wydziału Zachodniego, zarazem wicedyrektor Departamentu Polityczno–Ekonomicznego. Przeciwny temu pomysłowi był Tadeusz Gwiazdoski, wicedyrektor Departamentu i szef Wydziału Organizacji Międzynarodowych, oraz Jan Wszelaki, samodzielny radca ekonomiczny działający w ramach Departamentu Polityczno–Ekonomicznego. Ostrożne stanowisko zajmował Władysław Kulski, naczelnik Wydziału Prawnego DP–E, a także sam Drymmer, wahający się między sympatią dla idei kolonialnej a powściągliwością wobec niej. Przebieg narady z 9 czerwca 1936 roku został przedstawiony ministrowi spraw zagranicznych, od którego 18 czerwca 1936 roku wypłynęła notatka określająca jego pogląd na sprawy kolonialne:

Polska nie powinna wysuwać się z inicjatywą już choćby ze względu na nie wyjaśnione stanowisko Niemiec w ramach przyszłych rokowań lokarneńskich (...). Jeśli Niemcy wysuną problem kolonialno–mandatowy, wówczas zgłoszenie naszych w tym zakresie zainteresowań będzie zrozumiałe. Wysuwając je teraz, otwieralibyśmy drogę Niemcom. (...) Wsuwanie nagiego żądania kolonii nie byłoby wskazane. Należy operować innymi formułami, nie używając w żadnym razie pojęcia „kolonia” (Gabinet... 1936, s. 14–15).

Zagadnienie emigracji od początku toczenia się dyskursu kolonialnego łączyło się z ideą kolonialną. Wprawdzie jednym z zasadniczych argumentów mających przemawiać za koniecznością posiadania kolonii stało się dopiero po 1936 roku, niemniej było obecne w dyskusji i wcześniej. Wypowiadano się za uzyskaniem własnych posiadłości, gdyż dopiero wtedy emigracja mogłaby być utrzymana na należytych poziomach:

Przed wojną rocznie 1–2 milionów ludzi opuszczało Europę, przyczyniając się w ten sposób do rozwoju gospodarczego innych kontynentów. Gdyby po wojnie utrzymała się emigracja z Europy w tych samych rozmiarach, nie byłoby dziś ani jednego bezrobotnego w Europie. (...) Kolonia daje dziś możliwości emigracyjne (F. Z. 1935, s. 2)²¹.

Jeden z czołowych działaczy kolonialnych, prof. Stanisław Pawłowski, wyliczał:

Na Kresach Wschodnich zmieścimy około 4–5 milionów ludzi. Ponieważ jednak przyrost naturalny w Polsce wynosi 400–500 000 rocznie, to najdalej za 10 lat wypełnimy te luki i wtedy stanie przed nami pytanie, co dalej? (Pawłowski 1936, s. 3)²².

Sprawy demograficzne — zwłaszcza dosyć powszechnie przyjmowany pogląd o przeludnieniu — decydowały o podnoszeniu konieczności emigracji, szukania terenów, które zapewniłyby możliwość nieskrępowanego masowego osadnictwa, utrzymywanego w łączności z krajem. Zdarzały się jednak wypowiedzi kwestionujące potrzebę emigracji:

Nie stać nas na egzotyczne imprezy. (...) Chcąc skolonizować w ten sposób [poprzez osadnictwo zamorskie] 20 tys. rodzin rocznie (...) trzeba by wydać na ten cel co najmniej 80–100 milionów zł rocznie. Wysuwa się żądanie, aby państwo przyjęło udział w finansowaniu tych kosztów, i propaguje się założenie na ten cel nowego banku państwowego, a mianowicie Banku Emigracyjnego, który by objął gestię finansową akcji osadniczej. Żądaniom tym należy się przeciwstawić z całą stanowczością! Ze wszech miar słusznym wydaje się nam postulat skierowania kapitałów polskich na cele osadnicze, ale kapitały te skierowane być winny na cele osadnictwa wewnętrznego. Mamy do skolonizowania olbrzymie obszary Kresów Wschodnich (...). Polska ma do zmeliorowania około 18 milionów ha gruntu, z czego 10 milionów gruntów rolnych. Melioracje mogłyby zwiększyć terytorium użytkowe państwa polskiego co najmniej o 1/4 część. Na tej drodze właśnie należy szukać rozwiązania wielkiego problemu przeludnienia (Vox 1929, s. 3)²³.

Władysław Oszelda, który w 1936 roku straszył przeludnieniem (Oszelda, 1936, s. 2–3), rok później dowodził, że Polsce może grozić wyludnienie:

[W Polsce] przyrost naturalny, podobnie jak w innych państwach kurczy się z roku na rok (...), kiedy wszystkie państwa dokładają możliwych starań, aby przyrost naturalny zwiększyć, my mamy się go dobrowolnie wyzybywać, ograniczać go? Byłoby to samobójstwem narodowym. Dzieci to bogactwo, to przyszłość i wielkość narodu (Oszelda 1937, s. 1–3)!

Wydaje się, że Oszelda próbował godzić aktualne, jak mniemano, przeludnienie kraju z emigracją mogącą osłabić żywotność demograficzną narodu. Naj-

²¹ Wcześniej, mniej więcej od 1926 r., zwracano uwagę na przeludnienie kraju.

²² Artykuł stanowi omówienie odczytu prof. Stanisława Pawłowskiego.

²³ Cytowany już wcześniej publicysta, podpisujący się jako Vox, był konsekwentnym przeciwnikiem emigracji zamorskiej i zwolennikiem emigracji wewnętrznej, kierowanej na Kresy.

częstszymi bowiem argumentami przeciwko emigracji były te, które przekonywały, że kierowanie osadnictwa w tropiki to strata ludzi — na obczyźnie grozi im wynarodowienie. Spore odłamy społeczeństwa popierały jednak emigrację, dopatrując się w niej szansy na poprawę swojego bytu materialnego.

Temat wyboru terenów na zamorskie obszary osadnicze i kolonizacyjne to kolejna płaszczyzna sporów (wiążąca się z konfliktami dotyczącymi emigracji): kolonizować co się da i gdzie się da czy kolonizować „z głową”, biorąc pod uwagę klimat, glebę, ogólne warunki bytowe, realne szanse pozyskania obszarów nadających się pod plantacje i uprawy rolne, możliwości finansowe i produkcyjne ewentualnych przyszłych emigrantów, ich zdolność przestawienia się z polskich warunków rolniczych na zupełnie inne, wymagające odmiennych kwalifikacji.

Kamerun upatrywano zrazu jako obszar nadający się do masowej kolonizacji rolniczej. Później jednak pojawiły się opinie przeciwne — kraj ten nie nadaje się do takiej kolonizacji ze względów klimatycznych i glebowych, może być traktowany jedynie jako obszar surowcowy.

Ta sama rozbieżność dotyczyła Angoli. Rozpatrywano ją jako miejsce nadające się do masowej emigracji osadniczej bądź — skromniej — jako terytorium, na którym mogą powstawać plantacje wielkoobszarowe, zakładane przez ludzi o fachowym przygotowaniu agronomicznym do pracy w tropikach, torujące drogę do licznego osadnictwa rolnego w przyszłości. Rychło jednak zaczęli wypowiadać się przeciwnicy tego kierunku. Byli wśród nich ci, którzy wyjechali do Angoli jako plantatorzy bądź przedsiębiorcy. Kilkuletnie doświadczenie wywołało u nich sceptycyzm. Chociażby pierwszy z polskich osadników–plantatorów w Angoli, Michał Zamoyski, w korespondencji nadesłanej do „Gazety Polskiej” pisał:

W Angoli bez gotówki i zajadłej pracy nic się nie da zrobić, w każdym razie wielkiego majątku w krótkim czasie nikt mieć nie będzie (...). Toteż osobiście nikogo na Angolę nie namawiam, chyba że ktoś lubi dzikie, wolne życie, a potrafi obejść się bez niczego, kto potrafi pracować z silną wolą wytrwania mimo niepowodzeń ma pewne szanse. Ostrzegam jednak raz jeszcze: na żadne posady liczyć tam nie można, bo i tam są już bezrobotni (Zamoyski 1935, s. 3–4).

Inni generalnie powątpiewali w możliwość masowej emigracji do środkowej Afryki. W czerwcu 1936 roku podczas narady w MSZ nad sprawami kolonialnymi Apoloniusz Zarychta, negując powszechne przekonanie o zabójczym dla Białych klimacie afrykańskim (prawdopodobnie uznawał je za propagandowy stereotyp, wysuwany przez przeciwników programu kolonialnego), oponował:

W pewnych częściach Afryki możliwości osadnictwa białego istnieją, jak np. w Angoli (...) a nawet w Kamerunie. Skąd się dzieje, że Afryka ma specjalną opinię nieprzystępną dla człowieka białego (Naczelnik.... 1936, s. 5)?

Płaszczyzną sporów był również Madagaskar — zastanawiano się, czy nadaje się on do masowej kolonizacji. Madagaskarem, nie tylko jako obszarem do ewentualnego uzyskania w formie posiadłości politycznej (przynajmniej jego części lub jako kondominium z Francją), ale także jako terenem dla osadnictwa emigracyjnego, interesowano się już w latach 20. Sprawa odżyła w drugiej połowie lat 30. Zwolennikiem masowego osadnictwa w Afryce był Mieczysław Lepecki, negujący opinie o fatalnym dla białego człowieka klimacie:

Zła opinia o przydatności Afryki do kolonizacji europejskiej została ukuta przez narody wyzbyte dynamizmu rozrodczego, które już nie są w stanie same jej kolonizować. (...) dlaczego mieszkaniec Europy Środkowej może świetnie pracować i zarabiać w Brazylii (stan S. Paulo, Espirito Santo etc) lub Paragwaju, a nie mógłby tego robić w identycznych niemal warunkach klimatycznych i przy równie urodzajnej ziemi w Afryce? Decydujący byłby tylko wybór samych terenów, a tego dokonać nie byłoby trudno (Lepecki 1938, s. 1)²⁴.

Były jednak i głosy sceptyczne. Zwracano uwagę na koszty akcji kolonizacyjnej i obciążenie budżetu państwa, na możliwość nieporozumień politycznych. Niektórzy wątpili w fachowość komisji, na czele której stał Mieczysław Lepecki — uważali, że zbyt optymistycznie przedstawia ona możliwości emigracji na wyspę. Trzeba jednak zauważyć, że zwolennicy Madagaskaru jako obszaru nadającego się do masowej kolonizacji mieli po swojej stronie bardzo popularny autorytet, mianowicie powszechnie czytanego i lubianego autora Arkadego Fiedlera, który zdecydowanie optował za Madagaskarem (Fiedler 1939).

Handel zamorski był częścią postulowanej ekspansji gospodarczej. Mimo że naogół stanowił pole zgodności w dyskursie kolonialnym, to jednak pojawiały się tu pewne różnice zdań, dotyczące głównie praktycznej realizacji zamiarów. Liga Morska i Kolonialna głosiła potrzebę uruchomienia stałej, regularnej linii żegludowej do portów Afryki Zachodniej jako wstępu do rozeznania tamtejszych rynków kolonialnych, wejścia na nie i ich penetracji przez polskie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. Jednakże podjęte przez tę organizację próby, mające na celu rozeznanie sytuacji podaży i popytu, oceniono niekorzystnie zarówno w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak i Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Liga Morska i Kolonialna w 1937 roku wycofała się z działalności handlowej i gospodarczej. Powodem załamania się akcji były nie tylko małe nakłady pieniężne ze strony państwa, ale także powściągliwość prywatnych sfer gospodarczych. Nie kwapiły się one do angażowania się w program ekspansji gospodarczej (wiązanej z ideą kolonialną) ze względu na ryzyko finansowe — nie gwarantował on zysków, a groził stratami. Ani państwo, ani prywatni przedsiębiorcy nie dysponowali odpowiednimi zasobami, zatem uchylali się od ryzyka.

²⁴ Porównanie tropików Ameryki Połudnowej z afrykańskimi wydaje się zasadne.

Poważne różnice zdań wiązały się z zagadnieniem relacji między Białymi a ludnością miejscową oraz z kwestią sposobów postępowania wobec tubylców. W wypowiedziach podnoszono albo konieczność godziwego stosunku do ludności miejscowej, albo brak potrzeby zwracania uwagi na jej kulturę; pod uwagę brano przede wszystkim aspekt gospodarczy: jaki sposób postępowania będzie bardziej efektywny ekonomicznie — surowy czy łagodny.

Wiele wypowiedzi na temat stosunku do ludów egzotycznych miało swoje źródło w poglądach odziedziczonych po XIX wieku. Dotyczyły one tego, jak powinni postępować wobec autochtonów plantatorzy, koloniści, osadnicy, przyszła administracja kolonialna. Akcentowano konieczność trzymania w posłuchu miejscowej ludności i surowego postępowania z robotnikami zatrudnianymi na plantacjach, w warsztatach czy przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych. Pisał o tym przywoływany już Franciszek Łyp:

O bezwzględnej potrzebie i konieczności istnienia murzynów są wszyscy przekonani, stąd też traktują ich jak coś, co do życia jest niezbędnie potrzebne, ale nie dopuszczają ich do żadnej poufałości, nawet nie zadając sobie trudu zapoznania się z ich sprawami i potrzebami (Łyp 1929, s. 448).

Było to wynikiem funkcjonowania stereotypu „dzikusa”, zwłaszcza afrykańskiego Murzyna, jako osobnika żyjącego poza cywilizacją (w rozumieniu cywilizacji europejskiej czy szerzej — cywilizacji białego człowieka), pełnego przesądów, niepojmującego urządzeń technicznych, zasad ich funkcjonowania, organizacji społecznej Białych, przy tym leniwego, niesłownego, bo niemającego pojęcia o zasadach osobistej odpowiedzialności za wyrażoną słownie lub pisemnie zgodę na pracę, pracującego mało wydajnie, efektywnego jedynie pod nadzorem i przy zapewnieniu mu obietnic wynagrodzenia albo pod przymusem kar fizycznych, kierującego się zasadami życia plemiennego:

Czarny jest stworzeniem nieobliczalnym (...). W ogólnych zarysach można stwierdzić, że w *savoir-vivre* Afryki dominującym momentem jest trzcinka. Nie chodzi tu może nawet o ból fizyczny (...). Trzcinka jest po prostu symbolem pewnego autorytetu usankcjonowanego odwiecznym zwyczajem (Trębicki 1933, s. 2–3)²⁵.

Inne wypowiedzi przedstawiały Murzynów jako dzikusów, ale łagodnych i posłusznych Białym, którymi łatwo można kierować, bez potrzeby odwoływania się do bata — elementu uważanego nie tylko za zbędny, ale i niehumanitarny. Zdarzały się też wypowiedzi wyrażające zrozumienie dla niechęci tubylców wobec Białych:

Z wieloletnich nieszczęść powstała tradycja. Nie należy się dziwić czarnym, iż widzą zawsze w białym wroga. Mają słuszość. W tej czy innej formie będą zawsze wyszukiwani (Prószyński 1934, s. 5)²⁶.

²⁵ Przykładów na takie rozumienie relacji między Białymi a Czarnymi dostarcza wiele innych tekstów (np. Tański 1930, 1932).

²⁶ Podobną wymowę miał artykuł J. Giżyckiego (1934).

Z takimi wypowiedziami korespondowały teksty koncentrujące się wokół potrzeby niesienia oświaty zacofanym ludom, powolnego, żmudnego, lecz koniecznego wciągania ich w obręb cywilizacji, nie przymusem, ale cierpliwą nauką. Przyznawały one Murzynom prawo do posiadania własnej kultury, wprawdzie dziwnej, lecz niezbędnej dla życia tych ludów, niezasługującej na wytepienie, lecz wymagającej zmian, które w przyszłości doprowadzą do zaniku kultur plemiennych i włączenia się miejscowej ludności w obręb białej cywilizacji. Dzikich przedstawiały jako ludzi mogących domagać się w przyszłości (aczkolwiek nieokreślonej czasowo) samostanowienia, a nawet niepodległości swoich krajów. Krytykowały nakłanianie tubylców do mechanicznego naśladowania trybu życia Białych. Stały na stanowisku, że swoją przyszłość mogą oni zbudować na fundamentach własnej kultury, aczkolwiek zmienionej, upodobnionej do norm europejskich.

Niektóre wypowiedzi podnosiły naturalność kultur tubylczych — postrzegano je jako dostosowane do otoczenia, zgodne z naturą i warunkami bytowania. Przeciwwstawiano je zdegenerowanej, stechnicyzowanej i zindywidualizowanej cywilizacji europejskiej, negującej wartości życia społecznego (zbiorowego). Wypowiedzi te można nazwać romantycznymi. Czy przekonania wyniesione z lektur o szlachetnych Indianach, bezpretensjonalnych Murzynch, szczęśliwych wyspiarzach polinezyjskich lub ukształtowane na podstawie wiadomości o ucieczkach artystów (np. Paul Gauguin) na dalekie archipelagi Pacyfiku i ich rajskim życiu wśród tamtejszych ludów nadal były żywe?

O ile w przypadku idei kolonialnej, emigracji, terenów osadniczych czy handlu zamorskiego płaszczyzny sporów były wyraźnie, o tyle w przypadku stosunku do tubylców nie przedstawiały się tak przejrzystie. Wynikało to z ogólnego przyjęcia systemu kolonialnego jako instytucji oczywistej, istniejącej naturalnie — różnice poglądów najczęściej powodowane były odmiennym pojmowaniem tego, jaki stosunek do ludności miejscowej jest najbardziej pragmatyczny. W przypadku zderzenia kultur odmienności te wynikały przede wszystkim z osobistych poglądów autorów tekstów. Zdają się o tym świadczyć ich często niekoherentne wypowiedzi dotyczące kultur egzotycznych czy stosunku do ludów tubylczych — oscyływały one pomiędzy wypowiedziami stereotypowymi, upatrującymi w tubylcach „dzikich”, a wypowiedziami broniącymi ich tożsamości kulturowej. Płaszczyzna sporów rozpięta była pomiędzy poglądami o obszarach egzotycznych jako „rajskim ogrodzie” a poglądami o „brzemieniu białego człowieka”, między obrazem „szczęśliwego dzikusa” a obrazem „dzikusa prymitywnego”, między Janem Jakubem Rousseau a Rudyardem Kiplingiem. To spojrzenie przeniosło się z XIX w XX wiek.

W celu zdominowania przebiegu dyskursu używano argumentów mających zakwestionować poglądy przeciwników oraz podkreślić ważność i zasadność poglądów własnych. Uwydatniało się to w sporach o wybór terenów osadniczych

oraz w sporach o stosunek do tubylców. W obu przypadkach zdania wypowiedziane jako komunały bez pełnego pokrycia stały się czymś możliwym do wyobrażenia, przekształcając się z komunałów w opis przyjmowany jako prawdziwy. Dopiero w dalszych wypowiedziach komunały obudowywano bardziej rzeczowymi argumentami. Na przykład w sporze o stosunek do tubylców przypadki indywidualne podkreślające nieodpowiedzialność Murzynów, wyrażane przez podróżników albo plantatorów, stały się uogólnieniami, sprawiając wrażenie nie szczegółowego przykładu, lecz generalnego opisu.

Opinie takie funkcjonowały w pobliżu sloganów, czyli formuł, które nie tylko „zrzeszają” uczestników dyskursu opowiadających się „za” czymś (opinia, pogląd), ale i uczestników będących „przeciwko” czemuś. Slogan zatem to celna formuła polemiczna, łatwa do powtórzenia, mająca skłonić do przyjęcia jakiegoś poglądu i do jakiegoś działania. Powiada się, że slogan nigdy nie jest czytany — jest widziany, nie jest słuchany — jest słyszany.

W analizie płaszczyzn konfliktów widać częste odwoływanie się do sloganów, nawet walkę na slogany: „Polska musi zdobyć się na odwagę własnej polityki kolonialnej” — „Na żadne marzenia o podbojach nie ma w Polsce miejsca”, „Polska najbardziej przeludniony kraj Europy” — „Czy grozi nam przeludnienie czy wyludnienie”. O ile w konflikcie dotyczącym emigracji przeciwstawienie „przeludnienie–wyludnienie” operuje sloganami tego samego poziomu argumentów, o tyle przeciwstawienie „przeludnienie–egzotyczna impreza” przerzuca sprawę na inny wymiar — demografia *versus* polityka. Sprawy emigracji, jako wynik przeludnienia, zostają sprowadzone do „imprezy egzotycznej”, zatem sprawy niepoważnej, nie wartej uwagi. Aktowi unieważnienia jakiejś sprawy towarzyszy nadanie ważności innej sprawie (lub sprawom), co jest przykładem kontrsepizacji. Zasada sepizacji jest taka sama. Pojęcie „kolonie”, „kolonizacja” czy „akcja kolonialna”, rozumiane jako dążenie do podboju, zawładnięcia czy pozyskania jakiegoś obszaru jako posiadłości politycznej, zostaje unieważnione (sepizacja), ważności nabierają takie sprawy jak surowce i emigracja, stając się przykładem kontrsepizacji.

Inspiracje

Należy zastanowić się, jak były wyłaniane treści dyskursu kolonialnego. Czy wyłaniały się samorzutnie, czy też były inspirowane? Jeśli były inspirowane, to przez kogo lub przez jakie ośrodki. Pojęcie „inspiracje” wyklucza narzucanie poglądów czy treści — inspiracje są przyjmowane dobrowolnie. Ktoś lub coś skłania uczestników dyskursu do zainteresowania się pewnymi treściami. Inspiracje mogą mieć charakter zewnętrzny lub wewnętrzny. Przez zewnętrzne należy rozumieć te, które pochodziły z zagranicy i były adoptowane do dyskursu kolonialnego w Polsce, przez wewnętrzne zaś te, które wyłaniały się w owym dyskursie.

Inspiracje wewnętrzne też mogły mieć odmienny charakter. Jedne ujawniały się samorzutnie podczas wypowiedzi uczestników — wypływały od nich bezpośrednio. Inne były suflowane przez uczestników pragnących zdominować rozmowę, skłonić pozostałych do przyjęcia ich wniosków i interpretacji. I te „podpowiadane” bywały uznawane za ważne — wśród uczestników istniał konsens, że należy je wziąć pod uwagę ze względu na ich znaczenie. Można było je kontestować albo nadawać im inny sens, ale nie można było ich ominąć — nieustannie wyunurzały się w wypowiedziach, określając kontekst orzeczeń, same zaś były określane przez konteksty polityczny, społeczny, ekonomiczny, kulturowy.

W Polsce wiedza o Świecie Egzotycznym w znacznej części opierała się na spostrzeżeniach dokonywanych na przykładzie metropolii kolonialnych. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zlecało swoim placówkom zagranicznym dostarczanie wiadomości o koloniach rozmaitych metropolii. Jeszcze w 1938 roku twierdzono:

Fantazjować na temat kolonii nie można, trzeba o tym mówić w granicach rzeczywistości (Posiedzenie... 1938, s. 172)²⁷.

Z inicjatywy MSZ sprowadzono do Polski kompendia, broszury i opracowania zagraniczne poświęcone koloniom:

Jedną z największych bolączek naszej akcji kolonialnej jest brak podstawowej literatury przedmiotu, a przez to brak znajomości zagadnienia wśród szerokich mas społeczeństwa i osób zainteresowanych. (...) W tym celu Wydział E I proponuje wydanie „An African Survey” [było to wyczerpujące i kompetentne opracowanie brytyjskie o Afryce] (Notatka... 1939b, s. 3).

Wiedza ta brała początek z XIX-wiecznego jeszcze rozpoznawania tak zwanych ludów pierwotnych i myślenia o nich na gruncie polskim. Wynikało to z ulegania autorytetom kolonialnym, jakimi były — w opinii polskich działaczy kolonialnych oraz szerokich rzesz społeczeństwa, zwłaszcza grup zafascynowanych egzotyką — europejskie metropolie, co najmniej od XIX wieku władające posiadłościami zamorskimi. Polska nie stykała się praktycznie z problemem tubylców, toteż wiedza o nich była czerpana z wiedzy posiadanej przez mocarstwa kolonialne. Wyjątek stanowiły osoby, które wcześniej (przed 1918 r.) mieszkały w krajach Europy Zachodniej, stykając się tam z problematyką kolonialną, lub pracowały w koloniach. Należeli do tej grupy specjaliści różnych dziedzin gospodarki (inżynierowie, agronomowie, handlowcy, plantatorzy), a także duchowni przebywający na misjach. Osoby te, z racji że bezpośrednio stykały się z problemami życia w koloniach, z ich „egzotycznymi” mieszkańcami (ich życiem, obyczajami, hierarchią wartości życiowych), były obyte z zagadnieniami kolonialnymi. Były to wszakże jednostki. Co ciekawe, i w tych grupach przeważało tradycyjne, stereotypowe, wywodzące się z XIX wieku spojrzenie na miesz-

²⁷ Wypowiedź senatora dowodzi, iż pojmował on kolonializm realistycznie, nie jako marzenie.

kańców obszarów egzotycznych, zapewne wynikające stąd, że i zagraniczni mentorzy również przez długi czas żywili tradycyjne poglądy na Świat Egzotyczny. W 1871 roku ukazała się książka Ernesta Renana, poświęcona potrzebie reformy intelektualnej i moralnej w tym spojrzeniu:

Kolonizacja prowadzona na wielką skalę jest potrzebą polityczną pierwszego rządu. Naród, który nie kolonizuje, jest bezapelacyjnie skazany na socjalizm, na walkę biednego z bogatym. Podbój kraju o niższej rasie przez rasę wyższą, która tam się usadowi, aby nim rządzić, nie ma w sobie nic zdrożnego (...). Natura utworzyła rasę robotników. Tą rasą jest rasa chińska, która posiada zadziwiającą zręczność ręki, ale jest zupełnie pozbawiona poczucia honoru. Rządźcie nią sprawiedliwie. Żądając od niej za dobrodziejstwo posiadania takiego rządu obfitej renty na korzyść rasy zwycięzców, a będzie ona zadowolona. Rasę robotników uprawiających ziemię stanowią Murzyni, bądźcie dla nich dobrzy i ludczy, a wszystko będzie w porządku. Rasa panów i żołnierzy — to rasa europejska (Chałasiński 1965, s. 13)²⁸.

Clifford Geertz przytoczył opis rytuału kremacyjnego na Bali, sporządzony w 1880 roku przez niejakiego Dane'a L. V. Helmsa, Duńczyka terminującego u białego kupca, osiadłego na tej wyspie. Był to wówczas powszechny ceremoniał (został zakazany przez Holendrów w 1906 r., niemniej przypadki jego odprawiania zdarzały się do lat 30. XX w.) — po śmierci lokalnego radzy palono na stosie nie tylko jego ciało, ale również jego żyjące żony i nałożnice (kobiety te dobrowolnie skakały w płomień; ich status nie miał w tym przypadku znaczenia). Helms był wstrząśnięty tym widowiskiem, tym bardziej że zachwycał się pięknem wyspy i uprzejmością jej mieszkańców. Opis swoich wrażeń zakończył słowami:

Dzieła tego rodzaju dowodzą, iż cywilizacja zachodnia ma dobre prawo kolonizować i humanizować ludy barbarzyńskie, wypierając dawne cywilizacje (Geertz 2005a, s. 45–48).

Wstrząśnięty widowiskiem Helms pochwalał kolonializm, ale jako konieczność cywilizowania barbarzyńców. Także Polacy, którzy byli autorytetami intelektualnymi, dostarczali podobnych argumentów:

(...) osiadłszy na jakieś placówce w głębi lądu czuje, że dzicz, zupełna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś wstrętnym. A jednocześnie to niepojęte ma urok, który zaczyna na niego działać. (...) Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść. (...) Podbój ziemi, polegający przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rze-

²⁸ Cytat za: E. Renan, *La réforme intellectuelle et morale*, Paris 1871, s. 93–94. Reforma Renana polegała na tym, by niezależnie od niższości „ras kolorowych” rządzić nimi „sprawiedliwie”.

czą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt dokładnie. Odkupia go tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary (Conrad 2004, s. 8).

Wbrew powszechnej opinii *Jądro ciemności* (powstało w 1899 r.), z którego pochodzi powyższy cytat, nie jest powieścią krytykującą kolonializm, a jedynie jego belgijską odmianę, przede wszystkim zaś stanowi przestrożę przed bezkrytycznym wchodzeniem w Świat Egzotyczny i tubylczą kulturę. Demoniczną postać Kurza można odczytać jako przykład niebezpieczeństw, jakie dla przedstawicieli Świata Białych niesie akulturacja (inkulturacja?). Człowiek traci wtedy oparcie we własnej kulturze, którą porzuca, wchodząc w egzotyczną, w której nadal pozostaje obcy. Zatem nie należy bratać się ze Światem Egzotycznym, lecz trzymać dzicz na dystans. Sam kolonializm jest usprawiedliwiony wspomnianą ideą — jak pisał Helms,

cywilizacja zachodnia ma prawo kolonizować i humanizować ludy barbarzyńskie (Geertz 2005a, s. 48).

Zmieniło się to w następnych latach — po 1918 roku zaprzestano postrzegać Chińczyków jedynie jako robotników mających służyć białej rasie (jak postulował Renan); uznano ich podmiotowość kulturową i państwową. Japończyków już wcześniej uważano za społeczność cywilizowaną, zwłaszcza po 1905 roku i ich zwycięskiej wojnie z Rosją. Od lat 30. uznano także podmiotowość mieszkańców Indii oraz Indii Holenderskich (w uproszczeniu: obecnej Indonezji). Poselstwo polskie w Hadze przesłało do Departamentu Politycznego MSZ (Wydział P.I.) komunikat datowany na 20 sierpnia 1931 roku:

Nierówność między ludnością rdzenną a Holendrami spoczywa głównie (...) w znikomym wpływie ludności miejscowej na ustawodawstwo (...) nadto różnice społeczne, gdyż ogromna większość miejscowych to proletariat, a wśród Europejczyków prawie nie istnieje (Poselstwo... 1931, s. 74)

Rozruchy, do jakich wówczas doszło na niektórych obszarach Indii Holenderskich, przypisywano agitacji bolszewickiej, wykorzystującej sytuację: ludność miejscowa — przeważnie proletariat, Biali — przeważnie klasa średnia. Zatem problem przesunął się z rasowego i kolonialnego (Biali — rasa wyższa, miejscowi — niższa) na polityczny, i to o konotacjach zewnętrznych. W Chińczykach, Japończykach i Hindusach dostrzegano przedstawicieli odmiennych, ale starych, szacownych cywilizacji z tradycjami własnej państwowości. Japończyków uznano za rasę wyższą, przynajmniej w kontekście sąsiadów, za azjatyckich zwycięzców, panów i żołnierzy (używając określenia Renana). Gustaw Załęcki we wspomnianym już opracowaniu *Doktryny kolonialne wielkich i małych państw powojennych* zauważył:

Japończycy nie wyrzekli się w swej koncepcji kolonialnej opanowania Chin i reprezentowania w polityce światowej rasy żółtej (Załęcki 1930, s. 517).

Od początku lat 30. niepokojono się ich energiczną penetracją gospodarczą nie tylko w Azji, ale i w Ameryce Południowej (zwłaszcza w Brazylii), gdzie odnotowywano ich osiedlanie się i sukcesy gospodarcze — zaczęto dostrzegać w nich niebezpiecznych konkurentów w rywalizacji o uzyskanie kolonii na wyspach Pacyfiku i w Afryce (nie można przecież niepokoić się kimś uważanym za niższego rasowo):

[Japonia] dąży z jednej strony do rozszerzenia swego stanu posiadania kolonialno-politycznego — z drugiej zaś do narodowego zwaloryzowania swej emigracji osiadającej w obcych państwach (tamże, s. 518).

Zresztą nie tylko w nich:

Dziwna jest zmiana ról Europy i Azji w ostatnich czasach; przed kilkudziesięciu jeszcze laty Europa działała, gdy Azja spała — dziś Azja działa, gdy Europa gada (...). Tak, Europa się cofa, Azja zaś idzie naprzód (...) w krótkim czasie Europa zagadana dziś i zapatrzona w siebie, zaczyna patrzeć na Azję oczami szeroko otwartymi ze strachu (Dmowski 1933, s. 3)²⁹.

Chińczyków wprowadzie wycofano z katalogu ludów egzotycznych (dzikich), nadal jednak dowodzą ich niższości wobec rasy białej. To Białym — twierdzono — Chińczycy zawdzięczają papier, druk, kompas, proch, kalendarz; ich poglądy religijne i filozoficzne nie są oryginalne, lecz stanowią zapożyczenia z Europy (przejęte za sprawą Aleksandra Macedońskiego) lub wcześniejsze — z Babilonu i Persji (G. M. 1932). Poza tym na Daleki Wschód spoglądano jako na tereny potencjalnie kolonialne (*Formoza...* 1931). Było to nawiązanie do Maurycego Beniowskiego, który po ucieczce z Kamczatki zawadził o Tajwan, zamierzając ponoć tam powrócić, by przekształcić wyspę w polską posiadłość. Wyowiedzi te zdawały się być wezwaniem do powstrzymania azjatyckiej ekspansji kolonialnej.

Rozpoczął się proces zmiany stosunku do tubylców, obejmujący z wolna także poczynania praktyczne. Generalnie jednak obraz świata konstytuowały dwie — wydaje się naturalne — kategorie pojęciowe: podział na „centrum”, czyli Świat Białych, i „peryferie”, czyli Świat Egzotyczny:

Niewola oraz kupno i sprzedaż niewolnika nie były dla Afryki nowością, przeciwnie, Europejczyk zastał te instytucje na czarnym lądzie w pełni rozkwitu (...). Zniesienie niewoli podziało dość rozleniwiająco na kolorowych autochtonów Afryki, którzy przy niskich potrzebach osobistych usuwali się od pracy organizowanej na zasadzie najemnictwa (Załęcki 1928, s. 101).

²⁹ Zaniepokojenie lidera Narodowej Demokracji mogło wynikać z popularnego wówczas „żółtego niebezpieczeństwa”. Posunął się on jednak krok dalej — skrytykował wyczerpanie się zdobyczości Europy.

Zatem w samych postulatach konieczności humanizowania i cywilizowania kryło się poczucie wyższości. U podstawy tego podziału leżała olbrzymia przewaga technologiczna i struktur organizacyjnych Świata Białych nad resztą świata.

W dyskursie elitarnym (a często i w popularnym) dostrzegano, że Murzyni nie są jednorodną „masą” — zauważano ich różnicowanie rasowe, plemienne, kulturowe, to, że każda kultura charakteryzuje się własnym geniuszem i dlatego stanowi unikatowy twór. Powstało wówczas wiele monografii społeczeństw tradycyjnych (plemiennych), z których każde stanowiło własny świat — jakby miniaturę ludzkiej kultury, zawartą w „pigułce” danej społeczności. Postulowano docieranie do nieświadomionego poziomu zjawisk kulturowych, konieczność umieszczania poszczególnych zjawisk i elementów kultury w kontekście jej całości. Bronisław Malinowski pisał w rozmaitych esejach, że w Afryce mamy do czynienia nie z jedną, pomieszaną kulturą, lecz z różnymi obszarami kulturowymi. Pomimo stopniowego dostrzegania owych różnicowań Murzyni w dyskursie elitarnym nadal traktowani byli jako jednorodna „masa” o wspólnej dla wszystkich kulturze, przy czym pojęcie kultury brano w nawias, wątpiąc czy można stosować je do ludów pierwotnych — tak bardzo ich kultura była odległa od europejskiej.

Wynikało z tego przekonanie, że Świat Egzotyczny jest tak odmienny od Świata Białych, iż nie ma między nimi punktów styčných. Świat Egzotyczny to świat chaosu i dzikości, w najlepszym razie obyczajów tak odmiennych, że aż fascynujących swoją egzotyką, ale tylko egzotyką, niekiedy odrażającą. Współcześni, dla których badacze z XIX i z początków XX wieku opisywali swoje przygody, prawdopodobnie bardziej interesowali się lądem Afryki niż jej ludami. Fascynowano się odkrywaniem źródeł i biegu rzek, położeniem jezior, przebiegiem pasm górskich. Coś z tego przetrwało do lat 1918–1939 — mianowicie bardziej interesowano się społecznościami afrykańskimi niedotkniętymi bezpośrednimi kontaktami z cywilizowanym światem. Stąd dosyć powszechne mniemanie, że Afryka z epoki przed przybyciem Europejczyków była miejscem zupełnej i anarchicznej dzikości — ląd i jego mieszkańcy drastycznie różnili się od Europy i Europejczyków. Z rozpoznania wewnętrznego różnicowania Świata Białych i Świata Egzotycznego, ich zasadniczej odmienności przy homogenicznym pojmowaniu każdego z tych światów z osobna (ewentualna niwelacja przede wszystkim przepaści technologicznej — a nawet tylko zmniejszenie odmienności — mogła być w najlepszym razie kwestią wielu lat) wynikały pewne obowiązki pierwszego wobec drugiego, zgodne z odziedziczonymi, bo wyrażanymi już od końca XIX wieku, powinnościami Białych wobec „kolorowych”, określonymi jako „brzemie białego człowieka”. Jako pierwszy użył tego określenia Frederick John lord Lugard (1858–1945), brytyjski gubernator Nigerii przed I wojną światową — prawdopodobnie jednak powtórzył je za Rudyardem Kiplingiem, a właściwie za tytułem jego wiersza *The White Man's Burden*, powstałym w 1901 roku. Niezależnie

od tego, czy był to zwrot, użycie go przez lorda Lugarda podyktowane było potrzebą, jaką dostrzegł, pełniąc funkcję gubernatora kolonii.

„Brzemie białego człowieka” nakładało na kolonizatorów obowiązki wobec tubylczej ludności. Argumenty przemawiające niegdyś za posiadaniem kolonii — poczucie mocarstwowości, korzyści gospodarcze (władanie surowcami, zyski handlowe metropolii, tubylcy jako tania siła robocza) i strategiczne (panowanie nad obszarami mogącymi mieć znaczenie wojskowe w ewentualnym konflikcie zbrojnym) — zostały zamienione, a może tylko wzbogacone powinnością kolonizatorów wobec ludów kolonialnych. Zmiany polityczne, a za nimi pojęciowe, jakie zaszły w świecie po I wojnie światowej wraz ze zmianami społecznymi, wymagały przekształceń w dotychczasowej polityce kolonialnej, wpływając tym samym na kształt polskiego dyskursu kolonialnego. Mówiono w nim, że znaczenie kolonii dla Polski nie polega wyłącznie na tym, by mieć swobodny dostęp do surowców, lecz by zapewnić rynki zbytu dla polskich towarów; poza tym dotychczasowe metropolie nie traktują należycie swoich posiadłości, jedynie je eksploatując.

To już nie był podział na rasę panów i rasę robotników, ale na społeczność cywilizowaną i niecywilizowaną. Obowiązkiem ludzi cywilizowanych stało się cywilizowanie niecywilizowanych. Jak pisał Bronisław Malinowski, jednostka podporządkowana siłą obyczaju kolektywowi (społeczności) nie ma szans wykazania swojej osobowości, struktura plemienna (aczkolwiek należy uwzględniać odmiennosć kulturową każdej z nich) przeszkadza w uformowaniu nowoczesnej organizacji społecznej. Obowiązkiem Białych jest wzięcie na siebie brzemienia wychowania do cywilizacji. Podniesienie moralne „dzikich”, wyzwolenie ich z zabobonów, nauczenie funkcjonowania we współczesnym świecie (z nowoczesnymi technologiami), dbanie o rozwój cywilizacyjny — to misja (Malinowski 1958). Sprawienie, by tubylcy przyswoili sobie kulturowe zasady Białych, a co za tym idzie — by swobodnie egzystowali w świecie techniki i w warunkach ekonomicznych przyniesionych przez Białych, stawało się deklarowaną powinnością. W dyskursie elitarnym w Polsce przyjął się pogląd o „brzemieniu białego człowieka” — chociaż teren kolonii nie jest właściwym terenem państwa kolonialnego, a tylko jego własnością, niemniej państwo kolonialne musi o swoją kolonię polityczną dbać, sporo nieraz na nią łożyć. Solidnie, nieeksploatacyjnie prowadzona administracja kolonii politycznej jest dziś wymogiem nie tylko humanitaryzmu, ale i dobrze zrozumianego interesu macierzy kolonialnej (Załęcki 1930).

Misję cywilizacyjną wspierano w polskim dyskursie poglądem, że gdyby tubylcy byli bardziej sprawnymi robotnikami, część lepiej wykształconych mogłaby pretendować do pełnienia niższych urzędów administracyjnych, wyręczając w tym urzędników sprowadzanych z metropolii, co jest kosztowne. Powinnością Świata Białych jest doprowadzenie ludów Świata Egzotycznego do takiego stopnia rozwoju, by samodzielnie o sobie stanowiły. Mogło to prowadzić do dekompozycji (akulturacji?) kultury Świata Egzotycznego, ale czynione było dla dobra

ludów tego świata — dobra w rozumieniu przedstawicieli Świata Białych. Wierność tubylców wobec ich tradycyjnej kultury stwarzała trudności przy ich cywilizowaniu.

Dyskurs kolonialny w Polsce w latach 1918–1939 wpisywał się zarówno w widzenie Świata Białych i Świata Egzotycznego wypływające z dawnego ich postrzegania, jak i w widzenie z perspektywy „brzemienia białego człowieka”; zaczęto też wreszcie dostrzegać ewolucję polityczną i cywilizacyjną Świata Egzotycznego, zwłaszcza zdobywanie przez ludy egzotyczne samoświadomości własnej kultury i własnej wartości, przyswajanie sobie przez nie zdobyczy technicznych przyniesionych przez Białych.

Zaczęło się od przeciwstawienia Świata Białych Światu Egzotycznemu, ale nie według schematu „cywilizacja–zacofanie”, raczej zacofanie romantyczne. „Nasz” świat przedstawiano jako zdegenerowany technicyzmem, nudny, duszący swobodę człowieka, krępujący sztucznością. „Ich” świat dawał możliwość swobodnego, naturalnego życia, radość życia. Był jakby pozostałością mitu o „dobrym dzikim”, „dziecku natury” żyjącym w swoistym „edenie”, czyli naturalnym porządku świata. Prawdopodobnie wynikało to z folklorystycznej egzaltacji, zafascynowania egzotyką. Zdarzały się takie zwroty jak „romantyka afrykańskiej dżungli”. I Polacy zauważali, że są zmęczeni cywilizacją i chętnie (raczej tylko w teorii!) osiedliliby się w tropikach. Cytowany wcześniej Tadeusz Dębicki w swoim reportażu *Moienzi Nzadi* wzdychał:

Nie cywilizację i kulturę niesiecie, ale postęp, zabójczy postęp. Postęp, który niszczy i zabija wszystko, człowieka, zwierzę, roślinę, kulturę i cywilizację, który chce zabić nawet Naturę — aby mógł wreszcie wszechwładnie sam zapanować na ziemi (...). I dopiero teraz, gdy wracam z podzwrotnikowego sezamu barw (...) zdaje sobie sprawę z tego, jak rzeczywiście grobowym miastem jest Antwerpia (...). Szarość życia i straszliwa, beznadziejna płytkość mieszkańców. Piwo, margaryna i zarozumiałość. (...) Ogłuszają mnie dzwonki tramwajów i klaksony samochodów. Szare, monotonne dwupiętrowe domki — takie tandetne i takie banalne — wprawiają mnie w rozpacz. (...) A tam daleko w słonecznej Afryce.... (Dębicki 1928, s. 110–123).

Były to jednak tylko werbalne westchnienia — nie zamierzano zamieniać ich w czyn; powracano do nużącej cywilizacji. Później, w miarę zwiększania się liczby podróżujących do krajów egzotycznych, konstatowano, że życie w nich nie odpowiada utartym poglądom. Można latać do kolonii samolotami, porty, do których zawijają statki, pracują tak jak w Europie. Na miejscu można podróżować kolejami. Przybysza nie otacza tłum ludożerców, przeciwnie — można spotkać osoby wykształcone na francuskiej Sorbonie lub uniwersytetach angielskich. Drugą bowiem stroną spojrzenia na Świat Egzotyczny było ujmowanie go w kategoriach cywilizującego się obszaru.

Doszło i do bardziej zasadniczych przewartościowań. Murzyn ma duszę! Murzyn potrafi mówić swoim głosem i wyrażać własne dążenia! Murzyn ma pra-

wo do samodzielności. Jeśli tak, to Świat Białych powinien wyzbyć się wyższości wobec Świata Egzotycznego i potraktować ludy egzotyczne jako równe sobie, a przynajmniej niemal równe, w każdym razie mające własną, odpowiadającą sobie kulturę. Nadmierna ingerencja Świata Białego w Świat Egzotyczny oznacza zagładę niektórych ludów egzotycznych (a co najmniej ich kultur), sproletaryzowanie tubylców. Oczywiście nie chodziło o wycofanie się z kolonii czy rezygnację z postulatu ich uzyskania, ale o takie zarządzanie nimi, by w przyszłości (nieokreślonej) doprowadzić tubylców do samodzielności politycznej. By tak się stało, konieczne jest przeprowadzenie misji cywilizacyjnej, aż do osiągnięcia dojrzałości przez kolonie, takiej wszakże, by nie zerwały łączności z metropoliami:

U wylotu dzielnicy prasowej Fleet-Street, w pięknym gmachu Szkoły Nauk Ekonomicznych i Politycznych ogniskującej młodzież z całego imperium brytyjskiego (...) wyklada antropologię znakomity nasz rodak, Krakowianin, prof. B. Malinowski (...) Na wykładzie prof. Malinowskiego zastaliśmy różnokolorowych słuchaczy i studentki z czarnego łądu afrykańskiego (...). [Sam zaś Bronisław Malinowski powiedział:] Zdaniem moim etnografia powinna dawać podstawy naukowe do skomplikowanej polityki i sztuki kolonialnej. Obecnie piszę książkę poświęconą problemom polityki kolonialnej i przewrotom cywilizacyjnym w Afryce. (...) O ile idzie o żądania kolonialne Niemiec, prof. Malinowski zwrócił uwagę na podnoszone m.in. obawy, iż oddanie kolorowej ludności pod kontrolę niemiecką oznaczać by mogło wprowadzenie nowego typu niewolnictwa w Afryce, w drodze przymusowej pracy murzynów (S. H. 1938, s. 6)³⁰.

Ideę misji cywilizacyjnej wyrażało w tym fragmencie zwrócenie uwagi, że London School of Economics gromadziła młodzież z całego imperium (korespondent krakowskiej gazety zdziwił się, widząc „różnokolorowych słuchaczy” — fragment ten wyróżnił tzw. wytłuszczonym drukiem), a także stwierdzenie Malinowskiego o skomplikowanej polityce i sztuce kolonialnej. W ten właśnie sposób misję cywilizacyjną Białych na terenach egzotycznych rozumiano w elitarniej odmianie dyskursu kolonialnego w Polsce w latach 1918–1939; w popularnej wersji dyskursu było to raczej tylko hasło.

Jednym z pomysłów na odmienne od tradycyjnego traktowanie ludów egzotycznych, zgodne z nową, przyjmowaną powszechnie ideą misji cywilizacyjnej, była koncepcja Eurafryki:

Bez obszarów podzwrotnikowych Europa nie może stanowić jedności, jej narody nie mogą stworzyć samodzielnych gospodarstw. Afryka razem z Europą jest właściwie jednym kontynentem. (...) Murzyni nie stanowią żadnej przeszkody dla kolonizacji, jak również nie biorą żadnego samodzielnego udziału w gospodar-

³⁰ Opatrzanie cudzysłowem tytułu tego wywiadu — „Chłop polski jest doskonałym kolonistą” — wynika z tego, że był to fragment wypowiedzi prof. Malinowskiego.

ce światowej. Jeśli Europa nie skolonizuje Afryki, to robi to Azja (Radzikowski 1931, s. 22)³¹.

Zakładano, że jeśli Europa nie skolonizuje Afryki, uczyni to Azja. Aby temu zapobiec (w obronie rasy białej, ale także w obronie posiadłości metropolii europejskich), trzeba zdobyć i rozwinąć cywilizacyjnie Afrykę dla Europy, czyli stworzyć jeden polityczny blok Europy z Afryką. Naturalnie, konieczne byłoby wyrzeczenie się kolonialnych egoizmów poszczególnych państw. Autor artykułu odnotował podział Europy

na państwa zachodnie z koloniami i na państwa wschodnie bez kolonii. Lecz obie grupy uzupełniają się, gdyż państwa wschodnie nie mające kolonii mają za to materiał ludzki, potrzebny do gospodarowania w koloniach państw zachodnich. (...) Jednak państwa [kolonialne] niełatwo zrezygnują z czegokolwiek ze swej suwerenności kolonialnej. Z drugiej zaś strony narody wysyłające swoich osadników (...) w przyszłości Polska, nie będą chciały dostarczać, bez przyznania im pewnych praw politycznych lub choćby gospodarczych, swoich ludzi, swojej pracy i swego kapitału dla rozwoju obcej kolonii (tamże, s. 24).

Musiałyby to przedsięwzięcie podjąć Europa, czyli Świat Białych jako całość.

Drugim powodem były względy demograficzne. Wyliczono, że Europa jest przeludniona (szacowano, że w Europie jest o 100 milionów ludzi za dużo) i za jakiś czas będzie gwałtownie potrzebowała nowych terenów dla przyrastającej ludności. Stwierdzono, że w ciągu kilku–kilkunastu lat do Afryki należy skierować 600–700 tys. białych osadników — po 100 latach ich liczba, jak szacowano, wzrosłaby do 20 milionów. Dostrzegano podział zadań krajów europejskich: zachodnie dysponowały koloniami, wschodnie (w tym Polska) potencjałem ludzkim. Dla realizacji postawionego celu potrzebny był wspólny wysiłek całej Europy. W ten sposób Afryka byłaby powołana do tego, by stanowić jedność z Europą i utworzyć trzeci — po Azji i Ameryce — samowystarczalny polityczno-gospodarczy blok na świecie. Realizacja tej koncepcji miałaby zapewnić Afryce unowocześnienie jej rolnictwa i przemysłu, rozwój cywilizacyjny jej mieszkańców, którzy w owej Eurafryce byłiby, po osiągnięciu pewnego stopnia rozwoju, pełnoprawnymi — wraz z milionami białych osadników — współgospodarzami owego bloku. Jednocześnie zapewniłoby to, jak przyjmowano, co najmniej 200 lat pokoju w Europie i na świecie — eliminowałoby konflikty wojenne pomiędzy państwami europejskimi.

Pomysły Eurafryki pojawiły się w 1930 roku. Debata nad nimi trwała praktycznie do 1939 roku — intensywna była zwłaszcza w latach 1935–1937, czyli w czasie trwania wojny włosko-abisyńskiej. Argumenty, że idea Eurafryki położyłaby kres konfliktom kolonialnym jako pochodnym konfliktów w Europie, były wynikiem owej wojny — pozostałe europejskie metropolie kolonialne nie-

³¹ W latach 30. XX w. poważnie rozpatrywano koncepcję „Eur-Afryki” jako obszaru zawiadywanego wspólnie przez całą Europę.

pokoily się o całość swoich posiadłości, mogących stać się obiektem pożądania ze strony krajów nieposiadających kolonii (lub posiadających, jak Włochy, zbyt małe — ich zdaniem — terytoria), a aspirujących do nich.

Zamysł Eurafryki był obecny w dyskursie kolonialnym w Polsce. Wydawał się jednak zbyt idealistyczny i nierealny. Przyjmowano go sceptycznie — przekreślał własne ambicje kolonialne Polski. Wprawdzie dawał Polakom dostęp do terytoriów kolonialnych, ale niesamodzielny, ograniczony koniecznością współdziałania z innymi:

Nie jest naszą rzeczą walka z kimkolwiek, wypieranie go z zajętego stanowiska. Ale w zamian musimy żądać poszanowania praw naszych. Nie możemy w tej sprawie wiązać się stale z jakąkolwiek grupą narodową europejską: każda z nich ma swoje odrębne interesy, niepokrywające się z naszymi, my zaś w każdym razie jesteśmy zbyt samodzielni już i dumni, by być czymkolwiek klientami (Potocki 1935, s. 3).

Przeciwnicy tej koncepcji uważali, że wysiłek ów jest trwonieniem europejskich sił ludzkich i gospodarczych — znaczne obszary Europy wymagają podźwignięcia ich gospodarki. Na te obszary Europy, a nie do dżungli afrykańskich, powinna być kierowana nadwyżka demograficzna. Zresztą przyrost ludności w krajach Europy Zachodniej jest tak niewielki — argumentowano — że wyklucza praktycznie jej ekspansję osadniczą w Afryce, zaś powierzenie tego zadania Europie Wschodniej wymagałoby wyciągnięcia z niej ludzi potrzebnych na miejscu:

Ludzie możeby się znaleźli do tej wyprawy krzyżowej, ale po pierwsze musieliby być porwani zapałem (...). Ktokolwiek będzie powołanym [do realizacji koncepcji Eurafryki] niech pamięta o innej opłakanej przygodzie, gdy boski Apollo przekazał wóz słoneczny zuchwałemu Faetonowi (tamże)³².

Argumentowano, że wschodnie tereny Polski są tak bardzo rzadko zaludnione, że właśnie tam należałoby kierować demograficzną nadwyżkę ludnościową — dodatkowo, gdyby w województwach wschodnich osiedlali się rdzenni Polacy, poprawiłoby to proporcje etniczne między „żywiółem” ukraińskim a polskim. Było to zdanie zwolenników Narodowej Demokracji, niemniej sympatycy innych partii zdawali się je podzielać.

Wreszcie, zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy akcji kolonialnej koncepcję Eurafryki odczytywali jako przydzielenie Polakom roli robotników, potraktowanie ich jako siły roboczej, co było sprzeczne zarówno z poglądami jednej, jak i drugiej strony (polscy osadnicy i robotnicy w koloniach — tak!, ale także polskie kapitały dla potrzeb kraju; osłabienie ludnościowe kraju to osłabienie jego gospodarki).

³² Jak widać, koncepcja „Eurafryki” wzbudzała także zastrzeżenia narodowe czy raczej dotyczące suwerenności narodowej, niebezpiecznej, jak uważano, dla interesów Polski. Charakterystyczne, że ten głos ukazał się w gazecie związanej z Narodową Demokracją. Autor dla wzmocnienia argumentacji odwołał się do mitologii: Faeton, Atlantyda.

Poglądy na Świat Białych i Świat Egzotyczny, na różnice między nimi, rozpoznawane odmienności, na obowiązki Białych wobec „kolorowych” i wynikająca z nich misję cywilizacyjną, dostrzeganie ewolucji politycznej i kulturowej Świata Egzotycznego — wszystko to wyrażało się w języku dyskursu, we wprowadzanych do niego symbolach i metaforach. Podobnie jak pojmowanie idei kolonialnej i stosunek do systemu kolonialnego — od tradycyjnego po zrewaloryzowany w latach 1918–1939. Język w tym przypadku był zwierciadłem poglądów i wynikających zeń orzeczeń.

Drugim ważnym czynnikiem inspirującym polski dyskurs kolonialny były dzieje kraju oraz *episteme* — „duch epoki”. Polska — często pojawiał się ten argument — „straciła” XIX wiek; nie było jej na mapie. W tym czasie większość państw europejskich zdobywała kolonie lub utrzymywała panowanie na wcześniej podbitych obszarach. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska znalazła się w grupie państw nieposiadających kolonii. Zaczęto zatem zgłaszać żądania wyrównania opóźnienia, rekompensaty za stracony czas. Inspiratorami idei kolonialnej byli zrazu ludzie wywodzący się z grona przedwojennych (przed I wojną światową) działaczy emigracyjnych. Wielu z nich znalazło się w Lidze Morskiej i Kolonialnej. Liga stała się instytucją inspirującą treści dyskursu kolonialnego. Siłę jej oddziaływania wzmacniał fakt, że w jej władzach zasiadały osoby należące do elity władzy lub mocno z nią związane. Inspiracją był też przewrót majowy w 1926 roku — w jego wyniku pojawiły się hasła budowy silnej Polski, przekształcające się z czasem w hasła mocarstwowe. Wiązało się to, zdaniem wielu, z wolą posiadania kolonii uważanych za świadectwo mocarstwowości:

Krzepnie z roku na rok idea potężnej Ojczyzny. Idziemy coraz pewniejszym krokiem ku Polsce Mocarstwowej. I oto na tej drodze staje przed nami problem ekspansji zamorskiej, problem zapewnienia naszemu narodowi terenów dla rozwoju nieskrępowanego, dla stworzenia drugiej, nowej Polski — problem kolonialny. (...) sprawa od której zależy, czy będziemy wielkim narodem, mocarstwowym państwem (...) (Głuchowski 1928, s. 31)³³.

Od 1936 roku ośrodkiem inspiracji stało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych (przestał ciążyć autorytet Piłsudskiego). Ułatwiła to śmierć gen. Gustawa Orlicz-Dreszera — ubył z Ligi Morskiej i Kolonialnej konkurencyjny autorytet polityczny:

W zakresie poszukiwań terenów osadniczych Ministerstwo zainstalowało w Paranie przedstawiciela Ligi Morskiej i Kolonialnej i dokonało badań co do wykreślenia stref osadnictwa polskiego i możliwości penetracji gospodarczej [sobie przyznając tę zasługę, mimo że w przypadku niepowodzeń twierdziło, że to akcja Ligi] (...). Powiększenie ruchu emigracyjnego jest o tyle celowe, o ile zarazem przyczynia się do opanowywania danego kraju pod względem gospodarczym i politycz-

³³ Nie były to wezwania praktyczne, lecz wzniosłe, mówiące o ojczyźnie potężnej i mocarstwowej, które miały starczyć za wszystko.

nym. Dlatego też pod tym względem mogą być brane pod uwagę kraje o nieskonsolidowanej formie politycznej, zamieszkałe już przez znacznie większą liczbę Polaków, tak aby nieznaczny nawet, a nieprzerwany przyrost Polaków mógł zdecydować o przewadze wpływów polskich. Te same przyczyny, które składają się na konieczność podjęcia intensywnej kolonizacji polskiej na terenie Ameryki Południowej, dyktują również nieodzowną potrzebę szukania przez państwo wolnych terenów o charakterze kolonialnym, na których w pierwszej fazie naszej polityki kolonialnej rozwijałyby się polska ekspansja eksploatacyjna i przemysłowo-handlowa oraz dokąd byłaby kierowana emigracja polskich fachowców (Sprawy... 1936, s. 66–119).

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, przejmując zasadniczą inspirację w sprawach kolonialnych, nie rezygnowało z posługiwania się Ligą, zwłaszcza w sytuacjach mogących nastęrczać polityczne komplikacje międzynarodowe. Ministerstwo pozostawiło Lidze pracę agitacyjną w społeczeństwie (aczkolwiek i tu sprawowało nadzór), sobie przyznając inspirację w kręgach politycznych i prasowych. Pojawiły się sugestie MSZ, by politycy (także działacze Ligi) unikali słowa „kolonie”, a program kolonialny ujmowali jako postulaty surowcowe i emigracyjne. W zaleceniach dla prasy zwracano uwagę na konieczność zaniechania argumentów mocarstwowych lub „imperialistycznych”, zastąpienia ich argumentami surowcowymi i emigracyjnymi. Takie stanowisko podyktowane było zarówno powściągliwością wobec zamiarów czy szans zdobywania kolonii dla Polski, jak i względami na opinię międzynarodową (by nie drażnić jej polskimi „apetytami”, ale i nie dawać powodu do oskarżeń Polski o mocarstwowe i imperialistyczne zapędy).

Były i inspiracje zewnętrzne — nie wpływały one bezpośrednio na dyskurs kolonialny w Polsce, niemniej powoływano się na przykłady zewnętrzne (zagraniczne). Sięgano przede wszystkim po argumenty mające uzasadnić plany i programy kolonialne formułowane w Polsce. W pewnym momencie inspiracją stał się przykład Włoch, w tym wojny włosko-abisyńskiej (1935–1936). Wojna ta jako przykład przejścia od haseł kolonialnych do akcji bezpośredniej wzbudziła zainteresowanie. Jednakże występujący w Lidze Narodów delegat Unii Południowej Afryki przestrzegał, że wojna włosko-abisyńska jest postrzegana w Afryce jako wojna Europy z Afryką, co może sprzyjać tak zwanemu konsolidowaniu się dzikich i wojowniczych instynktów czarnej Afryki, a w rezultacie doprowadzić do wojny Czarnych z Białymi. Kryła się tu obawa, podzielana przez polskich działaczy kolonialnych, że podobne starcia wywołają rozprzestrzenienie się hasła „Afryka dla Afrykanów”, a taki konflikt może zburzyć misję cywilizacyjną Białych.

Uwzględnienie inspiracji treści dyskursu pozwala na pełniejsze odtworzenie poglądów i ocen jego uczestników oraz na uprawomocnioną interpretację ich wypowiedzi, dzięki osadzeniu ich w posiadanej przez nich wiedzy społecznej i kulturowej, do której odwołują się jako członkowie grup i instytucji sygnalizujących rozmaite znaczenia sytuacyjne.

Retoryka dyskursu

Formy argumentacji

Podstawowe formy argumentacji przedstawione zostały w rozdziale poprzednim. Uczestnicy dyskursu stosowali argumenty wspierane autorytetem nauki, ale i autorytetem mitu misji Białego Człowieka czy autorytetem interesu narodowego (politycznego i ekonomicznego) — kolonie jako świadectwo mocarstwowej potęgi Polski. Odwoływały się one zarówno do sfery racjonalnej, jak i do emocji. Argumenty z założenia racjonalne dominowały w elitarniej odmianie dyskursu kolonialnego, w odmianie popularnej większe znaczenie miały odwołania do emocji i stereotypów.

Język

Jeśli chodzi o sposób użycia języka, dostrzegalne jest, że uczestnicy z tych samych grup (instytucje państwowe, instytucje społeczne, media, działacze) używali czasem odmiennego języka i przeciwnie — uczestnicy z rozmaitych grup używali podobnego języka. Język instytucji społecznych był często podobny albo nawet tożsamy z językiem instytucji państwowych, zwłaszcza wtedy, gdy konkretne instytucje społeczne, zazwyczaj związane z ośrodkami władzy czy instytucjami państwa, można zakwalifikować do uczestników dyskursu elitarnego. Ta sama uwaga dotyczy mediów i działaczy — tych mediów, które podlegały instytucjom państwa albo bliskim im instytucjom społecznym, tych działaczy, którzy wywodzili się z kręgów instytucji państwowych (naukowcy, wyższego szczebla działacze organizacji społecznych, niektórzy pisarze i podróżnicy).

Nie była to jednak bezwzględnie obowiązująca reguła. Czasami język mediów elitarnych czy działaczy z kierowniczych kręgów stowarzyszeń społecznych zbliżał się albo był tożsamy z językiem uczestników dyskursu popularnego. Dotyczy to także języka niektórych naukowców — innym językiem posługiwali się oni na łamach mediów popularnych, innym zaś na łamach mediów elitarnych czy podczas wystąpień w kręgach akademickich lub w instytucjach państwowych. Podobna zmienność języka cechowała działaczy wyższego szczebla i pisa-

rzy — wszystko zależało od tego, do jakich środowisk wypowiedź była adresowana. Najogólniej biorąc, wszelkie wypowiedzi mieściły się między językiem instytucji państwowych z jednej strony (raczej racjonalnym) a językiem mediów popularnych i szeregowych działaczy z drugiej strony (w znacznej mierze emocjonalnym), niezależnie od formalnej przynależności autorów tych wypowiedzi.

Wobec takiego „pomieszania” języków należy zrezygnować z zasadniczego kategoryzowania języka według wspomnianych grup uczestników dyskursu: instytucji państwowych, instytucji społecznych (też zresztą dzielących się na elitarne i popularne), mediów (podobne zróżnicowanie) oraz indywidualnych działaczy. Przyjąć trzeba podział na język dyskursu elitarnego i język dyskursu popularnego, z tym że w pierwszym przypadku dominował język charakterystyczny dla instytucji państwowych (lub był przez nie wyznaczany), w drugim zaś język mediów popularnych oraz działaczy–popularyzatorów.

Warto zwrócić uwagę na określenie stosowane przez niektórych badaczy dyskursu: „język słaby”. Jest to język niewykształconych uczestników dyskursu, uważany za słabo słyszalny i niezrozumiały dla elit (może raczej niechęć być dla nich słyszalnym). Wprawdzie pojęcie „języka słabego” użyte zostało w odniesieniu do języków społeczeństw tak zwanego Trzeciego Świata, niemniej daje się ono zastosować do dyskursów europejskich. Języki „nie słabsze” (zachodnie) mają większe zdolności do manipulowania tekstem, produkują oczekiwaną wiedzę częściej niż języki Trzeciego Świata. Zauważył to Talal Asad (Asad 1986) — pojęcia „język słaby” użył właśnie w celu scharakteryzowania języków społeczeństw Trzeciego Świata w porównaniu z językami zachodnimi. Pojęcie to można przetransponować na języki europejskie. W tym przypadku „językiem słabym” można by określić dyskurs osób niewykształconych lub ogólniej osób nie zaliczanych do elit.

Zatem podobna dystynkcja ujawnia się również w Europie: udział w dyskursie (w tematach dotyczących polityki czy spraw społecznych) ludzi gorzej wykształconych określany jest zazwyczaj „językiem słabym”. Przekładając spostrzeżenia dotyczące języków na warunki polskie, można zauważyć podobne zróżnicowanie. Języki elitarne zawierają zróżnicowaną wiedzę, skupioną w modelach mentalnych ujawniających się podczas wypowiedzi, wiedzę będącą wynikiem nauczania. U innych natomiast wiedza zastępowana jest mimiką, gestami, ekspresją wypowiedzi. W przypadku dyskursu kolonialnego w Polsce język elit zawierał wiedzę reprodukowaną w modelach obecnych w wypowiedziach, wiedzę będącą wynikiem nauczania. Natomiast w wypowiedziach gorzej wykształconych uczestników dyskursu wiedza bywała zastępowana ekspresją i emocjonalnością wypowiedzi (pomijam takie cechy jak gesty czy mimika, ponieważ rzecz dotyczy raczej tekstów pisanych niż mowy).

Jeśli jednak jest „język słaby”, powinien być i „język mocny” jako przeciwieństwo pierwszego. Rzeczywiście, byłoby do przyjęcia w polskim dyskursie kolonialnym lat 1918–1939 przypisanie „języka słabego” szeregowym działaczom

kolonialnym, niższym urzędnikom instytucji państwowych czy trudniej klasyfikowalnym autorom sporadycznych tekstów w prasie popularnej, „mocnego” zaś elicie organizacji społecznych, naukowcom i wyższym urzędnikom państwowym. Decydowałyby tu nie tyle wykształcenie lub jego brak, ile stopień wykształcenia, a przede wszystkim stratyfikacja społeczna. Można uznać, że „język słaby” cechował raczej uczestników popularnej odmiany tego dyskursu, natomiast „język mocny” uczestników odmiany elitarniej. Takiej dywersyfikacji nie da się jednoznacznie dostrzec w każdym przypadku. Różnica w poziomie wykształcenia nie jest tym samym co różnica między wykształceniem a jego brakiem. Wreszcie, dyskurs popularny był równie dobrze słyszalny, jak i elitarny, zwłaszcza że oba wzajemnie na siebie oddziaływały. Ponadto zarówno w jednej, jak i w drugiej odmianie dyskursu uczestniczyły nierzadko te same osoby, na przykład naukowcy wypowiadający się w pismach popularnych albo dziennikarze sporządzający deklaracje i propozycje dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Da się natomiast precyzyjnie odróżnić obecne w polskim dyskursie kolonialnym poglądy oraz argumenty emocjonalne i racjonalne. Z tą jednak uwagą, że argumenty emocjonalne nie zawsze równały się „językowi słabemu”, a racjonalne — „mocnemu”. Nie pokrywały się też precyzyjnie z podziałem na dyskurs popularny i elitarny — występowały w jednym i drugim, aczkolwiek wypowiedzi emocjonalne częstsze były w popularnej odmianie dyskursu kolonialnego, racjonalne zaś w elitarniej. Nie była to oczywiście dominacja bezwzględna — niejednokrotnie przeplatały się one ze sobą. Argumenty emocjonalne wspierały racjonalne, racjonalne zaś miały za zadanie lepiej uzasadniać emocjonalne.

Używanie wybranej struktury języka i systemu lingwistycznego określa przebieg dyskursu. W elitarniej jego odmianie dokonywało się to poprzez odwoływanie się do kodu językowego (języka jako wspólnej własności społecznej) i przy użyciu słów, pojęć i zdań właściwych dla tej części grupy społecznej, która uważała siebie za przewodników społeczeństwa, określających użycie i rozumienie języka jako najbardziej prawidłowe, stanowiące literacką normę. Odchylenia od normy powinny zatem być traktowane jako formy nieprawidłowe. W tak prowadzonym dyskursie ze strony niektórych jego uczestników pojawiała się sugestia, aczkolwiek wyrażana dyskretnie, że przekaz indywidualny osób należących do tej grupy, tym samym arbitralny, jest fragmentem społecznego kodu językowego, zatem pretenduje do miana poglądów obiektywnych. W latach 1926–1930, a więc w okresie, gdy zaczęto tworzyć bardziej spójny i teoretyzujący program polskiej polityki kolonialnej, pisano:

Absolutną swobodę rozwoju wychodźca nasz mieć może tylko na terytorium własnym i stąd konieczność wytężonej akcji, która doprowadzić musi do zdobycia własnych kolonii za oceanami (Rosiński 1929b, s. 21)¹.

¹ Głos ten można uogólnić na wielu uczestników dyskursu będących zwolennikami posiadania kolonii przez Polskę.

W wersji elitarnej dyskursu kolonialnego język był o tyle powściągliwy, że nie posługiwano się bezpośrednimi wezwaniami do zdobywania kolonii jako świadectwa siły Polski. Głoszono, że uzyskanie posiadłości zamorskich służy dobru emigracji, jej „swobodzie rozwoju”, „swobodzie”, którą najpełniej można uzyskać na terytorium własnych kolonii (Fularski 1931). Na przykładzie poniższej wypowiedzi można prześledzić rolę i funkcję języka używanego w elitarnej odmianie dyskursu:

Dotychczasowa działalność kolonialna polska, pojęta jako świadome dążenie do skierowania naszej emigracji na pewne tereny, gwarantujące możliwość należytego rozwoju gospodarczego i kulturalno–narodowego, jest sprawą stosunkowo nową. Początkowo była ona wyrazem poglądów pewnej grupy społecznych działaczy emigracyjnych, którzy wskazywali na konieczność kierowania i organizowania potężnej fali naszej emigracji, celem przekształcenia jej na ruch świadomie twórczy z korzyścią dla kraju. Pogląd ten był przeciwstawieniem panującej wówczas opinii odpowiedzialnych kierowników polskiej polityki emigracyjnej, traktujących emigrację jako zło konieczne, które należy zwalczać. Nie zdawano sobie sprawy, że (...) należy zawczasu przygotować tereny pracy dla licznych rzesz naszego wychodźstwa osadniczego. (...) Nie wykorzystano nigdzie możliwości uzyskania na dogodnych warunkach większych obszarów kolonialnych, na których osadnicy nasi mieliby możliwość gospodarczego, kulturalnego i do pewnego stopnia politycznego rozwoju. To zaniedbanie, wynikające przede wszystkim z fałszywej oceny emigracji, jako zagadnienia opieki społecznej, a nie wyrazu ekspansji żywych sił narodu, spowodowało, że w chwili obecnej nie posiadamy określonych terenów, na które moglibyśmy w sposób planowy kierować naszych emigrantów (Fularski 1930, s. 419)².

Autor używał zamiennie pojęć „działalność kolonialna” i „kolonizacyjna”; w przypadku tej drugiej chodziłoby jedynie o emigrację lub osadnictwo. Sugeruje to, że działalność kolonizacyjną widział on jako wstęp do kolonialnej, czyli pozyskania jakiegoś terenu zamorskiego dla kraju. Potwierdzenie takiego zamierzenia można znaleźć w innych sformułowaniach językowych. W tekście jest mowa o emigracji i osadnictwie, jednakże autor neguje pomoc dla emigrantów jako „zagadnienie opieki społecznej” — w emigracji widzi „ekspansję żywych sił narodu”, co weksluje rozumienie wychodźstwa z emigracji jako środka poprawy materialnej w stronę „działalności kolonialnej”, a nie jedynie kolonizacyjnej. Dodatkowo krytykuje zaniedbania w przekształceniu emigracji w „ruch świadomie twórczy z korzyścią dla kraju”, w ramach którego osadnicy mieliby możliwość rozwoju nie tylko gospodarczego, ale i „kulturalnego”, przez co należy rozumieć co najmniej autonomię językową, a nawet narodową, a wreszcie „pewien stopień politycznego rozwoju” jako „korzyść dla kraju”. Stopień ów nie jest określony, można się jednak domyślać, że pod zwrotem „politycznego

² Kapitan Mieczysław Fularski wypowiadał się nie tylko w publikacjach książkowych, ale i na łamach specjalistycznych periodyków.

rozwoju” z „korzyścią dla kraju” kryje się program nie „kolonizacyjny”, lecz „kolonialny”, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę określenie o konieczności przygotowania „terenu pracy” dla wychodźstwa, a tym bardziej uzyskania „terenów kolonialnych”, a nie „osadniczych”, na które można by kierować emigrantów „w sposób planowy”. Opiekę nad emigracją można sprawować jedynie w przypadku wychodźstwa na terytoria innych państw; „kierowanie emigrantów w sposób planowy” jest w pełni możliwe dopiero wtedy, gdy tereny te są pod nadzorem własnego kraju, a kierowanie nie jest uzależnione od polityki imigracyjnej państw, do których osadnicy się udają. Był to zatem program kolonialny ukryty pod językiem dyskursu elitarnego odwołującego się do wieloznaczności słów i pojęć.

Język dyskursu elitarnego w warstwie słowotwórczej, formułowania zdań i całych fragmentów wypowiedzi budowany był na fundamencie języka naukowego. Raczej nie odwoływał się do argumentów emocjonalnych (choć i to się zdarzało), przeciwnie — operował argumentami uchodzącymi lub mogącymi uchodzić za naukowe, racjonalne, podbudowane wieloma danymi statystycznymi, ekonomicznymi, historycznymi, politycznymi (ale takimi, które miały umocowanie nie w historii czy polityce „kawiarnianej”, ale w oficjalnej). Był to zatem język perswazyjny. Odwoływał się do słów neutralnych emocjonalnie, zdania, akapity i cały tekst starały się trafić nie do sentymentów, ale do racjonalnego myślenia innych uczestników i odbiorców. Zdania i zwroty były spokojne, rzeczowe albo miały sugerować, że takimi właśnie są. Wspomniane wyżej modele mentalne, mimo że odwoływały się do wspólnej wiedzy, budowane były z tych jej części, które bywają właściwe dla tak zwanych warstw elitarnych, i przy użyciu właściwego im języka.

Mieczysław Fularski w artykule *Kryzys emigracyjny a polska polityka kolonialna* pisał:

Przyrost naturalny ludności Polski wynosił w r. 1928 — 15,9. (...) Liczba około 7 milionów Polaków przebywających obecnie poza granicami Macierzy zmusza do poważnego zastanowienia się nad powagą samego problemu. Ogółem za okres 10-lecia Polski Niepodległej wyjechało z kraju (1920–1930) 1 480 425 ludzi, wróciło zaś jako reemigranci 569 695, czyli że około 1 miliona zdrowych i silnych obywateli Polska straciła w ciągu 10 lat ubiegłych, w toku zaś 1929 wyjechało z Polski 55% rocznego przyrostu naturalnego. (...) Wyłącznie opiekuńczy stosunek (...) do emigracji sprawił, że wychodźcy naszemu dawaliśmy na drogę chustkę do ocierania łez i tani sentyment, zamiast topora, którym miał tworzyć pod zwrotnikami nowe polskie warsztaty pracy z myślą o potęgde mocarstwowej Polski. I konkludują otwarcie: Polska potrzebuje kolonii ze względów populacyjnych, gospodarczych — dla zachowania i rozbudowy swojego gospodarstwa narodowego i pewnej bazy surowcowej, dla ożywienia handlu zagranicznego, poprawy bilansu handlowego, rozbudowy floty handlowej i wojennej (Fularski 1931, s. 19–22).

Artykuł zawiera dużo liczb, tabel i zestawień statystycznych dotyczących ruchu emigracyjnego Polaków. Konkluzja, otwarcie mówiąca o potrzebie kolonii

dla Polski, opatrzona została argumentami wyrażonymi nie językiem emocjonalnym, lecz podkreślającym wagę korzyści gospodarczych płynących z władania posiadłościami zamorskimi. Co prawda, autorowi wymknęły się słowa o „potędze mocarstwowej Polski” — zasłonięte jednak zostały słowami o koniecznościach ekonomicznych kraju lub też o rozumieniu „mocarstwowości” jako formy siły gospodarczej kraju.

Rodzaj języka wykorzystywanego w dyskursie elitarnym jest widoczny już w słownictwie. Nie używano pojęcia „podbój” kolonialny czy „zdobywanie” kolonii, raczej polska „akcja” lub „polityka” kolonialna, polskie „dążenia” do kolonii; próbując uzasadnić roszczenia do posiadania kolonii przez Polskę, odwoływano się do zwrotu o „argumentach historyczno–prawnych” (Beniowski, Rogoziński). Pojęć „podbój” czy „zdobywanie” używano w stosunku do istniejących już metropolii kolonialnych, dla scharakteryzowania ich polityki zamorskiej, przedstawienia jej w niekorzystnym świetle (egoizm państwowy, niedopuszczanie innych do udziału w zyskach, zwalczanie konkurencji, bezwzględna eksploatacja kolonii), z kolei terminów „dążenia” czy „akcja” — do określenia zamiarów Polski („szlachetnych”, „usprawiedliwionych”). Wystrzegano się mówienia o „imperializmie”; zaprzeczano takim zamiarom. Zamiast tego padały określenia w rodzaju: „słuszne sprawa”, „sprawiedliwość dziejowa”. Gustaw Simon w artykule *Kilka uwag o dalszych celach polskiej polityki emigracyjnej* pisał jednak otwarcie:

Wszelkie natomiast zabiegi na dalszą metę skoncentrować należy około dążenia do zdobycia własnego, państwu polskiemu na warunkach najdalej idącej suwerenności powierzonego obszaru kolonialnego (Simon 1926, s. 14).

Pod neutralnymi tytułami „polityka emigracyjna” kryły się wezwania do polityki kolonialnej. Język takich artykułów był raczej „delikatny”. Owszem, „własny obszar kolonialny”, ale pozyskany „dążeniami” i „na warunkach najdalej idącej” suwerenności, zatem nie wprost „kolonie”, ale „najdalej idąca suwerenność” — w gruncie rzeczy określenia te oznaczają to samo, tyle że w drugim przypadku opatrzone zostały łagodzącymi zwrotami. Ten sam efekt przynosiło uzasadnianie starania się o kolonie językiem liczb, tabel statystycznych, słownictwem odwołującym się do kwestii demograficznych, a w tym kontekście również emigracyjnych i gospodarczych (surowcowych):

W lutym 1928 r. została po raz pierwszy poruszona publicznie polska koncepcja kolonialna, została rzucona idea posiadania przez Polskę własnych terenów przydatnych pod nieskrępowaną, swobodną ekspansję żywołu polskiego (Załęcki 1930, s. 533).

Zwrot o „żywole polskim” zdawał się sugerować więcej niż „emigracja” — osadnictwo masowe kierowane przez państwo to coś więcej, chociaż użyty język nie orzekał tego bezpośrednio. Drugi czynnik to kwestie gospodarcze:

Polska potrzebuje dla zachowania i rozbudowy swego gospodarstwa narodowego obszernej i pewnej bazy surowcowej (Załęcki 1930a, s. 265).

„Rozbudowa gospodarstwa narodowego” oraz „pewna baza surowcowa” oznaczały własne posiadłości. Wtórował temu Kazimierz Jeziorański:

Polska, jak wiemy, sprowadziła w 1934 r. produktów kolonialnych za 300 milionów zł, a w 1928 r. nawet za przeszło 760 milionów. W takich więc granicach wytwórczość polskich terenów zamorskich miałaby zapewniony zbyt w kraju, zbyt nie dający się zastąpić żadnymi surogatami. Miałaby więc pewność dochodowości (Jeziorański 1935, s. 5).

Generalnie więc zamiary kolonialne uzasadniano rozwojem gospodarki narodowej, a bardziej szczegółowo koniecznością wolnego dostępu do surowców i koniecznością znalezienia ujścia dla emigracji — nie prostym zdobywaniem terytoriów egzotycznych. Uzasadnienia te formułowano za pomocą języka racjonalnego, odwołującego się do realistycznych skojarzeń z życia codziennego (np. porównanie cen surowców na wolnym rynku z cenami giełdowymi).

Argumenty kolonialne wzbogacane były także wzmiankami dotyczącymi prawdziwych lub rzekomych dokonań Maurycego Beniowskiego i Stefana Szolc–Rogozińskiego (niekiedy innych podróżników i badaczy widniejących już tylko w podręcznikach historii na dalszych kartach), tym samym język odwoływał się do wątków historycznych służących jednocześnie jako uzasadnienie prawne — „prawno–historyczne”, jak je określano — postulatów pozyskania kolonii. W przypadkach tych mamy już do czynienia z argumentami sentymentalnymi czy też emocjonalnymi, chociaż w „opakowaniu” racjonalnym (argumenty „prawno–historyczne”):

Gdyby Jan Krzysztof Arciszewski (...) stanął był, nie jako najemnik holenderski, ale na czele polskiej armady, dziś zapewne duża połać Antypodów polską rozbrzmiewałaby mową. Gdyby Beniowski mógł być Madagaskar pod Najjaśniejszej Rzeczypospolitej poddać władanie, nie potrzebowalibyśmy zapewne pertraktować o jakiegoś jego skrawki z Francuzami. Gdyby Strzelecki miał za sobą wolne państwo, to może dziś koło góry Kościuszki w najnowszej części świata jakaś Nowa Wielkopolska, a nie Nowa Walia by się rozciągała. Gdyby skromne środki potrzebne Szolc–Rogozińskiemu na jego ekspedycję było mu dało własne państwo, nie spóźniłby się zapewne o dwa lata i zdążyłby przed Niemcami zatknąć białoczerwony sztandar w Togo i Kamerunie (Głuchowski 1928, s. 29)³.

Lekką ręką badania Rogozińskiego w Kamerunie zostały tu rozciągnięte także na Togo, gdzie badacz nigdy nie był. Zarówno w tym przypadku, jak i w przypadku Strzeleckiego („Nowa Walia” — „Nowa Wielkopolska”) chodziło o zabieg propagandowy, ścisłość historyczno–geograficzna nie była ważna, podobnie jak rozważania „co by było, gdyby”.

³ Tego rodzaju narzekania na niełaskawą historię były częste w dyskursie kolonialnym, typowe zwłaszcza dla publicystów poddających się kolonialnym marzeniom.

Argumenty surowcowe i emigracyjne, które zastąpiły argumenty cywilizacyjne, przeczyły tym drugim. W powszechnym odbiorze (a w tę stronę także był zwrócony dyskurs elitarny) były one jednak chętniej przyjmowane niż te, które odwoływały się do misji cywilizacyjnej. Misja ta była traktowana jako szlachetna, ale niejasna w intencjach, prowokowała pytania o jej sensowność w wykonaniu Polski i koszty w zestawieniu z potrzebami kraju. Język argumentów surowcowych i emigracyjnych odwoływał się do namacalnych interesów kraju, a więc do poglądów powszechnie akceptowanych. Zarazem nie obciążał podejrzeniem o zamiary *stricte* imperialistyczne, które zawsze można było wyinterpretować w przypadku mówienia o misji cywilizacyjnej. Również argumenty historyczne można ocenić jako rzeczowe i racjonalne. Z natury niejako emocjonalne, były wekslowane na prawno–historyczne, jak je określano, przez co zmieniały się przynajmniej intencjonalnie w rzeczowe i rozważne. Tak formułowane również spotykały się z akceptacją.

Podobny charakter, wyważony i racjonalny, naukowy lub skryty za pozorami naukowości, odwołujący się do rzeczowych danych statystycznych i tabel, miał język stosowany przez przeciwników dążeń kolonialnych Rzeczypospolitej. W elitarniej wersji dyskursu kolonialnego niewiele było wypowiedzi kwestionujących dążenia kolonialne:

Przez zabory i brak naszej własnej egzystencji państwowej w XIX wieku po prostu przeskoczyliśmy przez okres, w którym dane zagadnienie mogłoby być stosunkowo łatwo rozstrzygnięte. W historii bardzo trudno jest doganiać. (...) Krzyk i hałas robiony przez Ligę, która dopóki była morską, miała rozsądne cele, a z chwilą kiedy stała się kolonialną, dawała zbyt wielką folgę imaginacji, jest pod tym względem klasyczny (Beck 1987, s. 129–130).

W przypadku niektórych działaczy kolonialnych trafne wydaje się stwierdzenie o „dawaniu folgi imaginacji”. Nie tak zdecydowanie przeciwni idei kolonialnej, ale jednak powściągliwi byli inni uczestnicy dyskursu:

Trudno sobie wyobrazić, ażebyśmy mogli zdobyć znaczniejszy obszar ziemi, wyłącznie na kolonizację polską. Inaczej sprawa przedstawiałaby się, o ile byśmy mieli takie tereny, gdzie bylibyśmy sami gospodarzami. Uzyskanie kolonii na własność nie rozwiązałoby kwestii tej [emigracji i zagranicznego osadnictwa], ponieważ moglibyśmy otrzymać chyba tylko tereny pod samym równikiem położone, które na razie nie mogłyby być traktowane jako obszary nadające się do masowego osadnictwa (Ludkiewicz, Żabko–Potopowicz 1930, s. 207–208)⁴.

Projekty kolonialne oznaczały tu jedynie uzyskanie terenów dla emigracji osiedleńczej — wątpiono w realną możliwość uzyskania kolonii. Pod uwagę brano szanse osadnictwa Polaków w posiadłościach innych krajów. Również użyty przez autorów język był powściągliwy — odwoływał się do słownictwa (oraz bu-

⁴ Wobec trudności ze zdobyciem kolonii rozważano możliwość wejścia do nich „tylnymi drzwiami”, najpierw przez emigrację osadniczą, a następnie, kto wie...

dowy zdań i akapitów) naukowego. Style mówienia (pisania) były uwarunkowane celami mówienia (pisania).

Wreszcie w dyskursie elitarnym mamy do czynienia ze zjawiskiem sepizacji: przemilczaniem pewnych spraw lub takim ich wyrażaniem, które pozwalałoby uznać je za nieważne z własnego punktu widzenia dla przeforsowania swojego poglądu kosztem poglądu kontrpartnera albo przeciwnika lub przynajmniej pomniejszyć odmienny punkt widzenia. Przykładem może być uczynione w jednym z powyższych cytatów zestawienie Arciszewskiego z Szolc–Rogozińskim, mimo innej epoki i innych uwarunkowań sytuacyjnych. Jednakże i w tym przypadku marginalizacja czy nawet unieważnienie innych zdań dokonywane było w sposób wyważony, przy użyciu argumentów racjonalnych, przeważnie demograficznych i ekonomicznych, przez powoływanie się na autorytety naukowe (krajowe albo zagraniczne), co miało podnosić wagę zdań własnych. Dzięki temu sepizacja nie była drastycznie widoczna. Ukrywała się pod perswazyjnymi funkcjami języka.

Na koniec warto zauważyć, że w dyskursie elitarnym więcej miejsca zajmowała sprawa kolonii rozumiana jako zasada czy idea kolonialna niż kwestia stosunku do ludów egzotycznych i ich ocena, aczkolwiek jedno łączyło się z drugim. Zwracanie większej uwagi na ideę czy też zasadę kolonialną niż na mieszkańców kolonii wynikało z preponderancji spraw — najszerzej ujmując — ekonomicznych w dyskursie elitarnym. Dlatego przesłedzenie języka w nim stosowanego odnieść należy przede wszystkim do jego używania wobec problemu kolonii (posiadania lub nie), w mniejszym stopniu do jego użycia przy odmalowywaniu Świata Egzotycznego, jego charakterystyki i stosunku do niego. Należy przy tym pamiętać, że język określający świat egzotyczny i jego mieszkańców w efekcie uzasadniał, aczkolwiek pośrednio (choć w sposób widoczny), stosunek do idei kolonialnej. Innymi słowy, poprzez określanie Świata Egzotycznego i ludów egzotycznych określano poglądy wobec idei kolonialnej.

Język dyskursu elitarnego skierowany był przede wszystkim do elit politycznych, naukowych i kulturalnych. Stąd wynikał jego charakter. Był to język powszechny (naturalny) tych właśnie środowisk — posługiwały się one nim na co dzień, w swojej pracy zawodowej, wystąpieniach publicznych i sytuacjach towarzyskich. Poza tym miał on (tak można odczytać jego intencje) wpływać na dyskurs popularny z dwóch powodów: aby nadać politycznej powagi idei kolonialnej lub równie poważnie jej zaprzeczyć (odwoływanie się do języka elit i autorytetów naukowych podkreślało znaczenie problemów i wyrażanych poglądów, czyniło je istotnymi, ważnymi, utrudniało z nimi polemikę, jako z tymi, które są wypowiedane przez „wiedzących lepiej”), aby mitygować wypowiedzi w dyskursie popularnym (wypowiedzi, które były niezręczne dla aktualnej polityki państwa, zwłaszcza międzynarodowej, i jego instytucji — nie zawsze chodziło w tym przypadku o treść poglądów, raczej o wyrażanie ich językiem jednoznacznym, zbyt jednoznacznym, i często brutalnym, gdy niekiedy lepiej byłoby go stono-

wać, używać omówień i słów niejednoznacznych; polisemia języka była wygodna w takich momentach) — był to interes *stricte* polityczny.

Najogólniej biorąc, język dyskursu elitarnego to język instytucji państwowych, w pewnej mierze instytucji społecznych i części mediów pretendujących do miana elitarnych. Wreszcie, język tych działaczy, którzy byli związani z wymienionymi tu instytucjami, organizacjami i czasopismami, język raczej perswazyjny niż agresywny, uznany za bardziej skuteczny.

W przeciwieństwie do elitarnego, dyskurs popularny nie stronił od odwoływania się do emocji, często przemawiał językiem dosadnym, formułując poglądy jednoznacznie, bezpośrednio, a nawet ostro. Taki język miał zdecydowanie przemawiać do odbiorców i równie zdecydowanie utrwalać ich w dotychczasowych poglądach albo przekonać do nich.

Zamiary kolonialne wypowiedane były wprost: „powinniśmy”, „domagamy się”, „musimy”, „żądamy” itp.; w przypadku adresowania tych zamiarów przez stowarzyszenia społeczne i indywidualnych autorów do instytucji państwa używano sformułowań: „kiedy wreszcie...”, „czekamy aż...”. I tu odwoływano się do argumentów statystycznych, zestawień i tabel, po to jednak, by bardziej dosadnie uzasadnić poglądy:

Musimy uzyskać własną polską kolonię! Wielkim mocarstwem jest tylko takie, które posiada interesy światowe. Posiadanie kolonii będzie dla Polski nie tylko najlepszym rozwiązaniem zagadnienia nadmiaru ludności, lecz pociągnie za sobą nastawienie dużej części naszego życia gospodarczego i energii twórczej na szeroki świat (*Czy Polska...* 1928, s. 7)⁵.

Uzasadnienie argumentem demograficznym było tu drugorzędne. Główne znaczenie miało odwołanie się do mocarstwowej pozycji kraju. Innym językiem posługiwano się przy braniu pod uwagę kwestii ekonomicznych. „Ilustrowany Kurier Codzienny” w 1936 roku epatował swoich czytelników wskaźnikami gospodarczymi przemawiającymi do kieszeni:

Import surowców kolonialnych stale wzrasta. W ostatnich dziesięciu miesiącach przywieźliśmy surowców za 425 milionów złotych, co stanowi 18 proc. więcej niż w roku ubiegłym. Powinniśmy pamiętać (...) że import surowców, głównie kolonialnych, wyraża się cyfrą 50 proc. ogólnej sumy polskiego importu. Wartość surowców włókienniczych wyniosła za pierwsze 10 miesięcy 1936 r. 209 milionów złotych, podczas gdy w tymże okresie 1935 r. — 168 milionów złotych, wzrosła więc w porównaniu z r. ub. o 25 proc. (...) (*Żądamy...* 1936, s. 7).

Odwoływanie się do argumentów, nazwijmy je, naukowych — bo tak były odbierane teksty posługujące się językiem cyfr, liczb i procentów — miało wzmocnić i wytłumaczyć słuszność wypowiedianych żądań. Często był także język emo-

⁵ Ciekawe, że była to wypowiedź organu endecji — przecież Narodowa Demokracja nie była zwoleńską zdobywania kolonii. Najwidoczniejszą ideą kolonialną zaczęła zdobywać zwolenników.

cjonalny, odwołujący się do argumentów sentymentalnych mających uzasadniać, że „konieczność” (jak to formułowano) „zdobycia” kolonii (a nie „pozyskania” czy „uzyskania”, jak wyrażano się w dyskursie elitarnym) leży w interesie państwa, różnorodnie zresztą określanym, na przykład jako rekompensata dla Polski za to, że kiedyś była „przedmurzem” dla Zachodu. Autor artykułu *Droga do kolonii* odwoływał się do sprawiedliwości historycznej:

Nie będzie przesadą twierdzenie, że pod osłoną polskich szabel i kopii powstawały wielkie imperia kolonialne Zachodu. I dlatego dzisiaj z czystym sumieniem żądać możemy, aby nam za nasze trudy i krew udzielono odpowiedniej rekompensaty (J. GRT 1938, s. 5).

Sformułowania „musimy”, „żądamy” (i podobne) pojawiały się w tytułach, które w ten sposób od razu miały zwracać uwagę na determinację w dążeniu do uzyskania kolonii. Podobnie emocjonalnie nacechowany był język przeciwników idei kolonialnej. Określano ją jako „przeciwstawną”, a nawet „wrogą” lub „szkodzącą” interesom państwa, jako „mrzonkę” osłabiającą „siłę gospodarczą” Polski, której podstawą są ludzie — idea kolonialna „skazywała” ich na emigrację do ewentualnych kolonii, gdzie się „zdegenerują” (nie mówiąc już o ich „stracie” czy też „przepadku” dla kraju):

Robotnik niezadowolony, leniwy, podburzany staje się coraz trudniejszy w prowadzeniu. Często skarży się administracji, która zawsze z murzynem przeciwko białemu walczyć skłonna (Tański 1930, s. 13).

Dalej pisano:

Czy mamy popierać osadnictwo zamorskie w ogóle, a w szczególności osadnictwo w krajach tropikalnych, w których otrzymujemy nagą ziemię leśną bez dostępu komunikacyjnego, w nader upośledzonych warunkach eksploatacyjnych i zdrowotnych? (...) Żądaniom tym należy się przeciwstawić z całą stanowczością (tamże)⁶.

Zgodny z językiem idei kolonialnej był język przedstawiający ludy egzotyczne:

Zgubne jest dla rasy białej zapatrzenie się młodych panien na małżeństwa mieszane, pasjonowanie się murzynami, czuprynami jak z drutu, wywiniętymi wargami. Fascynują je egzotycznie przewrócone białka i zwierzęce chrapy murzynów, ich pechate łby (Tański 1932, s. 7)⁷.

Język w takich przypadkach był bardzo emocjonalny — tubylców przedstawiano jako istoty odrażające wyglądem zewnętrznym, podobne bardziej do zwierząt niż do ludzi: „czupryny jak z drutu”, „wywinięte wargi”, „przewróco-

⁶ Po argumenty, nazwijmy je, ekonomiczne sięgali też przeciwnicy idei kolonialnej (np.: Tański 1930, Vox 1929).

⁷ Taki sposób przedstawiania ludów kolorowych, zwłaszcza Czarnych, był częsty w dyskursie popularnym.

ne białka” „zwierzęce chrapy”, „pełchate łby”. Sprzeciw wobec małżeństw mieszanych wypływał ze sprzeciwu wobec nadmiernego wprowadzania ludów Świata Egzotycznego w Świat Białych. Światy te uważano za nieprzenikalne, zatem małżeństwa mieszane z góry uznawane były za skazane na niepowodzenie. Dodatkowym powodem była obawa przed rozmywaniem się białej rasy w kolorowym morzu. Mimo że przywołane wyżej określenia pochodzą z artykułu mającego przemawiać przeciwko małżeństwom mieszanym, to jednak budowały one uogólniony obraz Murzyna jako człowieka prymitywnego, odrażającego fizycznie, dzikiego, a w konsekwencji uzasadniały słuszność dążeń kolonialnych: przecież tacy ludzie nie mogą rządzić się sami — należy nimi rządzić. W tym mniej więcej miejscu przebiegała granica misji cywilizacyjnej. Jej przekraczanie najwyraźniej uznawano za niepożądane. Teksty wyrażające pogląd, że ludy egzotyczne też mogą odczuwać dyskomfort fizyczny wobec Białych, stanowiły ewenement i były przyjmowane ze zdziwieniem; w najlepszym razie jako folklorystyczne albo dziennikarsko–prowokujące spostrzeżenia:

[Murzynka] czy to w mieście, większej wiosce, czy w kniei — pachnie zawsze i silnie, choć nigdy jak kwiat. Ale do zagadnienia woni, właściwej różnym rasom, podchodzić należy ostrożnie. [Ówczesny ambasador chiński w Paryżu miał dwie córki.] Gdy w nagranej atmosferze wieczornej zaczynały tańczyć, po sali biegły fale woni ostrych i gorących. Partner nieraz zmuszony się widział przerwać taniec. Ambasador opuścił wkrótce stolicę Francji (...), a w parę lat później wydał książkę, w której zawarł swoje przeżycia i wrażenia europejskie. (...) Mierziło go tylko jedno: zapach Europejczyków (...). W Monrowii jedna z miejscowych piękności w rozmowie poufnej zwierzyła się, że biali, owszem, bardzo by się jej podobali, gdyby nie ich zapach trupi, który z bliska mdli nieznośnie (Krzywoszewski 1936, s. 3)⁸.

Wiele reportaży z terenów egzotycznych ukazuje pierwotność i dzikość tamtejszych ludów na podstawie bezpośrednich kontaktów, a także sposoby postępowania z tubylcami, które miały zapewnić Białym posłuch:

W miejscu gdzie murzyniak szykował kolację, ukazał się kilkumetrowy strumień ognia (...) rozpalając maszynkę dolewał pod palnik spirytus z butelki. (...) Na twarzy jego malowało się przerażenie połączone z zachwytem. Musiałem mu dać w zęby, żeby przyszedł do siebie (Trębicki 1933, s. 3).

W tym samym tekście scharakteryzowana również została mentalność Murzynów:

Nasz czarny Maio istotę gramofonu rozwiązał bardzo prosto: „W środku siedzieć mały biały człowiek”. (...) Po upalnym dniu kąpiel w oceanie jest prawdziwą rozkoszą (...) po kilku minutach wyrósł nagle jak spod ziemi urzędowy jegomość, który objaśnił mnie, że w kostiumie nie posiadającym koszulki kąpać się nie wol-

⁸ Było to rzadkie w polskim dyskursie kolonialnym relatywizowanie wzajemnych zastrzeżeń rasowych.

no (...) — No, a te dwie czarne ladies, którym fale zapewne splukały figowe listki? — to co innego, to są murzynki (tamże, s. 2–3)⁹.

Takie zwroty jak „murzyniak” (określenie znamionujące wyższość), „to przecież murzynka” czy „dałem mu w zęby” (co prawda, „usprawiedliwiająco”, gdyż w stanie „wyższej konieczności”) świadczyły o przyjęciu konkretnego poglądu na Świat Egzotyczny. Były pochodną generalnego widzenia ludów egzotycznych (np. artykuły: *Ci co...* 1928 — o zjawisku kanibalizmu; *Zwyczaj...* 1928; *Egzamin...* 1928) — bezpośrednio z nimi zetknięcie zdawało się potwierdzać te wrażenia. Odnotowywane dzikość, barbarzyństwo czy niezrozumiała obyczajowość przekonywały, że ludy te nie są zdolne do samorządzenia się, a zatem wymagają opieki ze strony Białych. Uzasadniało to dążenia kolonialne wyrażane przez uczestników dyskursu.

Wspomniane modele medialne w dyskursie elitarnym stosowano z umiarkowaniem — w popularnym były dosyć częste; oczywiście, najczęstszy model medialny odtwarzał przedstawiciela Świata Egzotycznego jako człowieka prymitywnego, dzikusa. Zazwyczaj tak właśnie działo się w reportażach z terenów zamorskich czy w tekstach pretendujących do miana popularno–naukowych. Za pomocą języka charakteryzowano zwyczaje kanibalistyczne jako odrażające, a ich uczestników jako osoby „okrutne” i „mściwe”; rytuały przejścia określano jako „dziką krwiożerczość” i „masowy obłęd seksualny”. Stygmatyzacja ludów egzotycznych pod względem ich wyglądu fizycznego i obyczajowości — jako ludzi o odmiennych właściwościach fizycznych i obyczajach budzących odrazę — obecna była w języku dyskursu popularnego.

Absolutyzacja własnych pojęć i własnej kultury okazywała się nie do omińnięcia (tak dzieje się nierzadko i dzisiaj). Istnienie, działanie i utrzymywanie się jakiejś kultury staje się zrozumiałe tylko przez odniesienie do kontekstu, w jakim ona funkcjonuje. Zazwyczaj jednak określanie jej semantyki w kontekście odbywało się poprzez używanie pojęć z własnej kultury. Modele przedstawiające ludy egzotyczne jako ludzi o wprawdzie odmiennej i trudnej do pojęcia, ale swoistej, właściwej im kulturze były znacznie rzadsze; budowano je językiem zbliżonym do języka dyskursu elitarnego. Zauważano wśród owych ludów aspiracje polityczne i kulturalne, a nawet potępiano demonstrowanie bezwzględnej wyższości Białych nad Czarnymi (jednak dyskretne wyrażanie wyższości Białych nad Czarnymi nie było potępiane). W końcu wszystkie zboża i inne rośliny jadalne, włókna przędzalne, wszystkie używki i lecznicze środki roślinne, wreszcie inne artykuły codziennego użytku zawdzięczamy żmudnej pracy ludów pierwotnych.

Wprawdzie zwrot „ludy pierwotne” został tu użyty w znaczeniu „nasi przodkowie sprzed wieków”, jednak i współczesne ludy egzotyczne określano mianem pierwotnych, traktowano je jako opóźnione w rozwoju cywilizacyjnym pozosta-

⁹ Przytoczone cytaty dobrze charakteryzowały stosunek plantatorów czy wyjeżdżających do tropików do ludności tubylczej.

łości ludów pierwotnych sprzed tysiącleci, zatem jako współcześnie żyjących ich krewnych.

W takich przypadkach „dziwne” czy „dzikie” obyczaje usprawiedliwiano albo warunkami życia, albo tradycjami plemiennymi. Gdy nie można było zająć neutralnego czy pełnego zrozumienia stanowiska, obyczaje te określano językiem łagodnie krytycznym. Z kolei dostrzegane zmiany w społecznościach plemiennych opisywano językiem rzeczowym, nieodwołującym się do stygmatyzujących epitetów, lecz nawiązującym do języka określającego kulturę europejską:

Leżeli na trzciniowych rogózkach: murzyni i kilkoro białych. Biali byli to cztery rodziny emigrantów francuskich, którzy nie zaznali szczęścia w dalekich koloniach (...). Zaś 16 murzynów zdążających do Kairu — to byli arystokratyczni młodzieńcy szczepu Hanamba z rasy Bantu, jadący do Kairu, po cywilizację do największego afrykańskiego miasta. Mieli tam odbyć ośmiomiesięczny kursa w Instytut Negre (...). Jechali rozjaśnić swe głowy światłem wiedzy i przywieźć to światło do puszczy środkowej Afryki. (...) byli skrytymi konspiratorami. Porozumiewali się z dwustu szczepami Konga, Sudanu i Mozambiku, myśląc o bliskim dniu rewolucji. (...) A przecież ci synowie wodzów nie nosili u szyi ani zębów hipopotama, ani szklanych paciorków (...) nosili szare, tanie ubrania europejskie, wycofane przez modę z obiegu (...) w stęchłym podpokładziu kuli zjednoczenie czarnej rasy, a po spokoju ich napiętych mięśni widać było, że przyszłość do nich należy (Kurek 1932, s. 3)¹⁰.

Tego rodzaju poglądy były wyrażane przez pisarzy i podróżników (zwykle rzadziej przez dziennikarzy czy działaczy kolonialnych), przede wszystkim zaś przez duchownych pisujących do prasy z terenów swojej pracy na obszarach egzotycznych. Nie należy się dziwić, że misjonarze na ogół niechętnie patrzyli na okazywanie wyższości rasowej przez Białych — w kategoriach teoretycznych było to sprzeczne z ideą chrześcijaństwa, a z praktycznego punktu widzenia utrudniało księżom pracę misyjną (tłumaczyli tubylcom, że wszyscy są równi przed Bogiem). Ksiądz Konopka skarżył się:

(...) ale osobną mszę musimy mieć dla białych, osobną dla czarnych. Inaczej żaden biały nie przyszedłby na taką mszę, której słuchają murzyni (Konopka 1931, s. 6).

I przy takim jednak spojrzeniu konteksty kultur tubylczych odnoszono do kontekstów kultury własnej:

Inna trudność [w pracy misjonarskiej] to ograniczone pojęcia krajowców. Wierzą w jakąś najwyższą istotę, która nazywają Muringo, ale nie oddają jej czci, ani zewnętrznej, ani wewnętrznej. Ich praktyki religijne dotyczą tylko dusz zmarłych (...). Istnieje pewnego rodzaju kasta niby kapłanów, a właściwie czarowników. Dzielą się oni na 8 klas i nazywają się „doktorami”. Mają rzekomo kontakty z nieboszczykami i za ich pomocą wykrywają złodziei, przepowiadają przyszłość

¹⁰ Takie głosy należały jednak do rzadkości.

itd. Murzyni ufają im bezgranicznie i uważają za ostatnią wyrocznię we wszystkich sprawach (Białek 1980, s. 64).

Dyskurs popularny częściej niż elitarny odnosił się do postrzegania mieszkańców Świata Egzotycznego. Nie znaczy to, że zaniedbywał ekonomiczny czy polityczny problem kolonii. Jego język był jednak łatwiejszy do zrozumienia przy charakteryzowaniu ludów kolonialnych. W sprawach bezpośrednio dotyczących kolonii język dyskursu popularnego zbliżał się częstokroć do języka dyskursu elitarnego (ze względu na wpływ tego drugiego w sferze dotyczącej polityki zagranicznej państwa), tyle że był znacznie bardziej dosadny i bezpośredni, bez omówień mających łagodzić oczekiwania i żądania — nie przekraczał jednak granic zakresłanych przez ośrodki dyspozycyjne państwa. Natomiast w sprawach dotyczących postrzegania ludów egzotycznych jednoznacznie oceniał Świat Egzotyczny. Zdarzało się oczywiście, że i język dyskursu elitarnego zbliżał się do języka dyskursu popularnego, zwłaszcza gdy przedstawiciele elit zamierzali dobitnie wyrazić swoje poglądy, narzucić je odbiorcom albo gdy wymieniali poglądy we własnym gronie, pragnąc przekonać oponentów:

Imperializm militarno-administracyjny jest o tyle zdrowy, o ile jest wstępem do imperializmu innych kategorii i to specjalnie tych kategorii, które pozwalają rozwinąć się ideologicznym i materialnym walorom narodu chcącego opanować teren kulturalnie bezspornie bierny (Załęcki 1928, s. 575)¹¹.

Tak rozumiany imperializm narodowy dotyczył imperializmu kulturowego — miał on być wprowadzany na terenach kulturalnie biernych, czyli na terenach egzotycznych, a zatem w koloniach.

Niekiedy jednak język dyskursu popularnego bywał kłopotliwy dla instytucji państwowych. Wyrывał się z ram nakreślonych przez elity polityczne, które chciały ów język „trzymać na uwięzi”. Widać tu chęć kontrolowania i selekcjonowania języka ze strony ośrodków władzy państwowej. Panowanie to nie było jednak pełne, a w rezultacie nie było w pełni efektywne, czego dowodziły akcje Ligi Morskiej i Kolonialnej w Brazylii i Liberii — Ministerstwo Spraw Zagranicznych musiało łagodzić ich skutki, aby uniknąć nieporozumień międzynarodowych.

Można uznać (zresztą zasadnie), że zróżnicowanie językowo–tematyczne nie było przypadkiem (przewaga języka dyskursu elitarnego w wypowiedaniu się o koloniach i przewaga języka dyskursu popularnego w wypowiedaniu się o ludach egzotycznych). Prezentowanie ludów egzotycznych w ten sposób i takim językiem wpływało na ustosunkowanie się do nich odbiorców dyskursu popularnego, czyli szerokich rzesz społeczeństwa — w efekcie kształtowało powszechne poglądy na ich temat, a tym samym poglądy na problemy kolonialne.

¹¹ W kontekście idei kolonialnej niekiedy usprawiedliwiano imperializm, ale tylko skierowany na obszary tropikalne, nierozwinięte gospodarczo.

Najogólniej język dyskursu popularnego wypływał z języka potocznego, właściwego dla wiedzy potocznej, na niej był budowany i do środowisk nią się posługujących kierowany — do środowisk nie mających szerszej (ani praktycznej, ani teoretycznej) wiedzy o Świecie Egzotycznym. Wiele instytucji społecznych, media popularne, wielu działaczy i spora grupa pisarzy — wszyscy oni używali języka charakterystycznego dla dyskursu popularnego. Tłumaczy się to chęcią dotarcia do wzmiankowanych środowisk i zamiarem efektywnego oddziaływania na nie.

Zasady używania języka były odmienne w dyskursie elitarnym i popularnym. W przeciwieństwie do elitarnego, dyskurs popularny nie stronił od odwoływania się do emocji, często przemawiał językiem dosadnym, formułując wypowiedzi jednoznacznie, a nawet ostro. Taki język miał zdecydowanie przemawiać do odbiorców i równie zdecydowanie przekonać ich. To co w kategoriach językowych dla wersji elitarniej i popularnej było wspólne, to hasłowość wypowiedzi i ich stereotypizacja (zwłaszcza w kwestii oceny konieczności posiadania kolonii i w kwestii stosunku do ludów tubylczych), chociaż w różnym natężeniu — częściej i wyraźniej zjawiska te występowały w odmianie popularnej dyskursu.

Język dyskursu kolonialnego (w obu jego wersjach) odwoływał się do kategorii moralnych. W wersji elitarniej oprócz kwestii gospodarczych akcentował prawo Polski do kolonii (posiadłości zamorskie należą się jej). Nawet zagadnienia surowcowe i demograficzne były rozpatrywane w kategoriach moralnych, tak zwany wolny dostęp do surowców można odczytać jako postulat sprawiedliwego dostępu dla każdego (tym bardziej kwestię wolności emigracji i prawa do dowolnego osiedlania się wychodźców — w kontekście praw człowieka, a zatem również w kategoriach moralnych). W takim rozumieniu mieściły się także prawa historyczne — rekompensata za „utracony” XIX wiek, czyli naprawa krzywd moralnych doznanych przez Polskę w tamtym stuleciu, a spowodowanych nieistnieniem kraju, a właściwie jego państwowości.

Także kwestia „misji cywilizacyjnej” (czy „brzemienia białego człowieka”) rozpoznawana była jako powinność moralna wobec ludów niecywilizowanych. Oznaczała moralną konieczność niesienia pomocy, czyli cywilizowania mieszkańców terytoriów zamorskich. Powinność ta wynikała z tego, że Polacy poczuli się do wspólnoty ze Światem Białych, na którym spoczywał obowiązek dźwignia kulturalnego Świata Czarnych.

Obowiązek ten wynikał nie tylko ze stereotypizacji relacji Biali–Czarni, ale również z tego, jak rozpoznawano ówczesnie tradycyjną kulturę Czarnych. Wpływał zatem na używanie w obu odmianach dyskursu języka wartościującego, określającego stosunek uczestników dyskursu do samej idei kolonialnej, a następnie do programu kolonialnego i do mieszkańców posiadłości zamorskich. Znaczenie słów i pojęć wartościujących nadawało rozważaniom teoretycznym, jak i praktycznym przedsięwzięciom i akcjom, wytłumaczenie, okre-

ślało najogólniej sens idei kolonialnej, a następnie dążeń do kolonii, uzasadniało potrzebę ich posiadania. Wreszcie wyrażało sposoby najbardziej efektywnego (najbardziej korzystnego ze względów gospodarczych i w kontekście pełnienia misji cywilizacyjnej) odnoszenia się do tubylców.

Symbole

W kolonialnym dyskursie elitarnym symbole odnoszone bywały do pozyskiwania posiadłości zamorskich. W tym przypadku pojęcie „symbol” przeplata się z pojęciem „metafora”, o czym niżej. Sprawa kolonialna była odejściem od rutyny życia codziennego, stanowiła coś odświętnego w życiu społeczeństwa, stając się *eo ipso* symbolem. V Walny Zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Kolonialnej w 1933 roku podjął uchwałę w sprawie żądania przyznania Polsce odpowiednich terytoriów kolonialnych. 21 lutego tego roku senat podjął uchwałę: „Senat stwierdza konieczną potrzebę kolonii dla Polski”. Demonstracje z okazji Dni Morza w 1933 roku nawiązywały do obu tych uchwał. Jedno ze zdjęć ilustrujących te obchody przedstawiało przemarsz Ligi Morskiej i Kolonialnej w Poznaniu — uczestnicy pochodu szli pod poprzedzającym ich transparentem „Siła Polski leży w koloniach”. Słowo „kolonia” — pojmowane jako symbol — oznaczało Polskę jako kraj silny, znaczący w świecie, o rosnącej powadze międzynarodowej. Zarazem symbol ów miał przekonywać o dążeniu kraju do lepszego życia, także w sensie materialnym, zatem „kolonie” stawały się symbolem nadziei na prestiż i bogactwo Polski. Czy było to zmitologizowane spojrzenie na kolonie jako symbol przyszłości kraju, to już inna sprawa. Tak w każdym razie było odczuwane, jako ważny symbol w życiu narodu.

Symboliczne znaczenie miało też zdjęcie z broszury Ligi Morskiej i Kolonialnej przedstawiające defiladę tak zwanych oddziałów kolonialnych w Gdyni, bodaj w 1938 roku. Nie było to „prawdziwe” wojsko, lecz oddziały przyspobienia wojskowego, ale maszerujące w tak zwanych kolonialnych białych mundurach i w tropikalnych kaskach, z bronią. Zdawało się ono mówić, że jesteśmy gotowi siłą walczyć o kolonie, że oto mamy kadrę ludzi przysposobionych do ewentualnej batalii o posiadłości *manu militari*.

Funkcjonował też symbol „plantatora” — człowieka, który własnym postępowaniem toruje drogę ku koloniom, na samym sobie testując klimatyczne i zdrowotne warunki życia w tropikach, wśród tak nieprzeniknionych w sposobie myślenia i reakcjach ich mieszkańców — tak „tubylców”, jak i administracji kolonialnej (zurzędniczej, obawiającej się konkurencji ze strony cudzoziemców). Plantator stawał się symbolem pioniera, zdobywcy nowych lądów.

Nie bez przyczyny Janusza Makarczyka nazywano „polskim Lawrence’em”. Thomas Edward Lawrence w czasie I wojny światowej był agentem brytyjskim działającym wśród Arabów walczących ze zwierzchnictwem tureckim — w po-

wszelkiej opinii stał się kimś w rodzaju rycerza–awanturnika stojącego na czele uciskanych ludów i prowadzącego je do zwycięstwa (na ile do zrodzenia się tej legendy przyczyniły się wspomnienia Lawrence’a, doskonale literacko, napisane poetyckim, romantycznym językiem?). Janusz Makarczyk w 1934 roku z ramienia Ligi Morskiej i Kolonialnej (z upoważnienia jej prezesa, gen. Orlicz–Dreszera) podpisał tak zwany „Układ kolonizacyjny” z Liberią, na obszarze której sam później został plantatorem. Lawrence podpisywał układy z plemionami lub politycznymi ugrupowaniami arabskimi, tu układ podpisał Makarczyk z rządem Liberii — człowiek prywatny z rządem niezależnego państwa! Przemilczano (sepiżacja!), że pierwszy z nich działał z upoważnienia władz brytyjskich, drugi z upoważnienia organizacji, formalnie społecznej (co jednak samo w sobie było ewenementem). W ten sposób Makarczyk urósł do symbolu rycerza–zdobywcy, porównywanego z legendą Lawrence’a!

Symbolami stali się również Maurycy Beniowski i Stefan Szolc–Rogoziński, uznani za prekursorów polskiej idei kolonialnej, a tym samym przekazujący następcom swoisty „testament kolonialny”. Służyli jako uzasadnienie „prawno–historyczne” dla argumentów orzekających o konieczności uzyskania kolonii. W wielu książkach, publikacjach, artykułach i wystąpieniach jawili się jako symbole polskiej idei kolonialnej, w rocznice ich urodzin, rozmaitych dokonaniań i śmierci urządzano uroczyste akademie, odczyty, spotkania — wszystko dla przypomnienia ich osiągnięć. Służyli wreszcie jako symbole w czasie rozmaitych imprez (zwłaszcza przy okazji imprez organizowanych przez Ligę Morską i Kolonialną przywoływano ich jako symbole polskiej ekspansji zamorskiej). Wydobywano też mniej lub bardziej głośnie postaci z XVI–XVII wieku (Erazm Kretkowski, Krzysztof Pawłowski, Krzysztof Arciszewski i in.), popularyzując ich podróże i przygody w powieściach, poematach i artykułach, na dowód, że już w tamtych stuleciach Polacy interesowali się zamorskimi terytoriami. Wspomniany wcześniej Kazimierz Głuchowski przytaczał mnóstwo nazwisk bohaterów z minionych wieków, upatrując w nich pionierów idei kolonialnej:

Czyż bowiem zapomnieć możemy o Janie z Kolna, Krzysztofie Arciszewskim, Maurycym Beniowskim, Strzeleckim czy Trepce i tylu innych? (...) A imion ich przecież legion cały! Od mroźnych tajg Sybiru po skwarne pustyń afrykańskich bezlesia, od bezbrzeży lodowatych mórz biegunowych rejonów po peruwiańskich czy chilijskich szybów skały — wszędzie złotymi głoskami ryte są ich imiona (Głuchowski 1928, s. 32).

W ten sposób osoby te stały się symbolami wczesnych zainteresowań kolonialnych, choć nie tak nośnymi jak Beniowski czy Szolc–Rogoziński; były mniej znane, a ich osiągnięcia, z wyjątkiem Krzysztofa Arciszewskiego, którego życie i przygody w tropikach zostały opisane w wielu powieściach, nie były tak doniosłe — ograniczały się do dalekich podróży. Jednakże jako symbole stawali się użyteczni w dyskursie kolonialnym. Można uznać, że sama Liga Morska i Kolo-

niałna zaczęła stawać się symbolem polskiej ekspansji zamorskiej (pojęcie „Polski na morzu” łączyło się z pojęciem kolonii).

W dyskursie elitarnym starano się też odczytywać symbole ludów egzotycznych, zawarte w ich obrzędach, rytuałach i ceremoniach. Musiano je rozpoznać, jeśli pretendowano do objęcia kolonii, po to, by efektywnie zarządzać tymi obszarami i nie doprowadzać — w razie ich pozyskania — do konfliktów z ludnością miejscową. O jej kulturze i wyrażających ją symbolach mówiono zatem bez wrogości. Podkreślano odrębność symboliki Świata Egzotycznego od symboliki Świata Białych, zazwyczaj w kontekście misji białego człowieka. Pojęcia takie jak „brzemie białego człowieka” czy „misja cywilizacyjna” funkcjonowały jako symbole powinności narodów cywilizowanych wobec narodów zapóźnionych; z drugiej strony rolę symbolów odgrywały takie zwroty jak „Czarny Łąd” (określenie Afryki — „czarny”, a więc pogrążony w ciemności, którą należy rozjaśnić misją cywilizacyjną), „tubylec” czy „dziki” (określenie nie konkretnego człowieka z ludu X, lecz generalnie mieszkańca „Czarnego Łądu”, symbolizującego człowieka zapóźnionego w rozwoju, wobec którego obowiązuje postępowanie zgodne z „misją cywilizacyjną”). Samo określenie „Czarny”, a nie na przykład „Murzyn”, też można odczytać jako symbol. „Czarny”, a więc nie tylko człowiek o ciemnej skórze, ale także pogrążony w ciemnościach zabobonów, w braku kultury w europejskim rozumieniu, nieoświecony, wymagający „wykąpania” w cywilizacji. Zbawienne rezultaty takiej kąpieli były przytaczane w prasie polskiej, w ślad za nimi padały wezwania, że i my, Polacy, powinniśmy być „kąpielowymi”:

W końcu lat 30. dostrzegalna staje się konwencjonalizacja symboli. Domaganie się kolonii dla Polski stało się ceremoniałem odprawianym bez wiary w jego urzeczywistnienie. Wystąpienia w tej sprawie przeistaczały się w odświętną obrzędowość państwową, w której na drugi plan odchodził pierwotny sens. W latach 1938–1939, gdy narastało zagrożenie agresją niemiecką, symbol kolonii zaczął służyć jako element podkreślający zwartość narodu, jego siły żywotne i gotowość do odparcia agresji. Symbol zmieniał swój sens — sprawę kolonii utożsamiano z obecnością Polski na morzu, tę zaś z obroną Pomorza. Symbol ofensywny przekształcał się w defensywny.

Symbole ogrywały większą rolę w dyskursie popularnym, niż w elitarnym. Symbol w potocznym odbiorze nie odwołuje się do zasad kognitywnych, raczej do emocji. Tak też zresztą można scharakteryzować dyskurs popularny. Nie są w nim bezwzględnie konieczne argumenty zrationalizowane, ale przede wszystkim emocjonalne, tłumaczące w widzialnym lub prostym werbalnie skrócie wszystko to, co mają wyjaśniać. W tym ujęciu symbol nie ma charakteru abstraktu, przemawia dosłownością.

Również takie pojęcia jak „kolonie” czy „plantator” funkcjonowały tu jako symbole, z tą jednak różnicą, że „kolonie” jako symbol nie jawiły się jako pojęcia abstrakcyjne (gdzieś daleko położone ziemie), ale jako konkretne terytoria umiejscowione geograficznie, możliwe do osiągnięcia (można było udać się tam

w roli osadników lub plantatorów). Druga różnica polegała na tym, że „kolonie” przedstawiane jako symbol otoczone były rozbudowanym rytuałem, ceremoniami i obrzędowością — obchody, imprezy, uroczystości, Dni Kolonialne. W tym sensie kolonie jawiły się jako marzenie narodu, i co ważne — poszczególnych osób, zarazem jako warunek siły i prestiżu międzynarodowego kraju; stanowiły symbol jego potęgi (jeśli nie obecnej, to przyszłej), symbol uznania jego mocarstwowości przez inne państwa.

Przechodząc do wspomnianych wyżej ceremonii, organizowane były Dni Morza i Dni Kolonialne, które gromadziły rzesze ludzi, urządzano pochody i wiece pod sztandarami narodowymi i z hasłami propagandowymi mówiącymi o znaczeniu kolonii dla kraju, wzywającymi do ich zdobywania. Hasła i treść transparentów żądały jak najszybszego zajęcia się pozyskaniem posiadłości zamorskich, zatem przechodziły od symboliki kolonialnej do działań praktycznych.

Inną formą były wystawy kolonialne, na które składały się ekspozyty pozyskiwane od podróżników, polskich plantatorów osiadłych w tropikach, misjonarzy. Ekspozyty te symbolizowały terytoria zamorskie, przekształcając kolonie—symbole abstrakcyjne w kolonie—symbole rzeczowe. Wreszcie defilady tak zwanych polskich oddziałów kolonialnych w mundurach kolonialnych i kaskach tropikalnych — odbyły się dwie, w latach 1938 i 1939 w Gdyni z okazji Dni Kolonialnych i Dni Morza. Oddziały te nie były regularnymi jednostkami Wojska Polskiego — służbę w nich pełniła młodzież w ramach przysposobienia wojskowego. Był to najbardziej przemawiający do wyobraźni symbol kolonii.

Pod koniec lat 30. ceremonie te skonwencjonalizowały się i zrytualizowały — stały się ceremoniałami (symbol kolonii nieustannie pozostawał symbolem, bez przekładania się na praktykę i realia odsuwające się ciągle w czasie). Nadal jednak cieszyły się sporą popularnością. Symbol wciąż istniał — istnieje pogląd, iż symbol nigdy nie ginie, co najwyżej ulega przekształceniu.

Funkcjonował również symbol plantatora — jeszcze wyraźniej niż w dyskursie elitarnym — oznaczający bohatera, nieugiętego pioniera, zdobywcę nowych ziem, który w trudzie, ciężkiej pracy i znoju, w całkowicie obcym, nawet niebezpiecznym otoczeniu (leniwi krajowcy, których trzeba trzymać w posłuchu, zabójczy dla Białych klimat, dżungla, dzikie zwierzęta, surowe warunki życia) toruje drogę ku koloniom. Jako ciekawostkę można dodać, że nieodłącznym atrybutem plantatora (ale i podróżnika po egzotycznych krajach) był kask kolonialny. Kask ten — niejako obowiązujące nakrycie głowy Białego w tropikach — stawał się symbolem. Wspomniany wyżej Janusz Makarczyk — „polski Lawrence” — przedstawiany był na zdjęciach, oczywiście, w kasku kolonialnym i bluzie o wojskowym kroju. Zachowało się także zdjęcie Mieczysława Lepeckiego z jego pobytu na Madagaskarze w 1937 roku — w garniturze, z muszką i również w kasku kolonialnym. Warto chyba dodać, że tak skomponowany strój mógł budzić zdziwienie — tłumaczyło się to zapewne tym, że Biały musiał dbać o swój godny wygląd: garnitur z muszką (!) miał podkreślać (niezależnie od intencji noszą-

cego go) wyższość cywilizacyjną Białych, był symbolem tej wyższości. Co prawda, dozwolona był również bluza, ale o wojskowym kroju, który mógł symbolizować przewagę i siłę Białych.

Symbolami stali się również Maurycy Beniowski i Stefan Szolc–Rogoziński, postacie wyjęte z przeszłości, a także Janusz Makarczyk, osobistość współczesna — dwaj pierwsi, podobnie jak w dyskursie elitarnym, jako prekursorzy idei kolonialnej, trzeci jako współczesny wzór do naśladowania. Symbolizowali też zdobywców:

Polacy, będąc pod uciskiem zaborców i nie mając własnej państwowości, nie mogli zawiesić flagi narodowej. Uczestnicy wyprawy [Rogozińskiego] na maszcie umieścili godło Warszawy — syrenę i pod tym znakiem udali się do Kamerunu. (...) Na całym olbrzymim obszarze mórz i oceanów świata, był to wówczas jedyny okręt o polskiej chorągwi na maszcie i w świecie naukowym Europy wyprawa miała opinię i nazwę „expedition polonaise Rogoziński” (...). Jednocześnie wyprawa zakupiła pewne terytoria tak, że powstał zawiązek jakby małej niezależnej kolonii afrykańskiej z „polskimi królami” na czele. (...) Tu jednak wtrącili się Niemcy (...). Podróżnicy polscy musieli patrzeć na ruinę swych marzeń o polskim Kamerunie (Mróz 1932, s. 3)¹².

Rogoziński i uczestnicy jego wyprawy posługiwali się symbolami polskości (w zastępstwie Syreną, godłem Warszawy). Po kilkudziesięciu latach sami stali się symbolami polskości i dążeń kolonialnych.

Powieść dla młodzieży tym bardziej operowała symbolami jako elementami łatwo zapamiętywalnymi, odwołującymi się to tego rodzaju czytelnika i oddającymi w przyswajalnym skrócie idee wyrażane przez symbole:

Śmiały Rogoziński, jeden z tych Polaków, co morzu zaprzysięgli dusze, pragnął na kameruńskim wybrzeżu założyć wolną, niezależną kolonię polską. Na tym skrawku ziemi miał się schronić przed uciskiem i wolnym powietrzem oddychać każdy Polak, którego by nie zatrużyła piekielna praca dla kolonii, którą kiedyś, kwitnącą i wspaniałą odda wolnej Polsce (Makuszyński 1936, s. 91).

Jednego z bohaterów powieści, niejakiego kapitana Barena, angielskiego marynarza, który wciąż był „polskim chłopcem tęskniącym za przygodą”, Kornel Makuszyński uczynił nieznanym z nazwiska członkiem załogi „Łucji–Małgorzaty”, statku stanowiącego historyczny symbol polskich dążeń kolonialnych.

W dyskursie popularnym pojęcie symbolu odnoszono raczej do ludów egzotycznych niż do kolonii rozumianych jako podległe Polsce politycznie terytoria zamorskie. Zestawienie symboliki Świata Egzotycznego i Świata Białych, jakie w sposób racjonalny ujawniało się w dyskursie elitarnym, w popularnym było podporządkowane deprecjacji Świata Egzotycznego, jego emocjonalnemu — by

¹² Rocznicą wyprawy Stefana Szolc–Rogozińskiego do Kamerunu stała się okazją do rozmaitych akademii, festynów, imprez, a także pisanie artykułów podkreślających osiągnięcia badacza, w tym osiągnięcia określane jako kolonialne.

nie rzec wzgardliwemu — postrzeganiu. Symbolikę tę przedstawiano jako ciekawostki folklorystyczne świadczące o niższości kultury Świata Egzotycznego wobec kultury Świata Białych. Posługiwano się tu *Złotą Gałęzią* Jamesa George Frazera, interpretując zawarte w niej opisy jako ciekawostki świadczące o odmienności symboliki ludów afrykańskich, a zarazem o ich swoiście rozumianych prawie i sprawiedliwości (podobnie jak w artykule: Giżycki 1936). Pojawiały się też teksty informujące o zbawiennym wpływie Białych — jak to pewna Angielka, wylądowawszy po katastrofie statku na wyspie Badu (Polinezja), stała się władczynią (królową) mieszkającego tam plemienia, wyrugowała ludożerstwo oraz zapewniła pomyślność tej społeczności. Kanibalizm stanowił jeden z symboli ludów egzotycznych w oczach Białych (NAT 1931).

Z rozważań tych wynikała konieczność deprecjacji symboliki plemiennej, jej eliminacji oraz wprowadzenia ludów egzotycznych w symbolikę Świata Białych. Tubylczą symbolikę przedstawiono jako zabobony wynikłe z ciemnoty, braku skodyfikowanych zwyczajów i prawa, nieznajomości reguł funkcjonowania urządzeń technicznych i właściwej organizacji pracy, ogółem — z braku edukacji.

Symbole zakotwiczone są we własnej kulturze, stanowią skrót myślowy, rozpoznawany przez uczestników tej kultury, trudny do przetłumaczenia na język kultury innej. Translacja na inną kulturę bardzo je upraszcza, a nawet niweluje do niezrozumiałego faktu. Uproszczenia i redukcje symboliki plemiennej przez sprowadzanie jej do racjonalności to proces wynikający z chęci pojęcia symboliki tubylczej.

Symbolika przeciwników zdobywania kolonii wyrażała się w przedstawianiu dążeń terytoriów zamorskich do samostanowienia — akcje kolonialne uznawano za dziejowo spóźnione, sprzeczne ze sprawiedliwością i prawem narodów do samostanowienia. Niekiedy takie stanowisko wpływało z wątpliwości, czy posiadanie kolonii będzie gospodarczo korzystne dla Polski. Ta argumentacja nie odwoływała się jednak do symboli. Symbolika przeciwników zdobywania kolonii na ogół przedstawiana była w formie ilustracji prasowych towarzyszących artykułom: Murzyn zrywający kajdany, prostujący zgięty grzbiet, w wykwintnym stroju europejskim (frak i cylinder). Była dosyć uboga — schematyczna i konwencjonalna.

Negowano zasługi niektórych postaci historycznych będących symbolami polskich zdobywców kolonialnych, zwłaszcza Beniowskiego. Utrzymywano, że jego działalność na Madagaskarze nie miała na celu uzyskania wyspy dla Polski, lecz wpływała z pobudek osobistych — Beniowski chciał być autonomicznym władcą. Zarzucano mu, że był mitomanem:

Beniowski był łgarzem i ponosiła go fantazja (Jachimecki 1939, s. 9–10).

Autor cytowanego artykułu, recenzent teatralny pisma, nieprzychylnie ocenił *Pieśń o Beniowskim*, dramat w trzech aktach Władysława Smólskiego, które-

go premiera odbyła się 11 lutego 1939 roku w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, a przede wszystkim bohatera owego dramatu.

Symbole odzwierciedlają *episteme* społeczeństwa polskiego lat 1918–1939, a także jego kody kulturowe z tego okresu. Są też widowym znakiem interakcji dyskursu, nawiązującej do kontekstu politycznego, społecznego, ekonomicznego, kulturowego i sytuacyjnego.

Metafory

Rozważania nad wypowiedzią w dyskursie w znacznym stopniu koncentrują się na metaforach zawierających opisy zdarzeń komunikacyjnych i style mówienia (wypowiedzi pisanych) w ich kontekstach kulturowych. Metafory wiążą się też z modelami mentalnymi (język dyskursu) i odsyłają do wydarzeń rzeczywistych lub wyobrażonych, by powiedzieć coś o czymś w sposób przenośny, odnoszący się wszakże do rzeczywistości lub wyobrażeń, też jednak traktowanych jako „wymodelowana” albo domniemana rzeczywistość. Metafora wówczas sama staje się modelem, zwłaszcza jeśli pamiętać, że w języku potocznym powszechnie posługujemy się metaforami, często nie zdając sobie z tego sprawy.

Mimo że język jest związany z metaforą, to jednak w powszechnym odbiorze metafora jest przenośnią nie zawsze utożsamianą z codziennym, powszechnym językiem. Metafora

to sposób, w jaki dyskurs i jego znaczenia odsyłają do przedmiotów odniesienia, czyli do rzeczywistych lub wyobrażonych wydarzeń (Dijk 2001, s. 19).

Metafory w dyskursie elitarnym odnosiły się do takich zwrotów jak na przykład „Czarny Ląd” na oznaczenie Afryki na południe od Sahary — obszarem zainteresowań kolonialnych nie były kraje arabskie Afryki Północnej, ale jej subsaharyjska część, zamieszкана przez czarnoskórych, a więc Afryka „Czarna” (wprawdzie wcześniej „Czarny Ląd” został wymieniony jako symbol Afryki, ale przecież metafora zawiera w sobie symbol).

„Wolność osadnictwa” lub „wolne tereny dla emigracji” to metafory o takich samych intencjach i odbiorze jak poprzednie, tyle że nieodnoszące się do sensów demograficznych. Przekonywały, że „wolny dostęp” dopiero wtedy będzie prawdziwie wolnym, kiedy będzie wolny również dla Polski, a zatem gdy kraj ten będzie miał własne posiadłości zamorskie.

„Wolność” to pojęcie nacechowane pozytywnie. „Surowce”, „osadnictwo”, „emigracja”, same w sobie neutralne znaczeniowo, w połączeniu z „wolnością” oznaczały gospodarczą i demograficzną konieczność zainteresowania się koloniami. W tych przypadkach metafory odnosiły się również do czasu i pracy, pojęć łączących się wzajemnie w kulturze europejskiej, zarazem usuwały z pola widzenia pojęcia czasu i pracy typowe dla innych kultur, w tym przypadku afry-

kańskich: praca bezproduktywna, praca jako zabawa czy w połączeniu z zabawą, produktywna beczynność (jak odczytywano rozumienie tych pojęć przez tubylców oraz ich postępowanie w kontekście tych pojęć, jak przedstawiano to rozumienie ze zdziwieniem i naganą). Trzeba choć trochę poznać tubylców, by zrozumieć ich sposób myślenia i metafory. Brak dostatecznej wiedzy zastąpiony intuicją może być efektywny, pod warunkiem że ma się odpowiednią intuicję.

Zwrot „potęga Polski leży na morzu” (częsty w propagandzie Ligi Morskiej i Kolonialnej) można uznać za metaforę drogi do kolonii, zwłaszcza w kontekście przytoczonego wcześniej symbolicznego zwrotu „siła Polski leży w koloniach”. „Morze” posłużyło tu jako symbol szerokiej drogi, rozmachu przestrzennego i siły gospodarczej kraju. Całe zdanie stanowiło metaforę, w której pod symbolem „morza” jako źródła potęgi państwa ujawniało się jego (metaforyczne) znaczenie jako szerokiej i swobodnej drogi prowadzącej ostatecznie do pozyskania kolonii.

Względne ubóstwo metafor w dyskursie elitarnym (naturalnie zależne od tego, jak rozumieć ubóstwo) można wytłumaczyć tym, że zazwyczaj odwoływał się on (o czym była już mowa) do argumentów racjonalnych, rzeczowych, naukowych albo paranaukowych, gdzie przerośnięte były raczej zbędne, a właściwie rzadko stosowane.

W przypadku dyskursu popularnego dostrzec można szerokie pojmowanie metafor jako sposobów wyrażania myśli i przekonań w języku codziennym — na co dzień myślimy, mówimy i piszemy metaforami. Zwolennicy zwyczajności, codzienności metafory w naszym życiu uważają, że bez odniesienia się do doświadczenia nie można zrozumieć metafory ani nawet właściwie jej opisać, a przecież doświadczenia w znacznej mierze są budowane przez konteksty.

Metafora ma zatem moc wyjaśniającą, moc przemawiającą do większości ludzi. To, co bywa trudno przyjmowalne ze względu na język lub stosowaną argumentację (zbyt skomplikowane, za bardzo naukowe), staje się łatwiej przyswajalne dzięki odwołaniu się do emocji, symbolu, przerośni i metafory. Nie trzeba uruchamiać mechanizmu wiedzy przy pomocy narzędzi logicznych, wystarczy „czuć”. Do głosu dochodzi przekonanie, że „tak właśnie jest”, „tak się rzeczy mają”. W dyskursie popularnym używano metafor podobnych do tych, jakie funkcjonowały w dyskursie elitarnym. Wykorzystywano jednak i inne, znacznie bardziej emocjonalne, czy też takie, które przemawiały bardziej oczywistymi skojarzeniami, łatwiej docierającymi do większości.

Przykładem metafory może być zwrot „Czarne lądy a Polska”. Lądy „czarne” były przeciwstawieniem „białych”. Polska leżała na „białym” lądzie, zatem, „czarne”, były gorsze, prymitywne. Powinny znaleźć się pod opieką Polski — wówczas zostaną „rozjaśnione”, „oswojone”, co przyniesie korzyść zarówno osadnikom, jak i krajowi. Zestawienie „Czarnych lądów” z Polską sugerowało zainteresowanie się nimi ze strony kraju.

Kolejnym rozwinięciem było stwierdzenie „siła Polski leży w koloniach” (częste w publikacjach i na transparentach podczas rozmaitych manifestacji prokolonialnych) — znów przykład przenikania się symbolu i metafory. W przypadku rozumienia tego zwrotu jako metafory „siła” ma konotację pozytywną (w przeciwieństwie do „słabości”). Połączenie słowa „siła” ze słowem „kolonie” przemawiało do odbiorców — Polaków pragnących siły swojego kraju — zachęcając ich do dążenia do uzyskania kolonii. Dzięki nim wzmogą się potęga, pomysłność i bogactwo kraju. Będzie to — kolejna metafora — „zaspokojenie życiowych potrzeb Polski”:

„Nie z nadmiaru ambicji politycznych, ale z tego „co nas boli” wyrosły nasze potrzeby i żądania kolonialne, które są niczym innym jak koniecznością zapewnienia wszystkim Polakom ludzkich warunków bytu, a państwu polskiemu potrzebnej siły gospodarczej, by w tej części Europy mogło spełnić zadanie, które nań od wieków spadało (M. G. 1938, s. 2–4).

„Życiowe potrzeby” to te, które są nieodzowne dla życia; w tym przypadku dla życia kraju. Oczywiście, Polska może istnieć bez kolonii, ale wskazanie, że są one „życiową potrzebą”, odsyła do pojmowania kolonii jako jednego z podstawowych warunków egzystencji kraju — kto nie zaspokaja „życiowych potrzeb”, ten umiera.

Trzeba było o nie walczyć, bowiem — kolejna metafora „rewizjonistyczna bomba niemiecka” — Niemcy dążyły do odzyskania przynajmniej części posiadłości utraconych w wyniku I wojny światowej. „Bomba niemiecka” to wskazanie na niemiecką chęć zdestabilizowania dotychczasowego układu międzynarodowego, i to zdestabilizowania gwałtownego („bomba”), co w sposób oczywisty było sprzeczne z interesami i dążeniami Polski. Metafora ta stanowiła zatem ostrzeżenie.

„Batalia o nowy rozdział kolonii” — „batalia”, czyli walka wywołuje skojarzenie militarne: pokój nie oznacza spokoju, nawet gdy jest pokój, trzeba nadal walczyć, aczkolwiek metodami innymi niż wojskowe. Polska nie ma kolonii, zatem musi o nie walczyć — inni nie dadzą nam ich za darmo. Decydują względy egoistyczne dotychczasowych metropolii. Jednak metropolia metropolii nie równa — są takie, które określano jako „muszki nadziewane słoniami”. Tej wyszukanej, a zarazem przewrotnej metafory użył znany pisarz Wacław Gąsiorowski (Gąsiorowski 1938). Stanowi ona odwrócenie naturalnego porządku rzeczy — to słon może być nadziewany muszkami, nie odwrotnie. Ów nienaturalny porządek rzeczy wynikał z tego, że małe lub słabe gospodarczo kraje, jak Belgia czy Portugalia, zawiadywały terytoriami wielokroć przewyższającymi je obszarowo i ludnościowo. Były zatem bardzo „obżarte”, aż do kresu wytrzymałości. Trzeba przywrócić naturalny porządek rzeczy: „muszki” powinny zrzec się znacznych części „słoni” (lub zostać do tego zmuszone), by inni też mogli się nimi „nadać”. Byłoby to sprawiedliwe (w kategoriach sprawiedliwości dziejowej) — organizmy państwowe znacznie większe od „muszek” (np. Polska) też

powinny mieć dostęp do stołu, a nie tylko patrzeć z boku, jak „muszki” uprawiają obżarstwo, nie dając ani kęsa głodnym.

Z kolei artykuł *Wolne państwo murzyńskie* (1934 — rzecz dotyczyła Liberii) to ironia wobec państwowotwórczych zdolności Murzynów; ironia stającą się przez to metaforą rzekomej praworządności nie tyle ludów egzotycznych, ile Murzynów jako grupy etnicznej. „Wolność” to pojęcie pozytywne, jednakże tekst informuje, że w tym ponoć „wolnym” państwie murzyńskim wolności nie ma. Czarnoskórzy osiedleńcy z Ameryki, którzy stworzyli to państwo i nim rządzą, wolność rezerwują dla siebie, nie dla ludności miejscowej. Zestawienie słów „wolność” i „murzyńskie” zdaje się sugerować, że są to pojęcia przeciwstawne, wykluczające się (czy Murzyni potrafią stworzyć wolne państwo, funkcjonujące według kryteriów europejskich?).

Przeciwnicy stereotypowego patrzenia na Afrykę i w ogóle idei kolonialnej też odwoływali się do metafor. „Czarna przyszłość Białych” — sprawa dotyczyła Afryki Południowej i tamtejszych stosunków między Białymi (separującymi się) a Czarnymi. „Czerń” symbolizuje zło, „biel” — dobro. W tej metaforze nastąpiła zamiana znaczenia „czarnego” z „białym” — złą „biel” czeka „czarna”, zła przyszłość. Z kolei metafora „kolorowi «bracia»” — przez wzięcie słowa „bracia” w cudzysłów — wskazuje, że wbrew hasłom „bracia” ci są poniżani ze względu na kolor skóry (zderzenie: „kolorowi” — „bracia”).

W dyskursie kolonialnym metafor często używano jako tytułów tekstów, aby od razu prostym i chwytliwym skojarzeniem oraz oczywistym sensem zwrócić uwagę czytelników na zawartość tekstu; by odwołując się do pojęcia konkretnego, ułatwić zrozumienie pojęcia abstrakcyjnego (kolonie, Murzyni, wolność — abstrakcje; siła kraju, surowce, życiowe potrzeby — konkrety). Metafory mają zatem wpływ na sposoby tworzenia się pojęć na podstawie doświadczeń codziennych i wynikających z nich rodzajów wypowiedziania się. Nadają bardziej zrozumiałą sens codziennym doświadczeniom i przekonaniom, uwypuklając jedno, a pomijając inne aspekty rzeczywistości.

Metafory starały się ustalić zgodność między stanem rzeczy w świecie a oznajmianiem o nim, aczkolwiek oznajmianiem uproszczonym, odwołującym się do łatwo przyswajalnej emocjonalności. Nie opisywały zatem rzeczywistości w sposób obiektywny (raczej zbliżony do obiektywnego, gdyż pełny obiektywizm można uznać za nierealizowalny model idealny), a ich znaczenia nie były w pełni precyzyjne. Jednakże metafory bywały przydatne w dyskursie — przedstawiały świat i poglądy nań w sposób ułatwiony i jasny (choć ich sens istotny bywał ukryty dla odbiorcy), brak precyzji pozwalał uwypuklać i narzucać własne poglądy. Trudno było się bez nich obejść.

Wypowiedzi o systemie kolonialnym w polskim dyskursie kolonialnym lat 1918–1939 sprowadzały się niejednokrotnie do haseł retorycznych, wyrażanych w symbolach i metaforycznych porównaniach. Mimo zmieniającego się postrzegania społeczności lub grup etnicznych, a wreszcie mimo początków teoretycz-

nego uznawania prawa narodów do suwerenności państwowej system kolonialny trwał jako rzeczywistość zastana i oczywista. Metafora o świętym posłannictwie cywilizacji obligowała Polskę do wzięcia w nim udziału, zarazem usprawiedliwiała dążenia kolonialne.

Retoryka nie była kwiecistym ozdobnikiem. Miała praktyczny wymiar, zależny od interpretacji używanych w niej haseł. Była narzędziem argumentacyjnym, mającym przekonać wątpiących, wahających się lub stojących na uboczu. Była też wykorzystywana jako ukłon w stronę haseł o konieczności dbania o rozwój ludów kolonialnych niezdolnych do samodzielnego rządzenia się. Określała ją symbolika „jarzma białego człowieka”, czyli jego misji cywilizacyjnej.

Dynamika dyskursu

Określenie dynamiki dyskursu zależy od tego, czy dany fakt (lub fakty) zajmuje centralne, a przynajmniej istotne miejsce w dyskursie, jak często powtarzają się odniesienia do niego (do nich), jak przedmioty odniesienia lokują się w hierarchii tematycznej dyskursu, jaka jest uporczywość nawrotów tematycznych (*thematic persistence*), czyli ich częstotliwość w rozmaitych wypowiedziach (im większa, tym znaczniejsza dynamika).

Czynniki te, aczkolwiek nie jedyne, są na tyle ważne, że trudno bez ich uwzględnienia przeprowadzić analizę dynamiki. Metoda analizy ilościowej pozwala najlepiej określić dynamikę dyskursu — zwiększa wiarygodność i sprawdzalność analizy dyskursywnej, jest niejako jej policzalnym sprawdzianem, ułatwiającym interpretację analizy; zatem stanowi kolejny krok dla zorientowania się w dynamice dyskursu.

Zastrzeżenia, że metoda ilościowa ogranicza się do zestawu liczbowego, z pola widzenia którego umykają szczegóły werbalne, kontekstualne, znaczeniowe i podobne, mogą zostać zlikwidowane przez zastosowanie przy zestawie liczbowym analizy języka, metaforyki, retoryki — ich formy też determinują dynamikę dyskursu, pozwalając trafnie określić dynamiczne aspekty spontanicznych interakcji, a dzięki temu ułatwiają działalność interpretatywną. Przegląd publikacji z lat 1918–1939 w Polsce przekonuje, że zagadnienia kolonialne były poruszane w poszczególnych latach z różną częstotliwością i natężeniem, w zależności od narracji o rzeczywistości politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturowej, w zależności od odniesień organizujących wiedzę publiczną i ułatwiających rozumienie rzeczywistości oraz w zależności od strategii dyskursywnych.

Określenie dynamiki dyskursu może niekiedy nastęrczać pewne trudności — zależy nie tylko od interpretacji faktów, ale i od „interpretacji interpretacji”, czyli interpretacji tego, co zostało podane w tekstach, które już same w sobie stanowią interpretację faktów. Nie jest to wszakże trudność nie do przezwyciężenia — dysponujemy przecież różnymi narzędziami, regułami i procedurami badawczymi. Teksty różnią się odmiennym rozumieniem czy traktowaniem uwarunkowań społecznych i politycznych, dostrzeganiem w nich odmiennych znaczeń — czynniki te również determinują dynamikę dyskursu.

Analiza ilościowa dyskursu elitarnego

Inaczej dynamika dyskursu przedstawia się w dyskursie elitarnym, inaczej w popularnym. Przy analizie dynamiki dyskursu w jego odmianie elitarniej przykłady mogą być czerpane z wypowiedzi najważniejszych jego uczestników, do których zaliczyć należy Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ligę Morską i Kolonialną oraz periodyki: „Morze”, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” (pomijam tu sam Instytut, gdyż jego uczestnictwo wyrażało się zasadniczo poprzez publikacje w „KNIEiK”). Na uwagę zasługują też te publikacje książkowe i broszury, których autorami były osoby kwalifikujące się jako uczestnicy dyskursu elitarnego.

Nie zostały tu uwzględnione inne instytucje i organizacje, jak na przykład pozostałe ministerstwa, parlament (sejm i senat), uczelnie czy Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze. Były one wprawdzie uczestnikami dyskursu elitarnego, jednakże na ich przykładzie trudno śledzić dynamikę dyskursu (jako trudno policzalną).

Analiza ilościowa, przypomnijmy, zmierza do ukazania, które fakty zajmują główne miejsca w strukturze tematycznej dyskursu, do ustalenia ich hierarchii w wypowiedziach, uporczywości nawrotów tematycznych, ich częstotliwości. Generalnie fakty te koncentrują się na kilku zasadniczych tematach. Pierwszą grupę stanowią wypowiedzi na temat spraw, które można określić jako „ogólnokolonialne”, dotyczące idei kolonialnej rozpatrywanej teoretycznie lub na przykładzie innych krajów władających posiadłościami zamorskimi. Druga grupa to wypowiedzi na temat polskiego programu kolonialnego oraz szans i ewentualnych sposobów jego realizacji. Trzecią grupę tworzą te wypowiedzi, które były związane z kwestią dostępu do surowców kolonialnych. Do czwartej grupy można zaliczyć te, które dotyczyły spraw emigracji w powiązaniu z demografią rozumianą jako przeludnienie kraju oraz ze sposobami rozładowania tego przeludnienia właśnie poprzez emigrację i osadnictwo na terenach zamorskich. Wreszcie piąta grupa to wypowiedzi śledzące dążenia niemieckie do odzyskania kolonii, przestrzegające przed zakusami kolonialnymi ze strony zachodniego sąsiada.

Wszystkie wymienione tematy wiązały się ze sobą, razem składając się na dyskurs kolonialny. Należy jednak rozpatrywać je osobno. Pozwoli to zorientować się, który typ wypowiedzi był charakterystyczny dla poszczególnych instytucji czy organizacji, który przeważał w pismach, które z tematów były uważane przez poszczególnych uczestników dyskursu za główne, które zaś za drugorzędne. To z kolei pozwoli na odczytanie strategii dyskursywnych poszczególnych uczestników.

Nie zawsze metodę ilościową można stosować bezpośrednio. Często ujawnia się ona w sposób pośredni: nie tylko poprzez liczbę wypowiedzi i ich częstotliwość, ale także poprzez działania organizacyjne (pozwalają one wyciągać wnio-

ski o dynamice dyskursu — szczególnie dotyczy to instytucji, zwłaszcza państwowych).

W początkach niepodległości dyskurs kolonialny był udziałem części elity politycznej, która dążyła do udziału w podziale posiadłości zamorskich po Niemcach — towarzyszyła jej bierność państwa, skromna aktywność środowisk akademickich i nieliczne wypowiedzi prasowe. Liga Morska i Rzeczna miała w 1924 roku zaledwie 3 tys. członków, zaś miesięcznik „Morze” (powstał w 1924 r. jako organ Ligi Morskiej i Rzecznej) do końca lat 20. nie zajmował się problematyką kolonialną (jedyne wyraźniejszy jej ślad znajduje się w numerze z 1925 r.).

Pod koniec lat 20. nastąpiło ożywienie dyskursu informujące o wzroście jego dynamiki. Zwiększyła się liczba wypowiedzi prasowych poświęconych problemowi kolonii. Wzrosła również aktywność Ligi Morskiej i Kolonialnej — w 1928 roku (jeszcze jako Liga Morska i Rzeczna) liczyła ona ponad 20 tys. członków, w 1929 — 44 tys., w 1930 (już jako Liga Morska i Kolonialna) — 50 tys., w 1933 — ponad 70 tys., a w 1934 — ponad 200 tys. Tak znaczny przyrost członkowstwa w Lidze świadczy nie tylko o jej dynamice organizacyjnej, ale także o dynamice dyskursu wciągającego w swój obręb coraz większą liczbę uczestników. Dodać trzeba, że w 1930 roku Liga Morska i Kolonialna podjęła współpracę z radiem.

Organ Ligi, „Morze”, wychodził początkowo (w 1924 r.) w nakładzie 3 tys. egzemplarzy. W 1928 roku nakład zwiększył się do 20 tys. egzemplarzy, w 1930 — do 120 tys. (w tej wysokości utrzymywał się do początku 1934 r.), zaś w końcu 1934 roku — do 125 tys.

Na zwiększenie się dynamiki dyskursu wpłynął zwrot w podejściu MSZ do sprawy kolonii, jaki miał miejsce w 1936 roku — powstały wówczas nowe instytucje, znacznie zwiększyła się obecność problematyki kolonialnej w prasie, popularyzowano ją w szerokich kręgach społecznych. Duże znaczenie miało ustanowienie Dni Kolonialnych. Obchody pierwszych odbyły się 21–23 listopada 1936 roku; Dni Kolonialne z 7–13 kwietnia 1938 roku nabrały charakteru masowej akcji propagandowej — ich uczestników szacowano łącznie na około 10 milionów osób.

Zauważalna jest dynamika organizacyjna Ligi Morskiej i Kolonialnej — w 1937 roku liczyła ona ponad 535 tys. członków, w 1938 — 759 tys., a w 1939 — ponad 992 tys. Kół szkolnych LMiK w 1937 roku było 2082; w 1938 roku pojawiło się hasło „Koło LMiK w każdej szkole”. Od listopada 1930 roku do kwietnia 1933 roku LMiK zorganizowała 258 odczytów i wieczorów dyskusyjnych. Nie ma pełnych danych na lata następne, wystarczy jednak podać, że sam tylko Okręg Stołeczny Ligi w latach 1935–1937 zorganizował 200 odczytów, a Okręg Lubelski w 1936 roku — 257 odczytów, które wedle szacunków zgromadziły łącznie 52 tys. słuchaczy. Jednocześnie powiększał się nakład miesięcznika „Morze” — w 1936 roku wynosił on 150 tys. egzemplarzy, na początku 1938 — 185 tys., w połowie 1938 — 210 tys., a w końcu 1938 i w 1939 (jako „Morze i Kolonie”) — wzrósł do ponad 250 tys. egzemplarzy.

W drugiej połowie lat 30. Liga Morska i Kolonialna zainteresowała się filmem jako metodą wychowania morskiego i popularyzacji programu kolonialnego. Pod koniec okresu międzywojennego zrealizowanych na jej zamówienie było 26 filmów oświatowych i propagandowych. Co prawda, większość dotyczyła spraw *stricte* morskich, a tylko jeden — *Polscy pionierzy na Czarnym Łądzie* — kolonialnych.

Dynamika dyskursu kolonialnego ujawniała się wraz z biegiem lat — od uczestnictwa niewielkiej grupy inicjującej dyskurs elitarny, poprzez wciąganie do niego coraz liczniejszego grona uczestników i tworzenie z problemu kolonialnego programu ważnego dla polityki państwa. Jednocześnie wzrost dynamiki dyskursu elitarnego oddziaływał na dynamikę dyskursu popularnego, powodując liczebny wzrost uczestników tego dyskursu, ich wypowiedzi, coraz większe zainteresowanie problematyką kolonialną.

Nie została tu pokazana szczegółowa analiza zawartości takich tytułów jak „Morze”, „Sprawy Morskie i Kolonialne” czy „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” — od pewnego momentu w każdym z ich numerów zamieszczane były artykuły (i to często po kilka) dotyczące spraw kolonialnych; ich analiza łatwo przekształciłaby się w nużący spis treści.

Analiza ilościowa dyskursu popularnego

Najlepszych materiałów do prześledzenia dynamiki dyskursu popularnego i dokonania jego analizy ilościowej dostarczają pisma popularne, które w Drugiej Rzeczypospolitej najczęściej zamieszczały artykuły związane z ideą kolonialną. Sa to: „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Gazeta Polska” i „Gazeta Warszawska”. Czyniły to i inne tytuły, jednakże nie tak systematycznie. Trzy wymienione dzienniki sprawom kolonii poświęcały bardzo dużo uwagi; od 1928 roku właściwie nie było miesiąca, by na ich łamach nie pojawiła się jakaś wypowiedź na ten temat. Argumentem przemawiającym za skoncentrowaniem uwagi na tych tytułach jest również fakt, że były one najbardziej poczytnymi gazetami, w porównaniu z innymi pismami tego typu miały największe nakłady. „Ilustrowany Kurier Codzienny” w 1937 roku wychodził w nakładzie 150 tys. egzemplarzy, w następnych latach niektóre jego numery osiągały nakład 200 tys. egzemplarzy; „Gazeta Polska” ukazywała się w nakładzie 30 tys. egzemplarzy — był to nakład mniejszy niż w przypadku „IKC”, ale jak na ówczesne warunki duży. „Gazeta Warszawska” (w latach 1925–1928 „Gazeta Poranna Warszawska”, w latach 1928–1935 ponownie „Gazeta Warszawska”, w latach 1935–1939 „Warszawski Dziennik Narodowy”) również osiągała nakład 30 tys. egzemplarzy.

Czytelnicza popularność tych pism nie wynikała jedynie z wysokości nakładów. Były to dzienniki docierające do odbiorców i potencjalnych odbiorców we wszystkich zakątkach kraju. Były najczęściej i najchętniej czytane, i to wśród

rozmaitych kręgów społeczeństwa — od wyrafinowanych intelektualistów po „zwykłych” ludzi. Wpływały zatem na opinie i postawy odbiorców, tworząc wielką *speech community*, a właściwie wspólnotę nie tyle rozmawiającą, ile piszącą i czytającą, choć w kategoriach dyskursywnych wypadałoby pozostać przy określeniu wspólnoty rozmawiającej.

Dodatkową zaletą analizy owych gazet dla celów badawczych jest to, że reprezentowały odmienne orientacje polityczne. „Gazeta Polska” była związana z obozem belwederskim, piłsudczykowskim czy nieco później sanacyjnym; od powstania w 1929 roku uchodziła za półoficjalny organ rządu. „Gazeta Warszawska” (i jej różnotytułowe wersje w kolejnych latach) była organem Narodowej Demokracji. Z kolei „Ilustrowany Kurier Codzienny” to pismo politycznie neutralne, niezwiązane z żadnym obozem politycznym, aczkolwiek dyskretnie przychylnie obozowi rządzącemu po 1926 roku (choć krytyczne w szczególnych sprawach) i krytyczne wobec endecji, nie angażujące się jednak jawnie w rozgrywki polityczne. Było to pismo po trosze konserwatywne, po trosze liberalne.

Dzięki takiemu zróżnicowaniu ideologicznemu i politycznemu tych trzech gazet można prześledzić różnice w narracjach o rzeczywistości politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturowej oraz wpływające z nich strategie dyskursywne dotyczące problemów kolonializmu oraz stosunku do prób podejmowania akcji kolonialnych w Polsce.

Pisma ludowe i socjalistyczne, również mające swoich wiernych czytelników, w dyskursie kolonialnym praktycznie nie uczestniczyły. Problematyka kolonialna, jeśli pojawiała się na ich łamach, to sporadycznie. Było to rezultatem wątpliwości politycznych patronów tych gazet — partii ludowych i socjalistycznej (PPS) — co do sensu idei kolonialnej w polskim wydaniu oraz rezultatem niedostrzegania szans na przełożenie jej na praktykę. Ani PPS, ani PSL (i inne stronnictwa ludowe) nie negowały systemu kolonialnego. Może nawet chętnie powitałyby fakt uzyskania przez Polskę jakiejś posiadłości. Jednakże — na co została już zwrócona uwaga, ale wypada ją w tym miejscu powtórzyć — partie ludowe były powściągliwe wobec emigracji i masowego osadnictwa polskiego w ewentualnych koloniach — oznaczałoby to odpływ elektoratu, a przede wszystkim zahamowałoby przebieg reformy rolnej w kraju (włościanie, uzyskawszy gospodarstwa w koloniach, nie wywieraliby nacisku na konieczność ich posiadania w kraju). PPS zaś nie wypadało jawnie domagać się kolonii ze względów moralnych i z powodu haseł ideologicznych.

Ponieważ partie te i ich gazety trudno potraktować jako pełnoprawnych uczestników dyskursu, niecelowe wydaje się szczegółowe zajmowanie nimi.

Przeanalizowałem również książki i broszury, w zamierzeniu przeznaczone dla szerszego kręgu odbiorców, propagujące ideę kolonialną czy dokonania polskich podróżników i badaczy. Pewnym problemem była tu analiza ilościowa — nie dysponujemy danymi liczbowymi informującymi o ilości wydanych publikacji poświęconych sprawom kolonialnym i wielkości ich nakładów.

Można je jedynie szacować — takie przybliżenie też daje jakąś orientację w dynamice dyskursu. Ogółem w latach 1921–1939 wydanych zostało około 900 książek i broszur dotyczących zagadnień ściśle morskich czy spraw organizacyjnych, sprawozdań, instrukcji, powieści podróżniczych, książek o tematyce historycznej (wiele z nich dotyczyło przynajmniej pośrednio spraw kolonialnych). Na Ligę Morską i Kolonialną przypada, jak można mniemać, ponad 18 proc. tych publikacji (Białas 1983, s. 244)¹.

Analizę ilościową obrazującą dynamikę dyskursu najlepiej zatem przeprowadzić na przykładzie gazet codziennych, nie będących organami instytucji i stowarzyszeń związanych z ideą kolonialną czy zajmujących się z natury ich funkcji problemami kolonialnymi. Problematykę kolonialną można tu obserwować w kontekście innych zagadnień — pozwala to stwierdzić, jakie miejsce zajmowała ta problematyka, w jakim natężeniu występowała, w sąsiedztwie jakich informacji, na jakich stronach. Wszystko to tworzy kontekst dyskursu kolonialnego. Ujawniają się tu również, i to zdecydowanie, sytuacje mówienia o zagadnieniach kolonialnych: jakimi wydarzeniami były wywołane, jakie fakty czy wypowiedzi i w jakich okresach stanowiły główne tematy w dyskursie kolonialnym, ogólniej zaś — jakie zajmowały miejsce w strukturze tematycznej dyskursu.

Problematyka kolonialna nie była obecna w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” w latach 1918–1921. W tym czasie, co zrozumiałe, pismo nie wykazywało zainteresowania koloniami. Dziennik koncentrował się na odrodzeniu państwowości polskiej, walkach z Niemcami, Powstaniu Wielkopolskim, wojnie z Rosją Sowiecką, Powstaniach Śląskich, plebiscytach na Śląsku, Śląsku Cieszyńskim, Spiszu, Orawie, w Czadeckim i na Mazurach, na tworzeniu administracji w kraju, wreszcie na scalaniu ziem polskich².

Jeżeli weźmie się pod uwagę wystąpienia polityków i przyszłych działaczy kolonialnych, już od początku 1919 roku zwracających uwagę (konferencja pokojowa w Paryżu) na konieczność przyznania Polsce mandatu kolonialnego ze schedy ponemieckiej, zastanawiać może nieobecność tej sprawy na łamach pisma w owym czasie. Prawdopodobnie przyczyną tego był brak zainteresowania uzyskaniem mandatu ze strony ówczesnych władz, a także traktowanie owych

¹ „Rocznik Morski i Kolonialny” z 1938 r. zadawała się ogólnymi stwierdzeniami:

Liga wydawała szereg broszur z dziedziny morskiej i kolonialnej, o których potrzebie świadczy fakt, że mimo bardzo wysokich nakładów, wydawnictwa te rozchodzą się szybko w terenie i w większości swej są już prawie wyczerpane (s. 416).

² Chyba że uwzględni się informację redakcyjną z 1921 r.: *Niemcy marzą o zwrocie kolonii*. Korespondent berliński gazety pisał w niej, że

dzienniki tamtejsze donoszą, że toczą się rokowania celem zwrotu Niemcom Kamerunu (*Niemcy...* 1921, s. 8).

Miało to jednak związek nie z polskimi postulatami kolonialnymi, lecz z ustosunkowaniem się Polski do polityki niemieckiej. Było to ostrzeżenie przed rewizjonistycznym programem Berlina.

postulatów w kontekście polityki wobec Niemiec (uzyskanie odszkodowań wojennych, ale nie w formie mandatu, lecz w formie odszkodowań finansowych czy reparacji gospodarczych, a wreszcie dążenie do formalnego uznania przez Niemcy granicy polsko–niemieckiej).

Wszystkie artykuły można podzielić na kilka zasadniczych grup: „ogólnokolonialne” (teoretyzujące, omawiające znaczenie posiadania kolonii, zwłaszcza dla zarządzających nimi państw; także popularnonaukowe, opowiadające o zwyczajach, „dziwactwach” lub „okrucieństwach” ludów pierwotnych, uwodzące czytelników zapierającą dech w piersiach egzotyką), „kolonialne” (domagające się podjęcia starań o pozyskanie obszarów kolonialnych dla Polski), „antyniemieckie” (przestrzegające przed zabiegami ze strony Niemiec usiłujących odzyskać swoje nigdysiejsze obszary kolonialne).

Również w latach 1922–1925 „Ilustrowany Kurier Codzienny” nie pisał o koloniach. Pierwsza informacja na ten temat pojawiła się w 1926 roku w numerze z 11 października (*Niemieckie...* 1926), w kontekście jednak stosunków polsko–niemieckich. W 1927 roku nie pisano o dążeniu do uzyskania kolonii przez Polskę, opublikowano jedynie kilka tekstów na temat emigracji polskiej w Ameryce Południowej.

W 1928 roku jedynie w numerze z 22 października pojawił się tekst, który można uznać za dotknięcie spraw kolonialnych (*Konieczność...* 1928). Była to informacja ze zjazdu Ligi Morskiej i Rzecznej (poprzedniczki Ligi Morskiej i Kolonialnej) — obok postulatów umocnienia Polski na morzu można się tam doszukać (raczej domyślić) stwierdzenia, że państwo powinno zainteresować się terytoriami zamorskimi. W roczniku tym można również znaleźć omówienie książki Kazimierza Głuchowskiego *Wśród pionierów polskich na antypodach* (Głuchowski 1928d), prezentującej życie polskich emigrantów w Brazylii, a także recenzję książki francuskiego podróżnika po Afryce, Rene Gouzy, *Wspomnienia z dżungli i dziewiczego lasu (Romantyka...* 1928), wreszcie wiadomość o uruchomieniu linii okrętowej bezpośrednio łączącej Polskę z Ameryką Południową. Informacje te, choć nie bez zastrzeżeń, uznac należy za pierwsze sygnały pojawienia się dyskursu kolonialnego w dzienniku — uruchomienie linii okrętowej Polska–Ameryka Południowa było ważne dla usprawnienia łączności „starego kraju” z emigrantami.

Dopiero lata 1929–1939 przyniosły dużą ilość tekstów koncentrujących się na zagadnieniach kolonialnych. Można zatem przyjąć, że dyskurs kolonialny w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” był nieobecny do 1926 roku — problematyka ta była wówczas rzadko sygnalizowana, a i to głównie w kontekście polityki wobec Niemiec oraz ustosunkowania się do zagadnień emigracji i osadników w krajach zamorskich, osiadłych tam jeszcze przed I wojną światową. Dopiero po maju 1926 roku zaczęło funkcjonować pojęcie Polski mocarstwowej, a w związku z tym częstsze (zwłaszcza po 1928 r.) stały się wypowiedzi na temat dążeń do uzyskania przez państwo statusu mocarstwa, co oczywiście łączyło się

z postulatami kolonialnymi. Posiadanie kolonii w owym czasie uważano za jedną z form legitymizacji mocarstwowości państwa.

Co prawda, już w „Kalendarzu IKC” na rok 1919 pojawił się artykuł Adama Gadomskiego poświęcony wyprawie Stefana Szolc–Rogozińskiego do Kamerunu, nie zapoczątkował jednak dyskursu kolonialnego na łamach pisma. Było to — w okresie walki o granice i scalenie odradzającego się państwa — przypomnienie chwalebnej historii Polski i dokonań Polaków w XIX wieku mimo nieprzychylnych warunków: ucisku narodowego i nieistnienia kraju na mapie. Celem wydawnictwa było wzmoczenie poczucia narodowego i państwowego, dostarczenie powodów do dumy z dziejów ojczystych. U progu odzyskanej niepodległości podkreślało ono, że Polska nie powstaje na nowo, lecz odradza się, ma bowiem własną historię i osiągnięcia. Inna sprawa, że w późniejszych latach postacie Stefana Szolc–Rogozińskiego i Maurycego Beniowskiego służyły jako uzasadnienie polskich praw do posiadania kolonii. Beniowski był zdobywcą Madagaskaru, a Rogoziński Kamerunu — Polsce należą się zatem posiadłości w Afryce, zwłaszcza dwa wymienione kraje, a przynajmniej wykrojony z Madagaskaru, będącego kolonią Francji (sojuszniczki Polski), fragment terytorium dla polskich plantatorów i osiedleńców, z autonomią językową, gospodarczą i administracyjną, formalnie podległy Francji. Ale to było już później.

Wprawdzie, jak już wspominałem, w 1921 roku w numerze 157 z 13 czerwca „Ilustrowany Kurier Codzienny” zamieścił krótką informację pod tytułem *Niemcy marzą o zwrocie kolonii*, w której objawiało się zaniepokojenie pogłoskami, jakoby w Berlinie toczyły się rokowania mające na celu zwrócenie Niemcom Kamerunu. Nie wiązało się to jeszcze z polskimi aspiracjami kolonialnymi. „IKC” przez cały okres swojego istnienia był antyniemiecki, uczulał czytelników na niebezpieczeństwa zza zachodniej granicy (był zresztą w równym stopniu antysowiecki, ostrzegał przed bolszewizmem zza wschodniej granicy) i nieustannie dokumentował niegodziwość polityki niemieckiej wymierzone w Polskę. W dalszych latach, nie zmieniając swojego nastawienia, konsekwentnie i skrupulatnie odnotowywał wszelkie fakty, zdarzenia, plotki i spekulacje wiążące się z dążeniami Republiki Weimarskiej, a następnie III Rzeszy do odzyskania niegdysiejszych kolonii. Trzeba zwrócić uwagę na połączenie tych dwóch spraw na łamach pisma. Sprawy kolonii były przez MSZ traktowane instrumentalnie, jako część szerszej akcji przeciwko niemieckim próbom rewizji ustaleń wersalskich. Kolejny taki alarm, zatytułowany *Niemieckie apetyty kolonialne*, ukazał się w numerze 280 „IKC”, z 11 października 1926 roku.

Pierwszy tekst dotyczący już własnych, polskich aspiracji kolonialnych, formułowanych nie w kontekście akcji antyniemieckiej, lecz w kontekście dążeń *stricto* kolonialnych, pojawił się w „IKC” w 1928 roku (nr 293 z 22 października). Nosił tytuł: *Konieczność dalszej propagandy idei morskiej w Polsce*. Było to, co prawda, omówienie zjazdu Ligi Morskiej i Rzecznej w Katowicach, poświęconego umacnianiu Polski nad Bałtykiem i propagandzie spraw morskich, po-

brzmiewały w nim jednak echa aspiracji kolonialnych — morze jawiło się jako droga do ekspansji gospodarczej Polski na inne kontynenty, z kolei ekspansja gospodarcza wydawała się być drogą do ekspansji kolonialnej.

Niebawem na łamach pisma ukazał się niepodpisany artykuł wprost określający aspiracje kolonialne: *Czy Polska ma prawo do zamorskich kolonii?* (nr 5 z 5 stycznia 1929 r.). Czy brak podpisu to znak, że była to opinia redakcji? Znak zapytania w tytule ma charakter retoryczny. Z treści wynika, że Polska ma prawo.

Warto nieco dłużej zatrzymać się nad tym artykułem, nie tylko dlatego że po raz pierwszy otwarcie pada w nim sformułowanie o koloniach dla Polski, ale także dlatego że użyte tu argumenty będą z pewnymi odmianami powtarzały się w dalszej publicystyce kolonialnej „IKC”. Przede wszystkim odwoływano się do wspomnianych już praw historycznych Polski do kolonii — przypomniano Szolc–Rogozińskiego, a także Beniowskiego:

w swoim czasie flaga polska powiewała także nad Madagaskarem (*Czy Polska...* 1929, s. 4).

Nie ma oczywiście żadnych świadectw, że rzeczywiście nad Madagaskarem powiewała polska flaga. Beniowski dla bezpieczeństwa żeglugi (w razie spotkania obcych statków) wywiesił polską flagę na okręcie „Św. Piotr i Paweł”, którym zbiegł z zesłania na Kamczatce i na którym dożeglował do Makau; czasem podaje się, że była to flaga Konfederacji Barskiej. Na Madagaskarze wywieszał jedynie własnego pomysłu flagę „Cesarstwa Madagaskaru” (brak danych pozwalających na jej opis), mającą świadczyć, że jest władcą wyspy, a nie jej administratorem, a już na pewno nie z ramienia Polski.

Z kolei we wspomnianym artykule z 1929 roku zwrócono uwagę, że w 1931 roku, w myśl postanowień Traktatu Wersalskiego, przypada termin rewizji mandatów kolonialnych, zatem aktualna staje się sprawa uzyskania kolonii dla Polski (tzn. powierzenia jej mandatu nad którymś z terytoriów). Przy tym dzieje wyprawy Rogozińskiego miałyby stanowić poważny, historyczno–prawny (a więc nie tylko historyczny, ale i prawny, co budzić może pewne wątpliwości) punkt wyjścia do rokowań w sprawie uzyskania mandatu³. Czas więc najwyższy, by podjąć — to apel do rządu — energiczne zabiegi.

W następnych latach takie wezwania formułowane były często i bardzo zdecydowanie. Autorzy bardziej ostrożni wprawdzie zastanawiali się nad sensem posiadania kolonii przez Polskę, niemniej postulowali dla niej wolny dostęp do surowców znajdujących się w posiadłościach innych państw, a potrzebnych krajowi do rozwoju gospodarki (zwłaszcza przemysłu, ale i rolnictwa). Podnosili również konieczność wolności emigracji (zniesienie „kwot liczbowych imigrantów”) dla chętnych do osiedlenia się w tropikach, konieczność otoczenia osad-

³ W 1931 r. przypadał czas nie rewizji mandatów, lecz składania sprawozdań przez państwa zarządzające mandatami z wykonywania na podległych im obszarach zobowiązań mandatowych.

ników opieką ze strony państwa polskiego, a także konieczność zapewnienia im kontaktów z krajem.

Wyraźnie zatem widać, że w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” postulatory kolonialne pojawiły się po 1926 roku. Początkowo (lata 1926–1928) było ich niewiele, ale po 1929 roku ich liczba zdecydowanie wzrosła. Zdarzały się lata, że w przeciągu miesiąca w kilku numerach publikowano teksty poświęcone kwestii kolonii dla Polski.

Nasilenie się od 1929 roku na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” problematyki kolonialnej było skutkiem zapowiedzianego przez Ligę Morską i Rzeczną podczas jej zjazdu w październiku 1928 roku wzmocnienia akcji zamorskiej. Do ponownego zwiększenia się częstotliwości poruszania owej problematyki doszło w latach 1935–1939 — wynikało to z przekształcenia się LMiR na jej III Walnym Zjeździe 25–27 października 1930 roku w Gdyni w Ligę Morską i Kolonialną, co obligowało organizację do podjęcia akcji popularyzatorskiej i (jak byśmy to dziś nazwali) reklamowej. Trudno jednak w tym kontekście wytłumaczyć względne skąpstwo artykułów dotyczących kolonii w latach 1930–1934. Przypadek? Brak kompetentnych autorów? Zwiększone zainteresowanie dziennika innymi wydarzeniami w Polsce, Europie, na świecie, uznanymi przez redakcję za ważniejsze od problematyki kolonialnej?

W 1935 roku doszło do współpracy między „IKC” a Ligą Morską i Kolonialną. Na początku tego roku utworzony został nowy dodatek „IKC”: „Kurier Morski i Kolonialny”. Można zastanawiać się, czy było to wynikiem „odgórnym”, rządowych sugestii. Wydaje się jednak, że była to własna inicjatywa redakcji, a zarazem Ligi Morskiej i Kolonialnej. W końcu tematyka ta poruszała wyobraźnię czytelników, zaspokajała ich ambicje państwowe, napawała dumą z osiągnięć Rzeczypospolitej, krzepiła poczucie mocarstwowości, zatem przyczyniała się do zwiększenia popularności pisma. Jednocześnie dawała okazję do popularyzacji poczynań LMiK. Powstanie dodatku obwieszczono na stronie 21 (strona 1 dodatku) numeru 42 „IKC” z 1935 roku (z 11 lutego), bardzo uroczysto:

W 15-tą rocznicę uroczystych zaślubin Polski z Bałtykiem, odzyskania przez odrodzoną Rzeczpospolitą dostępu do morza, otwieramy na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” nowy stały dodatek poświęcony problemom ekspansji morskiej państwa, pt. „Kurier Morski i Kolonialny”. W ciągu tych lat 15-tu, które dzielą nas od pamiętnego dnia 10 lutego 1920, przezwyciężyliśmy nie tylko olbrzymie trudności, stworzyliśmy z niczego własny, wspaniały port, własną marynarkę wojenną, naszą straż na Bałtyku, własną flotę handlową — ale poza tym dokonał się zasadniczy przewrót w mentalności społeczeństwa, które dziś rozumie ważność dostępu do morza dla życia państwowego i interesuje się żywo zagadnieniami z tym związanymi. „Kurier Morski i Kolonialny” będzie właśnie uważał za swe zadanie zaspokojenie tego zainteresowania najszerzych warstw ludności sprawami morskimi i kolonialnymi (...) (*Od Redakcji...* 1935, s. 1).

W tym samym wstępniku Zarząd Okręgu Krakowskiego Ligi Morskiej i Kolonialnej wyraził podziękowanie za wydawanie owego dodatku:

Akcja szerzenia wśród szerokich sfer społeczeństwa polskiego zrozumienia dla spraw morskich i kolonialnych jest doniosłym czynem obywatelskim, za który Redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” należy się serdeczna podzięką i wyrazy uznania (tamże).

Tak uroczyste i podniosłe oświadczenia „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” oraz Ligi Morskiej i Kolonialnej świadczyły o rozszerzaniu się dyskursu kolonialnego, czym można było się pochwalić. Liga ze swoim dodatkiem wchodziła na łamy najbardziej popularnego dziennika w Polsce, pismo zaś zawiązywało ścisłą współpracę z organizacją stającą się coraz bardziej masową i opiniotwórczą, także w kręgach elitarnych. Obie strony zyskiwały na takim układzie, świadczącym o wzrastającej dynamice dyskursu kolonialnego.

Od tego momentu wszelkie teksty dotyczące postulatów kolonialnych przeniesione zostały z zasadniczych stron pisma do dodatku. „Kurier Morski i Kolonialny” ukazywał się w „IKC” regularnie w każdą środę. Jednakże tylko do czerwca. W numerze 168 z 19 czerwca 1935 roku ukazał się numer 18 „Kuriera Morskiego i Kolonialnego”, po czym dodatek znikł, zaś sprawy kolonialne wróciły na normalne, redakcyjne i publicystyczne strony dziennika. Tak pozostało do września 1939 roku. Zniknięcie dodatku nie zostało wytłumaczone żadną notą ani oświadczeniem redakcji czy Ligi. Szukanie przyczyn tego zniknięcia byłoby całkowitą dowolnością; można tylko przypuszczać, dlaczego tak się stało (o czym mowa była w rozdziale o uczestnikach dyskursu).

Większość tekstów to wezwania do starań o kolonie; niektóre z nich nie domagały się kolonii werbalnie, tworzyły jednak atmosferę zaciekawienia sprawą obszarów egzotycznych, co w konsekwencji prowadziło do zainteresowania się pozyskaniem kolonii, a w końcu do postawienia postulatów kolonialnych. Były to relacje podróżnicze, opisy obyczajów ludów Afryki, ciekawostki z tamtych stron, relacje misjonarzy z ich pracy w krajach tropikalnych, wreszcie artykuły historyczne przypominające osiągnięcia polskich badaczy i podróżników. Szczególnym wydarzeniem w 1932 roku były uroczyste obchody 50-lecia wyprawy Stefana Szolc-Rogozińskiego do Kamerunu — brał w nich udział Leopold Janikowski, jedyny żyjący jeszcze wówczas uczestnik tej wyprawy, dyrektor warszawskiego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, poprzednika obecnego Państwowego Muzeum Etnograficznego (Janikowski został dyrektorem w 1933 r.).

Tego rodzaju tekstów, mających ogólnie zainteresować egzotyką (w szczególności obszarami, ku którym zwracała się konkretna uwaga zwolenników idei kolonialnej), „Ilustrowany Kurier Codzienny” publikował sporo. Poza propagandowymi intencjami ich autorów, przynosiły one pewną wiedzę o ludach egzotycznych. Najczęściej jednak kończyły się wnioskami, że Polacy powinni zwrócić swoją uwagę w tamtą stronę i wzmóc akcję kolonialną. Nawet jeżeli wnioski te nie były formułowane bezpośrednio, to wpływały z tonu wypowiedzi. Do tego

typu tekstów można zaliczyć reportaże i relacje z wystawy kolonialnej w Paryżu w 1931 roku, zamieszczone w numerach 108, 126, 128, 129, 197, 316, 321, a także niektóre wiadomości agencyjne (np.: *Śladami...* 1931 — o otwarciu linii kolejowej od Lobito w Angoli do Beira w Mozambiku; *Samolotem...* 1931 — o uruchomieniu połączenia lotniczego metropolii z koloniami). Dowodziły one, że Afryka nie jest tak dzika, jak się powszechnie wydaje — dzięki wysiłkowi Białych staje się lądem cywilizującym się.

W kategorii tego typu tekstów mieszczą się również te, które nie koncentrowały się wyłącznie na obszarach znajdujących się w polskich zainteresowaniach kolonialnych, ale opisywały i inne terytoria — pośrednio zwracały one uwagę czytelników na zamorskie aspiracje zwolenników pozyskania kolonii dla Polski: A. Krasicki, *Cejlon, wyspa tysiąca cudów* (1937); Peregrinus, *Echa z dalekiego Iranu. Dlaczego nas tu nie ma? Jak Polska pozostaje w tyle w wyścigu narodów* (1938) — w tym przypadku chodzi o ekspansję gospodarczą, a nie kolonialną; *Jedyną kolonią polskiej w Azji Mniejszej — Adampolowi — grozi ztarczenie* (1937) — tu motywem przewodnim było uchronienie od wynarodowienia potomków osadników polskich w Turcji. Klasyczne dla tej kategorii były reportaże z Afryki Jerzego Giżyckiego: *Hebanowa młodzież bawi się w białych...* (1933) — korespondencja z Bamako w Sudanie francuskim (obecnie Mali); *Kraj amazonek i świętych węży* (1933) — reportaż z Dahomeju; *Królowie — niewolnicy* (1936) — opis społeczności afrykańskich, nawiązujący do *Złotej gałęzi* Frazera; *Wylew na Czarnym Łądzie. Na rzece Felu w Gwinei Francuskiej* (1936).

Inspiracją do niekoniecznie bezpośredniego propagowania akcji kolonialnych były wydarzenia incydentalne, niemniej kierujące uwagę na sprawy kolonialne, dostarczające takich okazji. Na przykład opublikowanie nekrologu gen. Gustawa Orlicz-Dreszera (1936), pociągnęło za sobą szereg artykułów: *Złamana orle skrzydła* Ludwika Rubla (1936) — wspomnienie o prezesie LMiK, który zginął w katastrofie lotniczej nad Bałtykiem w pobliżu Gdyni, „*Tak dalek być nie może*”. *Ostrzegawcza mowa śp. Gen. Dreszera* (1936) — obszerny fragment przemówienia wygłoszonego na zjeździe Ligi Morskiej i Kolonialnej. W żadnym z tych tekstów, co prawda, nie padło słowo o konieczności zdobywania kolonii dla Polski, niemniej ich kontekst był oczywisty — trzeba starać się o kolonie: oto testament Generała.

Publikowano również relacje z wypraw badawczych, odwoływano się do autorytetów naukowych. Pismo zabiegało zresztą o ich obecność, informowało o obejmowaniu patronatem akademickim spraw kolonialnych, czyli o tworzeniu stosownych katedr i kierunków studiów na uczelniach. Wreszcie, na jego łamach zamieszczano artykuły i reportaże z posiadłości brytyjskich, francuskich, włoskich, z pozoru niemające związku z polskimi postulatami kolonialnymi, niemniej z uznaniem wypowiadające się o administracji tych państw w ich terytoriach zamorskich, podkreślające wagę władania owymi posiadłościami dla mocarstwowego znaczenia metropolii.

Teksty dotyczące przygód w tropikach, opisy wypraw badawczych, relacje o życiu w rozmaitych posiadłościach państw europejskich w Azji, Afryce, Ameryce Południowej, ogólne wezwania do aktywności zamorskiej, do ekspansji gospodarczej na dalekich łądach — wszystko to, mimo braku wyraźnych postulatów kolonialnych, rozbudzało zaciekawienie obszarami zamorskimi, przyczyniało się do wzrostu zainteresowania ideą kolonialną, tworzyło niezbędną po temu atmosferę. Był to efekt dynamiki dyskursu kolonialnego, objawiającej się w coraz liczniejszych wypowiedziach i tekstach na ten temat, a także w częstszym odwoływaniu się do języka postulatywnego.

Ciekawe jest porównanie częstotliwości tekstów dotyczących polskich postulatów kolonialnych wyrażanych bezpośrednio z częstotliwością tekstów ogólnie rozprawiających o koloniach. Proporcje te przedstawiają się odmiennie w poszczególnych latach.

Lata 1928–1930 były pod tym względem zrównoważone, w 1931 roku mniej było tekstów dotyczących polskich postulatów kolonialnych, więcej zaś tekstów zajmujących się ogólnie ideą kolonialną. W 1932 roku artykuły te uległy ponownemu zrównoważeniu. Z kolei lata 1933–1934 były skąpe w teksty postulatywne, a obfite w teksty generalne, przede wszystkim w reportaże z egzotycznych obszarów. W latach 1935–1936, a zwłaszcza 1937–1939 przeważały teksty mówiące o koloniach dla Polski, dopominające się podjęcia energicznych starań dla ich pozyskania. W 1939 roku tekstów zajmujących się ogólnie ideą kolonialną nie było wcale.

Teksty mówiące o koloniach w kontekście roszczeń niemieckich nie ukazywały się z jednakową częstotliwością przez cały okres międzywojenny. Pierwsza informacja na ten temat pochodzi z 1921 roku, kolejny artykuł pojawił się dopiero w 1926 roku, następny zaś w 1929 roku. Lata 1929–1934 (z przerwą na rok 1931) też nie były obfite w artykuły antyniemieckie — publikowano po dwa, trzy teksty rocznie. Ich natężenie wzrosło jednak w 1935 roku i trwało do 1939 roku. Dynamika wypowiedzi na ten temat i częstotliwość ich ukazywania się w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” wynikały z dynamiki niemieckich postulatów kolonialnych. Artykuły w „IKC” stanowiły zazwyczaj polemiczną odpowiedź na roszczenia Niemiec, ale nie tylko — wynikały również z polskiej polityki zagranicznej dotyczącej stosunków polsko–niemieckich. W tej sferze zagadnień „IKC” stosował się do linii politycznej rządu:

Po dojściu Hitlera do władzy zwracano uwagę, że w Niemczech hitlerowskich jeszcze bardziej nasiliły się tendencje do odzyskania kolonii, że w zapomnienie już poszły enuncjacje Hitlera w „Mein Kampf”, że sprawa kolonialna Rzeszy nie interesuje. Nic więc dziwnego, że dla wszystkich publicystów podejmujących problem rewizjonizmu kolonialnego było rzeczą zupełnie oczywistą, że Hitler po ustabilizowaniu się stosunków wewnętrznych, uzbrojeniu Niemiec na lądzie i na morzu zgłosił żądania kolonialne. (...) Polską opinię publiczną o niemieckim rewizjonizmie kolonialnym informowały nie tylko wydawnictwa ligowe [Ligi Morskiej i Kolonialnej]. Wiele artykułów na ten temat publikowała nieoficjalna

rządowa „Gazeta Polska”, najpopularniejszy dziennik „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Polityka Narodów” [specjalistyczny kwartalnik wydawany pod egidą MSZ] i inne. (...) Permanentne wysuwanie przez Niemcy żądań zwrotu kolonii należy w tej sytuacji uznać za jedną z przyczyn, która spowodowała uwzględnienie w programie Ligi także i postulatu przyznania Polsce części byłych kolonii niemieckich. Ten postulat Ligi należy nawet w tych okolicznościach traktować jako formę polemiki z niemieckim rewizjonizmem. Co więcej, w taki właśnie instrumentalny sposób próbowało wykorzystać niemiecki rewizjonizm kolonialny polskie MSZ (Białas 1983, s. 174–175).

Te trzy aspekty, „polsko–kolonialny”, „ogólno–kolonialny” i „antyniemiecki”, tworzyły węzeł czy zręcznie — zintegrowane postulaty kolonialne, przy wysuwaniu których posługiwano się rozmaitymi argumentami. Dla przykładu: w niepodpisanym artykule pod tytułem *Jak powstawały kolonie zamorskie?* (1929) przypomniano mało znany fakt — próbę uzyskania przez Bawarię w latach 1529–1612 posiadłości w Ameryce Południowej (na terenie obecnej Wenezueli). Przy tym usiłowania te określone zostały jako „wyprawa kolonizacyjna niemiecka”, nie bawarska; w tekście konsekwentnie powtarzały się określenia: Niemcy, niemiecki, niemiecka itd. W artykule tym zwraca się również uwagę na barbarzyństwo niemieckie (!) i nieludzkie poczynania Niemców (!) wobec Indian. Inny dziennikarz, Hajot, w artykule *A teraz kolej na kolonie! W oczekiwaniu na nową bombę rewizjonistyczną niemiecką* (1932) przestrzegał, że kolonialne roszczenia niemieckie są fragmentem ogólniejszych prób rewizji Traktatu Wersalskiego. Kazimierz Jeziorański swój artykuł zatytułował: *Sztandary hitlerowskie w Afryce! Co się stanie z koloniami mandatowymi?* (1935). Ostrzeżenia przed kolonialnym rewizjonizmem niemieckim mieściły się w nurcie postulatów, by Polska miała udział w sprawowaniu mandatu nad częścią byłych afrykańskich posiadłości Niemiec; artykuł ilustrowany był zdjęciem budynku rządowego w Duala w Kamerunie, wtedy głównym mieście Kamerunu francuskiego (obecnie stolicą Kamerunu jest Jaunde — ma to nasuwać skojarzenia z tzw. uzasadnieniami historyczno–prawnymi, wynikającymi z wyprawy Stefana Szolc–Rogozńskiego do Kamerunu). Informacja zatytułowana *Polsce należy się mandat kolonialny* (1935) to krótka relacja z VI Walnego Zjazdu delegatów Ligi Morskiej i Kolonialnej w Gdańsku i Gdyni, na którym przyjęto wnioski o mandacie kolonialnym dla Polski. Tuż obok, pod tym samym tytułem, opatrzonym podtytułem *Żądania kolonialne Niemiec*, zamieszczona została informacja o kongresie Niemieckiego Związku Kolonialnego. Niepokój budziły nie tylko niemieckie żądania zwrotu dawnych kolonii, ale także jakiegokolwiek roszczenia III Rzeszy do posiadania kolonii. W artykule *Niemcy chcą zaspokoić swe pretensje kolonialne kosztem Belgii i Portugalii* (1937) wyrażono obawę, że Francja i Wielka Brytania dla ugłaskania Niemiec przeprowadzą z nimi „wymienny handel kolonialny”: ze swoich poniemieckich mandatów, co prawda, nie ustąpią, ale wywrą naciski na Belgię i Portugalie, by kosztem ich kolonii (Kongo Belgijskie i Angola albo Mozambik) zapewnić spokój ze strony III Rzeszy.

W następnych latach — co ukazuje analiza ilościowa częstotliwości antyniemieckich nawrotów tematycznych — tego rodzaju tekstów było coraz więcej. Wysuwanie przez Niemcy żądań zwrotu byłych kolonii przy jednoczesnym domaganiu się kolonii przez Polskę musiało budzić zaniepokojenie sojuszników. Zapewne dlatego w 1938 roku, gdy zaostrzyły się żądania rewindykacyjne III Rzeszy (rozmowy dyplomatyczne polityków polskich i niemieckich wywołały niepokój co do intencji rządu polskiego), na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” uspokajano, że Polska nie idzie w tej sprawie ręką w rękę z Niemcami.

Akcja emigracyjno-osadnicza, którą władze starały się sterować, miała w zamysle niektórych działaczy stanowić przygotowanie do masowej kolonizacji wybranego obszaru; w sprzyjających okolicznościach powinna doprowadzić do bezpośredniej akcji kolonialnej, czyli uzyskania jakiegoś terytorium w drodze układów z metropolią: poprzez odkupienie lub wydzierżawienie go dla ustanowienia tam rodzaju polskiego okręgu autonomicznego. Sprzyjać temu miała spora liczba osiadłych i zagospodarowanych już osadników — ilość w tym mniemaniu mogła przekształcić się w jakość.

Sprawa emigracji i jakości życia emigrantów pojawiała się w strukturze tematycznej dyskursu od samego początku i w różnych kontekstach. Do jej nasilenia doszło po 1927 roku — stała się ona wówczas jedną z treści dyskursu kolonialnego, związaną z jego dynamiką.

Niekiedy trudność sprawia wyodrębnienie zagadnień emigracyjno-osiedleńczych spośród wypowiedzi dotyczących *stricto* idei kolonialnej. Często bowiem wątki ściśle kolonialne (postulaty uzyskania terytoriów zamorskich podległych politycznie Polsce lub negujące tę potrzebę) przeplatały się z emigracyjnymi. Dlatego też analiza ilościowa tego zagadnienia może być dokonana dopiero po arbitralnym zaszeregowaniu niektórych tekstów do tematów emigracyjnych (dominują w wypowiedziach lub stanowią istotny ich wątek).

„Ilustrowany Kurier Codzienny” włączył się zatem do dyskursu kolonialnego z dużą częstotliwością i dynamiką, propagując polskie postulaty kolonialne niemal od momentu, gdy zostały one wyraźnie sformułowane, czyli od 1928 roku, aż do września 1939 roku; czasem rzadziej, czasem z większą częstotliwością, jednak konsekwentnie; zarówno w tekstach wprost formułujących polskie oczekiwania kolonialne, jak i w tekstach poruszających ogólne zagadnienia związane z posiadaniem kolonii czy wreszcie w takich, które zwracały uwagę na kolonialne pretensje niemieckie. W latach 1928–1939 było to jedno z głównych zagadnień w strukturze tematycznej dyskursu kolonialnego, jaki można śledzić na przykładzie „IKC”. Co istotne, nie były to teksty, które wprost wyrażałyby opinie Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy innych instytucji państwowych. Polskie postulaty kolonialne wysuwane były głównie przez Ligę Morską i Kolonialną lub przez grupy zainteresowane akcją kolonialną — instytucje i ośrodki pozarządowe, społeczne, półoficjalne, formalnie niezwiązane z władzami państwa.

Nazwy instytucji rządowych czy nazwiska osób piastujących stanowiska rządowe pojawiały się jedynie w tekstach stanowiących wezwanie pod adresem władz, by te na forum międzynarodowym oficjalnie i energicznie domagały się kolonii dla Polski, a na forum wewnętrznym jasno i otwarcie stawiały sprawę jako żywotną i ważną dla kraju i obywateli. Postulaty te były sygnowane przez konkretnych autorów (redakcję, organizacje pozarządowe). Była to forma publicystycznego nacisku na ośrodki władzy.

Pismo oczywiście uważało, by nie wikłać zbyt otwarcie oficjalnych władz w problem kolonialny. Na temat postulatów kolonialnych wypowiadało się za pomocą artykułów (reportaże, publicystyka) autorskich osób zainteresowanych zagadnieniem, ale także poprzez publikację zagranicznych doniesień agencyjnych związanych z tym problemem i depeš swoich korespondentów krajowych i zagranicznych, a wreszcie tekstów autorów związanych z Ligą Morską i Kolonialną czy też innego typu organizacjami i stowarzyszeniami zainteresowanymi pozyskaniem dla Polski posiadłości zamorskich (można chyba sądzić, że w tym ostatnim przypadku teksty, aczkolwiek autorskie, inspirowane były przez owe organizacje i przez nie kierowane do druku na łamach „IKC”).

Dodać należy, że w dzienniku — choć w skromnej ilości — ukazywały się także teksty sprzeciwiające się podjęciu przez Polskę akcji kolonialnej. Można domniemywać, że poza celami czysto dziennikarskimi (nic tak nie ożywia pisma, jak polemika na jego łamach), miały one świadczyć o neutralności i obiektywizmie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Nawiasem mówiąc, taka polityka redakcyjna przyczyniała się do zwiększenia poczytności i popularności dziennika. Zatem zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy postulatów kolonialnych znajdowali w nim potwierdzenie swoich poglądów.

O ile początkowo nacisk kładziono na sprawy pozyskiwania surowców

(kolonie dostarczają surowców dla przemysłu, równocześnie zaś są rynkiem dla fabrykatów przemysłowych (...) import surowców kolonialnych stale wzrasta (...) w imporcie surowców kolonialnych silnie zwiększa się udział kontynentu afrykańskiego)

wraz ze statystycznymi wyliczeniami eksportu i importu owych surowców (surowce włókiennicze, tłuszcze roślinne, kauczuk, ziarno kakaowe, nasiona oleiste, sisal, rudy żelaza i miedź) oraz podsumowaniem, że

handel zagraniczny (...), wiążąc ze sobą pewne terytoria, może doprowadzić do uzależnienia ekonomicznego i politycznego terenów surowcowych od państwa polskiego (*Żądamy...* 1936, s. 7)⁴,

o tyle później, poza statystyką, która wciąż była widoczna, szczególną uwagę przywiązywano do domagania się kolonii przez szerokie rzesze społeczeństwa

⁴ Argumentowanie posiadania kolonii czynnikami gospodarczymi przyciągało zwolenników idei kolonialnej.

— była to formą nacisku na władze, by te zajęły wyraźne stanowisko i podjęły działania zmierzające do pozyskania terytoriów zamorskich.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” zdecydowanie zaangażował się w popularyzację polskich postulatów kolonialnych, stosując właściwie popularnemu dziennikowi *story lines* — narracje o rzeczywistości politycznej, dostarczające odniesień organizujących potoczne rozumienie rzeczywistości. Świadczyć o tym może analiza ilościowa tekstów o charakterze kolonialnym i widoczna w tej analizie dynamika tematu: duża liczba publikacji zarówno bezpośrednio domagających się kolonii, jak i bardziej zawoalowanych, mówiących o znaczeniu kolonii nie tylko dla Polski, ale ogólniej dla państw europejskich, a także dobór ich autorów — znani powszechnie i cenieni pisarze, dziennikarze i naukowcy.

Jeśli pismo o takim profilu sporo uwagi poświęcało polskim aspiracjom kolonialnym, to można przypuszczać, że tematyka ta interesowała czytelników. Nie można jednak wykluczyć i odwrotnej możliwości — że pojawiająca się na łamach „IKC” publicystyka kolonialna (artykuły, sprawozdania, informacje i reportaże na ten temat) miała służyć popularyzacji idei kolonialnej w społeczeństwie. Wreszcie, co najbardziej prawdopodobne, oba aspekty mogły łączyć się ze sobą: „Ilustrowany Kurier Codzienny” odpowiadał tymi tekstami na zainteresowania czytelnicze, zarazem propagując ideę kolonialną w szerokich rzeszach społeczeństwa.

Zestawienia liczbowe dotyczące częstotliwości ukazywania się na łamach danego pisma tekstów poświęconych sprawom kolonialnym sprawdzają się również w przypadku „Gazety Polskiej” — pozwalają na szybki i obiektywny wgląd w dynamikę dyskursu, na łatwiejszą jego analizę, uprawomocnione interpretacje poparte wskaźnikami liczbowymi. Zacząć należy od obecności w „GP” materiałów odnoszących się wprost do polskiej idei kolonialnej. W 1929 roku (dziennik powstał w końcu października tego roku) zamieszczono tu jedynie dwa teksty poświęcone temu zagadnieniu: jeden dotyczył wychodźstwa polskiego w Brazylii, drugi przynosił informację o wyjeździe pierwszego polskiego plantatora do Angoli.

O ile w przypadku „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” dynamika dyskursu kolonialnego stała się wyraźnie widoczna od lat 1928–1929, czyli od czasu, gdy powstała „Gazeta Polska”, o tyle w samej „Gazecie Polskiej” częstotliwość wypowiedzi na tematy kolonialne wzrosła od 1936 roku. Wcześniejsza powściągliwość „GP”, dziennika półoficjalnego, prorządowego, wynikała z dostosowywania się jeśli nie do zaleceń, to do linii politycznej władz, dotyczącej problemu kolonialnego, oficjalnie powściągliwej. Dopiero po śmierci Józefa Piłsudskiego, niechętnego idei kolonialnej, „Gazeta Polska” zdecydowała się na bardziej otwarte wypowiedzi w sprawach kolonialnych.

Wprawdzie minister Józef Beck był kontynuatorem poglądów Piłsudskiego na kwestię kolonialną, zaczął się jednak wycofywać z bezwzględnej jej ne-

gowania. Czynił to po części pod naciskiem swoich podwładnych — wysokich urzędników MSZ, z których wielu było sympatykami idei kolonialnej i działaczami Ligi Morskiej i Kolonialnej. Zresztą — co zostało już wykazane — właśnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w połowie 1936 roku (naturalnie, po śmierci Piłsudskiego) został sformułowany polski program kolonialny. Miał on, co prawda, charakter półoficjalny i był moderowany przez ministra Becka, niemniej stał się podstawą do śmielszego wysuwania postulatów przez prasę popularną. Sam Beck uznał przydatność pewnych form idei kolonialnej jako pretekstu do domagania się tak zwanego wolnego dostępu do surowców i wolności emigracji:

Krzyk i hałas robiony przez Ligę, która dopóki była morską, miała rozsądne cele, a z chwilą, kiedy stała się kolonialną, dawała zbyt wielką folgę imaginacji, jest pod tym względem klasyczny. Ponieważ jednak, jak wspomniałem, o tych tak zwanych kolonialnych zagadnieniach dyskutowano wiele na forum międzynarodowym, starałem się ująć polskie postulaty w jakąś rozsądną ramę (Beck 1987, s. 130).

Dodatkową przyczyną wzrostu liczby wypowiedzi na tematy kolonialne w „Gazecie Polskiej” był rozpad („dekompozycja”) obozu belwederskiego — dzięki temu pismo, nie tracąc charakteru półoficjalnego organu rządowego i płynących stąd korzyści (łatwiejszy dostęp do informacji), mogło lawirować pomiędzy różnymi grupami sanatorów, których część zainteresowana była ideą kolonialną; zostało również ośmielone sformułowanym w MSZ programem kolonialnym. O ile więc do 1936 roku dziennik skupiał się raczej na sprawach emigrantów lub omawiał ogólne problemy kolonialne innych krajów, każąc jedynie domyślać się zainteresowań polskich w tych kwestiach, czy wreszcie popularyzował wiedzę o terytoriach egzotycznych, o tyle po tej dacie publikował coraz więcej kolonialnych postulatów. Przed 1936 rokiem „Gazeta Polska” zamieszczała dosyć liczne reportaże z egzotycznych stron świata (Azji, Afryki, Ameryki Południowej, wysp Oceanii), wrażenia z podróży po obszarach egzotycznych, artykuły o charakterze popularnonaukowym, przybliżające kultury pozaeuropejskie. Tego rodzaju teksty, informacyjne czy tylko ciekawostkowe, choć nie zawierały postulatów uzyskania posiadłości zamorskich, budowały — pośrednio — atmosferę zainteresowania w społeczeństwie zagadnieniami kolonialnymi (poprzez fascynowanie egzotyką, przygodą, dziwacznością odmiennych obyczajów). Wyraźne postulaty uzyskania kolonii pojawiły się dopiero w drugiej połowie lat 30., po 1936 roku.

Można sądzić, chyba słusznie, że częstotliwość wypowiedzi „ogólnokolonialnych”, popularnonaukowych czy dotyczących spraw i warunków bytowych wychodźstwa polskiego na emigracji w latach 1929–1936 zastępowała publicystykę kolonialną.

Po 1936 roku formy zastępcze nie były już potrzebne, niemniej artykuły popularyzatorskie nadal pojawiały się na łamach pisma, podobnie jak rozważania „ogólnokolonialne” — te jednak, przedstawiając politykę zamorską metropolii

europejskich, uwzględniały szanse włączenia się do niej Polski. Zwiększenie się liczby wypowiedzi domagających się podjęcia starań o uzyskanie własnych terytoriów kolonialnych po części wynikało z tęsknoty za gospodarowaniem „na swoim”, to znaczy polskim (w szerokim rozumieniu tego pojęcia, choćby to „polskie” nie było w Polsce, lecz w jej koloniach), po części zaś z zapatrzenia się na Anglików czy Francuzów i wynikającej stąd niechęci do pozostawania emigrantem:

Bo u nas, panie, w Brazylii nie jest tak, jak we francuskich czy angielskich koloniach. Tam Francuz zostaje Francuzem, Anglik Anglikiem. Tu nie są nasze kolonie i tu człowiek musi przyjąć z czasem obywatelstwo brazylijskie (...). Gdyby Polska dostała jakieś kolonie czy w Afryce, czy choćby w tej Australii, to jakem starry, wszystko bym sprzedał i szedłbym tam na kolonistę (...). Nic, ino swoje kolonie Polska musi dostać (Kossowski 1937, s. 5)⁵.

Pismo zwracało też uwagę na politykę zachodniego sąsiada, w tym oczywiście w aspekcie jego dążeń kolonialnych czy właściwie dążeń do odzyskania posiadłości (przynajmniej niektórych) sprzed I wojny światowej. Pierwsze dwa lata istnienia „Gazety Polskiej” nie przynoszą na ten temat żadnych materiałów, dopiero w numerze 77 z 1931 roku pojawił się odpowiedni artykuł; następny został zamieszczony w numerze 104 z 1933 roku. Kolejne dwa lata życia pisma, 1934 i 1935, charakteryzują się nieobecnością tego zagadnienia. Dopiero od 1936 roku problematyka ta stała się częstsza, szczególnie w 1939 roku, ale wtedy zaczęto się już liczyć z konfliktem wojennym.

Wątek ten jak najbardziej mieścił się w dyskursie kolonialnym. Dążenia niemieckie do odzyskania kolonii, rozpoznawane nie tylko jako zagrożenie terytorialną polityką rewizjonistyczną Berlina, ale także jako konkurencja wobec polskich aspiracji kolonialnych, były rzadko uwzględniane w piśmie. Jego powiązanie z obozem rządzącym kazało respektować ogólne założenia politycznych ośrodków decyzyjnych państwa dotyczące stosunków z Niemcami. Starły się one nie dostarczać pretekstów mogących wywoływać agresywne propagandowo wystąpienia niemieckie. Dotyczyło to także spraw kolonialnych.

Sporo natomiast uwagi „Gazeta Polska” poświęcała emigracji i wychodźstwu polskiemu na obczyźnie, szczególnie w krajach tropikalnych. Sprawy dotyczące emigracji, choć stanowiły odrębne zagadnienie, łączyły się jednak z ideą kolonialną i akcjami zamorskimi w dyskursie kolonialnym w Drugiej Rzeczypospolitej, stanowiąc — co już kilkakrotnie podkreślałem — jeden z argumentów mających uzasadniać polskie aspiracje do uzyskania terytoriów zamorskich czy to

⁵ Jest to reportaż z Kurytyby. Rozmówcą autora był starszy emigrant z Brazylii. Najwyraźniej idea kolonialna dotarła do osadników od lat już urządzonych w tropikach, niemniej nadal marzących o własnych, polskich posiadłościach. Obok takich wypowiedzi zdarzały się i fascynujące egzotyki, aczkolwiek emigranci w Brazylii mieli jej pod dostatkiem (np.: *Ludożercy... 1937* — o Nowej Gwinei; Mikorska 1939).

w formie bezpośredniej podległości politycznej, czy też wolnego do nich dostępu gospodarczego i kolonizacyjnego (w rozumieniu: osadniczego).

Zagadnienie to w przypadku „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” nastęczało pewne trudności — wypowiedzi na te tematy (artykuły, publicystyka, felietony, wszelkiego rodzaju teksty) łączyły się często z problemem kolonii. W wielu tekstach autorzy poruszali jednocześnie kwestie kolonialne, emigracyjne, surowcowe, osadnicze (można kolokwialnie powiedzieć, że wrzucali je do jednego kolonialnego worka), zatem dywersyfikacja wypowiedzi dotyczących spraw kolonialnych i emigracyjnych praktycznie była trudna do wykonania. Podobne zjawisko miało miejsce również w „Gazecie Polskiej”, jednakże tu rozdzielanie obu kwestii nie nastęczało większych kłopotów — separacja tych tematów była wyraźniejsza. Znaczna liczba tekstów dotyczących problemów emigracji mogła wynikać z faktu powiązania „Gazety Polskiej” z ośrodkami rządowymi. Przypomnieć trzeba, że Urząd Emigracyjny był od pewnego momentu częścią Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a program emigracyjny został sformułowany przez instytucje państwowe znacznie wcześniej od kolonialnego i przez nie był realizowany.

Trudno porównywać liczbę tekstów dotyczących idei kolonialnej i związanych z nią zagadnień w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” i „Gazecie Polskiej”. Pierwszy dziennik (pomijając wcześniejsze lata istnienia pisma) wychodził od 1918 roku, drugi od 1929 roku. W latach 1929–1939 problematyka ta znacznie częściej gościła na łamach „IKC”. Zapewne dlatego, że krakowski dziennik był bardziej swobodny w doborze i publikacji materiałów oraz zawartych w nich opinii. „GP” jako organ rządowy musiała liczyć się z oczekiwaniami sfer decyzyjnych, niemniej była ważnym uczestnikiem dyskursu kolonialnego.

Warto dodać, że uboższy w „Gazecie Polskiej” jest temat, nazwijmy go, kolonialno–antyniemiecki — jest to również wynik przestrzegania przez to pismo aktualnych tendencji polityki zagranicznej państwa, zwłaszcza w zakresie stosunków polsko–niemieckich. Z kolei częstotliwość tematu emigracyjnego jest porównywalna w obu dziennikach.

Również w przypadku „Gazety Warszawskiej” (pod nazwą tą uwzględniam także późniejsze wersje tytułowe pisma: „Gazetę Poranną Warszawską” i „Warszawski Dziennik Narodowy”; pamiętać przy tym należy, że niezależnie od tytułu było to jedno i to samo pismo, organ Stronnictwa Narodowego) analiza częstotliwości wypowiedzi ujawnia zarówno częstotliwość nawrotów tematycznych, jak i szerzej — jakie treści zajmują centralne miejsce w strukturze tematycznej dyskursu. Podobnie jak w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” i „Gazecie Polskiej”, tak i tu wyodrębniają się cztery zasadnicze tematy: polska idea kolonialna, generalne spojrzenie na sprawy kolonialne, kolonie a dążenia niemieckie do ich odzyskania, emigracja. Poza tym można tu dostrzec narracje o rzeczy-

wistości, a także jak te narracje organizują rozumienie rzeczywistości, a wreszcie jak odzwierciedlają dynamikę dyskursu.

Zwracając uwagę na organizowanie rozumienia rzeczywistości przez narracje na łamach pisma, trzeba pamiętać, że od 1926 roku było ono nastawione opozycyjnie do obozu belwederskiego, a i wcześniej niechętnie mu. Owo opozycyjne nastawienie „Gazety Warszawskiej” — szerzej zaś Narodowej Demokracji — do obozu rządzącego po 1926 roku wpływało na jej stosunek do problematyki kolonialnej. W przeciwieństwie do wyżej omówionych pism „Gazetę Warszawską” charakteryzowała powściągliwość w tej kwestii — owszem, pojawiały się wypowiedzi optujące za koniecznością uzyskania kolonii przez Polskę, jednak pod warunkiem, że nie będzie to posiadłość osadnicza, ale o charakterze gospodarczym, przynosząca profity ekonomiczne, przede wszystkim zaś mająca budować mocarstwową pozycję Polski w świecie.

W okresie 1918–1927 temat polskiej idei kolonialnej, programu i postulatów kolonialnych był nieobecny na łamach pisma. Jedynie w 1925 roku pojawiły się dwa teksty związane (aczkolwiek bardzo luźno) z tą tematyką: list czytelnika, misjonarza z Kongo francuskiego, oraz relacja o zamierzonej wyprawie Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego do Afryki. Był to okres charakteryzujący się zwiększeniem się dynamiki dyskursu w całej prasie popularnej — teksty dotyczące spraw kolonialnych stawały się coraz liczniejsze.

„Gazeta Warszawska” (i jej sponsor, Narodowa Demokracja) nie była zasadniczo przeciwna idei kolonialnej, niemniej postulaty kolonialnej nie leżały na głównej linii zainteresowań tego pisma — skupiało się ono na polityce wewnętrznej kraju i zagrożeniu ze strony Niemiec.

„GW” uważała, że część dawnych posiadłości niemieckich powinna przypaść Polsce jako odszkodowanie wojenne. Nie były to zatem postulaty zdecydowanie kolonialne, raczej antyniemieckie, zwłaszcza że polskie oczekiwania mandatowe wyrażane przez „Gazetę Warszawską” dotyczyły przeważnie Kamerunu — niegdysiejszej kolonii niemieckiej. Po części wynikało to również z motywów historycznych — powoływano się na obecność i dokonania Stefana Szolc-Rogozińskiego w Kamerunie. Był to dodatkowy argument, o tyle ważny, że gdy sprawa otrzymania mandatu przez Polskę stała się nieaktualna, dziennik sugerował podjęcie rozmów z Paryżem w sprawie ustanowienia w Kamerunie kondominium francusko-polskiego (na Szolc-Rogozińskiego powoływały się wszystkie gazety, niezależnie od ich orientacji politycznej).

Większa była częstotliwość artykułów omawiających problemy kolonii państw europejskich, a także generalnie sprawy kolonialne. Były to głównie teksty o charakterze etnograficznym, pokazujące życie tak zwanych ludów tubylczych. Część z nich dotyczyła obyczajów poszczególnych plemion, część była poświęcona takim tematom jak animizm, magia, czary czy wierzenia ludów egzotycznych Afryki, Azji, Oceanii i Ameryki Południowej. Chętnie poruszano zagadnienie struktury plemiennej (struktura władzy i organizacja społeczna, pra-

wo, promiskuityzm, małżeństwa, systemy pokrewieństwa, egzogamia, endogamia, rodziny patrylinearne i matrylinearne, rites de passage, języki i dialekty, wymiana rytualna, obrzędy, budownictwo, sposoby życia rozmaitych plemion, wreszcie zwyczaje budzące grozę, np. kanibalizm).

Egzotyka zamorska, często w formie ciekawostkowej, o zacięciu popularno-naukowym, z wydobyciem sensacyjności, interesowała czytelników, jak można wnosić z jej częstotliwości, zwiększała popularność gazety, zaś w przypadku druku materiałów bardziej ambitnych — dodawała jej powagi w oczach odbiorców. Wobec względnie skąpej (w porównaniu z innymi pismami) liczby tekstów poświęconych polskiej idei kolonialnej, artykuły te (opracowania popularyzatorskie, reportaże, „obrazki” z dalekich lądów), fascynujące egzotyką i zadziwiającymi obyczajami dzikich, stanowiły swego rodzaju zastępstwo zagadnienia kolonialnego, na łamach innych pism wyrażanego wprost. Wiele z nich było niepodpisanych, nie miały bowiem charakteru autorskiego, a jedynie redakcyjny — były to często kompilacje sporządzone na podstawie opracowań (naukowych lub popularnych) pism i książek zagranicznych. Działo się tak również w przypadku artykułów popularno-naukowych zamieszczanych na łamach wcześniej opisanych dzienników popularnych.

Z kolei częstotliwość i rozkład tekstów dotyczących kolonialnych dążeń niemieckich w powiązaniu z kolonialnymi oczekiwaniami Polski nie wygląda imponująco. Skąpa liczba artykułów na temat kolonialnego rewizjonizmu Niemiec, i to w organie Narodowej Demokracji, uważanej za ugrupowanie, które głównego przeciwnika Polski upatrywało w Niemczech, jest zastanawiająca. Zapewne dziennik koncentrował się na bezpośrednim zagrożeniu ze strony zachodniego sąsiada: na obronie polskich interesów w Gdańsku, obronie polskości Pomorza, bezpiecznym dostępie do Bałtyku, niebezpieczeństwie niemieckiej ekspansji gospodarczej w Polsce. Sprawy *stricto* kolonialne pojawiały się wówczas, gdy jawnie kolidowały z polityką polską.

Niezbyt często „Gazeta Warszawska” zabierała głos w sprawie emigracji, nawet gdy chodziło o domaganie się, by państwo otoczyło opieką skupiska Polaków w krajach zamorskich i broniło ich przed wynarodowieniem. Niewielka częstotliwość tematu wynikała z tego, że Stronnictwo Narodowe, a więc i „Gazeta Warszawska”, było przeciwnie emigracji. Jeśli już, to postulowano emigrację społeczności etnicznie niepolskich: żydowskiej i rusińskiej (ukraińskiej). Emigracja Polaków osłabiała — według opinii endeckich uczestników dyskursu — etniczny żywioł polski w kraju, co odczytywano jako groźbę depopulacji etnicznego substratu polskiego i pogorszenia się stosunków narodowościowych w kraju. Uznano jednak, że emigracja jest nie do zahamowania, dlatego też należy podjąć takie zabiegi, by nie odbywała się żywiołowo, lecz w sposób zorganizowany, sterowany interesami politycznymi państwa, aby wychodźcy byli zabezpieczeni materialnie i finansowo przez państwo, by udawali się tam, gdzie już istnieją skupiska polskie. Skupiska te powinno się wiązać z Polską, nie dopuszczać do ich wy-

narodowienia; należy dążyć do tego, aby praca wychodźców przynosiła korzyści krajowi. Ponieważ ośrodki i instytucje rządowe miały taki właśnie lub podobny program, naturalny był brak większych i zasadniczych polemik na ten temat.

Dosyć szczegółowa analiza materiałów ukazujących się na łamach trzech wymienionych dzienników może wydawać się nużąca, niemniej wielu czytelników może być zainteresowanych tym, co dokładnie i w jakim duchu w owych pismach pisano.

Niemożliwe jest przeprowadzenie szczegółowej analizy ilościowej popularnych broszur i książek o tematyce kolonialnej. Dane liczbowe dotyczące tych publikacji zostały podane w kategoriach bardzo ogólnych i nie są pewne, a jedynie przybliżone, często tylko domniemane. Wiele z nich opublikowała Liga Morska i Kolonialna. Biblioteka Ligi Morskiej i Kolonialnej liczyła w 1931 roku 500 tomów (książek i broszur), w połowie lat 30. — 6624 tomy, a we wrześniu 1939 roku — około 16 000 tomów (Nadolska–Styczyńska 2005, s. 40). Nie wszystkie tytuły Biblioteki dotyczyły spraw kolonialnych. Wiele z nich koncentrowało się na sprawach tak zwanego wychowania morskiego, ale i to była „droga do kolonii”.

Wiele z tych publikacji (wydanych zarówno przez LMiK, jak i przez innych wydawców) uległo zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Pozostałe zgromadziła Liga Morska — swoista kontynuatorka Ligi Morskiej i Kolonialnej — działająca od 1944 roku. W 1949 roku rozpoczęto jednak likwidację Ligi Morskiej — organizacja przestała istnieć w 1953 roku, kiedy to część jej infrastruktury i zadań powierzono organizacji „Służba Polsce”, część połączono z Polskim Związkiem Zachodnim, a pozostałe wchłonęła Liga Przyjaciół Żołnierza. Ocalałe publikacje Biblioteki LMiK zostały rozproszone pomiędzy różne instytucje. Trudne do ogarnięcia ilościowego są również inne środki popularyzujące ideę kolonialną: filmy, audycje radiowe, pogadanki, odczyty publiczne.

Chronologia dynamiki dyskursu kolonialnego

Przedstawiona wyżej analiza ilościowa dyskursu kolonialnego skłania do przesłania jego dynamiki. Zaznaczyła się ona już w 1919 roku, kiedy to na konferencji pokojowej w Wersalu zgłoszono postulaty przyznania Polsce mandatu z kolonii niemieckich. Oczywiście, nie był to w pełni dyskurs kolonialny — żądania te wiązały się raczej z rekompensatą za wojnę. Dynamika dyskursu stała się bardziej widoczna od lat 1925–1926 — sprawy kolonialne zaczęły wówczas być coraz częściej podnoszone. Zdecydowanego wyrazu nabrała od lat 1928–1929; natężenie tej dynamiki od owego okresu widoczne jest u wszystkich uczestników dyskursu, tak elitarnego, jak i popularnego. Naturalnie, dla każde-

go z nich apogeum natężenia przypadało na trochę inne lata, niemniej mieszczące się w podobnym przedziale czasowym.

Zauważalne zwiększenie się dynamiki dyskursu w latach 1925–1926 było związane z działalnością Ligi Morskiej i Rzecznej oraz powstaniem w 1926 roku Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego i jego organu: „Kwartalnika Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”.

Lata 1928–1929 stanowiły przełom w natężeniu dyskursu kolonialnego, zwłaszcza w przypadku Ligi Morskiej i Kolonialnej oraz jej miesięcznika „Morze”. To w 1928 roku w łonie Ligi Morskiej i Rzecznej powstał Związek Pionierów Kolonialnych, który przyczynił się do przekształcenia organizacji dwa lata później w Ligę Morską i Kolonialną. „Morze” od 1928 roku regularnie w każdym numerze zamieszczało wypowiedzi na tematy kolonialne. Wreszcie, świadectwem dynamiki dyskursu, a zarazem upowszechnienia idei kolonialnej nastawionej przede wszystkim na środowiska elitarne, było założenie przez Ligę w 1934 roku kwartalnika „Sprawy Morskie i Kolonialne”. Lata te to również początek zdynamizowania się dyskursu kolonialnego w przypadku takich instytucji państwowych i społecznych jak sejm i senat, Ministerstwo Przemysłu i Handlu, inne resorty, Urząd Emigracyjny, Polskie Towarzystwo Wypraw Badawczych, uczelnie akademickie, tak państwowe, jak i te, które nazwalibyśmy społecznymi. Proces ten dotyczył także oficerów angażujących się w ideę kolonialną⁶. Pytanie, czy niektórzy z nich nie widzieli w koloniach osobistej szansy na awanse i zajęcie bardziej eksponowanych czy ważnych stanowisk, musi pozostać bez odpowiedzi — ambicjonalne względy zostały przemilczane. Nie wypadało o tym głośno mówić. Możemy jedynie domyślać się takich nadziei ze względu na zainteresowanie licznych wojskowych sprawami kolonialnymi i chęć obejmowania przez nich opieki nad kołami Ligi Morskiej i Kolonialnej. Być może zapatrywali się oni na kariery zagranicznych kolegów po fachu, otrzymujących stanowiska w koloniach. Trudno powiedzieć, czy nasi wojskowi zdawali sobie sprawę z tego, że w przypadku wojskowych brytyjskich czy francuskich (także belgijskich, holenderskich, portugalskich) obejmowanie stanowisk w koloniach było rodzajem „zsyłki” — kierowano tam oficerów odstawianych na „boczny tor”.

Jeszcze wyraźniej okres 1928–1929 zaznaczał się w dyskursie popularnym — na łamach gazet popularnych („Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Gazeta Polska”, „Gazeta Warszawska”), co widzieliśmy.

W przypadku Ministerstwa Spraw Zagranicznych pierwszym sygnałem dynamiki dyskursu był rok 1933 — od tego momentu szybko wzrastała liczba konsulatów organizowanych na terenach egzotycznych. Można to, co prawda, wyjaśnić naturalną rozbudową struktur tego ministerstwa. Rozbudowa taka, nakierowana na obszary egzotyczne, mogłaby się tłumaczyć rozwojem ekspansji go-

⁶ Często oficerom służby czynnej, oprócz obowiązków związanych ze służbą, powierzano „zewnątrzne” zadania społeczne: opiekę nad istniejącymi na terenie garnizonu klubami sportowymi, organizacjami kulturalnymi czy ogniskami i kołami Ligi Morskiej i Kolonialnej.

spodarczej. Zazwyczaj jednak ekspansja gospodarcza poprzedza ekspansję polityczną, jest niejako wstępem do niej. W 1936 roku sformułowany został przez MSZ program kolonialny, a przedstawiciele ministerstwa zaczęli uczestniczyć w dyskursie kolonialnym. W latach następnych, aż do 1939 roku, problematyka kolonialna stawała się wyraźna.

Uporczywość nawrotów tematycznych związanych z dyskursem kolonialnym była znaczna. Naturalnie, dla każdej z instytucji i każdego z pism sytuacje mówienia i akty mówienia były nieco inne, zależne od uwarunkowań politycznych, społecznych i kulturowych, zarówno sytuacyjnych, zewnętrznych, jak i od związków z obozami politycznymi, ich orientacjami ideowymi. Jednakże *thematic persistence* — uporczywość nawrotów tematycznych dotyczących spraw kolonialnych — pojawia się zdecydowanie od lat 1928–1929, zwiększa się w latach 1928–1936 i na tym poziomie utrzymuje się do 1939 roku.

Analiza ilościowa dyskursu pozwala na dosyć trafne rozpoznanie jego zasięgu, zasięg wskazuje na dynamikę, dynamika zaś mówi o zmienności dyskursu w czasie i o zależności od kierunków aktualnej polityki państwa. Sumując, można wydzielić cztery okresy dynamiki dyskursu kolonialnego.

Lata 1918–1921 to początek dyskursu kolonialnego w Polsce — ograniczał się on wówczas do niewielkiej grupy uczestników elitarnego jego wersji. Władze nie były jeszcze zainteresowane zagadnieniami kolonialnymi.

Lata 1922–1928 to wzrost zainteresowania problemami kolonialnymi, przekładający się na pewne zwiększenie dynamiki dyskursu, bardziej jednak dostrzegalne w jego odmianie elitarnego. Władze nadal nie przejawiały większego zainteresowania ideą kolonialną.

Lata 1928–1935 to „rozpędzanie” się dyskursu, a zatem natężenie jego dynamiki. Powstała Liga Morska i Kolonialna podejmująca rozmaite inicjatywy, zainteresowanie sprawami kolonialnymi ujawniło się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, próbującym „wpasować” te sprawy do polityki państwa, powstały nowe periodyki poświęcone koloniom. Przewrót majowy w 1926 roku i odwoływanie się do idei mocarstwowej dostarczały dyskursowi kolonialnemu, niezależnie od intencji, dynamiki.

Lata 1936–1939 to okres dużej dynamiki dyskursu kolonialnego. Zagadnienie kolonii ogarnęło szerokie rzesze społeczeństwa żywo i bezpośrednio nimi zainteresowanego. Artykuły w pismach fachowych i popularnych stały się częste, zwiększyła się liczba wypowiedzi i imprez propagandowych przyciągających masy uczestników. Śmierć Józefa Piłsudskiego usunęła przeszkodę dla zdecydowanych wypowiedzi kolonialnych wśród elit, pozwalając na widoczne zwiększenie dynamiki dyskursu kolonialnego.

Funkcje dyskursu

Można i należy zastanowić się, jakie były funkcje dyskursu kolonialnego. Pomi-
jam sprawę oczywistą, że chodziło o uzgodnienie, czy Polsce należą się jakieś
podległe jej obszary tropikalne, a jeśli tak, to jakie są możliwości ich uzyskania
itp. W sprawach tak ogólnych zamazaniu mogą ulec sprawy szczegółowe, waż-
ne dla problemu. Otóż funkcji tych było bardzo wiele i były one różnorodne.
Inaczej przedstawiały się one w elitarniej odmianie dyskursu, inaczej w odmia-
nie popularnej, inaczej bowiem funkcje te widziały elity biorące udział w deba-
cie, inaczej zaś „zwykli” jej uczestnicy. I jedni, i drudzy kładli nacisk na odmien-
ne sprawy, interesowały ich inne akcenty, dostrzegali różne funkcje swoich wy-
powiedzi. Generalnie jednak funkcje dyskursu sprowadzały się do trzech zasad-
niczych kwestii: politycznej, społecznej i kulturowej. Były one wspólne dla dys-
kursu elitarnego i popularnego, chociaż odmiennie je w jednym i w drugim po-
strzegano, wyrażano, inne miano wobec nich oczekiwania, inaczej funkcjonowa-
ły i inne sprawy akcentowały.

Trzeba tu jednak poczynić pewne zastrzeżenia. Wielu funkcji nie da się zde-
cydowanie oddzielić od siebie, są bowiem integralnie ze sobą powiązane, współ-
zależne od siebie, chociaż każda z nich ma właściwe tylko sobie (a przynajmniej
dominujące w jej obrębie) tematy zasadnicze. Realizowały się one tak w od-
mianie elitarniej, jak i popularnej dyskursu. Przyporządkowanie poszczególnych
funkcji wymienionym obszarom może wydawać się niekiedy arbitralne, jednak
decydują dominujące w nich tematy i treści, związki między nimi, wreszcie rola,
jaką odgrywały w odmianie elitarniej i popularnej.

Najważniejszym zadaniem dyskursu elitarnego było wypracowanie strate-
gii postępowania w dziedzinach objętych głównymi obszarami funkcji dyskursu:
politycznym, społecznym i kulturowym. Obszar polityczny wydaje się tu najważ-
niejszy, ale równie istotny, ze względu na politykę wewnętrzną państwa, jest ob-
szar funkcji społecznych. Strategia postępowania odnosiła się do celów państwa,
ale miała też budować zaplecze społeczne przy realizacji tych strategii.

Nie zawsze pojęcia „elity” i „władze” należy utożsamiać. W polskim dyskur-
sie kolonialnym lat 1918–1939 pojęcia te zwykle pokrywały się, chociaż z punktu
widzenia uczestników dyskursu „elity” nie zawsze były równoznaczne z „wła-

dzami” („władze” były równoznaczne z „elitami”). Uczestnicy dyskursu klasyfikowani jako „władze” reprezentowali w strategiach tematycznych style i sytuacje mówienia i pisania właściwe na ogół instytucjom państwowym oraz oficjalnemu stanowisku rządu, natomiast uczestnicy klasyfikowani jako „elity” mogli być nie tylko wyższymi urzędnikami, ale także naukowcami czy pisarzami, prezentującymi w dodatku stanowiska odmienne, wyrażającymi indywidualne opinie mimo powiązań towarzyskich i instytucjonalnych z kręgami władzy. Przykładem mogą być wypowiedzi gen. Gustawa Orlicz–Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej, członka władz, który zajmował wysokie stanowiska w armii i cieszył się znacznymi wpływami w kręgach rządowych:

Gdyby przyjechał do Polski cudzoziemiec i przyglądał się temu niesłychanemu kwietyzmowi, jaki u nas panuje, temu spokojowi, jakiemuś się poddali z łatwością — myślałby, że w Polsce dobrze się dzieje, szczególnie gdyby był w tej górnej warstwie, która żyje możliwie, która w każdym razie żyje kulturalnie. Ale musiałby ten cudzoziemiec być u nas przez czas dłuższy i mieć zmysł penetracyjny i zobaczyłby te smutną rzeczywistość, jaka jest naszym udziałem (*Tak dalej...* 1936, s. 2)¹.

Wypowiedź ta, jak widać, odbiegała od wypowiedzi innych przedstawicieli władz. Była to krytyka haseł mocarstwowości Polski, które — zdaniem mówcy — nie miały pokrycia w rzeczywistości gospodarczej i społecznej kraju. Przykładu na dystynkcję pojęć „władza” — „elity” dostarcza również Apoloniusz Zarychta, wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, naczelnik Wydziału Polityki Emigracyjnej Departamentu Konsularnego („władze”):

Chodzi o zdobycie terytorium, na którym można by skupić element polski i nie pozwolić na marnowanie i rozpraszenie tego elementu. (...) W problemie kolonialnym nie można pomijać możliwości osadnictwa białego [w rozumieniu: polskiego]. W pewnych częściach Afryki możliwości osadnictwa białego istnieją, jak np. w Angoli, Rodezji, Tanganice, Kongo, a nawet w Kamerunie. Skąd się dzieje, że Afryka ma specjalną opinię nieprzystępną dla człowieka białego? (Wszelaki...1936, s. 4).

Replikował mu Tadeusz Gwiazdoski, naczelnik Wydziału Organizacji Międzynarodowych i wicedyrektor Departamentu Polityczno–Ekonomicznego:

Nie widzę terytorium możliwego do osiągnięcia, które by można było dla nas użyć (tamże).

¹ Artykuł stanowi omówienie wystąpienia gen. Orlicz–Dreszera na zjeździe Ligi Morskiej i Kolonialnej w Krakowie w 1935 r. — zamieszczono go w dzienniku jako rodzaj nekrologu po śmierci generała. Ponowne odwołanie się do wypowiedzi gen. Dreszera jako prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej dobrze ilustruje jego stosunek do kolonializmu, a także spraw wewnętrznych Polski.

Funkcje dyskursu elitarnego

Funkcje dyskursu kolonialnego w jego wersji elitarniej traktowane były jako służebne wobec zakładanych i realizowanych albo też przewidywanych kierunków i celów polityki państwa w różnych odcinkach czasowych; oczywiście, szczególnej realizacji tej polityki mogły zmieniać się w poszczególnych latach, zależnie od aktualnej sytuacji wewnętrznej lub międzynarodowej.

Funkcje polityczne dyskursu kolonialnego, bo tak można je określić, miały uzasadniać polskie postulaty kolonialne na arenie międzynarodowej, zaś na użytek wewnętrzny budować akceptację społeczną wokół programu kolonialnego, dostarczając argumentów uzasadniających ten program. Dyskurs kolonialny w Drugiej Rzeczypospolitej wiązał się zatem z polityką zarówno wewnętrzną, jak i zagraniczną. Idea kolonialna i program kolonialny werbalizowane były w kategoriach praktycznych, jako część polityki zagranicznej państwa — dążenia kolonialne dotyczyły bowiem spraw międzynarodowych, a zatem stosunków z innymi państwami, głównie z metropoliami kolonialnymi, ale i z Niemcami.

W przypadku ukierunkowania na zagranicę były to początkowo usiłowania mające na celu uzyskanie zgody na obdarzenie Polski mandatem z części terytoriów kolonialnych odebranych Niemcom po I wojnie światowej. W dalszych latach funkcja polityczna dyskursu kolonialnego polegała na wykorzystaniu Ligi Narodów do częściowej rewizji mandatów, by jakiś obszar mandatowy przypadł Polsce. Równoległe ze staraniami mandatowymi, ciągnącymi się aż do 1939 roku, trwały rozmowy, na różnych szczeblach politycznych, z przedstawicielami państw kolonialnych w sprawie odstąpienia Polsce części ich posiadłości, a w bardziej skromnej wersji — ustanowienia kondominium lub przynajmniej dzierżawy terenu (formalnie pozostawałby on pod władzą dotychczasowej metropolii, ale posiadałby autonomię gospodarczą i kulturalną). W działania te zaangażowane były ośrodki polityczne państwa, osobistości z elit władzy wykorzystywano do prowadzenia nieformalnych rozmów sondażowych.

W szczególnym przypadku niemieckim sprawy kolonialne też były funkcją polityki zagranicznej. Niemcy starały się o odzyskanie przynajmniej części posiadłości. Obawiano się jednak, że rewizja Traktatu Wersalskiego w części kolonialnej otworzy furtkę do rewizji całego Traktatu, a to byłoby już niebezpieczne dla Polski: mogłoby podważyć jej granice zachodnie i integralność terytorialną. Dlatego też na wysuwane przez Niemcy żądania zwrotu ich kolonii, Polska odpowiadała żądaniemi przyznania jej kolonii z niegdysiejszych posiadłości niemieckich, chociaż tak naprawdę dążyła do uzyskania jakichkolwiek terytoriów zamorskich. Przestała zatem oczekiwać rewizji Traktatu Wersalskiego w części mandatowej — pragnęła jego zachowania, by kontrolować w ten sposób zamierzania Niemiec; szanse uzyskania mandatu łączyła z dwustronnymi rozmowami z państwami nimi obdarzonymi, motywując je „sprawiedliwością międzynarodową”:

Było dla nich [polskich działaczy Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale także przedstawicieli władz państwa] sprawą pewną, że rewizja mandatów na korzyść Niemców jest także rewizją samego systemu mandatowego, który może stworzyć niebezpieczne precedensy na przyszłość, tym razem w odniesieniu do polskich granic zachodnich. (...) Permanentne wysuwanie przez Niemcy żądań zwrotu kolonii należy w tej sytuacji uznać za jedną z przyczyn, która spowodowała uwzględnienie w programie Ligi [Morskiej i Kolonialnej] przyznania Polsce części byłych kolonii niemieckich. Ten postulat Ligi należy w tych okolicznościach traktować jako formę polemiki z niemieckim rewizjonizmem. Co więcej, w taki właśnie sposób próbowało wykorzystać niemiecki rewizjonizm kolonialny polskie MSZ (Białas 1983, s. 174–175).

W tym obszarze zagadnień polskie postulaty kolonialne stanowiły funkcję przeciwniemieckiej rozgrywki politycznej; ujawniała się tu polityczna funkcja dyskursu kolonialnego. Wystąpienie Niemiec w 1933 roku z Ligi Narodów zaniepokoiło Polskę — dawało zachodniemu sąsiadowi możliwość swobodnego głoszenia programu rewizjonistycznego bez liczenia się z opinią międzynarodową, programu nieograniczającego się do byłych posiadłości zamorskich, lecz rewizjonistycznego *tout court*. Skłaniało to dyplomację do szukania możliwości blokowania dążeń niemieckich. Nastęrczał je dyskurs kolonialny:

Polska nie powinna wysuwać się z inicjatywą [uzyskania kolonii czy przynajmniej mandatu] już choćby ze względu na niewyjaśnione stanowisko Niemiec w ramach przyszłych rokowań locarneńskich. (...) Jeśli Niemcy wysuną problem kolonialno-mandatowy, wówczas zgłoszenie naszych w tym zakresie zainteresowań będzie zrozumiałe. Wysuwając je obecnie, otwieralibyśmy drogę Niemcom (Pogład... 1936, s. 2)².

Chodziło o to, że w aktualnej międzynarodowej sytuacji politycznej Polska, postulując przedwcześnie przyznanie jej kolonii lub mandatów, dawałaby Niemcom pretekst do domagania się zwrotu kolonii, gdyby zaś swoje zainteresowania w tej sprawie zgłosiła po Niemcach, zablokowałyby dążenia Berlina.

Aspekt niemiecki wyraźnie pokazuje polityczne funkcje dyskursu kolonialnego, uwikłanie nie tylko w sprawy kolonii — funkcje te komponowały się z całym kompleksem polskiej polityki zagranicznej, odległej od zagadnień kolonialnych, mających jednak wpływ na sytuację i położenie Polski w układach międzynarodowych.

Funkcja polityczna dyskursu kolonialnego, o której już trochę sobie powiedzieliśmy, ujawniła się najwcześniej — rozpoznawana była już w latach 1918–1919, a więc u samego początku istnienia odrodzonego państwa. Wynikała z konieczności scalenia państwa w zintegrowany organizm, kierowany jednolitą linią polityczną. Istotą takiego założenia było, że owa generalna linia polityki

² Zwolennicy posiadania kolonii lawirowali między powściągliwym stosunkiem MSZ do kolonii a własnymi chęciami. Przypomnijmy, ministrem spraw zagranicznych był Józef Beck.

państwa powinna być akceptowalna dla całego społeczeństwa, niezależnie od podziałów partyjnych, ideowych czy światopoglądowych. Takim integrującym łącznikiem mogła być idea kolonialna — oferta dla wszystkich — pozwalająca skupić zainteresowanie na umacnianiu państwa. Elita dostrzegła możliwość wykorzystania idei kolonialnej jako narzędzia do zbudowania i umocnienia postaw państwowotwórczych:

Jak wiadomo, celem pierwotnym Ligi Morskiej i Rzecznej, celem w dużej mierze już zrealizowanym, było pozyskanie społeczeństwa polskiego dla idei morskiej, dla programu morskiego Rzeczypospolitej. I tu źródło związku z ideą kolonialną. Program morski łączy się jak najściślej z programem, że tak powiem, zamorskim. Wartość posiadanego przez Polskę wybrzeża, znaczenie własnych portów wzrosną wielokrotnie od razu z chwilą, skoro za morzami dzięki koloniom powstaną niejako ich odpowiednik. Rozwój floty handlowej polskiej pójdzie również znacznie żywszym tempem, znajdując realne oparcie dla swej egzystencji w ożywionym ruchu ludzkim i towarowym między Macierzą a koloniami (Głuchowski 1928, s. 28)³.

W podobnym tonie utrzymane były teksty dowodzące znaczenia posiadłości zamorskich dla państwa — posługiwały się one argumentami gospodarczymi, uzasadniającymi polityczne:

Własne kolonie mają dzisiaj zasadnicze znaczenie, szczególnie dla państw morskich. Nie można sobie np. wyobrazić Anglii czy Francji bez kolonii. Dla swego życia gospodarczego oraz dla jego normalnego tętna i rozwoju — państwo morskie musi posiadać swój odpowiednik w posiadłościach zamorskich. Ale nie tylko mocarstwa skazane są na prowadzenie polityki kolonialnej. Każdy kraj, szczególnie o większym zaludnieniu i o większych podstawach gospodarczych, dąży do utrwalenia swych wpływów na terenach kolonialnych (Rosiński 1929a, s. 19).

W następnym numerze „Morza” ten sam autor napisał, że posiadanie kolonii jest dla Polski niezbędne:

Musimy Państwu i Narodowi zabezpieczyć normalny rozwój sił żywotnych. Rozwój żywienia polskiego i gospodarki w kraju zależy w dużej mierze od posiadania własnych kolonii (Rosiński 1929b, s. 23).

Jest przy tym rzeczą ciekawą, że początkowo funkcję polityczną przywoływali w dyskursie elitarnym działacze kolonialni (co prawda, należący do elity), a nie przedstawiciele rządu czy szerzej władz, którzy rozstrzygnięć problemów kraju szukali w innych dziedzinach życia niż idea kolonialna: przede wszystkim w sile armii, rozwoju gospodarczym kraju, w umacnianiu sojuszy z aliantami Polski, we wprowadzeniu kraju na arenę międzynarodową jako istotnego czynnika (nie przedmiotu, lecz podmiotu rozgrywek międzynarodowych). Od połowy lat 30.

³ Jest to tekst odczytu autora, prezesa LMiR, wygłoszonego 22 listopada 1928 r. Dążenie do uzyskania kolonii łączyło się z koniecznością posiadania dużej i silnej floty.

dostrzeżona została w pełni przez te czynniki funkcja polityczna dyskursu kolonialnego, wspomagająca realizację tych celów.

Przedstawiciele władz dostrzegali wartość funkcji politycznej wczesnej fazy dyskursu kolonialnego, jednakże realizację wypływających zeń ustaleń traktowali jako nierealną i wtórną wobec innych potrzeb politycznych. Akceptowali wystąpienia antyniemieckie jako mieszczące się w generalnej linii polityki zagranicznej państwa, ponieważ jednak dla działaczy kolonialnych łączyły się one z domaganiem się mandatu kolonialnego z niegdyśszych posiadłości Niemiec, wykluczali z owych postulatów części „kolonialne”, przenosząc uwagę na sprawy niemieckie, głównie w kontekście zabezpieczenia granicy, dostępu do morza, spraw ekonomicznych i statusu Wolnego Miasta Gdańska.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego, przeciwnego zamiarom kolonialnym, władze zaczęły zwracać baczniejszą uwagę na polityczne funkcje dyskursu kolonialnego, chociaż Ministerstwo Spraw Zagranicznych, instytucja z urzędu predestynowana do zajmowania się tymi zagadnieniami, kierowana przez ministra Józefa Becka, kontynuatora kierunku polityki zagranicznej Marszałka, wykazywało powściągliwość w tej sprawie. Początkowo niektórzy przedstawiciele MSZ nieco lekceważyli dążenie Niemiec do odzyskania kolonii:

Sprawy kolonialne traktowane są obecnie w Niemczech wyłącznie jako zagadnienie propagandowe, stąd też podlegają one nie Auswärtiges Amt [Ministerstwo Spraw Zagranicznych] lecz Propagandaministerium (Arlet 1936, s. 1)⁴.

Było to raczej zdanie odosobnione — centrala zdawała sobie sprawę, że dążenia niemieckie w sprawie rewizji Traktatu Wersalskiego w części dotyczącej kolonii mogą stanowić furtkę do rozszerzenia owych żądań na dalsze punkty. Postulowano jednak, by postępować ostrożnie. Na konferencji w sprawach kolonialnych, która odbyła się 9 czerwca 1936 roku, padło stwierdzenie:

Konieczne jest jednak nierobienie hałasu koło problemu kolonialnego. Istnieje obawa, że może to przerazić małe państwa, jak Portugalię czy Belgię. Zwłaszcza zależy nam na Portugalii, która ma dobre stosunki z Ameryką Południową (Wszelaki 1936, s. 4).

Chodziło głównie o Brazylię ze względu na liczną tam emigrację polską, którą chciano wciągnąć w orbitę gospodarczych i politycznych interesów Polski. Stanowisko to potwierdził minister Beck po zapoznaniu się z przebiegiem konferencji i wnioskami z niej. Uznał on, że wysuwanie „nagiego żądania kolonii” nie byłoby korzystne, lepiej operować innymi formułami — nie należy używać pojęcia „kolonie”, by nie dawać opinii międzynarodowej podstaw do oskarżania Polski o zaborczość. Nawet gorący zwolennik idei kolonialnej, naczelnik Apoloniusz Zarychta, stwierdził wówczas:

⁴ Cały czas śledzone były poczynania Niemiec zmierzające do zwrotu zabranych im kolonii. Tak sytuację oceniał W. Arlet, przedstawiciel MSZ w Gdańsku.

Nie chodzi o kolonie pod względem administracyjnym. Chodzi o obszar zdolny rozwiązać choćby częściowo trudności demograficzne i surowcowe (tamże, s. 3).

Oczywiście, dotyczyło to kolonii „pod względem administracyjnym”, ale ubrane było w ostrożniejsze słowa.

Niemniej, podczas wcześniejszych i późniejszych narad używano pojęcia „kolonie”, aczkolwiek roboczo, na forum wewnętrznym ministerstwa — powściągliwość ta wynikała z lojalności wobec zwierzchnika. Wkrótce jednak minister Józef Beck — w przemówieniach na forum Ligi Narodów w 1935 i 1936 roku (zwyczajowe, jesienne sesje organizacji) — dał wyraz temu, że władze polskie myślą o uzyskaniu posiadłości kolonialnych, aczkolwiek formalnie wypowiadał się o polityce surowcowej i prawie Polski do swobodnego dostępu do surowców, postulując wzięcie pod uwagę tych kwestii przy rysującym się nowym — jak mniemano — podziale wpływów kolonialnych. Tak to wspominał w pamiętnikach:

Ponieważ (...) o tych tak zwanych kolonialnych zagadnieniach dyskutowano wiele na forum międzynarodowym, starałem się ująć polskie postulaty w jakąś rozsądną miarę. Wobec tego w tej międzynarodowej dyskusji (Liga Narodów i Międzynarodowe Biuro Pracy) sformułowałem potrzeby Polski w następujący sposób: rozsądna gospodarka światowa musi się liczyć: 1) z potrzebami krajów mających znaczny przyrost ludności, 2) istniejące zasady ekonomiczne nie dadzą się utrzymać, jeśli mocarstwa monopolizujące źródła surowców będą się nadal wzbraniać od uczynienia z nich normalnego obiektu wymiany, a zatem od handlu kompensacyjnego za surowce. Wydawało mi się, że w ten sposób, nie zaniedbując obrony populacyjnych i ekonomicznych interesów Polski, nie wciągając równocześnie naszego państwa w niebezpieczną politykę politycznych ambicji kolonialnych (Beck 1987, s. 130).

Tak sformułowane postulaty miały być prezentowane na forach międzynarodowych — w dyskursie idea kolonialna rozumiana była szerszej niż tylko jako domaganie się posiadłości. Beck używał jej w znaczeniu zawężonym do argumentów ekonomicznych. Przedstawiając postulaty na zewnątrz, uwzględniał zarazem ich znaczenie na użytek krajowy. Toteż w redakcyjnym artykule wstępnym zamieszczonym na łamach „Morza” w 1936 roku stwierdzono:

Oświadczenie Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej, złożone w Komisji Budżetowej senatu, nawiązujące do jego wystąpienia w Genewie, że przy rozpatrywaniu spraw kolonialnych w drodze porozumienia międzynarodowego „Polska będzie miała oczywiście równe prawa i równą możliwość zaspokojenia swoich interesów”, witamy jako zapowiedź czynnego zainteresowania się Rządu polskiego sprawami kolonialnymi (...). Pierwsze wystąpienie Rządu polskiego w sprawach kolonialnych daje Lidze Morskiej i Kolonialnej nowy dowód, że podjęte przez nas przed laty akcja i propaganda kolonialna nie były „fantastycznymi pomysłami”, a wypływały z potrzeb młodego i przeludnionego państwa, z realnej oceny położenia międzynarodowego, z trafnych przewidywań, że w powojennej

Europie zagadnienia kolonialne staną niedługo na porządku dziennym wydarzeń i rozpraw w życiu międzynarodowym (*Kolonie...* 1936, s. 1).

Przemówienie ministra poświęcone równym prawom i możliwościom Polski w zaspokajaniu swoich interesów dotyczyło skupienia wysiłków całego narodu dla zapewnienia państwu traktowania na równych prawach z metropoliami kolonialnymi i ulokowania go na znaczącej pozycji w układach międzynarodowych, w celu zaspokojenia życiowych interesów kraju. Minister Beck nie przedstawiał zamiaru władz jako dążenia do zdobycia posiadłości zamorskich, lecz jako element polityki. Idea kolonialna mogła służyć skupieniu narodu wokół podnoszenia znaczenia kraju. Władze i elity, choć nie widziały realnych szans na zdobycie posiadłości zamorskich, program kolonialny uznawały za użyteczne narzędzie, ułatwiające realizację ich planów w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Dzisiejsze pokolenie, które za mało żyło się jeszcze z ideą państwowości polskiej, będzie długo jeszcze stroniło od szerokiego i szczerego udziału w poczynaniach kolonialnych. (...) Idea kolonialna należy do tych spraw, które dojrzewają na podłożu własnego państwa oraz w atmosferze poczucia własnej siły i wartości. (...) Kolonie i polityka kolonialna nowoczesnego narodu, to sprawa całego Narodu — Państwa i kultury przez nie bronionej. Wszystko inne, wszystkie interesy muszą być państwu i narodowi podporządkowane (Załęcki 1930, s. 5–7).

Uczestnicy dyskursu elitarnego dostrzegali przydatność programu kolonialnego, głównie jako idei wiążącej społeczeństwo z państwem, a w razie pomyślnych rozstrzygnięć praktycznych — idei pozwalającej rozwiązać, chociażby tylko częściowo, najbardziej palące kwestie ekonomiczne i demograficzne.

Funkcja mocarstwowa stanowiła wzmocnienie funkcji politycznej — niezależnie od budowy szacunku i uznania dla państwa podkreślała wysokie aspiracje polityczne, szczególnie w stosunkach międzynarodowych. Hasła mocarstwowe tłumaczyły, dlaczego państwu i narodowi należy się ważne miejsce w świecie, podkreślały osiągnięcia na polu międzynarodowym, a także rzeczywiste czy chociażby domniemane przewagi w porównaniu z innymi krajami (a jeśli nie przewagi, to równorzędność znaczenia).

W latach 1918–1939 system kolonialny był uznawany za oczywisty i normalny, za naturalny fragment stosunków międzynarodowych, równie naturalny jak nienaruszalność (przynajmniej w teorii) granic. Jedną z form legitymizacji pozycji mocarstwowej było posiadanie kolonii, a w razie ich braku — eksponowanie dążenia do ich posiadania.

Dążenia do osiągnięcia statusu mocarstwa i próby ujmowania Polski w tych kategoriach pojawiły się w latach 1926–1929, w hasłach typu „Idziemy coraz pewniejszym krokiem ku Polsce Mocarstwowej”. Wyraźne było uzależnienie pojęcia mocarstwowości od historii i teraźniejszości kraju:

Spółeczeństwo nasze musi w końcu zrozumieć, że jedynym środkiem dla narodów o dużym zaludnieniu i dużym przyroście naturalnym, a więc że i dla 32-milionowej Polski, żyć niepodobna na terytorium o połowę mniejszym niż Francja, Hiszpania lub Niemcy (...) oraz zamykać sobie drogę na świat. (...) Istotą polityki kolonialnej i kolonizacyjnej państw wielkich jest: szukanie terenów kolonizacyjnych, terenów dla ekspansji kolonialnej oraz unikanie w handlu obcego pośrednictwa i zdobywania rynków zbytu, a także rozbudowa własnych traktów morskich (Pionier 1932, s. 10–20).

Polska była na tyle dużym krajem, zarówno powierzchniowo (szóste miejsce w Europie), jak i pod względem liczby ludności (jedenaste miejsce w Europie), że mogła pretendować do rangi mocarstwa. Funkcja mocarstwowa polegała więc na podkreślanu, że Polska mimo braku kolonii nie powinna odczuwać niższości wobec metropolii kolonialnych. Należy dbać o pozyskanie kolonii, konkurując z dotychczasowymi metropoliami jak równy z równymi (niejasne było stwierdzenie o życiu na obszarze o połowę mniejszym niż Francja, Hiszpania lub Niemcy — błąd, przejęzyczenie, doliczenie posiadłości zamorskich do obszarów tych państw?). W tym miejscu należałoby wyjaśnić pojęcie mocarstwowości:

Pojęcia mocarstwowości nie należy interpretować w dzisiejszym znaczeniu, gdy określenie „mocarstwo” lub częściej „wielkie mocarstwo” (jest to dosłowny przekład angielskiego terminu „big power”) stosujemy do Stanów Zjednoczonych, przed kilkunastu laty także do ZSRR. Mamy na myśli państwo dysponujące nieporównywalnym z innymi, „zwykłymi” państwami (określanymi po angielsku terminem „power”) potencjałem ludności, gospodarczym i wojskowym. W ówczesnym słowniku politycznym przez mocarstwo rozumiano raczej państwo, które mogło prowadzić — i prowadziło — własną politykę zagraniczną, niezależną od innych mocarstw, którego interesy polityczne wykraczały poza sferę regionalną (a nawet kontynentalną), które wreszcie dysponowało siłą zmuszającą innych, by liczyli się z jego interesami (Tomaszewski, Landau 2005, s. 306).

Przyjmując to określenie, trzeba jednak odnotować, że potencjał ludnościowy, gospodarczy i wojskowy również były brane pod uwagę, co przyznają zresztą sami autorzy cytowanej pracy, pisząc o sile zmuszającej innych do liczenia się z interesami państwa pretendującego do miana mocarstwa, aczkolwiek nie w tym stopniu, w jakim dziś się to rozumie. Zauważają oni, że po zamachu majowym w 1926 roku górę zaczął brać pogląd, że Polska powinna wyzwolić się spod francuskiego patronatu i prowadzić niezależną politykę. W związku z tym ukształtowała się koncepcja mocarstwowej pozycji Polski jako hegemonia w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej na obszarze między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. Poczynania te były spowodowane położeniem Rzeczypospolitej pomiędzy Niemcami a ZSRR — kiedy sojusz z Francją (stanowiący osłonę polityczną i wojskową przed pretensjami sąsiadów) uległ nadwątleniu, pojawił się zamysł, by Polska sięgnęła po rolę regionalnego mocarstwa.

Rozszerzenie się pojęcia mocarstwowości w dyskursie kolonialnym wynikało z tego, że Polska pretendowała do prowadzenia własnej polityki zagranicznej

w zakresie ponadregionalnym, mianowicie starała się o posiadłości zamorskie. Do pełnego statusu mocarstwa w ówczesnym rozumieniu tego terminu brakowało jej kolonii. Ich posiadanie dawało pełną przepustkę do klubu mocarstw. Uwidaczniało się to chociażby w ówczesnym języku — mianem „mocarstwa kolonialne” określano Wielką Brytanię i Francję, ale także Holandię, Belgię i Portugalię, mimo że trzy ostatnie kraje nazywano małymi, a Portugalię dodatkowo słabym (politycznie, gospodarczo i militarnie). Stosownie do koncepcji mocarstwowych i założeń hegemonii w Europie Środkowo–Wschodniej, gdy Liga Morska i Rieczna przekształciła się w Ligę Morską i Kolonialną, nasiliły się polskie postulaty kolonialne. Cytowany wcześniej Pionier uzupełnił swoją argumentację i wezwał społeczeństwo do aktywności:

Żelazną obręczą opasani w Europie, jeżeli chodzi o nasz eksport, przykuci do przeludnionych wsi i miast — jeżeli chodzi o odpływ naszego nadmiaru ludności — z własnej woli skazani na olbrzymie straty, z inercji tej wynikające — trwamy w uspieniu zamiast rozerwać krępujące nas więzy i iść w świat po lepszą przyszłość dla naszego gospodarstwa narodowego i naszych, pozbawionych warsztatów pracy mas ludzkich (Pionier 1932, s. 10–20)

Były to postulaty już podnoszone, jednakże w tym momencie nabrały nowego znaczenia. Wprawdzie rząd jeszcze nie angażował się w nie bezpośrednio, zasadne jednak jest przypuszczenie, że w tym celu posługiwał się Ligą. Józef Potocki, wicedyrektor Departamentu Politycznego MSZ, stwierdził, że „Istnienie Ligi Morskiej i Kolonialnej jest rzeczą dobrą”. Liga, wykorzystując koniunkturę mocarstwową, nasiliła naciski na rząd, by ten zajął się wprowadzaniem w życie programu kolonialnego — „Polska nie kończy się na Bałtyku”. W styczniu 1932 roku skierowała do rządu memoriał o udzielenie przez państwo gwarancji finansowych kapitałowi prywatnemu dla celów kolonizacyjnych:

Idziemy coraz pewniejszym krokiem ku Polsce Mocarstwowej. I oto na tej drodze staje przed nami problem ekspansji zamorskiej, problem zapewnienia naszemu narodowi terenów dla rozwoju nieskrępowanego, dla stworzenia drugiej, nowej Polski — problem kolonialny. Zagadnienie to dla nas inaczej się przedstawia niż dla innych państw, które politykę kolonialną prowadziły i prowadzą. Nie idzie tu o zachłannością kierowany imperializm jednych, nie jest to zagadnienie gospodarcze, jak dla Holandii czy Belgii. Jest to kwestia, która ma w sobie Hamletowskie „być albo nie być”, sprawa, od której zależy, czy będziemy wielkim narodem, mocarstwowym państwem, czy zadusimy się w naszych dzisiejszych ciasnych granicach, jest to czyn który musimy urzeczywistnić, bo zmusza nas do tego po prostu nasze prawo do życia (Głuchowski 1928, s. 3).

Funkcja mocarstwowa dyskursu kolonialnego dotyczyła także użytku wewnętrznego. Uwagę zwraca jeszcze jeden element — imperializm. W przytoczonym fragmencie artykułu Kazimierz Głuchowski zastrzegł, że dążenie do zdobycia posiadłości zamorskich nie jest przejawem imperializmu. Zaprzeczali temu i inni uczestnicy elitarniej wersji dyskursu kolonialnego. Stosowali się oni

do sugestii rządu obawiającego się posądzania Polski o zamiary imperialne. Jedynie Gustaw Załęcki w pracy *Słów kilka o nowoczesnym imperializmie narodowym*, wydrukowanej w 1928 roku w numerze 2–3 „Kwartalnika Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego” wypowiedział się otwarcie (było mu łatwiej, nie był związany z władzą), nazywając pragnienie zdobycia kolonii „nowoczesnym imperializmem narodowym” (pojęcie łatwiejsze do przyjęcia). Dostarczał też innym argumentów:

Prężność siły narodowej, wynikającej z poczucia wartości kultury narodowej obliczonej na trwałe zajęcie pewnego obszaru nowego w momencie ofensywy, określamy jako imperializm narodowy. Imperializm w ten sposób ujęty wyraża ogólnie ekspansję wartości kulturalnych narodu (Załęcki 1928b, s. 569).

Przeciwstawiając tak rozumianemu imperializmowi narodowemu imperializm polityczno–militarny i administracyjno–ekonomiczny, zauważył, że żaden z tych typów nie występuje samoistnie, wszystkie one łączą się ze sobą. Dodawał przy tym, że:

Imperializm prawdziwy jest poczuciem *sui generis* misji kulturalnej (...). Narodowy imperializm współczesny przestał być w swej teorii jedną z form rządów silnej pięści pod hasłem wyzysku, a reprezentuje przeciwnie jeden z etycznych prądów nowoczesnego nacjonalizmu. Reprezentuje w ewolucji nacjonalizmu zasadę pracy narodu nie tylko dla siebie, ale i dla ludzkości, którą nacjonalizm imperialistyczny chce bardziej szczerze wzbogacić pewnymi walorami narodowo–kulturalnymi (tamże, s. 579).

Artykuł ukazał się w 1928 roku, a więc w momencie, gdy pojawiła się mocarstwowa idea państwa. Autor, świadom powściągliwości czynników rządowych wobec projektów kolonialnych, pragnął pobudzić je do żywszego działania, przedstawiając definicję imperializmu jako istoty mocarstwowości w brzmieniu łatwiejszym do przyjęcia, przesuwając środek ciężkości ze zdobywania terytoriów na szerzenie misji kulturalnej (cywilizacyjnej). Władze negliżowały jednak argumenty imperialistyczne, wysuwając na plan pierwszy ekonomiczne. Decydował o tym wzgląd na opinię zagranicy.

Istnieją poglądy, że polityka kolonialna stanowiła element koncepcji mocarstwowych:

(...) poprzednio koncepcje mocnej Polski wiązano z rozbudową floty i Gdyni, o tyle po tej dacie hasła wskazujące możliwość stabilizacji gospodarczej, przy lokowaniu nadwyżek ludnościowych w koloniach, zyskały szybko popularność, przeto problematyka emigracyjna wysunęła się na czoło programów mocarstwowych. Zatem: koncepcje rozwoju Polski jako mocarstwa morskiego, kolonialnego w okresie II Rzeczypospolitej stanowiły jeden z istotnych elementów programu lansowanego przez obóz sanacyjny. (...) Propaganda mocarstwowa nastawiona przede wszystkim na przeciętnego obywatela zastąpić miała rzeczywisty obraz stosunków wewnątrz państwa, wytworzyć w społeczeństwie poczucie własnej siły, załagodzić ostrze konfliktów społecznych. Hasła zdobycia kolonii i stania się

potęgą morską, podobnie jak i wszystkie koncepcje mocarstwowe, były wyrazem woli, a nie siły (Szyńska 1972, s. 170–171).

Rzeczywiście, koncepcje mocarstwowe były wyrazem woli, nie siły. Jest to jednak widoczne dopiero z perspektywy upływu lat. Wówczas inaczej rozpoznawano sytuację. Koncepcje mocarstwowe wynikały z postrzegania aktualnej sytuacji międzynarodowej. Z punktu widzenia elit obecność tych koncepcji w dyskursie tłumaczyła się — na użytek wewnętrzny — przekonywaniem społeczeństwa, że Polska nie jest krajem gorszym od dotychczasowych metropolii kolonialnych i zasługuje na poważne traktowanie, zatem jej dążenia kolonialne są usprawiedliwione. Problematyka emigracyjna nie miała nic wspólnego z koncepcjami mocarstwowymi — wynikała z rozpoznania demograficznego połączonego z gospodarczym (nadwyżka wolnych rąk do pracy bez możliwości ich zatrudnienia w kraju). Koncepcja rozwoju Polski jako zarazem mocarstwa morskiego i kolonialnego nie istniała. Polska nie pretendowała do miana potęgi morskiej — zdawano sobie sprawę z niemożności osiągnięcia takiej pozycji. Nie pretendowała też do miana mocarstwa kolonialnego, jedynie do uzyskania posiadłości zamorskich. Mocarstwowość wynikała z dysponowania terenami kolonialnymi, jednakże nie na skalę Wielkiej Brytanii czy Francji. Wreszcie, koncepcja rozwoju Polski jako mocarstwa morsko–kolonialnego nie była istotnym elementem podnoszonym przez obóz sanacyjny. Dopiero od 1936 roku zaczął on lansować elementy kolonialne, ale w kategoriach ekonomicznych (surowce i wolność emigracji). Pojęcie mocarstwowości miało dotyczyć pozycji Polski w Europie, kolonie miały być jedynie jego uzupełnieniem. Lansowanie mocarstwowości w połączeniu z koloniami było dziełem Ligi Morskiej i Kolonialnej, próbującej stawiać władze przed faktami dokonany. Władze traktowały te hasła przede wszystkim jako szansę przebudowy gospodarczej kraju.

Można odnieść wrażenie, że koncepcja mocarstwowa była elementem koncepcji kolonialnej Polski. W istocie jednak były to dwie różne koncepcje. Mocarstwowa była wykorzystywana przez działaczy kolonialnych (głównie przez Ligę Morską i Kolonialną) do wzmocnienia i lepszego argumentowania ich programu, natomiast koncepcja kolonialna — przez władze do argumentowania koncepcji mocarstwowej.

Funkcja mocarstwowa dyskursu kolonialnego była widoczna, miała jednak charakter pomocniczy wobec funkcji politycznej. Jej znaczenie polegało na tym, że przyczyniała się ona do pobudzania emocji narodowych, podkreślała równe prawa Polski z innymi państwami. Przenoszenie tego hasła na grunt idei kolonialnej mogło być efektywne — na gruncie europejskim równoprawność Polski z innymi państwami zasadniczo nie była negowana, jednak wobec programu kolonialnego wyraźna była dysproporcja owej równości. Poza tym funkcja mocarstwowa w połączeniu z funkcją polityczną zwiększała szanse na korzystne dla Polski rozwiązanie problemu kolonialnego.

W tym miejscu przechodzimy do obszaru funkcji społecznych. W wersji elitarnego dyskursu idea kolonialna pojawiała się początkowo w drugim planie. Głoszono przede wszystkim obecność Polski nad Bałtykiem, rozbudowę floty, rozwój gospodarki morskiej i Gdyni jako symbolu polskich dążeń morskich. Względnie łatwo było zorganizować zainteresowanie społeczeństwa tymi sprawami, nośnymi propagandowo i dającymi nadzieję na rozwój gospodarczy kraju i na poprawę bytu przeciętnego obywatela. Konsekwencją owego rozwoju było dążenie do rozszerzenia ekspansji gospodarczej poza Bałtyk. Wraz z wyjściem poza Bałtyk i Europę ekspansja morska zaczęła łączyć się z programem kolonialnym jako oczywistym jej przedłużeniem:

Założenia strategii gospodarczej rządów II Rzeczypospolitej, usiłujących podstawowe problemy ekonomiczne państwa rozwiązywać poprzez maksymalny rozwój eksportu kosztem obciążenia rynku wewnętrznego; słabość rodzimego kapitału i jego niechęć do inwestowania w gospodarce morskiej, zmuszająca rząd do jej rozbudowy środkami polityki etatystycznej; realne i zmistyfikowane potrzeby obronne kraju, wreszcie dążenie rządów sanacyjnych do rozładowania napięć politycznych poprzez indoktrynację szerokich warstw społeczeństwa tzw. ideologią morską i kolonialną (Dopierała 1978, s. 12).

Nie negując zasadności sporej części tych opinii dotyczących spraw ekonomicznych (rozwój eksportu jako sposób na rozwiązanie problemów gospodarczych, odwołanie się do etatyzmu gospodarczego wobec słabości kapitału prywatnego), trudno przyjąć je bez zastrzeżeń. Była to nie indoktrynacja ideologią morską i kolonialną, lecz propaganda, a raczej przekonywanie nakierowane na szerokie warstwy społeczeństwa. Indoktrynacja nie była potrzebna, ponieważ społeczeństwo samo było zainteresowane morzem i koloniami. Propaganda dawała społeczeństwu podbudowę argumentacyjną. Autor cytowanej pracy, pisząc o uchwale podjętej w styczniu 1918 roku na wspólnym posiedzeniu Rady Towarzystwa Przemysłowców Królestwa Polskiego i Rady Zjazdów Przemysłowych, sam zresztą zauważył:

O dostępie do morza uchwała mówiła dlatego, że mówiło o tym całe społeczeństwo (tamże).

Potrzeb obronnych kraju nie należy określać mianem zmistyfikowanych. Były realne w ówczesnym położeniu geopolitycznym Polski, a społeczeństwo było świadome ich znaczenia dla zabezpieczenia bytu państwa (i własnego). Ideologię kolonialną rządy sanacyjne zaczęły wykorzystywać dopiero od połowy lat 30. Nie służyła ona jedynie „indoktrynacji” czy „propagandzie”. Część elit rządowych podzielała ją, część jednak była przeciwna. Ideologia morską, aczkolwiek od końca lat 20. wiążącą się z kolonialną, była wartością gospodarczą i społeczną sama w sobie. Pobudzała społeczeństwo do zainteresowania się mało jeszcze wyczuwanymi dla praktyki gospodarczej sprawami morza (pomijając znaczenie emocjonalne dostępu do morza). Propagowanie „świadomości morskiej” mia-

ło uzmysławiać wagę gospodarki morskiej dla gospodarki kraju, pobudzać kreatywność gospodarczą ludzi, a w efekcie przyczynić się do przebudowy Polski z kraju rolniczego w przemysłowy. Określenie „ideologia morska” wydaje się zatem niefortunne; było to zwracanie uwagi na znaczenie spraw morskich dla ekonomiki krajowej.

Wyodrębnianie w polskiej myśli morskiej dominującego nurtu polityczno-wojskowego i „ledwie wyczuwalnego” — „nie można go było bowiem uzasadnić powołaniem się na realnie istniejące fakty” — gospodarczego stanowi uproszczenie. Gospodarczy nurt był dopiero tworzony (wcześniej nie mógł być uzasadniony realnymi faktami ze względu na krótki czas od odzyskania niepodległości) i miał charakter potencjalny. Jednakże postrzegany jako rysująca się możliwość był dobrze wyczuwalny w kraju, szczególnie gdy zaczął łączyć się z ideą kolonialną. Nurt gospodarczy w połączeniu z ideą kolonialną mieścił się bowiem przede wszystkim w obszarze społecznym funkcji dyskursu kolonialnego.

Funkcja aktywizacyjna wiązała się z odrodzeniem się państwowości polskiej w 1918 roku — wymagało to zanegowania dotychczasowego poczucia przynależności państwowej do Rosji, Niemiec i Austrii na rzecz skupienia społeczeństwa wokół idei własnego państwa. Było to tym bardziej potrzebne, że Rzeczpospolita wyłoniła się jako państwo mało zintegrowane ekonomicznie, słabe gospodarczo, nadrabiające opóźnienia spowodowane jego długim nieistnieniem. Pojawiła się konieczność zmiany postaw mentalnych społeczeństwa wobec własnej państwowości, konieczność rozbudzenia poczucia, że to państwo każdego obywatela i całego społeczeństwa.

Dla rozbudzenia aktywności społecznej podkreślano, że opóźnienie cywilizacyjne nie jest winą Polaków, lecz okoliczności zewnętrznych. Wiek XIX określono mianem straconego czasu, stąd konieczność jego nadrobienia. W dyskursie kolonialnym pojawiały się wypowiedzi o sukcesach Polaków, świadczące o tym, że mimo nieistnienia własnej państwowości społeczeństwo polskie może się szczycić osiągnięciami rodaków:

Czyż bowiem zapomnieć możemy o Beniowskim, wielkim awanturniku, zdobywcy Madagaskaru, czyż przemilczeć można o wyprawach na Złote Wybrzeże Szulza–Rogozińskiego, czyż na koniec nie jest niejako symbolem dla nas murzyńskie państewko Lwowianina Stebleckiego w dzisiejszej Rodezji południowo–zachodniej w końcu ubiegłego wieku istniejące (Głuchowski 1927, s. 169)⁵.

Autor tych słów nie był precyzyjny. Pomińmy pierwszy człon nazwiska Rogozińskiego: „Szulz”; rozmaicie go wtedy pisano, zanim przyjęła się obecna forma „Szolc”. Istotniejsze, że nie wyprawił się na Złote Wybrzeże (obecna Ghana, wtedy terytorium penetrowane już przez Wielką Brytanię), lecz do Kame-

⁵ Jak to często bywało, powoływano się na rzeczywiste lub domniemane kolonizacyjne, a właściwie kolonizatorskie osiągnięcia Polaków w dawnych latach.

runu (wówczas jeszcze ziemi niczyjej), a następnie był plantatorem na Fernando Po, wyspie hiszpańskiej w Zatoce Gwinejskiej w pobliżu Kamerunu. Określenie Beniowskiego jako zdobywcy Madagaskaru tchnie przesadą. Francja jeszcze przed jego przybyciem na wyspę uważała ją za swoją strefę interesów — Beniowski pełnił na niej funkcję gubernatora z ramienia Francji (niezależnie od własnych, osobistych ambicji). Wreszcie przypomnienie Stebleckiego jako rzekomego twórcy czy władcy murzyńskiego państewka jest zmitologizowaniem losów owego lwowianina. Było dwóch braci Stebleckich, Kazimierz i Stanisław (nie wiadomo, o którego chodziło). Założyli oni w 1884 roku w służbie kompanii portugalskiej faktorię handlową, w 1887 roku odkupili ją na własność i prowadzili do 1890 roku, kiedy to została zniszczona przez plemię Makololo (?). Przenieśli się wtedy do brytyjskiej Niasy (obecnie Malawi), tam w 1896 roku zmarli. Nic nie wiadomo o założeniu przez nich jakiegoś murzyńskiego państewka. Prawdopodobnie, prowadząc faktorię (nie w Rodezji, lecz w Mozambiku lub Niasie), starali się utrzymywać dobre stosunki z okolicznymi ludami (Szaflarski 1968, s. 225; Słabczyński 1973, s. 348–251).

W 1927 roku Głuchowskiemu i innym działaczom kolonialnym chodziło zapewne o pobudzenie ducha aktywności kolonialnej wśród społeczeństwa; omyłki wynikały z niezwracania uwagi na szczegóły bądź z naciągania faktów, by pasowały do lansowanych poglądów. Niektórzy autorzy, przedstawiając sukcesy kolonizacyjne Polaków w XIX stuleciu, nie troszczyli się o dokładność faktów, lecz opisywali je tak, by wzmóc poczucie dumy z osiągnięć rodaków, a także podkreślić szanse na powodzenie przedsięwzięć kolonialnych w danym momencie. Przytaczane przykłady służyły przypomnieniu, że z kwestią kolonii i kolonizacji byliśmy już obcy, a powoływanie się na XIX-wiecznych podróżników i odkrywców — aktualnym celem (bieżącemu programowi kolonialnemu):

Uświadczenie społeczeństwa i wpojenie weń dumy jest pilną potrzebą. Uświadczenie przez szerzenie wiadomości o naszych odkrywcach i badaczach jest podstawą, na której szerzyć i propagować się będzie „nastawianie” kolonialne społeczeństwa. Szerzenie haseł kolonialnych i nastawianie społeczeństwa tak, aby pojęcie posiadania własnych kolonii stało się nieodłącznym składnikiem posiadania własnego państwa (...) (Doliwa 1932, s. 21).

Upowszechnianie wiadomości o „naszych odkrywcach i badaczach” było częste:

Do Kamerunu zaś mamy specjalne prawa. Wszak pierwszym badaczem i eksploratorem Kamerunu był Polak — Szolc-Rogoziński, którego myślą przewodnią było zdobycie tej części lądu afrykańskiego pod własną niezawisłą [nie podlegającą innej metropolii kolonialnej, a jedynie Polsce] kolonię polską. Kierując się tą ideą, Rogoziński odrzucił wszystkie propozycje obcej pomocy materialnej i zorganizował swoją afrykańską wyprawę wyłącznie za polskie pieniądze (Pankiewicz 1935, s. 4).

Rzeczywiście, tak było. Autorom takich wypowiedzi nie chodziło jednak tylko o przypominanie podniosłych momentów naszej historii — wypowiedzi te

dowodziły samodzielności polskich wysiłków kolonialnych, dostarczając społeczeństwu wzorów do naśladowania. Na wyprawę Szolc–Rogozińskiego wiele osób wpłacało datki z własnych kieszeni, zatem była ona przedsięwzięciem nie tylko Rogozińskiego, ale całego społeczeństwa polskiego, interesującego się już w XIX wieku uzyskaniem posiadłości zamorskich dla kraju.

Rozmach kolonialny, prężność naszej rasy nie od dziś wszak są znane. Przypomnijmy tylko dzieje opanowania Kamerunu przez Rogozińskiego w roku 1882, znane dzieje Strzeleckiego w Australii, projekt Wereszczyńskiego założenia kolonii polskiej w Oceanii i wiele innych przykładów (tamże, s. 12)

— tu znów mamy porcję odwołań do dokonań XIX-wiecznych podróżników i działaczy. Co prawda, Strzelecki prowadził badania geograficzne, a Wereszczyńskiemu chodziło o zbudowanie „Nowej Polski” z dala od zaborców, niemniej i ich akcję podciągano pod usiłowania kolonialne.

Gdy mowa o rasie („prężność naszej rasy”, czyli Polaków), należy pamiętać, że pojęcia tego używano także w rozumieniu „naród”. Pojawia się błąd w datowaniu: Rogoziński 17 grudnia 1882 roku odpłynął z francuskiego portu Le Havre i dopiero 25 lutego 1883 roku postawił stopę na lądzie afrykańskim w Monrovi, stolicy Liberii, do Kamerunu dotarł 22 kwietnia 1883 roku. Wzmianka o Strzeleckim to bardzo rozszerzone, aż poza granice możliwości, rozumienie niegdysiejszych osiągnięć kolonialnych. Strzelecki był badaczem, nie miał zamiarów kolonialnych, badania prowadził w Australii, posiadłości brytyjskiej. Uwzględnienie go wśród tak zwanych polskich pionierów kolonialnych, chociaż było egzageracją, miało świadczyć, że Polacy byli obecni w każdym zakątku świata. Zatem „nie byliśmy gorsi od innych” — według uczestników dyskursu elitarnego miało to podnosić samopoczucie narodu jako równego innym w dziełach kolonialnych.

Funkcja informacyjna dyskursu kolonialnego wynikała z wypowiedzi zawierających sumę treści prawdziwych lub domniemanych, rozszerzających wiedzę społeczeństwa o świecie i funkcjonowaniu w nim elementów politycznych, gospodarczych i kulturowych oraz ich wzajemnym powiązaniu — zintegrowanie tych elementów nie zawsze było oczywiste dla społeczeństwa. Funkcja ta wpływała na poziom społecznego stanu wiedzy o krajach egzotycznych i poziom upowszechnienia światowego dorobku wiedzy o terytoriach zamorskich.

Tłumaczyła, że emigracja to nie tylko wyjazd za granicę. Powinna to być podróż na pokładzie statku własnej linii żeglugowej, nie obcej — uświadamiało to konieczność rozbudowy własnej floty. Korzystniejszy byłby wyjazd nie do jakiegokolwiek kraju, lecz na obszar wybrany przez państwo, co miało zapewnić wychodźcom łączność z własnym krajem, a także sprzyjać pracy na jego rzecz, a nie tylko na rzecz państwa osiedleńczego. Zwłaszcza że pojawiały się wypowiedzi o „obudowaniu” społeczności osiedleńczych własnymi przedsiębiorstwami przetwórczymi, handlowymi, spółdzielniami, bankami, szkołami. W katego-

riach ogólnych zwracano uwagę, że idea samowystarczalności gospodarczej państwa jest przebrzmiała:

Kto weźmie w ręce jakąkolwiek statystykę jakiegokolwiek państwa dzisiejszego, ten łatwo i szybko stwierdzi, że państw samowystarczalnych gospodarczo nie ma. Specjalnie odnośnie do państw istniejących na terenie klimatycznie umiarkowanym nie może być przy dzisiejszym stanie ani mowy o tym, by przy wspomnianej powyższej olbrzymiej konsumpcji tropikalnych surowców rolnych idealna samowystarczalność gospodarza dała się zrealizować. (...) Dziś w okresie rosnącej od szeregu lat hiperprodukcji przemysłowej oraz nierzadkich trudności zbytu rolnych produktów strefy umiarkowanej może być bardzo celowym mieć własne źródła produkcji tropikalnej i podtropikalnej. [Jednakże] gdyby dziś nagle przerwano te wszystkie międzynarodowe węzły [handlowe], jakie łączą świat cały — to byłaby to katastrofa (Załęcki 1930, s. 254, 256).

Zwrócono tu uwagę na integracyjny charakter gospodarki światowej (dziś nazwalibyśmy to zjawisko globalizacją) i wzajemne powiązania ekonomiczne. Zwolennicy uzyskania kolonii przez Polskę zostali przestrzeżeni przed myśleniem, że kolonie zapewnią krajowi samodzielność, i pouczeni, że samowystarczalność państwa stała się mitem propagandowym. Tyle tylko (a może aż tyle), że posiadanie własnych kolonii poprawiłoby bilans handlowy kraju (mniejsze albo i zniwelowane koszty zakupu surowców i produktów rolnych podzwrotnikowych, zysk z ich sprzedaży zagranicznym odbiorcom). Funkcja informacyjna dyskursu kolonialnego oznaczała poszerzanie wiedzy społeczeństwa o gospodarce państwa i jej współzależności z gospodarką światową. Było to rozbudzanie wśród osadników szerszych zainteresowań, uczenie ich, że decyduje nie tylko sama praca — wymierne korzyści uzyskuje się po włączeniu się w łańcuch szerszej wymiany handlowej.

Tego rodzaju wypowiedzi nazwać można praktyczną nauką ekonomii. Na tym między innymi polegała funkcja informacyjna dyskursu kolonialnego. Uświadamiała, że program kolonialny jest forpocztą, nie tylko gospodarczą, państwa i społeczeństwa, które wysyła emigrantów lub przedsiębiorców i handlowców na obszary zamorskie. Informowała, na czym polega administrowanie koloniami, praca w nich, jakie warunki (klimatyczne i gospodarcze) panują w tropikach. Było to odrzucanie stereotypów, wprowadzanie na ich miejsce wiedzy o prawdziwym życiu i gospodarowaniu w koloniach. Funkcja ta poszerzała wiadomości o ludach tropikalnych, objaśniała relacje na linii Biali–Czarni. Pozwalała lepiej poznać obszary kolonialne, oceniać je nie na podstawie barwnych znaczków pocztowych i fantazyjnych opowieści, ale w sposób rzeczowy.

Przez funkcje dyskursu kolonialnego związane z pojęciem obszaru kulturowego należy rozumieć te, które wiązały się z rozpoznaniem „My” i „Obcy” („My” i „Oni”, w praktyce „Europejczycy” i „Inni” lub „Biali” i „Czarni”). Łączyło się z tym zasygnalizowane nieco wcześniej zagadnienie rasy utożsamianej powszechnie z narodem:

Moim zdaniem termin ten [rasa] jest nam potrzebny do oznaczania pewnej kategorii biologicznej, która — aczkolwiek trudna do określenia — tym niemniej stanowi rzeczywisty składnik struktury populacji ludzkich na Ziemi. Wydaje się, że lepiej będzie zdefiniować ten termin, wyjaśnić jego użycie i uwolnić go od jego znaczeń niesłusznych i błędnych, niż po prostu usunąć go całkowicie, rezygnując w ten sposób z rozwiązywania problemu (Dunn 1961, s. 19).

Uważa się, że nie jest właściwe rozpatrywanie różnic kulturowych według kryteriów rasowych w antropologicznym znaczeniu terminu. Naturalnie, rasowe fakty i odczucia nie funkcjonują w próżni — mają źródła przede wszystkim społeczne, wynikają z kontaktów między różnymi społecznościami w przeszłości, czyli z zaszłości kulturowych nadal się utrzymujących. W okresie Drugiej Rzeczypospolitej (nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie) termin „rasa” był używany w sposób płynny i niejednoznaczny. Często stosowano go zamiennie z takim pojęciami jak grupa etniczna lub etnograficzna, naród, narodowość, lud, plemię — zwłaszcza gdy dotyczyło to społeczności radykalnie odrębnych od własnej (szczególnie tzw. egzotycznych, tropikalnych, pierwotnych czy jakkolwiek je nazywano). W dyskursie elitarnym starano się zaprowadzić porządek w rozumieniu i używaniu terminów, by precyzyjnie ustalić relacje między Białymi a Czarnymi. Z drugiej strony, mimo poczucia wspólnoty ze Światem Białych, starano się podkreślać odrębność Polaków.

Zasadnicza właściwość funkcji tożsamościowej polegała na tym, że pozwalała ona poczuć się Polsce równoprawną częścią Europejskiego, a szerzej Białego Świata, zatem częścią swoistej „międzynarodówki” Białych przeciwstawianych „kolorowym”. Pomagała przezwyciężać kompleks niższości wynikający z długiego braku własnej państwowości. Lokowała Polaków w kategorii tak samo wartościowych narodów jak inni Europejczycy i Biali.

Udział Polski w wielkiej wystawie w Antwerpii nie może być lekceważony; przeciwnie, nie tylko Rząd, lecz całe społeczeństwo musi wyżyć wszystkie swe siły, by przygotować taki pokaz Polski, który by zaimponował nawet największym, co do tego sceptykom (...). Niech prasa i szkoła czynią, co mogą, byleby udział Polski w wystawie antwerpeńskiej był udziałem całego narodu (Lasiński 1929, s. 26).

Było to wezwanie do tego, by Polacy odpowiednim uczestnictwem w wystawie udowodnili, że są równoprawnym narodem Świata Białych, także w dziedzinie kolonialnej.

Sprawa dotyczyła wysłania do Liberii Polaków: inż. Tadeusza Brudzińskiego jako doradcy rządu tego państwa do spraw ekonomicznych oraz dr. Jerzego Babeckiego jako doradcy do spraw sanitarnych i higieny. Zatem Polacy stawali do dzieła szerzenia cywilizacji. Jednocześnie ta sama funkcja tożsamościowa pozwalała odróżniać Polaków od Anglików, Francuzów, Belgów czy przedstawicieli innych narodów. Tu znów dawała o sobie znać kompensacja wobec okre-

su rozbiorowego, gdy Polak bywał traktowany jako Rosjanin, Niemiec albo Austriak, w zależności od tego, z jakiego zaboru pochodził.

Wyraz Anglik utożsamiany jest z pojęciem bogactwa, pomimo że istnieją Anglicy — najmici i parobcy (Rozwadowski 1929, s. 24)

— pisano na łamach „Morza”. Chodziło o podkreślenie, by wśród kolonizatorów czy kandydatów na kolonizatorów Polak nie czuł się „gorszym Białym”, lecz miał poczucie własnej tożsamości, nie mniej wartościowej niż na przykład Anglik.

Byłoby rzeczą nieuczciwą twierdzić, że wyświadcza się nam dobrodziejstwo, kiedy się na obczyźnie daje pracę naszemu robotnikowi. Kwestia kto komu wyświadcza dobrodziejstwo (tamże, s. 24)

— wyrażało się tu drugie znaczenie funkcji tożsamościowej dyskursu: Polacy są inni niż pozostali Europejczycy, są lepszymi pracownikami. Tę właściwość tożsamościową określono wyraźniej:

Do pracy na Czarnym Łądzie winny być dopuszczane te przede wszystkim narody, którym jest to ze względów gospodarczych konieczne, a które swym pokojowym nastawieniem, tradycją kultury i umiejętnością współpracy w pełni na to zasługują. Do państw tych w pierwszym rzędzie należy Polska (B. M. 1938, s. 9).

Splot tych pozornie wykluczających się elementów (uczestnictwo w przedsięwzięciach kolonialnych na takich samych warunkach jak inni Europejczycy — akcentowanie własnej, polskiej odrębności) pozwalał Polakom z jednej strony określać się w kategorii przedstawicieli Świata Białych, z drugiej zaś — podkreślać w ramach tego świata własną odrębność i swoistość. Zjawisko było znane z innych państw Europy — poczucie wspólnoty Białych (zazwyczaj na terenach zamorskich zamieszkałych przez „kolorowych”) współwystępowało z poczuciem lokalnej (europejskiej) odrębności. Anglik, Francuz, Niemiec, Włoch należą do rasy Białych, ale różnią się między sobą — miało to zresztą przełożenie na konflikty międzypaństwowe, ale i kolonialne w znaczeniu wzajemnych pretensji, gorzej lub lepiej umotywowanych, do pewnych obszarów kolonialnych. W pewnych przypadkach zwyciężało poczucie wspólnoty europejskiej (Białych), w innych górę brały konflikty kolonialne pomiędzy metropoliami.

Dyskurs kolonialny w Polsce pozwalał opowiadać się — zależnie od okoliczności — to po jednej, to po drugiej stronie. Tak rozumiana funkcja tożsamościowa pomagała społeczeństwu wyzbyć się historycznych kompleksów i dowartościowywać się jako niewątpliwej części Świata Białych, a także jako narodowi o historycznych osiągnięciach (w tym kolonialnych), sobie tylko przypisanych właściwościach, równie dobrych, a nawet lepszych pod pewnymi względami od właściwości narodów zachodnich. Poczucie tożsamości ze wspólnotą Białych przy równoczesnym akcentowaniu własnej odrębności czy interesów miało swoje przełożenie na program kolonialny:

Rzeczpospolita Polska ma przed sobą jedną realną drogę uzyskania kolonii politycznych. Jest to zlanie się w jeden organizm polityczny z jakimś państwem już kolonie posiadającym. Jeśli w ogóle realizacja takiej koncepcji była możliwą i celową dla obu kontrahentów, to w grę wchodziłyby tu państwa mniejsze, a nie olbrzymy kolonialne takie jak Anglia lub Francja. W chwili obecnej wydaje się taka unia polityczna Polski z Holandią, Belgią lub Portugalią wykluczona. Niemniej byłoby możliwym poprzez specjalne traktaty handlowe, zdążające w szybkim tempie do unii celnej z jednym z mniej lub zupełnie dla nas niebezpiecznych państw kolonialnych, na przykład z Holandią lub Portugalią, uzyskać w koloniach tych państw takie prawa i takie obowiązki, które nie dając nam politycznego tytułu własności tych kolonii, dawały nam w praktyce wszystkie korzyści tego posiadania. *A la fin* Polsce nie o tytuł chodzić winno, ale o korzyści gospodarcze, z gospodarki kolonialnej wypływające. I tu podkreślić warto, że im słabszy będzie gospodarzo i politycznie w Europie nasz kontrahent, tym korzystniejszą będzie ta unia celna dla Rzeczypospolitej Polskiej (Załęcki 1930, s. 269).

Oto „my, Biali”, Polacy, gotowi jesteśmy zawrzeć porozumienie z innymi Białymi, by wejść we wspólne posiadanie kolonii jako równie dobrzy Europejczycy jak oni. Wybór jako partnera słabszego państwa europejskiego podyktowany był korzyścią polityczną Polski: im partner unii słabszy, tym pozycja Polski silniejsza. Jednakże najbardziej idealnym rozwiązaniem byłoby samodzielne posiadanie kolonii przez Polskę, najlepiej wyrażające funkcję tożsamościową narodu. Korespondowała z powyższym poglądem koncepcja Eurafryki jako hipotetycznego obszaru podporządkowanego całej Europie:

Żeby Afrykę zdobyć gospodarczo, musi ją Europa przede wszystkim kolonizować, to znaczy posyłać tu nadmiar swojej ludności. (...) Ale Afrykę skolonizować może Europa tylko wspólnym wysiłkiem (...). Afryka jest powołana do tego, by dać początek jedności Europy i z nią razem stanowić w przyszłości trzeci [obok Ameryki pod przywództwem Stanów Zjednoczonych i Azji pod przywództwem Japonii] samowystarczalny kompleks gospodarczy świata (Radzikowski 1931, s. 22–24).

Pojęcie Eurafryki w sensie poczucia identyfikacji ze Światem Białych (kolonizacja Afryki wspólnym wysiłkiem Europy) mieściło się w funkcji tożsamościowej polskiego dyskursu kolonialnego, stanowiąc kontynentalne (europejskie) rozwinięcie koncepcji „unii kolonialnej” wysuniętej przez Załęckiego. Jednakże zarówno politycy, jak i działacze kolonialni obawiali się „rozpłynięcia się” Polski wśród innych państw europejskich oraz przydzielenia Polakom roli „materiału ludzkiego”, a więc niższego statusu — statusu swoistych „służących” państw kolonialnych. Znaczenie funkcji tożsamościowej polegające na współprzynależności do społeczności Białych było w tym przypadku sprzeczne ze znaczeniem drugim, określającym Polaków jako samodzielnie o sobie stanowiący naród. Cytowany już Kazimierz Głuchowski, rozważając kwestię Angoli jako terenu ewentualnej polskiej kolonizacji, podkreślał możliwość wytworzenia się tam nowego polskiego społeczeństwa:

Bez wątpienia można na płaskowyżu Angoli umieścić setki tysięcy osadników, dając im tym samym możliwość stworzenia społeczeństwa we wszystkich jego klasach na zwartym terytorium. (...) Rolnictwo ma wszelkie dane rozwojowe — a przeto podstawa społeczeństwa nowego: wieśniak — może się ugruntować. Może powstać wielki plantator i hodowca, jest pole i dla przemysłu, i dla handlu (...). Klimat i stan zdrowotny [Angoli] pozwala mniemać, że rasa nowa [czyli osiadła polska społeczność] wytworzona w Angoli będzie silna i dzielna, i będzie się mogła świetnie rozwijać (Głuchowski 1927, s. 133–134).

Ujawnia się tu zarazem odwołanie do wspólnoty Białych. Ukształtowanie się nowego społeczeństwa w Angoli stanowiłoby warunek, by kraj ten lub jego część zaludnioną przez polskich osadników przekształcić w polską kolonię lub kondominium z Portugalią. W drugim przypadku funkcjonowałyby wspólnota Białych, zarządzająca kolonią nie w imieniu tylko Portugalii lub tylko Polski, ale w imieniu „białej rasy”.

Poczucie tożsamości ujawniało się także w postulowaniu przyjmowania polskich osadników (nie emigrantów) do kolonii brytyjskich. Wielka Brytania była przeciwna przyjmowaniu do swoich posiadłości emigrantów i osadników spoza Zjednoczonego Królestwa. Niektórzy uczestnicy polskiego dyskursu kolonialnego określali to stanowisko jako niebezpieczne na przyszłość dla Wielkiej Brytanii:

Biała mniejszość południowo–afrykańska, Burowie czy Anglicy, żyją w tym kraju od wielu generacji. Stał się on naprawdę ich jedyną ojczyzną. Tych milion siedemset tysięcy białych, jeżeli stracą widoczną przewagę siły, nie będą mogli z pięknym gestem dyplomatycznym ukłonić się czarnemu władcy, spakować manatki i wrócić [nawiązanie do przewidywanej przyszłości Indii]. Oni będą musieli albo wyróżnić kolorowych, albo zostaną wyróżnieni. Gdybym był obywatelem Południowej Afryki (...) szukałbym posiłków od tych białych społeczeństw, które jeszcze są w okresie młodego rozwoju, które dostarczyć mogą rocznie bez szkody dla siebie stutysięczny kontyngent osadników do zasiedlenia pustych (...) obszarów sąsiednich i zapewnić białym lepsze bezpieczeństwo na przyszłość (Plutyński 1933, s. 22–23)⁶.

W tym przypadku nie chodziło o uczynienie z wychodźstwa polskiego skupiska osadniczego — była to oferta współdziałania Białych (emigracja do Afryki Południowej wzmocniłaby tam położenie liczbowe Białych — my, Biali, *versus* oni, Czarni). Funkcja tożsamościowa dyskursu kolonialnego wahała się zatem między poczuciem tożsamości ze Światem Białych a poczuciem polskiej tożsamości, odrębnej od tożsamości innych Białych. Poglądy te nie musiały się wykluczać. Raczej uzupełniały się, akcentując preponderancję to jednego, to drugiego:

⁶ Autor nie był ani redaktorem, ani stałym współpracownikiem miesięcznika. Na podstawie tematu artykułu i wykazanej w nim znajomości faktów można przypuszczać, że był człowiekiem zainteresowanym ideą kolonialną.

Eksploatacja kolorowych była w dużym stopniu pozostawiona kolonistom, często jednak przeprowadzały ją wprost rządy państw kolonialnych na rachunek skarbu. Poza tym historia kolonialna stwierdza, że niejednokrotnie nawet bez żadnej bezpośredniej i uzasadnionej racjonalnie potrzeby niszczone i tępiono kolorowych (Załęcki 1930, s. 525).

Podobne stanowisko zajmował Dębicki (Dębicki 1928). Sformułował on dodatkowo stwierdzenie o wyższości etycznej osadników polskich nad zachodnio-europejskimi. Polski kolonista nie zmierzał do eksploatawania ludów kolorowych, szanował ich odrębność, chciał je podnosić na wyższy poziom cywilizacyjny — Polska w swoim czasie była swoistą kolonią mocarstw rozbiorowych, zatem Polak lepiej rozumiał uczucia tubylców. Poglądy te spotykały się z odmiennymi, głoszącymi wspólnotę białej rasy i drastyczne niezrozumienie białej cywilizacji przez tubylców, zatem ich dzikość lub „dziecinność”, co wymagało odpowiedniego z nimi postępowania, dopóki nie osiągną należytego poziomu cywilizacyjnego.

Funkcja poznawcza miała tłumaczyć, jak należy ustosunkować społeczeństwo do „kolorowych”. Zwracałem już uwagę, że w początkach istnienia Drugiej Rzeczypospolitej w dyskursie kolonialnym występowało postrzeganie „innych” (nie-Białych) jako nieodróżnialnej masy. Używano pojęć bardzo ogólnych: „ludy kolorowe”, „ludy niecywilizowane”; lub nieco bardziej precyzyjnych, choć nadal ogólnych: Murzyni, Żółci (Azjaci), Indianie (z wyłączeniem Chińczyków, Japończyków i Hindusów uznawanych za narody cywilizowane).

Fernand Braudel zauważył, że cywilizacja zachodnia zdobyła całą planetę, stała się cywilizacją „bez granic”, szczerze rozrzuciła swe dary, zarówno te dobre, jak i złe. Oczywiście niosła ze sobą swoje postrzeganie „innych”, z własnego punktu widzenia. Ta globalna zdobywczość określała globalne postrzeganie — „My” i „Tubylcy”, Biali i ludy kolorowe:

Człowiek w ciągu długich stuleci jest więźniem klimatów, typów roślinności, fauny, upraw, powoli ukształtowanej równowagi, od której nie może odejść bez ryzyka, iż zarysuje się cały gmach (Braudel 1971, s. 55).

Historyk ten dodał jeszcze uwagę o trwałym umiejscowieniu miast, uporczywości szlaków lądowych i tras morskich, o zadziwiającej stałości ram geograficznych, w jakich rozwijają się cywilizacje.

Człowiek w ciągu stuleci stawał się więźniem swych obserwacji, odczuć i wpływających z nich wniosków, zatem i przyzwyczajień, zwłaszcza gdy obserwacje i odczucia dotyczyły „innych”, tych, którzy drastycznie różnili się od „nas” wyglądem, obyczajami, kulturą. Przyzwyczajenia utrwalały się. Braudel starał się jednak odróżnić to, co trwa, od tego, co zmienia się:

Przede wszystkim mamy do czynienia z cywilizacją, pojęciem obejmującym całą ludzkość, oraz cywilizacjami, rozrzuconymi w czasie i przestrzeni. Ponadto sło-

wo cywilizacja nigdy nie podróżuje samo: towarzyszy mu nieodłącznie słowo kultura, które nie jest jednak jego prostym wymiennikiem. I tu także wypada zaznaczyć, że rozróżnienie między liczbą pojedynczą a mnogą tego pojęcia ma zasadnicze znaczenie. Jeśli zaś chodzi o przymiotnik kulturowy, to świadczy on nam od dawna usługi dość niejasne, zarówno w odniesieniu do kultury (zgodnie z etymologią), jak i w odniesieniu do cywilizacji. (...) Cywilizacja, powiedziec można by, jest zbiorem cech i zjawisk kulturowych (tamże, s. 293)⁷.

Pojęcia te determinowały postrzeganie „innych” w kontekście własnej kultury. Refleksja Europejczyków na temat społeczeństw pozaeuropejskich wynikała z odziedziczonego podziału świata na cywilizowany i barbarzyński. Takie postrzeganie Świata Pozaeuropejskiego utrzymywało się długo. Dłużej w polskim dyskursie kolonialnym niż w dyskursach kolonialnych państw mających posiadłości zamorskie. Tam XIX-wieczne (i wcześniejsze) rozpoznania mogły być korygowane i zmieniane dzięki bezpośrednim kontaktom z kulturami „Innych”. W Polsce (pominąwszy jednostki) takiego kontaktu nie było. Niemniej, pojawiały się dążenia do zrozumienia Świata Egzotycznego oraz tamtejszych ludów. Dążenie do poznania tego świata nie poprzez stereotypy określało funkcję poznawczą dyskursu kolonialnego. Niemordowany Gustaw Załęcki zajmował się nie tylko definicjami kolonii, uzasadniał też, dlaczego kolonie są potrzebne Polsce: nie dla jakiejś awanturniczej przygody, ale ze względu na potrzeby państwa i narodu, zwłaszcza ze względu na ich rolę w gospodarce światowej:

Kolonia polityczna jest dla nas (mówię tu o najczęstszym ujęciu tej sprawy) jakimś egzotycznym dzikim krajem, który osiąść powinniśmy, gdyż wymaga tego *prestige* rosnącego w potęgę państwa. Kolonie są nam potrzebne, by znaleźć ujście dla awanturniczo-rycerskiego życia, które w głębi każdej prawdziwie polskiej duszy kryje się jako ideał (...). Dla nich [Anglików, Francuzów, Holendrów, Włochów] kolonie są terenem przemyślanej ekspansji państwa i narodu. Dla nich kolonie są nie awanturą, ale ważnym środkiem polityczno-militarnym, którym posługują się w wielkiej grze światowej (...). Obok nauki o Polsce, musimy zdobyć się na naukę o świecie, i to tak poprowadzoną, aby rola Polski na tle gospodarki światowej stała się nam jasną, nie tylko pod kątem widzenia stanu faktycznego, ale i stanu możliwego (Załęcki 1930, s. 45).

Anna Nadolska-Styczyńska zauważa, że w Polsce wiedza o obszarach i lądach tropikalnych znacznie wzrosła od końca lat 20. i w latach 30., głównie dzięki licznym wyjazdom na te tereny naukowców, podróżników, pisarzy, dziennikarzy, osiedleńców i plantatorów — nadsyłali oni swoje uwagi, przywozili rozmaite eksponaty, prezentowane następnie w muzeach i na wystawach, szczególnie z inicjatywy Ligi Morskiej i Kolonialnej. Zwiększyła się liczba publikacji poświęconych temu tematowi w gazetach, periodykach fachowych i książkach. Badaczka dodaje jednak, że ta funkcja poznawcza miała drugie oblicze: autorami licznych relacji nie byli profesjonalni etnografowie, lecz ludzie różnych zawodów,

⁷ Zastosowane w cytowanym tekście podkreślenia zastąpiły występujące w oryginale spacje.

o różnym wykształceniu i przekonaniach, zatem miawały one często powierzchowny charakter:

Podsumowując, wypada stwierdzić, że sporo w tych opisach jest przesady i nieścisłości, wynikających, jak sądzę, zarówno z chęci zainteresowania czytelnika egzotyczną stroną życia w tropikach, jak i z braku szerszej wiedzy etnograficznej autora, który starając się tłumaczyć niejasne dla niego zjawiska, dopuszcza się zupełnie niezrozumiałych, choć daleko idących uproszczeń. Niemniej, jednak uważam, że i w tych materiałach można znaleźć coś ciekawego. Szczególnie interesujący wydaje mi się w tych pracach opis zetknięcia dwóch całkiem różnych kultur (Nadolska–Styczyńska 2005, s. 156).

Zatem mimo niedostatków (powierzchowność opisów, brak przygotowania i fachowości autorów, zafascynowanie egzotyką kosztem rzeczowych relacji) wielka liczba materiałów z terenów tropikalnych przyczyniła się do lepszego poznania tamtejszych ludów i ich kultur. Funkcja poznawcza dyskursu kolonialnego określała te zmiany.

Naturalnie, w wielu z tych relacji widoczny był europocentryzm. Przejawiał się on głównie w przekonaniu o misji cywilizacyjnej Białych, traktujących tubylców jako prymitywnych i naiwnych, ale poczciwców, których należy podnosić na wyższym poziom cywilizacji. Nie należy się temu dziwić. System kolonialny w latach 1918–1939 uważany był za naturalną oczywistość. Jednakże zauważalne zmiany w odnoszeniu się do ludów kolonialnych, aczkolwiek nie powszechne, obalały wiele dotychczasowych stereotypów i stanowiły swoisty przewrót mentalny w traktowaniu ludów kolorowych — jako nie hordy dzikusów, lecz zróżnicowanych kulturowo plemion, wobec których Biali mają powinność cywilizacyjną (muszą podnieść ich na wyższy poziom i przystosować do wymogów współczesnego świata). Takie spojrzenie uwidaczniało się w wypowiedziach częściowo odwołujących się do stereotypów, częściowo inaczej rozpoznających kolonializm:

Tytuł kolonialny jest to w jednym skrajnym wypadku odwieczne prawo objęcia w posiadanie „rzeczy niczyjej”, pustych przestrzeni (...) w innych skrajnych wypadkach jest to prawo silniejszego zaborcy do panowania nad krajami już zasiedlonymi, częstokroć przez ludy o wspanialej przeszłości historycznej, odrębnej i szanowanej cywilizacji: jak np. Indie lub Egipt. (...) Powszechnie uznawanym tytułem ludów europejskich do panowania nad ludami innych części świata była ich wyższość cywilizacyjna, szczególnie wyższość w organizacji technicznych dzieł komunikacji, nawodnienia, wyzyskania bogactw przyrodzonych i pojemności rynków wewnętrznych (Plutyński 1933, s. 23).

Moment eksploatacyjny wysuwał się w całym szeregu kolonii na plan pierwszy przed momentem osadniczym. Sprowadzając rzecz do Polski, autor stwierdza:

Oto mocniejszy od pisanych traktatów tytuł Polski do kolonii. Żądamy kolonii, bo jesteśmy narodem o największym w Europie półmilionowym przyroście

naturalnym (...) dać możemy najlepsze gwarancje ich zasiedlenia i utrzymania (tamże).

Funkcja poznawcza ujawniała się w doborze argumentów: kolonie nie są tylko po to, by je eksploatować, lecz by je zasiedlać żywołem krajowym, również ku pożytkowi tubylców, by ich cywilizować. Niektórzy sceptycznie odnosili się do panowania nad ludami o uznanej przeszłości historycznej i cywilizacji. Podobne sądził korespondent „Morza”, Wojciech Szukiewicz. Poczuwając się do wspólnoty rasowej z Europejczykami i szerzej — Białymi, stwierdzał:

Winy Europy i białej rasy wobec ludności murzyńskiej są zaiste wielkie; wystarczy tutaj wskazać jedynie na fakt, że przez przeciąg czterech wieków biała Europa stanowiła główną podporę tego handlu istotami ludzkimi, który pozbawił czarną Afrykę stu milionów ludzi, przekształcił oblicze jej życia społecznego, obalił zorganizowany rząd, wykoślawił odwieczny przemysł, uniemożliwiając wręcz rozwój kulturalny. Dzisiaj zaś panuje nowa forma niewolnictwa w postaci proletariatu przemysłowego pozbawionego własnej ziemi, z której go biały człowiek wypiera (Szukiewicz 1934, s. 26–27).

Nieco dalej jednak, ustosunkowując się do pojawiających się żądań „Afryki dla Afrykanów”, likwidacji panowania kolonialnego i utworzenia państw murzyńskich, zanegował możliwość likwidacji systemu kolonialnego. Zauważył bowiem, w sposób dość ironiczny:

Możemy być zaiste dumni z łaskawego zestawienia nas na jednym poziomie z półnagimi dzikusami kontynentu afrykańskiego, których mimo całą sympatię na jaką zasługują, za równych sobie pod każdym względem uważać nie możemy (tamże).

Zatem z jednej strony korespondent ten zauważał winy Białych wobec Murzynów, a nawet przypisywał przodkom obecnych tubylców wypracowanie wśród nich struktur politycznych, przemysłu (gospodarki) i własnej kultury, zniszczonych przez kolonializm, co rzadko pojawiało się w polskim dyskursie kolonialnym, z drugiej jednak nie negował potrzeby kolonii. Ich istnienie usprawiedliwiał tym, że skoro niegdyś te struktury kulturowe Murzynów zostały zniszczone, a oni sami obróceni w „półnagich dzikusów”, to znaczy, że nie potrafili utrzymać swoich struktur, zatem powinni znajdować się pod czyjąś opieką. Oczywiście Białych, z którymi obecnie pod żadnym względem (zapewne cywilizacyjnym) równać się nie mogą. Jednym słowem, Murzyni sami byli winni temu stanowi rzeczy.

Funkcja poznawcza dyskursu kolonialnego oscylowała między przypominaniem niegdysiejszej samoidentyfikacji „kolorowych” ze swoją — z pewną przesadą — świetnością (przynajmniej poczuciem tożsamości kulturowej) a potrzebą misji cywilizacyjnej Świata Białych, spowodowaną koniecznością opieki nad tubylcami i chęcią gospodarczego wykorzystania tych obszarów (przecież tubylcy tracili te umiejętności). Takie poglądy pozwalały odbiorcom inaczej spoglądać na obszary zamorskie: jako na mające (przynajmniej niektóre z nich) wła-

sne dzieje i własną kulturę. Zarazem przekonywały o konieczności posiadania kolonii przez Polskę jako „dobrego opiekuna”, umiającego należycie wykorzystać ekonomicznie te tereny i nauczyć ich mieszkańców nowoczesnych zasad gospodarowania.

Funkcja poznawcza przejawiała się również w tym, że przestano widzieć jedynie Murzynów — zaczęto dostrzegać rozmaite społeczności i ludy afrykańskie. Dotyczyło to obszarów, gdzie docierało więcej Polaków: podróżnicy, badacze, plantatorzy. Jeszcze w relacjach o Angoli, będącej obszarem zainteresowań działaczy kolonialnych, występowali generalnie Murzyni. W późniejszych relacjach pojawiały się już nazwy miejscowe żyjących tam ludów, chociaż nadal przeważało uniformizujące określenie Murzyni. Bardziej rozpoznana wydawała się być Liberia — także teren przewidziany pod polskie osadnictwo plantatorskie. Po zawarciu w 1934 roku traktatu między Liberią a Ligą Morską i Kolonialną „Morze” zamieściło artykuł pozwalający na zorientowanie się w geografii, historii, klimacie, gospodarce i stosunkach etnicznych tego kraju:

Ludność Liberii można podzielić na dwie grupy, jakkolwiek obie należą do rasy czarnej, a mianowicie na ludność napływową, tj. Liberyjczyków tzw. cywilizowanych [potomków osiadłych tu Murzynów przybyłych ze Stanów Zjednoczonych], oraz na ludność zwaną tubylczą. Do pierwszej należą Liberyjczycy przede wszystkim pochodzenia amerykańskiego, w liczbie około 25 000 głów, oraz Murzyni przybyli z różnych kolonii afrykańskich i innych krajów w liczbie kilku tysięcy. Ta grupa ludności mówiąca po angielsku zajmuje stanowisko uprzywilejowane (...). Drugą grupę tworzy około półtora milionowa ludność tubylcza, dzieląca się na kilkanaście plemion, wśród których etnicznie wyróżniają się trzy grupy: Kru, Mandingo i Gola (Januszewicz 1935, s. 14).

Kolejne relacje zdają się potwierdzać spostrzeżenie o niezłym zorientowaniu w stosunkach etnicznych w Liberii, zarówno w zasadniczym podziale na „cywilizowanych”, czyli anglojęzycznych potomków przybyszy ze Stanów Zjednoczonych, oraz na „dzikich”, autochtonicznych tubylców z buszu, jak i w zróżnicowaniu kulturowo–plemiennym „dzikich”. Przy tym terminu „Murzyni” używano jedynie wobec autochtonicznej ludności miejscowej, dla odróżnienia jej od „cywilizowanych Liberyjczyków”, ze świadomością jednak, że tubylcy nie są jednoplemienną masą. Korespondent „Morza”, E. Januszewicz, scharakteryzował poszczególne plemiona:

Kru znani byli od wieków jako doskonali marynarze oraz dali się później poznać jako dobrzy, sumienni robotnicy. Gola i pokrewne im plemiona (...) są ludem mało rozwiniętym i najsilniej opierają się wpływom zewnętrznym (tamże).

Zróżnicowanie to dostrzegali i inni autorzy publikujący w „Morzu”. Tubylczy mieszkańcy nie byli jedolitą masą Murzynów, lecz mozaiką rozmaitych plemion.

Funkcja poznawcza dyskursu kolonialnego, pozwalająca lepiej zorientować się w dywersyfikacji poszczególnych krajów Afryki, miała praktyczne znaczenie — chodziło o kwestię wykorzystania tubylców jako przyszłych pracowników na

plantacjach. Jeśli odwoływano się do dawnego, generalizującego postrzegania, to dlatego, że łatwiej byłoby kierować jednolitą masą „Murzynów” niż uwzględniać odmienną tożsamość poszczególnych plemion, komplikującą proste zarządzanie nimi. Być może ujawniało się tu także dawne, stereotypowe spojrzenie na Czarnych jako na „naiwne, zacofane dzieci” czy „półnagich dzikusów”. Francuszek Łyp w swej relacji z Angoli (1929 r.) pisał:

Pracowitości nadzwyczajnej murzyni nie wykazują ani też nie są dobrymi robotnikami. (...) Murzyni są nie tylko spostrzegawczy, ale i pojętni. Z chęcią naśladowali białych ludzi i szybko przyswajają sobie wszystko to, co im przynosi korzyść. Wykazują więc pewne walory, które pomimo ich niskiego stopnia kultury mogą być do pewnego stopnia rozwinięte. (...) Ustosunkowanie się ludności białej do murzynów wyraża się mniej więcej przekonaniem, że murzyn jest po to, aby pracował, a biały, aby rozkazywał (Łyp 1929, s. 25).

Dziewięć lat później Kazimierz Armin, plantator w Liberii, zatem człowiek, który zetknął się z ludnością miejscową, i wydawałoby się, powinien dobrze ją znać, tak opisywał swoje wrażenia:

Murzyni w Liberii przedstawiają dobry materiał roboczy, jedynie ci, którzy uczęszczali do szkół są nieco zdemoralizowani. Murzyn, nauczywszy się zaledwie sylabizować i nieco pisać, uważa się za istotę wyższą od swych współbraci i wzięty do pracy na plantacji zwykle po trzech czy czterech dniach prosi o lepszą pracę, prośbę swoją motywując tym, że jest „cywilay” (...). Naturalnie, za lepszą pracę uważa taką, gdzie można jak najmniej pracować, a otrzymuje się lepsze wynagrodzenie (Armin 1938, s. 19).

Zauważano jednak, że:

Przyjacielskie i serdeczne odnoszenie się nasze do ludności tubylczej wytworzyło bardzo miły stosunek wzajemny i zapewniło nam całkowite zaufanie z ich strony. Początkowa nieufność, z jaką zwykle czarni odnoszą się do białych, zupełnie zanikła, ustępując miejsca przekonaniu, że jednak ci biali niosą im dobro (tamże).

Co prawda, trudno uwolnić się od wrażenia, że opis ten jest przejawem paternalizmu człowieka białego wobec czarnego. Podsumowaniem tych, niekiedy sprzecznych, opinii może być następujące stwierdzenie:

Afryka — ten ład do niedawna dziewiczy — staje się terenem wielu ścierających się prądów, opartych na różnorodności kultur, wier i interesów. Groźną potęgą staje się panislamizm, głoszony przez bliższych Murzynom niż biali — Arabów. Komunizm — dla celów światowej rewolucji — sieje uparcie na Czarnym Łądzie posiew nienawiści ku białym. Tworzy się również ruch murzyński pod hasłem: „Afryka dla Murzynów”, któremu przewodzą mieszańcy. Najgorsze jednak następstwa wywołać może rywalizacja i walka białych z białymi na Czarnym Łądzie, co już zresztą miało miejsce w czasie wielkiej wojny. Teżą naszego rozmówcy (...)

była konieczność współpracy białych na terenie Afryki, nie przenoszenie nań sporów z kontynentu europejskiego (B. M. 1938, s. 9)⁸.

Oczywiście, tradycyjne stereotypy nadal się utrzymywały. Jednakże w Polsce funkcja poznawcza przyczyniała się do lepszego rozpoznania obszarów zamorskich i zrozumienia ich mieszkańców. W znacznym stopniu niwelowała utarte poglądy, przekonując, że „kolorowi” są zróżnicowani i mają własną, swoistą kulturę oraz wyrastające z niej dążenia i ambicje. Inna sprawa, jak oceniano te kultury oraz dążenia i ambicje ich twórców i nosicieli. Tak działająca funkcja poznawcza utrzymywała niektóre elementy stereotypów, zwłaszcza te, które wynikały z nadal istniejących opinii o charakterze Murzynów. Wyjątkiem, jeśli chodzi o Afrykę, był Madagaskar — dostrzegano, że założeniem polityki francuskiej był program współpracy władz i kolonistów z tubylcami. Zresztą do wiadomości powszechnej przenikał pogląd, że mieszkańcy wyspy nie byli Murzynami, zatem łatwiej było przyjąć, że to nie dzikusy z dżungli, lecz ludzie niejako cywilizowani.

Stereotypy na temat ludów kolorowych łatwiej ulegały niwelacji w przypadku Indian południowo-amerykańskich. Dowodem może być popularność książek Arkadego Fiedlera (*Ryby śpiewają w Ukajali czy Rio de Oro*) i zawartych w nich też o dążeniu Indian do przyswojenia sobie elementów kultury Białych przy zachowaniu własnej tożsamości. Być może taka postawa była wynikiem oddziaływania literatury podróżniczej i przygodowej, ukazującej Indian jako ludzi szlachetnych. Już Juliusz Verne w powieści *Dzieci kapitana Granta* przedstawił Indianina Thalcave jako wręcz wzór Indianina — osobnika dumnego, szlachetnego, gotowego do poświęceń, rozumującego prawie jak Biali.

Afryka nadal przedstawiała się jako matecznik dzikusa. Wynikało to z przekonania o naturalności systemu kolonialnego jako oczywistej części systemu politycznego świata. Efektem był panujący pogląd o wyższości cywilizacyjnej Białych. Częściej jednak zdarzały się wypowiedzi o konieczności podnoszenia poziomu cywilizacyjnego ludów kolorowych. Już to stanowiło swoisty przewrót mentalny w poznawaniu ludów kolonialnych.

Funkcje dyskursu popularnego

W popularnej wersji dyskursu kolonialnego (w porównaniu z odmianą elitarną) jego funkcje podlegały emocjonalnemu określaniu (które z nich były ważniejsze w przekonaniu uczestników). Chociaż wpływały z podobnych lub tych samych przesłanek, były odmiennie ustawione w hierarchii. Naturalnie, dyskurs popularny był kierowany do innego kręgu odbiorców niż elitarny. Często jednak trafiał do tych samych ludzi, zaś uczestnicy jednego bywali zarazem uczestnikami

⁸ Jest to fragment rozmowy z księciem Leonem Sapiehą, przedstawicielem Polski na kongres „Volta” w Rzymie.

drugiego. Różnica wynikała z tego, że wypowiedzi w dyskursie popularnym były bardziej swobodne niż w elitarnym. Jego uczestnicy nie musieli się tak bardzo liczyć ze wskazaniem czy zaleceniami instytucji rządowych, chociaż przyjmowali ogólną linię państwa w sprawach kolonialnych.

Z tego względu wypowiedzi te łatwiej i szerzej trafiały do ogółu społeczeństwa, były odczytywane przezeń jako niezależne, wolne w dużej mierze od dyrektyw rządowych, jednocześnie zaś miały ciche „błogosławieństwo” elit. Dzięki temu funkcje dyskursu w jego odmianie popularnej ujawniały się wyraźniej, a społeczeństwo utożsamiało się z nimi.

W społeczeństwie Drugiej Rzeczypospolitej istniały odmienne przekonania polityczne. Rzutowały one na poglądy wobec polityki kolonialnej. Jednakże w obszarze politycznym funkcji dyskursu kolonialnego panowała zgoda co do pewnych jego elementów, jednakowo rozumianych przez naród. Elementem takim była przede wszystkim kwestia zasad polityki Polski wobec Niemiec, również powszechna zgoda na umocnienie siły militarnej i gospodarczej państwa oraz na poprawę jego położenia w stosunkach międzynarodowych w Europie. Pojawiały się różnice taktyczne związane z praktycznym wykonywaniem tych założeń, nie było jednak różnic co do zasad.

Funkcja państwowotwórcza była jedną z istotniejszych w dyskursie popularnym. U jej podstaw stała potrzeba scalenia państwa po okresie rozbiorów w jeden, zwarty organizm, w którym przewodnią myśl polityczną byłaby podporządkowana generalnej zasadzie obowiązującej wszelkie rządy, niezależnie od ich proveniencji. Program kolonialny wyrażał tę funkcję za pomocą porównań Polski z krajami mającymi posiadłości zamorskie. Wykazywano, jak w takich przypadkach terytoria zamorskie przyczyniają się do wzmocnienia państwa. Nieprzypadkowo przywoływano stanowisko obywateli Francji wobec kolonii ich kraju. Miało ono stanowić wzór dla Polski:

Imperium kolonialne Francji jest drugie nie tylko co do rozległości, ale także co do wartości. (...) Faktem jest, że masa muzułmańska Algieru zachowuje lojalizm bierny, że w Tunisie ruch całkowitą niepodległość mający na względzie jest bardzo słaby, że w Maroku z polityki dobrotliwej siły rezygnować nie ma powodu. (...) Imperium kolonialne daje Francji 200 000 rekruta rocznie, co pozwala naszej sojusznicy dysponować stale armią 450 000 ludzi. (...) Francuzi niewątpliwie dowiedli, że są wielkim narodem kolonizatorskim, że ciągle jeszcze budują i tworzą, że nie są tylko narodem rentierów [że są] narodem imperialnym i zdecydowani są swój stan posiadania utrzymać (Smogorzewski 1930, s. 4).

Swoistym uzupełnieniem tej myśli była analiza przydatności dla Francji odległych kolonii azjatyckich, mogących wydawać się posiadłościami o mniejszej wartości. Pisała o tym „Gazeta Warszawska”:

Afryka francuska jest tak blisko metropolii położona, że właściwie staje się częścią metropolii (...). Idąc tą drogą, dochodzimy w konsekwencji do tezy, że na-

leżałoby zamienić kolonie francuskie w Azji na jakąś wartość, która by w danej chwili była intensywniejsza od Indochin. [Ale] Indochiny położeniem swoim i znaczeniem to kolosalny atut dla Francji (*Z zagadnień...* 1925, s. 1).

Wielka Brytania nie była dla Polaków punktem odniesienia. Z państwem tym Polska nie była powiązana tak silnie, jak z Francją; być może pewną rolę odgrywały stereotypy narodowe („kupczykowie angielscy”), a i to, że na początku lat 30. w prasie brytyjskiej pojawiły się rozważania o częściowym zaspokojeniu rewizjonistycznych, kolonialnych oczekiwań niemieckich kosztem innych państw.

Zamiast „ofiarowywać” Niemcom Pomorze — niech pomyślą w Londynie o... b. niemieckich koloniach” (*Z. F. R.* 1933, s. 3)

— pisano w polskiej prasie. Chodziło o odwrócenie uwagi Niemiec od konfliktów z Polską i zwrócenie jej na terytoria zamorskie, co znów było sprzeczne z polską polityką kolonialną, mającą na celu między innymi zablokowanie rewizjonistycznych dążeń niemieckich. Oczywiście, rozważania prasowe nie są jeszcze decyzją polityczną, mogą jednak być rozpoznaniem sytuacji i obserwacją reakcji zainteresowanych państw, niekiedy zaś podpowiedzią dla polityków, co ci powinni czynić. Niezależnie od możliwych interpretacji, tego typu nieporozumienia umacniały narodowe stereotypy o egoistycznych „angielskich kupczykach”, gotowych załatwiać swoje interesy kosztem innych; podobne rozważania prasowe kłóciły się z funkcją państwowotwórczą dyskursu kolonialnego, wykonywaną do wzmacniania polityki kraju:

Godząc się z koniecznością trwałego wychodźstwa powinniśmy, jako państwo i jako naród, zdobyć się na ujęcie tego ruchu w karby organizacyjne. Konsekwencje zaś dalsze, to, że: (...) atakujący zwykle łatwiej zdobywa posłuch niż broniący się. Fakt, że Polska żąda kolonii, wykluczyłby w oczach wielu możliwość poparcia niemieckich starań o odebranie nam dostępu do morza. (...) Hasło „Kolonie dla Polski” powinno już wyjść z zamkniętych sal, obrad Stowarzyszeń, Kół itp., na ulice (...) i pobudzać do bardziej pomyślnego dla polskiej racji stanu rozwiązania (...) (tamże).

Funkcja państwowotwórcza dyskursu kolonialnego objawiała się także w stwierdzeniu, że akcją kolonialną powinno zająć się państwo, a nie tylko społeczne stowarzyszenia, nadając jej zorganizowany, powszechny charakter. Dopiero wokół państwa powinno skupiać się społeczeństwo:

Albowiem zagadnienie kolonialne nie przestało być ośrodkiem wielkiej polityki światowej, walka o kolonie nie przestała być centralnym punktem ekspansji, kolonie (...) są nadal uważane za olbrzymi walor gospodarczy i polityczny (*F. Z.* 1935, s. 2–3).

Z tego rodzaju wypowiedzi wynikało, że jeśli mocarstwa zmierzają do nowego podziału kolonii, udział w nim Polski — o ile jest zainteresowana posiadłościami zamorskimi — jest koniecznością. Zagadnienia kolonialne nadal jednak

były tematem polityki światowej. Tę zaś prowadzić może tylko państwo. Społeczeństwo zainteresowane zagadnieniami kolonialnymi nie może szukać rozwiązań samorzutnie. Powinno skupić się wokół kolonialnej polityki państwa, wspierając je swoimi oczekiwaniami i postulatami, wykazując postawy państwowotwórcze — ich fragmentem, i to ważnym, rozgrywającym się na arenie wielkiej polityki światowej, są problemy kolonialne.

Funkcja państwowotwórcza dyskursu kolonialnego była wyraźna w wypowiedziach klasyfikowanych do dyskursu popularnego (w odmianie elitarnego dyskursu była stonowana): „Polska musi zdobyć się na odwagę”, „wyjść z zamkniętych sal na ulice”, „polska odpowiedź moralizatorom”, „kolonie olbrzymim wale-rem politycznym”, „walka o kolonie”, „ujęcie w karby organizacyjne” itp. (podkreślenia są moje, ukazują wyraźnie język tej funkcji). Hasła kolonialne w tych przypadkach wyrażały nie tylko zdecydowanie czy nawet desperację działaczy w kwestii pozyskiwania obszarów tropikalnych, ale także funkcję państwowotwórczą.

Nagłośnienie tych haseł, docieranie z nimi do wszelkich odłamów społeczeństwa przekonywało skutecznie do państwowotwórczej funkcji dyskursu kolonialnego. Dzięki niej w znacznej mierze kształtowała się polityka zagraniczna państwa, zwłaszcza polityka kolonialna, wspierana dosyć masowo przez żyjących państwowotwórcze przekonania (z czasem przyjmujących je za swoje) obywateli. Wprawdzie początkowo uważana była za sprawę drugorzędą, jednak z upływem lat, gdy formowało się nowe spojrzenie na sprawy międzynarodowe i wewnętrzne, awansowała do zespołu ważnych zagadnień polityki zagranicznej. Wzmacniała postawy państwowotwórcze w społeczeństwie.

Funkcja terapeutyczna dyskursu kolonialnego może być widziana jako pochodna funkcji państwowotwórczej. O ile ta druga jawi się jako scalenie społeczeństwa wokół spraw podstawowych (jest własne państwo, z którego istnienia każdy powinien być dumny, powinien mieć poczucie przynależności do niego oraz poczucie wyrastających z tego obowiązków), o tyle funkcja terapeutyczna ugruntowuje państwowotwórczą, przenosi ją na wyższy stopień tożsamości i identyfikacji narodowej, wymaga zrozumienia dla pozycji kraju w świecie, a przede wszystkim przekonuje, że Polska nie jest pariasem Świata Białych, lecz jego ważnym, równoprawnym członkiem.

W dyskursie popularnym funkcja terapeutyczna ujmowana była jednoznacznie. Jeśli rozpoczyna się walka mocarstw o nowy podział koloni, a Polska zamierza w niej uczestniczyć, to znaczy, że włącza się do walki mocarstw, zatem aspiruje do miana mocarstwa. Było to podkreślane już u progu lat 30. Korespondent „Gazety Warszawskiej” po wymienieniu aktualnych mocarstw świata (Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Japonia, Francja, Włochy, Niemcy) stwierdził:

Zapewne już niedługo do nielicznej rodziny wielkich potęg zaczniemy zaliczać i Polskę, bowiem obecnie możemy państwo nasze uważać za potęgę „ubiegają-

ca się” niejako o miejsce wśród sześciu państw naczelnych. (...) W każdym razie Polska ma bodaj najwięcej szans zajęcia miejsca wśród wielkich potęg współczesnych i — nie wątpimy w to wszyscy — miejsce to niedługo zdobędzie (*Sześć...* 1930, s. 9)⁹.

Ciekawe, że taki pogląd prezentował dziennik ściśle związany z Narodową Demokracją, głównym przeciwnikiem rządzącej sanacji, której przypisuje się autorstwo hasła Polski mocarstwowej. „Gazeta Warszawska” niejednokrotnie atakowała, i to ostro, politykę obozu rządzącego, w tym zagraniczną. Zgadzała się jednak z ideą mocarstwowości i zajęcia przez Polskę miejsca wśród najważniejszych potęg świata. Wynikało to z programu ND. W tym punkcie oba obozy polityczno-ideologiczne były zgodne; różniło je, czy idea kolonialna powinna być elementem mocarstwowości, czy też nie.

Inne wypowiedzi odwoływały się przede wszystkim do argumentów świadczących o mocarstwowości (przynajmniej o aspiracjach do niej). Były to: wielkość terytorialna kraju, liczba ludności, prężność demograficzna, wyrastające z tych cech ambicje, tradycje kraju — przedrozbiorowe, jak i czerpane z lat 1914–1920, tyleż polityczne, co i wojskowe. Elementy te możemy odnaleźć w relacji z odczytu prof. Stanisława Pawłowskiego, zamieszczonej w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”:

Wielkie państwo o sile ludnościowej potrzebuje znacznych obszarów dla osiedlenia i zaopatrzenia swej ludności. (...) Dopiero z chwilą otrzymania kolonii stanjemy się mocarstwem, państwem, które będzie miało głos w świecie tak, jak ten głos mają inne państwa, posiadające kolonie (Pawłowski 1936, s. 3–4).

Wypowiedź ta podkreślała różnice między państwami dużymi a małymi. Te drugie, ponieważ posiadały wielkie posiadłości zamorskie, zaliczane były do tak zwanych mocarstw kolonialnych. Do tej kategorii nie była zaliczana większa od nich Polska (większa np. od Belgii, Holandii czy Portugalii), dopiero dobijająca się o status mocarstwa kolonialnego. Angielski „Morning Star” pisał, że Belgia i Portugalia, rozporządzając wielkimi obszarami w Afryce, mogłyby część z nich ustąpić Niemcom i Polsce. Chętnie więc powoływano się na brytyjski dziennik jako na dodatkowy argument za ideą kolonialną, a zarazem dowód na to, że zagranica rozumie polskie postulaty (szczyptą dziegciu w tej beczce miodu było to, że „Morning Star” wspominał także o Niemczech). W każdym razie można było zinterpretować ten głos tak, że państwa małe, aczkolwiek panują nad wielkimi obszarami zamorskimi, nie są mocarstwami, chociaż miano to jest im przyznawane, natomiast mocarstwa rzeczywiste (Niemcy i Polska) posiadłości są pozabawione. Sprawę tę — państwa małe o wielkich posiadłościach i państwa wielkie bez posiadłości — rozwinął znany powieściopisarz historyczny Waław Gąsiorowski („państwa-muszki”). Za niesprawiedliwość uznał on, że małe Belgia

⁹ W dyskursie popularnym wyraźne stawały się akcenty mocarstwowe.

i Portugalia dysponują wielkimi posiadłościami, natomiast Polska mocarstwowa — żadną. Przestrzegano przed taką niesprawiedliwością:

Niebezpiecznym mogłoby być na dalszą metę odpychanie wielkiego, stale wzrastającego w sile i znaczeniu narodu od „miejsca pod słońcem” ((k) 1936, s. 3).

Narodu, oczywiście, polskiego, wzrastającego w siłę, czyli pretendującego do mocarstwowej roli.

Polska jest obok Niemiec jedynym mocarstwem pozbawionym kolonii (F. Z. 1937, s. 3–4).

Do tego, że duże państwo o dużej liczbie ludności powinno mieć kolonie, odwoływano się również w 1938 roku (z okazji Dni Kolonialnych w kwietniu i 20-lecia Ligi Morskiej i Kolonialnej w listopadzie; jubileusz 20-lecia LMiK obejmował jej poprzedniczki) formalnie bowiem Liga mogła obchodzić co najwyżej ośmiolatecie — powstała w 1930 r.):

33–milionowy naród polski żąda dla siebie kolonii (*Cala...* 1938, s. 5);

Trzydziestopięciomilionowe państwo ma prawo posiadania na własność koloni (Mróz... 1938, s. 9)¹⁰.

Może dziwić zestawienie Niemiec i Polski jako jedynych mocarstw nieposiadających kolonii. Porównanie wynikało z blokowania niemieckich aspiracji kolonialnych: Niemcy utraciły kolonie w wyniku postanowień Traktatu Wersalskiego, zatem zwrócenie uwagi na ich żądania miało wykazać brak podstaw prawnych do tych roszczeń i groźbę rewizji Traktatu, a tym samym uprzytomnić zasadność polskich oczekiwań kolonialnych. Niemniej, było to porównanie niezręczne — przeczyło polityce antyniemieckiej, także w kontekście kolonialnym. Kluczowym jednak słowem w tych wypowiedziach jest „mocarstwo”, nawet wtedy, gdy nie pada bezpośrednio. Sformułowania o „wielkim państwie” czy „trzydziestokilkumilionowym narodzie” kryły w sobie znaczenie „mocarstwo”.

Można podawać w wątpliwość mocarstwowość Polski, jednakże takie było powszechne przekonanie: jeśli Polska jeszcze nie jest mocarstwem, to znajduje się na drodze do osiągnięcia takiego statusu. Zastanawia w tym kontekście przedstawiona wcześniej odrębna opinia gen. Orlicz–Dreszera, uczestnika dyskursu elitarnego, wyrażona jednak na łamach prasy popularnej. Prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej — warto przypomnieć — twierdził, że nie można mówić o mocarstwowości w warunkach ubóstwa wielkich mas ludności kraju i słabej gospodarki. Jednakże poprawę położenia gospodarczego państwa widział między innymi w zintensyfikowaniu akcji kolonizacyjnej i emigracyjnej, poddanych regulacjom i opiece państwa, oraz handlu zamorskiego. Większość wypowiedzi

¹⁰ Różne liczby mieszkańców Polski podane w odstępnie kilku miesięcy — 33 i 35 milionów — to zapewne efekt powoływania się na szacunki (spisy?) z rozmaitych lat albo omyłka redakcji.

traktowała jednak mocarstwowość kraju, a przynajmniej posuwanie się w tym kierunku, jako oczywistość.

Funkcja terapeutyczna dyskursu kolonialnego legitymizowała dążenia kraju do poprawy gospodarki i sformułowania programu kolonialnego. Miał on być zresztą warunkiem polepszenia polskiej ekonomiki. Dzięki temu idea kolonialna była akceptowana przez liczne odłamy społeczeństwa.

Zasadniczym zadaniem funkcji mobilizacyjnej było gromadzenie możliwie dużych odłamów społeczeństwa wokół idei kolonialnej jako wyrazu dążeń Polski do zajęcia znaczącej pozycji międzynarodowej, a zarazem zachęcanie do brania czynnego udziału w pracy dla kraju, czyli do zaangażowania się w budowę Polski silnej politycznie i gospodarczo. Funkcję tę można dostrzec w koncepcjach gen. Gustawa Orlicz–Dreszera jako prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej:

Wiem o tym, w jakiej jesteśmy sytuacji. Ja może wiem lepiej w Lidze Morskiej, niż to wie rząd i społeczeństwo. Trzeba się patrzeć na świat i widzieć go tak, jak wygląda. (...) Ja myślę, że pewien egoizm, który ośwładnął górną część naszego społeczeństwa, tę która żyje jako tako, która ma na te czy inne wydatki, pójście do restauracji, że ten dziki egoizm każe nam zapomnieć o tym, co się dzieje w Polsce. (...) Trzeba ciężkiej i systematycznej pracy tych wszystkich, którzy mają dość dobre głowy i serca, żeby się do tej pracy wziąć (*Tak dalej...* 1936, s. 2–3)¹¹.

Nawołując społeczeństwo do porzucenia bierności i do działania na rzecz wzmocnienia potencjału gospodarczego kraju, wskazywał on na ideę kolonialną jako mobilizującą do aktywności na rzecz państwa — wspólnej własności całego narodu. Było to stanowisko podzielane wcześniej przez działaczy kolonialnych, a później przez Ligę Morską i Kolonialną, odwołującą się do argumentów również ekonomicznych — sprawy *stricte* polityczne mogły być odległe od bezpośrednich zainteresowań przeciętnego obywatela, natomiast gospodarcze dotyczyły go bezpośrednio. Zatem zwracanie uwagi na tę sferę zagadnień stawało się efektywne w mobilizowaniu rzutkości i inicjatywności społeczeństwa:

Gdy w Polsce podnoszone jest zagadnienie uzyskania kolonii, niejedni mógłby powiedzieć, że żąda się czegoś niepotrzebnego. Podchodząc jednak do tego zagadnienia, uświadomić sobie trzeba, że punktem wyjścia tych żądań nie są względy prestiżowe, chęć powiększenia naszego stanu posiadania, dlatego że inne mocarstwa koloniami rozporządzają. Chodzi tu jedynie o zapewnienie pracy narastającej szybko ludności, o spowodowanie, by praca rąk polskich przyczyniła się do rozwoju potęgi gospodarczej i politycznej Polski (Jeziorański 1935, s. 5)

Był to pogląd przypominający opinie gen. Gustawa Orlicz–Dreszera. Wtórował im niezmiernie zwołennik kolonii prof. Stanisław Pawłowski, czołowy działacz kolonialny. Mimo że postulował potrzebę posiadania obszarów zamor-

¹¹ Warto w tym miejscu raz jeszcze przypomnieć poglądy gen. Orlicz–Dreszera, wpasowujące się w funkcję mobilizacyjną dyskursu kolonialnego.

szych ze względu na prestiż polityczny Polski („bez kolonii nie można mieć głosu w świecie”), to jednak zwracał uwagę i na to, że kolonie to „szkoła wychowawcza przedsiębiorczości”, a „szkoła” owa jest potrzebna społeczeństwu ze względów gospodarczych i z powodu przeludnienia kraju.

Od drugiej połowy lat 30. wartość funkcji mobilizacyjnej dostrzegły również władze. Wiktor Tomir Drymmer, dyrektor Biura Personalnego i zarazem Departamentu Konsularnego MSZ, stwierdził, że polskie żądania kolonialne są istotne nie tylko z punktu widzenia interesów Polski w dniu bieżącym, ale przede wszystkim z punktu widzenia interesów tego państwa za 50–100 lat. Konieczna zatem była mobilizacja społeczeństwa wokół programu kolonialnego jako decydującego o przyszłości, i to w dalekiej perspektywie, sięgającej kilku pokoleń.

Potrzebę uzyskania kolonii uzasadniano nie tylko względami politycznymi, także gospodarczymi — tym sposobem łatwiej było zapewnić masowe poparcie. Użycie takiego argumentu świadczyło o znaczeniu funkcji mobilizacyjnej dyskursu. Senator i zarazem działacz kolonialny, Jan Dębski, mówił:

Na czoło naszej polityki zagranicznej w dziedzinie walki pokojowej o nasze interesy gospodarcze wysuwa się obecnie zagadnienie kolonialne. (... polityka populacyjna...) winna iść w kierunku czynienia prób uzyskania terenów kolonialnych (...). Dzięki wysiłkom ministerstwa [Spraw Zagranicznych] problem kolonialny głoszony dotychczas przez Ligę Morską i Kolonialną podniesiony został do znaczenia problemu państwowego. W sferach rządowych, w świecie naukowym, w szerokich masach społeczeństwa zagadnienie ekspansji kolonialnej cieszy się ogromną popularnością. Niestety, tego zrozumienia nie ma w sferach, które zdawałoby się, powinny okazywać największe dla tego zagadnienia zainteresowanie — w sferach gospodarczych (Posiedzenie... 1939, s. 179–180).

Władze, komplementując Ligę Morską i Kolonialną za osiągnięcia, starały się przejąć dominującą rolę w poczynaniach mobilizacyjnych. Fakt, że zwracały uwagę na konieczność włączenia sfer gospodarczych w program kolonialny, dowodzi, że doceniały funkcję mobilizacyjną. Zwłaszcza że sfery gospodarcze nie kwapiły się do zaangażowania się w program kolonialny, obawiając się ryzyka inwestycji i poniesienia zbyt wielkich kosztów, w skrajnych zaś przypadkach możliwości strat.

Funkcja mobilizacyjna łączyła się z państwowotwórczą i terapeutyczną. Była ważnym elementem mobilizacji ogólnospołecznej, niwelującym w pewnej przynajmniej mierze wewnątrz krajowe zróżnicowania ideowe, polityczne i ekonomiczne. Jej dodatkową zaletą było to, że mogła być względnie łatwo „przekierowana” na problemy, wokół których władza chciała mobilizować społeczeństwo. Związek z programem kolonialnym kierował zatem uwagę na możliwość zdobycia posiadłości zamorskich jako szansę na poprawę gospodarki kraju i położenia jego ludności. Należy dodać, że funkcja mobilizacyjna w kontekście programu kolonialnego mogła pociągać romantyką obszarów egzotycznych i oddechem wielkiej zamorskiej przygody.

Funkcja ta przejawiała się najwyraźniej w imprezach Ligi Morskiej i Kolonialnej (Dni Morza, Dni Kolonialne, imprezy towarzyszące zjazdom Ligi). Gromadziły one bardzo wielu uczestników wszelkich kategorii wiekowych i zawodowych, odbywały się zarówno w dużych miastach, jak i małych miejscowościach, także daleko na kresach. Relacje z tych obchodów skrupulatnie odnotowywały imponujące liczby uczestników.

Naturalnie, były to dla Ligi okazje do pochwalenia się swoimi osiągnięciami, przyciąganiem nowych członków, skupianiem wokół siebie znacznych odłamów ludności, czyli tym, co składało się na funkcję mobilizacyjną. Niezależnie od tego, wypowiedzi takie i relacje dowodziły gromadzenia się społeczeństwa wokół idei tyleż kolonialnej, co i państwowej. Zwłaszcza że odnotowywano to jako masowe i wzrastające zrozumienie dla spraw kolonialnych, popieranie ich. Uświadamiano sobie, że sprawy kolonialne zaczęły należeć do ważnych zagadnień państwowych. Doskonale zdawano sobie sprawę, że chociaż Liga Morska i Kolonialna formalnie była organizacją społeczną, cieszyła się poparciem władz, łączyły ją z nimi liczne związki personalne i programowe.

Ważniejsze jednak od celów propagandowych samej Ligi było przekonanie uczestników obchodów i uroczystości o konieczności wspólnego i powszechnego działania na rzecz dobra i rozwoju państwa oraz jego obrony. Podawane liczby uczestników obchodów w dużych ośrodkach, miastach i miasteczkach, nawet jeśli przyjmie się dziennikarską przesadę i skłonność do „zaokrąglania” w górę, świadczyły, że wokół haseł obrony dostępu Polski do Bałtyku oraz uzyskania kolonii można było zgromadzić masę ludzi przybywających dobrowolnie, swoją obecnością poświadczających utożsamianie się z ideą kolonialną. Bałtyk przedstawiano jako drogę wiodącą na świat, zatem i do ewentualnych posiadłości zamorskich, z kolei hasła kolonialne odwołujące się do argumentów ekonomicznych przekonywały, że siła ekonomiczna Rzeczypospolitej zależy od uzyskania posiadłości zamorskich.

W ten sposób funkcja mobilizacyjna dyskursu kolonialnego, łącząca postulaty pozyskania posiadłości zamorskich z czujnością wobec nieustannego zagrożenia ze strony zachodniego sąsiada, powodowała samorzutne i dosyć odruchowe skupianie się społeczeństwa dla obrony własnego państwa, jego *status quo*, i jeszcze więcej — dla umocnienia państwa za pomocą ekspansji zamorskiej, a w konsekwencji dla poprawy jego położenia w politycznych strukturach międzynarodowych.

Zatem jeśli można było zgromadzić liczne rzesze ludzi, otrzymywać z rozmaitych zakątków kraju listy i dokumenty z wyrazami poparcia, to świadczyło to o możliwościach mobilizacji społeczeństwa wokół spraw dla państwa i narodu rozpoznawanych jako najważniejsze. Ufano, że

rząd Polski w dalszej swej akcji na rzecz potrzeb kolonialnych polskich znajdzie niewątpliwie trwałe oparcie w solidarnej postawie całego społeczeństwa (tamże, s. 180).

W ten sposób elementami łączącymi cały naród były armia (w tym rozbudowa floty wojennej i handlowej), gospodarka narodowa i kolonie. Łącznie elementy te sprawiały, że społeczeństwo było gotowe do wspólnych wystąpień w sprawie rozwoju floty i gospodarki morskiej czy dążeń do uzyskania kolonii. Niezależnie od walorów propagandowych, wzmagających ich nośność, hasła dotyczące tych zagadnień nie musiały być uświadamiane narodowi — traktował on je jako swoje. Było to więc nie tyle „przekonywanie przekonanych”, ile umacnianie w tej świadomości, dostarczanie argumentów i mobilizowanie do wspólnoty postaw i przekonań.

Funkcja mobilizacyjna dyskursu kolonialnego polegała na wyzwoleniu w społeczeństwie gotowości do wspierania przedsięwzięć państwa i organizacji działających zgodnie z jego interesami (zarówno interesami państwa, jak i narodu). Co równie ważne — wytworzeniu w pożądanej wspólnotcie jedności i gotowości poczynań. Gotowość ta istniała od 1918 roku, tyle że w stanie nie tak zorganizowanym. Funkcja mobilizacyjna dyskursu kolonialnego spowodowała wzmocnienie tych postaw.

Obszar społeczny dyskursu kolonialnego w jego odmianie popularnej charakteryzował się mniej wyraźnym podkreśleniem roli państwa i jego instytucji, raczej podkreśleniem roli społeczeństwa w przedsięwzięciach politycznych, w tym kolonialnych. Nastawiony był też na zwrócenie uwagi społeczeństwa na te zagadnienia.

Wypowiedzi miały na celu pobudzenie społeczeństwa do dumy z własnego państwa i wcześniejszych (z okresu rozbiorowego) osiągnięć rodaków, do podporządkowania wewnętrznych konfliktów ogólnym celom gospodarczym, służącym wszystkim, do zintegrowania się wokół nich — przekreślały niedostatki materialne rozmaitych grup. Chodziło o przekonanie, że dobro całego społeczeństwa zależy nie tylko od poczynań elit czy instytucji, ale przede wszystkim od porzucenia bierności przez zwykłych ludzi, od zastąpienia jej własną aktywnością.

Funkcja kompensacyjna zmierzała do „rozprostowania” społeczeństwa, przekonania go, że jest równie wartościowe jak inne narody europejskie. Rozbudzenie aktywności społeczeństwa polegało między innymi na przekazaniu mu przykładów z lat wcześniejszych, pokazaniu, że mimo nie istnienia własnego państwa Polacy podejmowali przedsięwzięcia, z których współcześni mogą być dumni, które mogą brać za wzór. Podobnie jak w dyskursie elitarnym, tak i w dyskursie popularnym zwracana była uwaga na konieczność „nadrobienia” straconego w XIX wieku czasu.

Odwoływano się również do polskich badaczy, podróżników i odkrywców. Wspominano Pawła Edmunda Strzeleckiego, badacza Australii — pisano, że gdyby w czasie jego eksploracji istniało niepodległe państwo polskiego, wówczas być może Nowa Południowa Walia nazywałaby się Nowa Wielkopolska i by-

łaby polską kolonią. Wydobyto z zapomnienia Adama Piotra Mierosławskiego (młodsze­go brata słynnego Ludwika Mierosławskiego), marynarza w służ­bie francuskiej, który za zasługi otrzymał wysepkę Nowy Amsterdam, położoną na Oceanie Indyjskim w połowie drogi między Afryką a Australią. Nawiązywa­no do Maurycego Beniowskiego, a zwłaszcza do Stefana Szolc-Rogozińskiego i jego wyprawy do Kamerunu, podjętej z myślą o zdobyciu terenów kolonialnych dla Polski, czyli — jak w okresie wyprawy dyskretnie to określano — „zwięk­sze­niu polskiego stanu posiadania” (w warunkach zaborów nie można było tego za­miaru nazwać inaczej). Wskazywano, że inicjatywy te przedsiębrano wówczas, gdy Polska nie istniała jako państwo. Podkreślano kreatywność owych Polaków z okresu rozbiorów, tłumacząc, że obecnie (po 1918 r.) istnieją dane, by realnie kusić się o posiadłości zamorskie:

[Polska] która do szczytu potęgi doszła za Jagiellonów. W okresie tym wszyst­kie państwa europejskie ugruntowywały swoje znaczenie światowe przez zdoby­wanie kolonii. Polska jednak nie doceniła ważności tej sprawy. Dopiero wyprawa kameruńska Rogozińskiego wskazuje dla nas drogę. (...) Polacy, będąc pod uci­skiem zaborców i nie mając własnej państwowości, nie mogli zawiesić flagi naro­dowej. Uczestnicy wyprawy na maszcie umieścili godło Warszawy — syrenę ((J) 1932, s. 7).

Wcześniej, jak stwierdzono, Polska nie doceniała znaczenia posiadania ko­lonii. Nadszedł jednak czas, by zrekompensowała sobie tamte zaniedbania. Ka­meruńska wyprawa wskazywała drogę współczesnemu pokoleniu. Jubileusz pół­wiecza ekspedycji zaowocował wzmogoną kampanią prasową, poświęconą omó­wieniu jej przebiegu i celów:

Czarne plemiona tubylcze, poznawszy w osobach Rogozińskiego i towarzyszy zu­pełnie niezwykłych białych ludzi z rasy prawdziwych przodowników ludzkości, okazywały im niezwykle zupełnie zaufanie. Ku końcowi wyprawy doszło do tego, że kilka plemion prosiło Rogozińskiego, aby został ich naczelnym władcą, jakimś nadkacykiem. Jednocześnie wyprawa zakupiła pewne terytoria tak, że powstał związek jakby małej niezależnej kolonii afrykańskiej z „polskimi królami” na cze­le (Mróz 1932, s. 3).

Nie tylko jubileusz był pretekstem do prezentowania tej postaci. Czyniono to niezależnie od okazjonalnych dat i rocznic. Funkcja kompensacyjna była do­strzegalna przez cały okres istnienia Drugiej Rzeczypospolitej. Polska w niewoli narodowej, a mimo to Polak przy dobrowolnym, ochotniczym wsparciu finanso­wym rodaków rusza do Afryki, by znaleźć tam obszary mogące stać się w przy­szłości, gdy kraj będzie już wolny, polską kolonią. Oczywisty wzór dla współcze­snego społeczeństwa: nie zważać na trudności, czynić wszystko, co można, nie oglądając się na pomoc państwa, ruszać po posiadłości zamorskie. Jeśli można było wtedy, to tym bardziej teraz. Zwłaszcza że przykłady z ubiegłego stulecia udowadniały, że można było to uczynić, nawet mimo niefortunnych okoliczności historycznych. Jest więc okazja, by „nadrobić stracony czas” XIX wieku w nor-

malnych już okolicznościach politycznych, gdy funkcjonuje państwo już samym swoim istnieniem dające wsparcie.

Funkcja integracyjna ujawnia się wtedy, gdy wszyscy myślą i działają identycznie, jeśli zaś taki ideał jest niemożliwy — gdy przynajmniej wielu podziela jakiś pogląd (w tym przypadku, że Polsce należą się kolonie). Funkcja integracyjna dyskursu kolonialnego dotyczyła skupienia możliwie całego społeczeństwa wokół zagadnień kolonialnych jako szansy na podporządkowanie zróżnicowania ideowego i politycznego społeczeństwa sprawom wspólnym, czyli projektom kolonialnym. Zagadnienia kolonialne traktowane jako sprawa wspólna podlegały w tym rozumieniu kwestiom ekonomicznym. Budowa silnej gospodarki kraju miała być wspólnym dążeniem całego społeczeństwa, niezależnie od dzielących go różnic.

Funkcja integracyjna wyrażała wspólnotę dążeń społeczeństwa do wspierania państwa i poparcie dla programu kolonialnego. Jej fragmentem był postulat, aby na obszary zamorskie kierowali się specjaliści różnych zawodów i dziedzin życia gospodarczego i społecznego, nauczyciele w celu organizacji lokalnych szkół, podtrzymywania polskości na obczyźnie i integracji wychodźców, tak kobiety, jak i mężczyźni (w odpowiedniej proporcji).

Nasza zamorska kolonizacja powinna mieć charakter osadniczo-rolniczy, gdyż tylko taka kolonizacja zapewnia trwałość i powodzenie. Nie wyklucza to jednak ażeby obok rolników nie mieli się osiedlać kupcy i rzemieślnicy. Zbytnią jednostronność zawodów daje w ręce obce ważne gałęzie gospodarki społecznej. (...) W parze z nimi powinien iść agronom, inżynier, handlowiec, lekarz, nauczyciel. Tym warstwom naszej inteligencji powinna też przypaść w udziale rola kierownicza. (...) Zachowana też być powinna równowaga obu płci, a nawet powinna być utrzymana niewielka przewaga kobiet nad mężczyznami ze względu na ważną rolę elementu kobiecego jako bardziej konserwatywnego i zapewniającego odrębność kulturalną i narodową kolonisty (Pawłowski 1933, s. 23)

Miało to sprawić, że osadnictwo będzie stanowiło jedność narodową, ożywioną wspólnymi pragnieniami, że da początek przyszłej polskiej kolonii. Grupy wychodźcze miały tworzyć zintegrowane społeczności, utrzymujące związek z krajem i pracujące nie tylko na rzecz obszaru (państwa) imigracyjnego, ale także na rzecz Polski, podporządkowując się jej potrzebom ekonomicznym i społecznym. Idea kolonialna pełniła funkcję integracyjną — dzięki atrakcyjności skupiała rzesze ludności zainteresowanej realizacją programu kolonialnego, dopatrującej się w nim szans na poprawę swojego położenia.

Było to integrowanie wychodźców wokół poczucia wspólnoty wyniesionego ze „starego kraju”, podtrzymywanie świadomości odrębności etnicznej, a nawet poczucia wyższości cywilizacyjnej na przykład w Brazylii (szerzej w Ameryce Południowej), ale głównie w Afryce. Emigracja lub osadnictwo miały stanowić pepiniery dla pozyskiwania politycznych posiadłości zamorskich dla kraju.

Po 1929 roku nastąpiło zahamowanie emigracji z powodu zmniejszenia rocznych „kwot imigracyjnych” przez państwa, do których kierowały się fale wychodźstwa. Spowodowało to wzrost nadmiaru rąk do pracy na wsi i wzrost bezrobocia w miastach. Do tego doszedł od początku lat 30. wielki kryzys ekonomiczny, który objął znaczną część świata, odczuwalny zwłaszcza w krajach biedniejszych, takich jak Polska. Szansę na zapobieżenie tym niekorzystnym tendencjom widziano w programie kolonialnym, zwłaszcza że zjawiska kryzysowe dały o sobie znać już nieco wcześniej, zapowiadając załamanie gospodarki światowej. Mimo optymistycznych stwierdzeń, że przecież w 1918 roku nikt chyba nie mógł przypuszczać, że Polska niezależnie od granic, jakie zdobędzie, zdoła w szybkim czasie zatrudnić na własnym terytorium całą swoją tak szybko wzrastającą ludność, realia były przygnębiające. Szacowano, że rocznie kraj opuszcza ponad 100 tys.–150 tys. ludzi, przy przyroście naturalnym wynoszącym rocznie 420–450 tys. osób. Szacunki były nieco rozbieżne, mieściły się jednak w podobnym przedziale. Przy powszechnym przekonaniu o przeludnieniu kraju i zahamowaniu imigracji poszukiwano innych możliwości rozładowania przeludnienia. Najlepsze oferowało posiadanie własnych kolonii — w takim przypadku nie byłoby ograniczeń imigracyjnych. Była jeszcze jedna przyczyna, dla której sprawy emigracji brały na siebie instytucje państwowe:

Ogółem za okres 10–lecia Polski Niepodległej wyjechało z kraju (1929–1930) 1 480 425 ludzi, wróciło zaś jako reemigranci 569 695, czyli że około 1 miliona zdrowych i silnych obywateli Polska straciła w ciągu 10 lat ubiegłych, w roku zaś 1929 wyjechało z Polski 55 proc. rocznego przyrostu naturalnego. (...) Rozpraszać się po wszystkich niemal krajach świata, emigrując samopas na ślepo lub pod wpływem niezdrowej agitacji emigracyjnej, wychodźcy nasi nigdzie nie stworzyli poważniejszego skupiska, które by posiadało cechy pewnej samodzielności kulturalnej, gospodarczej lub politycznej. Tam, gdzie stworzyli oni większe zgrupowania, istnieje poczucie narodowe i związek z Polską (coraz to luźniejszy), zniknęli natomiast zupełnie na terenach, gdzie byli izolowani lub słabi liczebnie (Fularski 1931, s. 19–20).

Z tego właśnie powodu starano się wytyczać kierunki emigracji — by wychodźcy nie udawali się do wielu rozmaitych krajów, lecz do kilku wybranych i w nich tworzyli zwarte skupiska polonijne, nietracące związków z krajem. Nie brano pod uwagę państw europejskich oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady, gdzie — jak trafnie oceniano — wychodźcom mogło grozić szybkie wynarodowienie w zetknięciu z bardziej atrakcyjną cywilizacją. Starano się kierować emigrantów na tereny egzotyczne, przede wszystkim do Brazylii, gdzie już od XIX wieku istniały dosyć liczne skupiska polskie, zwłaszcza w stanie Parana (również w sąsiednich: Santa Catarina i Rio Grande do Sul), do prowincji Misiones w Argentynie (sąsiadującej z trzema wymienionymi stanami brazylijskimi), wreszcie do prowincji Montania w Peru. Ta sama przyczyna — tworzenie znacznych polskich skupisk emigracyjnych — miała zachęcać emigrantów do udawania się na

te obszary Afryki, które brano pod uwagę jako potencjalne kolonie: do Kamerunu, Angoli i na Madagaskar. Tworzeniu skupisk osadniczych w Afryce towarzyszyła nadzieja na przekształcenie ich w przyszłości w tereny dzierżawione przez Polskę albo na ustanowienie na nich jakiejś formy kondominium z politycznym posiadaczem tych kolonii (Francja, Portugalia), może nawet na stworzenia tam w oparciu o liczne osadnictwo kolonii dla Polski. Mieczysław Fularski był, jak się wydaje, zwolennikiem wysyłania emigrantów do Ameryki Południowej — tam właśnie dostrzegał szansę na masowe skupienie się osadników z Polski. Czy również szansę na przekształcenia tego skupiska w przyszłości w kolonię? Stanisław Pawłowski na łamach „Morza” zarysował program emigracyjno-kolonialny:

1. Emigracja winna być kierowana do krajów, które dają gwarancję trwałego zachowania narodowości i kultury polskiej.
2. Emigracja winna odbywać się jako zorganizowana, przede wszystkim na rolę, na większe jednolite obszary, nie do fabryk, oraz na tereny posiadające warunki gospodarczego rozwoju (organizacja produkcji, stosunki handlowe z Macierzą).
3. Należy dążyć do koncentracji naszego wychodźstwa przez ograniczenie ilości krajów imigracyjnych, a przede wszystkim kierować emigrację do krajów, w których już znajdują się, względnie mogą powstać skupiska polskie (Parana). Polska potrzebuje kolonii ze względów populacyjnych, dla zachowania i rozbudowy swego gospodarstwa narodowego i pewnej bazy surowcowej, dla ożywienia handlu zagranicznego, poprawy bilansu handlowego, rozbudowy floty handlowej i wojennej (Pawłowski 1933, s. 22–24).

Funkcja integracyjna miała w tym przypadku wyrażać zwartość emigrantów pielęgnujących wyniesioną ze „starego kraju” kulturę i poczucie wspólnoty z całym pozostałym narodem, będących w łączności z krajem, pracujących dla niego.

Postulat swobodnego dostępu do surowców, niezbędnego do uprzemysłowienia kraju, również mieścił się w funkcji integracyjnej dyskursu kolonialnego — hasło to niosło wspólną dla wszystkich obietnicę poprawy ekonomicznej:

Kraj nasz skazany jest w dużym procencie na import towarów kolonialnych, które niezbędne są dla normalnego rozwoju naszego życia gospodarczego. Z krajów kolonialnych sprowadzamy: bawełnę, kauczuk, fosforyty, ryż, tytoń, kawę itp. artykuły, bez których niepodobna się obejść. Procentowo — towary pochodzenia kolonialnego dochodzą do 33 proc. naszego ogólnego rocznego importu (Rosiński 1929a, s. 20).

Poza ogólnymi stwierdzeniami, jaki odsetek stanowią tak zwane towary kolonialne w całym indeksie importu, były również bardziej szczegółowe wyliczenia dotyczące spraw finansowych, opłat, możliwości budżetowych kraju, wydatków dewizowych, relacji eksport–import wraz z wezwaniami do konieczności utrzymania równowagi pomiędzy obydwoma kierunkami handlu:

Surowców mamy nadmiar, każde państwo może je nabywać w koloniach. Tylko że państwa posiadające własne kolonie nabywają surowce w wewnętrznym obszarze

za własną walutę, podczas gdy na przykład Polska kupować je musi za obcą walutę, zdobywaną kosztem olbrzymich ofiar, zbywając za bezcen swoje towary. Polsce potrzebne są surowce, potrzebne są rynki zbytu kolonialne, nieotoczone murami barier celnych (...) (tamże).

Kwestia surowcowa też mieściła się w funkcji integracyjnej. Chodziło o to, by skoncentrować społeczeństwo wokół zagadnień surowcowych, by żywiło ono wspólne przekonanie na ten temat, uważało je za swoje. Idea kolonialna oraz skonkretyzowany program kolonialny odgrywały rolę integracyjną. Sama idea byłaby zbyt wyabstrahowana od codziennego życia. Wsparta programem odwołującym się do wolności emigracji oraz do wolności dostępu do surowców zapewniała skupienie się wokół niej dosyć szerokich rzesz społeczeństwa, dzięki przełożeniu jej na potencjalne konkrety, mogące być bliskimi każdemu.

Polska jako szósty kraj Europy pod względem obszaru i zaludnienia, a więc potencjalne mocarstwo europejskie, a przy tym kraj o wielkiej dynamice i możliwościach rozwojowych, powinna posiadać własne źródła surowców oraz możliwość znalezienia terenów dla ekspansji nadmiaru swojej ludności. Zatem stawianie żądań kolonialnych przez Polskę jest usprawiedliwione dysproporcją pomiędzy jej obszarem a liczbą ludności. Potrzeba rozwiązania tak zwanego problemu ludnościowego to wynik przeludnienia wsi i bezrobocia w miastach. Zarządzenie temu problemowi to kwestia uprzemysłowienia kraju, to zaś jest uzależnione od wolnego dostępu do surowców.

Znaczne odłamy społeczeństwa w pozyskaniu kolonii widziały szansę na likwidację bezrobocia w miastach (nowe miejsca pracy w koloniach) i nadmiaru rąk do pracy na wsi (nowe gospodarstwa). W ten sposób sprawy kolonialne prowadziły do zjednoczenia wokół nich szerokich mas ludności. Były jednak i głosy przeciwne akcjom kolonialnym, a nawet emigracyjnym, choć zgadzające się z koniecznością rozwiązania kłopotów gospodarczych:

Zamiast oddawać się marzeniom o koloniach, należało zająć się odpowiednim zorganizowaniem rodaków na obczyźnie. Dotychczas bowiem wychództwo nasze nie posiada normalnych składników dla utworzenia społeczeństwa, gdyż składa się przeważnie z jednej warstwy, czy to robotników, czy rolników, a brak jest inteligencji i duchowieństwa (Grabowski 1934, s. 7).

Inne wypowiedzi także kładły nacisk na tak pojmowaną funkcję integracyjną. Niektórzy uczestnicy dyskursu związani z endecją — przeciwną zasadniczo koloniom — zgadzali się na poszukiwanie posiadłości zamorskich w imię skutecznej integracji narodowej:

Jeśli więc nie chcemy tej naszej potężnej siły żywotnej marnować, lecz przeciwnie, zużytkować ją do wzmożenia naszej potęgi, musimy zawczasu rozejrzeć się za możliwościami ekspansji dla tej siły, wprawdzie poza Polską, jednakowoż na jej pożytek i pod jej skrzydłami. Tym polem ekspansji mogą stać się polskie kolonie (Ślącza 1936, s. 6).

Uważano, że XIX-wieczne, spontaniczne (niekierowane przez państwo) fale emigracji prowadziły do marnowania potencjału wychodźstwa, nie sprzyjały jego integracji. Również XX-wieczni emigranci byli przedmiotem obserwacji. Uwagę zwraca terminologia. Otóż pierwsi, starzy koloniści w Brazylii, sami nazywali się „kolonistami”. Drugie pokolenie, przybywające tu począwszy od 1914 roku, określało się mianem emigracji, jednakże — jak wynika z rozmaitych relacji (jeśli dziennikarskie relacje były prawdziwe, a nie dyktowane pobożnymi życzeniami) — obie grupy stanowiły jedność polonijną. Niemniej, wezwania do organizacji wychodźstwa i jego wewnętrznej integracji nie ustawały w kolejnych latach. Zwracono szczególnie uwagę, że wytworzenie własnej, polonijnej społeczności w kraju takim jak Brazylia — wielkim i położonym bardzo daleko od Polski, gdzie wpływy „starego kraju” są utrudnione, a zintegrowanie polonijnej społeczności swoimi, emigranckimi siłami niemal niemożliwe — jest niezbędne. Tylko w ten sposób wielomilionowe masy osadników można zachować dla Polski.

Funkcja integracyjna dyskursu kolonialnego dotyczyła nie tylko emigrantów, ale także spraw wewnętrznych. Na funkcję tę, pojmowaną w kategoriach etnicznych czy narodowościowych, uwagę zwracała Narodowa Demokracja. Według niej polityka emigracyjna winna iść w tym kierunku, aby z Polski emigrowały przede wszystkim mniejszości narodowe. Zdaniem endeków dane statystyczne pokazywały, że emigruje przeważnie ludność rdzennie polska. Jeżeli weźmie się pod uwagę — dowodzono — że województwa południowo-wschodnie zamieszkuje około 50 proc. Polaków i około 40 proc. ludności ruskiej, można zauważyć, że emigracja ludności rdzennie polskiej jest szkodliwa z punktu widzenia narodowego. Polska polityka emigracyjna winna iść w kierunku popierania wychodźstwa mniejszości narodowych, w czym dotychczas tak zwane czynniki miarodajne nie wykazały żadnej inicjatywy. A rezultat jest taki, że rokrocznie traciliśmy i tracimy setki tysięcy obywateli polskich, zmniejszając wybitnie swój stan posiadania, zwłaszcza w tych częściach Polski, gdzie go najbardziej potrzeba.

Mówiąc wprost, emigracja mniejszości narodowych rozumiana była jako integrowanie Polaków przeciwstawianych „Innym” — też Białym i Europejczykom, ale innym narodowo i etnicznie. Tego rodzaju wypowiedzi zasadniczo nie pojawiały się w elitarniej odmianie dyskursu, nierzadkie zaś były w jego odmianie popularnej. Najczęściej było to rozumienie funkcji integracyjnej charakterystyczne dla uczestników dyskursu związanych z Narodową Demokracją — funkcja integracyjna dotyczyła w tym przypadku społeczeństwa tylko etnicznie polskiego.

Funkcja edukacyjna wynikała z wpływu debaty na zwiększenie społecznego kapitału wiedzy o idei kolonialnej, a także z uświadamiania społeczeństwu poczucia wartości z racji posiadania własnego państwa oraz konieczności poznania zamorskich terytoriów i zamieszkujących je ludów. Założenia te w konsekwencji prowadziły do pobudzenia wsparcia dla ekspansji kolonialnej. Rolą tej funkcji było dostarczenie argumentów rzeczowych, przemawiających za ideą kolonialną:

Polska, której rozwój gospodarczy był przez 150 lat silnie hamowany, a w czasie wojny kraj uległ spustoszeniu, ma prawo i obowiązek zapewnienia swej stale wzrastającej ludności, wynoszącej obecnie 34 miliony, normalnych możliwości rozwoju gospodarczego. Wobec finansowych i gospodarczych trudności, wynikających z obecnego systemu gospodarki światowej, należy obecnie oprzeć problem dostępu do surowców na nowych, sprawiedliwych podstawach. (...) Inne propozycje dotyczą specjalnie terytoriów kolonialnych, a zwłaszcza powszechnego wprowadzenia zasady drzwi otwartych i ułatwienia dostępu do niewykorzystanych jeszcze surowców (B. 1937, s. 15).

Było to zatem przekonywanie, że walka o kolonie dla Polski nie jest mrzonką powodowaną chęcią ambicjonalną państwa, lecz potrzebą ekonomiczną. Powoływano się przy tym na autorytety, między innymi na Bronisława Malinowskiego:

Gdyby się Australijczycy zgodzili na znaczne zwiększenie imigracji europejskiej, to chłopcy polscy okazaliby się dobrymi kolonistami. Cała jednak trudność polega na tym, iż przeszkody imigracyjne wyrastają nie ze strony rządu angielskiego, ale ze strony Dominionów. (...) potrzeba tam dużo kapitałów na przetrwanie lat posuchy i nieurodzajów (S. H. 1938, s. 6)¹².

Uprzedzano kandydatów na osadników i plantatorów o trudnościach związanych z życiem na obszarach egzotycznych — nie jest to odpowiednik pracy w kraju, szybko przynoszącej dobre zarobki, lecz praca wymagająca innego przygotowania, dostosowanego do warunków tropikalnych, gdzie konieczna jest orientacja w lokalnych warunkach klimatycznych, glebowych, zdrowotnych i odmiennej organizacji pracy.

Wraz z tymi uwagami informowano o przewidywanym na 1939 rok powołaniu na Uniwersytecie Jagiellońskim Międzywydziałowego Studium Kolonialnego, mającego kształcić fachowców do pracy w koloniach i specjalistów przygotowujących kandydatów na osadników i plantatorów, by nie wyjeżdżali tam ludzie „surowi”, mogący przeżyć rozczarowanie daremnymi trudami, lecz orientujący się w podzwrotnikowych, kolonialnych realiach:

Kolonizacja to przedsięwzięcie olbrzymie i jednostki nic nie zdołają. Do walki o polskie kolonie zamorskie musimy stanąć wszyscy, ramię przy ramieniu, jak niegdyś do walki orężnej! Ci, którzy już sterali siły i zdrowie przy odbudowie kraju, niech nam dają ojcowskie rady, poparcie moralne i kapitały — a my młodzi idźmy hen, pod tropiki, by pracą naszą i trudem wznosić podwaliny mocarstwowej Polski. Praca to długa, znojna i niełatwa, lecz młodość i miłość ojczyzny wszystko dokaże — młodość to brawura, nadzieja, walka o idee wielkie i święte, i to co jest słusznym (Malinowski 1932, s. 4)¹³!

¹² Artykuł jest zapisem rozmowy korespondenta „IKC” z prof. Bronisławem Malinowskim, przeprowadzonej w Londynie.

¹³ Autor był porucznikiem polskiej marynarki handlowej. Jakiś czas przebywał w Ameryce Południowej i w Afryce, interesując się polskim osadnictwem. Ukończył studia na Uniwersytecie Kolo-

Funkcja edukacyjna stanowiła swoistą naukę o życiu w tropikach. Jednym wiedzę dawała, innym ją poszerzała, przynosząc konieczne wiadomości na temat ekonomii, racjonalnego gospodarowania w tropikach, wtajemniczając w zasady handlu zamorskiego. Zarazem wznagała tę rzeczową naukę wezwaniami odwołującymi się do symboli walki orężnej i argumentów emocjonalnych, wskazując na konieczność mężnego sprostania trudnościom, a zatem ideałom patriotycznym.

Jak już zauważyłem, pojęcia „rasa”, „naród” i „narodowość” używane były wymiennie, jako równoważniki. Niekiedy jednak próbowano dywersyfikować i definiować te określenia. Na łamach „Gazety Polskiej” podjął się tego ks. Bolesław Rosiński, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (Rosiński 1933). Wybór tej popularnej gazety był podyktowany chęcią dotarcia do tak zwanych zwykłych czytelników. Autor stwierdził, że termin „rasa” często wyjaśniano błędnie, stosując do niego kategorie etniczne czy lingwistyczne. Tymczasem pojęcie to określa zespół cech fizycznych dziedzicznie przekazywanych potomstwu, a to, że jakaś grupa charakteryzuje się jednością kulturalną czy pokrewieństwem językowym, nie oznacza wcale jednakowej budowy fizycznej. Zatem — konkludował — Polacy należą do szeroko pojętej rasy białej, a bardziej szczegółowo do typów rasowych powszechnych w całej Europie. Niezależnie zaś od tego są oni przedstawicielami kultury europejskiej.

Zapewne ks. prof. Rosiński chciał uporządkować pojęcia pojawiające się w publicystyce, w tym w dyskursie kolonialnym (szczególnie w jego odmianie popularnej pojęcia te były mylone, a właściwie utożsamiane). Wypowiedź tę można jednak odczytać jako dowartościowanie Polaków — „normalnych” Europejczyków. O ile w przypadku elit (polityków, naukowców, dziennikarzy, pisarzy, podróżników) świadomość przynależności do Europejczyków i Świata Białych nie była kwestionowana, lecz pojmowana jako oczywista, o tyle w popularnej odmianie dyskursu należało przekonać znaczne odłamy społeczeństwa, że są równie wartościowe jak przedstawiciele innych narodów Europy; zwłaszcza gdy dotyczyło to osób mających zetknąć się bezpośrednio z ludami kolorowymi. Dlatego w popularnej odmianie dyskursu kolonialnego jego funkcje kulturowe bardziej (niż w odmianie elitarniej) skupiały się na odróżnianiu Polaków od innych narodów europejskich niż na podkreślaniu tożsamości z nimi.

Funkcja samoświadomościowa miała wyraźnie ukazać Polakom kim są, zwłaszcza na tle innych narodów europejskich (ogólniej: na tle Białych); jakie są między nimi podobieństwa, a jakie różnice, a także, czym różnią się, i to zdecydowanie, od ludów tropikalnych.

nialnym w Antwerpii (Belgia) jako pierwszy Polak. Nadsyłał korespondencje do dziennika.

Antoni Potocki, relacjonując koncepcję Eurafryki, o czym była już mowa, zwracał uwagę na jedność cywilizacyjną Europejczyków. Widział konieczność podporządkowania niższego rzędu różnic kulturowych pomiędzy narodami europejskimi szerzej pojętej wspólnoty kulturowej, a także konieczność rezygnacji z interesów poszczególnych państw na rzecz interesu całej Europy. Jednocześnie zastanawiał się, czy idea Eurafryki jest możliwa do zrealizowania. Pisząc, że pomysłodawcy tej idei dziś już liczą na nas jako pełnoprawnych Europejczyków, dodawał, że trzeba także, żeby się z nami generalnie liczyli. W tym miejscu był jednak ostrożny — zwracał uwagę na trudne do przewyciężenia konflikty kolonialne między krajami europejskimi, a także na to, że ktoś (jakieś państwo) będzie musiał przeprowadzić realizację tej idei. Czy zrezygnuje z dominacji? Jakie miejsce zostanie w tym projekcie przyznane Polsce? Czy Eurafryka nie okaże się mirażem na wzór Atlantyd?

Uwzględnienie Polski w tym projekcie satysfakcjonowało z punktu widzenia poczucia tożsamości ze Światem Białych. Jednakże w polskim dyskursie kolonialnym, szczególnie w jego popularnej odmianie, bardziej akcentowane były własne interesy państwa, skontrastowane z interesami innych państw. Można powiedzieć, że na egoizm innych odpowiadano egoizmem własnym.

Zwracano uwagę na historyczne okrucieństwa niemieckie wobec tubylców, na hipokryzję angielską (hasła o „kolorowych braciach” nie miały pokrycia w rzeczywistości objawiającej się dyskryminacją rasową „kolorowych”). Z drugiej jednak strony pojawiały się stwierdzenia o wyższości cywilizacyjnej polskich osadników w Brazylii nad ludnością miejscową, która nie ma rozwiniętego zmysłu organizacyjnego, oraz o niższości cywilizacyjnej Azjatów wobec Białych.

Negatywnej charakterystyce innych kolonizatorów (Brazylijczyków pochodzenia portugalskiego też włączano do tej kategorii, a kolonizatorom europejskim w Azji przypisywano „czułościowy sentymentalizm” prowadzący do chaosu) przeciwstawiano polskie zdolności kolonizacyjne. Polacy lepiej rozumieali dążenia tubylców do uzyskania w oczach Białych własnej tożsamości (ale bez „czułościowego sentymentalizmu”), podkreślali konieczność konsekwentnego, lecz łagodnego postępowania wobec nich, byli też lepiej postrzegani przez tubylców niż tradycyjne metropolie kolonialne. Stąd wypływał wniosek, że Polak jest równie dobrym kolonizatorem jak inny Europejczyk, a może nawet lepszym:

Rasy te [czarne], ujarzmione od wieków, uważają białego człowieka, a więc przede wszystkim Anglika, Niemca, Francuza etc., za ciemieźcę przychodzącego panować, wyzyskiwać, rządzić „ogniem i mieczem”. Mamy wielkie zaufanie do Polski — mówił upoważniony przedstawiciel ras afrykańskich — dlatego właśnie, że Polska sama zaznała goryczy niewoli, wie czym jest cudzoziemskie jarzmo. W Polaku kolorowi radzi by widzieć protektora, możnego przyjaciela, a nie zniechęconego ciemieźcę. I w tym leży, zdaje się, wielka siła moralna Polski, którą Polacy winni należycie wykorzystać. Polacy posiadają w wysokim stopniu uzdolnienia i kwalifikacje do gospodarczego urządzania terenów niezaludnionych. Świad-

czy o tym pionierski wysiłek cywilizacyjny milionowych rzesz naszych emigrantów w Ameryce Południowej oraz na innych kontynentach (Ligocki 1937, s. 2–3).

Owym „przedstawicielem ras afrykańskich” był dr Leo Sajous, przedstawiciel rządu Liberii podczas rokowań między LMiK a władzami Liberii (nawiasem mówiąc, pochodzący z Haiti). Mogą dziwić przedstawione fragmenty jego przemówienia — sugerują one, jakoby Liberia miała stać się posiadłością Polski. Tymczasem porozumienie gwarantowało Polakom jedynie koncesje gospodarcze i handlowe, a nie obrócenie Liberii w kolonię. Oczywiście, było to marzeniem niektórych działaczy kolonialnych, niemożliwym jednak do spełnienia z uwagi na sytuację międzynarodową, zresztą sprzecznym również z założeniami władz Liberii, a także Polski. Te ostatnie odżegnywały się od takich zamiarów, dezawuowały pewne wypowiedzi działaczy kolonialnych i dziennikarzy. Ważne w tym momencie wydaje się jednak przeciwstawienie Polski mocarstwu kolonialnym. W podobnym tonie wypowiadał się cytowany wyżej Edward Ligocki (Ligocki 1937, s. 2–3), również prezentujący poglądy dr. Sajousa. Odwołanie do uzdolnień i kwalifikacji Polaków osiadłych w tropikach można odnaleźć także w uchwale Rady Naczelnej Obozu Zjednoczenia Narodowego w sprawie programu kolonialnego (*Musimy...* 1939). W sposób brutalny funkcję tę przedstawił pisarz Waław Gąsiorowski:

Belgia jest prawie o 80 razy mniejsza od Konga. (...) Statystyka powiada, że w Kongo belgijskim bytuje około 10 milionów czarnuchów eksploatowanych przez 26 tysięcy Europejczyków, z których 18 tysięcy ma być prawdziwych Belgów. (...) Na Kongo zerkają podobno Niemcy, lecz bardziej mają je na oku Anglia i Francja. (...) trzeba więc kolonizować, samemu starać się o pomnożenie emigracji. (...) Portugalia żadnych kolonii nie potrzebuje, gdyż i jej rodzona ziemia jest żyzna, obfituje w naturalne dobra, ma klimat jedwabny i wdzięczną glebę. (...) Angola należy do Portugalii od roku 1575 (...). I w tym swoim państwie afrykańskim ma trzy miliony z ogonkiem murzynów i około 40 tysięcy Europejczyków (...). Mozambik również bezludnie, również trzy milioniki z ogonkiem naciąganej statystyki i 85 tysięcy prawdziwych Europejczyków. (...) Portugalia już afrykańskiego swego władania nie zaludni, nie skolonizuje. Czekać nie ma na co, chyba na odebranie Angoli i Mozambiku. Może jeno ocalić zyski pewne, może ocalić swą godność, honor państwowy (...) szukać kolonistów, zaprosić do Angoli, do Mozambiku krocie osadnictwa (Gąsiorowski 1938, s. 4–5).

Nie tak radykalny był wniosek Zygmunta Dreszera, również akcentującego raczej polską niż europejską tożsamość:

O ile chodzi o stosunek nasz do innych Europejczyków (...), to zasadniczym stanowiskiem naszym musi być poszanowanie praw nabytych: nie jest naszą rzeczą walka z kimkolwiek, wypieranie go z zajętego stanowiska. Ale w zamian musimy żądać poszanowania praw naszych. Nie możemy w tej sprawie wiązać się z jakąkolwiek grupą narodową europejską; każda z nich ma swoje odrębne interesy, niepokrywające się z naszymi, my zaś w każdym razie jesteśmy zbyt samodzielni już i dumni, by być czyimikolwiek klientami (Dreszer 1935b, s. 2–4).

Funkcja samoświadomościowa w dyskursie popularnym z jednej strony wyznaczała przynależność Polaków do społeczności Świata Białych, w tym do grupy kolonizatorów, z drugiej odwoływała się do tożsamości narodowej — polskiej — przeciwstawianej tożsamości innych narodów europejskich. Podkreślała własny interes Polski, odrębny od interesów innych państw. Zwracała uwagę na hipokryzję, okrucieństwa i przemoc dotychczasowych kolonizatorów, przeciwstawiając je cechom kolonialnym właściwym jedynie Polakom: rozumienie tubylców, uzdolnienia i kwalifikacje do gospodarowania w posiadłościach zamorskich oraz wynikająca z nich siła moralna własnej idei kolonialnej.

Funkcja samoświadomościowa przejawiała się w pojmowaniu spraw kolonialnych w kontekście udziału w nich Polaków jako uczestników wspólnoty europejskiej (Białych) i ich znaczenia w tej wspólnocie. Natomiast funkcja oświatowa określała praktyczne poznawanie, a w efekcie rozumienie specyfiki posiadłości zamorskich i kultury ich ludów.

Równolegle ukazywało się dużo tekstów teoretycznych, związanych z uświadamianiem czytelnikom istnienia innych kultur i ich specyfiki. Miały one charakter opisów etnograficznych z rozmaitych obszarów świata, rozmaitych ludów i plemion, rozmaitych obyczajów. Większość tych artykułów była niepodpisana. Sprawiają wrażenie pisanych „za biurka”, na podstawie jakichś opracowań (etnograficznych?, reporterskich z posmakiem sensacji?). Funkcję oświatową spełniały — mimo że pokazywały jedynie dziwaczne lub okrutne obyczaje innych ludów, to jednak uczyły, że takie ludy są, a ich zwyczaje i kultura są odmienne od europejskich. Nie tyle jednak pozwalały poznać tę odmienność, ile fascynowały egzotyką i radykalną innością. Były to — jeśli można użyć takiego porównania — bibeloty do ustawiania na stolyczku lub „pocztówki z dalekich lądów”, które miały zadziwiać. Wyróżnić należy omówienie rezultatów wyprawy Frobeniusa dla zbadania pochodzenia budowli Zimbabwe, ale i to podane zostało w kontekście egzotyki. Artykuł ten spełniał funkcję oświatową, choć można się zastanawiać, czy nie był odczytywany jako zagadka niemal „kryminalna”, rodem z powieści detektywistycznych.

Większe ambicje miały korespondencje nadsyłane przez podróżników, kolonistów i plantatorów, omawiające poszczególne ludy i próbujące charakteryzować ich kulturę. Jednak i w tych przypadkach były to opisy powierzchowne, dotyczyły najbardziej rzucających się w oczy obyczajów, bez prób głębszego ich zrozumienia, uchwycenia ich sensu.

Podobnie wyglądały opisy tubylców — dosyć monotonne w wartościowaniu, powielające stereotypy. Stereotypy rodzą się z powtarzających się spostrzeżeń, które swoją liczbą zamieniają się w tak zwane prawdy powszechne. Nie można stereotypom odmówić pewnej dozy prawdziwości — są budowane na faktach. Problem w tym, że na faktach uogólnionych. Gdy zaś dochodzi do kontaktów między odmiennymi kulturami, fakty są postrzegane w kategoriach norm i wartości kultury własnej. Podróżnicy, plantatorzy i koloniści, dzieląc się swoimi spo-

strzeżeniami, fakty dostrzegali prawidłowo, ale powierzchownie; nie zadawali sobie pytania, dlaczego „oni” tacy są:

Murzyn jest leniwy... Murzyni są bardzo lekkomyślni... Plemiona karłów (Pigmiejów) nad brzegami rzeki Kongo (...) nie znają ognia i nie potrafią go rozniecić... ubogie wioski do których nie dociera egzekutor podatkowy ani komornik — bo gdyby dotarł, upiekliby go i zjedli... (...) W pojęciu przeciętnego Europejczyka murzyn jest młodszym bratem, zaniedbanym umysłowo. Po kilkumiesięcznym pobycie spostrzegamy, że młodszy brat jest tak wyrobiony życiowo i tak pomysłowy, że pojawia się pytanie — Czy upośledzenie rasy czarnej należy zwalić na karb prymitywu czy degeneracji (Prószyński 1932, s. 6).

Narzuciły się pytania: jak pogodzić odnalezienie ruin miast Zimbabwe z obecnym stanem bytowania Czarnych, dlaczego tamtejsze struktury państwowe były krótkotrwałe? Trudno było na nie odpowiedzieć bez większej znajomości kontynentu. „Niezłębione tajemnice Czarnego Łądu” dostarczały dreszczyku emocji, i najczęściej to wystarczało. Zwłaszcza jeśli owe „niezłębione tajemnice Czarnego Łądu” zestawiano z prozą życia, znaną dobrze z Europy. Oto bowiem w wielu wypowiedziach znajdowały się stwierdzenia, że w Afryce istnieje szkolnictwo, kursują pociągi, w których klasa I odpowiada europejskim wymaganiom, a nawet zaczynają funkcjonować linie lotnicze łączące odległe obszary. Pojawiały się zestawienia należące do odmiennych kategorii: charakterystyka kultury tubylców z podkreśleniem ich opóźnienia cywilizacyjnego i charakterystyka postępu materialnego na kontynencie, będącego wynikiem działalności Białych. Mniejsze znaczenie miał problem, kto korzysta z linii lotniczych czy wagonów kolejowych I klasy. Przyjmowano, zgodnie z modelem europejskim, że korzystać może każdy, jeśli tylko stać go na to. Pytanie, czy tubylec nie korzysta ze względów (najogólniej) kulturowych, zostawało na boku — nie mieściło się w europejskim modelu mentalnym. Nieprzenikliwość kultur?

Liczne wypowiedzi usiłujące dotrzeć do sensu kultur tubylczych były najczęściej czymś w rodzaju pamiątek przywożonych z tropików. Sens konkretnych rytuałów pozostawał ukryty — za podstawowe uznawano same zaobserwowane fakty. Wzorzec zachowań odnoszono do tego, co było znane z kultury własnej. Sam opis miał starczać za wystarczające wyjaśnienie.

Należy oczywiście pamiętać, że wśród dostarczycieli tekstów nie było etnografów. Próba pojmowania egzotycznych kultur była amatorsko uprawiana przez podróżników, osadników i dziennikarzy, tym samym była splotona. Zrozumienie kultury jakiegoś ludu oznacza pokazanie jego normalności bez redukcji osobliwości. Wtedy dopiero rozprasza się ich nieprzezroczystość, gdy umieści się ich tajemniczość we własnych banałach. Dziwne rytuały i obyczaje pozostawały dziwacznymi — postrzegano je z europocentrycznego punktu widzenia, jednostkowe informacje i spostrzeżenia traktowano jako wyjaśniającą całość. Zobaczone, a zatem poznane. Zabrakło odgadywania znaczeń. Tego, że samo przedstawienie, a nawet sposób przedstawienia, nie jest treścią kultu-

ry, lecz jej powierzchownym obrazem, nie sensem. Sekwencja oderwanych faktów to „muzeum osobliwości” — nie tworzy spójnej, logicznej całości. Co prawda, negowano istnienie wśród „dzikusów” myślenia logicznego — rezerwowano je dla kultury europejskiej.

Wyjątkiem w poznawaniu tubylców i ich kultury byli misjonarze. Mieli oni, z racji posłannictwa misyjnego, bezpośredni, codzienny i pełny kontakt z tymi, których katechizowali. Najlepiej ich zatem znali.

Polska nie ma kolonii politycznych i związanych z polityką kolonialną imperialistycznych celów. Dlatego misjonarzom polskim łatwiej uzyskać zaufanie ludności, tak ważne dla skutecznego działania. (...) Polacy przez wrodzoną sobie łatwość wczuwania się w psychikę innych ras i narodów są, analogicznie do rasy romańskiej, a w przeciwieństwie do rasy anglosaskiej, niejako predestynowanymi misjonarzami (Dobrowolski 1975, s. 184–186).

Uważano, że Polacy byli lepszymi kolonizatorami i lepszymi misjonarzami niż przedstawiciele innych narodowości. Trudno prowadzić tu ranking, który naród był lepszy. Największe zaniepokojenie misjonarzy budziło rozszerzanie się islamu, protestantyzmu (tu konkurencja z innym Europejczykami) oraz sowieckiego ateizmu na obszarach egzotycznych, ale zasadniczym celem było nawracanie pogan. U misjonarzy też było widać paternalizm, nie tyle jednak wobec tubylców, ile wobec ich wierzeń i obyczajów zwanych pogańskimi, a określanych jako niemądre lub wręcz głupie. Jednakże, aby dzieło misjonarskie było skuteczne, musieli oni dogłębnie poznać obyczaje i wierzenia tubylców we wszelkich lokalnych odmianach, a przynajmniej próbować dotrzeć do sedna miejscowych kultur, zgłębić współzależności i funkcje rozmaitych obyczajów, a zatem sensy lokalnych kultur. Pewne obyczaje rozpoznawane jako immanentne zło (kanibalizm, wielożeństwo, chaos moralny wyrażający się w życiu seksualnym) usprawiedliwiano warunkami obiektywnymi — tradycją, jaka ukształtowała się na skutek warunków klimatycznych, społecznych i historycznych.

Rozpoznanie kultur tubylczych nie było u tej grupy powierzchowne. Odnoszenie owych kultur do zasadniczych kontekstów życia tubylczego pozwalało uchwycić ich sens, opisy konkretnych ludów miały często charakter etnograficznego opisu gęstego. Wreszcie, Kościół naruszył barierę koloru skóry mimo żywego wśród duchownych europocentryzmu. Tubylcy dopuszczeni do święceń kapłańskich traktowani byli jako osoby cywilizowane.

W relacjach misjonarskich uwagę zwracano na niezmienione położenie tubylców, niezawinionie przez nich. Komercjalizacja i industrializacja życia w koloniach przyniosły proletaryzację miejscowych, ucisk tubylców pozostał, nie dając im możliwości rozwoju cywilizacyjnego, a gorszące obyczaje Białych pogłębiały demoralizację mieszkańców kolonii. Zapatrzeni bowiem w Białych jako wzór cywilizacyjny, Czarni naśladowali ich (przejmowali ich obyczaje i stosunek do dóbr materialnych), mając nadzieję na podniesienie w ten sposób swojego poziomu cywilizacyjnego.

Niezależnie od przedstawionego wyżej sposobu rozpoznawania kultur tubylczych oraz paternalizmu cywilizacyjnego można przyjąć, że funkcja oświatowa spełniła swoją rolę. Postrzeganie obszarów egzotycznych stało się pełniejsze. Stereotypowego Murzyna zastąpili rozmaici Murzyni, stereotypową Kulturę Czarnych — Kultury Różnorodnych Ludów. Wprawdzie i one powieleły stereotypy, jednak na innym poziomie — już nie uogólnionym, lecz szczegółowym, część zaś stereotypów uległa likwidacji.

Relacje między dyskursem elitarnym i popularnym

Podział dyskursu kolonialnego na elitarny i popularny wynikał z różnic w założeniach cechujących jeden i drugi. Założenia generalne były takie same, różniły się jedynie w szczegółach: odwoływanie się do odmiennej argumentacji — bardziej racjonalnej w przypadku wariantu elitarnego i bardziej emocjonalnej w przypadku wariantu popularnego, nakierowanie na odmienne kategorie odbiorców — wykształconych, zajmujących wyższe stanowiska w hierarchii społecznej w przypadku wersji elitarniej i kręgi powszechnie („zwykłych” ludzi) w przypadku wersji popularnej. Odmienności te można odnieść do poprzednich stuleci. Eugeniusz Kwiatkowski, wicepremier i minister skarbu (1935–1939), działacz gospodarczy, w swojej pracy będącej zarysem historii gospodarczej świata tak widział początek dyskursu kolonialnego:

(...) szereg narodów ulegnie nagle identycznej gorączce kolonialnej. Zarazem realizacja polityki kolonialnej stanie się kamieniem probierczym, na którym z całą wyrazistością zarysują się odrębne cechy narodowe, szczególnie — pozytywne lub negatywne — wartości charakteru i temperamentu (...). Pojęcie moralności zostało rozszczepione na dwa aspekty: moralność prywatną na użytek indywidualny i moralność polityczną, służącą władzy uosabiającej państwo. (...) Bezgraniczne pragnienie władzy, sławy i panowania nad innymi, pragnienie wyzysku i własnego powodzenia wypiera w myśl tej doktryny wszelką ocenę moralną, jako przesąd. (...) Uzbrojona w te dwa wynalazki, proch strzelniczy i broń palną, wtargnęła Europa w życie nowego kontynentu: Ameryki. Narody kolorowe nie miały więc żadnej szansy obrony swego życia i mienia (Kwiatkowski 1947, s. 134–135).

Nie tylko Ameryki. Rychło Europa wtargnęła do Azji i Afryki, a w końcu i na wyspy Oceanii. Zapewne wśród wymienionych przyczyn należałoby szukać początku rozszczepienia się dyskursu na elitarny i popularny oraz pierwszych prób przejścia nad dyskursem panowania, podporządkowania go sobie. W dyskursie kolonialnym w Polsce w latach 1918–1939 można zauważyć, że kwestie moralne (etyczne) i gospodarcze występują zarówno w jego odmianie elitarniej, jak i popularnej. Wzmiankowana dywersyfikacja nie oznacza, że jeden charakteryzował się moralnością polityczną, a drugi prywatną lub że w jednym oceny moralne traktowano jako przesąd, a w drugim jako niezbędny atrybut idei kolonial-

nej. W obydwu wersjach mamy do czynienia z poglądami na gospodarkę i moralność (etykę), chociaż częstotliwość występowania tych spojrzeń może się różnić; nie tyle jednak jest ona zależna od konkretnej wersji dyskursu, ile od tematyki dyskursu i od *speech situation* — sytuacji mówienia.

Przesunięcie takiego podziału nie było aktem jednorazowym — trwało kilka stuleci. Na początku XX wieku kwestie moralne (etyczne), a z drugiej strony ich brak, dają się odczytać zarówno w jednym, jak i drugim wariantcie dyskursu. Również dominacja apoteozy siły zauważalna jest w obu wymienionych odmianach. Niezależnie od tego podziału wcześniej ujawnia się w dyskursie kolonialnym dążenie do zapanowania nad nim, zarówno ze strony zwolenników władzy, siły oraz panowania politycznego i gospodarczego, jak i zwolenników przestrzegania elementarnych norm moralnych. W obu też wariantach pojawia się pojęcie „racji stanu” —

elementy gospodarcze wciągają w wir swojej ekspansji politykę państwową. Imperializm gospodarczy potęguje wciąż tendencje imperializmu politycznego (tamże, s. 272).

Podział na istnienie w dyskursie kwestii moralnych (etycznych) i ich brak na rzecz dominujących kwestii gospodarczych był zależny od dążeń do panowania nad dyskursem.

Zauważył też Eugeniusz Kwiatkowski sprawę następną, którą określa się obecnie jako europocentryzm, a dokładniej poczucie wyższości cywilizacyjnej Białych nad — rozmaicie nazywanymi — ludami kolorowymi. Omówił ją na przykładzie Azji, w szczególności Indii:

Często w wyobrażeniach i pojęciach europejskich generalizuje się cały potężny kontynent azjatycki. Różnice pomiędzy poszczególnymi narodami i terenami są krańcowo wielkie. Narody te miały swoje okresy wielkości cywilizacyjnej, a do dorobku ogólnoludzkiego wniosły w ciągu wieków niemały udział (tamże, s. 283).

Obserwacje te można rozciągnąć na inne kontynenty, obszary i ludy, niezależnie od stopnia ich rozwoju cywilizacyjnego. Z punktu widzenia tematu najważniejsze jest spostrzeżenie o zgeneralizowanym pojmowaniu całych kontynentów. Przetrwało ono do początków XX wieku — w dyskursie kolonialnym tegoż stulecia dostrzec można walkę między takim właśnie generalizującym spojrzeniem a spojrzeniem, w którym dostrzega się kulturowe zróżnicowanie poszczególnych terenów, ludów i narodów. I w tym przypadku owa walka ujawnia się zarówno w dyskursie elitarnym, jak i popularnym. Także i w poprzek nich idą podziały pomiędzy obydwoma rodzajami postrzegania, a zatem i rozumienia obszarów egzotycznych.

Problemy propagandowe

Powstaje uzasadnione pytanie, czy oprócz wymienionych problemów dyskursu kolonialnego nie było jeszcze jednego, mianowicie propagandowego? Oczywiście, był. Tak w jednej, jak i w drugiej odmianie. Problem propagandowy ujawnia się w tematyce dyskursu, jego retoryce, obszarach (politycznym, społecznym i kulturowym), jak i funkcjach.

We wszystkich tych przypadkach wyraża się — mniej lub bardziej wyraźnie — zwracanie uwagi na przekaz, jaki niosą, na zawarte w nim sprawy, przekonywanie do ich wagi dla państwa i społeczeństwa, do istoty wysuwanych argumentów (racjonalnych i emocjonalnych, odwołujących się do uzasadnień aktualnych i historycznych, rzeczowych i sentymentalnych, ekonomicznych i romantycznych), ogółem do idei kolonialnej, a w konsekwencji do programu kolonialnego, niezależnie od tego, czy formułowanego i wykonywanego przez państwo, czy przez instytucje pozapaństwowe, czy przez poszczególnych działaczy.

Propaganda współuczestniczyła z orzeczeniami dyskursywnymi w docieraniu do odbiorców, ale ich nie wyřęcała, jedynie uzupełniała. Uzupełniała najistotniejsze przesłania tematyczne. Istotą bowiem każdego dyskursu jest dążenie do przeforsowania swojego zdania, przekonania innych uczestników i odbiorców do własnych stwierdzeń i opinii. Jednakże, starając się przekonać przekonanych, propaganda — polityczna, kompensacyjna, integracyjna, poznawcza czy inna — przestaje być „czystą” propagandą.

Dyskurs kolonialny nie był „czystą” propagandą na rzecz kolonii. Nie był mirażem mającym odwrócić uwagę społeczeństwa od wewnętrznych konfliktów politycznych i ekonomicznych, by skierować ją na zagadnienia odległe od istotnych zagadnień politycznych, ideowych i ekonomicznych. Idea kolonialna traktowana była jako element działalności politycznej, ekonomicznej i społecznej, jako ważny aspekt działalności państwowej (choć nie zawsze państwa w rozumieniu instytucji władzy).

Jeśli w pierwszym dziesięcioleciu istnienia Drugiej Rzeczypospolitej idea kolonialna uważana była za mało realną, to nie dlatego że negowano samą ideę, ale dlatego że nie widziano możliwości jej realizacji w praktyce, i to w krótkim, przewidywalnym czasie. W latach następnych, gdy próby realizacji tej idei przedsięwzięło już państwo, nie tylko organizacje społeczne, stała się ona bardziej wiarygodna. Szybciej przyciągała społeczeństwo (państwo stawało się niejako gwarantem powagi idei i zasadności wysuwanych w jej tłumaczeniu argumentów). Propaganda kolonialna miała zatem utwierdzić przekonanych w swoich przekonaniach i przekonać niezdecydowanych. Istotą powodzenia jakiegóś idei czy programu (co więcej, warunkiem wprowadzenia w życie tego programu) jest masowe wsparcie społeczne, dające umocowanie zarówno władzom, jak i instytucjom zajmującym się ową ideą czy programem. Odwoływanie się do idei kolonialnej było odwoływaniem się do wsparcia społecznego. Wsparcie

takie istniało, ale pożądana była jego masowość, jeszcze lepiej legitymizująca wszelkie akcje. Przy wszystkich zastrzeżeniach co do programu kolonialnego nie negowano zasadniczo samej idei kolonialnej. Sprzeciw nie dotyczył spraw związanych z dążeniem do uzyskania obszarów zamorskich jako kolonii politycznych podległych Polsce ani postulatów wolnej emigracji i wolnego dostępu do surowców. Wątpiono jedynie w praktyczne znaczenie kolonializmu lub możliwość realizacji wysuwanych programów kolonialnych:

Wiemy już dzisiaj, że bezpłodne były i będą wysiłki np. reemigracji Polaków zza morza (...). Musimy pogodzić się z faktem, że wychodźstwo polskie, żyjąc w zupełnie innych warunkach, zarówno gospodarczych, jak i prawnych, a w dodatku widząc, że istnieje już wolne państwo polskie, które winno myśleć o sobie, inaczej patrzy na wzajemne prawa i obowiązki Macierzy i emigracji, niż patrzyło przed wojną. I właśnie dlatego (...) winno państwo polskie posiadać program swej polityki i w stosunku do „kolonii” polskich za morzem (S. G. 1928, s. 4).

Zatem:

Program [emigracyjny] musi być ściśle związany z programem ogólnogospodarczym. Trzeba przede wszystkim stwierdzić, ilu ludzi ma dzisiaj i będzie miało w przyszłości możność utrzymania się w Polsce, żeby wiedzieć jaki nadmiar ludności i gdzie go skierować (Załęcki 1930d, s. 7).

Autor cytowanego artykułu, Gustaw Załęcki, początkowo związany z Narodową Demokracją, z czasem przeszedł do obozu piłsudczykowskiemu; ów program emigracyjny opublikował jednak w organie endeckim. Przy powszechnej zatem zgodzie na emigrację, dyskusji podlegały jej szczegóły:

Przed wojną [I wojna światowa] utrwalił się w Polsce specjalny pogląd na emigranta i sprawy emigracyjne. Dawało się emigrantowi współczucie, wymagało się zaś od niego pamięci o porzuconej Ojczyźnie. Wraz z narodzinami niepodległego Państwa Polskiego pogląd ten uległ zmianie. Przede wszystkim proces emigracyjny musiał wyjść ze swego stanu pasywnego i stać się aktywnym (Rozwadowski, Dyjas 1930, s. 379).

Tego rodzaju wypowiedzi ujawniały się zarówno w dyskursie elitarnym, jak i popularnym, nie były formułowane jedynie przez elity czy kręgi związane z władzą, ale także przez działaczy społecznych, samych osadników, osoby będące kandydatami do wychodźstwa czy wreszcie takie, które po prostu interesowały się zagadnieniem. Otto Bujwid, stawiając w 1938 roku na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” pytanie, czy należy dążyć do powrotu emigrantów z Brazylii, odpowiadał:

Nie, należy tylko właściwie regulować emigrację (Bujwid 1938, s. 5).

Trzeba przypominać, że dorasta tam już trzecie pokolenie Polaków, których od wynarodowienia obronił rozwój przemysłu polskiego w Brazylii. Dyskurs kolonialny był od samego początku dyskursem społecznym, a nie tylko propagandą

dą marzeń i miraży jego uczestników. Oczywiście, występował w nim element oczekiwań, ale osadzony w realiach politycznych i ekonomicznych. Co równie ważne, w wypowiedziach uznawanych za propagandowe nie było natrętnego odwoływania się do symboliki. Propaganda tymczasem używa symboli dla skupiania wokół nich odbiorców (zwrot „Pan Balcer” funkcjonował zwyczajowo jako określenie emigracji XIX-wiecznej).

Należy pamiętać, że dyskurs kolonialny narodził się jako dyskurs społeczny (kwestia mandatów na początku lat 20.), zainicjowany przez działaczy społecznych próbujących zainteresować jego treścią władze i masy obywateli. Formułowane były w nim oczekiwania i postulaty działaczy społecznych, wynikające z obiektywnej — jak się wydawało — oceny faktów. Wypowiedzi propagandowe były również społecznymi — organizowały uczestników i odbiorców dyskursu wokół tematów uznanych za kluczowe.

Upowszechnianie idei kolonialnej i znajomości terenów egzotycznych odbywało się również za pośrednictwem dzieł kultury (mogącej być nazwaną w obecnej terminologii kulturą masową). Popularnością cieszyły się opowieści o działaniach w Arabii pułkownika Lawrence’a, agenta wywiadu brytyjskiego z okresu I wojny światowej — swoje przeżycia i informacje o krajach arabskich zawarł on w dwóch tomach: *Bunt Arabów* i *Burza nad Azją* (1929). Dużym powodzeniem wśród polskiej publiczności cieszyły się powieści i filmy o Tarzanie. Popularne były przygodowe książki dla młodzieży, których akcja toczyła się w Afryce czy Ameryce Południowej, a których bohaterowie, zazwyczaj młodzi Polacy rzucający na zamorskie obszary, popadali w rozmaite dramatyczne tarapaty, z których wychodzili jednak zwycięsko, stykali się z różnymi plemionami murzyńskimi i indiańskimi, pozyskując wśród nich oddanych przyjaciół (Ossendowski 1935, Pawłowicz 1934, Giżycki 1935 i 1937, Warchałowski 1936, Makarczyk 1932 — okrzyknięty „polskim Lawrenceem”). Owi młodzi bohaterowie czuli się związani z odległą ojczyzną, byli młodzieńcami rycerskimi, odpowiedzialnymi, wzorami Polaków. Autorzy z kolei byli literatami i zarazem podróżnikami (Ossendowski, Pawłowicz, Giżycki, Makarczyk) lub działaczami kolonialnymi (Warchałowski). Innego rodzaju były książki Arkadego Fiedlera, o charakterze reporterskim, rysujące świat dżungli i strefy tropikalnej, też popularne wśród młodych czytelników (Fiedler 1931, 1936, 1937, 1939). Także dzieci dostawały swoją porcję wiadomości o ludach egzotycznych (Tuwim 1938).

Z propagandą mamy do czynienia wówczas, gdy trzeba kogoś przekonać do jakiejś idei i/lub programu. Dyskurs kolonialny takiego fundamentalnego przekonywania nie wymagał. Jego tematy i struktura tematyczna bywały powszechnie przyjmowane; zarówno uczestnicy dyskursu, jak i jego odbiorcy stanowili zasadniczo wspólnotę rozmawiającą. Zwiększała się ona dzięki przekonywaniu, nie zaś propagandzie. Sprawy kolonialne w dyskursie dotyczyły spraw, jakimi jednakowo zainteresowane były i elity, i całe społeczeństwo. Wyrażały się jedynie w nieco innej argumentacji, werbalizowanej nieco innym językiem; w przy-

padku wariantu elitarnego odwoływały się do argumentów racjonalnych, zaś w przypadku wariantu popularnego — do emocjonalnych. Wspólnota obu odmian dyskursu wynikała ze wspólnoty zainteresowań ideą kolonialną. Zasadniczo zadaniem dyskursu elitarnego było wypracowanie polskiej polityki kolonialnej, programów i możliwości ich realizacji, natomiast zadaniem dyskursu popularnego — przekonywanie społeczeństwa do uczestnictwa w akcjach kolonialnych.

Jeśli przyjąć, że w sprawach kolonialnych system gospodarczy wpłynął na system polityczny, jak pisał Eugeniusz Kwiatkowski, to należy też przyjąć, że państwo przejęło działania gospodarcze i zaczęło narzucać formy rozwoju gospodarczego. Pojawia się tu motyw egoizmu — zrazu indywidualnego, później grupowego (klasowego, warstwowego, profesjonalnego, religijnego i etnicznego), a w końcu państwowego; konkurencja zaś zmienia się w walkę wszystkich ze wszystkimi.

Konsekwencją dominacji systemu gospodarczego nad politycznym w zakresie spraw kolonialnych było powiększenie się rynku wewnętrznego, przekształcanie się metod produkcji i zbytu, a tym samym powstanie nowego zapotrzebowania, nie tylko materialnego, ale i społecznego, odnoszącego się do całości życia narodowego i państwowego. Ekspansja gospodarcza (imperializm gospodarczy), wynikająca z owych przeobrażeń, wymuszała ekspansję polityczną państwa (imperializm polityczny), utożsamianą z narodową. Uczestnicy dyskursu zgadzali się, że należy promować interesy państwa. Odmienne natomiast mogły być interpretacje co do wniosków z tego wypływających. Interpretacje te nie były jednak uzależnione od podziału na dyskurs elitarny i popularny, przebiegały w poprzek tego podziału.

Znaczenie kolonii według uczestników dyskursu

Powstaje pytanie, czy w dyskursie kolonialnym wypowiedzi opowiadające się za ideą kolonialną i dążeniem do uzyskania terenów zamorskich uważane były za rzeczywiste i głoszone z przekonaniem, czy też traktowano je jedynie jako złudzenia, tyle że przedstawiane jako realne z powodów społecznych? Innymi słowy, czy rzeczywiście pojęcia kolonialne przyjmowane były jako ważne i istotne, czy też poczytywano je jako iluzoryczne, a przedstawiano w kategoriach realnych ze względów propagandowych?

Zapewne część elit uznawała ideę kolonialną za miraż jej zwolenników. Jednakże wcześniejsza powściągliwość wobec tej idei ze strony elit władzy wynikała nie tyle z negacji samej idei, ile z przekonania, że w ówczesnym położeniu politycznym i ekonomicznym Polski idea ta nie jest możliwa do zrealizowania i rozprasza siły kraju, kierując zainteresowania społeczeństwa w stronę spraw niemożliwych do zrealizowania w praktyce. Niemniej, zwolennicy idei kolonialnej zdecydowanie optowali za nią:

Bez wątpienia znajdują się w Polsce ludzie, zwłaszcza ludzie „poważni” i „trzeźwi”, którzy powiedzą, że jest to cel nierealny, że jest to marzenie grona ludzi nieżyciowych, że jest to mrzonka. Ale nas to nie zraża. Wszak mrzonką była jeszcze nie tak dawno niepodległość Polski, a dziś mrzonka ta przyobiekła się w ciało. Wszak marzeniem był dostęp do morza, a dziś z dnia na dzień stajemy coraz bardziej krzepką stopą nad Bałtykiem, naprawiając błędy Ojców! Kiedy w okresie konferencji pokojowej znaleźli się ludzie składający naszej delegacji memoriały z żądaniem tytułem spadku po Niemcach części ich kolonii (...), ludzie „poważni” uważali ich za wariatów, a memoriały poszły do kosza. Dziś przeświadczenie, że do odpowiedniej części parcelowanego globu mamy prawo, stało się już własnością nie tylko marzycieli, studentów i podróżników, ale poważnych uczonych i polityków (Głuchowski 1928b, s. 32).

Nie negowano projektów gospodarczej ekspansji zamorskiej, co można interpretować jako pozostawienie uchylonej furtki do akceptacji programu kolonialnego na wypadek pojawienia się nadarzającej się ku temu okazji. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych — zatem w elitarnych kręgach władzy — po 1936 roku podjęte zostały próby naszkicowania takiego programu:

Czy politycznie możemy domagać się kolonii? Tak. (...) Pod względem politycznym mamy prawo do postawienia żądań kolonialnych. Jesteśmy państwem, które posiada duże możliwości rozwojowe. Nadto upoważnia Polskę rozbieżność w klasyfikacji europejskiej i świata (Konferencja... 1936b, s. 5).

Podobne nastawienie miały inne instytucje władzy:

Chodzi tu o sprawy leżące nie tylko w bezpośredniej kompetencji MSZ, dlatego (...) w budżecie Min. WRiOP oraz Min. Przemysłu i Handlu winny znaleźć się odpowiednie kredyty zarówno na akcję rozwijania studiów i szkolenia fachowców w dziedzinie kolonialnej, jako też na bezpośrednią akcję penetracji gospodarczej w koloniach (...). Najlepsza polityka zagraniczna — bez oparcia o planową akcję gospodarczą i handlową nie wystarczy, gdy chodzi o tak wielki problem gospodarczy, jakim jest udział Polski w koloniach. (...) Akcja MPIH, choć w cyfrach jeszcze skromnych, zmierzająca do szkolenia Polaków w dziedzinie handlu kolonialnego, winna być rozszerzana stale (*Problem...* 1939, s. 9–10)¹⁴.

Generalnie elity (wyjąwszy mniejszą ich część przeciwną zasadniczo idei kolonialnej) posiadały świadomość prokolonialną, nie uważały akcji kolonialnej za miraż iluzorycznie wzmacniający siłę i pozycję Polski, ale za pojęcie pozytywne politycznie i realne, chociaż trudne (niekiedy niemożliwe) do realizacji. Różnice dotyczyły szczegółów: na jakie obszary należy zwracać uwagę jako na teryny ewentualnych kolonii; które z nich nadają się do bardziej masowego osadnictwa; czy w postulatach kolonialnych wysuwać przede wszystkim argumenty gospodarcze (surowce), czy raczej demograficzne (przeludnienie i wolność osad-

¹⁴ Kwestie kolonialne były niekiedy przedmiotem obrad w sejmie i senacie, zazwyczaj podczas posiedzeń komisji budżetowych — chodziło o wydatki z funduszy państwowych na cele określone jako kolonialne.

nictwa) jako bardziej przekonujące opinię publiczną zagraniczną i krajową; czy przestać na nich, traktując je jako ewentualną otwartą drogę na przyszłość (do wysuwania następnych postulatów), czy też nie wspominać o nich, by nie narażać się na zarzuty o zaborczość; jakie kroki czynić, by postulaty mogły stać się realnością; jak postępować wobec innych metropolii kolonialnych, by w trosce o zachowanie międzynarodowego *status quo* nie naruszyć ich kolonialnych „praw nabytych” i nie doprowadzić w ten sposób do konfliktów politycznych.

Powszechne przyjmowanie istnienia systemu kolonialnego jako naturalnego elementu sytuacji międzynarodowej skutkowało istnieniem samoświadomości kolonialnej wśród elit. Przypatrywały się one zarządzaniu koloniami przez inne państwa, rezultatom politycznym i ekonomicznym wpływającym z posiadania kolonii. Obserwacje te przenoszono na grunt polski. Wyciągano wnioski o korzyściach płynących z posiadania kolonii. Osobnym zagadnieniem jest, czy obserwacje te były rzetelne — może we wnioskach uwzględniano przede wszystkim te z nich, które odpowiadały zamierzeniom kolonialnym, pomijano zaś te, z których wynikało finansowe obciążenie metropolii koloniami (celowo albo przez „zapatrzanie się” jedynie na korzyści wynikające z posiadania kolonii)? Nie dostrzegano należycie faktu, że Wielka Brytania, Belgia i Holandia zadowalały się nadzorem politycznym nad posiadłościami, natomiast gospodarkę w koloniach powierzały kompaniom czy spółkom wspieranym przez administrację, starając się w ten sposób do minimum ograniczać wydatki na utrzymywanie kolonii. W przypadku Francji czy Portugalii państwo w znacznie większej mierze angażowało się gospodarczo w bezpośrednie zarządzanie koloniami i ich eksploatację. Przykłady te zdawały się przekonywać o korzyściach gospodarczych i finansowych wpływających z posiadania obszarów zamorskich. W każdym razie sytuacje te oceniano w kategoriach nie marzycielskich i propagandowych, lecz rzeczywistych, a do tych zaliczały się takie możliwości jak poszerzenie zdolności gospodarczych kraju i utrwalenie jego znaczenia w układach międzynarodowych. Zainteresowanie koloniami wśród elit było zatem autentyczne i rzeczywiste.

Zasygnalizowanych wątpliwości co do postaw elit wobec idei kolonialnej właściwie nie było wśród uczestników dyskursu popularnego. Były wątpliwości wobec niektórych zagadnień kolonialnych, ale nie wobec idei jako nadrzędnej normy stosunków międzynarodowych. Świadomość kolonialna uczestników dyskursu popularnego nie podlegała wahaniom. Nie była też przygaszana przez względy polityki wewnętrznej. Nawet w latach powściągliwości elit wobec problemów kolonialnych w dyskursie popularnym postulaty kolonialne wyrażane były zdecydowanie, często dynamicznie, a nawet agresywnie. Oskarżano władze (tak w latach 20., jak i 30., a więc odmienne politycznie i ideologicznie) o niedostrzeżenie wagi idei kolonialnej, a nawet o jej zaniechanie, równoznaczne z zaniechaniem interesów Polski, o unikanie przygotowania i opracowania „na wszelki wypadek” programów kolonialnych, mogących być podstawą do podej-

mowania w sprzyjających momentach konkretnych akcji. Atakowano władze za niedostrzeżenie (rzeczywiste czy rzekome) korzyści wypływających z posiadania kolonii. Owszem, zdarzały się wypowiedzi niepopierające idei kolonialnej, ale nie były to otwarte sprzeciwy.

Świadomość kolonialna działaczy przenosiła się na szerokie kręgi społeczeństwa. Obie zatem grupy — działacze i liczne odłamy społeczeństwa — starały się swoją samoświadomością kolonialną pobudzać do niej władze i elity państwa. Nie było to może potrzebne w kategoriach teoretycznych, ale na pewno w praktycznych.

Dla licznych rzesz społeczeństwa posiadanie kolonii stanowiło jako szansę dla kraju i jego mieszkańców — jest to widoczne w dyskursie popularnym. W tym miejscu należy zastanowić się, jak to zagadnienie było postrzegane przez elity, tym samym jak przedstawiało się w wariacie elitarnym dyskursu kolonialnego, a także w jego relacjach z wariantem popularnym.

Odrodzenie państwowości Rzeczypospolitej Polskiej w 1918 roku, naturalnie, było faktem doniosłym. Spojrzenie na układ polityczny w Europie Środkowej pozwala jednak stwierdzić, że mimo pomyślnych wojen z sąsiadami i utwierdzenia się istnienia państwa potencjalne zagrożenia nie zostały zlikwidowane. Nadal granice były niestabilne (podobnie zresztą, jak granice wszystkich państw tej części Europy — pomiędzy Niemcami a Rosją/Związkiem Radzieckim). Dla naszego najpoważniejszego sojusznika, Francji, Polska (i Czechosłowacja) była pożądanym aliantem — od wschodu graniczyła z Niemcami. Z punktu widzenia Polski sojusz z Francją był zabezpieczeniem przed niemieckim rewizjonizmem granicznym i terytorialnym, dla Francji — jedynie rozwiązaniem zastępczym (Polska z Czechosłowacją zastępowały Rosję, nie były jednak traktowane jak aliant równorzędny, były słabsze).

Polska gospodarka nie należała do przodujących. Przemysł był niedostatecznie rozwinięty, dominowało rolnictwo. Właściwie Polska była krajem chłopskim, przy czym dominowały gospodarstwa o charakterze rodzinnym, w większości zapewniające właścicielom co najwyżej możliwość utrzymania się. Wielu rolników szukało dodatkowych źródeł zarobków — ich gospodarstwa przynosiły zbyt małe dochody. W cenie zatem była praca najemna. Brakowało jednak wolnych miejsc pracy. Zjawisko to nazywano nadmiarem wolnych rąk do pracy i wiązano z przekonaniem o nadmiarze ludności rolniczej, a w skali całego kraju — z przeludnieniem. Bezrobocie dotykało także ludność miejską. Zwrócono zatem uwagę na ideę kolonialną jako szansę szybszego przezwyciężenia tych problemów. Obserwacja innych krajów europejskich prowadziła do wniosku, że w walce z zacofaniem kraju i biedą jego obywateli pomoc może uzyskanie posiadłości zamorskich. Posiadanie kolonii miało stać się szansą na korzystne dla kraju rozwiązania polityczne.

Rozumowanie takie nie było bezzasadne. Kolonie stanowiły rynek zbytu dla własnych towarów, a zarazem pozwalały na zwiększenie rynku wewnętrznego

nego dzięki importowi tak zwanych towarów kolonialnych z pominięciem wysokich opłat celnych. Mogły też rozładowywać przeludnienie kraju, pochłaniając bezrobotnych i wiejski nadmiar wolnych rąk do pracy — ludzie ci osiadali tam w charakterze kolonistów, znajdując zatrudnienie i otrzymując własne gospodarstwa rolne, a zarazem pracując na rzecz własnego kraju. Było to ważne w kontekście założeń gospodarczych. Przyjmowano konieczność przebudowy struktury gospodarczej kraju z rolniczego na przemysłowo–rolniczy. By mogło się to dokonać, potrzebny był swobodny dostęp do surowców i towarów kolonialnych, potrzebnych do rozbudowy przemysłu, i to taki, który nie obciążałby nadmiernie budżetu państwa. W przypadku posiadania własnych kolonii koszty kupna tamtejszych towarów stałyby się minimalne, nie obciążałoby zbyt finansów państwa. Wolne zasoby finansowe można by było przeznaczyć na rozbudowę przemysłu i wzmiarkowaną zmianę struktury gospodarczej kraju. Pomyślna przebudowa struktury gospodarczej oznaczała jeśli nie likwidację, to przynajmniej bardzo wyraźne zmniejszenie bezrobocia oraz przepływ tak zwanej ludności zbędnej do miast do przemysłu, co automatycznie miało likwidować przeludnienie na wsi, podnosić wydajność gospodarstw (oprócz zapewniania właścicielom możliwości utrzymania się, pozwalałyby one na sprzedaż produktów na rynek krajowy).

Równie ważna była zmiana politycznego położenia kraju, łącząca się zresztą z wymienionymi wyżej elementami ekonomicznymi. Posiadanie kolonii wyznaczało siłę kraju, podnosiło jego prestiż polityczny, znaczenie w układach międzynarodowych. Własne kolonie pozwalały na rozładowywanie wewnętrznych napięć społecznych i politycznych, wywoływanych niedostatkiem materialnym ludności. Oczekujących na zatrudnienie albo własną ziemię można by było kierować do kolonii. Zarazem warunkowana posiadaniem kolonii przebudowa gospodarcza kraju zniwelowałaby z czasem napięcia społeczne wynikające z położenia ekonomicznego kraju i jego ludności (bezrobocie w miastach, duża liczba bezrolnych na wsi dążących do posiadania własnych gospodarstw).

Uproszczeniem są stwierdzenia, że rządy sanacyjne dążyły do rozładowania napięć politycznych poprzez indoktrynację szerokich warstw społeczeństwa tak zwaną ideologią kolonialną. Napięcia polityczne dawały znać o sobie wcześniej. Ich rozładowywanie za pomocą idei kolonialnej nie można nazwać indoktrynacją. Elementy zainteresowania ideą kolonialną wśród społeczeństwa ujawniały się już w pierwszej połowie lat 20. i nie były wywołane propagandą ani tym bardziej indoktrynacją, lecz samorzutnym odruchem społecznym. Przekonują o tym dane o ruchu emigracyjnym za lata 1920–1930. Ogółem we wskazanym dziesięcioleciu wyjechało z Polski 1 480 425 ludzi, wróciło zaś jako reemigrantów — 569 695. Zatem Polska utraciła wówczas bezpowrotnie blisko milion obywateli. Emigracja w zamyśle wyjeżdżających miała ułatwić im znalezienie pracy oraz poprawę bytu materialnego. W przeważającej liczbie przypadków ludzie ci kierowali się na obszary tropikalne; kraje europejskie były praktycznie za-

mknięte z powodu ograniczenia rocznej liczby imigrantów. Emigranci udawali się do istniejących już skupisk polskich (stan Parana w Brazylii, prowincja Misiones w Argentynie, także — choć rzadziej — prowincja Montania w Peru). Wielu z tych, którzy przedostawali się do Francji, kierowano stamtąd do francuskich kolonii w Afryce — tam osiadali, lecz w rozproszeniu lub małych grupkach. Nie był to ruch wynikający z indoktrynacji kolonialnej — wynikał z samorzutnych, indywidualnych decyzji, za podłoże miał motywy ekonomiczne. Władze niepokoiły się utratą tak znacznej liczby obywateli, toteż od początku lat 30. starały się rozsądnie kierować ich na obszary rokujące powodzenie bytowe, na których znajdowały się już znaczne zgrupowania Polaków — w ten sposób osiedleńcy nie traciliby kontaktów z krajem i nie byłiby dla niego straceni. Byliby jednak w pełni zachowani dla Polski, gdyby kraj dysponował własnymi posiadłościami. Projekty takie spotykały się z aprobatą wychodźców. Indoktrynacja była zbędna — ideę kolonialną społeczeństwo przyjmowało przychylnie. Władze widziały w niej szansę na rozwiązanie trudności tyleż politycznych, co i gospodarczych kraju.

Kolonie mogły również umacniać ujawniające się od końca lat 30. tendencje mocarstwowe. Niezależnie od ich oceny tendencje te miały na celu poprawę położenia międzynarodowego Polski oraz związanie z państwem możliwie szerokich warstw społeczeństwa. Poczucie takie było potrzebne — po 1918 roku Polska była „zszyta” z części należących do ościennych państw. Przez blisko półtora wieku zaborów zdążyły się pojawić sentymeny niemieckie, rosyjskie i austriackie — należało przekształcić je w przyzwyczajenia i sentymeny polskie. Niektórzy uczeni zauważają, że w pewnych przypadkach tożsamość lokalna przenosi się na tożsamość szerszą, obejmującą dużą wspólnotę, a wraz z nią przenosi się wieloznaczność pojęcia „naród” na pojęcie „lojalność”. Wprawdzie omawiają to na przykładzie nowych państw, powstałych po II wojnie światowej, niemniej uwagi te mogą być zastosowane do niektórych państw powstałych po I wojnie światowej, takich jak Polska, też przecież charakteryzująca się odmiennymi tożsamościami lokalnymi, które były przenoszone na tożsamość narodową. Jednakże wobec istnienia w Polsce licznych mniejszości narodowych, tożsamość narodowa była przenoszona na tożsamość państwową, a w końcu na lojalność państwową. Kolonie miały być drogą prowadzącą do takich celów jako dzieło wszystkich Polaków.

Kolonie były również szansą na rozwiązanie konfliktu polsko-niemieckiego, nieustannie pojawiającego się w obrębie polskiej polityki zagranicznej. Można dodać, że część elit jeszcze w 1939 roku liczyła na to, że Niemcy skierują swoje rewindykacje nie na Europę, lecz na Afrykę, próbując odzyskać swoje byłe posiadłości, a to wymusi na zachodnich metropoliach kolonialnych (Wielka Brytania, Francja, Belgia) zawarcie przymierza dla pohamowania agresji niemieckiej.

O ile więc dla części działaczy kolonialnych wypowiedających się w dyskursie popularnym pozyskanie kolonii wiązało się przede wszystkim (przynajmniej

tak to było werbalizowane) z motywem prestiżowym (poczucie mocarstwowości, a przynajmniej udział Polski w tzw. koncercie państw europejskich), o tyle dla uczestników dyskursu elitarnego oznaczało szansę na skuteczne rozwiązania polityczne.

Zatem ujawniające się w dyskursie elitarnym idee i programy kolonialne nie były nacechowane jedynie propaństwowymi celami propagandowymi i naiwnością, jak można by określić dążenia kolonialne. Były racjonalnie wykalkulowanymi szansami (inna sprawa, czy zawsze trafnie), z którymi wiązano realne nadzieje na rozwiązania polityczne uważane za najważniejsze i najpilniejsze.

Idea kolonialna i chęci jej realizacji przyświecały nie tylko radykalnym działaczom, lokowanym przez część elit w kategoriach folkloru politycznego, odpowiadały także na oczekiwania milionów obywateli (przypomnieć warto, że Liga Morska i Kolonialna liczyła na początku 1939 r. blisko milion członków): działaczy gospodarczych, dziennikarzy, publicystów, podróżników, kandydatów na wychodźców i osadników liczących na poprawę swojego bytu, polityków wyższych szczebli. Politycy reprezentujący instytucje państwowe i rządowe czy blisko z nimi powiązani traktowali ideę kolonialną jako pomocną w rozwiązywaniu spraw uznanych za ważne dla kraju.

Inną sprawą okazała się realizacja tych szans, zbyt trudna. Niemniej, próby podejmowano jeszcze w 1939 roku. Wiceminister spraw zagranicznych, Jan Szembek, na posiedzeniu Komisji Budżetowej senatu, 8 lutego 1939 roku, oświadczył:

Do kwestii wysuwających się obecnie na czoło zagadnień państwowych należą niewątpliwie problemy demograficzne i surowcowo-kolonialne. W wyniku inicjatywy Polski Liga Narodów postanowiła utworzyć międzynarodowy komitet ekspertów dla zagadnień demograficznych (...). Zagadnienia surowcowe postawione na terenie Ligi Narodów utopione zostały w procedurze i zagadnieniach ogólnych (...), wobec czego Polska szuka innych dróg dostępu. (...) Rząd polski podkreślał kilkakrotnie, że z chwilą wszczęcia dyskusji kolonialnej w skali międzynarodowej zastrzega sobie prawo wysunięcia również swoich zainteresowań (*Problem...* 1939, s. 7–8).

Wypowiedź ta świadczy, że idee kolonialne traktowane były przez elity rzeczowo, nie jako ambicjonalne dążenie do „Polski mocarstwowej”, lecz jako możliwość dokonania ważnych i pilnych rozwiązań gospodarczych, mających wpływ na wewnętrzne i zagraniczne położenie polityczne Polski.

Manipulacje i relacje

Analiza relacji między dyskursem elitarnym a popularnym wymaga jeszcze pewnego dopowiedzenia. Przedstawione zostały funkcje dyskursu kolonialnego w jednym i drugim jego wariantcie, ogólne relacje między nimi, samoświadomość kolonialna elit i społeczeństwa (jako rzeczywistość, a nie wynikająca jedynie

z propagandy), a także dostrzeżenie przez elity szansy na rozwiązania polityczne zawarte w idei kolonialnej i jej programach. W „Tęzach kolonialnych Polski” opracowanych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w 1936 roku stwierdzano:

Do stawiania żądań kolonialnych upoważnia Polskę rozbieżność między obszarem a ludnością w klasyfikacji europejskiej i świata. (...) Rozwiązanie problemu populacyjnego w Polsce winno być dokonane w pierwszym rzędzie w płaszczyźnie przemysłowania Polski i reformy rolnej (Wszelaki 1936, s. 7).

Zasadniczo obie odmiany dyskursu były do siebie podobne. Oczywiście, istniały pewne różnice — dotyczyły one przede wszystkim publicznego zakresu dyskursu, przedstawianych w nim argumentów (zazwyczaj racjonalne *contra emocjonalne*), propagandy (skierowanej na inne grupy społeczne — w wersji elitarniej ku elitom, w wersji popularnej ku szerszym kręgom społeczeństwa; ponownie trzeba zastrzec, że propaganda była funkcją pomocniczą wobec pozostałych funkcji), wreszcie prób realizacji programu kolonialnego. Jan Dębski i Witold Podolski z Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej 17 września 1936 roku złożyli wizytę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mówiąc, że na listopad proponują zorganizowanie w całej Polsce Tygodnia Kolonialnego — zapytali, czy nie koliduje to z terminami ministerstwa. W odpowiedzi usłyszeli, że minister dostosuje taktykę postępowania do sytuacji, ale podczas imprezy nie należy gubić się w szczegółach i skomplikowanej argumentacji — główny argument kolonialny to przyrost ludnościowy.

Trzeba jeszcze sprawdzić, czy dyskurs kolonialny w jego elitarniej odmianie nie próbował manipulować dyskursem popularnym? Podejrzenia, a co najmniej przypuszczenia dotyczące manipulacji mogą brać się z często wcześniej wskazywanego w dyskursie kolonialnym momentu walki o zapanowanie nad nim. Moment walki staje się bowiem wynikiem uprzedniego momentu wyłonienia nowych idei, pojęć i wartości. Ministerstwo Spraw Zagranicznych starało się narzucić Lidze Morskiej i Kolonialnej zasób argumentów uzasadniających pretensje Polski do kolonii, mając nadzieję, że w ten sposób przeniosą się one do społeczeństwa, zostaną przez nie zatwierdzone:

Wysuwanie nagiego żądania kolonii nie byłoby wskazane. Należy operować innymi formułami, nie używając w żadnym razie pojęcia „kolonie”. (...) Propaganda w kraju powinna operować argumentami populacyjnymi, a nie surowcowymi, bo dowodzą one [argumenty populacyjne] dynamizmu demograficznego (Pogład... 1936, s. 2).

Można przyjąć, że była to reakcja na argumenty wysuwane przez Ligę Morską i Kolonialną (która głośno i agresywnie domagała się od władz starań o kolonie), zgodna z wcześniej sygnalizowaną ostrożnością ministra Becka. Jednakże jeszcze w tym samym roku (1936) MSZ, nie rezygnując z argumentów demograficznych, uzupełniło je surowcowymi:

Polska powinna posiadać własne źródła surowców i możliwość znalezienia terenów ekspansji dla nadmiaru swej ludności (Konferencja... 1936a, s. 5).

Wreszcie, pojawiło się stwierdzenie dotyczące innej hierarchii argumentów:

Przeludnienie, ale nie w płaszczyźnie emigracyjnej, bo to nie do zniesienia dla kraju mającego poczucie godności. Pozostaje druga droga: uprzemysłowienie kraju — surowce (Problem... 1936, s. 2).

Były to zatem akty unieważnienia innych pojęć czy ich interpretacji dotyczących pozyskiwania kolonii przez Polskę. Najważniejszą z sił oddziałujących z zewnątrz na dyskurs (ale i wewnątrz niego) była władza, którą tu — przy wszelkich zastrzeżeniach — można utożsamić z elitą, zwłaszcza z MSZ. Jeśli ta zewnętrzna siła — władza–elita — nie dokonuje dyskursywnych aktów przemocy, to starając się zapanować nad dyskursem, dokonuje odpowiadającej jej interpretacji wypowiedzianych w nim przekonań. W tym kontekście interpretacje można nazwać manipulacjami. Dokładniej: manipulacjami ze strony dyskursu elitarnego wobec popularnego, aby ten drugi przyjął za swoje pojęcia, przekonania i wartości wyrażane w elitarnym.

Była już mowa o tym, że funkcje w jednej i drugiej odmianie dyskursu były zbieżne. To samo dotyczyło tematów dyskursu, a także zasadniczej zgodności co do wartości idei kolonialnej dla państwa i społeczeństwa oraz dla rozwiązań politycznych. Jednakże mimo generalnych podobieństw i braku drastycznych odmienności pojęć i wartości nie można wykluczyć pewnych różnic ani sygnalizowanej wcześniej walki o panowanie nad dyskursem. Była to walka o zapanowanie nad dyskursem dla przeforsowania własnych lub unieważnienia poglądów innych, jeśli były one odmienne, zatem walka o ukazanie swojej grupy (elity) jako tej, która formułuje jedyne słuszne poglądy (które stają się powszechnymi), która przewodzi społeczeństwu. Rozważania takie znów prowadzą do podejrzeń o manipulacje.

Manipulacje istnieją wtedy, gdy nie mamy do czynienia z oczywistymi i jawnymi agresją i przemocą, narzucaniem argumentów, pojęć, idei i wartości, ale gdy przyjęcie owych idei, pojęć i wartości realizuje się nie bezpośrednio, lecz za pomocą przemilczeń jednych, modyfikacji innych, stosownej interpretacji trzecich.

Istotne jest rozróżnienie między nastrojami a motywacjami. W przypadku idei kolonialnej też można rozpoznać te zjawiska. Motywacje są trwałą tendencją, nieustannie towarzyszącą człowiekowi skłonnością, a zapewne i stałym przekonaniem do jakiejś idei, konkretnego rodzaju działań i doświadczania określonych uczuć w określonych sytuacjach. Nastroje natomiast to reakcje zmienne, chociaż mieszczące się, tak jak motywacje, w obrębie wyznawanych wartości. Nastroje zmieniają się pod wpływem umiejętnego przekonywania i nie prowadzą do żadnego punktu, natomiast motywacje mają konkretny kierunek o wytyczonym biegu, zdążającym do konkretnego punktu (celu).

Generalnie na przebieg dyskursu elitarnego składały się trzy zasadnicze motywacje. Pierwszą była identyfikacja jego uczestników z potrzebami państwa — kwestia swobodnego dostępu do surowców związana z rozpoznawanymi potrzebami państwa zmierzającego do przebudowy ustroju gospodarczego z rolniczego na przemysłowy oraz tymi, które miały rozładować przeludnienie (tereny pod swobodne osadnictwo), a w rezultacie zlikwidować albo zdecydowanie zmniejszyć bezrobocie.

Na drugą motywację wpływ miały czynniki zewnętrzne. Dawały one o sobie znać w momencie, gdy idea kolonialna w Polsce łączona była z odpieraniem niemieckiej agresji propagandowej.

Z kolei na kształt dyskursu popularnego wpływ miał dyskurs elitarny, co uwiadczało się w suflowaniu argumentów surowcowych i demograficznych przy podejmowaniu spraw kolonialnych i w unikaniu „nagiego żądania kolonii”. Ten ostatni postulat nie był specjalnie przestrzegany w dyskursie popularnym — z powodu powiązania tej odmiany dyskursu z (jakbyśmy to dziś nazwali) kulturą masową i z trzecim czynnikiem kształtującym dyskurs popularny, mianowicie z doświadczeniem i przekonaniem własnymi rozmaitych grup społeczeństwa, oczekujących kolonii dla Polski jako poszerzenia możliwości osadniczych likwidujących przeludnienie kraju, a tym samym bezrobocie.

Motywacje są wyraźniejsze w elitarniej odmianie dyskursu, nastroje zaś w odmianie popularnej. Zgadza się to z wcześniej podnoszonym zróżnicowaniem, że w dyskursie elitarnym częstsze i wyraźniejsze jest odwoływanie się do argumentów racjonalnych, zaś w popularnym — do emocjonalnych. Jest tu zatem pewna paralelność. Argumenty racjonalne są zbieżne z motywacjami — stałym przekonaniem do idei, ale i działań możliwych do podjęcia w określonych sytuacjach. Argumenty emocjonalne są zbieżne z nastrojami — zmienne i różnorodne reakcje; mimo że mieszczące się w tym samym kręgu wartości, to bardziej zależne od sytuacji społecznych. Argumenty racjonalne (motywacje) cierpliwie i wytrwale dążą do wyznaczonego celu. Argumenty emocjonalne (nastroje) niecierpliwie wyrwywają się z rygorów konsekwencji.

Może nasuwać się podejrzenie o manipulacje nastrojami lub inaczej — o przełożenie argumentów racjonalnych na emocjonalne. Można też doszukiwać się manipulacji symbolami — dyskurs popularny bywa na nie bardziej podatny. Argumenty racjonalne wyłaniały się w dyskursie elitarnym, następnie bywały przyjmowane przez popularny, często jednak w „opakowaniu” emocjonalnym. Podobnie było z pojęciami kognitywnymi.

Stwierdzając wpływ dyskursu elitarnego na popularny, trzeba zastrzec, że wpływ nie równa się manipulacji. Z pojęciem manipulacji kojarzą się działania niejawne, podstępne, ukryte. W przypadku idei i programów kolonialnych działania elit miały charakter jawny, bezpośredni. Wątpliwe zatem, by zachodziło tu zdarzenie „klasycznej” manipulacji. Działania te lepiej określić mianem wpływania czy też aktów walki, konfliktu, podporządkowania. Być może każda

władza ma tendencje do panowania nad każdym rodzajem dyskursu. Niemniej, można odczytać i tendencję odwrotną — dyskurs popularny starał się wpływać na elitarny.

Warto odwołać się tu do przykładu. Liga Morska i Kolonialna (także instytucje i periodyki z nią związane) została zaliczona do uczestników dyskursu elitarnego. Pamiętając o jej liczebności, przynależności do niej rozmaitych kategorii działaczy, również rozmaicie usytuowanych w strukturach społecznych kraju, trzeba zauważyć, że często stała ona „w rozkroku” między dyskursem elitarnym i popularnym. Niektóre podejmowane przez nią przedsięwzięcia wymykały się spod nadzoru kręgów elitarnych, a znaczna część działaczy Ligi należąca do elit uczestniczyła w poczynaniach dalekich od tych, które były dla nich typowe. Motywacje podlegały nastrojom, a racjonalizm emocjom. Dyskurs popularny przedstawiał swoje warunki elitarnemu. Przedsięwzięcia podejmowane przez elitarne instytucje państwowe wymykały się im spod kontroli — były przejmowane przez Ligę i realizowane według jej własnych zamierzeń. W krytycznych sytuacjach elitarne instytucje państwowe (rządowe) musiały interweniować. Inna sprawa, że instytucje elitarne niejednokrotnie powierzały pewne sprawy do załatwienia instytucjom społecznym. Właśnie Lidze Morskiej i Kolonialnej zlecono organizację polskiej emigracji w Brazylii, ona też — a nie agendy państwa — zawarła traktat z Liberią, organizowała akcję osadniczą plantatorów polskich oraz ekspansję gospodarczą Polski w tym kraju. Mogło to wyglądać na sprzężenie zwrotne między dyskursem elitarnym a popularnym. W istocie państwo, gdy było to dla niego wygodne, powierzało załatwienie danej sprawy organizacji społecznej, nie angażując się bezpośrednio, a jedynie nadzorując poczynania owej organizacji. W relacjach między dyskursem elitarnym a popularnym nie istniało zjawisko manipulacji, wyłaniało się jedynie zjawisko oddziaływania na społeczeństwo przez dyskurs popularny. Jeśli więc w dyskursie kolonialnym występowała manipulacja ze strony dyskursu elitarnego, to dotyczyła spraw podległych racji stanu, czyli interesowi państwa — sprawie będącej polem zgodności jednej i drugiej odmiany dyskursu, aczkolwiek mogącej być różnie rozumiana. Chyba że za manipulację uznać wpływanie na dobór argumentów i sposoby ich przedstawiania (surowce, przeludnienie), przyjmowane zresztą w dyskursie popularnym. Argumenty emocyjne bywały przenoszone z dyskursu popularnego do elitarnego. Pozostaje pytanie, czy fakty te należy uznać za przykłady manipulacji, czy za międzydyskursywne pożyczki. Pierwszych wykluczyć nie można, ale tych drugich też się nie da.

Elity nadawały ton dyskursowi — określały wyłaniające się z niego idee, pojęcia i wartości. Z kolei dyskurs popularny docierał do znacznie szerszych rzesz społeczeństwa. Te same idee, pojęcia i wartości były odmiennie interpretowane — w dyskursie popularnym bardziej emocjonalnie postrzegane. Ukazuje się tu swoista zasada nieciągłości — stanowi ona, że dyskursy są nieciągłymi praktykami, które przecinają się, czasem współwystępują, niekiedy wykluczają. Nie

srowadzają się do rozpoznawania metafor, symboli czy gry znaczeń, pozwalających łatwo odszyfrowywać świat zewnętrzny. Raczej kierują się ku dostrzeżeniu możliwości zaistnienia znaczeń i zdarzeń oraz ich interakcji. Zapewne ginie w tym wola ustalenia prawdy — taki jednak jest trybut, jaki płaci się za przemianę dyskursu i toczoną w nim walkę o dominację.

Miejsce dyskursu kolonialnego w metadyskursie publicznym

Podczas formułowania zagadnienia, które każe zastanowić się nad dyskursem kolonialnym jako elementem szerszego metadyskursu, nachodzą wątpliwości, czy może nim być dyskurs polityczny, czy mniej zwektorowany, a wydający się być szerszym — publiczny.

Pierwszy odruch każe widzieć miejsce dyskursu kolonialnego w szerszym dyskursie politycznym — kolonialny był funkcją politycznego. Istotnie, taki związek jest widoczny. Idea kolonialna (jak i projekty kolonialne) wpływała z założeń przede wszystkim politycznych, aczkolwiek — trzeba dodać — szeroko rozumianych. Nie tylko dlatego że w wersji elitarniej dyskursu kolonialnego ukazywanie nowych prawd, idei i wartości oraz ich przekazywanie było w znacznej mierze wynikiem wyłaniania ich przez instytucje państwowe, zatem polityczne, w tym szczególnie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, co umieszczało problem w kręgu polityki. Zresztą nie tylko konotacje instytucjonalne lokowały go w obszarze polityki, także — jak przekonuje dotychczasowa analiza — powszechne rozpoznanie społeczne.

Potwierdzałyby to spostrzeżenia, że antropologia jest w pewnym (większym? mniejszym?) zakresie polityczna. Zwłaszcza gdy zakres jej badań dotyka bezpośrednio państwa i polityki, a tak dzieje się w przypadku zajmowania się zagadnieniem kolonii, kolonializmu i idei kolonialnej jako sprawami politycznymi i publicznymi jednocześnie (publicznymi, gdyż odwołują się do społeczeństwa w celu akceptacji przez nie kolonialnych pojęć politycznych). Przekonanie o uzależnieniu antropologii od polityki podziela Anna Malewska-Szałygin, gdy pisze o antropologii politycznej, przeprowadza przegląd tego pojęcia (Malewska-Szałygin 2005, s. 357–360). Zauważa ona, że jej pierwsze pola badawcze i ujęcia teoretyczne dotyczyły Afryki i tamtejszych lokalnych systemów politycznych oraz nakładającego się na nie systemu kolonialnego. Zwraca uwagę, że w antropologii politycznej ujawnia się pojęcie dominacji i pojęcie symbolizmu, co kieruje ją w stronę dyskursu politycznego, a także, że pojęcie rozwoju spowodowało zastąpienie kolonialnej retoryki wyższości kulturowej przez retorykę rozwoju gospodarczego. Zauważył to również Eugeniusz Kwiatkowski — według niego początek dominacji spraw gospodarczych jest widoczny już od XVIII wieku (Kwiatkowski 1947). W polskim dyskursie kolonialnym zamiana ta doko-

nywała się w latach 30. ubiegłego wieku. Fakt ten podtrzymuje tezę o integralnym związku antropologii z polityką, a tym samym tezę, że dyskurs kolonialny jest odmianą dyskursu politycznego. Antropologia w kontekście kolonialnym służyła nie tylko celom poznawczym, ułatwiała również sprawne zarządzanie administracyjne koloniami, przechodząc od motywów poznawania świata ku badaniom, jak mówi się o świecie i jak można to spożytkować. Wracając do zasadniczego nurtu rozważań autorki, twierdzi ona, że posługiwanie się pojęciem „antropologia polityczna” jest uzasadnione (Malewska–Szałygin 2005, s. 363).

Zarazem dyskurs kolonialny przejawiał się nie tylko w sferze polityki, również w sferze gospodarki i spraw społecznych. Naturalnie, gospodarka, demografia, ekonomia, sprawy społeczne w latach 1918–1939 podlegały mniej czy bardziej regulacjom państwowym, czy też — inaczej formułując — państwo starało się wywierać na nie wpływ. Działo się tak nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie, by nie odwoływać się do przykładów z innych części świata. Innymi słowy, gospodarka i sprawy społeczne bywały zawłaszczane przez politykę, a w każdym razie czynione były takie próby. Zresztą w praktyce życia publicznego gospodarka, sprawy społeczne i polityka stanowiły nierozdzielny kompleks zagadnień.

Przypomnijmy, należy oddzielić kontekst polityczny od społecznego i gospodarczego, nie tylko dla definicyjnego porządku (aczkolwiek i ten взгляд może mieć znaczenie w zapanowaniu nad ewentualnym chaosem dyskursu), ale również dlatego że konteksty społeczny i gospodarczy ujawniają się samodzielnie, na równi z politycznym, jako względnie niezależne od niego, pretendujące do „suwerenności”, przekazują idee nie zawsze tożsame ze *stricto* politycznymi. Polityczne bezpośrednie uwikłanie dyskursu kolonialnego zdaje się ustępować miejsca powikłaniom ekonomicznym i demograficznym — taki proces może być odczytywany z powodu ich częstego wysuwania na czoło zainteresowań (trzeba jednak pamiętać, że w kontekstach społecznym i gospodarczym również przejawiają się uwikłania polityczne).

W ten sposób dyskurs kolonialny wyzwała się z ram jedynie politycznych, staje się częścią znacznie szerszego dyskursu publicznego (co nie znaczy, by dyskurs publiczny nie mógł być zarazem politycznym). Tym bardziej, że jego uczestnicy to nie tylko osoby z kręgów elit politycznych, lecz i z dalekich od elitarności grup społecznych, zwłaszcza że pojęcia i ustalenia dyskursu kolonialnego nakierowane bywały na odbiór i przyjęcie ich przez szerokie rzesze społeczeństwa. Wprawdzie wypowiedzi uczestników spoza środowisk uniwersyteckich, politycznych i specjalistycznych bywały uważane za dyskurs nie naukowy (raczej „gorszy”) i postrzegane jako wiedza amatorska i lokalna, niemniej i one służyły budowaniu wiedzy o zagadnieniu. Następowało zderzenie: wiedza amatorska *versus* fachowa. Jednakże w przypadku spraw *stricto* kolonialnych wiedza zbiegała się raczej w punkcie „amatorskim”. Zarówno dla elit, jak i dla grup określanych mianem popularnych kwestie kolonialne były zasadniczo mało rozpoznane, dopiero uczono się ich.

Dyskurs kolonialny, choć zasadniczo polityczny, miał charakter dyskursu publicznego, niezależnie od ewentualnych aspiracji czy uzurpacji jednostek i grup do wiedzy na ten temat. Tę wiedzę dyskurs dopiero wyłaniał i weryfikował. Czynił to, przesuwając wiedzę o faktach ze strony często symbolicznej w stronę schematów pojęciowych. Wiele z nich dekonstruował, albo wprowadzając nowe schematy, albo starając się odejść od schematów w stronę zobiektywizowanych argumentów racjonalnych (które i tak niekiedy stawały się schematami, tyle że powszechnie przyjmowanymi). Upowszechnianie w społeczeństwie schematów dotyczących spraw kolonialnych (idei i jej rozumienia, programów kolonialnych i ich akceptacji lub odrzucenia) też określało miejsce dyskursu kolonialnego w publicznym. Dyskurs kolonialny był zatem częścią dyskursu politycznego i jednocześnie częścią dyskursu publicznego. Można by więc skonstruować triadę: dyskurs kolonialny — dyskurs polityczny — dyskurs publiczny. Pierwszy jest w sposób oczywisty związany z drugim, ale zarazem „ponad jego głową” także z trzecim, którego jest również elementem bezpośrednim (podobnie zresztą, jak drugi). Przemawia za tym i to, że uczestnikami dyskursu kolonialnego były osoby i instytucje zdające się stać daleko od tego, co rozumiemy przez politykę, jednakże zainteresowane przekazaniem w dyskursie idei, które były im bliskie osobiście czy w imieniu reprezentowanych przez siebie grup.

Dyskurs publiczny wchłania zatem dyskurs polityczny, ten zaś kolonialny. Lub inaczej: dyskurs publiczny emanuje z siebie dyskurs polityczny, a ten dyskurs kolonialny, chociaż ten ostatni może też być wyemanowany bezpośrednio z publicznego, zwłaszcza że pojęcie „publiczny” można w przypadku dyskursu kolonialnego omawianego okresu rozumieć jako „powszechny”, to znaczy taki, w którym biorą udział nie tylko znawcy zagadnienia, politycy, działacze, ale i (tak się działo) — używając nieprecyzyjnego zwrotu potocznego — „każdy”. Rzeczywiście, uczestnikami dyskursu kolonialnego jako znajdującego miejsce w publicznym byli ci, których zagadnienia kolonialne interesowały ze względów bezpośrednich, osobistych. Jego zasięg dowodzi, że sprawy kolonialne znajdowały zainteresowanie w społeczeństwie. Nie były zatem uzależnione bezpośrednio od propagandy czy manipulacji ze strony władz lub szerzej — elit. Odpowiadały na życiowe (bytowe) oczekiwania i zapotrzebowania społeczeństwa, a zarazem na zapotrzebowania związane z rolą państwa i funkcjami jego polityki, również istotnymi dla społeczeństwa.

Wiele argumentów dyskursywnych (np. polityczny, ekonomiczny, moralny, emotywny) jest ze sobą splecionych. Zbiegają się one w dyskursie publicznym, w nim bowiem wypowiadają się także ci, którzy nie mają dostatecznej wiedzy o świecie ani wypracowanego dogłębnie światopoglądu, ale są przekonani o wartości swoich poglądów. Akceptacja idei wychodzących z kręgów elitarnych uczestników dyskursu kolonialnego pozwalała w dyskursie publicznym na uwzględnianie odmiennych doświadczeń i poszerzanie dotychczasowych znaczeń — obie grupy uczestników uwzględniała empirię organizującą zasady dys-

kursu. Poglądy formułowane były otwarcie, dzięki czemu jedne aprobowano, inne poddawano krytyce; elementy niosące wątpliwości ujawniano i dyskredytowano (odrzucono lub przeformułowano). Odwoływanie się jedynie do norm racjonalizmu może być o tyle zawodne, że nie zawsze pozwalają one na uchwycenie i wydobywanie sensów wypowiedzianych pojęć, poglądów i wartości — niekiedy zwrot ku emocjonalności ułatwia to.

Elity objaśniały podstawowe kategorie organizujące dyskurs, ale swoje rozumienie tych kategorii przedstawiali także uczestnicy dyskursu popularnego — było ono pojmowane przez elity (obie grupy wychodziły od tych samych albo podobnych modeli mentalnych), dzięki czemu powstawała wspólnota rozmawiająca. Poza tym dyskurs popularny dzięki swojemu zasięgowi i emotywności był dobrze słyszalny, a nawet próbował wpływać na idee i ustalenia dyskursu elitarnego. Dostrzegalny rozstęp pomiędzy założeniami politycznymi a doświadczeniem potocznym był niwelowany poprzez wzajemne korygowanie pojęć i ustaleń w obu odmianach dyskursu. W końcu mimo odmiennych zachowań i różnych przekonań wszyscy członkowie społeczeństwa uznawali wspólnotę zasadniczych wzorów kulturowych (mimo ich szczegółowej różnorodności i odmienności), a także wspólny system wartości, co zapewniało członkom społeczeństwa wzajemne zrozumienie. Przekonuje to, że dyskurs kolonialny był elementem ogólniejszego dyskursu publicznego (i politycznego).

Dla uczestników wersji elitarnego dyskursu sprawy polityczne były doświadczeniami bliskimi, bliskimi jednak teoretycznie, w kategoriach ogólnych. Przy analizie interakcji zazwyczaj okazują się one pojęciami dalekimi od bezpośredniego doświadczenia w sensie doświadczeń kolonialnych. Natomiast pojęcia uczestników wersji popularnej, umiejscawiającej dyskurs kolonialny wyraźniej w dyskursie publicznym, wyrastały z takich pojęć jak przeludnienie, emigracja i osadnictwo, bezrobocie — generalnie z szukania szans na poprawę bytu. Były to zatem sprawy wynikające z bliskich, osobistych doświadczeń — takich, którymi znaczna część uczestników dyskursu żyła na co dzień. Nie znaczy to, że sprawy *stricto* polityczne były im obce — wydaje się jednak, że były uwikłane w sieć znaczeń bytowych i podporządkowane im.

Po uchwyceniu pojęć bliskich doświadczeniom ludzi, należy umieścić je w związku z pojęciami dalekimi. Pojęcia te formułowane były w kategoriach teoretycznych, ale starano się je przekładać na możliwość praktycznych zastosowań. Takimi pojęciami były idea kolonialna i programy kolonialne, tłumaczone na pojęcia i doświadczenia bliskie. Pojęcia teoretyczne i doświadczenia odległe w przypadku idei kolonialnej zdawały się obiecywać zredukowanie do doświadczeń bliskich. Interpretacja taka pozwala na uchwycenie sensu, jaki instytucje, działania, wyobrażenia i obyczaje miały dla tych, czyje były to instytucje, działania, wyobrażenia i obyczaje. Wartości formułowane w szerokim dyskursie publicznym przenoszono do węższego dyskursu kolonialnego, chociaż i dys-

kurs publiczny „karmił się” dyskursem kolonialnym, oba zaś stykały się w politycznym.

Żadna grupa, tym bardziej klasyfikowana jako nie elitarna, a zarazem uczestnicząca w dyskursie, nie istnieje niezależnie od woli tworzących ją członków. Wola taka jest niezbędnym warunkiem istnienia grupy. Grupa jest zdeterminowana zainteresowaniem tematem dyskursu. Gdy zaangażowanie członków w grupę ustaje, grupa rozpada się — ustępuje zainteresowanie tematem dyskursu i jego przebiegiem. Jednakże samo powstanie takiej grupy i jej istnienie stanowi o jej trwaniu i poszerzaniu się. Zwłaszcza wtedy, gdy dyskurs może stanowić szansę na znalezienie rozwiązań w dziedzinie polityki, ale też spraw społecznych i gospodarczych. W obrębie instytucji i organizacji mogły formować się mniejsze zespoły, charakteryzujące się wewnątrznie podobnymi poglądami i wyznające podobne wartości, odmienne od poglądów i wartości wysuwanych przez inne zbiorowości, też wszakże mieszczące się w „megagrupach”. Stąd użycie pojęcia „grupa”, aczkolwiek chybotliwe, może być praktyczne w analizie dyskursu.

Przez grupę uczestniczącą w dyskursie rozumiem osoby najczęściej nieformalnie powiązane ze sobą podobieństwem (jeśli nie tożsamością) poglądów i opinii wyrażanych podczas dyskursu. Wprawdzie wypowiedzi miały zazwyczaj charakter indywidualny, niemniej pewne ujawniające się w dyskursie zbieżności pozwalają mówić o grupie. Określenie to jest zresztą płynne i nieostre. W dyskursie kolonialnym udział brali na przykład urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, działacze Związku Pionierów Kolonialnych, Ligi Morskiej i Kolonialnej. Pozwala to mówić o grupach związanych z tymi instytucjami. Można jednak mówić również o grupie elitarniej, co jest pojęciem szerszym niż „urzędnicy MSZ” — grupa ta zajmowałaby miejsce w grupie elitarniej jako szerszej. Były też wypowiedzi w rodzaju: „my, plantatorzy”. Pytanie, czy pozwala to mówić o grupie plantatorów jako grupie uczestników dyskursu? Wydaje się, że pojęcie „grupa” w odniesieniu do uczestników dyskursu kolonialnego jest niedefiniowalne, mgliste i rozplywające się, jednakże niekiedy pożyteczne praktycznie — wówczas, gdy trzeba przeciwstawić zbliżone pojęcia jednych uczestników dyskursu również zbliżonym, aczkolwiek odmiennym pojęciom i poglądom innych. O nazwaniu pewnego grona uczestników dyskursu grupą może decydować intuicja i niechętnie używane, bo nieprecyzyjne narzędzie zwane „zdrowym rozsądkiem”, wreszcie praktyczna potrzeba analizy, co prawda, określana arbitralnie.

Warunki powszechności uczestnictwa w rozmowie spełnia dyskurs publiczny, dając każdemu możliwość wypowiedzi i zaprezentowania swojej opinii. Angażuje on dużą liczbę uczestników.

Punktem odniesienia jest teoretyczna równa wartość każdej jednostki i każdej grupy. Kiedy jedna grupa zdobywa przewagę nad drugą (lub pozostałymi), zasady określone przez nie ścierają się, a napięcia między nimi przybierają formę dialogu wewnątrz społeczeństwa i zarazem walk informacyjnych. Nie ma tu jawnego dążenia do idealnej obiektywności czy przyjmowania dystansu do te-

matu dyskursu i wyrastającego z niego bezstronnego, neutralnego wartościowania pojęć (jeśli taki zabieg w ogóle jest możliwy). Możliwy jest względny dystans, ale równie ważne wydaje się wartościowanie i próba narzucenia wyłonionych wartości innym uczestnikom. Dyskurs publiczny ma tę zaletę, że pozwala wypowiadać się wielu osobom i prezentować im wszelkie możliwe opinie.

Uczestnicy wersji popularnej dyskursu zmieniali zdanie (jak to często czynią ludzie w rozmaitych sytuacjach) częściej niż uczestnicy wersji elitarnej. Nie znaczy to, że odchodzono od standardów racjonalności. Z drugiej wszakże strony, gdyby życie społeczne było uporządkowaną całością, stanowiło modelowy wzorzec przestrzegany bezwzględnie i bez zastrzeżeń przez każdego, jakikolwiek dyskurs byłby zbędny. Wiemy, że w życiu publicznym występuje ogromna liczba dyskursów, co świadczy o tym, że w wielu obszarach mamy do czynienia nie tyle może z chaosem pojęciowym, ile — poprzez dyskursy — z próbami uporządkowania pojęć, by człowiek mógł sprawnie funkcjonować w życiu publicznym. Konieczne jest do tego uznawanie pewnych norm, według których organizowany jest także dyskurs. Nawet jednostki czy większe grupy nieświadome owych norm postępują według nich, umożliwiając komunikację społeczną (czynnik niezbędny do funkcjonowania życia społecznego).

Raz jeszcze trzeba próbować poszukać odpowiedzi na wyłaniające się z dotychczasowych rozważań pytania. Wątpliwe, by idea kolonialna — patrząc na nią z punktu widzenia polskiego dyskursu publicznego lat 1918–1939 — charakteryzowała się doświadczeniem bliskim. Nie przypadkowo używam tu określenia „idea”, a nie „ideologia”. Przez ideę rozumiem pewien zarys pojęcia, pomysł *in statu nascendi*, wizję dopiero naszkicowaną, przez „ideologię” natomiast pełen, skończony „rysunek”, ideę obrosłą w dogmaty, przepisy postępowania, wymagającą od jej zwolenników opowiedzenia się za nią. Ideologia zazwyczaj występuje w parze z „czystą” polityką: uzasadnia ją, zaplątuje w sieci symboli, dostarcza metafor, uzbraja w sobie właściwą retorykę; posiada z góry założony ładunek wartościowania i oczekuje jego przyjęcia. Przy tym myśl ideologiczna bywa niejasno określana w kategoriach racjonalności, by mogła być łatwiej propagowana i przyjmowana. Zostawia niedopowiedzenia, zamglone definicje — w miejsce argumentów racjonalnych kładzie nacisk na ładunek emocjonalny poprzez sugerowanie myślenia i działania symbolami. Blokuję krytyczne podejście do spraw politycznych, społecznych i gospodarczych, podporządkowuje sprawy społeczne i gospodarcze polityce.

Ideologia zamyka. Idea jeszcze wszystko dopuszcza. Pierwsza zakłada wartościowanie. Druga dopuszcza wybór. Dla dyskursu publicznego charakterystyczny jest wielogłos. Wyłania pojęcia i poglądy uznane za najlepsze czy najbardziej skuteczne. Są one przenoszone do dyskursu kolonialnego, gdzie nadal podlegają krytycznemu oglądowi. Idea kolonialna w Drugiej Rzeczypospolitej była przede wszystkim zarysem, szkicem, projektem. Wprawdzie były to projekty mniej czy bardziej uszczegółowiane, lecz zazwyczaj wstępne, zmieniane w po-

szukiwaniu lepszych czy bardziej optymalnych. W dyskursie kolonialnym można było swobodnie dochodzić do wyłaniania rozmaitych pojęć, mniemań i wartości stykających się ze sobą, przeciwnych sobie, walczących z innymi o zajęcie powszechnie akceptowanego miejsca w modelach mentalnych społeczeństwa.

Naturalnie, w dyskursie kolonialnym istniała licytacja programów kolonialnych. Jedne były uważane za zbudowane na podstawie wiedzy fachowej, inne podejrzewano o wiedzę „amatorską” (choć „amatorzy” chętnie korzystali z elitarnej wiedzy fachowej, wzmacniając przy jej pomocy siłę swojej argumentacji). Umiejscowienie dyskursu kolonialnego w szerszym dyskursie publicznym poszerzało licytację, dopuszczało do udziału w niej środowiska społeczne nieposiadające wiedzy fachowej, a jedynie „amatorską”, uwzględniało jako równie ważne konteksty społeczny i gospodarczy. Była to wiedza, która wyrastała z doświadczeń bliskich licznym uczestnikom, kształtowała ich życie codzienne, pragnienia i oczekiwania (z „amatorskiej”, codziennej wiedzy korzystali również przedstawiciele środowisk elitarnych; mieli nadzieję spopularyzować za jej pomocą idee wypracowane w swoim kręgu).

Jeśli trzeba określić znaczenie miejsca dyskursu kolonialnego w dyskursie publicznym, to przede wszystkim należy podkreślić jego rolę w aktywizowaniu obywatelskim społeczeństwa. Istota miejsca dyskursu kolonialnego w ogólnie pojętym dyskursie publicznym polegała na zaangażowaniu w dyskurs kolonialny dużego grona uczestników, tak jednostek, jak i grup, a także na zapewnieniu im możliwości swobodnych wypowiedzi.

Jeżeli przyjmiemy, że na publiczny rejestr wiedzy składa się to, co ludzie mówią o swoich doświadczeniach i przemyśleniach, oraz interpretacja tego, co zostało powiedziane przez innych, wówczas rejestr ten zwiększa się (dzięki zsumowaniu wiedzy jednostek i grup). Może być korygowany nawet bez konieczności bezpośredniego uczestniczenia w zjawiskach zachodzących na świecie. W ten sposób poszerza się znajomy ludziom zasięg świata i jego poznanie. Można dokładniej formułować oczekiwania wobec świata, pojmować jego funkcjonowanie, dostrzegać różnice w zasadach nim rządzących.

Dyskurs kolonialny, dzięki swojemu publicznemu charakterowi, kształtował świadomość miejsca Polski w świecie. Niósł element poznawczy o świecie. Sprzyjał lepszemu określeniu własnej tożsamości (co prawda, często według najprostszej zasady przeciwstawiania siebie innym, jednakże nawet tak budowana tożsamość potrzebna była dla sprawnego funkcjonowania państwa i społeczeństwa).

Dyskurs kolonialny był też rozmową publiczną o zderzeniu kultur. Zmierzał do określenia charakteru kultury własnej, porównania jej z odmianami kultury europejskiej (mozaikowej, ale wspólnej, w której mieściła się kultura „swoja”), a następnie z kulturami ludów egzotycznych.

Z reguły tożsamość kultury własnej określa się w opozycji do kultury „obcych”; im bardziej obcych — tym wyraźniej ujawniają się granice między nimi, a zatem i charakter kultury własnej. Dochodzono do wniosków, że ludzie żyją-

cy w odmiennych kulturach mają swoje, nieporównywalne z innymi wizje świata. Zwłaszcza że stwierdzenia o kulturach „innych” wypowiedane były z punktu widzenia pojęć funkcjonujących w kulturze własnej, przymierzanej do obcej, a ogląd rzeczywistości zdeterminowany był przez wyobrażenia właściwe własnemu systemowi myślowemu. Sprowadzało się to do etnocentryzmu — było to nie do uniknięcia, mimo odwoływania się do podobnego doświadczenia ludzkiego oraz poszukiwania wspólnego mianownika wszelkich kultur, trudnego wszakże do odnalezienia.

W latach 1918–1939 ów punkt widzenia był tym bardziej trwały, że nadal panował odziedziczony po poprzednich dziesięcioleciach pogląd o podziale na świat cywilizowany i barbarzyński, odwołujący się do potocznych wyobrażeń o miejscu i statusie „Innych” w relacji do Europejczyków. Naturalnie, wyrokowanie o podziale na świat cywilizowany i barbarzyński (dziki, pogański, plemienny, prymitywny, pierwotny) przypadało przedstawicielom Świata Białych, orzekającym z punktu widzenia własnych norm kulturowych. W tych poglądach i wartościowaniu, przy założeniu o wspólnocie ludzkiej i możliwości cywilizowania dzikich (system kolonialny miał się do tego przyczynić), kłopot sprawiało przekonanie, że ludy egzotyczne nie myślą racjonalnie i logicznie. Bardzo ciekawie rozstrząsa te zgadnienia Michał Buchowski. Zauważa on, że

refleksja dotycząca innych, pozaeuropejskich społeczeństw (...) wynikała z ludowych wyobrażeń utrzymywanych przez Europejczyków, którzy podzielali starożytny pogląd o podziale świata na cywilizowany i barbarzyński (Buchowski 2004, s. 30).

Wprawdzie sporo zmieniło się od tamtych czasów (drakońsko upraszczając wywody autora), jednak

jeden wątek pozostawał niejasny, mianowicie — dlaczego inne społeczeństwa nie myślą racjonalnie? W sukurs przyszła teza o dziecięcym charakterze psychiki ludzi „pierwotnych”, zgodnie z którą „dzicy” starają się myśleć racjonalnie, lecz im się to do końca nie udaje (tamże, s. 31–32).

Mimo odrzucania przez współczesną antropologię rozumienia świata przez pryzmat własnej kultury badaczy, autor zdaje się usprawiedliwiać nawyk nie do wykorzenia — etnocentryzm. W końcu trzeba mieć jakiś punkt odniesienia do zrozumienia „Innych”.

Ów punkt odniesienia dotyczył z jednej strony możliwości zrozumienia kultury „Innych”, z drugiej — niemożliwości zrozumienia z powodu braku uniwersalnych standardów myślenia. Konstatowano, że kultury tubylcze muszą akceptować wizję Świata Białych, w przeciwnym przypadku grozi im wyginięcie. Standardy własne wydawały się najbardziej naturalne. Wszystko, co od nich się odróżniało, pojmowane było jako obce, a zatem błędne, w najlepszym razie dziwaczne i trudno zrozumiałe. Ponieważ standardy kultury Białych osadzone były w kontekstach politycznym, gospodarczym i społecznym, przypasowywanie ich

do kultury „Innych” przynosiło rozczarowanie. Osądzanie kultury „Innych” sprowadzało się albo do „egzekucji łagodnej” (opieka nad tubylcami, dźwiganie ich na wyższy stopień cywilizacji), albo do „egzekucji bezwzględnej” (wprowadzanie tubylców do współczesnego świata bez oglądania się na ich kultury).

Wpływający z rozmowy publicznej dyskurs kolonialny przynosił zróżnicowane wypowiedzi. Pojawiały się takie, które widziały konieczność zrozumienia kultur Świata Egzotycznego, ich poszanowania i zachowania, choć jednocześnie chciały wprowadzić je w krąg cywilizacji europejskiej. Było to postulowanie wyboru jakby pomiędzy akulturacją a inkulturacją. Wszystko to prowadziło do poznania kultur tubylczych, a przede wszystkim do zrozumienia ich sensu w kontekście sytuacyjnym (choćby wnioski i metody dotyczące tego, co dalej czynić z kulturami egzotycznymi mogły być zgoła odmienne).

Masowość udziału w rozmowie publicznej skłania do pomniejszania różnic wewnątrz kulturowych — zmusza do wypracowania zasad integrujących wokół kultury własnej, skontrowanej wobec obcej, ale też do pomniejszania różnic międzykulturowych. Wprawdzie może działać odmiennie, pobudzając do wznoszenia murów między „nami” a „innymi” i akcentując różnice, niemniej uczy spokojnego patrzenia na „innych”. Odmienne kultury przestają być zamkniętymi twierdzami, chociaż nie wyzbywają się własnych tożsamości. Masowość udziału w dyskursie publicznym wciąga do debaty liczne rzesze uczestników, dając im możliwość namysłu nad kulturą swoją i obcymi. Nie przekreśla to naturalnych odruchów etnocentryzmu, chociaż w jakimś stopniu relatywizuje je.

Dyskurs kolonialny był masową rozmową publiczną, chociaż uczestnictwo w niej powodowane było rozmaitymi motywami: od osobistych po związane z rolą państwa jako nadrzędną. Niemniej, te odmienne, często różnorodne motywy skupiały się w pewnych wspólnych punktach nie tyle widzenia, co spojrzenia na świat. To za ich pomocą uzasadniano sens istnienia systemu kolonialnego; zarazem pojawiały się głosy o konieczności zmian w tym systemie, chociaż samego systemu nie podważano. Uzasadniano też sens włączenia się Polski do tego systemu, chociaż rozmaicie widziano formy tego włączenia się. Zagadnienie przenikliwości bądź nieprzenikliwości kultur pozostaje kwestią otwartą, nieustannie dyskutowaną.



Zakończenie

Analiza dyskursu kolonialnego w Drugiej Rzeczypospolitej ukazuje treści i przebieg rozważań nad pojmowaniem idei kolonialnej oraz stosunek do projektów kolonialnych i sposobów ich realizacji. Projektów przyjmowanych przez większość zrazu powściągliwie, później zdobywających coraz znacniejszą popularność.

Dyskurs kolonialny zapoczątkowały w 1919 roku elity (ale nie rząd), wypowiadając się we własnym imieniu, a co najwyżej w imieniu grupy zainteresowanej uzyskaniem posiadłości zamorskich dla kraju, starającej się zainteresować tym problemem rząd. Potrzebę tę motywowano koniecznościami państwowymi (znaczenie Polski w świecie) i społecznymi (zdobycie terenów dla osiedleńców opuszczających kraj z powodu przeludnienia, „za chlebem”).

Początkowo grupa ta (jak i liczba reprezentujących ją działaczy) nie była liczna, częste natomiast były głosy negujące ideę kolonialną jako nierealną, a projekty kolonialne jako historycznie spóźnione. Z biegiem czasu, wskutek popularyzacji idei, liczba uczestników dyskursu elitarnego, a zwłaszcza popularnego powiększała się — szczególną rolę odegrały tu argumenty gospodarcze i emocjonalne. Od końca lat 20. w dyskursie dominowała Liga Morska i Kolonialna, następnie zaś (od 1936 r.) Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Każda z tych instytucji starała się narzucić swoje poglądy w kwestii rozumienia idei kolonialnej i sensu projektów kolonialnych.

Liga Morska i Kolonialna pierwsza (uwzględniając ostatnie lata istnienia jej poprzedniczki — Ligi Morskiej i Rzecznej) w sposób zorganizowany i energiczny optowała za ideą kolonialną. Dokonała, mimo fiaska wielu podejmowanych akcji, rzeczy zdumiewającej: z idei kolonialnej uważanej początkowo za nierealną uczyniła temat powszechnej dysputy, angażując w nią zarówno elity, jak i liczne rzesze społeczeństwa.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wyraźnie włączając się do dyskursu, starało się przedstawiać ideę kolonialną w kontekście zasadniczych nurtów polityki zagranicznej państwa. Wyłoniło argumenty surowcowe; emocjonalne — że Polsce po prostu należą się kolonie — stały się mniej istotne (choć dla wielu nadal ważne). Stąd mimo przyjmowania przez resort użyteczności Ligi dochodziło do

konfliktu interesów — Liga podejmowała działania, które MSZ ze względów politycznych musiało dezawuować. Liga Morska i Kolonialna w ślad za sugestiami MSZ przyjmowała argumenty gospodarcze.

Efektom była akceptacja programu kolonialnego przez większość społeczeństwa. Nie można zatem uważać dyskursu kolonialnego za wyraz naiwnych marzeń. Władze starały się walczyć z zacofaniem ekonomicznym kraju. Wiązanie idei kolonialnej z nadziejami na poprawę bytu materialnego ludzi i usprawnienie gospodarki kraju wyzwało znaczne poparcie społeczne dla programów kolonialnych — w programach kolonialnych dostrzegano możliwość poprawy własnego bytu.

Równie ważny był fakt, że posiadane kolonii było wyznacznikiem znaczenia kraju na arenie międzynarodowej — powodowało to skupienie się społeczeństwa na postawach państwowotwórczych.

Integrowanie społeczeństwa wokół spraw kolonialnych było też istotne dla zrozumienia własnej tożsamości narodowej i kulturowej. Dyskurs kolonialny pozwalał określić własną tożsamość na tle innych narodów europejskich oraz przynależność do Świata Białych na tle relacji ze Światem Egzotycznym. Przyjmowano, że powinnością Polaków jako Białych jest udział w misji cywilizacyjnej wśród ludów egzotycznych

Przyjrzenie się dyskursowi kolonialnemu w Drugiej Rzeczypospolitej pozwala ustalić jego znaczenie dla ówczesnego życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Określenie miejsca dyskursu kolonialnego oraz pozycji spraw kolonialnych w całokształcie polityki kraju przekonuje, że sprawy kolonialne nie były jedynie marginesem życia i spraw publicznych w Drugiej Rzeczypospolitej, przeciwnie — stanowiły istotny ich element, angażując zarówno elity rządowe i intelektualne, jak i dosyć szerokie masy społeczeństwa, zainteresowane możliwością pozyskania posiadłości zamorskich dla Polski. Wprawdzie owe zainteresowania wpływały często z odmiennych intencji, niekiedy sprzecznych (głównie względy gospodarcze *versus* ambicjonalne), niemniej stykały się zgodnie na obszarze fascynacji koloniami.

Z pewną ostrożnością można stwierdzić, że fascynacja kolonializmem w Drugiej Rzeczypospolitej nie była mirażem czy mocarstwową lub nacjonalistyczną mrzonką, lecz miała „ręce i nogi”. Dla niektórych była to wielka przygoda, wsparta tak rozumianym patriotyzmem, dla wielu zaś próba czy też szansa przekształcenia Polski w państwo silne, przede wszystkim gospodarczo. Inna sprawa, czy istniały wówczas realne przesłanki ku temu, jakież — w kontekście kolonializmu — realne możliwości przeobrażenia kraju z rolniczego w przemysłowy.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Akt Nowych, Konsulat Honorowy RP w Monrovi

Kopia...

- 1934 Kopia umowy między Liberią a Ligą Morską i Kolonialną, sygn. 5, s. 10–18.

Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Arlet W.

- 1936 Notatka z Gdańska, sygn. 322/2183, s. 1–2.

Delegacja...

- 1930 Delegacja RP przy LN do MSZ w sprawie rewizji kolonialnych, sygn. 322/9579, s. 1–15.

Departament...

- 1938 Departament Konsularny, Wydział Polityki Emigracyjnej, sygn. 322/9741, s. 1–5.

Gabinet...

- 1936 Gabinet Ministra — problem kolonialny, sygn. 322/9583, s. 14–16.

Konferencja...

- 1936a Konferencja w sprawach kolonialnych, sygn. 322/9586, s. 1–8.
1936b Konferencja w sprawach kolonialnych, sygn. 322/2183, s. 1–7.
1936c Konferencja w sprawach kolonialnych, sygn. 322/2183, s. 1–30.

Naczelnik...

- 1936 Naczelnik Wydziału E I, dr A. Zarychta, w związku z konferencją w sprawach kolonialnych, sygn. 322/2183, s. 1–30.

Notatka...

- 1931 Notatka w sprawach kolonialnych, sygn. 322/9737, s. 1.
1936 Notatka Wiktora Drymmera w sprawach kolonialnych, sygn. 322/9586, s. 8–11.
1937 Notatka w sprawie Instytutu Migracyjno-Kolonialnego, sygn. 322/9584, s. 59–62.
1939a Notatka Apoloniusza Zarychty do MTO, sygn., 322/9743, s. 48.
1939b Notatka Apoloniusza Zarychty do DDK, sygn. 322/9768, s. 1–3.
1939c Notatka dla Naczelnika Wydziału Polityki Emigracyjnej, sygn. 322/9768, s. 42–46.

Opinia...

- 1929 Opinia Wydziału P.I., sygn. 322/9579, s. 5–11.

Pogląd...

- 1936 Pogląd Pana Ministra na problem kolonialny, sygn. 322/2185, s. 1–4.

Poselstwo...

- 1931 Poselstwo polskie w Hadze do Departamentu Politycznego MSZ, sygn. 322/2183, s. 74.

Posiedzenie...

- 1938 Posiedzenie Komisji Budżetowej Senatu, sygn. 322/9592, s. 165–180.

Problem...

- 1936 Problem populacyjny w polityce międzynarodowej, sygn. 322/2184, s. 1–5.

Raport...

- 1936 Raport polityczny posła RP w Lizbonie, sygn. 322/3228, s. 12.

Sprawa...

- 1929 Sprawa uzyskania kolonii dla Polski, sygn. 322/9579, s. 4.

Sprawozdanie...

- 1933 Sprawozdanie z wytycznych polityki emigracyjnej na rok 1934, sygn. 322/9580, s. 66–119.

Sprawy...

- 1936 Sprawy emigracyjne, sygn. 322/9580, s. 66–119.
1939 Sprawy kolonialne, sygn. 322/9592, s. 165–180.

Wagner A.

- 1938 Polska a problem kolonialny, sygn. 322/9884, s. 1–34.

Wszelaki J.

- 1936 Konferencja w sprawach kolonialnych, sygn. 322/2183, s. 1–15.

Zagadnienia...

- 1936 Zagadnienia kolonialne, sygn. 322/9583, s. 21–36.

Zieliński J.

1938 W sprawie osadnictwa polskiego na terenie Nowej Gwinei holenderskiej, sygn. 322/9763, s. 1–7.

Czasopisma

Akademia...

1932 *Akademia ku czci S. Rogozińskiego w Krakowie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 349, s. 2–3.

Armin K.

1938 *W wolnej Republice Czarnych*, „Morze”, nr 4, s. 19–20.

B.

1937 *Polska żąda dostępu do surowców i kolonii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 70, s. 15.

Bujwid O.

1938 *Czy mamy dążyć do reemigracji polskich wychodźców?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 348, s. 4–5.

B. M.

1938 *Problem kolonii — to problem Afryki*, „Morze”, nr 12, s. 9.

Bulowski L.

1929 *Madagaskar jako teren kolonizacyjny*, „Morze”, nr 9–10, s. 26–29.

Cała...

1938 *Cała Polska żąda kolonii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 102, s. 5.

Ci co...

1928 *Ci co zjadają ludzi*, „Gazeta Warszawska”, nr 50, s. 13.

Czy Polska...

1929 *Czy Polska ma prawo do zamorskich kolonii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 5, s. 4.

1928 *Czy Polska ma wszelkie szanse uzyskania kolonii zamorskich*, „Gazeta Warszawska”, nr 238, s. 7–8.

Dębczyński A.

1929 *Kolonie dźwignią rozwoju Polski, lecz nie załatwieniem sprawy emigracji*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 91, s. 1–2.

Dmowski R.

1933 *Azja*, „Gazeta Warszawska”, nr 392, s. 3.

Dnie...

1936 *Dnie Kolonialne*, „Morze”, nr 11, s. 1.

1938 *Dnie Kolonialne*, „Morze”, nr 4, s. 1.

Doliwa

1932 *Nasze tytuły do kolonii*, „Morze”, nr 5, s. 20–21.

Dreszer Z.

1935a *Liberię można już uważać niemal za polską kolonię*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 59, s. 3.

1935b *Jesteśmy w stolicy Côte d`Ivoire*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 73, s. 3–4.

Dwutydzień...

1931 *Dwutydzień propagandowy Ligi Morskiej i Kolonialnej*, „Morze”, nr 12, s. 19–21.

Egzamin...

1928 *Egzamin dojrzałości męskiej u czarnych*, „Gazeta Warszawska”, nr 363, s. 13.

Formoza

1931 *Formoza. Wyspa na której powiewała kiedyś flaga polska*, „Gazeta Polska”, nr 295, s. 5.

Fularski M.

1930 *Podboje państw kolonialnych i polska akcja kolonialna*, „Wiadomości Służby Geograficznej”, nr 4, s. 416–421.

1931 *Kryzys emigracyjny a polska polityka kolonialna*, „Morze”, nr 3, s. 19–22.

F. Z.

1935 *Walka mocarstw o nowy podział kolonii rozpoczęta!*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 250, s. 2–3.

1936 *Ostatnia wyprawa kolonialna — ale nie ostatnia wojna*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 214, s. 1–2.

1937 *Polska wobec wielkiej batalii o nowy rozdział kolonii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 334, s. 3–4.

G. M.

1932 *Azjaci i rasa biała*, „Gazeta Warszawska”, nr 176, s. 7.

Gąsiorowski W.

1938 *Państwa „muszki” słoniami nadziewane*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 23, s. 4–5.

Gerhardt–Grzywa F.

1935 *Co nam może dać Liberia*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 79, s. 23.

Giżycki J.

- 1933 *Hebanowa młodzież bawi się w białych*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 184, s. 5–6.
1934 *Boussac w Afryce. Garść wspomnień*, „Gazeta Polska”, nr 227, s. 3.
1936a *Królowie — niewolnicy*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 46, s. 2–3.
1936b *Wylew na Czarnym Łądzie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 135, s. 3.

Głuchowski K.

- 1927 *Angola jako teren ewentualnej polskiej kolonizacji*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 3, s. 169–182.
1928a *Opinie uczonych Zachodu o Angoli*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 2–3, s. 135–150.
1928b *Idźmy za morza!*, „Morze”, nr 3, s. 31–32.
1928c *Akcja kolonialna Ligi Morskiej i Rzecznej*, „Morze”, nr 12, s. 27–29.
1928d *Wśród pionierów polskich na antypodach*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 86, s. 2.

Goetel F.

- 1933 *Tu był człowiek biały*, „Gazeta Polska”, nr 85, s. 3.

Grabowski W.

- 1934 *Polska polityka emigracyjna*, „Gazeta Warszawska”, nr 4, s. 7.

Hajot

- 1932 *A teraz kolej na kolonie! W oczekiwaniu na nową bombę rewizjonistyczną niemiecką*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 290, s. 2.

(J)

- 1932 *50-lecie wyprawy polskiej do Kamerunu. Uroczysta akademie w Warszawie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 342, s. 7.

J. GRT

- 1938 *Droga do kolonii*, „Gazeta Polska”, nr 352, s. 5.

Jachimecki Z.

- 1939 *Pieśń o Beniowskim. Narodziny Wodza*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 46, s. 9–10.

Jak...

- 1929 *Jak powstawały kolonie zamorskie?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 209, s. 5.

Janusz Makarczyk...

- 1936 *Janusz Makarczyk założył fundamenty polskiego jutra kolonialnego*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 79, s. 24.

Januszewicz E.

- 1935 *Republika Czarnych — Liberia*, „Morze”, nr 2, s. 13–15.

Jedynej...

1937 *Jedynej kolonii polskiej w Azji Mniejszej — Adampolowi — grozi zturczenie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 203, s. 8.

Jeziorański K.

1935 *Dobrobyt a kolonie*, „Morze”, nr 12, s. 5–6.

(k)

1936 *Polska musi mieć głos w sprawach kolonialnych*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 266, s. 3.

K. K.

1936a *Liga Narodów wobec problemów emigracyjnych i finansowych*, „Gazeta Polska”, nr 277, s. 1.

1936b *Polska żąda surowców*, „Gazeta Polska”, nr 280, s. 2.

1938 *Rząd RP wręczył w sekretariacie Ligi Narodów notę w sprawie kolonii i surowców*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 177, s. 9.

Kamerun...

1928 *Kamerun — kolonia o którą możemy walczyć*, „Gazeta Warszawska”, nr 238, s. 8.

Karaczewska W.

1938 *W cieniu palmowego mirażu*, „Morze”, nr 5, s. 16–17.

Kolonie...

1936 *Kolonie*, „Morze”, nr 3, s. 1.

1938 *Kolonie*, „Gazeta Polska”, nr 99, s. 1.

Koniec...

1938 *Koniec hegemonii białych przepowiada przyszły premier japoński*, „Warszawski Dziennik Narodowy”, nr 3, s. 1.

Konieczność...

1928 *Konieczność dalszej propagandy idei morskiej w Polsce*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 293, s. 10.

Konopka J.

1931 *Głos Polaka–misjonarza ze stepów południowej Afryki*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 267, s. 6.

Korab–Kucharski H.

1935 *Nowoczesny kolonializm*, „Gazeta Polska”, nr 207, s. 1.

Kossowski J.

1937 *Rozmowy o ojczyźnie i koloniach*, „Gazeta Polska”, nr 8, s. 5.

Krasicki A.

1937 *Cejlon, wyspa tysiąca cudów*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 28, s. 2–4.

Krzywoszewski S.

1936 *Globtroterzy polscy*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 85, s. 2–3.

Kurek J.

1932 *Afryka mówi*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 326, s. 3–4.

Lasiński A. L.

1929 *Przed wszechświatową Wystawą Morską i Kolonialną w Antwerpii*, „Morze”, nr 10, s. 26.

Lepecki M.

1938 *Czy Afrykę można kolonizować?*, „Gazeta Polska”, nr 341, s. 1.

Liberia...

1935 *Liberia — stosunki z Polską*, „Gazeta Warszawska”, nr 88, s. 9.

Liga...

1931 *Liga Morska i Kolonialna przeciwko I.K.C.*, „Gazeta Polska”, nr 205, s. 2.

Ligocki E.

1937 *Czarne lądy a Polska*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 64, s. 2–3.

Ludkiewicz Z., Żabko–Potopowicz A.

1930 *Kolonie francuskie jako możliwy teren polskiej emigracji osadniczej*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1–2, s. 206–215.

Ludożercy...

1937 *Ludożercy i złoto*, „Gazeta Polska”, nr 286, s. 5.

Łyp F.

1928 *Portugalskie zamierzenia kolonizacji Angoli*, „Morze”, nr 11, s. 24–25.

1929a *Ekspedycja do Angoli (wrażenia i spostrzeżenia)*, „Morze”, nr 9–10, s. 24–25.

1929b *Wysoki płaskowyż Angoli*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 4, s. 440–452.

M. B.

1934a *Polska tworzy za Oceanem nowe państwo z dostępem do morza. Historyczne alarmy szowinistów brazylijskich*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 117, s. 7–8.

1934b *Oczekujemy przybycia polskiego sztabu generalnego*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 117, s. 8.

1934c *Omali nie polala się krew polska w Brazylji*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 122, s. 4.

M. G.

1938 *Polska szuka zaspokojenia swych życiowych potrzeb w drodze zdobycia kolonii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 5, s. 2–4.

Malinowski W.

1932 *Czy Polska zdobędzie kolonie zamorskie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 97, s. 4.

Mikorska M.

1939 *Złoto Transvaalu*, „Gazeta Polska”, nr 57, s. 3.

Mróz S.

1932 *50-lecie „Polskiego Kamerunu”*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 349, s. 2–3.

1938 *35-milionowy naród ma prawo posiadać kolonie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 330, s. 9.

Musimy...

1939 *Musimy dostać kolonie*, „IKC”, nr 65, s. 15.

NAT

1931 *Biała władczyni czarnego ludu*, „Gazeta Polska”, nr 14, s. 5.

Niemcy...

1921 *Niemcy marzą o zwrocie kolonii?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 157, s. 8.

1937 *Niemcy chcą zaspokoić swe pretensje kolonialne kosztem Belgii i Portugalii*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 333, s. 16.

Niemieckie...

1926 *Niemieckie apetyty kolonialne*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 280, s. 10.

Niepowodzenia...

1923 *Niepowodzenia eksperymentów angielskich w Azji*, „Gazeta Warszawska”, nr 274, s. 1.

Obrona...

1931 *Obrona polskiego Pomorza za 9711 zł!*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 205, s. 1–3.

Od Redakcji...

1935 *Od Redakcji*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 42, s. 1.

Oszelda W.

- 1936 *Włochy i Polska — dwa najbardziej przeludnione kraje Europy*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 26, s. 2–3.
1937 *Co grozi Polsce i Europie: przeludnienie czy wyludnienie?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 225, s. 1–3.

Pankiewicz M.

- 1934 *O Polskę kolonialną*, „Morze”, nr 8–9, s. 5–6.
1935 *Żądamy kolonii*, „Morze”, nr 5, s. 12–13.

Pawłowski S.

- 1933 *O kolonie dla Polski*, „Morze”, nr 7, s. 22–24.
1934 *Kolonie*, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, nr 2, s. 5–11.
1936 *Musimy rozpocząć walkę o kolonie dla Polski*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 74, s. 3–4.

Peregrinus

- 1938 *Echa z dalekiego Iranu. Dlaczego nas tu nie ma. Jak Polska pozostaje w tyle w wyścigu narodów?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 7, s. 3–4.

Pindor K.

- 1937 *Idea mandatowa w świecie kolonialnym*, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, nr 1–2, s. 106–113.

Pionier

- 1932 *Istota naszej akcji kolonialnej*, „Morze”, nr 7–8, s. 29–30.

Plutyński A.

- 1933 *Prawa Polski do kolonii*, „Morze”, nr 6, s. 21–23.

Polsce...

- 1935 *Polsce należy się mandat kolonialny*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 168, s. 21.

Polska...

- 1928 *Polska ma wszelkie szanse uzyskania kolonii zamorskich*, „Gazeta Warszawska”, nr 238, s. 7–9.
1930 *Polska otrzyma kolonię w Afryce?*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 352, s. 11.

Potocki A.

- 1935 *Zarysy Eurafryki. Czy jeszcze jedna Atlantyda?*, „Gazeta Polska”, nr 327, s. 3.

Problem...

- 1939 *Problem kolonialny w Sejmie i Senacie*, „Morze i Kolonie”, nr 3, s. 7–10.

Propaganda...

1931 *Propaganda Pomorza — Liga Morska i Kolonialna i odgłos artykułu I.K.C.*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 211, s. 4.

Prószyński K.

1932 *Dusza Murzyna (I)*, „Gazeta Polska”, nr 203, s. 6.

1934 *Niewolnicze wybrzeże (III)*, „Gazeta Polska”, nr 39, s. 5.

Radzikowski L.

1931 *Eur-Afryka*, „Morze”, nr 4, s. 22–24.

Roman A.

1939 *By Polak nie potrzebował szukać pracy i chleba u obcych*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 196, s. 1–2.

Romantyka...

1928 *Romantyka dżungli afrykańskiej*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 221, s. 5.

Rosiński B.

1933 *Rasa i narodowość w świetle antropologii*, „Gazeta Polska”, nr 212, s. 3.

Rosiński W.

1929a *Znaczenie kolonii dla państwa*, „Morze”, nr 7–8, s. 19–21.

1929b *Nasze zadania i cele*, „Morze”, nr 9–10, s. 23–24.

Rozwadowski J.

1929 *Podstawy polskich dążeń kolonialnych*, „Morze”, nr 11, s. 21–24.

Rozwadowski J., Dyjas W.

1930 *Przyczyny i podstawy polskich dążeń kolonialnych*, „Wiadomości Służby Geograficznej”, nr 4, s. 378–403.

Rubel L.

1936 *Złamane orle skrzydła*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 199, s. 2–3.

Samolotem...

1931 *Samolotem z Francji na Madagaskar w cztery dni*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 353, s. 4.

S. H.

1938 *„Chłop polski jest doskonałym kolonistą”*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 78, s. 6.

Simon G.

1926 *Kilka uwag o dalszych celach polskiej polityki emigracyjnej*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1, s. 14.

S. G.

1928 *Druga ojczyzna „Pana Balcera”*, „Gazeta Warszawska”, nr 72, s. 4.

Smogorzewski K.

1930 *Francja, mocarstwo światowe*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 114, s. 4.

Sokołów F.

1936 *Łamigłówka kolonialna*, „Gazeta Polska”, nr 202, s. 1.

st. m.

1935 *O co bije się biała ludzkość w Lidze Narodów*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 262, s. 1–2.

Sukiennicki H.

1931 *Geneza mandatów międzynarodowych i ich obecna sytuacja prawna*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1, s. 161–176.

Sześć...

1930 *Sześć współczesnych potęg świata. Jakie państwa do nich należą. Polska w roli kandydata*, „Gazeta Warszawska”, nr 106, s. 9.

Szukiewicz W.

1934 *Murzyńskie sny o potędze*, „Morze”, nr 1, s. 26–27.

Tabor W.

1930 *Program emigracyjny*, „Gazeta Warszawska”, nr 96, s. 7.

Śladami...

1931 *Śladami Livingstona pędzi dziś pociąg od brzegów do brzegów Afryki*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 191, s. 8.

Ślęczka R.

1936 *Polski problem kolonialny*, „Warszawski Dziennik Narodowy”, nr 114, s. 6.

Tak dalej...

1936 *„Tak dalej być nie może”. Ostrzegawcza mowa śp. gen. Dreszera*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 202, s. 2–3.

Tański W.

1930 *O możliwościach emigrowania Polaków do Afryki Środkowej*, „Gazeta Warszawska”, nr 348, s. 13.

1932 *Mamo, ja chcę Murzyna. I smutne skutki kolorowej miłości*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 190, s. 7.

Trębicki T.

1933 *Upalne dni i mój służący Majo*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 345, s. 2–3.

Vox

1929 *Nie trwonić polskiej pracy i kapitałów na kolonizację tropikalnych puszczy*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 260, s. 2–3.

Warchałowski K.

1932 *Przyczynek do historii polskiej akcji kolonialnej*, „Morze”, nr 9, s. 24–25.

Wielka...

1930 *Wielka manifestacja włościan na rzecz mocarstwowej Polski*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 173, s. 2.

Wolne...

1934 *Wolne państwo murzyńskie*, „Gazeta Warszawska”, nr 74, s. 16.

Wystarczy...

1937 *„Wystarczy spojrzeć na mapę...”*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 338, s. 1.

Zajączkowski J. S.

1931 *Zagadnienia konstrukcji prawnej terytoriów mandatowych w świetle teorii prawa narodów*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1, s. 133–146.

Załęcki G.

1928a *O zasadniczych pojęciach polityki kolonialnej i kolonizacyjnej. Uwagi nad gospodarczym stosunkiem człowieka „białego” do „kolorowego”*, „Studia Kolonialne” 1928, s. 17.

1928b *Słów kilka o nowoczesnym imperializmie narodowym*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 3, s. 569–581.

1930a *Problemy konieczności i możliwości polskiej polityki kolonialnej*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1–2, s. 246–277.

1930b *Korzyści posiadania własnych kolonii politycznych*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1–2, s. 523–535.

1930c *Doktryny kolonialne wielkich i małych państw powojennych*, „Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego”, nr 1–2, s. 504–523.

1930d *Program emigracyjny*, „Gazeta Warszawska”, nr 89, s. 7.

Zamojski M.

1935 *Po pięciu latach pobytu w Angoli*, „Gazeta Polska”, nr 191, s. 3–4.

Zechenter W.

1931 *Niespodzianki wystawy kolonialnej w Paryżu*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 108, s. 4.

Z. F. R.

1933 *Polska musi zdobyć się na odwagę własnej polityki kolonialnej*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 70, s. 3.

Zwyczajaje...

1928 *Zwyczajaje dzikich Malajów*, „Gazeta Warszawska”, nr 363, s. 13.

Z zagadnień...

1925 *Z zagadnień kolonialnych*, „Gazeta Warszawska”, nr 217, s. 1–2.

Żądamy...

1936 *„Żądamy dla Polski kolonii”*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 328, s. 7.

Żądania...

1935 *Żądania kolonialne Niemiec*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr 168, s. 21.

Opracowania

Asad T.

1986 *The Concept of Cultural Translation in British Social Anthropology*, [w:] *Writing Culture. The Poetics and Politics of Ethnography*, ed. J. Clifford, G. E. Marcus, Berkeley, s. 141–164.

Beck J.

1987 *Ostatni raport*, Warszawa.

Benveniste E.

1980 *Struktura języka i struktura społeczeństwa*, [w:] *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa, s. 27–40.

Białas T.

1977 *Kształtowanie się programu emigracyjno-kolonialnego Ligi Morskiej i Kolonialnej w latach 1924–1930*, „Dzieje Najnowsze”, R. 2, s. 103–122.

1983 *Liga Morska i Kolonialna 1930–1939*, Gdańsk.

2002 *Z tradycji Ligi Morskiej i Rzecznej*, Gdańsk.

Białek C.

1980 *Jezuici polscy w Misji Zambeskiej*, Warszawa.

Boas F.

1965 *The Mind of Primitive Man*, New York.

Braudel F.

1971 *Historia i trwanie*, Warszawa.

- Buchowski M.
2004 *Zrozumieć Innego. Antropologia racjonalności*, Kraków.
- Bulowski L.
1933 *Kolonie dla Polski*, Warszawa.
- Burszta W.
1998 *Antropologia kultury. Tematy, teorie, interpretacje*, Warszawa.
- Carrithers M.
1994 *Dlaczego ludzie mają kultury*, Warszawa.
- Chałasińska K., Chałasiński J.
1965 *Blżej Afryki*, Warszawa.
- Chmielewski J.
1929 *Angola. Notatki z podróży po Afryce*, Warszawa.
- Clifford J.
2000 *Kłopoty z kulturą*, Warszawa.
- Conrad J.
2004 *Jądro ciemności*, Kraków.
- Czekanowski J.
1958 *W głąb lasów Aruwimi*, Wrocław.
- Czyżewski M., Dunin K., Piotrowski A.
1991 *Cudze problemy czyli wstęp do sepologii*, [w:] *Cudze problemy. O ważności tego, co nieważne. Analiza dyskursu publicznego w Polsce*, red. M. Czyżewski, K. Dunin, A. Piotrowski, Warszawa, s. 5–22.
- Dijk van T.
2002 *Badania nad dyskursem*, [w:] *Dyskurs jako struktura i proces*, red. T. van Dijk, Warszawa, s. 9–44.
- Dębczyński A.
1928 *Dwa lata w Kongo*, Warszawa.
1935 *Haszysz Czarnego Lądu*, Warszawa.
- Dębicki T.
1928 *Moienzi Nzadi. U wrót Konga*, Kraków.
- Dobrowolski R.
1975 *Obraz Afryki w świetle katolickich czasopism misyjnych i publicystyki kolonialnej w Polsce lat międzywojennych*, „Przegląd Socjologiczny”, t. 27, s. 179–222.

Dokumenty...

1989 *Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918–1939*, t. I: 1918–1932, t. II: 1933–1939, red. T. Jędruszczak i M. Nowak–Kiełbikowa, Warszawa.

Dopierała B.

1978 *Wokół polityki morskiej Drugiej Rzeczypospolitej*, Poznań.

Dunn L. C.

1961 *Rasa a biologia*, [w:] *Rasa a nauka*, red. Z. Plucińska, J. Szyłkowska, Warszawa, s. 9–73.

Dyskurs...

2001 *Dyskurs jako struktura i proces*, red. T. van Dijk, Warszawa.

Encyklopedia...

1976 *Encyklopedia wiedzy o prasie*, red. J. Maślanka, Wrocław.

Etnologia...

1969 *Etnologia. Wybór tekstów*, red. Z. Sokolewicz, Warszawa.

Fiedler A.

1931 *Bichos, moi brazylijscy przyjaciele*, Warszawa.

1935 *Ryby śpiewają w Ukajali*, Warszawa.

1936 *Zwierzęta lasu dziewiczego*, Warszawa.

1937 *Zdobywamy Amazonkę*, Warszawa.

1939 *Jutro na Madagaskar*, Warszawa.

1950 *Rio de Oro*, Warszawa.

Firth R.

1965 *Spoločności ludzkie. Wstęp do antropologii społecznej*, Warszawa.

Foucault M.

2002 *Porządek dyskursu*, Gdańsk.

Fularski M.

1931 *Kryzys emigracyjny a polska polityka kolonialna*, Warszawa.

Garlicki A.

1969 *Problemy kolonialne w opinii MSZ w 1936 r.*, [w:] *Naród i państwo*, red. T. Cieślak, Warszawa, s. 109–112.

Geertz C.

2005a *Interpretacja kultur*, Kraków.

2005b *Wiedza lokalna*, Kraków.

Gill A. M., Whedbee K.

2001 *Retoryka*, [w:] *Dyskurs jako struktura i proces*, red. T. van Dijk, Warszawa, s. 182–211.

Giżycki J.

1934 *Biali i czarni: fragmenty kolonjalne*, Warszawa.

1935 *Na Czarnym Łądzie*, Warszawa.

1936 *Między morzem a pustynią*, Warszawa.

1937 *Janek i Samba*, Warszawa.

Giżycki K.

1938 *Hebanowa miłość*, Warszawa.

1958 *Wężowa Góra. Opowieści z puszczy liberyjskiej*, Wrocław.

1959 *Lwica Uanga*, Warszawa.

1963 *Nil, rzeka wielkiej przygody*, Warszawa.

1966 *W pogoni za mwe*, Warszawa.

1969 *Listy z Archipelagu Salomona*, Wrocław.

1970 *W puszczach i sawannach Kamerunu*, Warszawa.

Goodenough W. H.

2004 *W poszukiwaniu roboczej teorii kultury*, [w:] *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej. Kontynuacje*, red. M. Kempny, E. Nowicka, Warszawa, s. 100–116.

Hall E. T.

1984 *Poza kulturą*, Warszawa.

Hirschler J.

1938 *Ze Lwowa do Liberii*, Lwów.

Hymes D.

1980 *Socjolingwistyka i etnografia mówienia*, [w:] *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa, s. 41–82.

Janikowski L.

1936 *W dżunglach Afryki*, Warszawa.

Kaczorowski P.

2004 *Państwo, konserwatyzm, religia*, [w:] *Religia i konserwatyzm: sprzymierzeńcy czy konkurenci?*, red. P. Mazurkiewicz, S. Sowiński, Wrocław, s. 121–129.

Kawecki W.

2006 *Ocalić człowieka. Ocalić kulturę*, Warszawa.

Klekot E.

2005 *Etnografia rozumiejąca krok po kroku*, [w:] *Horyzonty antropologii kultury*, red. J. S. Wasilewski, A. Zadrożyńska, A. Bruczkowska, Warszawa, s. 91–98.

Klineberg O.

1961 *Rasa a psychologia*, [w:] *Rasa a nauka*, red. Z. Plucińska, J. Szyłkowska, Warszawa, s. 75–121.

Knauff S.

1933 *Przez morza do kolonii*, Warszawa.

Konopczyński W.

1947 *Kwestia bałtycka do XX w.*, Gdańsk.

Kordys J.

2006 *Kategorie antropologiczne i tożsamość narracyjna*, Kraków.

Krawczak E.

2003 *Antropologia kulturowa. Klasyczne kierunki, szkoły i orientacje*, Lublin.

Krzywicki J., Nalborczyk A. S., Pałasz–Rutkowska E., Stasik D.

2005 *Wizerunek Europejczyków i kultury Zachodu w Azji i Afryce*, Warszawa.

Kwiatkowski E.

1947 *Zarys dziejów gospodarczych świata*, Warszawa.

Lakoff G., Johnson M.

1988 *Metafory w naszym życiu*, Warszawa.

Le Colonie...

1929 *Le Colonie Italiane*, Roma.

Lepecki M.

1923 *Przypadki w Paranie*, Warszawa.

1931 *Na Amazonce i we wschodnim Peru*, Warszawa.

1937 *Przez czerwony ląd*, Warszawa.

1938 *Madagaskar. Kraj, ludzie, kolonizacja*, Warszawa.

1986 *Maurycy August hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru*, Warszawa.

Lévi–Strauss C.

1961 *Rasa a historia*, [w:] *Rasa a nauka*, red. Z. Plucińska, J. Szyłkowska, Warszawa, s. 123–180.

Little K.

1961 *Race and Society*, Edinburgh.

Łojek J., Myśliński J., Władyka W.

1988 *Dzieje prasy polskiej*, Warszawa.

Łossowski P.

2001 *Dyplomacja polska 1918–1939*, Warszawa.

Łyp F.

1931 *Wiadomości o wysokim płaskowyżu Angoli*, Warszawa.

Machaliński Z.

1993 *Admiralowie polscy 1919–1950*, Warszawa.

Majewski A.

1930 *Świat murzyński*, Warszawa.

Majewski A.

1927 *Podróż misyjna do Afryki*, Wadowice.

1928 *Cztery lata wśród Murzynów*, Warszawa.

Makarczyk J.

1932 *Przez morza i dżungle*, Warszawa

1936 *Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*, Warszawa.

1957 *Widziałem i słyszałem*, Warszawa.

Makuszyński K.

1936 *Wielka brama*, Warszawa.

Malewska–Szałygin A.

2002 *Wiedza potoczna o sprawach publicznych*, Warszawa.

2004 *Tradycja stosowania pojęcia dyskurs i jego przydatność w antropologii współczesności*, „Etnografia Polska”, nr 1–2, s. 81–95.

2005 *Antropologia polityczna — subdyscyplina antropologii czy perspektywa refleksji antropologicznej?*, [w:] *Horyzonty antropologii kultury*, red. J. S. Wasilewski, A. Zadrożyńska, A. Bruczkowska, Warszawa, s. 355–366.

Malinowski B.

1958 *Dynamika przemian kulturowych*, [w:] *Szkice z teorii kultury*, red. K. Krzymowska, Warszawa, s. 115–307.

1987 *Język magii i ogrodnictwa*. [w:] *Ogrody koralowe i ich magia*, *Dzieła*, t. 5, red. A. K. Paluch, Warszawa.

2000a *Etnologia i badanie społeczeństwa*, [w:] *Jednostka, społeczność, kultura*, *Dzieła*, t. 8, red. A. K. Paluch, Warszawa.

2000b *Grupa i jednostka w analizie funkcjonalnej*, [w:] *Jednostka, społeczność, kultura*, *Dzieła*, t. 8, red. A. K. Paluch, Warszawa.

2000c *Dylemat współczesnej lingwistyki*, [w:] *Jednostka, społeczność, kultura*, *Dzieła*, t. 8, red. A. K. Paluch, Warszawa.

2000d *Dynamika zmiany kulturowej. Studium stosunków rasowych w Afryce*, [w:] *Kultura i jej przemiany*, *Dzieła*, t. 9, red. A. Kubikowska, Warszawa.

2000e *Racjonalizacja antropologii i administracji*, [w:] *Kultura i jej przemiany*, *Dzieła*, t. 9, red. A. Kubikowska, Warszawa.

Mały...

1996 *Mały słownik teologiczny*, red. H. Vorgrimler, K. Rahner, Warszawa.

Mróz L.

1979 *Świadomościowe wyznaczniki dystansu etnicznego*, „Etnografia Polska”, t. 23, z. 2, s. 157–168.

Nadolska–Styczyńska A.

2005 *Ludy zamorskich łądów. Kultury pozaeuropejskie a działalność popularyzatorska Ligi Morskiej i Kolonialnej*, Wrocław.

Ossendowski F. A.

1935 *Skarb Wysp Andamańskich*, Warszawa.

1990 *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*, Łódź.

Paszkowicz A.

1932 *Listy z Angoli*, Warszawa.

Pawłowicz B.

1928 *Pionierzy*, Warszawa.

1934 *Chłopiec z piniorowych lasów*, Warszawa.

1935 *Franek na szerokim świecie*, Warszawa.

1937 *W słońcu dalekiego południa*, Warszawa.

Pawłowski S.

1936a *Domagajmy się kolonii zamorskich dla Polski*, Warszawa.

1936b *Kolonie źródłem dobrobytu*, Warszawa.

Perham M., Simmons J.

1948 *African Discovery*, London.

Postcolonial...

2001 *Postcolonial Discours. An Anthology*, ed. G. Castle, Oxford.

Posern–Zieliński A.

1973 *Kształtowanie się etnografii polskiej jako samodzielnej dyscypliny naukowej (do 1939 r.)*, [w:] *Historia etnografii polskiej*, red. M. Terlecka, Wrocław, s. 29–113.

Praktyczny...

1994 *Praktyczny słownik biblijny*, red. A. Grabner–Haider, Warszawa.

Reboul O.

1980 *Kiedy słowo jest bronią*, [w:] *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa, s. 299–337.

Ricoeur P.

1989 *Język, tekst, interpretacja*, Warszawa.

Rostworowski J.

1946 *Wrażenia z Afryki Zachodniej*, London.

Rytualny...

1997 *Rytualny chaos. Studium dyskursu politycznego*, red. M. Czyżewski, S. Kowalski, A. Piotrowski, Kraków.

Saussure F., de

1991 *Kurs językoznawstwa ogólnego*, Warszawa.

Seligman C. G.

1972 *Ludy Afryki*, Warszawa.

Sierocka B.

2003 *Krytyka i dyskurs*, Kraków.

Słabczyński W.

1988 *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa.

Sokolewicz Z.

1974 *Wprowadzenie do etnologii*, Warszawa.

Spiro M. E.

2004 *Relatywizm kulturowy i przyszłość antropologii kulturowej*, [w:] *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej. Kontynuacje*, red. M. Kempny, E. Nowicka, Warszawa, s. 27–53.

Stern J. P.

1980 *Manipulacja za pośrednictwem cliché*, [w:] *Język i społeczeństwo*, red. M. Głowiński, Warszawa, s. 282–298.

Stopa R.

1938 *Z badań nad ludnością i kulturą Afryki Południowo-Zachodniej*, Warszawa.

Szaflarski J.

1968 *Poznanie Czarnego Lądu*, Warszawa.

Szumańska-Grossowa H.

1967 *Podróże Stefana Szolc-Rogozińskiego*, Warszawa.

Szynaka E.

1972 *Polityka morska i kolonialna jako element koncepcji mocarstwowych Polski w latach 1928–1935*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauki Humanistyczno-Społeczne”, z. 51, s. 157–172.

Tomaszewski J., Landau Z.

2005 *Polska w Europie i świecie 1918–1939*, Warszawa.

Tuwim J.

1938 *Murzynek Bambo*, [w:] *Zosia Samosia i inne wierszyki*, Warszawa.

Wagner R.

2003 *Wynalezienie kultury*, [w:] *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kempny, E. Nowicka, Warszawa, s. 59–72.

Warchałowski K.

1936 *Na krokodylim szlaku*, Warszawa

1938 *Na wodach Amazonki*, Warszawa.

Wójcik W.

1961 *Moje życie w Brazylii*, Warszawa.

Załęcki G.

1925 *Polska polityka kolonialna i kolonizacyjna*, Warszawa.

1928 *O zasadniczych pojęciach polityki kolonialnej i kolonizacyjnej*, Warszawa.

1930 *O kolonialno-polityczną kulturę mas polskich*, Warszawa.

Zarychta A.

1933 *Emigracja polska 1918–1931 i jej znaczenie dla państwa*, Warszawa.

Ząbek M.

2007 *Biali i Czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa.